



# JOHN UPDIKE

*Pary*



Świat Książki

# JOHN UPDIKE

---

*Pary*

Z angielskiego przełożyła  
*Katarzyna Komorowska*

  
Świat Książki

*Dla Mary*

*Przeciętny obywatel, jeśli nawet piastuje wysokie stanowisko w swym zawodzie, przejawia skłonność do traktowania decyzji dotyczących życia społeczności, do której należy, jako kwestii przeznaczenia, na które nie ma żadnego wpływu – jak rzymscy poddani na całym świecie w czasach Cesarstwa Rzymskiego. Kształtuje to nastrój sprzyjający wzrostowi popularności religii, ale niesprzyjający utrzymaniu żywej demokracji.*

Paul Tillich, *Przyszłość religii*

*Kochamy barwę, smak, cielesny szal,  
Duszny, śmiertelny dała zapach.  
Nie wście nas, gdy szkielet waszych dał  
Zachrzęści w ciężkich, czułych łapach...*

Aleksander Blok *Scytowie*  
(przełożył Mieczysław Jastrun)

## I. Witajcie w Tarbox

– Co sądzisz o nowej parze?

Hanemowie, Piet i Angela, rozbierali się do snu. Urządzona w stylu kolonialnym sypialnia miała niski sufit, a drewniane wykończenia i meble pomalowano na odcień złamanej bieli, nazywany przez sprzedawców „skorupką jajka”. Chłód wiosennej nocy wciskał się do wnętrza przez zimne okna.

– Och, są chyba dość młodzi – odparła wymijająco Angela.

Żona Pieta była trzydziestoczeroletnią brunetką o jasnej, gładkiej skórze. W talii i górnej części ud zaczynała się już robić tęgawa; nadal jednak miała mocne i zgrabne dziewczęce kostki oraz niepewny, młodzieńczy sposób poruszania się – jak gdyby przedzierała się przez rozwieszony w powietrzu, utrudniający ruch tkaniny. Wiek Angeli można było poznać jedynie po niewyraźnie zarysowanej linii podbródka oraz po żyłastych dłoniach i zaczerwienionych koniuszkach palców.

– Jak bardzo?

– Nie wiem. On ma około trzydziestki, ale stara się wyglądać dziesięć lat starzej. Ona jest młodsza. Ma dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć lat. Przeprowadzasz spis ludności?

Roześmiał się niechętnie. Piet był rudy i mocno zbudowany. Nie górował nad Angelą wzrostem, ale raczej masą ciała. Spod jego płaskich, holenderskich rysów twarzy przebijało coś nabytego i amerykańskiego – grzeszna, wesoła zachłanność, nieme pytanie. Nadal fascynowała go ospała nieprzewidywalność żony, jej impulsywna bezczelność i arystokratyczne opanowanie. Piet uważał się za człowieka prostego, a ją miał za kobietę wyrafinowaną i piękną. Każdy jej gest przywodził mu na myśl autentyczną wytworność i szczerść, na jaką sam nigdy nie potrafiłby się zdobyć. Kiedy się poznali, Angela Hamilton była kobietą w pełni rozkwitu, a jej młodość promieniowała leniwie. Angela miała poruszający zwyczaj odwracania powoli wzroku i odsłaniania przy tym z jednej strony szyi. Jej uroda w niewytłumaczalny sposób pozostawała nienaruszona. Angela bawiła się w uczenie dzieci w szkole i mieszkała z rodzicami w Nun's Bay. Piet i jego kompan z wojska pracowali w tym czasie dla jej ojca, było to jedno z ich pierwszych zleceń – wznosili pergolę z widokiem na ocean i na wielką czekoladowobrązową skałę, która pod trochę innym kątem wyglądała jak profil kobiety w opadającym fałdami kwefie. W pobliżu znajdowało się urwisko, rozległy zielony trawnik i przycięty równo żywopłot, wyglądający jak blat stolika. W domu było mnóstwo zegarów, stojących i okrętowych, wykańczanych pozłacanym brązem lub czarną laką, delikatnych cacek w srebrnych obudowach, z czterema kulkami zamiast wahadła. Okres narzeczeństwa minął jak błyskawicznie zapomniany sen, jak zauroczenie lub pomyłka. Potem czas ruszył z miejsca jak oszalały. Zegary zaczęły szybciej tykać, a oni pospiesznie mijali wątpliwości, ostre zakręty i poręcze schodów, zakończone słupkami z orzechowymi gałkami. Ojciec Angeli nosił uszyty na miarę garnitur, uśmiechał się ze zrozumieniem i niczemu się nie sprzeciwiał. Uwielbiał swoją córkę, a zagrozić mogło jej jedynie staropanieństwo. Rozmnażanie za wszelką cenę. Pomógł zięciowi w interesach. Pierwsze dziecko Hanemasów, córeczka, urodziło się dziewięć miesięcy po ich nocy poślubnej. Dziewięć lat później Piet nadal wyczuwał w Angeli istotę wyższą, której należało usługiwać.

– Zastanawiałem się po prostu, w jakim się znajdują stadium – powiedział, jak gdyby na własną obronę. – On wydawał się dość oschły i zobojętniały.

– Masz nadzieję, że znajdują się w tym samym stadium co my?

Zęzłościł go ten ostry, zimny ton, który przyjęła w chwili, gdy już sądził, że rozmowa staje się poufała. W dobrze oświetlonym, bezpiecznym pokoju, otoczonym przez kwietniowe

ciemności, uczucia zaczęły już stawać się tak silne, że mogłyby pomóc im pokonać zahamowania. Poczul się jak głupiec.

– Zgadza się – przytaknął. – W siódmym niebie.

– Tam właśnie się znajdujemy? – spytała nieobecny tonem, gotowa mu uwierzyć.

Stali przed drzwiami do szaf ściennych, znajdujących się po obu stronach nieużywanego, otynkowanego na błękitno kominka, otoczonego sosnową boazerią. Ich wiejski dom został zbudowany w osiemnastym wieku i miał osiem pokoi. W gospodarstwie była też stodoła, spore, prostokątne podwórze i wysokie krzewy bzu. Poprzedni właściciele, rodzice nastoletnich chłopców, zamontowali na jednej z bocznych ścian stodoły obręcz do koszykówki i wylali małe asfaltowe boisko. Na drugim końcu hektarowej posiadłości znajdowały się przylegający do sąsiedniego sadu las oraz mleczna farma. Podążając dalej drogą, po siedmiu milach docierało się do miasteczka Nun's Bay, a po przebyciu jeszcze dwudziestu na północ – do Bostonu. Piet był z zawodu budowniczym, zakochanym w kątach prostych, które dawały mu poczucie bezpieczeństwa. Stracił głowę dla tego wiejskiego domu, z jego prostokątnymi pomieszczeniami o niskich sufitach, gdzie listwy podłogowe i poręcze krzeseł wykonano i ozdobiono ręcznie. Zachwycały go smukłe filarki w oknach, w których co starsze szyby były upstrzone bąblami powietrza i miały lawendowy odcień; starte od zamiatania cegły w paleniskach, przywodzące na myśl okopcone, pionowe wrota do jądra czasu; strych, który po wyłożeniu srebrnym materiałem izolacyjnym zaczął przypominać sklepioną szkatułę na klejnoty albo jaskinię Aladyna; solidną, świeżo skonstruowaną suterенę, która, kiedy się wprowadzili pięć lat wcześniej, była zaledwie brudną piwnicą. Piet uwielbiał sposób, w jaki dom o każdej porze roku wchłaniał cytrynowożółte, romboidalne plamki światła i zdawał się zmieniać położenie wraz z leniwą wędrówką słońca, jak kabina statku płynącego po łuku. Wszystkie zapewniające odosobnienie budynki sprawiały Pietowi przyjemność. Jego skromne holenderskie poczucie tego, jak bardzo ma prawo odgrodzić się od świata, zostało całkowicie zaspokojone przez ten dom, oddalony o dwieście stóp od drogi, milę od centrum miasteczka i cztery mile od morza.

Angela, potomkini piratów z New Bedford, kapitanów statków wielorybnych, chciała mieszkać w posiadłości z widokiem na Atlantyckie Szczerze ubolewała, kiedy nowo przybyłe małżeństwo Whitmanów kupiło za pośrednictwem agencji Gallagher&Hanema, Budownictwo i Nieruchomości, dom, który ona sobie upatrzyła. Była to tandetna letnia chatka do generalnego remontu, należąca kiedyś do Robinsonów. Rozciągał się z niej rozległy widok na moczary, a po odsłoniętej przestrzeni szalały wiatry, które przenikały przez nawet najlepiej założoną izolację. W ciągu ostatniej zimy Angela i Piet omawiali sprawę kupna chatki kilka razy. Wzniesiono ją około 1900 roku i miała wtedy tylko jedno piętro. We wczesnych latach dwudziestych podniesiono ją na palach i dobudowano parter, a także długą, osłoniętą werandę, która zaciemniła salon. Nowi właściciele zlecili też wzniesienie skrzydła dla służby, które usytuowano dwa stopnie niżej od głównego budynku. Piet pokazał Angeli wyjątkowo marną stolarkę, odpadające ze ścian płyty gipsowe, przeżarte rdzą żeliwne rury, kompletnie sparciętą gumową izolację na przewodach elektrycznych oraz chwiejące się ramy okienne, zniszczone przez zwierzęta i deszcz. Świetlik w głównej sypialni przeciekał. Ciepłe powietrze wydostawało się jedynie przez pojedynczy okrągły wylot w podłodze salonu. Poniżej znajdował się niezabudowany gliniany piec na węgiel, do którego trzeba było dorzucać ręcznie. Należało przebudować całą piwnicę i wzmocnić ściany od wewnątrz, a także zamontować nowe ogrzewanie. Dach również wymagał wymiany. I jeszcze rynny, ramy okienne i framugi drzwi. Sufity. Kuchnia była urocza, ale bezużyteczna; służba urzędowała w niej tylko latem, przyrządzając sałatki z homara. Po obu nawietrznych stronach cedrowy gont wypaczył się, zbielał, a miejscami odpadł. Cenę kupna ustalono na czterdzieści tysięcy dolarów, a zaliczkę na minimum dwanaście tysięcy. Według Pieta to było stanowczo za dużo. Stojąc przy szerokim kamionkowym zlewie i kontemplując zimowy krajobraz (poprzecinane

rowami moczary, porośnięte głogami i olchami kolczaste wysepki, stalowoniebieski kanał, widoczny zza białych jak kupki soli wydm, i stromy brzeg oceanu), Angela przyznała mu w końcu rację. Cena była zbyt wysoka.

Myśląc teraz o domu, którego udało mu się nie kupić i z którego sprzedaży zyskał jako partner, konserwatysta Piet radował się z własnego gniazdka. Czuł wokół siebie nośną symetrię jego konstrukcji. Wyobraził sobie okrągłe buzie córek, śpiących spokojnie w tym bezpiecznym schronieniu. Napawał się widokiem pięknego, dojrzałego ciała żony.

Angela rozpięła naszyjnik z pereł i ściągnęła przez głowę czarną, wydekoltowaną sukienkę z dzianiny. Miękki materiał zaczepiał się o spinki, które miała we włosach. Podczas gdy usiłowała uwolnić głowę, światło lampy odbijało się zygzakami od jej nylonowej halki, tak naelektryzowanej, że całkiem przylegała do ciała. Kiedy się uniosła, odsłoniła górną część pończoch i podwiązki. Postać Angeli bez głowy była pełna, urocza, o płynnych liniach. Piet poczuł ukłucie miłości.

– Nie jesteś ze mną szczęśliwa – powiedział oskarżycielskim tonem.

Angela strzepnęła trzymaną w rękach sukienkę i spojrzała na niego z ukosa. Światło biurkowej lampy z pofałdowanym płóciennym kloszem rzucało nieregularne cienie na linię jej podbródka. Postarzała się. Jeszcze rok temu natychmiast odparłaby ten zarzut.

– Jak mam być szczęśliwa – spytała – jeśli flirtujesz z każdą napotkaną kobietą?

– Naprawdę tak robie?

– Oczywiście. Dobrze o tym wiesz. Wysokie czy niskie, stare czy młode, żadnej nie przepuścisz. Nawet żółtej Bernardette Ong. Ani biednej wstawionej Bei Guerin, która ma wystarczająco dużo własnych problemów.

– Wyglądałaś na całkiem zadowoloną, konferując cały wieczór z Freddyem Thorne'em.

– Nie możemy spędzać imprez z dala od siebie, Piet. Kiedy potem wracam do domu, czuję się podle. Nie podoba mi się sposób, w jaki żyjemy.

– Wolałabyś, żebyśmy spędzali je przytuleni do siebie? Powiedz mi – Piet zdjął koszulę i Angela odwróciła wzrok, żeby nie patrzeć na jego nagi, przypominający tarczę tors, na którym bursztynowe włosy układały się w herb w kształcie krzyża – o czym rozmawiacie z Freddyem tyle czasu? Siedzicie wciśnięci w kąt jak dzieci grające w kulki.

Piet zrobił krok do przodu, mrużąc zaczerwienione, zmęczone po imprezie oczy. Angela powstrzymała się, by się nie cofnąć, wiedząc, że jego groźna postawa oznacza ochotę na seks i że jest tak naprawdę prośbą, błaganiem. Sięgnęła pod halkę, żeby rozpiąć podwiązki. Ten delikatny gest rozbroił Pieta; zatrzymał się przed kominkiem, czując pod stopami chłód gładkich cegieł.

– To palant – podsumowała lekceważąco Freddy'ego Thorne'a. Głos miała zniżony, gdyż przyciskała brodę do piersi; między wyciągniętymi ramionami było widać ciemną fałdę biustu. – Ale porusza tematy, które interesują kobiety. Mówi o jedzeniu. Psychologii. Uzębieniu dzieci.

– O psychologii?

– Dzisiaj zastanawiał się nad tym, co my właściwie w sobie nawzajem widzimy.

– Kto?

– No wiesz. My. Pary.

– Freddy Thorne widzi we mnie jedynie darmowe drinki. A w tobie uroczy, tłuściutki tyłeczek.

Angela puściła ten komplement mimo uszu.

– Uważa, że stanowimy zamknięty krąg. Magiczną sferę postaci wypierających zewnętrzne ciemności. Powiedział mi, że jeśli w weekend się nie spotykamy, zaczyna się robić nerwowo. Twierdzi, że stworzyliśmy sobie własny kościół.

– To dlatego, że do żadnego nie należy.

– Tylko ty chodzisz do kościoła. Nie licząc katolików.

Jedynymi katolikami w ich kręgu towarzyskim byli Gallagherowie i Bernardette Ong. Constantinowie też, ale niepraktykującymi.

– To źródło – stwierdził Piet – mojej niezwyklej jurności. Świadomość grzechu wywołuje wzwód.

Miał na sobie już tylko spodnie w białe paski. Gwałtownie rzucił się do przodu, wsparł się na rozcapierzonych dłoniach o czerwonych knykciach i stanął do góry nogami. Wypreżonymi stopami sięgał do czubka swojego stożkowego cienia na suficie; żyły na jego szyi i przedramionach nabrzmiały. Angela odwróciła wzrok. Oglądała ten popis bardzo wiele razy. Piet zgrabnie opadł z powrotem na nogi. Milczenie żony wprawiło go w zakłopotanie.

– Chwalmy Pana! – zawołał i klasnął w dłonie, bijąc sobie sam brawo.

– Ciszej. Obudzisz dzieci.

– Dlaczego nie miałbym tego zrobić? Te małe pijawki zawsze mnie budzą. – Piet ukląkł i zaczął sunąć po podłodze w stronę łóżka. – Tatko, tatko, obudź się tatko. Czytałyśmy niedzielny dodatek do gazety. I wiesz co? Jackie Kennedy będzie miała dzidziusia!

– Jesteś okrutny – stwierdziła Angela, nie przestając metodycznie się rozbierać, rękami rozsuwając niewidoczne dla Pieta tkaniny. Otworzyła drzwi od szafy, by osłoniły ją przed wzrokiem męża. Kontynuowała spokojnie: – Jeszcze jedno, Freddy uważa, że nasze dzieci cierpią z tego powodu.

– Z jakiego powodu?

– Z powodu naszego życia towarzyskiego.

– Muszę mieć jakieś życie towarzyskie, jeśli ty odmawiasz mi seksu.

– Jeśli uważasz, że w ten sposób dotrzesz do kobiecego serca, to musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Piet nie znosił, kiedy mówiła do niego takim tonem. Przypominało mu to czasy sprzed ich związku, kiedy na co dzień karciała uczniów.

– Dlaczego dzieci nie miałyby cierpieć? Uważam, że powinny. Inaczej nie nauczą się, jak być dobrymi.

Piet czuł, że tylko w kwestii cierpienia wiedział więcej od niej i że bez niego Angela wychowałaby córki tak, jak sama została wychowana: przygotowując je do życia w święcie, który nie istnieje.

Angela miała zamiar odpowiadać mu z powagą i cierpliwością, aż zdenerwowanie minie.

– To pozytywne cierpienie – wytłumaczyła. – Zanedbujemy je tylko trochę, nawet tego nie zauważają. Nie napadamy otwarcie, jedynie robimy uniki. Na przykład Frankie Appleby to całkiem bystry chłopiec, ale marnuje się, będąc workiem treningowym dla Jonathana, małego Smitha. A musi z nim ciągle przebywać, ponieważ ich rodzice są zawsze razem.

– Do diabła. Mieszkamy w tym idiotycznym prowincjonalnym miasteczku głównie ze względu na dzieci.

– Ale to właśnie my się dobrze bawimy, a one są tylko na doczepkę. Wcale im się nie podobały wyprawy narciarskie zeszłej zimy; zawsze stały zziębnięte i ponure w kolejce do orczyka. Każdej niedzieli dziewczynki chciały się wybrać do muzeum, w którym byłoby miło i ciepło i gdzie można by obejrzeć wypchane ptaki. Ale musielibyśmy się tam udać jako rodzina, a w tym samym czasie nasi przyjaciele mogliby zrobić coś ekscytującego albo szalonego bez nas. Gdyby kochana Irene Saltz w końcu ich ze sobą nie zabrała, nigdy by nie poszły. Lubię ją. To jedyna osoba w naszym towarzystwie, której w jakiś sposób udało się zachować niezależność. Nie wpaść w to gówno.

– Ile dzisiaj wypijaś?

– Freddy nie dał mi się nagadać.

– To dupek – oznajmił Piet.

Chciał w jakiś sposób wyrazić swą dezaprobatę. Dręczony niesprecyzowanym, obeszładniającym poczuciem wykluczenia, skoczył ponad ceglany, wysłużony jak



uliczka w Delfcie paleniskiem i mocnym kopniakiem zatrzasnął drzwi od szafy Angeli, prawie ją przy tym trafiając. Jego żona była naga.

Piet także pozbył się już ubrania. Jego dłonie, stopy, głowa i genitalia wydawały się należeć do innego, znacznie większego mężczyzny, jak gdyby stwórca zauważył, że stygnące ciało jest zbyt małe, i zaaplikował na koniec dodatkowy zastrzyk plazmy, która niezgrabnie osiadła tylko w tych członkach. Piet nosił się jak człowiek świadomy wielkiego ciężaru, spoczywającego na jego barkach – plecy miał lekko pochylone, a wyrobione od używania narzędzi dłonie przykurczone.

Angela cofnęła się o krok i zamarła, osłaniając ręką piersi. Echo lata, świetlistoblady zarys kostiumu kąpielowego, kontrastował z barwą jej zadziwiająco obfitego sromu. Nieco luźna skóra na pochylonym do przodu brzuchu przypominała o przebytych ciężarach. Na mocnych, grubych udach Angeli było widać żyłki. Ale jej proste, wyciągnięte symetrycznie ramiona zdawały się należeć do młodej dziewczyny. Miała białe stopy o łukowatym sklepieniu i żaden z jej małych palców nie dotykał ziemi. Szyja, nadgarstki i trójkątne futerko wyglądały jak mechanizm zdolny do lotu. Ale podobnie jak Ewa na portalu, Angela kuliła się, zawstydzona, skamieniała. Zastygła w bezruchu. Jej niebieskie tęczęwki skupiały światło tuż przy powierzchni, jak u kota. Całym ciałem wyrażała niechęć. Piet nie miał odwagi jej dotknąć, chociaż na widok promienistej urody Angeli zasychało mu w ustach. Ich ciała były dla nich jak niewygodne, niemodne stroje. Piet poczuł na nogach chłodny powiew od kominka i nagle stał się świadomy świata istniejącego poza opuszczonymi ramionami Angeli. Czegoś nieskończonego, co napierało na stare szyby z pęcherzami powietrza i na cienkie szczeliny. Ciemność przesyconą bólem kiełkowania, w której migotały zawieszony szkielety Panny, Lwa i Bliźniąt.

- Brutal – powiedziała.
- Jesteś urocza – odparł.
- A to pech. Włożę koszulę nocną.

Pogrążeni w zgiełku światła i kolorów, Hanemowie przebrali się i wyczerpani wsunęli się, wzdychając, do łóżka.

Jak zwykle po imprezie, Piet nie mógł od razu zasnąć. W dzieciństwie nie uczestniczył w zbyt wielu, a teraz po każdej jeszcze długo czuł się podekscytowany, nabrzmiały. Zaczął się dotykać, żeby przywołać senność. Leżąc obok Angeli oddychała już równo. Utrzymywała, że nigdy nic jej się nie śni. Czule włożył dłoń pod przejrzysty materiał koszuli nocnej i pomasaował mocne i ciepłe, obojętne plecy żony. Miał nadzieję, że dotyk ten przeniknie do jej snu i stworzy w nim wir, płynącą baśń, którą sama sobie opowie, a potem przypomni rano. Angela będzie doliną, a on burzą piaskową. On będzie łagodnym lwem, zażywającym kąpieli w jej wodach. Ciężko mu było uwierzyć, że nigdy jej się nic nie śniło. Jak to w ogóle możliwe? On zawsze śnił. Na przykład wczoraj w nocy był pastorem odwiedzającym wiernych. Idąc przez pola, natknął się na wielopasmową autostradę. Przedostał się na znajdujący się pośrodku pas zieleni i zatrzymał tam na długi czas. W oczekiwaniu obserwował leżącą poniżej w dolinie wioskę. Z kominów chatek wydostawał się dym. Musi tam zawitać. Przeszedł na drugą stronę autostrady i z ulgą powitał pojawienie się policjanta, który nadjechał motorem i aresztował go, zwracając się do niego po niemiecku.

Przyjęcie zostało wydane przez Applebych na cześć tych, jak im tam, Whitmanów. Frank poznał tego Teda czy też Dana w Exeter albo na Harvardzie; Pietowi wydawało się, że spogląda w górę przez szyby szklarni na mleczne, stłumione światło. Odsunął od siebie wizję szklarni. Nie chciał jej pamiętać. To było urwisko.

Palce sztywne od starań, by dać żonie sen: dziecko na rzece, którą jest ona sama, Mojżesz na Nilu rankiem znaleziony w szeleszczącej trzcinie, egipskie służebnice, smukłe uda, pojedynczy kwiat lotosu, łatwe wejście. Seks częścią natury przed Chrystusem. *Brutal*. Suka.

Zajmuje trzy czwarte łóżka, jak gdyby wypełniła swoje obowiązki. Oddycha przez rozchyłone usta. Słowa wchodzą i wychodzą. Dziewice zapłodnione przez ucho. Powiedz mi jeszcze o psychologii. Dla odmiany znów dotknął siebie. Jak z wosku. Zwiędłe płatki kamelii. W młodości alabastrowa fujara. Na myśl o szparze albo kiedy w czasie lekcji słońce grzało uda, wstań i recytuj: „tam oddycha człowiek o martwej duszy”. Kulił się wśród nerwowych chichotów klasy. Dziewczyna w ławce obok nosiła cienkie płócienne bluzki, przez które prześwitywały ramiączka od stanika, a spod niezwykle krótkich rękawków było widać jej pachy. Ogolone. Vojt. Annabelle Vojt. Jeden mężczyzna, jedna Vojt. Swoboda holenderskich obyczajów. Wyszła za hodowcę drobiu spod Grand Rapids. Czubek jej języka cudowny: lekko kanciasty i zwinny. Po którejś zabawie pocałowała go głęboko w samochodzie zaparkowanym nad kamieniołomem. Wystrzelił w spodnie. Kiedyś intensywniej, przewód węższy, większa prędkość. Nie jego dziewczyna, satynowe majtki, jakby zapach torfu, szelest krynoliny, formalny taniec. W mgnieniu oka jej ciemny język wyzywająco pod jego językiem. Wiadomość rozbiegła się nerwami po ciele. O razu sztywny. Dotyk. Płatek jakby z wosku, otulony matowymi loczkami: obudź się. Alkohol. Złe, otepiałające świństwo. Spowalnia krew i zmniejsza napięcie mięśniowe. Obrócił się, ubił poduszkę i wyciągnął się na płask, próbując ułożyć się jak najlepiej w stosunku do niewidzialnego ziarnka, ziarnka świata – przeznaczenia. Odpręż się. Przypomnij sobie przyjęcie.

Twist. Płytę wybrał łysy Freddy Thorne z błyszczącym, wilgotnym uśmiechem. Pucułowaty. „Huff: kamaan nauu ewribuudii less Twist!”. Terapia, która sprawia, że wyglądają ordynarnie. Starzeją się i brzydzą, odwiedzając się nawzajem w swoich domach. Z kobiet tylko Carol tak naprawdę dawała sobie radę; robiła miednicą ruchy po ósemce, trzymając dłonie nieco z boku, jak delikatne noże. Przenosiła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, ciche stukanie, stopy w pończochach, wąskie, pociągające, uroda wątłej królowej piękności z liceum. Bliższa mu społecznie. Jej zgrabne ruchy, stopy w zapomnieniu, powieki elegancko półprzymknięte, co prawdopodobnie sprawia, że jak przez mgłę widzi podskakującego naprzeciwko Franka Appleby’ego. W ruchach jego bioder nie ma żadnej logiki. Zęby na zewnątrz, rzy ze śmiechu, dźwięki obnażone, brązowy oddech, nieprzyjemny rozprysk. Wszyscy poskręcani. Czarne, zabawne stopy mniejszego Smitha. Zaciśnięte z determinacją szczęki Georgene, jak przy drugim serwie. Angela – zbyt miękka, całkiem rozchwiana. Gallagher – podrygująca marionetka. Trzeźwy John Ong obserwował wszystko, uśmiechając się i paląc. Odwracał się do Pieta i wydawał wysokie, przyjazne dźwięki, które w tym hałasie zdawały się wyłącznie samogłoskami; Piet wiedział, że Koreańczyk był więcej wart niż ci wszyscy ludzie, stłoczeni razem, kołyszący się i trzęsący, ale nigdy nie był w stanie zrozumieć, co też on do niego mówi: „Który nigdy nie rzekł sobie”. Podeszła Bernadette, szeroka, płaska kobieta w dwóch wymiarach: pół Japonka, pół katoliczka z Baltimore. Twist? – spytała Piet. W zatłoczonym, trzęsącym się pokoju zabaw dzieci Applebich, o ścianach pomalowanych w różowe kaczuszki, Bernadette ciągle się o niego obijała, ocierała swoją jedwabistą płaskością, a między jej piersiami podskakiwał krzyżyk. Dotykała Pieta udami, nadgarstkami, żółte zagrożenie. „Łuffthuuu. Łauu”. Lepszy fokstrot. Robią z siebie idiotów, wyładowując energię i pocąc się, zaczyna się robić zbyt drobnomieszkańsko. Okna na stałe zamalowano. Ściany książek.

Odważny holenderski chłopiec Piet czuł, że nad jego przyjaciółmi zawisła chmura niebezpieczeństwa – tu, w tym miasteczku, gdzie został przyjęty do towarzystwa, ponieważ Angela była z rodziny Hamiltonów. Mężczyźni przestali robić kariery, a kobiety rodzić dzieci. Zostały miłość i alkohol. Tańczył z Beą Guerin do piosenki Connie Francis. Partnerka uwiesiła się na nim z pijacką bezwładnością, przez co rozboleła go szyja i noga. Piersi namiętnie przyciśnięte do jego koszuli; zdało mu się, że spytała go, dlaczego nie chce jej przelecieć. Nie był jednak pewien, czy powiedziała właśnie to, bo jej słowa zabrzmiały jak urywki holenderskich zdań: *fokker*, *in de fuik lopen*, które płynęły do niego z pokoiku za

szklarnią, w którym konferowali jego rodzice. Mały Piet, *Amerykaner*, nic nie rozumiał. Ale uwielbiał przebywać tam z nimi, w tym przegrzanym pomieszczeniu, i obserwować, jak ojciec upycha brudnymi, szerokimi kciukami mech, a blade palce matki, nawykłe do szydełkowania, owijają doniczki w folię i wbijają w ziemię zielone tabliczki z cenami. Po raz kolejny Piet ujrzał oczami dziecka szpulki papierowych wstążek, pudełka z kolorowym żwirem i kamykami do ozdabiania malutkich żywych obrazów, złożonych z kaktusów, fiołków, domków z porcelany oraz figurek zwierząt, którym od nosów odbijało się światło. Była też szuflada pełna kartek, z wypukłym srebrnym napisem HANEMA. Jego nazwisko, on sam, w nim uwięziony jego los, uformowany z liter: ma, men, amen, ha! Obok pokoju na zapleczu, gdzie matka ozdabiała doniczki, a ojciec zajmował się rachunkami, znajdowały się lodowate, pokryte rosą drzwi, za którymi leżały cięte róże i farbowane goździki, gdzie pochylały się urocze irysy i mieczyki, zakonserwowane i martwe. Piet napiął mięśnie i zmienił pozycję, wymazując z myśli szklarnię wspomnieniem imprezy.

Nowe małżeństwo. Wyglądali na osoby ceniące się, mające dla siebie sporą dozę szacunku, tak jak i mieczyki. Wysocy przybysze z Cambridge, elita. Denerwowali Pieta. Zaczynało się tu robić ciasno. Ted? Ken. Szybki uśmiech, ale i leniwa tęsknota, niewystarczająco ironiczne pragnienie, by zawsze mieć rację. Naukowiec, ale nie matematyk, jak Ong, czy ekspert od miniaturyzacji, jak Saltz. Biochemia. Tata nie miał zaufania do nawozów sztucznych, zwoził kurze łajno z ferm drobiu: „to moja własna ziemia ojczysta”. O dziwo, mówili na nią Foxy; czyżby panińskie nazwisko? Fairfox, Wirginia? Miała w sobie coś z południowca. Wysoka, włosy w kolorze dębiny i miodu, bez przerwy się rumieniła, jak gdyby miała gorączkę albo przebywała na ostrym wietrze. Wydawała się zdenerwowana i dwa razy zniknęła na dłuższą chwilę w łazience na piętrze. Kiedy po raz drugi schodziła po schodach, Piet, wyciągnięty poniżej w pozycji półleżącej, dojrzał koronkę wykańczającą jej pończochy. Płowe brzegi niktne w stożkowym cieniu. Zauważyła jego spojrzenie i zmarszczyła brwi. Oczy w kolorze bursztynu. W kolorze wyszczotkowanego brązowego futra o złotym połysku.

*Co mówiłaś, Beo? Chyba zaczynam głuchnąć.*

*Dobrze słyszałaś, kochanie. Muszę być już bardzo pijana. Wybacz mi.*

*Wspaniale tańczysz.*

*Nie nabijaj się ze mnie. Wiem, że nic dla ciebie nie znaczą. Masz Georgene, nie mogę się z nią równać. Jest cudowna. Świetnie gra w tenisa.*

*Pochlebcy. Naprawdę myślisz, że widuję Georgene?*

*Bez obaw – śpiewnie, zamglony wzrok utkwiony w przestrzeni – nie staraj się nawet zaprzeczać, ale Piet, Piet?*

*Tak? Jestem tutaj. Nie zmieniliśmy partnerów.*

*Nabijasz się ze mnie. To nieładnie, to ci nie przystoi. Piet?*

*Witam ponownie.*

*Byłabym dla ciebie miła. A kiedyś będziesz potrzebował przyjaznej ci osoby, ponieważ, tylko się nie gniewaj, otaczają cię nieżyczliwi ludzie.*

*Kto taki na przykład? Biedna Angela?*

*Jesteś na mnie zły. Cały się spiąłeś.*

*Nie.*

Odsunął się od niej, nie pozwalając, by dalej na nim bezwładnie zwiślała. Zachwiała się lekko, a potem stanęła wyprostowana, mrugając oczami, urażona. Piet ciągnął: *Zawsze tak jest, kiedy chcę być życzliwy dla pijanej osoby. W końcu to mi się dostaje po głowie.*

*Och!* – krzyknęła, wstrzymując oddech, jak gdyby ktoś ją uderzył. *A ja chciałam być taka miła.*

Po dwóch, trzech deszczach wapno schodziło ze ścian, ale po wojnie zakłady chemiczne wyprodukowały mieszanekę, która potrafiła przetrwać nawet do zimy. Wtedy było znacznie

mniej światła dziennego. Śniegi Michigan opatulają warstwami ściany z szyb, a wewnątrz szklarni rozbrzmiewała kołysanka złożona z dźwięków kapiącej wody oraz mruczenia i chrobotania w rurach. Były one tak zardzewiałe, że przypominały kolorem ziemię, po której się wiły, pośród drobnych koniczynek. Dziecko krzyknęło przez sen. Uczucie, jak gdyby ktoś cię dusił we śnie. Po głosie poznał, że to Nancy. Dziewczynka, która potrafiła wiązać buty w wieku lat trzech, po skończeniu pięciu zaczęła ssać kciuk i mówić o śmierci. „Nigdy nie dorosnę, i nigdy, przenigdy nie umrę”. Denerwowało to jej siostrę Ruth, która w listopadzie skończyła dziewięć lat. „Oczywiście, że umrzesz, tak jak wszyscy i wszystko, nawet drzewa”. Piet zastanawiał się, czy powinien zajrzeć do pokoju Nancy, ale okrzyk się nie powtórzył. Próznię jego nasłuchiwania zakłóciło rytmiczne popiskiwanie, jednostajne jak oddech. Wahadło odmierzające noc. Piet podarował Ruth na urodziny chomika; brzuchate zwierzątko o rudym futerku spało w dzień, a potem przez całą noc biegało w kołowrotku. Piet przysiągł sobie, że naoliwi kółko, a tymczasem próbował skoordynować oddech z dalekim odgłosem. Za szybko. Serce biło mu gwałtownie, zdawało się pęcznieć jak plecak, do którego nagle wtłoczono dwie myśli, jawiące się w mrokach nocy jako wyjątkowo nieprzyjemne: już wkrótce trzeba zacząć budować parterowe domy w Indian Hill, a Angela nie chce mieć więcej dzieci. Nigdy nie będzie miał syna. „Cyk-pik, cyk-pik, cyk-pik”. Spokojnie. Jutro niedziela.

Drogą koło domu przejechała ciężarówka. Piet podążył za nią w myślach, aż wszystko ucichło. Jako dziecko czerpał ukojenie z dźwięków nocnych pojazdów, samochodów i pociągów. Nadciągały, turkocząc i warcząc, na moment dźwięk był stały, a potem cichły na powrót, ignorując go i pozostawiając w spokoju. Pojazdy kontynuowały podróż do Chicago czy Detroit, Kalamazoo, Battle Creek albo w stronę śniegów, poprzecinanych tropami zwierząt z północnego półwyspu, gdzie można było przedostać się jedynie łodzią. Teraz stał w tym miejscu most. Piet wyobraził sobie siebie jako Supermana o stalowym torsie, nieuginającym się nawet pod kołami przejeżdżających po nim lokomotyw. Oddalające się gwizdy pociągów zdawały się jak narysowane ołówkiem o tak cienkim graficie, że powinien lada chwila pęknąć. W naturze nie istnieje coś takiego jak punkt, idealny okrąg, nieskończoność czy życie po śmierci. Ciężarówka zniknęła. Ale musi gdzieś być, na pewno. Musi. Jest gdzieś.

Ruch uliczny o tej porze, w tym zakątku Nowej Anglii, pomiędzy Plymouth i Quincy, pomiędzy Nun's Bay i Lacetown, był niewielki. Piet musiał odczekać dłuższą chwilę, by pojawiła się kolejna ciężarówka i ukołysała go do snu. Angela poruszyła się, robiąc leniwy unik przed jakąś przeszkodą na drodze snu, który oczekiwał swoich narodzin. Piet przypomniał sobie ostatni raz, kiedy się kochali, ponad tydzień wcześniej, jeszcze o innej porze roku, zimą. Mimo iż cierpliwie prześlizgiwał się po jej skórze, w oczekiwaniu, aż ożyje od wewnątrz, Angela straciła nadzieję na osiągnięcie orgazmu i poprosiła, by wziął ją i sam skończył. Po wszystkim wolno odwróciła się. Obejmując ją ramieniem, Piet niespodziewanie natknął się na smutnie naprężony wzdórek.

*Kochanie, masz twarde sutki.*

*Co z tego?*

*Jesteś podniecona, też mogłabyś dojść.*

*Nie sądzę. To tylko znaczy, że jestem oziębła.*

*Pozwól, bym cię zaspokoił ustami.*

*Nie. Jestem cała mokra tam.*

*Ale to ja, to moja mokrość.*

*Chcę spać.*

*Ale to smutne, że mimo wszystko podobało ci się, kiedy cię kochałem.*

*Nie uważam tego za takie smutne. Przecież przed nami jeszcze wiele nocy.*

Leżał wyciągnięty na plecach, jak miasteczko zawieszona na kościelnej iglicy. Na twarzy czuł lekki podmuch przeciągu, przenikającego jego przytulny dom. Obluzowane zimowe

okno, rozdarcie w folii wyścielającej strych, morderca otwierający drzwi. Przekreślił się na brzuch i szklarnia znów pojawiła się w jego myślach. Stoły przypominające wielkie drewniane tace, rośliny wypuszczające pąki, kwitnące, albo niesprzedane i gubiące liście. Jako dziecko żałował kwiatów, których nikt nie kupił, wdzięczących się do równomiernego, szarego światła, przenikającego przez szybki szklarni, z pełnymi nadziei koronami i dyskretnym zapachem. Uznał, że spośród obecnych na imprezie osób najchętniej zabrałby ze sobą do domu Beę Guerin. „Kochana Beo, oczywiście, że chciałbym cię pieprzyć. Jak mógłbym nie pożądać tego gorącego ciała, tak znużonego, drobnego, gościnnego. Jaką masz jaśniutką cerę. A teraz rozchyl nogi. Spokojnie. Ach”. Wilgoć i światło w szklarni były stałe i tak silne, że rosły tam też chwasty. Nawet kiedy bielutki śnieg pokrywał warstwami szyby, przywołując na myśl przekrój poprzeczny ze szkolnego podręcznika, wokół nóg stołów i zardzewiałych rur wyrastała znikąd koniczyna. Klepisko było pokryte warstwą mchu i niezmiennie wydzielalo zapach nieporównywalnego z niczym głębokiego spokoju. Zobaczył ich, matkę i ojca, *vader en moeder*, poruszających się ostrożnie w samym sercu świetlnych płaszczyzn. Ich ciała były przezroczyste. Umysł Pieta dotarł na skraj urwiska. Osunął się i zanurkował w otchłań. Trzymając członek w lewej dłoni, szukał w myślach wspomnienia imprezy, ale już go tam nie było.

Boże dopomóż, wydobądź mnie stąd. „Cyk-pik, cyk-pik”. Drogi Boże, spraw, żebym zasnął. Amen.

Złoty kurek obracał się wysoko nad Tarbox. Kościół kongregacyjny, grecka świątynia zwieńczona kopułą z iglicą, został wzniesiony na nierównym pagórku, gdzie kiedyś pasano owce. Sąsiedował z ogrodzeniem boiska do koszykówki i pawilonem o żeliwnej konstrukcji, wykorzystywanym jedynie podczas obchodów Dnia Pamięci, kiedy to wypełniały go krzyki modlących się, oraz w czasie świąt Bożego Narodzenia, gdy stawiano w nim żłóbek. Wznoszący się na wysokość trzydziestu pięciu metrów dom modlitwy, odnawiany w latach 1896 i 1939, był trzecim z kolei pełniącym tę funkcję budynkiem. Pierwszym był pokryty strzechą fort, z którego zachował się jedynie złoty kurek – pozostałość z czasów kolonialnych. W miejscu oka miał miedzianego angielskiego pensa. Detronizowany co jakiś czas przez huragany, pioruny albo przebudowy, zawsze wracał, podreperowany, na swoje miejsce. Obracał się na wietrze i odbijał promienie słońca, służąc rybakom na zatoce Massachusetts za punkt orientacyjny. Dzieci z miasteczka dorastały w przekonaniu, że ptak ten jest Bogiem. To znaczy, gdyby Bóg objawił się w Tarbox, przyjąłby postać niedostępnego, widocznego zewsząd kurka. A gdyby pens był prawdziwym okiem, to widziałyby wszystko, co rozciąga się poniżej jak żywa mapa. W centrum Tarbox znajdował się teren dawnych zakładów pończosznich, gdzie obecnie mieściła się fabryczka plastikowych zabawek, trzy tuziny sklepów, olbrzymi parking i setki domów z małymi ogródkami. Budynki pochodziły z różnych okresów. Można tam było odnaleźć siedemnastowieczne dwupiętrowe budowle, wzniesione wzdłuż wijących się, nieutwardzonych alejek przez pierwszych Kimballów, Sewellów, Tarboksów i Cogswellów. Nazwy ulic pochodziły od nazw cnót, które promieniały pośród zieleni. Można tam było też napotkać pokryte łuszczącą się farbą federalistyczne klocki z tarasami na dachu; bogate rezydencje wzniesione w czasach rozkwitu przemysłu tekstylnego; wąskie alejki z ceglany chatkami, zbudowanymi dla włóknarzy, których sprowadzano z Polski; mieszczańskie domy sprzed Wielkiego Kryzysu, z małymi gankami, wąskimi kominami i deskowaniem w kolorze musztardy, pietruszki, węgla i wina; nowe osiedla, podobne do pastelowych zębów, wgryzających się w las porastający odległe Indian Hill. W oddali majaczyły spletające się ze sobą żyły dróg, pasy nieużywanych torów kolejowych, rzeka, której woda była czysta aż do żółtego wodospadu przy fabryce, pole golfowe upstrzone piaskowymi wysepkami w kształcie fasolek, kilka uparcie stojących farm i szachownica sadów, lśniąca w słońcu mleczarnia na Nun's Bay Road, łąka, po której powoli

przesuwały się małe punkciki – galopujące konie – i rozległe tereny bagienne poprzecinane wyspami i zatoczkami. W słoneczne dni można było również dostrzec na horyzoncie rozciągające się na wschodzie morze, zeszpecone przez fioletową plamę, czyli sam koniec Cape Cod. Gdyby kurek raczył skierować pieniążek prosto w dół, zauważyłby z lotu ptaka głowy gromadzących się pod kościołem wiernych oraz czerwoną czupryną spóźnionego nieco Pieta Hanemy, spieszącego pod górę szarą ścieżką.

Wnętrze kościoła było całkowicie białe. Umiejętnie ozdobione drewno z powodzeniem naśladowało alabaster. Wdzięczne, okrągłe sklepienie wykończono gipsowymi podsufitami. Balkon cieszył oczy balustradą z doryckim kanelowaniem; biegła lekko, jak gdyby nic nie ważyła, wzdłuż boków świątyni i pod ozdobionymi malowidłami wiktoriańskimi organami w głębi. Stolarka starych ławek kościelnych nadal była godna podziwu. Za każdym razem, kiedy Piet wchodził do świątyni, myślał o cieślach, którzy ją wzniesli, oraz o tym, że odeszli, nie przekazawszy swoich umiejętności następnemu pokoleniu. Skierował się tam, gdzie zawsze, do tylnej ławki z lewej strony, i zatrzasnął za sobą drewniane drzwiczki. Usiadł samotnie na wytartej poduszce w kolorze wina (zbiórka funduszy na ich wymianę jeszcze trwała), mając do dyspozycji dwa jasnoniebieskie *Śpiewniki pielgrzyma*. Do ścianki ze starych desek sosnowych przykręcona była ohydna orzechowa półka na naczynia liturgiczne. Piet zawsze siadał sam. Jego znajomi nie chodzili do kościoła. Poprawił poduszkę i wybrał mniej zniszczony śpiewnik. Organistka, stara panna z Lacetown o jasnofioletowych włosach, przebrnęła przez preludium Bacha. Na początek wybrano hymn numer 195: *Chwała Panu*. Piet wstał i przyłączył się do śpiewu. Co jakiś czas wyławiał z chóru głosów swój własny, nieśmiały i lekko fałszujący, „...na tym ziemskim padole... niech na twarz aniołowie padają... i królehehem go obwołają”. Potem posłusznie usiadł i zaczął się modlić. W trakcie rozmowy z Bogiem jego umysł wkraczał na niepewny teren. Kiedy modlitwa odnosiła skutek, czuł się, jak gdyby był małym włochatym stworzonkiem, zwiniętym w kłębek i zimującym w najdalszym zakątku głębokiej norki. W tym stanie czuł bliskość ogromnej, ciepłej tajemnicy, przywodzącej na myśl serce z lawy w jądrze ziemi. Jego istnienie przez sekundę stawiało opór rozpadowi. Ale kościół zbyt go rozpraszał światłem i muzyką, by Piet mógł się skupić na modlitwie. Przestał zwracać uwagę na intonowane słowa i zaczął myśleć o domach, gdzie obecnie pracował. Potem przebiegł wzrokiem po twarzach i ciałach kobiet, które znał, rozmyślał przez chwilę o córkach i nagle przed oczami stanęli mu rodzice, tak niesprawiedliwie i niezmiennie martwi.

Zginęli o zmroku w wypadku na autostradzie, tydzień przed Bożym Narodzeniem, matka na miejscu, a ojciec trzy godziny później w szpitalu. Wracali do Grand Rapids ze spotkania stowarzyszenia farmerów Grange. Jeden z odcinków drogi numer 21 na ich trasie często bywa! oblodzony. W pobliżu płynęła rzeka. Zaczynał padać śnieg. Jadący z naprzeciwka lincoln wpadł w poślizg i zderzył się z nimi czołowo. Kierowca, chłopak z Ionia, wyszedł z wypadku zaledwie z kilkoma zadrapaniami. Z położenia, w jakim znajdowały się rozbite samochody, nie można było wywnioskować, kto wpadł w poślizg, ale Piet, dobrze wiedząc, że jego ojciec prowadził z podobnym skupieniem, z jakim sadił pelargonie, był pewien, że wina leżała po stronie chłopca. Miał jednak świadomość, że o zmroku gorzej widać, a jego ojciec już się starzał; być może na tym niebezpiecznym odcinku prostej drogi stracił na moment zdolność właściwej oceny i widząc zbliżające się z naprzeciwka światła i czując, jak koła lekko zbaczają, spanikował. Czyżby w spokojnym, dobroncznym ogrodniku, mającym równe rzędy sztucznych zębów, krótkie jasne rzęsy, i chodzącym ciężkim krokiem, kryła się śmiertelna odrobina braku rozsądku, która w tamtej chwili doszła do głosu, niszcząc dwa przykładowe życia? Na nic zdały się wytrwale gromadzone oszczędności, marzenia i cierpliwe czekanie, by zasadzone nasiona przyniosły owoce. Piet wyobraził sobie rozsypane na drodze odłamki szkła i sypiący śnieg, migoczący w kołujących światłach radiowozu. On sam studiował wówczas na drugim roku architektury na Uniwersytecie Michigan i chciał uzyskać

dypłom, ale po wypadku rodziców nie czuł się na siłach kontynuować nauki, za pożyczone pieniądze, na czyjejś łasce. Nie był w stanie pozbyć się uczucia bezustannego drżenia, jakie opanowało jego umysł. Pozwolił bratu Johanowi – Joopowi – tanio odkupić jego udział w szklarniach i zaciągnął się do wojska. Od wypadku rodziców ziemia, po której stąpał, stała się śliska. Poruszał się po powierzchni codziennych spraw w pozycji człowieka badającego kruchy lód, nasłuchującego ostrzegawczego odgłosu, pochylającego się, by wywierać jak najmniejszy ciężar.

– ...i wznosimy serca w modlitwie za tych, którzy umarli, którzy wraz z wypełnianiem się czasu odeszli na tamten świat...

Piet pomyślał z nadzieją o szczęśliwym życiu po śmierci, na jakie jego rodzice z pewnością zasłużyli. Wyobraził ich sobie jako małe, niewyraźne postaci wśród chmur. Mieli na sobie ubrania, w których zwykle pracowali w szklarni. Piet zdał sobie nagle sprawę, że jeśli rzeczywiście gdzieś nadal egzystowali, to byli mu obcy, oddaleni od ziemskich problemów, z których jednym był on sam – niemowlę, dziecko, chłopiec i wreszcie młody mężczyzna. *Kijk, daar is je vader. Pas op, Piet, die hond bijt. Naa kum, ucieka zimno.* „Zachowuj się uprzejmie i nie spotykaj się z dziewczętami, które wstydzilibyś się poślubić”. Myśli Pieta oddaliły się od śmierci rodziców i zaczęły krążyć wokół nieuchronności jego własnego zgonu. Białe, porządne deski i jasne wysokie okno, obok którego siedział, zdawały się temu przeczyć.

Piet dorastał w znacznie surowszej atmosferze Holenderskiego Kościoła reformowanego, pośród lakierowanej dębiny i ponurych witraży, oplatających nieruchomych pasterzy ołowianą siecią. Przeniósł się do tego siostrzanego Kościoła, łagodniejszej córki Kalwina, idąc na ugodę z Angelą, która była niewierząca. Piet zastanawiał się, co powstrzymywało go przed wkroczeniem w szeregi błogosławionych ateistów. Podejrzywał, że strach. Po wypadku rodziców stracił spokój. Zerwanie z wiarą wymaga odwagi, która w każdym człowieku stanowi pewnego rodzaju granicę, a ona zanikła u Pieta po nagłej śmierci ojca i matki. Ciało stało się dla niego nieco za ciasne, a na płaskiej twarzy bezustannie malowało się napięcie. Ponadto europejskie poczucie porządku zmuszało go do wprowadzenia własnych dzieci w świat chrześcijański. Teraz jego córka Ruth, o płaskiej, skupionej twarzy ojca i majestatycznym ciele matki, czego nie była jeszcze świadoma, śpiewała w dziecięcym chórze. Za każdym razem, gdy spoglądał w górę i widział, jak dziewczynka posłuszenie porusza ustami, jego krew wykrzykiwała: „O Panie”, a śmierć nakrywała go jak idealnie przezroczysty szklany talerz.

Organy grały coraz ciszej i po chwili melodia pieśni wykonywanej przez dziecięcy chór ustała. W ciszy kontynuowano serię szelestów i kaszlnięć. Przyszło sporo ludzi – Niedziela Palmowa. Piet wyciągnął szyję i uśmiechnął się, żeby Ruth go zauważyła, kiedy – jak się spodziewał – będzie przeszukiwać wzrokiem zgromadzonych w kościele wiernych. Dostrzegła go, również się uśmiechnęła, a potem zarumieniła się i utkwiała wzrok w kolanach. W Nancy jego męskość wywoływała przestrasz, natomiast Ruth tylko zawstydziała. Mężczyźni z tacami przemaszerowali nierównym krokiem przez czerwony dywan. Przejście przez most. Wibracje. Witając ich, pastor rozłożył ramiona szeroko jak anielskie skrzydła. Złote tacki zostały złożone jedne na drugich. Hymn: „Wspinamy się po drabinie Jakubowej”. Stojąc pośród śpiewających jak niewolnicy Jankesów, Piet omal nie zapłakał, choć wiedział, że Holenderski Kościół Reformowany nigdy by się na to nie poważył. „Grzeszniku, kochasz Jezusa Pana twego?”. Abolicjonizm. Dzieci światła. „Każdy szczebel niesie nas wyżej, wyżej...”. Dwóch z czwórki zbierających datki mężczyzn wsunęło się do ławki naprzeciwko Pieta. Jeden z nich miał uszy satyra, zarośnięte w środku kręconymi włoskami; jego kark pokrywały krzyżujące się linie, podkreślające upływ czasu blizny po ospie. Minuty. Meteory. Bombardują nas. Rozpoczęło się kazanie.

Wielebny Horace Pedrick był kościstym tępakiem około sześćdziesiątki. Ciągłe roily mu

się wielkie pieniądze. On sam nigdy nie miał ich za wiele. Urodził się w Maine, w biednej rybackiej rodzinie. Po dwóch kolejnych bankructwach założonych przez siebie firm postanowił wstąpić do stanu duchownego, w obawie przed popadnięciem w całkowite ubóstwo. Zbyt stary i nieśmiały, by prowadzić kościół w mieście, zmęczony kolejnymi pięcioletnimi okresami ciułania w miasteczkach Nowej Anglii, Pedrick wyobrażał sobie, że jego trzódka składa się wyłącznie z pragmatycznych ludzi interesu, których działania odznaczają się rozmachem i naturalną efektywnością. Stojąc na ambonie, z siwymi, sterczącymi do góry włosami, zdawał się ze wszystkich sił odpierać drwiny. Jego kazania były przepełnione wygibasami myślowymi, wprawiającymi jego ciało w drżenie i polegającymi na przekazywaniu starych prawd chrześcijaństwa za pomocą terminologii finansowej.

„Pan Jezus”, tak brzmiało jedno z jego ulubionych powiedzeń „pan Jezus nie żąda, byśmy inwestowali, nie mając szans na zysk. Nie przychodzi do nas, mówiąc «Tu masz kapitał do spekulacji. Kupuj po osiem i jedna ósma, a w ziemi obiecanej sprzedasz za sto». Nie. On ofiarowuje nam zabezpieczenie tu i teraz, cztery i pół procent, które zwiększa się co kwartał! Zdaję sobie sprawę, że mówię do ludzi stąpających twardo po ziemi, biznesmenów, którzy podejmują decyzje mające dalekosieżne skutki w bezlitosnym świecie poza murami tej świątyni...”.

Piet zaczął się zastanawiać, czy siedzący przed nim mężczyzna usuwał włoski, które wyrastały mu z uszu. Miał fryzurę na żywopłot, pospiesznie przyciętą golarką elektryczną. Piet podniósł palce do nosa i poczuł łaskotanie; powstrzymał się, by nie kichnąć. Zaczął się przyglądać wiszącemu nad ołtarzem złożonemu krzyżowi, zastanawiając się, czy Freddy Thorne miał rację, mówiąc, że Jezus został umęczony na krzyżu w kształcie litery X i że Kościół musiał zafałszować historię ze względu na nieskromność tej pozycji. Chrystus miał genitalia. Niewiele wiadomo na temat Jego inicjacji seksualnej, czy Biblia w ogóle coś o tym wspomina? Niezbyt prawdopodobne, dwunastoletni semiccy chłopcy, wiejska kultura, sodomia, część natury, łatwy dostęp, egipski lotos. W Afryce kopulują na polu, w czasie pracy – łyk wody. To zabawne, jak przejrzyste staje się spojrzenie zaspokojonej kobiety. Genitalia Chrystusa semickie, ale świetliste powietrze zgromadzone pod sufitem Jego spojrzeniem. Piet obawiał się Freddy’ego Thorne’a i jego wilczego apetytu na brudy. Mimo to sam pozwolił mu się skrępować, stał się jego zakładnikiem, zrobił przed nim orzełka, udostępnił czerwony wilgotny otworek. Wszechwiedzący błysk w oku Freddy’ego. Piet przyglądał się, jak ostrzyżona głowa, osadzona na szyi pokrytej krzyżykami zmarszczek, obróciła się, a otwór uszny przemienił się w okrągłe, brązowe oko. W kazaniu Pedricka gałązki palmowe rzucone Jezusowi pod stopy oznaczały pliki zielonych, a kradzież żrebaka stanowiła podstawę do pełnego niepokoju wyводу na temat prawa własności. Pedrick podjął walkę, ale ostatecznie nie pojednał się ze sobą. Jak niefrasobliwy jest Bóg, jak beztroski; ten nieoczekiwany wniosek ożywił Pieta.

– Tak więc, drodzy panowie, możecie wierzyć lub nie, ale istnieje coś nieskończenie ważniejszego niż pieniądze: potęga, która z lekceważeniem patrzy na bogactwo, która przyjmuje buteleczkę drogiej maści, nie dbając o cenę, która bez wahania wywraca do góry nogami rachunki poważnych bankierów i biznesmenów, jakimi i wy jesteście. Niechaj nam będzie dane ujrzeć światło i hosannami zaprosić tę potęgę do naszych serc. Amen.

Zaśpiewali: „Unieście głowy, potężne bramy”, a potem usiedli, żeby się pomodlić. Modlitwa i masturbacja już od tak dawna łączyły się w zwyczajach Pieta, że słysząc błogosławieństwo, wyobraził sobie swoją kochankę nago. Światło słoneczne odbijało się od skóry między jej piersiami, podbródek miała sztywno przygięty, a nieco wyłupiaste zielone oczy wpatrzone były w niego; przejrzyste spojrzenie. Piet zaczął przeciskać się do wyjścia między rzędami ławek. Erotyczne ciepło emanowało z jego słów, kiedy pozdrawiał mijanych ludzi, kiwające głowami i tarasujące przejście starsze panie. Znalazł się w pachnącym



wilgotną tapetą przedsionku, odpowiedział na kurczowy uścisk twardej dłoni Pedricka i wyszedł w końcu na powietrze.

Przy drzwiach starannie uczesany chłopiec w sztruksowych szortach wręczył Pietowi liść palmowy.

W oczekiwaniu na córkę oparł się o ciepłą białą kolumnę. W dłoni trzymał liść. Pogoda była nieopisanie sentymentalna. W powietrzu rozchodził się delikatny zapach popiołu i żywicy, cienie miały koronkowe kształty, drzewa kiwały bezlistnymi gałęziami, a oszalone, rozsiane na nierównym trawniku domki przybrały w słońcu kredowy kolor. Pomalowany na zielono metalowy pawilon pogłębiał osobliwe wrażenie przebywania na planie filmowym. Niebo zdawało się powleczone warstwami niebieskiej emalii w różnych odcieniach. Wysoko w górze zawisa mewa, z łapkami zadartymi jak dwa haczyki, trzymana nieruchomo przez prąd powietrzny. Jej sylwetka wyraźnie rysowała się na ciemnym tle, gęstniejącym wokół końców skrzydeł. Każdy kamyczek, kępka trawy, odcisk buta, rowek wypłukany przez deszcz koło kościelnego ganku miał idealny południowy cień. Piet wychował się w domu, w którym posiadanie dóbr materialnych było czymś zupełnie nieistotnym. Jednakże po dziesięciu latach mieszkania w Tarbox nauczył się kochać tę okolicę. Każdy skrawek ziemi miał tutaj wartość. Gallagher często mówił, że nie sprzedawali domów, tylko widoki. Piet spojrzął w dół, w kierunku dzielnicy handlowej, ograniczonej przez Divinity Street i Charity Street, które łączyły się ze sobą przy drogerii Cogswella i zakręcały w prawo pod górę. Nagle zauważył biały punkt, który z jakiegoś powodu przyciągnął jego uwagę. Kto to mógł być? Wiedział, że to ktoś znajomy. Postać w kapeluszu z woalką poruszała się z płynną sztywnością panny młodej. Biel stanowiła osobliwy widok na początku roku, kiedy pączkowały srebrzyste klony. Być może tak jak i Piet kobieta ta pochodziła z innej części kraju, gdzie wiosna zjawiała się wcześniej. W dłoni obleczonej w długą rękawiczkę trzymała czarny śpiewnik, a jej różowa twarz miała bardzo ostry odcień, jak gdyby powlekła się rumieńcem. Nagle sobie przypomniał. Nowo przybyła. Whitman. Najwyraźniej należała do Kościoła Episkopalnego. Miał on siedzibę w pozbawionej wieży budowli z polnych kamieni i był usytuowany nieco poniżej. Pani Whitman podeszła szybkim krokiem do czarnego mg zaparkowanego przy skwerze, daleko od kościoła. Być może tak jak i Piet zawsze spóźniała się na mszę. Lekka pogarda. Nie zdając sobie sprawy z tego, że jest obserwowana, pani Whitman wsiadła do samochodu z teatralnym wdziękiem, jednym ruchem podciągając spódnicę, opadając na siedzenie i zatraskując drzwi. Ostry dźwięk, towarzyszący tej ekspresyjnej scenie, dotarł do Pieta chwilę później. Potem dobiegł go warkot silnika. Przenosząc ciężar na zewnątrz koła, samochód okrążył kamienną wysepkę i pani Whitman ruszyła w stronę domu na marszach. Większość kobiet, które znał Piet, miała kombi. Angela jeździła peugeotem. Piet podniósł głowę do góry, by ponownie spojrzeć na znajdujące się w zenicie słońce. Nieruchoma mewa zniknęła. Błękitny ogień powyżej – światło gwiazd pochłaniane warstwa po warstwie – rozcinała powoli zanikająca smuga, pozostawiona przez odrzutowiec. Piet zamknął oczy i wyobraził sobie, jak wzbierają w nim żywotne soki. Obmywały go popioły. Kredowe ciepło. Przyjemny smak panny młodej. Nagle na zwieszanej luźno dłoni, trzymającej liść palmy na cześć wjazdu Jezusa do Jerozolimy, Piet poczuł nieśmiały dotyk niechcącej go budzić starszej córki.

Foxy czuła, że przyjęcie, na które zostali zaproszeni, zbyt się przeciąga. Panowie rozmawiali o obligacjach, wypadach narciarskich i planach podpisania przez miasto umowy z MBTA<sup>1</sup> w celu wznowienia połączeń kolejowych. Ken, który jeździł do Uniwersytetu Bostońskiego samochodem, siedział z wyrazem niesmaku i znudzenia na twarzy. Oparł kostkę na kolanie i uważnie przyglądał się splotom sznurówek, jak gdyby kryły one klucz do

---

1 Massachusetts Bay Transportation Authority, MBTA; Zarząd Transportu Zatoki Massachusetts (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

rozwiązania skomplikowanego zagadnienia naukowego. W pewnym momencie gospodyni, Bea Guerin, nieśmiało zaprosiła ich na obiad.

– Przyjdźcie, proszę. Możecie przynieść coś do picia, jeśli macie ochotę, ale będzie wino.

Guerinowie mieszkali na Prudence Street w starym dwupiętrowym domu, którego drewniane belki i główny piec pochodziły z roku 1680. Budynek został starannie wyremontowany za naprawdę duże pieniądze i według Foxy panowała w nim atmosfera niespokojnej surowości. Do tej pory zawsze identyfikowała się z bezdziejnymi parami, które pielęgnowały swoje eleganckie meble.

W końcu całe towarzystwo odstawiło drinki i wstało, by przenieść się do jadalni. Z salonu przechodziło się do niej korytarzem o niskim suficie, wyłożonym lakierowanym drewnem. Na imitacji szewskiej ławki spoczywały tam płaszcze i kapelusze, wyglądające jak nieproszeni goście. Foxy odniosła wrażenie, że ten zestaw par – Guerinowie, Smithowie (których wszyscy nazywali mniejszymi Smithami), Thorne’owie, oraz Frank i Marcia Appleby – stanowili sympatyczniejszą część małej społeczności, która dążyła do wciągnięcia jej i Kena w swoje szeregi. Chcąc się odprężyć, wypiła stanowczo za dużo. Pod wpływem nalegań bezustannie marszczącej brwi Bei wychyliła dwie szklaneczki martini, a potem, przyjmując fałszywą pozę rozbawionej dziewczynki, zgodziła się, by nalano jej jeszcze jedną. Czując, że robi jej się niedobrze, udała się do kuchni, by rozcieńczyć wermut. Tam szeptem wyznała gospodyni swoją tajemnicę; głupie, dziecinne posunięcie, które rozgniewałoby Kena, ale Foxy uznała, że w tym towarzystwie spodziewano się po niej właśnie czegoś takiego. „To wspaniale”, powiedziała Bea Guerin pospiesznie, matowym głosem i położyła jej drżącą dłoń na ramieniu. Aż do tej chwili to Foxy zdawała się mocniejszą osobowością. Lekko pijana, rzucająca obronne żarciki, Bea miała na sobie nieco nazbyt skąpą, czerwoną empirową sukienkę z aksamitu, ozdobioną pod biustem miękko opadającą kokardą, którą Foxy – na jej miejscu – natychmiast by obciąła. Teraz zmieniła się w zdecydowanie dojrzałą kobietę – fachowo wylała martini do zlewu, przytrzymując cytrynę palcem, a potem nalała Foxy odrobinę wytrawnego wermutu. Nawet nie udawaj, że pijesz, jeśli nie masz na to ochoty. Nasz piekarnik jest dość dziwny. Zamontowaliśmy go w starym piecu i wiatr wpadający do komina ciągle gasi płomień zapalarki. To dlatego jagnięcina tak długo się piecze i wszystko jest opóźnione. Foxy podobało się to, że Bea sama gotowała, chociaż nie wychodziło jej to najlepiej, a przecież w każdej chwili mogłaby zatrudnić kogoś do pomocy. Ostatecznie Roger miał tyle pieniędzy, że nawet znajomi opowiadali dowcipy o jego bogactwie. Nie starał się jednak stwarzać pozorów tego, że pracuje, i do Bostonu jeździł przede wszystkim, by zjeść lunch i pograć w squasha. Janet Appleby powiedziała Foxy, że jednym z powodów, dla których ona i jej przyjaciele tak uwielbiali Tarbox, był fakt, iż nie istniały tam country cluby, a ludzie nie zatrudniali służby. Proste życie jest o wiele większym luksusem. Bea otworzyła piekarnik i ostrożnie zajrzała do środka, a potem zamknęła go pospiesznie w udawanym wesoło przestרחu. Na jej przedramieniu widniał niebiesko-fioletowy ślad, który mógł być siniakiem. Kiedy się śmiała, odsłaniała uroczą szparę między przednimi zębami. Jesteś taka cudowna, kochanie. Tak bardzo ci zazdroszczę. Jej dłoń była mokra od wylanego drinka. Foxy opuściła kuchnię, nadal czując niepokój.

Kwiecień był drugim miesiącem jej ciąży. Sądziła, że do tego czasu mdłości powinny już się skończyć. Czowała się urażona sygnałami sprzeciwu pochodzącymi z jej wnętrza. Od dawna chciała zająć się ciążą i miała żal do męża, że tak długo odkładał ten moment, by móc rozwijać karierę. Teraz dwudziestoosmioletnia Foxy zastanawiała się, czy ciało młodszej kobiety nie byłoby odporniejsze na trudy i zachodzące w nim zmiany. Przypuszczała, że kilka lat wcześniej przypominałoby raczej rozwijający się kwiat, krokusa przebijającego się przez śnieg.

Chybotliwe światło świec wprawiało długi, nakryty haftowanym obrusem stół w ruch. Foxy miała się na baczności; odnosiła wrażenie, że jej żołądek lewituje nad tym parującym

miniaturowym miastem z porcelany, kieliszków i sztućców, których srebrne końce odbijały pomarańczowe światło. Przy każdym nakryciu znajdowała się kartka z nazwiskiem, wypisanym schludnym, zaokrąglonym charakterem pisma. Roger Guerin posadził ją na wyznaczonym miejscu, ruchem nieco zbyt stanowczym i precyzyjnym. Foxy chciała, by obchodzono się z nią delikatnie, płynnie. Wiedziała jednak, że jakiś czas temu niechęć obraziła Rogera. Całe zajście było nieporozumieniem, ale tak czy inaczej została za nie obwiniona. Stąd ten nieprzyjazny dotyk. Ciepłe opary z wazy z rosółem dotarły do jej nozdrzy i przywróciły równowagę. Na powierzchni zupy spokojnie jak płód unosił się plasterk cytryny. Foxy instynktownie czekała na rozpoczęcie modlitwy. Zamiast tego zaległo pełne dezaprobaty milczenie, krótka cisza, w czasie której wszyscy wstrzymali oddech. Potem łyżka Bei spokojnie zanurzyła się w rosole i napięcie prysło, obiad się rozpoczął.

– Co sądzisz o domu, który kupiliście od Robinsonów? – spytał siedzący po jej prawej Roger. – Jesteście z niego zadowoleni?

Smagły gospodarz, o długich, żółtobrązowych paznokciach, wyglądał na znacznie starszego, niż był w rzeczywistości; co chwila ściągał brwi, co sprawiało, że cała jego twarz zmieniała wyraz. Miał najmniejsze usta, jakie kiedykolwiek Foxy widziała u mężczyzny. Przypominały stopę ślimaka.

– Dosyć. Jest raczej prymitywny, ale tym lepiej dla nas.

– Prymitywny? – spytał siedzący po jej prawej łysy dentysta Thorne. – Wy tłumacz mi, co masz na myśli.

Zupa była dobra, klarowna, ale jednocześnie pożywna, posypana pietruszką i z delikatnym posmakiem sherry. Foxy miała ochotę się nią delektować; ostatnio bardzo rzadko smakowało jej jedzenie.

– Po prostu jest prymitywny – odparła. – To stary letni dom. Niewystarczająco ocieplony. Kupiliśmy grzejniki elektryczne do sypialni i kuchni, ale tylko nas przypiekają. Powinniście zobaczyć, jak rano podskakujemy, przypomina to taniec ludowy. Bardzo się cieszę, że teraz nie mamy jeszcze dzieci.

Przy stole zapadła cisza, wszyscy słuchali Foxy. Zapędziła się i powiedziała więcej, niż miała zamiar. Zarumieniła się i spojrzała w płytką głębię żółtego płynu, na którego powierzchni cytryna unosiła się jak płód.

– Rozumiem – ciągnął Freddy Thorne – co oznacza słowo „prymitywny”. Chciałem, żebyś wytłumaczyła, dlaczego to tym lepiej dla was.

– Po prostu uważam, że przeciwności losu kształtują charakter. Nie sądzisz?

– Zdefiniuj „charakter”.

– Zdefiniuj „zdefiniuj”.

Foxy uznała jego sokratyczne dręczenie za chwyt, metodę postępowania, którą Freddy wykształcił w relacjach z kobietami, żeby je prowokować i zbijać z tropu. Po każdym wypowiedzianym zdaniu zasysał rybim ruchem wargi, jak gdyby demonstrował, w jaki sposób chwycić przynętę. W jego ustach nie było widać zębów. Wargi czekały lekko rozchylone, żeby ją między siebie wciągnąć. Nie były to usta mężczyzny ani kobiety, nie wyglądały też, jak gdyby należały do dziecka. Miał mały nos. Oczy Freddy'ego zasłaniały grube szkła, w których tańczyło drżące światło świec. Jego włosy może i były kiedyś brązowe albo w kolorze piaskowym, ale teraz głowę porastał mu bezbarwny meszek, gromadzący się nad uszami w postaci półkolistych cieni. Jak wszystkie łyse głowy, i ta świeciła dumnie. Odstępując Freddy zachowywał się z natarczywą swobodą bardzo przystojnego mężczyzny.

Siedzący po drugiej stronie stołu Smith usłyszał jej odpowiedź.

– Daj mu popalić dziewczyno! – poparł ją i zaraz dodał, jak gdyby celem wyjaśnienia: – *Le donnez-lui*. – Był to najwyraźniej greps, rodzaj językowego tiku.

Do rozmowy wtrącił się Roger Guerin. Foxy czuła, że w towarzystwie tych aroganckich

ludzi pozwalał sobie na nieprzestrzeganie zasad dobrego wychowania.

– Zatrudniłście już jakiegoś wykonawcę? – spytał.

– Nie. Jedyne, jakiego w ogóle znamy, to partner człowieka, który sprzedał nam dom. Piet...?

– Piet Hanema – zawołała nad głową Freddy’ego Thorne’a kobieta o nazwisku Smith i wychyliła się, żeby ją było lepiej widać. Była to drobna brunetka, spięta, z prostym przedziałkiem i dyndającymi kolczykami, które migotały do siebie z obu stron jej twarzy.

– Rymuje się z „mit”.

– I ze „wstyd” – dorzucił Freddy Thorne.

– Znacie go? – spytała Foxy.

Wszyscy przy stole wybuchnęli śmiechem.

– To największy neurotyk w mieście – wyjaśnił Freddy Thorne. – Dziesięć lat temu rodzice osierocili go, ginąc w wypadku samochodowym, a on do tej pory ugania się po mieście, podszczypując babki, jak gdyby czas się zatrzymał. Na miłość boską, nie zatrudniajcie go. Będzie pracował bardzo wolno i słono sobie policzy. A właściwie nie on, tylko jego partner, ten krętacz Gallagher.

– Freddy – upomniała go żona, niska, zdrowo wyglądająca kobieta o gładkim, pokrytym piegami podbródku i wąskim, orlim nosie. Przydzielono jej miejsce naprzeciwko Foxy.

– Nie bądź niesprawiedliwy – zawołał Frank Appleby z drugiego końca stołu, ponad głową Marcii, mniejszej Smith. Mówiąc, obnażał zęby i dziąsła i pluł kropelkami śliny, które rozbłyskiwały w świetle świec. Często czerwienił się na twarzy, a oczy nabiegały mu krwią. Miał duże, kształtne dłonie. Foxy lubiła Franka, wyczuwała w jego dowcipach ukrytą sympatię. – Sądziłem, że na ostatnim zebraniu mieszkańców miasta przegłosowaliśmy, że największym neurotykiem w Tarbox jest komendant straży pożarnej. Trzeba się było odezwać, jeśli chciałeś wysunąć inną kandydaturę. – Frank odwrócił się do Foxy. – Nazywa się Buzz Kappiotis i jest jednym z tych miejscowych Greków, których wujowie są właścicielami miasta. Jego żona prowadzi Nadzwyczajną Pralnię. Sama też jest całkiem nadzwyczajna, jeszcze grubsza niż Janet. – Żona pokazała mu język. – Kappiotis patologicznie boi się przekraczać dozwoloną prędkość i krzyczy za każdym razem, kiedy wóz strażacki wchodzi w zakręt.

Harold, mniejszy Smith, przysłuchiwał się z zadartym nosem, eksponując swój wścibski, lśniący, podwójny czubek.

– Kappiotis boi się też wysokości, gorąca, wody i psów – powiedział. – *L'eau et les chiens*.

– Zęby ubezpieczyć w tym mieście dom – ciągnął Appleby – trzeba oddać agencji Liberty Mutual połowę zarobków.

– Za każdym razem, kiedy zaczyna wyc syrena, wszystkie dzieci biegną na miejsce pożaru z popcornem i cukierkami – dodał mniejszy Smith.

Roger Guerin odwrócił się do Foxy.

– To prawda – potwierdził. – Stawki w Tarbox są najwyższe w całym hrabstwie Plymouth. Ale ostatecznie jest tu wiele starych, drewnianych domów.

– Wasz jest pięknie odrestaurowany – stwierdziła Foxy.

– Jedyne z mebli nie jesteśmy zbyt zadowoleni. Prawdę mówiąc, wykonawcą był Piet Hanema.

Na upudrowanej twarzy Janet Appleby (o przycernionych powiekach i fioletowych ustach) pojawił się wyraz poirytowania. Podskoczyła na swoim miejscu, między Kenem a mniejszym Smithem.

– I ten alarm! – wykrzyknęła i pochyliła się w stronę Foxy, zanurzając czubki piersi w kremowym świetle świec. – Na bagnach go nie słyhać, ale my mieszkamy po drugiej stronie rzeki, i to po prostu najstraszliwszy dźwięk, jaki może usłyszeć w mieście. Dzieci z Tarbox nazywają go Zdychającą Krową.

– Uzależniliśmy się od aukcji – mówił dalej Roger Guerin.

Z kształtu jego głowy Foxy wywnioskowała, że jego przodkowie pochodzili raczej ze Szwajcarii niż z Francji. Freddy Thorne szturchnął ją w bok.

– Rogerowi wydaje się, że aukcje są jak gra w monopol. Wszędzie w New Hampshire i na Rhode Island znają go jako Szalonego Licytanta z Tarbox. Komody, komódki, kredensy. Odbiło mu na punkcie komód.

– Freddy przesadza – powiedział Roger.

– Roger jest koneserem – zawołała Bea z drugiego końca stołu.

– Mówiono mi, że to się inaczej nazywa – Harold, mniejszy Smith, zwrócił się do Janet.

– Co ci mówiono, mój drogi? – spytała Janet.

Harold zanurzył palce w kieliszku z wodą i prysnął Janet w twarz; na jej nagich ramionach pojawiły się trzy lub cztery krople, w których odbijało się światło.

– *Femme méchante* – powiedział.

Frank Appleby zwrócił się do Kena i Foxy.

– Określenie, jakiego używają dzieci, kiedy włącza się alarm, w łagodniejszej wersji brzmi: „Pan Bóg puszcza bąka”.

– Dzieci opowiadają sobie w szkole okropne dowcipy. Kiedyś Jonathan przyszedł i powiedział: „Mamo, w Massachusetts są dwa miasta nazwane na cześć gubernatora. Jedno to Peabody. Jakie jest drugie?”

– Marblehead – dokończyła Janet. – Frankie uznał, że to najśmieszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszał.

Bea Guerin i milcząca żona Freddy’ego Thorne’a wstały i zaczęły zbierać talerze. Foxy nie zdążyła dokończyć zupy. Pani Thorne spojrzała na nią z uprzejmym wahaniem, ale Foxy odłożyła łyżkę i złożyła ręce na kolanach. Zupa zniknęła. Bardzo dziękuję. Bea okrążyła stół.

– Moją ulubioną osobą w mieście jest starsza pani, która kolekcjonuje numery „National Geographic” – rzuciła śpiewnie.

Mniejszy Smith spojrzał w stronę Kena, który nie odezwał się jeszcze ani słowem. Czubek nosa Harolda, oświetlony blaskiem świec, przywodził na myśl coś diabolicznego, rozszczepioną stopę.

– Frank mówił mi, że jesteś geografem czy geologiem.

– Biochemikiem – uściślił Ken.

– Powinien poznać Bena Saltza – powiedziała Janet.

– Los gorszy od śmierci – rzekł Freddy Thorne. – Wybaczcie mi mój antysemityzm.

– „National Geographic”? – spytała Foxy poprzez światło świec.

– Ma wszystkie numery – wyjaśniła żona mniejszego Smitha, pochylając się nie w stronę Foxy, ale do siedzącego po drugiej stronie stołu Kena. Foxy ujrzała ją z profilu, z wyzywająco cofniętą dolną wargą i kolczykiem kręcącym się przy policzku jak malutka maszynka. Ken roześmiał się nagle, chłopięco, piskliwie i przesadnie głośno. Kiedy byli sami, rzadko się śmiał.

Pozostali goście dorzucili swoje trzy grosze do opowieści o staruszce. Była ostatnią z rodu Tarboksów i mieszkała w jednocy dwupokojowym mieszkaniu w dużym domu przy Divinity Street, niedaleko straży pożarnej. Ta wiktoriańska budowla stała wciśnięta między rzędy sklepów, po przekątnej od poczty i gabinetu Freddy’ego. Ojciec starszej pani, właściciel zakładów pończoszniczych, które obecnie produkowały gumowe kaczuszki do kąpieli i gryzaki, był jednym z pierwszych prenumeratorów czasopisma „National Geographic”. Kolejne egzemplarze były starannie układane pod ścianą – dwanaście każdego roku, począwszy od 1888.

– Inżynier miasta – poinformował wszystkich Frank Appleby – obliczył, że wraz z pojawieniem się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku numeru październikowego starsza pani zostanie zgnieciona na śmierć.

– Jak bohater opowiadania Poe’go – powiedział mniejszy Smith i zwrócił się do żony: – Jak ono się nazywało, Marcio? *Studnia i wahadło*?

– Pomyliło ci się z *Zagładą domu Usherów*, Haroldzie – odparła.

– *Non, non*, ty jesteś pomyłona – powiedział mniejszy Smith i Foxy poczuła, że gdyby nie dzielił ich stół, rzuciliby się na siebie z pazurami. – Było też opowiadanie o ścianach, które zgniatały ludzi.

– W telewizji ciągle pokazują takie rzeczy – odezwała się Janet i zmieniła temat: – Co możemy zrobić, żeby nasze dzieci nie oglądały tych okropności? Frankie przekształca się już w zombie.

– Ta nowela nazywa się „*Dzień, w którym zgniotły nas ściany*”. *Opowiedziane Jimowi Bishopowi* – powiedział Frank Appleby.

– Przez Jestem Płaskiego, ocalałego w dwóch wymiarach – dodał Ken i zaczął się śmiać tak gwałtownie, że omal nie zdmuchnął świecy.

– Skoro mowa o telewizji, wiecie, co ostatnio przeczytałam? – wtrąciła Marcia. – W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku w każdym pokoju będzie znajdował się odbiornik, żeby można było wszystkich ciągle obserwować. Autor artykułu twierdzi... – jej głos załamał się na moment, ale zaraz szybko dokończyła: – ...że nie będzie już można zdradzać współmałżonków.

Wszyscy na moment zamilkli.

– Dobry Boże – odezwał się po chwili Frank – to zupełnie osłabi instytucję małżeństwa.

Wybuchnęli śmiechem, który w odczuciu Foxy miał charakter katartyczny.

– Dowcipny ten twój mąż – szepnął do niej Freddy Thorne. – Nie jest takim sztywniakiem, za którego go początkowo brałem. Jestem Płaski w dwóch wymiarach. Zabawne.

Harold, mniejszy Smith, nie wyglądał na rozbawionego.

– Nie sądzicie, że ta historia z „Tresherem”, to istny skandal?

– Dlaczego tak uważasz? – spytał Freddy śliskim, prowokacyjnym tonem. Najwyraźniej używał go też w stosunku do mężczyzn.

– Uważam za oburzające – wyjaśnił mniejszy Smith – że w czasie tak zwanego pokoju wysyłamy setkę młodych mężczyzn, by zginęli zmiażdżeni na dnie morza.

– Sami się zaciągnęli – odparł Freddy. – Harry, chłopcze, wszyscy to przechodziliśmy. Ryzykowaliśmy tak samo jak i oni, wyruszając w podróż poślubną z Wujem Samem. *Che sara, sara*, jak to sprytnie ujęła Dodo Day.

– Dlaczego „tak zwanego”? – spytała Janet Harolda.

– Za pięć lat znajdziemy się w stanie wojny z Chinami – warknął Harold. – Już właściwie jesteśmy. Kennedy zabierze manatki z Laosu, żeby rozruszać gospodarkę. W Laosie potrzebny jest nam drugi Diem.

– Nie powtarzaj tych reakcyjnych bzdur, Haroldzie – powiedziała Janet. – Wystarczy mi to, czego się nasłucham od Franka.

– Nie bierz ich zbyt poważnie – Roger Guerin zwrócił się do Foxy. – Tarbox nie jest miejscem ani romantycznym, ani ekscentrycznym. Purytanie chcieli stworzyć tu port, ale ich zamuliło. Jak wszystko w Nowej Anglii, Tarbox jest całkowicie *passé*.

– Rogerze – zaprotestowała Janet – jak możesz opowiadać jej takie rzeczy? A co z naszymi uroczymi kościołkami, starymi domami, marszami i wspaniałą plażą? Uważam, że to najbardziej nieświadome swojego uroku miasteczko w Ameryce.

Janet nie zdawała sobie sprawy, że podczas jej przemowy Harold, mniejszy Smith, rozmazywał czubkiem palca wskazującego kropelki wody, które wcześniej strzepnął na jej ramiona.

– Może podać wam ręcznik? – ryknął Frank Appleby.

Do jadalni wniesiono udziec jagnięcy i misę warzyw.

Gospodarz wstał, żeby pokroić mięso. Jego dłonie o długich, wypielęgowanych

paznokciach mogłyby pojawić się na zdjęciach w książce kucharskiej: pierwsze nacięcie, potem drugie, poprzeczne, wzdłuż ukrytej kości, precyzyjne, cienkie plastry jak płatki kwiatów, układane po dwa na talerzu. Kolejne porcje przekazywano na drugi koniec stołu, gdzie Bea dokładała zielony groszek, młode ziemniaki i galaretkę miętową. „Proste, wiejskie jedzenie”, pomyślała Foxy. Cambridge, gdzie mieszkali z Kenem przez sześć lat, było krainą skomplikowanych zapiekaneł, gulaszów węgierskich, sałatek przyprawionych czosnkiem, tofu i podsmażanych jagnięcych grasic. W towarzystwie tych ludzi o mniej wyrafinowanym guście kulinarnym Foxy czuła, że sama może stać się przysmakiem, królową. Frank Appleby otworzył dwie butelki wina, bordeaux z pobliskiego sklepu z alkoholem, i obszedł stół dwa razy, za pierwszym napełniając kieliszki pań, za drugim panów. W Cambridge podawano sobie chianti z rąk do rąk bez zbytnich ceregieli.

Freddy Thorne zaproponował toast:

– Za naszych mężnych chłopców z „Threshera”.

– Ależ Freddy, to makabryczne! – wykrzyknęła Marcia, mniejsza Smith.

– Jak możesz – zachnęła się Janet.

– To ze szczerego serca. – Freddy wzruszył ramionami. – Ale jak sobie chcecie. *Mea culpa, mea culpa*.

Foxy zdała sobie sprawę, że Freddy jest przyzwyczajony do braku akceptacji; rozkoszował się nim, jakby potwierdzeniem niepomyślniej diagnozy. Ponadto odniosła wrażenie, że niechęć do niego jednoczyła zebranych, dawała im poczucie wspólnoty jako par tolerujących Freddy’ego Thorne’a. Foxy spojrzała z zaciekawieniem na jego żonę, która chyba to wyczuła i podniosła wzrok. Miała lekko wytrzeszczone oczy w niepokojącym, bladym odcieniu zieleni, przewiercone źrenicami jak na rzymskich popiersiach. Foxy uznała, że ta kobieta musi być niezwykle twarda, jeśli tak cierpliwie znosi błazeństwa męża.

– Tak naprawdę to wcale nie o to ci chodziło – ciągnęła Janet. – Uszczęśliwia cię, że to oni zginęli, a nie ty.

– No pewnie. Tak samo jak i ciebie. Wszyscy ocaleliśmy. To grono osób, które coraz bardziej się kurczy. Ja też ryzykowałem. Odsłużyłem swoje dla Boga i Sama.

– Siedziałeś przy stalowym biurku, czytając japońską pornografię – prychnął Harold.

Freddy wyglądał na całkowicie zaskoczonego. Otworzył bezkształtne usta i cofnął dolną wargę.

– Myślałem, że wszyscy tak robili. Przecież nieraz słyszeliśmy opowieści o tobie i twoich gejszach. Biedne, niedożywione maleństwa, za paczkę papierosów i pół batonika.

Ciemnozielone oczy żony Thorne’a spoglądały na niego, jakby należał do kogoś innego.

– Ciekawe, o czym wtedy myśleli? – ciągnął Freddy, unosząc podbródek, by utrzymać się na powierzchni i nie utonąć w fali niechęci. – Cholerne strzałki zaczynają wariować, pieprzone rury pękać, i czego się łapiemy? Matki? Flagi? Jezusika? Ostatniej dupy, jaką mieliśmy?

Wśród mężczyzn przy stole zaległa pełna niechęci cisza.

– Dla mnie niezwykle wzruszający wydał się fakt – odezwała się śpiewnym, urywanym głosem Bea Guerin – że okręt pomocniczy, tak to się nazywa...?

– Zgadza się – potwierdził jej mąż.

– ...że okręt pomocniczy nazywał się „Skylark”. I to, że przez cały ranek nadawał i krążył po morzu, które od spodu musi wyglądać jak niebo, krążył i nawoływał, ale nikt nie odpowiadał. Biedny „Skylark”.

Frank Appleby podniósł się z miejsca.

– Biedna Ofelio, za wiele masz już wilgoci. Proponuję wznieść toast za Whitmanów, nową parę w naszym towarzystwie.

– Dobrze mówi – powiedział kwaśno Roger Guerin.

– Niech długo i pomyślnie płacą podatki, które są wysokie, a zysk z nich żaden.

– Racja! – poparł go mniejszy Smith. – *Écoutez*.

– Dziękujemy – powiedziała Foxy, rumieniąc się i czując nowy przyływ mdłości. Szybko odłożyła widelec. Jagnięcina była niedopieczona.

Mniejszy Smith znowu zwrócił się do Kena.

– Czym właściwie się zajmujesz jako biochemik?

– Różnymi rzeczami. Dumam o fotosyntezie. Kiedyś ciąłem rozgwiazdy na cienkie plasterki, żeby badać ich metabolizm.

Janet Appleby znów pochyliła się do przodu, a jej kremowy dekolt zalało miękkie światło.

– I one przeżywają, w tych dwóch wymiarach?

Pomimo przyływu mdłości Foxy zdała sobie sprawę, że ta kobieta flirtuje z jej mężem.

Ken roześmiał się gromko.

– Nie, umierają. Na tym polega kłopot z moją dziedziną. Życie nie znosi analizy.

– Czy chemia to skomplikowana nauka? – spytała Bea.

– Niezwykle. Gdyby jakiemuś bystremu teologowi udało się to zrozumieć, może znowu zdołaliby nas przekonać, że Bóg istnieje.

Ken rozmawiał z Beą, więc Janet zwróciła się do pozostałych osób przy stole.

– Jeśli już o tym mówimy, to dlaczego starszerek papież Jan tak się nam ciągle naprzykrza? Zachowuje się tak, jakbyśmy wybrali go na drodze głosowania.

– Ja go lubię – oznajmił Harold. – *Je l'adore*.

– Chruszczowa też lubisz – wytknęła mu Marcia.

– Czuję sympatię do starszych panów. Potrafią być wspaniałymi draniami, bo nie mają nic do stracenia. Tylko starszkwowie i niemowlęta mogą być naprawdę sobą.

– Próbowałam przebrnąć przez *Pacem in terris* – powiedziała Janet. – Ale to równie nudne jak publikacje ONZ-tu.

– Rogerze – zawołał Freddy nad głową Foxy. Jego oddech miał mięsny zapach. – Co sądzisz o sposobie, w jaki U Whosie rozprawił się z Czombe w Kongo? Tylko czarnuch potrafi porządnie przyłożyć czarnuchowi.

– Moim zdaniem to urocze – oświadczyła dobitnie Bea, dotykając rękawa koszuli Kena – że to takie skomplikowane. Nie chciałabym, by mnie zanalizowano.

– Na szczęście – powiedział Ken – procesy zachodzące w królestwie istot żywych na ogół się powtarzają. Na przykład zarówno ty, jak i drożdże rozbijacie glukozę na kwas pirogronowy na drodze ośmiu identycznych reakcji.

Ostatnio Foxy prawie nie widywała Kena zachowującego się w ten sposób. Jak młody mężczyzna, który potrafi użyć określenia „królestwo istot żywych”. Ciekawe, kto jego zdaniem był królem?

– Ojej – westchnęła Bea. – Rzeczywiście, czasami czuję się dość stara.

Tymczasem Freddy nacierał na Rogera, który najwyraźniej nie chciał z nim rozmawiać.

– Problem z Hammarskjöldem polegał przede wszystkim na tym, że był za bardzo podobny do ciebie i do mnie. Po prostu był z niego sympatyczny facet.

– Kochanie! – zawołała Marcia, mniejsza Smith do męża. – Kto nie pozwala ci być wspaniałym starym draniem? Okropna ja?

– Prawdę mówiąc – powiedział Frank Appleby – moim zdaniem jesteś naszym lokalnym Bertrendem Russellem.

– Wydaje mi się, że kimś w typie Schweitzera – oświadczył Freddy Thorne.

– Ja nie żartuję, skurczybyki. – Pod wpływem tych prześladowań czubek jego nosa uniośł się jak kreci ryjek – Spójrzcie na Kennedy’ego. Wewnątrz tego robota mieszka człowiek, który chciałby wydostać się na zewnątrz, ale nie ma śmiałości, ponieważ jest na to jeszcze zbyt młody. Ukrzyżowaliby go.

– Porozmawiajmy o świecie – odezwała się Janet Appleby. – Zawsze rozmawiamy o ludziach. Kiedy Frank czyta Szekspira, ja przeglądam gazety. Dlaczego Egipt chce się



połączyć z tymi innymi Arabami? Czy nie zdają sobie sprawy z tego, że pomiędzy jest Izrael? To równie niedobra sytuacja jak w wypadku nas i Alaski.

– Uwielbiam cię, Janet – zawołała Bea poprzez Kena. – Myślisz tak samo jak ja.

– Te kraje nie są krajami – oświadczył Harold. – To filie Standard Oil. *L'huile étendarde.*

– Zacytuj nam jeszcze coś z Szekspira, Frank – poprosił Freddy.

– Śmiać się z żagli – powiedział Frank – zachodzących w ciężę pod powiewami rozpustnego wiatru. *Sen nocy letniej.* Czyż to nie wspaniały obraz? Mam go przed oczami od kilku dni. Żagle zachodzące w ciężę pod powiewami rozpustnego wiatru.

Wstał i dolał wszystkim wina. Foxy nakryła kieliszek dłonią. Freddy Thorne przysunął się do niej.

– Apetyt ci nie dopisuje. Brzuszek boli?

– Mówiąc poważnie – odezwał się do niej z drugiej strony Roger Guerin – to na waszym miejscu zadzwoniłbym do Pieta Hanemy, żeby przynajmniej zrobił wycenę. Odwała kawał porządnej roboty. Należy do tych nielicznych wykonawców, którzy na przykład stawiają porządne gipsowe ściany. Remont, jaki dla nas przeprowadził, rzeczywiście zajął mu mnóstwo czasu, ale to dlatego, że Piet wkłada w pracę dużo uczucia. Restauracja domów to jego mocna strona.

– To kochany, staroświecki człowiek – dodała Bea.

– Będziecie żałować – powiedział Freddy Thorne.

– Możecie zlecić mu też zbudowanie grobli, żeby Ken mógł osuszyć błota – zawołał Frank Appleby. – Na rosnącej na nich trawie można zbić fortunę. Używa się jej jako kompost pod karczochy.

Foxy odwróciła się do swojego dręczyciela.

– Dlaczego go nie lubisz? – spytała.

Wtem przypomniała sobie Hanemę. Niski, rudy mężczyzna na przyjęciu u Franka. Leżał jak błazen u stóp schodów i zajrzał jej pod sukienkę.

– Ależ ja go lubię – oznajmił jej Freddy Thorne. – Kocham go. Kocham go jak brata.

– A on ciebie – odparł szybko mniejszy Smith.

– Prawdę mówiąc – ciągnął Thorne – czuję do niego homoseksualny pociąg.

– Freddy – upomniała go Georgene spokojnym głosem.

– Ma uroczą żonę – powiedział Roger.

– To prawda – zawołała Bea Guerin. – Jest taka wyciszona. Zazdroścę jej sposobu, w jaki się porusza. A ty, Georgene?

– Tak naprawdę to Angela jest robotem – wtrącił Frank Appleby. – W środku siedzi Jack Kennedy i stara się wydostać.

– Nie wiem – odpowiedziała Georgene Thorne – czy rzeczywiście jest taka idealna. Moim zdaniem niewiele daje Pietowi.

– Daje mu poczucie pewności siebie w towarzystwie – stwierdził Harold.

– Założę się, że pozwala mu się też dmuchnąć od czasu do czasu – powiedział Freddy. – Ostatecznie jest człowiekiem. Do diabła, wszyscy są ludźmi. Taką mam teorię.

– A co w jego zachowaniu jest neurotyczne? – spytała Foxy.

– Słyszałaś, co mówił Roger o sposobie, w jaki Piet buduje. Jest pedantem. Poza tym chodzi do kościoła.

– Ja też. Religia jest dla mnie ogromnie ważna.

– Frank – zawołał Freddy. – Zdaje się, że znaleźliśmy czwartą osobę.

Foxy domyśliła się, że jest czwartą najbardziej neurotyczną osobą w miasteczku, po komendancie straży pożarnej, holenderskim budowniczym i starszej pani skazanej na przygnięcie czasopismami.

Foxy pochodziła z Maryland i drzemało w niej sporo ostrości właściwej kobietom z Południa.

– Musisz mi wyjaśnić, co rozumiesz przez „neurotyczny”.

Thorne się uśmiechnął. W blasku świec jego małe usta zapraszały, by weszła pomiędzy nie.

– Nie powiedziałaś mi, co rozumiesz przez „charakter”.

– Być może – odparła Foxy otwarcie nieprzyjemnie – myślimy o jednym i tym samym.

Czuła niechęć do tego mężczyzny i nie przypominała sobie, by kiedykolwiek spotkała kogoś równie niesympatycznego. Starła się to okazać całym swoim ciałem, w którym panował spory zamęt.

– Zjedz trochę jagnięciny Bei, tak z uprzejmości, nawet mimo że jest surowa – szepnął Thorne, opierając się o nią.

Potem odwrócił się, jak gdyby ignorując natrętnego petenta, i podał ogień Marcii. Równocześnie z premedytacją dotknął udem jej uda. Foxy była zaskoczona, rozbawiona i zde gustowana. Ten głupiec wyobrażał sobie, że dokonał podboju. Wyczuła w nim chęć wtargnięcia w jej przeznaczenie, bycie jego częścią; napawało ją to lękiem. Thorne zwiększył nacisk na jej biodro i Foxy poczuła w sennej atmosferze przyćmionego światła, że najchętniej uciekłaby i zaraz zasnęła. Rozejrzała się wokoło, szukając pomocy. Zajęty gospodarz ze ściągniętymi groźnie brwiami kroił jagnięcinę. Po drugiej stronie stołu jej mąż śmiał się w towarzystwie Bei Guerin i Janet Appleby. Sztyletowaty cień pomiędzy obfitymi piersiami Janet zmieniał kształt, kiedy poruszała dłońmi, mówiąc. Dolano jeszcze wina. Foxy pokiwała głową w odpowiedzi na pytanie, które zdawało jej się, że jej zadano, a potem gwałtownie podniosła podbródek w obawie, by nie zasnąć na siedząco. Znowu poczuła szturchnięcie w udo. Nikt z nią nie rozmawiał. Roger Guerin pocieszał szeptem Georgene Thorne. Dało się słyszeć wysoki, ostry śmiech Kena, a jego twarz, zazwyczaj ascetyczna, wyglądała niezdrowo i sztucznie, jak gdyby rzucono na nią światło reflektora. On się dobrze bawił; a ją beznadziejnie ciągnęło do łóżka.

Ożywiła się dopiero w samochodzie, podczas nocnej drogi do domu. Wiał chłodny wietrzyk, a usiane gwiazdami niebo przywodziło na myśl ogromną falę, która zaraz opadnie. Światła reflektorów omiatały skrzynki na listy, rzędy krzewów, stary śnieg w rowach. MG Kena kołysał się na krętej drodze, prowadzącej do plaży.

– Żyjesz? – spytał.

– Już się lepiej czuję. Ale kiedy siedzieliśmy przy stole, chwilami miałam wątpliwości, czy wytrwam do końca.

– Rzeczywiście, było dość koszmarnie.

– Wydawali się tak podekscytowani sobą nawzajem.

– Zabawni ludzie – stwierdził Ken i dodał, jakby z poczuciem winy: – Biedna Fox z dużym brzuchem. Siedziałaś tam, bez przerwy ziewając.

– Powiedziałaś Bei. Myślisz, że się wygłupiłam?

– Na miłość boską, dlaczego to zrobiłaś?

– Chciałam, żeby zrobiła mi udawane martini. Wstydzisz się tego, że jestem w ciąży?

– Nie, ale po co to rozgłaszać? I tak już niedługo będzie widać.

– Ona nikomu nie powie.

– To nie ma znaczenia.

„Jak niewiele – pomyślała Foxy – to znaczy dla ciebie”. Przydrożne drzewa znikwały po bokach, ustępując miejsca następnym. Co jakiś czas można było między nimi dojrzeć skąpane w księżycowym świetle moczary. Skrzynki na listy pojawiały się w coraz większych odstępach, rzadziej błyskały światła domów. Foxy owinęła się ciaśniej płaszczem z podbitej futrem gabardyny, imitującym szynel rosyjskiego generała. Pomyślała o wychłodzonym domu, cieniutkich ścianach i nieczynnym kominku.

– Musimy koniecznie znaleźć kogoś, kto przeprowadzi remont. Myślisz, że powinniśmy

poprosić tego Hanemę o zrobienie wyceny?

- Thorne mówi, że on lubi sobie poplirtować.
- To się nazywa projekcja.

– Janet powiedziała, że omal sam nie kupił naszego domu. Najwyraźniej jego żona była zachwycona widokiem.

Ach tak, Janet?

- Zauważyłeś, z jaką wrogością odnoszą się do siebie Frank i mniejszy Smith?
- Obaj chyba grają na giełdzie, może ze sobą rywalizują?
- Zawsze myślisz o pracy. Ja odniosłam wrażenie, że tutaj chodzi o s-e-k-s.
- Z Janet?
- Usilnie starała się przedstawić swoje racje za pomocą biustu.

Ken zachichotał. „Przestań – pomyślała Foxy – zachowujesz się nienaturalnie”.

- Powiedziałbym, że całe dwie racje.
- Wiedziałam, że powiesz coś takiego.

Droga, miejscami popękana od lodu, zaczęła się wznosić. Był to pierwszy punkt, skąd można było zobaczyć morze. Przesuwające się po powierzchni światło księżyca sprawiało wrażenie żywego stworzenia. Prześlizgiwało się po wodzie równoległe do samochodu, ulegając bezustannym zawirowaniom i przywodząc Foxy na myśl ruch materii. To była strefa, po której Ken poruszał się swobodnie – tam, gdzie protony przenosiły się z molekuly do molekuly, a pierwiastki łączyły się ze sobą w długie spiralne drabiny. Rzut oka na wydmy – wyblakłe kości. Samochód zaczął zjeżdżać. Na drodze między zabita deskami budką lodziarza a ich podjazdem były cztery pagórki. Ich dom stał przy samym końcu drogi, w miejscu, gdzie zimą rzadko kto się pojawiał. Foxy zatęskniła nagle za światłem i swobodą, jaką dawało lato.

– Twój przyjaciel Thorne nie ma zbyt wysokiego mniemania o Hanemie.

– Nie jest moim przyjacielem. To odpychający człowiek i nie wiem, za co wszyscy go tak lubią.

– Jest dentystą. Każdy potrzebuje dentysty. Janet mówiła, że kiedyś chciał być psychiatrą, ale wylali go z akademii medycznej.

– Jest okropny, za bardzo się spoufała i klei do człowieka. Ciągle miałam wrażenie, że chce mi włożyć rękę pod spódnicę. Przerwałam mu, a on uznał, że odbijam piłeczkę. Dotykał moich ud pod stołem.

- Przecież siedział obok.
- Ocierał się o mnie.
- To chyba wykonalne.
- Uważam, że nie należy brać poważnie jego opinii.

Ken się nie odezwał.

– Roger Guerin twierdzi, że to dobry wykonawca – ciągnęła Foxy. – Przeprowadził remont ich domu. Z takimi pieniędzmi mogli pozwolić sobie na kogokolwiek.

– Zastanówmy się jeszcze. Wolalbym zatrudnić kogoś, kogo nikt nie zna. Nie chcę się zbyt angażować w znajomość z tymi ludźmi.

– Sądziłam, że jednym z powodów, dla których się tutaj przeprowadziliśmy, była potrzeba posiadania znajomych spoza kręgu osób związanych z twoją pracą.

- O co ci chodzi?
- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Nie miałam własnych znajomych, tylko chemiczne żony.
- Ależ Fox, wszyscy jesteśmy substancjami chemicznymi.

Dobrze wiedział, że ona w to nie wierzy, więc po co to mówił? Kiedy przestanie traktować ją jak uczennicę?

Przewrócona przez pług śnieżny skrzynka na listy leżała nieruchomo w świetle księżyca. Należała do ludzi, którzy przyjeżdżali tylko latem, więc jeszcze długi czas miała pozostać w

tym stanie. Foxy znów owinęła się ciasniej płaszczem, otoczyła ciałem maleńkie zmartwienie, kiełkujące się w jej łonie, obce życie ukradkiem eksploatujące jej własne. Poczula się brzydka i wykorzystana.

– Podobały ci się te kobiety, prawda? W stanikach *push-up*, bezustannie zanoszące się śmiechem.

W Cambridge przyjaźnili się zazwyczaj z prostymi kwakierkami, żonami obiecujących młodych naukowców, lub też kobietami uzbrojonymi w odpychającą błyskotliwość, niedotykalskimi artystowskimi pięknosciami, z zapalem mówiącymi o kubańskiej niepodległości i niemieckiej winie. Foxy westchnęła z rezygnacją.

– Mówi się, że mąż znajduje sobie pierwszą kochankę, kiedy jego żona zachodzi w ciążę.

Spojrzał na nią, zbyt zdziwiony, by coś powiedzieć. Foxy zdała sobie sprawę, że Ken nie byłby w stanie jej zdradzić, i zdumiało ją własne rozczarowanie. Stanowiła dla siebie zagadkę. Nigdy wcześniej nie była od niego tak zależna, nie miała tylu powodów do wdzięczności co teraz. Czuła rozlewający się po jej ciele niepokój i miała żal do Kena, że go nie podziela. Zawsze wyczuwała w nim bardzo silne poczucie odpowiedzialności, które pozwalało mu unikać poczucia winy – według Foxy czegoś nierozzerwalnie związanego z życiem. Dlatego musiała sobie radzić z podwójną dawką niepokoju.

– Co sugerujesz? – spytał w końcu. – Zostaliśmy zaproszeni. Poszliśmy tam. Dlaczego nie mielibyśmy się dobrze bawić? Nie mam nic przeciwko przeciętnym ludziom, dopóki nie muszę ich niczego uczyć.

Ken miał trzydzieści dwa lata. Poznali się, kiedy jako absolwent Harvardu zaczynał wyklądać biologię, a ona, studentka ostatniego roku na Radcliffe, potrzebowała zaliczenia z przedmiotu ścisłego. Na drugim roku studiów Foxy zakochała się w nieokrzesanym żydowskim chłopaku z Detroit, studencie sztuk pięknych. Obecnie był już uznanym rzeźbiarzem, a zdjęcia jego pospawanych z kawałków złomu dzieł pojawiały się co jakiś czas w prasie. Kiedy Foxy go poznała, już można było wyczuć w jego zachowaniu coś, co przywodziło na myśl dźwięk metalu, zgrzytliwą skłonność do autoparodii. Miał czuprynę przypominającą zaczesaną do przodu perukę i haczykowaty nos, który zdawał się wskazywać czubkiem na dolną wargę. Rysy jego twarzy jak gdyby stężały w wyrazie pogardy. Szybko rozwiązywał mu się język. „Zjedz mnie, mała sikso, jestem obleśnym staruchem. Kicham czarnymi smarkami. Usuwam hemoroidy profilaktyczną szczoteczką do zębów”. Gardził wszelkimi oznakami przestrachu z jej strony. Nauczył ją robić laskę. Z jego ogromnym członkiem w ustach czuła, jak miłość delikatnie rozdziera kolejne zasłony w jej wnętrzu. Nim ją sobie wziął, była blada, wysoka, sztywna, zimna i nieprzydatna. On miał włochate, umięśnione na łopatkach plecy, gęsto usiane pieprzykami, jak gdyby ktoś rzucił na niego urok.

Rodzice Foxy nie zabronili jej wprost się z nim spotykać, ale taktownie i powoli udowodniali, że ta miłość to coś groteskowego, niemającego szans na przetrwanie. Wyglądało to tak, jakby komunikowali się z Peterem poprzez nią, chociaż ona sama nie miała pojęcia, co się dzieje. W końcu od obu stron wyszło stanowcze „nie” i spotkało się w jej sercu. Dziewczęca udręka i te wszystkie papierosy. Ostatni rok na Radcliffe; śnieg ciągle padał. W pamięci zostało jej poskrzypywanie rowerów na ścieżkach, dźwięk rozpiętych kłamek od kaloszy, wilgotny szalik, opadanie potulnych jak myśli płatków, widzianych z wysokich, przytulnych okien akademika Fogg. Białe światło, wypełniające jej pokój, nim budziła się rano z uczuciem bólu w piersi.

Pojawił się Ken, który był od niej wyższy, pragnął jej i został przyjęty z otwartymi ramionami przez rodziców. Tymczasem pojawiły się inne trudne kwestie. Foxy nie była w stanie doszukać się w Kenie jakichkolwiek wad. Przerodziło się to w wyzwanie, obudziło niej wrodzoną skłonność do przekory. Wyczuwała sprzeczność między inteligencją a urodą Kena, konflikt rodem z dowcipów opowiadanych przez jej Żyda. Ken wyglądał na bogatego

chłopca, a pracował jak ubogi. Pochodził z Farmington i był jedynym synem absolwenta Hartford, prawnika, który nie przegrał ani jednej sprawy. Foxy wyobrażała sobie narodziny Kena jako spokojny i bezbolesny proces, bez łez i krzyku. Kena nic nie dziwiło. Nie istniały tajemnice, tylko niewiadome. Po poniżającej pomyłce, którą z pewnością był jej pierwszy związek (przecież zakończył się tak burzliwie i boleśnie), Foxy schroniła się w bezpieczną przystań odpornej na wszelkie zawirowania poprawności Kena. Z wdzięcznością przyjmowała jego niewymuszoną wyższość nad innymi ludźmi. Był przystojniejszy, inteligentniejszy, był lepszą maszyną. Widząc dumną, pełną opanowania Foxy, co w rzeczywistości wynikało z jej wysokiego wzrostu, Ken sądził, że jest ulepiona z tej samej co on gliny; i to była jego jedyna pomyłka.

Elizabeth Fox z Bethesdy czuła, że jest przepełnioną serdecznością, dla której nie jest w stanie znaleźć ujścia. Jako nastolatka cieszyła się, że ciągnie ją do bezpiecznych zwierząt, zagubionych dzieci, porzuconych bohaterek oraz wszystkich rannych i obandażowanych, snujących się wokół nowo wybudowanego szpitala o rzędach brzydkich, wysokich okien, przypominających zapięte zamki błyskawiczne. Rodzina Foxy przeprowadziła się w jego pobliże ze wschodniego Waszyngtonu wiosną 1941, kiedy budowa szpitala jeszcze trwała. Ojciec Foxy był zawodowym wojskowym; miał stopień komandora porucznika i pewnie pojęcie o inżynierii oraz wyolbrzymione poczucie szlachetnego urodzenia. Jeden z jego dziadków był żołnierzem w Wirginii, drugi proboszczem w New Jersey. Uważał się za dżentelmena i kiedy dwunastoletnia Foxy powiedziała mu, że chciałaby zostać pielęgniarką, odrzekł, że jest na to zbyt inteligentna i że któregoś dnia pójdzie do college'u. W czasie studiów Foxy rozmyślała nad przeszłością i uznała, że przepełniający ją nadmiar czułości wiąże się z długimi nieobecnościami ojca w czasie drugiej wojny światowej. Jej wybuch pozbawił Foxy możliwości przejścia do związków heteroseksualnych bez niewolniczych zachowań i ekspiacyjnych upokorzeń, do których zadawania zachęcała Petera. Teraz, jako mężatka, podchodziła do swej autoanalizy łagodniej i mniej matematycznie. Zastanawiała się, czy towarzyszący jej smutek – coś nieprawidłowego i niedokończonego w jej procesie wychowania – nie był starszy niż wojna, czy nie sięgał czasów Wielkiego Kryzysu, którego cień wszechobecnej niemocy, tramwajów i zapalenia zatok nadal nawiedzał urzędnicze grobowce Waszyngtonu, dokąd jeździła w odwiedziny do matki. Być może problem leżał w tym, że jej matka, kobieta bystra i odznaczająca się kiedyś wielką urodą, jako córka właściciela sklepu spożywczego w Maryland nie była szlachetnie urodzona.

Niedługo po tym, jak Foxy wyszła za Kena, jej rodzice się rozwiedli. Ojciec, który odsłużył trzydzieści lat w marynarce wojennej, ale nie miał jeszcze zamiaru iść na emeryturę, przyjął intratną posadę doradcy dla przemysłu stoczniowego i przeprowadził się do San Diego. Matka Foxy, jak gdyby chcąc udowodnić, że ona również potrafi odnaleźć się w czasach dobrobytu, wyszła za mąż za pana Rotha, bogatego wdowca z Georgetown, właściciela sieci samoobsługowych pralni, działających głównie w murzyńskich dzielnicach. Teraz matka Foxy starannie się malowała i zakładała wyszczuplający pas elastyczny nawet wtedy, kiedy wychodziła po zakupy; trzymała pudła, paliła papierosy o czerwono zakończonych ustnikach, pozwalała znajomym mówić do siebie „Connie” i zawsze nazywała swojego męża „Roth”.

Para, którą stanowili rodzice Foxy, przestała istnieć. Z Rosedale Street zniknął wąski dom o drewnianej konstrukcji. Nieużywana weranda. Jasnobrązowe rolety spuszczone zawsze podczas upałów. Kuchenny wentylator, powoli obracający głowę tam i z powrotem jak jakiś imbecyl. Trzeszczące radio, w którym leciała audycja Lowella Thomasa. Liściki z frontu wpadające przez szczelinę pocztową w drzwiach. Gracelyn – przychodząca raz w tygodniu Murzynka, której kieszenie od fartucha pachniały skórą pomarańczową i czekoladowymi cukierkami. Veronica, roztrzęsiony, wysterylizowany terier, a potem Merle, śliniący się chow-chow o czarnym języku. Wysuszone krzewy, które nigdy nie kwitły i między którymi

Foxy szukała kapsli od butelek i „tropów”; długie wieczory w kolorze papieru gazetowego, umilane jedzeniem lodów; na kuchennym stole cerata w czerwoną kratę, która zmywała się po drugim użyciu; sposób, w jaki jej matka po wysłuchaniu wiadomości i przed ułożeniem córki do snu siadywała przy tym stole, paląc chesterfielda i machinalnie masując skórę pod wpatrzonymi w przestrzeń oczami. Ten świat już nie istniał, ale jego obraz na zawsze pozostał w sercu Foxy. Chodziła do kościoła, żeby coś ocalić. Kościół episkopalny – niosące się daleko, ponure hymny i ławki wypełnione oficerami w błyszczących mundurach – wiązał się z eleganckim klubem znajomych tatusia. Przewodził im odziany w pelerynę pan Roosevelt, który wygrał wojnę.

Foxy skończyła studia i wyszła za mąż w czerwcu 1956 roku.

Każde małżeństwo wiąże się z pewnymi oczekiwaniami. Foxy wierzyła, że bez względu na ich dalszy los Ken nie byłby w stanie zadać jej pewnego rodzaju cierpienia. Nie zniżyłby się do czegoś takiego, tak jak większość amerykańskich mężczyzn nie zniżyłaby się na przykład do wydlubania komuś oczu albo wypatroszenia kogoś. Co do tego się nie myliła. Ken okazał się człowiekiem nie tyle łagodnym, ile zbyt wyrafinowanym, by być okrutnym. Foxy nie miała uzasadnionych powodów do narzekań; jedynym nieuzasadnionym był fakt, iż musiała tak długo czekać, aż Ken skończy robić doktorat, by mogła zająć się ciążą. Z powodu trudności merytorycznych cztery lata, które miał poświęcić na pracę naukową, przeciągnęły się do pięciu; przez kolejne dwa Ken prowadził badania, na które otrzymał stypendium z funduszy Służby Zdrowia, a potem pracował jeszcze rok jako wykładowca, pozostając w zasięgu przyciągania harwardzkich bogów, których Foxy zaczęła nienawidzić. W tym czasie miała się najrozmaitszych zajęć: była asystentką wśród flamandzkich sztychów i mezozoicznych skamielin w przestronnych, zakurzonych uniwersyteckich suterach, recepcjonistką w akademiku, nauczycielką opóźnionych umysłowo dzieci (rozważała nawet rozpoczęcie kariery w opiece społecznej, ale szybko z tego pomysłu zrezygnowała); zrobiła kilka przypadkowych kursów podyplomowych i próbowała uzyskać tytuł magistra; przez dwa semestry uczyła się w Bostonie rysowania z natury; jeździła na wakacje, a nawet flirtowała. Ale niczego to nie przyniosło. Siedem lat to mnóstwo czasu, jeśli przeliczyć je na miesiące, kiedy regularnie płaci się krwią, w przeliczeniu na tygodnie, gdy przyjemność jest zmniejszana przez środki antykoncepcyjne; trwało to wszystko dłużej niż wojna. Foxy chciała urodzić Kenowi dziecko, połączyć jego wybitność ze swoim ciepłem. Wydawało jej się, że to najlepszy prezent, jaki może mu ofiarować, ponieważ zaczynała już rozumieć, że sama nie potrafi całkowicie mu się oddać. Dziecko, powstałe z chemii obojga ich ciał, byłoby szczerym zapewnieniem o jej podziw i zaufaniu i na dobre rozwiałoby wszelkie wątpliwości co do siły tych uczuć. Teraz otrzymała zezwolenie na ten dar. Kenowi przydzielono stanowisko docenta na uniwersytecie za rzeką, gdzie Wydział Biochemii szybciej się rozwijał. Te powody do szczęścia były równie imponujące jak widok rozciągający się z ich nowego domu.

Ken sam go wybrał. Foxy uważała, że powinni zamieszkać bliżej Bostonu, na przykład w Lexington, wśród podobnych im ludzi. Tarbox było znacznie bardziej oddalone, prawie godzinę drogi od uniwersytetu. Ale to właśnie Ken, który miał ją codziennie pokonywać, uparł się przy domu na plaży, jak gdyby całe życie szukał miejsca równie odludnego i dziewiczego jak te mokradła, dalekie wydmy w kolorze kości, ciągnące się nad brzegiem morza. Foxy podejrzewała, że chodziło mu raczej o ogrom przestrzeni, która pozwalała odetchnąć nieco od „mikroskopijnej” pracy. Zdecydował także fakt, że Ken polubił Gallaghery – pośrednika handlu nieruchomościami. Pomimo iż Foxy przedstawiła mężowi wszystkie dyktowane jej przez rozsądek wątpliwości, w istocie była zadowolona, widząc, że po długim etapie trwania w zastoju studenckiego życia zapragnął czegoś nowego, materialnego, prawdziwego; że przetrwała w nim jednak odrobina szaleństwa, która popchnęła go do kupna leżącego na uboczu, niepraktycznego domu. Jak gdyby w grę wchodziła jakaś desperacja.

Tej nocy dom wypełniał stęchły chłód. Cotton wyskoczył z hałasem z ciemnego salonu, a potem przeciągnął się, sztywny od snu. Był ociążalym kocurem o miodowym futerku. Spędził tyle lat w charakterze ich jedyne go zwierzątka, że stał się towarzyski jak pies i panoszył się w domu z pewnością siebie bliskiego członka rodziny. Ukłonił się przed nimi z kurtuazją, układając ogon w znak zapytania i wczepiając się pazurami w pleciony dywanik, który Robinsonowie porzucili w holu. Cotton zamruczał w oczekiwaniu, że Foxy weźmie go na rękę. Podniósłszy go, poczuła przy szyi warkot małego motoru i przez chwilę zamarzyła sobie, by znaleźć się w jego skórze.

Ken włączył lampę w salonie. Nagie ściany rozbłysły natychmiast; pojawiły się wystające z nich śruby, rozpadająca się okładzina, nierówno położony lakier, zostawione przez Robinsonów pamiątki z wakacji – zbiory muszli w kształcie wachlarza i pęki zasuszonych roślin, zebranych na brzegu. Foxy wyobrażała sobie poprzednich lokatorów jako dużą, niechlujną rodzinę, bezustannie płatającą sobie figle i noszącą wymyślne przezwiska. Matka prawdopodobnie spędzała całe dni, malując akwarele (prace były porozwieszane na piętze), starsi chłopcy pływali po moczarach, dziewczynka zbierała płyty i sennie znosiła dokuczanie braci, młodszy chłopiec wraz z ojcem systematycznie przeczesywali brzeg w poszukiwaniu śladów dającego się sklasyfikować życia. Salon pachniał, jak gdyby uwięziono w nim lato, które z czasem zwiędziało. Oszklone drzwi, otwierające się na ogród pełen róż i piwonii, były zabite deskami. Szczelnie zamknięte żaluzje osłaniały okna wychodzące na werandę i moczary. Niewielka ilość mebli typu Cambridge, niedrogich, ale ładnie zaprojektowanych, została bezładnie rozstawiona w salonie – obszernym, kwadratowym pokoju. Istniało wiele możliwości zagospodarowania go. Wymagał tylko białej farby, światła, miłości i fantazji.

– Musimy zacząć coś tu robić – westchnęła Foxy.

Ken przyłożył dłoń do wylotu ogrzewania w podłodze.

– Piec znowu nie działa.

– Zajmiesz się tym rano. Ciepło i tak nie dociera na piętro.

– Nie lubię się dawać przechytrzyć. Znajdę sposób na to cholerstwo.

– Bardziej obawiam się tego, że któreś nocy zatrujemy się na śmierć czadem.

– Nie ma szans. Ten dom jest jak sito.

– Proszę, zadzwoń do Hanemy.

– Ty do niego zadzwoń.

– Jako mężczyzna ty powinienes się tym zająć.

– Nie jestem pewien, czy to najlepszy człowiek.

– Przecież lubisz Gallaghera.

– Są partnerami, nie bliźniakami.

– To znajdź kogoś innego.

– Jeśli jesteś na niego zdecydowana, to sama zadzwoń.

– To może tak właśnie zrobię.

– Rób, co chcesz.

Ken skierował się do drzwi, za którymi znajdowały się schody prowadzące do wąskiej klatki, służącej za piwnicę. Z otworu w podłodze zaczęło dobywać się brzęczenie i po pokoju rozszedł się duszący zapach. Foxy zniosła Cottona do kuchni, włączyła grzejnik elektryczny i naląła mleka do dwóch misek. Jedną postawiła na podłodze, do drugiej wkruszyła krakersy. Cotton powąchał mleko, odsunął się ze wzgardą i zamiauczał pytająco. Nie zwracając na niego uwagi, Foxy zaczęła pałaszować krakersy łyżką do zupy. Kiedy była mała, przysmak ten serwowano po wiadomościach, tuż przed snem. Ochota, która ją naszała, przypominała nagły spadek gorączki, gwałtowne zdrowienie. Czując na nogach proszące ocieranie się futerka i ciepło grzejnika, posmarowała grubo masłem gąbczasty kawałek chleba tostowego, rozerwała go na trzy części, a potem kolejno wepchnęła je do ust, zbyt głodna, by zawracać sobie głowę robieniem tostów, łapczywa jak alkoholik. Jej palce lśniły od tłuszczu.

Myjąc ręce, oparła się o kamionkowy zlew i wyjrzała przez okno. Trwał przypyływ; światło księżycy srebrzyło regularną siatkę rowów. W oddali majaczyły kontury niezamieszkanego, porośniętego ciernistymi krzakami wysepki. Na odległej odnodze zatoki Tarbox mieniły się światła innego miasteczka, którego nazwy Foxy jeszcze nie znała. Obracający się promień latarni omiatał rytmicznie powierzchnię oceanu. Oślepił Foxy w nierównych odstępach. Zaczęła liczyć: pięć, dwa, pięć, dwa. Podwójny strumień światła. Uciekające sekundy; pięć, dwa. Foxy odwróciła się na pięcie i zamknęła foliową torbę od chleba; ciemność za oknem promieniowała wielkim smutkiem. Było już po północy. Zaczęła się niedziela wielkanocna. Rano trzeba wstać do kościoła.

Ken wrócił z piwnicy i roześmiał się, widząc ślady jej szybkiego posiłku: dziury wydłubane w maśle, rozsypane okruchy, pustą miskę.

– Tak, miałam ochotę na taki chleb, nie na żadne wyszukane pieczywo – oznajmiła Foxy. – Na taki o gumowej konsystencji, ze wszystkimi chemicznymi dodatkami.

– Propionian wapnia – uściślił Ken. – Nasze dziecko będzie aglutynacyjnym potworem.

– Naprawdę uważasz, że powinnam zadzwonić do tego Holendra?

– Czemu nie? Zobaczmy, co powie. Pewnie dobrze zna dom, jeśli jego żona chciała go kupić.

Foxy usłyszała w głosie Kena nutę niepewności. Zmieniła temat.

– Wiesz, co mi dzisiaj najbardziej przeszkadzało w tych ludziach?

– Są republikanami.

– Nie bądź niemądry, co mnie to obchodzi. Działo mi na nerwy, że tak bardzo zależało im, żebyśmy ich pokochali. Nie powiedziałabym, że byli czarujący, ale tego właśnie chcieli.

Ken się zaśmiał. Dlaczego jego śmiech brzmiał tak chrapliwie?

– Może to ty tego chciałaś? – zapytał.

Weszli na piętro po schodach, odrapanych i porysowanych kredkami przez dzieci, których nigdy nie widzieli. Foxy przypuszczała, że nagły powrót apetytu oznacza, iż tej nocy będzie spała jak zabita. Ken pocałował ją w ramię na znak miłości, której w tym miesiącu nie powinni uprawiać, odwrócił się plecami i po chwili zasnął. Oddychał bezgłośnie i w ogóle się nie poruszał. Jego nieruchome ciało wytwarzało napięcie jak igła na powierzchni wody, a Foxy nie do końca potrafiła się wyzwolić spod jego oddziaływania. Piętro niżej zawiedziony Cotton dreptał głośno tam i z powrotem i zdawało się, że wprawia cały dom w drżenie. Księżyc świecił tak jasno, że nie było widać na nim żadnych plam. Ujęty w ramie świetlika, przez bezsenność godzinę palił ją w czoło jak klejnot.

Pracowity poniedziałkowy ranek. Jasnoniebieskie niebo w kolorze śpiewnika z hymnami. Światło słoneczne tłumione co chwila przez sunące po niebie kłębiaste chmury przywodziło na myśl przerywany sygnał. Weranda Thorne'ów skutecznie przyciągała ciepło. Na osłonięty od wiatru przez wysokie, puszyste modrzewie, pokryty papą taras na dachu garażu wychodziło się z sypialni przez rozsuwane szklane drzwi. Co roku Georgene jako pierwsza mogła pochwalić się cieniem opalenizny. Już była obsypana piegami, a emanujące z niej czerstwe zdrowie sprawiało trochę odpychające wrażenie.

Rozpostarła szkocki pled w rogu tarasu, gdzie wcześniej poprzyczepiała do balustrady kawałki odbijającej światło folii aluminiowej. Piet zdjął zamszową kurtkę w kolorze moreli i ułożył się na pledzie. Rozpraszane przez wiatr słoneczne ciepło zaczęło palić jego szeroką twarz i barwić siatkówki na czerwono.

– Jak błogo – westchnął.

Georgene usiadła obok. Zetknęli się ramionami. Dotyk jej skóry był jak zetknięcie z drobnoziarnistym papierem ściernym, który przy potarciu wyzwala ciepłe ukłucie. Georgene miała na sobie tylko bieliznę. Piet wsparł się na łokciu i pocałował ją w brzuch, płaski, miękki i rozgrzany. Przypomnił sobie ciepłą deskę do prasowania, na której matka kazała mu



opierać głowę, kiedy bolały go uszy; przytknął małżowinę do brzucha leżącej obok kobiety i usłyszał ciche trawienne burczenie. Georgene nadal starała się jak najlepiej wystawić na działanie promieni słonecznych. Przebiegła palcami włosy Pieta, i niezgrabnie przesunęła dłońmi wzdłuż jego ramion.

– Masz na sobie za dużo rzeczy – stwierdziła.

Jego głos zabrzmiał piskliwie i prosząco.

– Nie mam czasu, kochanie. Powinienem być już na Indian Hill. Zaczęliśmy wycinkę drzew.

Nasłuchiwał warkotu pił łańcuchowych swojej ekipy; wzgórze było oddalone od domu Thorne'ów o niecałą milę.

– Proszę, zostań jeszcze. Przyszedłeś tylko po to, żeby mnie rozdrażnić?

– Nie mogę się z tobą kochać. Nie droczę się. Przyszedłem się przywitać i powiedzieć, jak bardzo za tobą tęskniłem w ten weekend. Byliśmy na różnych przyjęciach. Razem z Ongami odwiedziliśmy Gallagherów. Straszne nudy.

– Rozmawialiśmy o tobie w sobotę u Guerinów. Wywołało to we mnie kolący przypływ tęsknoty.

Georgene uniosła się nieco i zaczęła rozpinać mu koszulę. Dolną wargę schowała pod język. Angela robiła podobną minę, kiedy zapinała dzieciom kombinezony narciarskie. Wszystkie kobiety są takie poważne, kiedy wykonują swoje małe zadania. To spostrzeżenie rozbawiło go i poruszyło; nagle ujrzał, jak świat sunie do przodu, wprawiany w ruch przez kobiecą uważność przy wykonywaniu wszystkich przyziemnych czynności, takich jak rozpinanie guzików, prasowanie, opalanie się, gotowanie i seks. Małe obowiązki spajające świat. Piet pozwolił Georgene na manipulacje przy koszuli i pocałował jaśniutki kosmyk koło jej ucha, widoczny jedynie w słońcu. Nawet w tym miejscu pojawił się pieg. Nasionko. Między cierniami. Upadłe. Georgene rozchyliła poły jego koszuli i usiłowała ściągnąć mu ją z ramion. W trakcie tych zabiegów oparła się o niego niewielkim, opiętym w stanik biustem i wklęsłym mostkiem. Z pochyloną głową zdawała się potulna jak baranek. Piet ściągnął koszulę i podkoszulek; nieważkie jak topiki, drobinki światła odbijane przez folię aluminiową prześlizgiwały się po jego bladej skórze i bursztynowych włosach na piersi.

Piet wciągnął Georgene w fioletowy cień swoich ramion. Jej ciało, wyjątkowo delikatne w samej bieliźnie, było kościste jak u chłopca i w niczym nie przypominało niedostępnej obfitości Angeli. Jego żona rozpływała się w powietrzu przy pierwszym dotyku. Georgene pozostawała na miejscu, osiągalna. Ta prostota sprawiała, że Piet odnosił czasami wrażenie zbyt bliskości, nadmiernej bezpośredniości. Podejrzewał, że wyrozumiałość Georgene zaogniała jedynie rany jego duszy. Każda miłość jest zdradą, ponieważ schlebia życiu. Człowiek, który nie kocha, jest najlepiej uzbrojony przeciwko światu. Zazdrosny Bóg. Georgene otworzyła szeroko usta i wciągnęła jego język w bezkształtną, wilgotną przestrzeń; drżenie przekształciło się w dające zapomnienie zaabsorbowanie; nagle Piet poczuł się zagubiony i cofnął się przestraszony. Usta Georgene zdawały się rozmyte i rozdarte. Zielen jej oczu ściemniała w jego cieniu.

– O czym była mowa? – spytał.

Wpatrzona w przestrzeń za jego plecami, szukała właściwych słów.

– Whitmanowie zastanawiali się, nawiasem mówiąc ona jest w ciąży, a więc Whitmanowie zastanawiali się, czy powinni zatrudnić cię do remontu domu. Frank powiedział, że jesteś beznadziejny, a Roger zareklamował cię jako świetnego fachowca.

– Appleby mnie krytykował? Co za sukinsyn, przecież nie zrobiłem mu nic złego. Nigdy nie spałem z Janet.

– Może to był mniejszy Smith, nie pamiętam. Chodziło o jedną uwagę, a właściwie żart.

Georgene przybrała maskę spokoju; zacisnęła szczęki, a kąciki jej ust opadły z wystudiowanym smutkiem. Co chwila omiatały ich cienie rzucane przez gałązki modrzewi.

Piet domyślił się, że chodzi o jej męża, i zmienił temat.

– Ta wysoka, zimna blondynka z różową twarzą jest w ciąży?

– Powiedziała Bei w kuchni. Muszę przyznać, że zachowywała się dość niegrzecznie. Freddy obskakiwał ją jak szczeniak, a ona zasypiała nad talerzem z zupą. Pochodzi z Południa. Czy kobiety stamtąd nie mają obsesji na punkcie gwałtu?

– W zeszłą niedzielę obserwowałem, jak odjeżdża spod kościoła. Paliła gumy. W tej paniusi coś się gotuje.

– To się nazywa płód. – Georgene zacisnęła szczęki i zmarszczyła podbródek. Po chwili dodała: – Nie sprawiają wrażenia zabawowej pary. Freddy uważa go za sztywniaka. Ja natomiast siedziałam naprzeciwko niej i muszę przyznać, że te wielkie piwne ślepia nie przestawały się poruszać. Niczego nie przeoczyła. Poczułam się urażona. Freddy zachowywał się jak zwykle, a ja widziałam, że ona się zastanawia, co w związku z tym powinna sądzić o mnie.

– Nikt z nas nie wie, co należy o tobie sądzić.

Udała, że uraził ją tą uwagą, ale tak naprawdę zirytowało ją jego zainteresowanie Foxy Whitman. Wyswobodziła się z jego objęcia i ponownie wyciągnęła się na pledzie. Oddała się słońcu. Dziwka. Odbijająca promienie folia rzucała na jej twarz paraboliczne plamki, mgławice i strumienie światła. Słoneczna sperma. W przypiływie zazdrości Piet ściągnął buty, skarpetki i spodnie, pozostając jedynie w bokserkach w turecki wzór. Był ukrytym elegantem. Położył się obok Georgene, a kiedy odwróciła się do niego przodem, sięgnął za jej plecy i rozpiął stanik.

– Bliźniaki – powiedział, mając na myśli ich ubrania. Oboje powinni zostać w samych majtkach.

Miała mniejsze piersi niż Angela, z zapadniętymi, bladymi brodawkami, które nieosłonięte, zdawały się błagać o ochronę. Nakrył je torsem i leżeli tak przez chwilę wśród szepczących drzew, Jaś i Małgosia, porzuceni. Opadłe z modrzewi igły gromadziły się na papie w formie plam i smug; tworzyły żółtobrunatne rdzawe zacieki wzdłuż drewnianej balustrady i w aluminiowej prowadnicy rozsuwanych szklanych drzwi. Piet pogłaskał płynną linię jej pleców, przesuwając kciukiem po kręgosłupie, począwszy od małych kostek na karku do wyjątkowo wyraźnie zarysowanej kości ogonowej. Georgene miała solidne zaczątki ogona. Była bardziej koścista niż Angela. Przytulone do niego ciało miało tak naturalny i siostrzany charakter, że nie wywoływało u niego wzrodu. Tymczasem w wypadku Angeli wystarczyło, by poczuł dotyk jej stopy na podbiciu. Przyłoczony rozpiętością nieba, widokiem wierzchołków drzew i śpiewem ptaków, zastanawiał się, którą z nich tak naprawdę kocha.

Nim doszło do ich romansu, Piet ignorował Georgene. Zasłaniał mu ją mur wzgardy, jaką czuł do jej męża. Zarówno Piet, jak i Angela od razu zapałali niechęcią do Freddy'ego, pomimo iż Thorne'owie zawsze im nadskakiwali. Natomiast Hanemowie traktowali ich wyjątkowo niegrzecznie, odrzucając kilka zaproszeń z rzędu bez podania powodu, a niekiedy w ogóle pozostawiając je bez odpowiedzi. Wówczas nie czuli szczególnej potrzeby posiadania przyjaciół. Piet nie był jeszcze świadomy tego, że jest z Angelą nieszczęśliwy, chociaż mgliście marzył o uprawianiu seksu z innymi kobietami – z Janet albo z majestatyczną Terry Gallagher o cygańskich włosach. Były to jednak tylko fantazje, jakie się snuje, usiłując zasnąć. Ale dwa lata temu Ongowie wybudowali kort tenisowy i Piet coraz częściej widywał Georgene. Następnego lata jego senne marzenia zaczęły się urzeczywistniać; nieświadomie odwrócił się od Angeli i zaczął promieniować otwartością, zachętą. A Georgene reagowała – przelotny dotyk podczas przyjęcia, nieplanowane, regularne powroty jednym samochodem z tenisa. Powiedziała, że czekała na-niego od dawna.

– Co jeszcze? – spytał.

– Co jeszcze co? – Pod zalaną słońcem maską twarzy jej zmysły reagowały na ruchy jego

dłoni.

– Co jeszcze u ciebie słyhać? Jak się czuje Whitney?

– Biedny Whit. Wczoraj miał gorączkę, ale posłałam go do szkoły, na wypadek, gdybyś chciał wpaść.

– Nie powinnaś była tego robić.

– Nic mu nie będzie. Każdy musi przejść wiosenne przeziębienie.

– Ty nie.

Słyszając naganę w jego głosie, Georgene zmieniła temat.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że nigdy nie spałeś z Janet, kiedy ci powiedziałam, że Frank cię skrytykował podczas przyjęcia?

– Nie spałem z nią. Chociaż od dawna mam na to ochotę.

– Ale czy uważasz, przestań na chwilę, łaskoczesz mnie, czy uważasz, że to dlatego Freddy cię nie lubi? Skłamałam, wiesz? To Freddy powiedział Whitmanom, że jesteś marnym wykonawcą.

– Oczywiście. Co za palant.

– Nie powinienes go nienawidzić.

– To tak dla sportu.

– Myślisz, że o nas wie? Freddy.

Uraziła go jej ciekawość; chciał, by zupełnie zapomniała o mężu.

– Myślę, że nie ma pewności. Może coś przeczuwa. Bea Guerin dała mi ostatnio do zrozumienia, że wszyscy wiedzą.

– Przyznałeś się?

– Oczywiście, że nie. O co ci chodzi? Freddy naprawdę coś podejrzewa?

Twarz Georgene była zupełnie spokojna. Na jedną z jej powiek padał wąski, drżący promień światła; nagły podmuch wiatru poruszył arkuszami folii, która wydała dźwięk podobny do cichego grzmotu.

– Mówi, że muszę kogoś mieć, bo nie pragnę go już tak jak kiedyś. Czuje się zagrożony. A gdyby miał zrobić listę podejrzanych, umieściłby cię na pierwszym miejscu. Jednak z jakiegoś powodu nie wyciąga wniosków. Może już wszystko wie, tylko chce to wykorzystać przeciwko nam w przyszłości.

Piet się zdenerwował. Napiął wszystkie mięśnie. Georgene to wyczuła i otworzyła oczy; jej butelkowo-zielone tęczówki były usiane plamkami, a źrenice zmniejszyły się w słońcu do średnicy rysika od ołówka.

– Czas zerwać? – spytał Piet.

Postawiona w obliczu wyzwania, córka bankiera z Filadelfii zaczynała mówić z żartobliwym akcentem imigrantki, sprzedawczyni i wampa w jednej osobie.

– Nie bądź głupi, facet – powiedziała i uniosła się nieco, przyciskając do niego biodra tak mocno, że poczuł jej jedwab poprzez swoją bawełnę. Trzymała go jakby w potrzasku. Miała gładkie, silne ramiona; potrafiła wygrać z nim seta w tenisa. Piet zaczął się z nią mocować, widząc nad sobą jej piersi, które kołysały się jak dwie bulwy i które następnie zostały rozpląszczone, kiedy przewrócił ją na plecy i przycisnął do ziemi, uda kolanami, nadgarstki dłońmi. Smołowany papier. Zdawała się wpatrywać w niego całą powierzchnią lśniącej skóry. Osłabiony wygraną, Piet pochylił głowę i błagalnym gestem wziął w usta jej sutek, o lekko słonym i kwaśnym smaku. Georgene poczuła, że cała jest zbudowana z okręgów, które można rozdzielać, by tworzyły się kolejne. Ponad punktem styczności z tęczą, wilgotną obwódka, dzięki której czuł się bezpieczny, ćwierkały ptaki. Miękka jak puch dłoń Georgene ustanowiła drugi punkt styczności, odnalazła jego rdzeń. Gdyby wierzyć jej dotykowi, miał jądra pokryte aksamitem, a penis zrobiony z czystego srebra.

– Nie mamy na sobie przypadkiem zbyt wielu ubrań? – spytał uprzejmie Piet.

Jego grzeczność nie była udawana. Nie łączyło ich małżeństwo ani żadna umowa, dlatego

wykształcili swoisty kodeks wzajemnego poszanowania. Waga zdrady była równo rozłożona. Ośmielając się wspomnieć o zerwaniu i udzielając jej w ten sposób nagany, Piet sprowokował Georgene do przekroczenia granicy. Teraz przysłała kolej na to, by ona zadała pytanie, a on przekroczył granicę.

– Co z drzewami na Indian Hill? – powiedziała.

– Mogą padać beze mnie – odparł.

Tam, gdzie kończył się pled, spalone przez słońce igły wydzielały zapach stęchlizny i jabłeczniaka. Papa błyszczała. Była naprawdę dobrej jakości; z mineralizowaną powłoką, w 1960 kosztowała 4 dolary 25 centów za rolkę. Sam ją kładł na tym tarasie.

– Ale czy ty na pewno możesz? – dodał.

– Jeszcze nie upadłam – oznajmiła Georgene, siadając szybko. Następnie uklękła i ostentacyjnie wyciągnęła ramiona w stronę nieba. Ta stanowcza matka i sumienna członkini rozmaitych klubów miała nieoczekiwany i niezwykły dar. Jej erotyzm był całkowicie prostolinijny. Uformowany podczas pierwszych lat małżeństwa z Freddyem, odznaczał się bezpośredniością, z jaką się je, swobodą, z jaką się biega. Georgene była wewnątrz całkiem niewinna. Nigdy wcześniej nie miała romansu i chociaż Piet nie rozumiał, co takiego w nim widzi, wątpił, by kiedykolwiek zechciała znaleźć sobie innego kochanka. Poczucie winy się jej nie imać. Na początku, kiedy Piet zdecydował się na romans, był przygotowany na nadejście straszliwych wyrzutów sumienia, tak jak znajdujący się w powietrzu skoczek jest przygotowany na podwodny pęd i szum. Ale nic takiego nie nastąpiło. Za pierwszym razem (to był wrzesień – jabłka w kuchni, dzieci w szkole, poza śpiącą na parterze Judy) Georgene złapała go lekko za palec i zaprowadziła na piętro, do łóżka. Sprawnie rozebrali się nawzajem. Kiedy wyraził niepokój możliwością jej zajścia w ciążę, roześmiała się. Czyżby Angela nie używała jeszcze enovidu? „Witaj – powiedziała Georgene – w pigułkowym raj”. To beztroskie bluźnierstwo przyniosło mu ogromną ulgę. Seks z Angelą wiązał się ze wspomnieniami jego własnej niezręczności i jej nieumiejętności tolerowania niezręczności; z potrzebą zachowania taktu i jej irytacją, że takt podszyty jest błaganiem; ze wzdumą, jaką okazywała bez względu na to, czy zabiegał o jej względy ubrany w pidżamę, czy też szalał nago; z jego ewidentną bezsilnością i jej niejasnym rozczarowaniem. Georgene w dwadzieścia minut zlikwidowała wszystkie elementy braku porozumienia i pokazała mu coś pierwotnego. Teraz klęczała przed nim w słońcu. Piet również się podniósł i bardzo ostrożnie, jak gdyby umieszczał cieniutkie trybiki w mechanizmie zegarka, pocałował ją najpierw w lewe, a potem w prawe łśniące ramię. Wszystko występowało u niej podwójnie. Wszystko podwójnie. Bez dwoistości, entropii. Uniwersum lustrem Boga.

– Jesteś moim słońcem – powiedziała.

– Za wcześnie na opaleniznę. – A potem uprzejmie: – Może przeniesiemy się do środka?

Przez rozsuwane szklane drzwi wchodziło się do pokoju zabaw, a stamtąd do wielkiej sypialni, ozdobionej chińskimi lampionami, afrykańskimi maskami i rzeźbionym porożem z różnych stron świata. Dom Thorne'ów, późnowiktoriański budynek – z dwuspadowym dachem, zdobionym okapem, wspornikami i piorunochronem oraz falistym gontem o cynkowym wykończeniu z różowych płytek z kamionki, ułożonych w rzędach – był urządzony w stylu radosnego eklektyzmu. Można w nim było zobaczyć ogromne, czarne hiszpańskie kufry, komody w stylu chippendale z kontrastującą, łuszczącą się okleiną, nowoczesne szafki z metalowych rurek, kolonialne meble ze sklepu z pamiątkami, krzesła marki Hitchcock z brakującymi poprzeczkami, secesyjne fotele na biegunach, japońskie ryciny, wielkie poduszki w sztruksowych poszewkach, filipińskie dywany plecione z sitowia. Niezniszczalny jak burdel, dom ten świetnie nadawał się do wydawania przyjęć. W trakcie potajemnych porannych wizyt Piet poznał go od nieco innej strony. Gdzieniegdzie podłoga bywała usłana okruszkami z kanapek, które dzieci kończyły, biegnąc do szkolnego autobusu, a „The Boston Globe” leżał na ziemi, otwarty na stronie z komiksami. Stopniowo meble

Thorne'ów, zabytkowe lampy i gapiące się maski, nauczyły się go witać jako chwilowego pana domu. Podczas gdy Georgene brała przygotowawczy prysznic, rozwalał się władczo na łóżku małżeńskim, tak wielkim, że nie sięgał stopami deski w nogach. Z zaciekawieniem przeglądał leżące na pobliskiej półce książki Thorne'a – Henry Miller w wystrzępionych paryskich edycjach, Zygmunt Freud wydany w serii Modern Library, *Matka Boska Kwietna* oraz *Fanny Hill* świeżo z Grove Press, natchnione psychologiczne wynurzenia Menningerów, traktujący o hipnozie poradnik w jasnoszarej okładce, „Psychopatia Sexualis” w formie podręcznika, przemycony z Kioto, delikatnie barwiony album na grubym papierze, poezja Safony wydana przez Peter Pauper Press, pełna wersja *Baśni Tysiąca i Jednej Nocy* w dwóch tomach, prace Theodora Reika i Wilhelma Reicha oraz rozmaite tandetne powieści w miękkich okładkach. Potem Georgene wychodziła z parującej łaźienki w fioletowym turbanie z ręcznika.

Zdziwiła go jej odpowiedź.

– Zróbmy to dla odmiany na dworze.

Piet poczuł, że nadal jest karany.

– Nie zawstydzimy Boga?

– Nie słyszałeś, że Bóg jest kobietą? Nic jej nie zawstydzi.

Włożyła palec za gumkę jego bokserek, ściągnęła je w dół i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Słońce skryło się na moment za chmurą. Piet odniósł wrażenie, że jest obserwowany, i spojrzał z obawą w górę. Nagle poczuł ogromny podziw dla tego, co niewytłumaczalne, dla niezakłóconego rejsu flotyli chmur o niebieskich podbrzuszach, statków zdążających zawsze do jednego celu. Jedna z nich zasłoniła słońce; wyrastały z niej złocące się w promieniach pędy – rufa i maszt. Po chwili chmura ruszyła dalej, pozostawiając za sobą opalizującą smugę, armatni wystrzał. Przepłynęła bezpiecznie nad Pietem. Słońce ponownie opuściło kolumny światła na popękana kwietniową ziemię, na rozmokłe jesienne liście, na koralowe pączki na gałęziach brzoź i musztardowe na konarach modrzewi, na schnące opadłe igły, papę i ich rozrzucone ubrania. Majtki Georgene miały niewielką miodową plamę między ozdobnymi falbankami. Pot między jej piersiami był słony i błyszczący. Piet pochylił się, dotknął palcami zapraszającej, śliskiej muszelki, a potem zaczął lizać pestkę wewnątrz szparki i kosmyki. Słońce i ślina wytworzyły matową pianę na jej włosach łonowych. Piet wyobraził sobie kociątko, które uczy się pić mleko ze spodka. Spieszył się, szukając w jej oczach przebaczenia, ponieważ na skraju uwolnienia jego miłość przysłonił cień smutku i przemijania. Rozchylił uda Georgene i wziął ją z prostotą, na jaką zawsze mu zezwalała. Lekki opór, potem błoga głębia, ześlizgiwanie się krok po kroku. Stopniowe wejście powoli wywoływało w jej oczach zaskoczenie. Piet przymknął powieki, obawiając się ujrzeć coś pospolitego na jej uległej twarzy. Dobiegał go szept zwieszających się nad nimi konarów. W oddali warczały piły. Powiew wiatru drażnił ściśnięte pośladki Pieta; przeszkadzał mu śpiew ptaków, szpiegujący ich wynajęty chór Thorne'a.

– Cudownie. Jak cudownie – wyszeptła Georgene.

Piet odważył się rzucić na nią okiem i zobaczył, że jej napięte powieki pokryte są siatką fioletowych naczyń, a w kąciку ust podnosi się bąbelek śliny. Przepęłniło go niezwykle silne uczucie straty. Ogarnął go smutek, pomimo iż serce łomotało mu w piersi. Ugryzł Georgene w gładkie jak pomarańcza w słońcu ramię i podążył wytłumioną parabolą o czerwonych ścianach, na końcu której czekała na niego ona. Odrzuciła głowę na bok; pociągnęły go przemoczone kosmyki; och. Dobra z niej dziewczynka, taka cierpliwa i bez względu na to, jak niezręcznie mu idzie, sama potrafi znaleźć drogę. W obcej przestrzeni skoczył raz, potem drugi.

– Och – powiedziała.

Leżała lawendowa w jego cieniu, kąciку ust miała usiane plamkami.

– Dobrze ci było? – spytał uprzejmie Piet.

– Kochanie. Nawet nie pytaj.

– Nie byłem w najlepszej formie. Nie jestem przyzwyczajony do zabaw na świeżym powietrzu.

Georgene wzruszyła pod nim ramionami. Miała śliską szyję i ramiona. Droбина czarnego pyłu z placu budowy, ziarnista smoła z jego włosów, przylgnęła jej do policzka.

– Byłeś sobą. Kocham cię. Kocham mieć cię w sobie.

Piet miał ochotę się rozplakać, tak by jego ciężkie łzy kapały na jej rozplaszczone piersi.

– Byłem wystarczająco duży?

Zaśmiała się, ukazując rzędy równych zębów. Żona dentysty.

– Nie – odparła. – Byłeś zupełnie oklapły. – Widząc, że czekał w napięciu na jej odpowiedź i jest gotowy w nią uwierzyć, dodała z powagą: – Sprawiasz mi ból. Czuję cię w sobie jeszcze długo potem.

– Naprawdę? Cudownie. Miło z twojej strony, że to mówisz. Ale powinnaś protestować.

– To w słusznej sprawie. A teraz złaż ze mnie. Jedź na Indian Hill.

Siedząc obok niej, odrzucony, czuł się słaby i uprzywilejowany jak dziecko. Jego usta i palce poruszały się niestrudzenie.

– Co takiego złego powiedział o mnie Freddy?

– Ze jesteś drogi i wolno pracujesz.

– Nie rozminął się zbyttnio z prawdą.

Piet zaczął się ubierać. Śpiew ptaków był teraz jak tykanie zegara. Nagie ciało Georgene zdawało się jełczeć, jak masło na zalanym słońcem parapecie. Prawdopodobnie często tak leżała, przyjmując słońce bez zastrzeżeń. Linie kostiumu kąpielowego na jej ciele nie były wyraźne, tak jak u Angeli. Jej koci podbródek kleił się od spermy. Zmięty pled wysunął się spod głowy, a modrzewiowe igły wplątały się we włosy, czarne z siwymi pasmami. Z powodu tej przedwczesnej, postarzającej zmiany Georgene zawsze nosiła je bardzo krótko obcięte.

– Dziecinko – odezwał się Piet, żeby wypełnić jakoś milczenie, podczas gdy się ubierał – nie obchodzi mnie, co mówi Freddy. Nie chcę pracować dla Whitmanów. Z takimi starymi domami nigdy nic nie wiadomo. Gallagher uważa, że poświęciliśmy zbyt wiele czasu na odnawianie ruder dla znajomych i dla znajomych znajomych. Chce zbudować do jesieni trzy parterowe domy w Indian Hill. Przyniosą nam większy zysk. Dzieci z wojennego wyżu demograficznego właśnie dorastają.

– Pieniądze – powiedziała Georgene. – Zaczynasz mówić tak jak cała reszta.

– Cóż – wzruszył ramionami. – Nie można być dziewicą przez całe życie. Wreszcie i ja zostałem kupiony.

Był już całkowicie ubrany. Chłodne powietrze owiało mu ramiona; włożył morelową kurtkę. Georgene odprowadziła go do drzwi – dobre maniery nigdy ich nie opuszczały. Piet był równocześnie zgorzony i pełen podziwu dla łatwości, z jaką szła nago przez pokoje, mijając zabawki dzieci i książki męża, po schodach, pod półką ze środkami czystości, przez wypucowaną kuchnię, do bocznych drzwi. Z tej strony domu, gdzie składano drewno opałowe, a samotny wiaź rzucał misterną sieć cieni, można było wyczuć prawie wiejską atmosferę, kontrastującą z barbarzyńskim ogromem reszty. Stąd za róg garażu nie prowadziła ceglana ani kamienna ścieżka, ale wydeptana w trawie, błotnista dróżka. Piet podążył nią do furgonetki, zakurzonego oliwkowego chevroleta, na którym z tyłu jakieś dziecko napisało UMYJ MNIE. Bosa Georgene nie wyszła za próg. Uśmiechnięta, wychyliła się w milczeniu przez otwarte drzwi, pozostawiając w głowie Pieta jasną i złożoną impresję: zwierzęcia domowego, zaspokojonej kobiety, drwiącego chłopca i pożegnania.

Następnej niedzieli, kilka minut po południu, Foxy wróciła z kościoła i z westchnieniem położyła kapelusz z woalką na stoliku o metalowych nogach, obok telefonu. W tym samym

momencie bezczelny aparat się rozdzwonił. Foxy rozpoznała głos w słuchawce. Piet Hanema. Już od tygodnia myślała o tym, żeby do niego zadzwonić, więc była przygotowana (mimo iż nigdy tak naprawdę ze sobą nie rozmawiali) na rozpoznanie jego głosu. Hanema mówił z mniejszą pewnością siebie i większym szacunkiem niż inni mężczyźni, których poznała w Tarbox. Jego głos odznaczał się też płaskim, niewyraźnym środkowozachodnim zaśpiewem. Chciał rozmawiać z Kenem. Foxy poszła do kuchni i celowo się nie przysłuchiwała, właśnie dlatego, że miała na to ochotę.

Przez cały tydzień nie była w stanie zadzwonić do Hanemy, wyczuwając cichy sprzeciw Kena, a teraz dłonie drżały jej jakby z poczucia winy. Nalała sobie szklankę wytrawnego wermutu. Wraz z poprawą pogody chodzenie do kościoła stawało się dla niej coraz większym wyrzeczeniem. Pąki magnolii pęczniały pod wpływem ciepła i kłaniały się w stronę uchylonej szybki w pamiątkowym witrażu; na małym, późnowiktoriańskim cmentarzu, usytuowanym między kościołem a rzeką, śpiewały ptaki, kazanie się dłużyło, ławki poskrzypywały nerwowo. Ken wszedł do kuchni.

– Zaprosił mnie na mecz koszykówki. Będą grać u niego o drugiej.

Koszykówka była jedynym sportem, jaki kiedykolwiek naprawdę go interesował. Grał dla Exeter, a potem w drużynie Harvardu (wyznał to Foxy jak grzech, gdyż uprawianie koszykówki uchodziło za modne zajęcie).

– Zabawne – powiedziała Foxy.

– Ma za domem kosz umocowany do ściany stodoły i małe asfaltowe boisko. Powiedział, że wiosną, między wyjazdami na narty a meczami tenisa, niektórzy mężczyźni lubią sobie pograć. Potrzebują szóstego, żeby były dwie drużyny po trzy osoby.

– Zgodziłeś się?

– Myślałem, że chciałaś pospacerować po plaży.

– Możemy iść kiedy indziej albo pójść sama.

– Nie rób z siebie męczennicy. Pijesz wytrawny wermut?

– Tak. Zasmakował mi u Guerinów.

– Poza tym nie zapominaj, że dzisiaj wieczorem mają wpaść Ned i Gretchen.

– Na pewno zjawią się dopiero po ósmej, wiesz, jacy aroganccy są ludzie z Cambridge. Zadzwoni, że zagrasz, dobrze ci to zrobi.

– Tak właściwie to powiedziałem, że może się zjawie – przyznał Ken.

Foxy się roześmiała, zachwycona tym drobnym oszustwem.

– Dlaczego tak kręcisz, jeśli już się zgodziłeś?

– Nie powinienem zostawiać cię tu samej na całe popołudnie.

Chodziło mu o to, że jest ciężarna. Nadmierna troska zdradzała jego stan ducha. Zbyt długo pozostawali bezdzietni; Ken obawiał się mającej nastąpić zmiany, i dlatego tak się z nią cackał. Foxy pokazała mu, że jest wesoła i beztroska.

– Mogę pojechać z tobą i popatrzeć, jak gracie? Sądziłam, że to miasto żon.

Foxy była jedyną żoną, która pojawiła się na meczu. Angela Hanema wyszła z domu, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Dzień sprzyjał przebywaniu na świeżym powietrzu i nic nie wskazywało na to, by Angela miała do niej jakiejkolwiek pretensje. Razem przeniosły zniszczoną i lekko wilgotną ławkę z toczonymi poprzeczkami i ustawiły ją na wysypanym żwirze podjeździe. Stamtąd mogły równocześnie obserwować grę, wystawiać twarze na słońce oraz pilnować gromadki dzieci biegających po dużym prostokątnym podwórzu i kryjących się wśród pączkujących drzew. Dalej rozpościerała się korona lasu.

– Czyje są te wszystkie dzieci? – spytała Foxy.

– Dwie dziewczynki są nasze. Jedna stoi obok poidełka dla ptaków i ssie kciuk. To Nancy.

– Czy to zły nawyk?

Prawdopodobnie żadna matka nie zadałaby tak naiwnego pytania, ale Foxy była ciekawa i

czuła, że nie przyniesie jej to wstydu w oczach Angeli, która wydawała się bardzo taktowna i lekko rozbawiona.

– To niezbyt estetyczne – odparła. – Nie robiła tego jako dziecko, zaczęła dopiero ostatniej zimy. Martwi się sprawą śmierci. Nie wiem, skąd jej się to bierze. Piet upiera się, by dziewczynki chodziły do szkółki niedzielnej, i może tam o tym rozmawiają.

– Myślę, że prowadzący zajęcia czują się w obowiązku to robić.

– Być może. Z pozostałych dzieci, które widzisz, te wesołe i głośne należą do naszych sąsiadów, właścicieli mlecznej farmy, a resztę przyprowadzili dumni tatusiowie.

– Nie znam jeszcze wszystkich tatusiów. Widzę Harolda. Dlaczego nazywacie go mniejszym Smithem?

– To jeden z tych dowcipów, które zbyt często powtarzane zostają na zawsze. Kiedyś w miasteczku była inna para o nazwisku Smith, ale dawno się wyprowadzili.

– Ten duży mężczyzna to nasz pośrednik handlu nieruchomościami.

– Matt Gallagher. Partner mojego męża. Natomiast ten rudy, który tak podskakuje, to mój mąż.

„Jaki zabawny”, pomyślała Foxy.

– Był na przyjęciu, które wydali dla nas Frank i Marcia Appleby.

– Wszyscy tam byliśmy. Brodacz z szerokim uśmiechem to Ben Saltz. Pisze się S-a-l-t-z. Wydaje mi się, że skrócił nazwisko.

– Wygląda diabolicznie – stwierdziła Foxy.

– Nie dla mnie. Myślę, chciałby wyglądać zawadiacko, a wygląda jak amisz. Zapłacił brodę, żeby zakryła blizny po ospie. Kiedy się tu przeprowadziliśmy, była bujniejsza, teraz ją równo przycina. Jego wygląd jest mylący, bo to niezwykle miły człowiek, a nawet pantoflarz. Irene to *spiritus movens* Ligi, Sprawiedliwej Polityki Mieszkaniowej i wszystkich innych stowarzyszeń, które chcą zrobić coś dobrego dla miasta. Ben pracuje w jednym z zakładów wzdłuż drogi numer sto dwadzieścia osiem, które wyglądają, jakby produkowano w nich lody.

– Sądziłam, że tam pracuje ten Chińczyk.

– Koreańczyk. Chodzi ci o Johna Onga. Nie ma go tu dzisiaj. Gra jedynie w tenisa, ale marnie. Natomiast Freddy Thorne mówił mi, że jest niezłym szachistą. John Ong pracuje jako fizyk jądrowy w MIT. W MIT? Raczej pod nim. W olbrzymiej podziemnej pracowni, gdzie trzeba znać hasło, żeby się dostać do środka.

– Przy cyklotronie?

– Zapominam ciągle, że twój mąż też jest naukowcem – powiedziała Angela. – Nie mam pojęcia. Ani on, ani Ben nie rozmawiają o tym, czym się zajmują, bo pracują dla rządu. Dlatego wszyscy pozostali czują się wyrzuceni poza nawias. Wydaje mi się, że malutki przełącznik w tym czymś, co rozminęło się z księżycem, to był pomysł Bena. Zajmuje się miniaturyzacją. Pokazywał nam kiedyś radia wielkości paznokcia.

– W czasie przyjęcia usiłowałam porozmawiać z..., jak on się nazywa... Ong? Wszyscy macie takie zabawne nazwiska.

– Czy nie jest tak, że wszystkie nazwiska wydają się zabawne, dopóki człowiek się do nich nie przyzwyczai? Pomyśl Szekspirze albo Churchill. Pomyśl o Pillsburym.

– W każdym razie usiłowałam z nim porozmawiać, ale nie byłam w stanie go zrozumieć.

– Wiem. Ma trudności z wymową spółgłosek. Onga można uznać za zdobywcę wojny w Korei. Nie sądzę, by zdradził, nie byłby do tego zdolny. Chyba po prostu cieszy się tutaj znakomitą opinią. Przez jakiś czas wykładał na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa. Poznał Bernadettę w Baltimore. Jeśli kiedykolwiek mieliby zrzucić na Tarbox bombę wodorową, to właśnie z jego powodu. Jest niebezpieczny jak arsenał USS „Watertown”. Ale masz rację. Nie jest zbyt seksowny.

W jej głosie pobrzmiwała wzgarda dla seksu oraz świadomość, że inni mogą tylko przez



jego pryzmat spoglądać na świat. Obserwując usta Angeli, poblądłe w słońcu i ułożone w lekki uśmiech, Foxy odniosła wrażenie, że spogląda na wykwintną neutralną sferę, przez którą przepływają obserwacje i doznania, pozdrawiając się nawzajem jak przechadzający się arystokraci. Z reguły jest tak, że każde małżeństwo składa się z arystokraty i wieśniaka. Z nauczyciela i ucznia. Mimo iż Foxy była ponad trzy centymetry wyższa od Angeli, czuła się przy niej malutka, jak uczennica, równocześnie chroniona i mobilizowana. Poczwała, że się rumieni.

– Kim jest mężczyzna z widmowymi oczami? – spytała szybko.

– Chyba rzeczywiście są widmowe. Zawsze uważałam, że ma stalowe spojrzenie, ale się myliłam. To Eddie Constantine. Pracuje jako pilot linii lotniczych. Rok temu wprowadził się z rodziną do dużego, ponurego domu przy parku. Ten wysoki nastolatek, który wygląda jak Apollo Belwederski, to syn jego sąsiada. Eddie przywiózł go ze sobą na wypadek, gdyby zabrakło szóstego gracza. Piet nie był pewien, czy twój mąż się pojawi.

– Czyli z powodu Kena jest za dużo osób?

– Ależ nie, są szczęśliwi, że mają rezerwowego. Koszykówka nie jest zbyt popularnym sportem i nie da się w nią grać z kobietami. A on jest naprawdę dobry. Twój mąż.

Foxy zaczęła obserwować grę. Syn sąsiada Constantine'a stał z boku, emanując wdziękiem, choć był wyraźnie skrępowany, podczas gdy sześciu dorosłych mężczyzn pocilo się i dyszało, kozłowało i robiło zwody. Wyglądali dość niezdarnie na małym kawałku asfaltu, otoczonego ze wszystkich stron błotnistą ziemią, miękką i zadeptaną tenisówkami. Ken i Gallagher byli najwyżsi. Foxy obserwowała, jak jej mąż, robiąc oszczędne, ale efektywne ruchy, jakich od lat u niego nie widziała, podnosi piłkę na wysokość czoła i rzuca ją. Zakręciła się wewnątrz obręczy, ale wypadła. Fakt, że Ken spudłował, ucieszył Foxy. Dlaczego? Wyglądał na tak pewnego siebie, całe jego ciało było przygotowane na to, że piłka wpadnie do kosza. Zebrał ją Constantine i z wysuniętym ramieniem zaczął nisko kozłować. Foxy była pewna, że wychował się w mieście. Jego przezroczyście, widmowe oczy przywodziły na myśl papier fotograficzny – raz srebrny, raz czarny, innym razem znów jasny, w zależności od tego, w czym go zanurzyć. Mniejszy Smith, czerwony na twarzy, ciągle klepał się po nogach, jak gdyby chciał wprowadzić jakieś zamieszanie. Foxy nie rozumiała, dlaczego uczestniczy w grze; jego ruchy nie były instynktowne. Saltz, na którego uwielbianie już była przygotowana, trzymał się z boku, pochylony i uśmiechnięty, jak gdyby zawstydzony, że uczestniczy w zabawie dla chłopców. Miał szeroki tyłek, a zamiast tenisówek czarne sznurowane buty, w rodzaju tych, które wystają spod księżej sutanny. Foxy obserwowała, jak Hanema energicznie odebrał piłkę Constantine'owi, odpychając jego wystawiony łokieć, przecisnął się obok Kena w sposób, który musiał być niezgodny z przepisami, odbił się od ziemi i rzucił. Kiedy piłka wpadła do kosza, skoczył dla żartu na plecy Gallagherowi. Irlandczyk otworzył szczęki tak szeroko, że jego twarz zdawała się pięciokątna i potulnie przebiegł dokoła boiska ze swoim partnerem na plecach.

– Kroki! – zaprotestował Saltz.

– Poza tym sfaulowałeś nowego – dodał Constantine. – Pozbawiony skrupułów, sukinsynu. Głosy mężczyzn stały się piskliwe jak u nastolatków.

– W porządku, mazgaje, nie będę więcej grał – powiedział Hanema i pomachał do stojącego obok chłopca, żeby zajął jego miejsce. – Mam zadzwonić po Thorne'a, żeby nas było po czterech?

Nikt nie odpowiedział i wznowili grę. Hanema owinął sobie sweter wokół szyi i podszedł do obserwujących mecz kobiet. Stanął tuż nad nimi. Foxy nie była w stanie dojrzeć jego twarzy, która na tle słońca jawiła się jej jako okrągła, fioletowa plama. Wionęło od niego męskim zapachem, potem.

– Mam zadzwonić do Thorne'a czy ty to zrobisz? – spytał żonę szorstkim, uprzejmym głosem. – To twój przyjaciel.

– To niegrzecznie dzwonić do niego dopiero teraz – odparła. – Będzie się zastanawiał, dlaczego nie zaprosiłeś go wcześniej.

Jej głos, płynący z dołu w stronę męża, wydał się Foxy cienki i wystraszony.

– Thorne’a nie da się obrazić – oznajmił Hanema. – Gdyby to było możliwe, już dawno wyniosłby się z miasta. Poza tym wszyscy wiedzą, że w niedzielę pije do lunchu pięć martini, i tak czy inaczej nie pojawił się wcześniej.

– W takim razie zadzwoń do niego – powiedziała Angela. – I przywitaj się z Foxy.

– Proszę o wybaczenie. Jak się pani ma, pani Whitman?

– Dziękuję, panie Hanema, mam się bardzo dobrze.

Była zdeterminowana nie bać się go tak jak Angela i poczuła, że się nie boi.

Słońce świeciło zza jego głowy tęczowym blaskiem. Stał naprzeciw niej, wydzielając ciepło, ale jego ton zmienił się pod wpływem jej głosu.

– To bardzo miło z twojej strony – powiedział i zaraz powtórzył: – Bardzo miło, że przyszedłeś nam pokibicować. Lubimy mieć publiczność.

Nagle Foxy zrozumiała, że jego nagły przypływ wigoru, odtrącenie Kena i skok na plecy Gallaghera miał związek z jej obecnością. Zrobił to dlatego, że ona ich obserwowała.

– Wszyscy macie tyle energii – stwierdziła. – Jestem pod wrażeniem.

– Masz ochotę zagrać? – spytał.

– Raczej nie – odparła, zastanawiając się, czy Hanema wie o jej ciąży. Przypomniała sobie, że na przyjęciu zajrzał jej pod sukienkę, i zdała sobie sprawę, że musiał wiedzieć. Na pewno dołożył starań, by zdobyć tę informację.

– W takim razie zadzwonię lepiej po Thorne’a – powiedział i wszedł do domu.

– Kobiety też czasami grają – wytłumaczyła Angela, która odzyskała spokój. – Janet i Georgene są nawet całkiem niezłe. Przynajmniej w moim odczuciu wyglądają, jakby wiedziały, co robią.

– Ja lubię tylko hokej na trawie – wyznała Foxy.

– Na jakiej pozycji grałaś? Ja byłam środkowym cofniętym obrońcą.

– Też grałaś w hokeja na trawie? Zazwyczaj byłam środkowym obrońcą. Czasem bocznym.

– Uwielbiałam grać – powiedziała Angela. – Był to jedyny okres w moim życiu, kiedy agresja sprawiała mi satysfakcję. Mężczyźni muszą często się tak czuć.

Angela mówiła płynnie i z przekonaniem, co sprawiało, że Foxy ochoczo potakiwała jej. Tymczasem słońce chyliło się ku zachodowi pośród zabarwionych na pomarańczowo chmur. Wystawiając blade twarze na słabnące promienie, kobiety rozmawiały o hokeju („W pozycji środkowego pomocnika najbardziej podobało mi się to”, mówiła Angela, „że równocześnie byłaś w ofensywie i defensywie, a jednak nikt nie mógł cię za nic winić”); o sporcie w ogóle („Cieszę się”, mówiła Foxy, „widząc Kena uprawiającego sport. Myślę, że ciągle przebywanie ze studentami zbyt mało człowieka postarza. W Cambridge czułam się, jakbym miała sto lat.”); o zawodzie Kena („Już prawie wcale nie rozmawia ze mną o swojej pracy”, mówiła Foxy. „Kiedyś zajmował się rozgwiadami, i to było nawet zabawne, któregoś lata pojechaliśmy do Instytutu Oceanograficznego w Woods Hole. Teraz jednak zajmuje się chlorofilem, a najnowsze odkrycia dotyczą innych dziedzin, DNA i takich tam.”); o domu Pieta („Podoba mu się”, mówiła Angela, „bo jest pełen kątów prostych. Mnie oczarował dom, który kupiliście. Można z nim zrobić, co się chce. I tak pięknie unosi się nad moczarami! Piet obawiał się komarów. Tutaj z kolei nękają nas te okropne końskie muchy z mleczarni. Piet pochodzi z głębi kraju. Myślę, że ocean go przeraża. Lubi jeździć na łyżwach, ale pływanie niezbyt mu odpowiada. Uważa, że morze jest zbyt wielkie. A ja lubię, kiedy rzeczy są nieco bezkształtne. Piet woli, by wszystko było zapięte na ostatni guzik.”); i o dzieciach, które co jakiś czas wyłaniały się z lasu, żeby poskarżyć się na skaleczenie, pomarudzić albo przynieść podarunek.

- Ależ dziękuję, Franklinie! Co to może być?
- Wypluwka – odparł chłopiec. – Sowy albo jastrzębia.

Dzieciak miał około ośmiu lat, był inteligentny, ale nadwrażliwy i wolno się rozwijał. Angela trzymała prezent w dłoni. Był mniejszy niż piłeczka do golfa: suchy, okrągły zlepek, zawierający małe, łukowate kości.

- Jest piękna na swój sposób – uznała Angela. – Co chcesz, żebym z nią zrobiła?

– Schowaj ją dla mnie, póki nie zabiorą mnie do domu. Nie dawaj jej Ruthie. Ona mówi, że należy do niej, bo to jej las, ale ja chcę założyć kolekcję, i to ja ją pierwszy zauważyłem, chociaż Ruthie ją podniosła.

Wypowiedział to długie zdania i prawie się rozplakał.

- Powiedz Ruth, żeby do mnie przyszła – kazała mu Angela.

Chłopiec zmrużył oczy, odwrócił się i pobiegł.

- To mały Frank Appleby? – spytała Foxy. – Przecież jego ojca tutaj nie ma.

– Harold go przywiózł. Mały przyjaźni się z ich Jonathanem.

- Wydawało mi się, że syn Smithów jest starszy.

– To prawda, ale oczywiście spędzają razem mnóstwo czasu.

Oczywiście?

Troje dzieci wróciło z lasu, ale mała Nancy Hanema nadal trzymała się na uboczu. Chowając się za poidłem dla ptaków i ssąc kciuk, machała pozostałymi palcami przed twarzą, jak gdyby chciała skryć się przed spojrzeniem Foxy.

Ruth była krzepką, wysoką dziewczynką o okrągłej buzi. Jej ciało zdawało się bezustannie poruszać, jak gdyby chciało zmanifestować oburzenie światem zewnętrznym.

– Mamo, on mówi, że zobaczył wyplawkę pierwszy, ale tak naprawdę nic nie zobaczył, dopóki ja jej nie podniosłam. I wtedy powiedział, że należy do niego, bo on ją pierwszy zobaczył.

– To prawda, pani Hanema – potwierdził wyższy chłopiec z bystrym wyrazem twarzy. – Nasz Franklin Donosiciel chciałby wszystko zagarnąć dla siebie.

Młody Appleby od razu się rozplakał.

- To nieprawda – zdołał jedynie wykrztusić, nim znowu zabalgotało mu w gardle.

– Donosiciel i beksa – skwitował syn Smithów.

– Mamo – odezwała się Ruth, szurając stopą po żwirze, żeby zwrócić uwagę Angeli. – Zeszłego lata znaleźliśmy ptasie gniazdo, a Frankie powiedział, że potrzebuje go do swojej kolekcji, i wyrwał mi je z ręki, a wtedy ono rozpadło się na kawałki, i to wszystko przez niego!

Wzburzona dziewczynka wykonała gwałtowny gest, a jej proste włosy zafalowały.

– Patrzcie, kapuś znowu ryczy – powiedział Jonathan, mniejszy Smith. – Beksa lala pojechała do szpitala.

Pochlipując, młodszy chłopiec rzucił się na dręczyciela i zaczął okładać go pięściami. Jonathan się roześmiał; wyciągnął rękę i trącił rozgorączkowaną głowę młodego Appleby'ego; potem pchnął go ze wzgardą. Angela wstała i rozdzieliła bijących się chłopców. Jej ruchy były równocześnie energiczne i pełne gracji. Foxy patrzyła na nią z podziwem, próbując wyobrazić ją sobie grającą w hokeja, stojącą w niebieskich bufiastych spodniach pośrodku jaskrawo oświetlonego boiska, zamyśloną, ale jednocześnie stanowiącą przeszkodę nie do pokonania. Jednak kiedy Angela się odwracała, można było zauważyć, że jej ciało już zaczęło podlegać zmianom, które dotyczą kobiety w średnim wieku. Ich korpus staje się grubszy, nogi cieńsze, a ruchy zaczynają przypominać ekwilibrystyczny popis.

– Jonathanie – powiedziała Angela, trzymając obu chłopców za ręce. – Frankie chce założyć kolekcję. Ty też chcesz to zrobić?

- Nie. Nic mnie nie obchodzą rzygi jakiegoś starego ptaszyska. Ale on okradł Ruthie.

– Ruthie jest tu cały czas i z pewnością może sobie znaleźć inną wyplawkę. Pomóżcie jej

wszyscy. Z lasu co noc dobiega pohukiwanie sowy. Jeśli znajdziecie jej drzewo, na pewno w pobliżu będzie więcej wypluwek. Idź z nimi, Nancy.

Dziewczynka podeszła bliżej.

– Mysz umarła – oznajmiła, nie wyjmując kciuka z ust.

– Tak – potwierdziła Ruth, odwracając się na pięcie, a jej włosy uniosły się jak skrzydła. – Jeśli nie będziesz ostrożna, przyleci wielka sowa i cię zje, a potem twój kciuk będzie wystawał z ogromnej wypluwki z oczami!

– Ruth! – krzyknęła Angela, ale było za późno. Jej starsza córka odbiegła już w stronę lasu, machając długimi nogami pod wydetą spódnicą. Chłopcy zgodnie ruszyli w pogoń. Nancy podeszła do matki, która zaczęła ją głaskać z roztargnieniem.

– To właśnie – zwróciła się do Foxy Angela – czeka cię w przyszłości.

Czyli już wszyscy wiedzieli o jej ciąży. Foxy zdała sobie sprawę, że zupełnie jej to nie przeszkadza.

– Będę zachwycona, kiedy już przejdę do tego etapu – wyznała. – Teraz na zmianę czuję się okropnie albo do niczego.

– Później – zapewniła Angela – jest wspaniale. Jesteś w zupełnej zgodzie ze światem. Potem pojawia się mała paczuszka, która od pierwszej chwili jest od ciebie całkowicie zależna. Ma nieskomplikowane, doraźne potrzeby, które jesteś w stanie całkowicie zaspokoić! Masz wszystko, czego jej trzeba. Wspaniale jest urodzić dzidziusia. Ale potem trzeba go wychować.

Dziewczynka opierająca głowę na jej kolanach słuchała z szeroko otwartymi oczami. Zamknięte wokół kciuka usta wydawały cichy, cmokający odgłos.

– Świetnie sobie radzisz z dziećmi – stwierdziła Foxy.

– Lubię kształcić innych – powiedziała Angela. – To łatwiejsze niż się uczyć się samemu.

Na podjeździe dało się słyszeć chrzęst żwiru pod kołami hamującego samochodu. Tuż przy ich ławce zatrzymał się żółty kabriolet z opuszczonym dachem. W środku siedział Freddy Thorne; jego różowa łysina wystawała z metalowej skorupy jak ciało mięczaka. Na tylnym siedzeniu stał bardzo do niego podobny chłopiec o chorowitym wyglądzie i młodsza dziewczynka w wieku około sześciu lat, z lekko wytrzeszczonymi zielonymi oczami. Foxy zmartwiło, jak ochoczo Angela poderwała się, by powitać nowych gości. Po spędzeniu z nią godziny na ławce w słońcu odczuwała teraz zazdrość.

– Whitney i Martha Thorne – Angela przedstawiła dzieci. – Przywitajcie się z panią Whitman.

– Ja cię znam – odezwał się chłopiec. – Wprowadziłaś się do nawiedzonego domu na końcu naszej ulicy.

Chłopiec był blady, miał zaczerwienione uszy i nos. Wyglądał, jakby miał gorączkę. Natomiast jego siostra była wyraźnie otyła. Foxy poczuła przypływ czułości wobec tych dzieci, a kiedy podniosła wzrok, także do ich ojca.

– Nasz dom jest nawiedzony? – spytała.

– To dlatego – wtrąciła Angela – że tak długo stał pusty. Dzieci widzą go z plaży.

– Wszystkie okiennice były zamknięte, a z komina buchał dym.

– Dzieciak miewa halucynacje – wytłumaczył jego ojciec. – Żuje pejotl na śniadanie.

Whitney zaczął się bronić.

– Iggy Kappiotis powiedział, że zakradł się kiedyś z chłopakami na werandę i słyszeli ze środka głosy.

– Niewinne bzykanko nastolatków – orzekł Freddy Thorne, mrużąc oczy w bladożółtym wiosennym świetle. Za dnia bezkształtna miękkość jego ciała zdawała się mniej straszna i budziła raczej litość. Miał na sobie bordową sportową koszulę z puszystego materiału, jadownicę zieloną chustkę na szyi i wysokie buty, jakie zazwyczaj noszą dzieci o słabych kostkach.

– Hej, duży Freddy – zawołał z boiska Harold, mniejszy Smith. Pozostali mężczyźni przestali sapać i podskakiwać.

– Przyszedł Bob Cousy!<sup>2</sup> – krzyknął z ganku Hanema.

– Moim zdaniem to Goose Tatum<sup>3</sup> – odparł Gallagher. – Poznaję po białkach oczu.

– Po jakich białkach? – spytał Hanema. Podszedł bliżej, ujął Thorne’a za łokieć i stwierdził: – Ten człowiek to chodzący dzin.

– Tonie jest obuwie sportowe – zaprotestował Ben Saltz.

– Buty Frankensteina – stwierdził Eddie Constantine. Ruszył przed siebie, imitując sztywne ruchy potwora, zderzył się z Thornem i wykrzyknął: – Trujące wyziewy! Trujące wyziewy!

Freddy uśmiechnął się i wytarł usta.

– Będę tylko obserwował – powiedział. – Nie jestem wam potrzebny. Dlaczego po mnie zadzwoniliście?

– Ależ jesteś – zapewnił Hanema i znowu złapał go za łokieć, jakby chciał porównać długość swoich i jego kończyn. – Zagramy czterech na czterech. Będziesz mnie krył. Grasz razem z Mattem, Eddiem i Benem.

– Stokrotne, kurwa, dzięki – powiedział Constantine.

– Ile nam dacie punktów fory? – spytał Gallagher.

– Zero – odparł Hanema. – Freddy da sobie radę. To wasz największy skarb. Jest taki wyluzowany. Rzuć sobie dla rozgrzewki, Freddy. – Cisnął piłką, która odbiła się od asfaltu i uderzyła Thorne’a w brzuch. – Widzicie, jaki wyluzowany?

Foxy od razu zauważyła, że Thorne nie jest sportowcem. Łapał piłkę sztywnymi palcami i poruszał się tak chybotliwie i niezdarnie, że aż nie mogła na to patrzeć.

– To możliwe, że do waszego domu włamywały się pary nastolatków – odezwała się siedząca obok niej Angela. – W tym mieście nie mają się gdzie podziać.

– Jacy byli poprzedni właściciele?

– Robinsonowie? Prawie ich nie znaliśmy. Przyjeżdżali tylko latem i na weekendy. Małżeństwo w średnim wieku, z gromadką dzieci. Nagle postanowili się rozwieść. Pani Robinson często pojawiała się w śródmieściu z lornetką na szyi. Przystojna kobieta z włosami związanymi w kok i zaczerwienioną od wiatru skórą; nosiła tweedowe ubrania. Jej mężem był mały brzydał o tubalnym głosie, który zawsze groził, że pozwie miasto, jeśli zaczną poszerzać drogę prowadzącą na plażę. Ale Bernadettę Ong, która ich знаła, mówi, że to właśnie on zażądał rozwodu. Robinson grał na wiolonczeli, a ona na skrzypcach i wplątali się w kwartet smyczkowy z jakimiś ludźmi z Dintbury. Nigdy nie kiwnęli palcem, by wyremontować dom.

– Jak myślisz, czy twój mąż mógłby go dla nas obejrzyć i sporządzić kosztorys? – wypaliła Foxy. – Albo chociaż powiedzieć nam, od czego powinniśmy zacząć?

Angela spojrzała w kierunku lasu, na zewnętrzny ścianę labiryntu, w którym kryły się dzieci.

– Matt – odparła po chwili ostrożnie – wolałby, żeby Piet zajął się budowaniem nowych domów.

– W takim razie może mógłby polecić nam innego wykonawcę? Powinniśmy jak najszybciej rozpocząć remont. Kenowi dom podoba się i w obecnym stanie, ale kiedy nadejdzie zima, nie sposób będzie w nim wytrzymać.

– Bez wątplenia.

Szorstka odpowiedź zaskoczyła Foxy. Angela spojrzała w kierunku drzew.

– Twój mąż – podjęła po chwili z wahaniem, jak gdyby rozpraszały ją jakieś niewidoczne dla Foxy zdarzenia – mógłby porozmawiać z Pietem. Ale nie dzisiaj po meczu. Wszyscy

---

<sup>2</sup> Robert Joseph „Bob” Cousy, amerykański koszykarz, rozgrywający. Sześciokrotny mistrz NBA.

<sup>3</sup> Reece „Goose” Tatum, afroamerykański sportowiec, znany z błazeńskich wybryków w trakcie gry w koszykówkę.

zostaną na piwo.

– Nie, oczywiście. Poza tym musimy niedługo wracać, przyjeżdżają do nas znajomi z Cambridge.

W ich rozmowie nastąpiło lekkie ochłodzenie. Każda skierowała wzrok w inną stronę; Angela wypatrywała dzieci w lesie, a Foxy obserwowała grających mężczyzn. Teraz było ich stanowczo zbyt wielu. Pograżone w cieniu boisko było zatłoczone, a Freddy ze swoim wypiętym tyłkiem i bezładnymi ruchami wszystkim przeszkadzał. Hanema przejął piłkę i próbował kozłować, unikając podskakującego Thorne'a. Pośród zgiewu okrzyków podał kozłem do syna sąsiadów Constantine'ów, zahaczając równocześnie stopą o kostkę Thorne'a. Następnie rzucił się całym ciężarem ciała do tyłu, przewracając większego mężczyznę. Thorne upadał stopniowo – najpierw podparł się ramieniem, a potem runął na zabłocony asfalt, przygniatając własną rękę.

Gra została przerwana. Foxy i Angela pobiegły w stronę mężczyzn. Hanema ukląkł obok Thorne'a. Pozostali stanęli wokół, nic nie mówiąc. Thorne uśmiechnął się niewyraźnie i usiadł. Jego bordowa koszula była cała w błocie. Podniósł do góry drżącą dłoń, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć. Mały palec był zupełnie biały i wykrzywiony.

– Zwichnięty – oznajmił Thorne bezbarwnym od bólu głosem.

– Jezus, Freddy, przepraszam – wyrzucił z siebie klęczący obok Hanema. – To okropne. Pozwój mnie do sądu.

– Nie pierwszy raz mnie to spotyka – powiedział Thorne.

Złapał wykrzywiony palec zdrową dłonią, skrzywił się i pociągnął. Wszyscy ze zgrozą usłyszeli trzask, jak przy złamaniu gałązki albo zgnieceniu suchej łupiny. Freddy wstał, nadal osłaniając dłonią naprostowany palec, jak gdyby trzymał coś kruchej i pohańbionego, czego nie należy dotykać.

– Masz plaster i coś do usztywnienia? – zwrócił się do Angeli. – Szpatułkę albo patyczek od lodów? Może być nawet łyżka.

Hanema również się podniósł.

– Będiesz w stanie pracować? – spytał Freddy'ego.

Thorne uśmiechnął się złośliwie, spoglądając na zaniepokojoną twarz Pieta. „Zdaje sobie sprawę, że ma przewagę”, pomyślała Foxy. Do tej pory sądziła, że tylko kobiety wykorzystują własny ból jako narzędzie walki.

– Za miesiąc lub dwa – powiedział Freddy. – Przecież nie mogę wpychać ludziom do ust ręki w gipsie.

– Pozwój mnie – powtórzył Hanema.

Jego twarz, pokryta mnóstwem piegów i nienaturalnie blada od niedawnego wysiłku i uczucia skruchy, wyglądała osobliwie. Pozostali gracze podzielili się na dwa obozy: jeden sympatyzujący z kontuzjowanym, drugi z Hanemą. Freddy Thorne, trzymając przed sobą bolący palec, tryumfalnie ruszył w stronę domu, eskortowany przez Angelę, Constantine'a, syna jego sąsiada i Saltza. Jednakże Foxy nie mogła oprzeć się wrażeniu, że na moment przed rozpoczęciem tego przedstawienia Thorne instynktownie zachowywał stoicki spokój.

– Przecież nie zrobiłeś tego specjalnie – pocieszył Hanemę mniejszy Smith.

Foxy nie była w stanie zrozumieć, dlaczego akurat on, przyjaciel Thorne'a, został na zewnątrz razem z winnym. Najwyraźniej związki między członkami tej grupy były bardziej złożone, niż przypuszczała.

– Właśnie, że zrobiłem – jęknął Piet. – Specjalnie podstawiłem temu nieszczęsnemu idiocie nogę. Strasznie mnie wkurza, kiedy się o mnie obją bruchem.

– Nie czuje gry – stwierdził Gallagher.

Gallaghiera można by uznać za przystojnego mężczyznę, gdyby nie nadmiernie wąskie usta, wskazujące na coś z góry określonego i zamkniętego, wyrażonego przez przypominające nawias zmarszczki w kącikach ust, pruderyjne fałdki. Pośród zarośniętych niedzielnych

twarży wyróżniał się gładko ogoloną szczęką; był na mszy.

– Wydaje mi się, że jesteście wyjątkowo brutalni wobec siebie – oznajmiła Foxy.

– *C'est la guerre.* – Mniejszy Smith wzruszył ramionami.

Na opuszczonym boisku Ken ćwiczył rzuty do kosza, doskonaląc technikę. Foxy miała wrażenie, że sama pozostaje w cieniu, podczas gdy on był w swoim żywiole. Umyślnie nie zwracał uwagi na otoczenie, dryfował, głuchy na wszystko. Odgłosy kozłowania i stukot obręczy irytowały Foxy jak każdy monolog.

Podszedł do niej Hanema.

– Nie znoszę być dupkiem – powiedział niespodziewanie. – A ciągle wychodzę na dupka. Błagam, żeby przyjechał z nami zagrać, a potem go okaleczam.

Było to częściowo wyznanie, częściowo przechwałka. Foxy zaniepokoił fakt, że Hanema przyszedł jej to powiedzieć; jak gdyby kładł jej głowę na kolanach. Zaniemówiła, zła na siebie, że znalazłszy się nagle pod wpływem jego osławionej siły oddziaływania, sieroczej potrzeby otwartości, stała się bojaźliwa, tak samo jak Angela.

Znów dało się słyszeć chrzęst żwiru na podjeździe. Pod dom zajechał stary brązowy mercury coupe. W jego przedniej szybie odbijały się gałęzie i strzępki chmur. Od strony kierowcy wysiadła Janet Appleby z dwoma sześciopakami piwa w rękach. Z drugiej strony wyłoniła się Georgene Thorne, trzymając dziecko w kłopotliwym wieku, tak owinięte we wszelkiego rodzaju ubrania, że nóżki miało rozstawione na kształt litery H. Po jego niezwykle zaczerwienionych policzkach Foxy poznała, że to Appleby.

Mniejszy Smith i Hanema pospieszyli przywitać kobiety. Gallagher dołączył do Kena na boisku. Foxy nie chciała podsłuchiwać, ale uznała, że jako kobieta ma prawo przyłączyć się do pań. Skierowała się w stronę towarzystwa na podjeździe. Mniejszy Smith opowiadał właśnie żartobliwym tonem o nieszczęsnym palcu Freddy'ego, *le doigt disloqué*.

– Mówiłam mu, żeby nie grał, kiedy jest wstawiony – skwitowała Georgene.

Miała zaczerwienione powieki, jak gdyby leżała długo na słońcu.

– Ale ja go bardzo poprosiłem, żeby przyjechał – tłumaczył Piet Hanema. – Żebyśmy mogli zagrać czterech na czterech.

Jego szeroka twarz człowieka, który starzeje się, nie nabierając mądrości była bezbrzeżnie smutna, czujna i napięta.

– I tak by się pojawił. Chyba nie sądzisz, że spędziłby całe niedzielne popołudnie tylko w moim towarzystwie.

– Dlaczego nie? – spytał Piet i Foxy wyobraziła sobie, że jego oczy przepelnia wrogość. – Nie wejdiesz do środka, żeby sprawdzić, jak się czuje?

– Nic mu nie będzie – odparła. – Jest przy nim Angela. Daj im spokój. Freddy jest szczęśliwy.

Janet i Harold rozprawiali o czymś szeptem. Wyglądało na to, że omawiają kwestie logistyczne, dotyczące planu dnia i rozmieszczenia samochodów oraz dzieci. Kiedy mały Appleby schwycił na trawniku kota i usiłował podnieść go za zadek, co przypominało wysypywanie cukierków z torebki, mniejszy Smith zareagował i poszedł uwolnić zwierzę, podczas gdy Janet beczynnie wystawiała twarz na promienie słoneczne. Cętkowany kocur o oczach w kolorze pleśni uciekł i schował się za krzakiem bzu.

– Należy do was? – spytała Foxy Hanemę.

– Kot czy dziecko? – powiedział, jak gdyby miał świadomość, że pochodzenie dziecka również może budzić wątpliwości.

– Cętkowany kot. My też mamy kota. Nazywa się Cotton.

– Następnym razem przywieź go koniecznie na mecz – wtrąciła Georgene Thorne. Machnęła umięśnioną ręką w stronę lasu i dodała: – Z powodu tych drzew w ogóle nie widać dzieci.

Zabrzmiało to, jak gdyby chciała usprawiedliwić swoją obcesowość, zawarte w pierwszym

zdaniu oburzenie, że Foxy miała czelność pojawić się u Hanemów.

– Kot mieszka w znajdującej się niedaleko stąd mleczarni – wytłumaczył Piet. – Dzieci czasem go dokarmiają. Wpuszczają go do domu, choć ma pełno pcheł, i teraz ja też mam.

Z domu wyszedł Freddy Thorne. Jego mały palec był zabandażowany i usztywniony zieloną plastikową łyżeczką. Opuszka mieściła się dokładnie w miseczce, a zakrzywiony trzonek elegancko podtrzymywał całość. Foxy uznała, że Angela rzeczywiście musi darzyć Thorne'a niedozwolonym uczuciem, skoro zajęła się nim z taką czułością. Freddy był najwyraźniej bardzo dumny.

– Freddy – powiedziała Janet. – Jakie to urocze.

Była ubrana w tak obcisłe białe spodnie, że marszczyły się jej poziomo na biodrach. Meszek na turkusowej welurowej bluzce zmieniał odcień w miejscu, gdzie opinał piersi. Kiedy Janet się poruszała, cały jej przód bezustannie mienił się od gry cieni. Wycięcie przy szyi odsłaniało bladofioletową skórę. Usta miała umalowane na karminowo, ale kredowa bladość jej twarzy wskazywała na brak snu. Tak jak syn, była osobą delikatną i nie do końca ukształtowaną.

– To robota tego dzieciaka – oznajmił Freddy.

– W zeszłym roku na obozie letnim mieliśmy kurs pierwszej pomocy – wytłumaczył syn sąsiadów Constantine'ów.

Miał piskliwy, płytki głos, osiągał właśnie wiek męski; mysz na postumencie.

– Wpada do nas czasem, by wymasować Carol plecy – poinformował ich Eddie Constantine.

– Carol cierpi na bóle kręgosłupa? – spytał Freddy.

– Tylko wtedy, kiedy za długo przebywam w domu.

Ken i Gallagher przestali grać i dołączyli do pozostałych.

Otwarto sześciopaki i każdy dostał po puszcze piwa.

– Nie znoszę tych nowych zawleczek – poskarżył się mniejszy Smith, szarpiąc. – Wszyscy, których znam, mają pokaleczone palce. To współczesne stygmaty.

Foxy wyczuła, że szuka francuskiego odpowiednika słowa „stygmaty”.

– Nie dam sobie rady – westchnęła Janet. – Jestem zbyt słaba i skacowana. Pomożesz mi?

Podąła puszkę Kenowi!

Wszyscy to zauważyli. Nos Harolda, mniejszego Smitha, uniósł się nieco, a jego głos stał się bardziej donośny.

– Freddy Thorne – zadrwił. – Spoonfinger. Człowiek z plastikowym palcem. *Le doigt plastique*.

– Naprawdę, Freddy, co za kłopot – powiedziała Georgene, a Foxy wyczuła w jej głosie próbę wyrażenia współczucia.

– Słowo daję – odezwał się Constantine. – Jak ty się teraz dostaniesz do tych małych szparek między zębami?

Był autentycznie zaintrygowany i Foxy zobaczyła w jego szeroko otwartych, pozbawionych inteligencji oczach coś, co ją zastępowało: odzwierciedlenie szarości wiatru i aluminium oraz perłową przestrzeń nieba na dużej wysokości. Constantine dotarł tam, do metalicznego bezkresu ponad kłębiącymi się chmurami, i był ciekawy, w jaki sposób Freddy Thorne dostanie się tam, gdzie z kolei sam musi się znaleźć.

– Za pomocą wiązki laserowej – wyjaśnił Thorne, a łyżeczka na jego palcu przemieniła się w śmiertelny promień, który kierował kolejno na Constantine'a, Hanemę i Foxy, wydając spomiędzy zaciśniętych zębów syczący dźwięk.

– Zyzz. Umieraj. Zyzz. Jesteś martwy.

Reszta towarzystwa zaczęła śmiać się trochę za głośno. Byli dworzanami, a Freddy ich królem, mistrzem chaosu. Choć została unicestwiona promieniem, Foxy się nie roześmiała. Za jej plecami Georgene i Piet wymieniali słowa tak proste, że aż dziwne.



- Co u ciebie?
- Tak sobie, słońce.
- Siedziałaś na werandzie.
- Tak.
- Jak było? Cudownie?
- Samotnie.

Usłyszawszy to, Foxy jeszcze bardziej się skoncentrowała, tak jak wtedy, kiedy jako dziewczynka łowiła uchem dochodzący zza zamkniętych drzwi pomruk głosów rodziców, których zwyczajnym słowem intymność dodawała magicznej powagi.

Tymczasem pojawił się Ben Saltz. Zaczął mówić, starannie artykułując słowa; jego usta zdawały się niezależnym aparatem, zasilanym baterią ukrytą w brodzie.

– A teraz bez żartów Freddy – mówił. – Ostatnio poczyniono wielkie postępy w leczeniu techniką bezdotykową.

– Ojej – westchnął Freddy Thorne. – To zła wiadomość dla takich dotykalskich typów jak ja.

Wyciągnął rękę i klepnął opięte w białe spodnie siedzenie Janet, która natychmiast przestała przymilać się do Kena, odwróciła się gwałtownie i rzuciła Freddy’emu bardziej ostrzegawcze niż zdziwione spojrzenie. Foxy pomyślała, że to nie klaps wywołał jej sprzeciw, ale raczej fakt, że został przez innych zobaczony.

Saltz wykorzystał ten moment, by zaczepić Kena.

– Może mi powiesz, jeśli masz chwilkę, czy wykorzystanie wiązki laserowej w biochemii ma według ciebie wpływ na jej rozwój? W zeszłym tygodniu czytałem w „The Globe”, że odnotowano postępy w leczeniu raka u myszy.

– W wypadku myszy każdy może dokonać cudu – stwierdził Ken, spoglądając ze skruchą na pupę Janet.

Foxy już wiele lat temu zauważyła, że nie czuł się swobodnie, kiedy rozmawiał z Żydami; zbyt wiele razy przegrywał z nimi w życiu zawodowym.

– Bądź tak miły – ciągnął Saltz – i opowiedz mi o DNA. Jak u diabła, takie jest moje rozumowanie, jak u diabła tak skomplikowana struktura mogła samorzutnie wyłonić się z chaosu?

– Materia to nie chaos – odparł Ken. – Rządzą nią pewne prawa, decydujące o tym, co nie może się wydarzyć.

– Dajmy na to Wielki Kanion – powiedział Saltz. – Rozumiem, że skała mogła być na drodze erozji wyżłobiona tak, że kształtem przypomina katedrę. Ale jeśli zaglądam do środka i widzę ławki ustawione w idealnie równych rzędach, zaczynam węszyć podstęp.

– Może – odparł Ken – sam je tam ustawiłeś.

Ben Saltz uśmiechnął się szeroko.

– To mi się podoba – powiedział. – Podoba mi się ta odpowiedź.

Jego uśmiech stanowił niezwykle przejaw atawizmu; przez twarz Saltza przebiło słońce, zmieniając oczy w świecące szparki i przejmując panowanie nad mimiką – grymas na pysku asyryjskiego lwa z płaskorzeźby.

– Bardzo mi się podoba – powtórzył. – Masz na myśli Kosmiczną Nieświadomość. Wiedziałaś, że Jahwe był pierwotnie bogiem wulkanów? Uważam, że obawa osoby religijnej przed majestatem i potęgą wszechświata jest czymś absurdalnym.

Na ganku pojawiła się Angela.

– Czy komuś oprócz mnie jest zimno? Proszę, wejdźcie do domu.

Tym samym dała sygnał, by niektórzy pojechali, a niektórzy zostali. Eddie Constantine zgniótł puszkę po piwie i podał ją Janet Appleby, która umieściła ją nad piersią, niczym metalowy kwiatek. Eddie ruszył w kierunku skutera, na którym przyjechał. Mijając Foxy, poklepał ją po żołądku.

– Wciągnij brzuch – powiedział.

Tak dokładnie brzmiały jego słowa. Syn sąsiadów usiadł z tyłu i przyłgnął do jego pleców jak opos. Constantine odpalił skuter i ruszył, wyrzucając spod tylnego koła fontannę żwiru. Zjechawszy z podjazdu, skręcił w drogę biegnącą za krzakiem bzu, przez który niewiele można było dojrzeć, ponieważ pączki na gałązkach były już całkiem spore. Wyskoczył stamtąd przerażony kot i w ciszy przeciął trawnik długimi susami. Z ciemniejszego lasu zaczęły kolejno wyłaniać się dzieci. Połowa z nich płakała. Najbardziej zaryczany był Frankie Appleby. Jonathan Smith i Whitney Thorne przywiązali go do drzewa za pomocą jego własnych sznurówek, a potem nie potrafili ich rozsupłać, więc musieli je przeciąć, i teraz Frankie nie miał sznurówek, ale przecież to nie była jego wina. Chłopiec potykał się i kłapał butami, żeby podkreślić niewesoły stan, w jakim się znalazł, i Harold, mniejszy Smith, ruszył w jego stronę. Tymczasem Janet stała spokojnie na ganku, pulchna i zadowolona z siebie, spoglądając w stronę słońca, wiszącego nad lasem jak pomarańcza w siatce. Po chwili pojawiły się też zarumienione córki Hanemów i piękne dziecko płci męskiej, wyglądające w romantycznym świetle zachodzącego słońca jak postać z obrazów Thomasa Gainsborough. Chłopiec miał czarne, kręcone włosy, miękkie ruchy i był zaabsorbowany przede wszystkim sobą. Gallagher skinął stanowczo głową, wziął śliczne dziecko za rękę i zaprowadził je do samochodu – szarego mercedesa, z którego czystych okien Foxy miała okazję po raz pierwszy podziwiać Tarbox. Saltz i Thorne'owie skierowali się do domu. W wąskich drzwiach łysy mężczyzna zderzył się z brodatym. Nagle Thorne owinął kontuzjowaną, zwieńczoną zielonym plastikiem rękę wokół żydowskiego przyjaciela i ścisnął go mocno. Saltz błysnął lwim uśmiechem i coś powiedział.

– Jestem niezniszczalnym skurczybykiem – odparł Thorne. – Zaraz ci opowiem o zastosowaniu hipnozy podczas zabiegów dentystycznych.

Przytulny dom przyjął ich do swojego wnętrza. Ken i Foxy zaczęli zbierać się do odwrotu.

– Nie idźcie jeszcze – poprosiła Angela. – Nie chcielibyście drinka?

– Musimy wracać – powiedziała szczerze zasmucona Foxy.

Takiego smutku miała jeszcze doświadczyć. Była to chroniczna melancholia niedzielnych popołudni, kiedy pary wyczerpały już wszelkie możliwości wspólnej zabawy – gry w koszykówkę, tenisa, piłkę czy wypadu na plażę – i musiały stawić czoło wieczorowi spędzanemu w blasku migoczących lamp, wśród marudnych dzieci, resztek jedzenia oraz nieprzeczytanych gazet zamęczających złowieszczymi wizjami i okropnościami. Małżeństwa zamykały się wówczas w sobie jak kwiaty, którym zabrano dostęp do światła; wieczory były dla nich jak brudne okno, przez które już prześwitywał poniedziałek i cały długi nadchodzący tydzień, kiedy znów musieli grać role pracujących mężczyzn – maklerów, dentystów i inżynierów – lub matek i pań domu; dorosłych ludzi, którzy nie są gośćmi tego świata, ale jego gospodarzami.

Janet i Harold dyskutowali o czymś przyciszonymi głosami.

– Ależ kochanie, nie możemy tego zrobić – oznajmiła Janet, odwracając się gwałtownie. – Musimy ocalić Marcie i Franka. Pewnie są głęboko pogrążeni w rozmowie.

Wraz z mniejszym Smithem pozbiali pałętające się dzieci i wsiedli do brązowego samochodu. Kiedy manewrowali na podjeździe, zachodzące słońce na moment wpadło przez przednią szybę, wybielając ich twarze i wyostrzając rysy, jak u świętych na oszklonym obrazie.

– Do widzenia – pożegnał ich stojący na ganku Hanema.

Foxy zupełnie o nim zapomniała. Wyglądało na to, że wypadek z palcem podzielał na niego otrzeźwiająco.

– Rozchmurz się – zawołała.

Wsiedli do swojego mg.

– Jutro będę cały połamany – stwierdził Ken.

- Ale chyba dobrze się bawiłeś?
- Trochę się rozruszałem. Bardzo się nudziłaś?
- Nie. Angela jest wspaniała.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Jest w niej naturalna wytworność, coś, co pozwala jej zachować do wszystkiego zdrowy dystans. Nie wymaga od ciebie tyle, ile pozostali.
- Kiedyś musiała być bardzo ładna.
- Uważasz, że już nie jest? Szczerze mówiąc, twoja wymalowana przyjaciółeczka Janet w obciskających tyłek marynarskich spodniach nie zrobiła na mnie najlepszego wrażenia pod względem estetycznym.
- To jakie zrobiła na tobie wrażenie?
- Wydawała się mniej szczęśliwa, niż powinna. Jak gdyby przeznaczenie przygotowało jej rolę tłuściutkiej, wesołej kobiety, ale w jakiś sposób się z nią rozminęła.
- Myślisz, że ma romans ze Smithem?
- Faceci są tacy spostrzegawczy – zaśmiała się Foxy. – To oczywiste, że kiedyś miała. Sądzę, że miała ze Smithem romans jakiś czas temu, w tej chwili romansuje z Thorne'em, a ostrzy sobie zęby na ciebie.
- Ken roześmiał się leniwie, mile połechtany. Zirykowało to Foxy.
- Muszę ci coś wyznać – powiedziała.
- Masz romans z Saltzem. Ci Żydzi są naprawdę pompatyczni. Do wszystkiego przykładają tyle wagi. Kosmiczna Nieświadomość, Boże drogi.
- Nie. Ale to coś równie poważnego. Powiedziałam Angeli, że chcielibyśmy, by jej mąż obejrzał nasz dom.
- Ustaliliście jakąś datę? – Głos Kena stał się twardszy, rzeczowy i chłodny.
- Nie, ale myślę, że teraz należy to zrobić. Powinieneś do niego zadzwonić. Tak czy inaczej, Angela nie sądzi, by był zainteresowany.
- Ken jechał szybko drogą, którą znali już na pamięć, więc oboje przechylili się nieco tuż przed wejściem w zakręt.
- Mam tylko nadzieję – odezwał się po chwili milczenia – że nie buduje domów w podobny sposób, w jaki gra w koszykówkę. Na boisku prowadzi dość brudną grę.

Stojąca przy łóżku Ruth zdawała się prawie wielkości dorosłej kobiety. Płakała i mówiła podniesionym głosem, aż Piet obudził się. W jego śnie wysoka, odwrócona tyłem kobieta w bieli czekała na niego na końcu krętego korytarza.

– Tatusiu, Nancy mówi, że kot z mleczarni złapał na dole jakieś zwierzę. Chomika nie ma w klatce, a ja się boję sprawdzić.

Piet przypomniał sobie popiskiwanie, przy którym nauczył się zasypiać, i wyślizgnął się z łóżka, czując ściskanie w żołądku. Angela westchnęła, ale się nie obudziła. Podłoga i schody były zimne. W salonie panował poranny półmrok. Ubrana w różową koszulę nocną, Nancy siedziała skulona na brązowej sofie.

– Zrobiłam to niechcący – oznajmiła, wyjąwszy kciuk z buzi. – To była pomyłka!

Piet poczuł w ustach nieprzyjemny smak.

– Jaka pomyłka? Gdzie to zwierzę?

Dziecko spojrzało na niego ogromnymi, niewinnymi oczami, w których wydawało się nieskończenie więcej przestąpienia niż w ich salonie o niskim suficie. Wyłaniające się z ciemności meble wyglądały, jak gdyby były obdarzone czuciem, ale pozostawały sparaliżowane.

– Gdzie jest zwierzę, o którym mówiłaś Ruthie? – powtórzył.

– Zrobiłam to niechcący – odparła Nancy i rozplakała się.

Jej twarz stała się rozmazana, jak zabalsamowane ciało, które nagle zostaje wystawione na

działanie powietrza. Piet poczuł się obezwładniony mocą wylewającą się z głowy Nancy, która w szarym świetle poranka przypominała ciemny otwór.

– Beksa lala, beksa lala, po-je-cha-ła do szpi-ta-ła – wyrecytowała Ruth, a Nancy ponownie zatkała usta kciukiem.

Zwierzątko leżało do góry brzuchem pośrodku kuchennego linoleum, przypominając porzucony woreczek z grochem. Kot z mleczarni obserwował ofiarę zza poprzeczek oparcia od krzesła, równocześnie tchórzliwy i dumny z siebie. Szybko i sprawnie wykonał instynktowne zadanie. Chomik był najwyraźniej nieżywy pomimo braku widocznych obrażeń. Małe ciało ugięło się pod naciskiem palca Pieta jak mokra gąbka. Górna warga chomika uniosła się, obnażając zęby cieniutkie jak w grzebieniu, ale oczy pozostawały zamknięte z ludzką godnością. Króciutkie rzęsy. Cztery podwinięte łapki. Pozbawiony sierści, bulwiasty nos.

– To on? – spytała Ruth, chociaż stała w kuchennych drzwiach i wszystko dobrze widziała.

– Tak. Kochanie, on nie żyje.

– Wiem.

Łatwo się było domyślić, co zaszło. Ruth chciała, by chomik miał więcej przestrzeni. Podejrzewała, że intensywne, niekończące się biegi w kołowrotku stanowią raczej torturę niż zabawę, a jej rozwijający się umysł nie dopuszczał do siebie myśli, że jakiegokolwiek zwierze mogłoby być tak tępe, by spokojnie tolerować niewolę. Dlatego zbudowała wokół jego klatki płótek z siatek na okno, które leżały na strychu w oczekiwaniu na nadejście lata. Połączyła je ze sobą sznurkiem, a Piet nie dotrzymał słowa, że wzmocni tę konstrukcję. Kilkakrotnie chomikowi udało się uciec z zaimprovizowanej klatki i ruszyć na wycieczkę po pokoju Ruth. Ubiegłej nocy dotarł na parter, gdzie odkrył rozświetlane blaskiem księżycy kontynenty, o których mu się wcześniej nawet nie śniło, lasy meblowych nóg, rozległe dywany, wydzielające oceaniczne zapachy. Nad ranem niewinny olbrzym w koszuli nocnej wpuścił lwa o oczach w kolorze pleśni. Chomik nigdy nie miał powodów do strachu i prawdopodobnie niczego nie przeczuwał aż do chwili, kiedy powietrze wypełniło się zupełnie nowymi dla niego zapachami kota, krowy i rosy, a z wysokości spadły na niego pazury.

Angela zeszła na dół ubrana w niebieski szlafrok. Piet nie potrafił jej wytłumaczyć, dlaczego ten niefortunny wypadek, nierozsądna wyprawa, zakończona nagłą i gwałtowną śmiercią, tak bardzo go przygnębił. Kuchenne linoleum w trawiastzielonym kolorze wydawało mu się niezwykle śliskie. Wstający za oknem dzień nie miał w sobie świeżości, ciepła ani nadziei; Nowa Anglia co rano oszukiwała w ten sposób wiosnę. Spojrzawszy na Pieta, Ruth i martwego chomika, Angela uznała, że przede wszystkim musi zająć się Nancy. Przeniosła ją z ciemnego salonu do nieco jaśniejszej kuchni. Tymczasem Piet z nadmierną ostrożnością owinął w gazetę niepokojąco ciężkie, rude ciało, przez które przestała przepływać krew. Nancy chciała je zobaczyć.

Piet rzucił okiem na Angelę i rozwinął gazetę. KENNEDY ZADOWOLONY Z OBNIŻENIA CEN STALL Nancy przypatrywała się przez chwilę.

– Już się nie obudzi? – spytała powoli.

– Nie obudzi się, głupia – wykrztusiła Ruth przez łyzy. – On nie żyje, a nieżywi nie budzą się nigdy nigdy nigdy.

– A kiedy pójdzie do nieba?

Wszystkie trzy spojrzały pytająco na Pieta.

– Nie wiem – odparł. – Może już tam jest i biega w swoim kołowrotku.

Zaczął naśladować piski urządzenia, Ruth się roześmiała. Właśnie o to mu chodziło. Ciekawość zaniepokojonej Nancy dotyczyła kwestii, którą zagrzebał głęboko w sobie, i nie podobało mu się, że dziecko chce wyciągnąć z niego informację na ten temat. Angela również zdawała się brać udział w tym zamachu; chciała go obnażyć i pozbawić męskości, wydobyć na światło dzienne jego wstydlawy sekret, dziecinną wiarę, z której czerpał siłę w dorosłym

życiu. Spojrzał na Nancy.

– Widziałaś, jak to się stało? – spytał szorstko.

– Przestań – upomniała go Angela. – Ona nie chce teraz o tym myśleć.

Ale Nancy nie była w stanie wyrzucić zajścia z chomikiem z pamięci.

– Kiciuś i Chomik bawili się razem – powiedziała, wpatrując się w miejsce na podłodze, gdzie to się stało. – Chomik chciał przestać, ale Kiciuś mu nie pozwolił.

– Wiedziałaś, że chomik jest na dole, kiedy wpuszczając kota?

Nancy włożyła kciuk do buzi.

– Jestem pewna, że nie wiedziała – powiedziała Angela.

– Pozwólcie mi go jeszcze raz zobaczyć – poprosiła Ruth.

Podając jej malutkie ciało jak zamarłe serce, Piet zauważył, że zwierzątko było obdarzone wystającą męskością, optymistyczną próżnością seksualną; jej ostateczne zanegowanie przyniosło mu niejaką ulgę. Wiedział, że Ruth doświadcza wewnętrznej pustki, pierzchnięcia duszy, które następuje, kiedy mija najgorsze, gdy już wiadomo, że nic się nie da zmienić. Tego dnia poszła jednak do szkoły. Żwir chrząścił pod jej butami, kiedy szła ubrana w żółty płaszcz w kierunku żółtego szkolnego autobusu, zostawiając za sobą wszystkie łzy, pod zachmurzonym niebem, które nie zapowiadało deszczu.

Piet zobowiązał się do kupienia nowego chomika i zbudowania lepszej klatki. Pochował rude ciało na skraju lasu, gdzie ziemia była miękka i torfiasta, w pobliżu kępki cikliwicy – malutkich, błękitnych lilijek. Wykopał grób jednym ruchem łopaty, drugim go pogłębił. Drzewa zaczynały wypuszczać listki, a płytkie poszycie składało się z płataniny zielonych nici, martwych i odbarwionych przez zimę łodyżek, delikatnych jak słoma, jak kości ptaków. Piet poczuł beznamiętny ruch powietrza, spływającego lekko po zboczku pagórka, i ogarnęło go wiosenne przerażenie. Powolny napór życia przypominał mu splątany pęd ku śmierci. Nieśmiałe zielone koniuszki wyglądały jak malutkie miecze wycelowane w pustkę. Miłujący zieleni dotyk jego ojca. Zachłanna, niewdzięczna ziemia. Po godzinie stygnięcia ciało chomika straciło na wadze i zmieniło nieco kształt. Wszystko, co stanowiło o jego wartej opłakiwania istocie – jakby ludzkie stopy i badawczy, drżący nos, którego ciekawość sprawiała, że całe łóżko lekko wibrowało, kiedy Ruth kładła chomika na kołdrze – to wszystko osunęło się w bezmiar niepamięci. Rude ciało ześlizgnęło się nosem w dół do wykopanej dziury. Piet zasypał ją szybko, czując skruchę. Od czasu, kiedy pięć lat temu wprowadzili się do tego domu, na skraju lasu wyrósł mały cmentarz. Zostały na nim pochowane ranne ptaki, które na próżno usiłowali odratować, kupione w tanich, wielobranżowych sklepach żółwie, które z czasem miękły, bieleły i zdychały, kotek zgnieciony drzwiami, wiewiórka rozdarta od gardła po brzuszek przez jakiegoś niezdecydowanego drapieżnika, który pozwolił, by jego ofiara żyła jeszcze przez jedno długie czerwcowe popołudnie. Zeszłego lata, w porze migracji drozdów wędrownych, Nancy znalazła za stodołą jednego ze złamanym kręgosłupem. Pełzł po asfaltowym boisku, pragnąc wzlecieć i przyłączyć się do współtowarzyszy podróży. Trzymany przy życiu słabnącym biciem serca, doczołgał się na środek trawnika, gdzie czwórka Hanemów zebrała się w oczekiwaniu na jego wzlot. Ale ptak stracił już możliwość rozumowania, co prawdopodobnie dotknęłoby i ojca Pieta, ze zmiażdżoną klatką piersiową i kręgosłupem, gdyby płuca pozwoliłyby mu jeszcze przez chwilę żyć. Dzieci znudzone oczekiwaniem na cud, który nie chciał nastąpić, oddaliły się po chwili. Tak więc tylko Piet, który stał przy ptaku jak przy gościu, który nie chce opuścić przyjęcia, był świadkiem jego ostatecznych zmaganiań. Drozd rozpostarł asymetrycznie przykurzone skrzydła i próbując się dźwignąć, padł dziobem prosto w słodkawą, zachwaszczoną, cienistą trawę. Wydał cichy, wysoki dźwięk i rozluźnił mięśnie. Tylko Piet go słyszał i tylko Piet, tak jak i teraz, był obecny przy jego pogrzebie.

Angela podeszła do niego, kiedy stał z łopatą nad grobem. Była ubrana w cętkowany tweedowy kostium w angielskim stylu. We wtorki przejmowała obowiązki rodzica

nauczyciela w przedszkolu Nancy.

– Co za pech – stwierdziła – że też akurat Nancy widziała całe zajście. Teraz chce, żebym zabrała ją do nieba, żeby mogła zobaczyć, czy jest tam miejsce dla niej i dla małego kołowrotka. Naprawdę czasem się zastanawiam, czy religia wszystkiego nie komplikuje. Przecież Nancy widzi, że ja sama w to wszystko nie wierzę.

Piet oparł się na łopacie, wyglądał jak stary farmer.

– Tak – powiedział. – Dla takiej wytwornej damy jak jaśnie pani to może i zbyt cenne, ale my, wieśniacy, potrzebujemy kilku kropel wody święconej, żeby odgonić reumatyzm i złe uroki.

– Nie znoszę udawania, bez względu na to, czy to ty się tak popisujesz, czy Georgene Thorne. Nie znoszę też być zmuszana do wciskania dzieciom bzdur o niebie.

– Mój aniele, wszyscy uważamy cię za osobę, która nieba nigdy nie opuściła.

– Przestań na mnie naskakiwać i spróbuj zrozumieć Nancy. Ostatnio rozmyśla wyłącznie o śmierci. Nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego ma tylko dwoje dziadków, a nie czworo, jak pozostałe dzieci.

– Mówisz o tym tak, jak gdybyś poślubiła mężczyznę z jedną nogą.

– Nie narzekam, tylko stwierdzam fakt. W przeciwieństwie do ciebie, nie obwiniam cię za ten wypadek.

– Stokrotne dzięki, jaśnie pani. Jeszcze dzisiaj zbuduję bidulce lepszą klatkę i postaram się o nowego chomika.

– Nie o Ruth się w tej chwili martwię – powiedziała Angela, ucinając dyskusję.

Według niej, priorytetem było chronić niewinność młodszej córki; tymczasem Piet wołał wyzywającą odwagę starszej, która śpiewała w chórze i bez wahania przekroczyła granicę strachu, przed którą Nancy stała z szeroko otwartymi oczami.

Angela zabrała Nancy do przedszkola. Piet pojechał pikapem do centrum i w sklepie z artykułami stolarskimi braci Spiros zakupił pięć jardów ocynkowanej siatki, kawałek sklejki o grubości trzech czwartych cala, dwadzieścia stóp deski sosnowej na dwa cale bez sęków, pół funta półtoracalowych gwoździ wykończeniowych i taką samą ilość zszywek tapicerskich mniejszej grubości. Jerry Spiros, młodszy z dwóch braci, pożalił się Pietowi na zły stan swoich płuc, który od Bożego Narodzenia tak się pogorszył, że nawet dziesięć dni urlopu na Jamajce nic nie pomogło.

– Te cholerne czarnuchy ukradłyby ci nawet zegarek z ręki – powiedział i zaniósł się kaszlem.

– Kaszlesz, jakbyś wachał klej – stwierdził Piet i polecił zapisać materiały na klatkę dla chomika na konto firmy Gallagher & Hanema.

Następnie zaniósł je do pikapu, wrzucił na tył, zatrzasnął klapę paki z napisem UMYJ MNIE i udał się do Indian Hill okrężną trasą. Po drodze minął biuro, żeby sprawdzić, czy stoi tam szary mercedes Gallaghery. Mieściło się ono w prowizorycznym skrzydle prawie niezamieszkanego czynszówki pokrytej papą. Budynek stał przy Hope Street, malutkiej uliczce odchodzącej od Charity Street, którą można było dojechać na skróty do dworca kolejowego. Charity, główna ulica handlowa, łączyła się z Divinity pod kątem prostym, a ta biegła dalej pod górę, obok drogerii Cogswella. Przy parku wznosił się biały kościół.

Był to olbrzymi, przestronny i widny budynek. Jego wysokie okna miały po dwadzieścia cztery szybki w każdym skrzydle, czyli całe okno składało się z czterdziestu ośmiu. Piet często je liczył, podczas gdy Pedrick zmagał się ze swoimi demonami. Symboliczna interpretacja była wykluczona, ponieważ kiedy budowano kościół, w skład Unii nie wchodziło jeszcze tyle stanów; Arizona, Oklahoma, Terytorium Indiańskie. Ileż ci ludzie mieli drewna. Do spalania. Marnotrawstwo? Taka ilość podnosi samoświadomość miasta. Inaczej byłoby ponuro. Tego ciężkiego, wyzutego z miłości dnia wszystko zdawało się wymagać dodatkowej warstwy farby. Słone powietrze szkodzi. Czerwień stodół w Michigan

nie blakła przez wieki.

Park miał kształt klepsydry, przeciętej na pół ścieżką. Między częścią należącą do kościoła a boiskiem baseballowym stał płot. Skręcając w lewo wzdłuż przewężenia, Piet rzucił okiem w stronę podwórka Constantine'ów, mając nadzieję, że uda mu się dojrzeć, jak Carol, z wyciągniętymi ramionami i spłaszczonym biustem, rozwiesza pranie. W czasie greckich tańców zawsze na czele, loki przyklejone do czoła, stopa w pantofelku wystawiona na zewnątrz, syn sąsiadów złączony z nią chusteczką, sprężyste ruchy. Niższe warstwy społeczne odznaczają się gibkimi ciałami. Stulecia głodu. Dajcież mi waszych zmęczonych, waszych biedaków. Marcia wątła, Janet gruba. Angela o płynnych ruchach, a ta Whitman niezdarna, nieco sztywna, opierająca się czemuś, ciśnieniu powietrza. Eddie na skuterze, ale nie w fordzie, samochodzie Carol. On w domu, ona na zakupach. W poszukiwaniu maści na kręgosłup. „Sprawiasz mi ból”. Na podjeździe domu pogrzebowego stał karawan marki Cadillac, a dziecko w wieku przedszkolnym bawiło się obok kamyczkami. Dorastanie pośród zapachu olejków do balsamowania zwłok zamiast zapachu kwiatów, zwłoki w lodówce; lepiej w szklarni, ucząc się kochać piękno, chociaż niektóre lęki mogą się później wydawać niemądre. Śmierć. Chomik. Rozbite szkło. Zdjął nogę z gazu.

Forsycje tworzyły tańczącą żółtą mgłę w ogrodach, wzdłuż parkanów, żywopłotów i garaży; stanowiły nieprzerwany ciąg, przelewający się z podwórka na podwórko. Wybacz nam. Piet przejechał Prudence Street, mijając dom Guerinów. Ładnie odnowiony, za sześć tysięcy, to było jedno z ich pierwszych zleceń w Tarbox, Gallagher nie był jeszcze taki pazerny, Adams i Comeau zajęli się pracami wykończeniowymi, nikt poniżej sześćdziesiątego roku życia nie potrafi porządnie zawiesić drzwi. Cała futryna się ugięła. Suche bagno. Podwaliny domu na wzgórzu, głęboko w wilgotnej ziemi. Musieli przeciągnąć wzmacniający pręt o długości osiemnastu stóp przez belkę stropową, szafę ścienną, aż do żelaznego tęznika na poddaszu. Solidna robota, ale efekty nie do końca pewne. „Dlaczego nie chcesz mnie przelecieć?” Dobrze pytanie. Z powodu lojalności wobec Georgene; odnoga wierności, zeszłoroczny pęd tegoroczną kończną, kochanka staje się żoną. Wrasta. Georgene zaciskająca z determinacją szczękę. Nie zawsze atrakcyjna. Butelkowo zielone oczy, naga jak zjełczałe masło, drapanie papieru ściernego, szpiedzy Freddy'ego. Piet szybko wyparł z myśli obraz plastikowej łyżeczki.

U podnóża pagórka listonosz pochylał się nieco od ciężkiej torby. Niebieski uniform, praca w stałych godzinach, wielomilowe wycieczki, twarde mięśnie, wieczne życie. Na rogu dwa psy wołały do siebie. Hau. Uah.

Potem przejechał Musquenomenee Street, wzdłuż rzeki, w której aż po wodospad przy fabryce występowały pływy. Teraz jednak poziom wody był niski; lśniły pokryte szumowinami płyty czarnego błota, źródło życia. Na drugim brzegu rosły wysokie wiązy i stały domy o owalnych i półkolistych witrażach. Zbudowano je w czasach, kiedy przejeżdżał tamtędy, dzwoniąc, ciągnięty przez konia wóz, z którego sprzedawano lód. Pumpy, wąsy, celuloidowe kołnierzyki: nostalgia za czasami, których nie znał. Piet nie dostrzegł nikogo. Teraz ulica była pusta. Srebrne klony wypuszczały czerwonawe pąki w kształcie zbitych różyczek, a wiązy jasnobrązowe kitki. Pęknięcia na liliowym niebie. Smutna natura, drobno krusząca nasiona i chwasty.

Poczuł się trochę lepiej, kiedy mijał cmentarz protestancki, położony na sporym terenie, w kształcie wachlarza rozchodzącego się od wciśniętego w róg purytańskiego kościółka, zbudowanego z kładzionych pod kątem kamieni łupkowych, które ozdabiały skrzydlate czaszki i wijące się porosty. Panował tam porządek. Niedługo trawniki będzie można spotkać jedynie na cmentarzach i polach golfowych. Rzesze głodnych, ziarno do Indii. Na polu golfowym dostrzegł dwie samotne pary. Zbyt wcześnie, błoto, miękkie podłoże, kolce butów orzą ziemię, właściciele zachłannie ściągają opłaty, chwalcie powściągliwość, ziemia też jest głodna, rzucił jej ochłap. Minął nowe pastelowe domki, surowe trawniki i patchworkowe

fasady, a potem ruszył w górę błotnistymi koleinami, wzdłuż których zgodnie z miejskimi rozporządzeniami zainstalowano już hydranty i wpusty ściekowe. W końcu dotarł na plac budowy w Indian Hill.

Buldożer był już na miejscu. To powinno wprawić go w zadowolenie, ale Construction King, maszyna firmy Case, wyposażona w hydrauliczny czerpak i lemiesz czołowy, przygniatała go wściekle z powodu alarmująco wysokiej stawki. Dwadzieścia pięć dolarów za samo sprowadzenie spychacza, dwadzieścia dwa pięćdziesiąt za godzinę pracy z operatorem – ubranym w kombinezon Murzynem z Mather. Gdy siedział na wibrującym tronie, zdawało się, że siła maszyny jest jego siłą, i gdyby przekładnie przestały działać, sam skoczyłby na ziemię i zaczął gołymi rękami wrywać pniaki ze znieważanej czerwonej gleby. Pietowi trudno było sobie uzmysłowić, że to za jego sprawą ten człowiek i jego rycząca maszyna sapali, na pełnych obrotach ryli i ubijali miejsce, gdzie kiedyś mieszkali ptaki i bawiły się dzieci. Jednakże Murzyn powitał go ochoczo, a młody kierownik robót, Leon Jazinski, skierował się w jego stronę, przeskakując wielkimi susami po grząskiej ziemi. Praca szła dobrze. Pniaki ze schnącym między korzeniami błotem oraz głązy, które od wieków nie widziały światła dziennego, zgromadzono na przygotowanym do wywiezienia stosie pogrzebowym. Murzyn stopniowo zagłębiał się w pierwszy piwniczny wykop, oznaczony sznurkiem i palikami o czerwonych końcach. Ten dom miał mieć najlepszy widok – na cmentarz w kształcie wachlarza i miasto ze szpiczastą iglicą i błyszczącym kurkiem. Pozostałe dwa domy planowano skierować frontem bardziej na południe, w stronę Lacetown, nijakiej okolicy z zięjącymi żwirowiskami, czarnymi plamami parkingów oraz lasami o osobliwie intensywnej barwach – purpurowych z miedzianym połyskiem. Ze sprzedaży tych budynków zysk będzie prawdopodobnie mniejszy o tysiąc lub dwa. Piet oczyma duszy widział już dom, który miał powstać w miejscu, w którym teraz stał – siding z sosny i bejcowanej sekwoi, plan piętra typu C, tarasowy trawnik, połączony pięcioma schodkami z polnych kamieni, z zadaszonym podjazdem, który prowadzi do znajdującego się pod kuchnią garażu; elegancki ganek z kamiennych płyt i dzwonek do drzwi wygrywający trzy różne melodyjki; ogrzewanie gorącą wodą, wbudowane w listwy podłogowe, i ceglane patio z tyłu budynku, gdzie latem będzie można jeść śniadania i się opalać; przystosowane do różnych warunków atmosferycznych ramy okienne z domieszką aluminium; oświetlenie sufitowe z reostatem; funkcjonalna kuchnia z szybami zespolonymi w oknach widokowych. W sumie 19 900 dolarów albo w ostateczności osiemnaście i pół, gdyby Gallagher spanikował. Zysk oprócz wynagrodzenia, które sam sobie regularnie wypłacał, sto pięćdziesiąt tygodniowo, z trzech lub czterech, w zależności od tego, jak gładko będzie mu szło koordynowanie podwykonawców. Ale nagle ta suma przestała mu się wydawać wystarczającą, by mogła zadowolić Gallaghiera, by usprawiedliwić odbywające się za jego plecami dzieło zniszczenia, gwałt na azylu płochliwych zwierzątek, które nie potrzebowały domów. Budowniczywie grzebiący świat stworzony przez Boga. Dwugłowy traktor w kolorze szkolnego autobusu tratował, rzucał się, warczał i rwał. Z dziury w ziemi buchały kłęby niebieskiego dymu. Dosiadający maszyny Murzyn, rozebrany już do podkoszulka, król kanibali na smoku ociekającym olejem, uśmiechnął się do Pieta i zawołał z satysfakcją, że nie natknął się jeszcze na skałę.

– To miękka część wzgórze – odkrzyknął Piet, ale nie został usłyszany.

Czuł, że między nim a czarnoskórym mężczyzną znajduje się gigantyczna przepaść, otchłań dzieląca bezlitosną dżunglę od wypieczzonego kawałka ziemi wykradzonego morzu. Murzyn był w swoim żywiole, pośród zamętu fruujących kamieni, gwałtownych zmian kierunku i biegów, szczęku metalu i kłębow dymu, odgłosów pracy silnika spalinowego, na ziemi wolnych ludzi. On był Chamem, który ją odziedziczył. Piet próbował wyobrazić sobie młodą parę, która zamieszka w budowanym przez niego domu, i nie był w stanie poczuć do nich sympatii. Nikt z jego przyjaciół nie chciałby tam zamieszkać. Pochylił



się i podniósł kość, wgniecioną w ziemię przez koła spychacza, i pokazał ją z zaciekawieniem Jazinskiemu.

- Krowia kość – orzekł Leon.
- Nie jest zbyt delikatna?
- Może to sarny?
- Słyszałem, że po południowej stronie wzgórza był indiański cmentarz.
- A bo ja wiem. – Jazinski wzruszył ramionami.

Leon był nieco cherlawym młodzieńcem o zapadniętej piersi. Pochodził z Nashua w New Hampshire. Był jednym z trzech pracowników, których firma Gallagher&Hanema zatrudniała przez cały rok. Pozostali dwaj, Adams i Comeau, byli już dość wiekowymi stolarzami. Piet odziedziczył ich po Edzie Byrdzie, niewystarczająco twardym przedsiębiorcy budowlanym z Tarbox, który zbankrutował w 1957 roku. Jazinskiego Piet osobiście wyłowił dwa lata wcześniej spośród zatrudnianych na lato robotników. Leon miał dobre oko i dużo rozsądku, wycucie kąta prostego i łatwość wykrywania wszelkich niedoróbek, a także umiejętność blefowania i prawidłowego przewidywania, dzięki czemu potrafił organizować ludzi, sprzęt i czas wynajmu tak, by ograniczać wydatki. Gallagher, który w duchu przekładał tandetny plastikowy siding nad drewno i płyty gipsowo-kartonowe nad tynk, chciał pozbyć się Jazinskiego jeszcze poprzedniej zimy. Piet ubłagał go, by zatrzymać chłopca, w zamian za obniżenie własnej pensji do stu dwudziestu pięciu, gdyż obawiał się, że inaczej sprzeniewierzyłby się swoim ideałom młodości. Czuł, że muszą jeszcze przez jakiś czas kształtować wrodzony instynkt Leona, by nauczył się wykonywać solidną, szybką i przyzwoitą pracę.

Piet był prawie pewien, że trzyma w ręku ludzką kość.

– Natknąłeś się może na groty strzał? Koraliki, skorupy naczyń? – spytał Leona.

Jazinski pokręcił powoli głową.

– Nic takiego. Matka Ziemia.

– W każdym razie przyglądaj się – polecił mu zawstydzony Piet. – Być może kopimy w świętej ziemi.

Upuścił kość, która była tak mała, że musiała raczej pochodzić z ramienia niż z uda. Na twarzy Leona, pochylonej i schowanej pod gęstą czupryną blond włosów, zauważył lekko drwiący uśmiech.

– Kiedy możemy zacząć wylewać fundamenty? – spytał chłodnym głosem człowieka interesu. – Na początku przyszłego tygodnia?

– To zależy – zachnął się chłopak. – Jestem tutaj zupełnie sam. Gdyby Adams i Comeau mogli przestać dłużyć przy garażu...

– Nie trzeba ich popędzać.

– Uszczelnianie fundamentów zajmie co najmniej jeden dzień.

– Trzeba to zrobić.

– Przecież nikt by się nie dowiedział, gdybyśmy ich nie uszczelnili.

Piet zrozumiał, że musi wytknąć chłopakowi błąd od razu, żeby nie został na zawsze oszustem.

– Mielibyśmy z tego powodu problemy. Za kilka lat, kiedy dom już osiadzie, piwnice zaczęłyby przeciekać i wszyscy by wiedzieli, że nie zrobiliśmy izolacji fundamentów. Powiem ci coś o budowaniu domów. Wszystko z czasem wychodzi na jaw. Każde oszustwo. Każda droga na skróty. Chcę, żeby fundamenty były zabezpieczone przed wilgocią, żeby położono warstwę polietylenu pod płytami i sporą ilość żwiru pod i nad rurami drenażowymi. Musisz też owinąć kolanka filcem, bo inaczej z pewnością się zapchają. Nie należy myśleć, że jeśli czegoś nie widać, to znaczy, że problem nie istnieje. Ludzie potrafią wyczuć smród fuszerki, a jeśli jesteś budowlańcem, to smród ten przylgnie do ciebie na długo. Chodźmy obejrzeć plany.

Policzki Leona zapłonęły pod wpływem dyscyplinującej pogadanki.

– Staruszkowie spędzili już miesiąc, pracując przy garażu, który ja razem z dwójką dzieciaków postawiłbym w tydzień.

Piet wyczerpał swój zapas pedagogicznego zacięcia.

– Powinni już kończyć – powiedział ze znużeniem. – Przejadę się tam i sprawdzę, czy mogą się tu jutro pojawić. Po południu zamówię ciężarówkę żwiru i sprawdzę, czy przygotowują nam w Mather beton na następny poniedziałek. Zrobimy wszystkie trzy fundamenty po kolei, poświęcając jeden dzień na każdą wylewkę. Sam pomogę, jeśli nie uda nam się wycisnąć z Gallaghera jakichś pomocników z zawodówki.

Następną godzinę spędzili, analizując plany przysłane z chicagowskiej pracowni architektonicznej. Z braku stołu rozłożyli je na wielkim gładzie, leżącym pod konarami starego dębu, który miał w przyszłości ocieniać patio. Piet czuł, że Leon szuka luk w jego rozumowaniu, sprawdza go i czuje do niego niechęć. W trakcie wspólnego planowania przyszłych prac Piet zdał sobie sprawę, że Jazinski go nie lubi, że wie o nim wystarczająco dużo, by uważać go za rozrzutnika, pijaka, imigranta robiącego z siebie błazna wśród balangowiczów z Tarbox, człowieka zdradzającego żonę i znudzonego swoją pracą. Czuł, jak przenika go chłód tej opinii, podczas gdy przesuwiał kciukiem po liniach i wymiarach, nanosząc ołówkiem poprawki, związanych z nachyleniem zbocza, na którym budowali. Leon kiwał głową, ucząc się, ale równocześnie zachowywał chłodny dystans, który zdawał się związany z naturą tego lasu, gdzie starsi padali ofiarą młodszych, frasobliwi ofiarą ambitnych. Piet bardzo już chciał opuścić plac budowy.

Przed odejściem zwrócił się jeszcze na moment do Murzyna, który przysiadł obok spychacza z pojemnikiem na drugie śniadanie i termosem. Ściany wykopu ukazywały żyłkowaną strukturę warstw gleby. Kartki nieprzeczytanej książki. Zakłócone życie roślin.

– Znajdujesz czasami indiańskie groby? – spytał Piet.

– Widuję różne kości.

– I co wtedy robisz?

– Człowieku, sunę dalej naprzód.

Piet się roześmiał, czując się usprawiedliwiony i rozgrzeszony, dotknięty i pocieszony tym nieoczekiwanym przejawem człowieczeństwa. W wypowiedzianych zwykłych słowach dopatrywał się drugiego dna, życiowej filozofii.

Jednak Murzyn zachował rezerwę, jak gdyby chcąc udowodnić, że wspólny śmiech nie służy już jako ustępstwo na rzecz jego rasy. Końce ramion miał wielkie i okrągłe jak piłki do siatkówki, górną wargę sperloną potem, wydzieliał lekko smołowy, tygrysi zapach. Stojący pod wiatr Piet się pochylił.

Proszę o wybaczenie, doktorze Kingu.

Piet opuścił polanę i pojechał do miasta, na sam koniec Temperance Avenue, gdzie Adams i Comeau stawiali garaż za domem. Comeau był szczupły, a Adams otyły, ale w czasie wieloletniej wspólnej pracy nauczyli się poruszać jak sąsiadujące ze sobą planety. Obracali się synchronicznie nawet wtedy, kiedy stali w przeciwległych rogach garażu tyłem do siebie, jak gdyby obaj posiadali grawitacyjną zdolność wyczuwania swoich pozycji. Kiedy podchodzili do ustawionej na kozłach skrzynki z narzędziami, często przecinali sobie drogę, ale nigdy się nie zderzali. Żaden z nich nie zauważył pojawienia się sylwetki Pieta w prostokątnym otworze, w który należało jeszcze wstawić podnoszące się na sprężynach drzwi z prowadnicami podsufitowymi. Piet poczuł zapach okorowanego drewna, który kojarzył mu się z zabezpieczonym miejscem. Praca wyglądała na ukończoną, nie licząc drzwi. Piet odchrząknął.

– Kiedy panowie macie zamiar tutaj skończyć? – spytał.

– Kiedy wszystko będzie gotowe – odparł Adams.

– A dokładniej? Moim zdaniem trzeba tylko wstawić drzwi, na co wystarczy parę godzin.

– Zostało jeszcze kilka drobiazgów – mruknął Comeau, który wygładzał heblem wewnętrzną część ramy okiennej, mimo że dostali ją gotową z fabryki.

Adams przykręcał wsporniki do półek między dwoma słupkami. Jego ogrodniczki miały chyba tyle kieszeni, ile jest szuflad w sklepie żelaznym. Przy pracy palił fajkę. Z kolei Comeau zawsze nosił świeżo wyprane niebieskie koszule, a palce miał poźółkłe od papierosów.

– Kiedy skończymy, wdowa będzie musiała radzić sobie sama – dodał.

Dom należał do młodej kobiety, której mąż, żołnierz, został śmiertelnie raniony nożem przez niemieckiego narzeczonego jego hamburskiej przyjaciółki.

– Trzeba zostawić wszystko w jak najlepszym porządku – powiedział Adams.

Piet rozejrzał się po garażu. Jego uwagę przyciągnął szczegół wykończenia futryny. Ukośna klamra o wymiarach dwa na cztery przecinała pionowy słupek i chociaż kąt nachylenia był ostry, a praca niełatwa, słupek został umieszczony równie precyzyjnie jak kawałek okleiny. Marnotrawstwo. Piet poczuł się tak, jak gdyby ktoś podarował mu bukiet kwiatów. Musiał jednak coś powiedzieć.

– Leon potrzebuje was na wzgórzu przy wylewce fundamentów.

– Nasz Zwinny Jasiek – mruknął stary Comeau, wytrząsając zapalną z pudełka. Takie przezwisko nadali Jazinskiemu.

– Drzwi nie przysły jeszcze z magazynu – powiedział Adams.

– Zadzwoń do nich – zapewnił Piet. – Jeśli nie przywiozą ich dzisiaj po południu, i tak chciałbym, żebyście pojawili się jutro rano na wzgórzu. Postawiliście wdowie piękny garaż, ale starczy już tej roboty za sześć pięćdziesiąt za godzinę. Na pewno zna kogoś, kto pomoże jej zamontować półki. Ja muszę wracać na wzgórze.

Idąc do samochodu, usłyszał za sobą głos Comeau.

– Pazerny Gały, siedzi mu na głowie – powiedział stary stolarz, nie przestając heblować ramy okiennej.

Piet pojechał do domu. Podwórce oraz budynek powitały go spokojną atmosferą opuszczenia. Piet zaniósł kupione wcześniej drewno i siatkę do warsztatu w piwnicy, gdzie nie zaglądał przez całą zimę. Przyciął kilka kawałków sosnowej deski, ale po chwili stwierdził, że ze względu na odkształcenie siatki musiałyby zastosować skomplikowany system okuć, do utrzymania boków prosto. Obmyślił więc inne rozwiązanie, w którym odkształcenie miało wzmocnić całą konstrukcję. Przytwierdził wygiętą siatkę z dwóch stron do sklejk, a z kawałka, który mu został, wyciął owalną ściankę zamykającą jeden koniec klatki. Po drugiej stronie miały być drzwiczki. Chwilę potem skonstruował zawiasy z wieszaka do ubrań i usztywnił je przyciętymi na miarę listewkami. W czasie pracy z podniecenia trzęsły mu się ręce. Emocje, które odczuwał jeszcze jako dziecko, często sprawiały, że psuł własne projekty – domki dla ptaków, dwukołowe wózki, zamki z piasku – zanim je skończył. Gotowa klatka, przezroczysty hangar utworzony na mocy praw, powstałych w nim samym, wydała mu się niezwykle oryginalnym wynalazkiem, pięknym i prostym. Wyobraził sobie z przyjemnością zaskoczenie Ruth, niechętny podziw Angeli i naleganie Nancy, by pozwolono jej wpełznąć do tego domku, w którym dziecko z łatwością się zmieści. Zaniósł klatkę do kuchni i poczuł ogromną chęć podzielenia się z kimś rozpierającym go zadowoleniem. Podszedł do telefonu i wykręcił numer Thorne'ów.

– Czy to szwedzka piekarnia? – to było ich tajne hasło, na które Georgene mogła odpowiedzieć „nie”.

– Witaj. – Roześmiała się jednak. – Jak się masz?

– Kiepsko.

– Czemu?

Opowiedział jej o chomiku i kiepskiej robocie w Indian Hill, ale nie był w stanie wskazać jasnej przyczyny swojego przygnębienia, powodu, dla którego ma wrażenie, że między

zjawiskami naturalnymi nie ma żadnego związku i że czuje, że spada. Brak słońca i cienia. Wyniosłość Angeli. Fochy Murzyna. Spóźniająca się wiosna.

– Biedny Piet – westchnęła Georgene. – Mój smutny kochanek.

– Nie opalasz się na tarasie? – spytał.

– Sprzątam dom. Dzisiaj będzie u mnie zarząd Ligi. Irene jest zawsze taka odpowiedzialna i wierna ideałom, że muszę stanąć na wysokości zadania.

– Jak tam palec Freddy’ego?

– W porządku. Wczoraj zdjął sobie łyżeczkę.

– Było mi bardzo głupio. Nie powinienem go krzywdzić. Ostatecznie w pewien sposób, oczywiście zupełnie nieświadomie, pozwala mi mieć ciebie.

– Tak sądzisz? Myślałam, że to ja pozwalałam ci mnie mieć.

– Ależ oczywiście. Dziękuję ci. Nie rozumiem tylko, dlaczego tak go nienawidzę.

– Nie mam pojęcia.

Zawsze kiedy rozmawiali przez telefon, Piet odczuwał niezwykłą obcość, związaną z niemożnością dotknięcia Georgene oraz dziwną nutą kłótności w jej głosie.

– Czy mógłbym... – spytał. – Czy chciałabyś, żebym cię na chwilę odwiedził? Tylko żeby się przywitać, nie mamy czasu na seks. Niedługo muszę być z powrotem na wzgórzu.

Jej milczenie, chwila, w której nie mogli się nawzajem dotknąć, była wyjątkowo dziwna.

– Piet – odezwała się w końcu. – Byłoby wspaniale...

– Ale?

– Ale zastanawiam się, czy to rozsądne, akurat tego popołudnia. Coś mi się przydarzyło.

Jest w ciąży. Z kim? Nad stolikiem z telefonem wisiało lustro i Piet ujrzał w nim swoje odbicie: bladego, spiętego ojca. Nogi się pod nim ugięły.

Georgene ciągnęła z wahaniem, ona, która powierzyła mu swoje sekrety, opowiadała o dziewczęcych miłościach i o tym, jak pierwszy raz uprawiała seks z Freddy’em, a także o swoich okresach i przelotnych, zwykłych zauroczeniach innymi mężczyznami, o wszystkim.

– Chyba odkryłam, że Freddy widuje Janet. Znalazłam liścik w kieszeni jego garnituru, który miałam oddać do pralni.

– Co za nieostrożność z jego strony. Może jednak chciał, żebyś go znalazła. Co w nim było napisane?

– Niewiele. „Skończmy z tym, nie dzwoń do mnie”, i tak dalej, co właściwie może oznaczać wszystko. Na przykład to, że ona na niego naciska, żeby się ze mną rozwiódł.

– Dlaczego miałaby chcieć ślubu z Freddy’em? – Piet zdał sobie sprawę, że to nietaktowne pytanie, i ciągnął dalej, próbując zatuszować złe wrażenie: – Jesteś pewna, że to ona?

– Raczej tak. Podpisała liścik J, a poza tym jej pismo jest wyjątkowo charakterystyczne, wielkie rozlazłe litery. Na pewno je widziałeś na bożonarodzeniowych kartkach.

– No tak. Ale słońko, romans Freddy’ego i Janet wisi w powietrzu już od jakiegoś czasu. Naprawdę tak bardzo to tobą wstrząsnęło?

– Chyba tak – odparła Georgene. – To ma związek z kobietą godnością. Ale to nie wszystko. Ciarki mnie przechodzą na myśl o rozwodzie. Gdyby miało do niego dojść, nie chciałabym, żeby Freddy też coś na mnie miał, żeby dzieci czytały o tym w gazetach. On by się tym specjalnie nie przejął, ale ja tak.

– Więc co to dla nas oznacza?

– Chyba nic, po prostu musimy bardzo uważać.

– Jak bardzo?

– Nie muszę ci chyba mówić, ile dla mnie znaczysz. Obdarzyłam cię uczuciami, których nie można udawać. Po prostu wydaje mi się, że nie byłabym w stanie cieszyć się dzisiaj w pełni z twojej obecności, a nie chcę, żebyś przyjeżdżał na próżno. Poza tym już niedługo południe.

– Rozmawiałaś z Freddy’em o swoim odkryciu?

Mężczyzna w lustrze zmrużył oczy, podczas gdy uczucie strachu powoli ustępowało miejsca ciekawości.

– Za bardzo się boję – odparła szczerze Georgene. – On powiedziałaby Janet, a wtedy ona miałaby świadomość, że ja wiem. Dopóki nie wymyślę czegoś, wolę wszystko zachować dla siebie.

– To wzruszające, że Freddy tyle dla ciebie znaczy.

– Cóż, mój drogi, ostatecznie jest moim mężem.

– Nie da się ukryć. Sama go wybrałaś i należy do ciebie. Nie rozumiem tylko, dlaczego ja muszę cierpieć, kiedy Freddy jest niegrzeczny.

– Może jest niegrzeczny, dlatego że my też się źle zachowujemy. Poza tym brzmisz, jakby to cierpienie sprawiało ci satysfakcję.

– Powiedz, kiedy możemy się zobaczyć.

– Kiedykolwiek, byle nie dzisiaj, kochanie. Po prostu nie jestem w tej chwili sobą.

– Wybacz, słodka Georgene. Zachowuję się bez sensu, jak urażony egocentryk.

– Uwielbiam twój egocentryzm. A niech tam. Jak chcesz, to wpadnij, małą przywożąc z przedszkola dopiero o dwunastej trzydzieści.

– Oczywiście. Ale nie chcę, żebyś się do czegośkolwiek zmuszała. Czujesz się winna. Obawiasz się, że pchnęłaś biednego, bogobojnego monogamistę Freddy'ego w ramiona tej nierządniczy.

– Ale ja lubię Janet. Uważam, że jest zabawna i taka żywa. A Frank jest nieznośny i nic dziwnego, że Janet stawia warunki.

Piet z kolei lubił Franka; oparł się pokusie wszczęcia z tego powodu kłótni. Tymczasem Georgene coraz bardziej się odprężyła, spokojna już, że on jej nie odwiedzi, i Pieta zaczynało to denerwować.

– Tak czy inaczej – powiedział – właśnie wybiło południe. Wolalbym, żeby Judy nie powiedziała, wróciwszy ze szkoły: „Mamusi, co to za wybrzuszenie pod kołdrą? Pachnie jak tata Nancy”.

Zapachy: lasu, ziemi, skóry Murzyna, sosnowego drewna w garażu, whisky w oddechu Bei Guerin.

– Zniechęciłam cię? Naprawdę cię pragnę.

– Wiem. Nie przepraszaaj. Byłaś cudowną kochanką.

Georgene zignorowała to, że użył czasu przeszłego.

– Pierwszą rzeczą, jaką chciałam zrobić, kiedy znalazłam liścik, to zadzwonić do ciebie. Po co? Żeby wypłakać ci się. Wślizgnąć się obok ciebie do łóżka. To był poniedziałkowy wieczór, Freddy poszedł do klubu Lions. Nagle ogarnął mnie strach. Byłam sama w wielkim, brzydkim domu, trzymając w ręku kawałek papieru, który nie chciał zniknąć.

– Nie masz się czego bać. Jesteś wspaniałą partnerką w deblu i świetną żoną dla Freddy'ego. Kto inny by z nim wytrzymał? Gdyby cię stracił, byłoby to dla niego najgorsze wydarzenie od czasu, kiedy wyleciał z akademii medycznej. – Czy zauważyła to niezamierzone przyrównanie jej do stomatologii? Obie praktyczne, czyste, nieskomplikowane, obie drogą ucieczki. Piet pomyślał: a może Angela była trudnym egzaminem, który on sam oblał? – W każdym razie – ciągnął dalej – moim zdaniem ani Janet, ani Freddy nie mieli ostatnio nastroju do angażowania się w związki z innymi ludźmi.

– Jakie to smutne. Dzwonisz, żebym cię pocieszyła, i w końcu to ty musisz mnie uspokajać. Cholera. Volkswagen Bernardette jest już na podjeździe. Zajęcia w przedszkolu musiały się wcześniej skończyć. Dzisiaj jest jakieś święto?

– Dwudziesty trzeci kwietnia? Przeczytałem w gazecie, że dziś są urodziny Szekspira. Skończy! trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

– Muszę uciekać. A zostało jeszcze tyle do pogadania. Spotkajmy się jakoś niedługo.

– Tak – powiedział Piet i odkładając słuchawkę, usłyszał jeszcze ciche cmoknięcie

Georgene na pożegnanie.

Lekko przygarbiony mężczyzna w lustrze, gotowy do skoku cień. Za jego plecami wlewało się do pokoju bezsłoneczne światło. Stojąc pośród szarości, Piet zauważył, jak skutecznie tuszuje ona kurze łapki i zmarszczki wokół oczu. Wyglądał młodo. Przypomnił sobie fragment pierwszej rozmowy, którą przeprowadzili z Georgene już jako kochankowie. Była taka wesoła tamtego chłodnego wrześnieowego dnia, tak skutecznie go przekonywała, żeby wszedł na piętro i do jej łóżka, że Piet nie był w stanie uwierzyć, że jest jej pierwszym kochankiem. Rozproszone jesienne światło wlało się do jej domu, ożywiając egzotyczne bambusowe meble, rozety ze słomy, batikowe tkaniny i niebielone płótno żaglowe. Zaskoczyły go gwatemalskie poduszki w krzykliwych kolorach, spiętrzone w wezłowie małżeńskiego łóża.

Tutaj? W łóżku Freddy'ego?

To też moje łóżko. Wolałbyś, żebyśmy to zrobili na podłodze?

Nie, nie. Jest wspaniałe. Czyje to książki?

Pornografia Freddy'ego, obrzydlistwo. Nie rozpraszaj się.

Tylko ty jesteś ważna. Ale... czy nie powinniśmy się jakoś zabezpieczyć, żeby nie zmajstrować dzidziusia?

Kochanie. Jesteś taki naiwny. Chcesz powiedzieć, że Angela nie bierze jeszcze enovidu?

A ty bierzesz? To działa?

Oczywiście, że działa, to wspaniały wynalazek. Witaj, powiedziała Georgene, w pigułkowym raj.

Stał na środku salonu o niskim suficie i tapetach, które wraz ze stopniowym zanikiem światła słonecznego okrywały się żałobą; pośród eleganckich mebli, świadczących o jego i Angeli zaskakująco podobnym zamiłowaniu do prostoty. Przypomnił sobie, jak policzki Georgene, pokryte piegami od spędzania letnich dni na tarasie w słońcu, zmarszczyły się wesoło, kiedy żartowała na temat pigułki. Jej swoboda uspokoiła jego drżące serce. Georgene wносиła do ich romansu lekkość i niewinność, jak posag dziewiczych koronek. Jeśli zabawy Freddy'ego miały rzucić na nią cień, popsuć ją, gdzie indziej mógłby szukać tak łatwego rozgrzeszenia? Czy przed ich pierwszym razem się wykapała? Nie, zaczęła to robić dopiero wtedy, kiedy odkrył, że lubi całować ją między udami. Czy jej opanowanie i wesołość miały związek ze sposobem, w jaki obdarzał ją miłością, z obawą przed zbytnim zaangażowaniem, które mogło zagrozić jej małżeństwu? Bawiły ją jego pochwały; zawsze mówiła, że wszystkie kobiety lubią się kochać, że wszystkie kobiety są piękne, tak jak i sedes, kiedy akurat jest potrzebny. Ale w świetle dnia Piet odkrył, że na jej poważnej twarzy o rzymskich rysach pojawia się wyraz spokoju głębszego niż u niemowlęcia pogrążonego we śnie. U Angeli nigdy czegoś takiego nie zauważył, nawet w ciemnościach nocy. Sekretne mężowskie odwiedziny nie pozwoliły mu na tak bliskie poznanie żony jak jego uroczej, zrelaksowanej i pragmatycznej porannej zdobyczy. Linia jej wąskiego, długiego nosa podwójną arabeską. Pojedyncze siwe włosy przeczące młodości jej ciała. Kościsty fragment ogona.

Niemożność zobaczenia się z Georgene wypełniła pustką pochmurne popołudnie. Sterczące pędy chciwie wysysały światło z szarego, bezsłonecznego powietrza. Salami, które Piet zjadł na lunch trąciło śmiercią. W końcu znalazł się w biurze. Przez telefon rozmawiał szorstkim, zrezygnowanym głosem. W magazynie zabrakło drzwi garażowych i zamówiono nową dostawę z Akron. Żwir zdrożał o dwa dolary na tonie, a ciężarówka mogła go przywieźć najwcześniej w piątek. Wszyscy stolarze z okolicy udali się do Bostonu, gdzie przeprowadzano wyjątkowo dużo remontów. Piet wykonał sześć telefonów, nim udało mu się znaleźć dwóch uczniów ze szkoły zawodowej, oddalonej od Tarbox o dwadzieścia mil. Wiosenne budowy już się rozpoczęły, a on zbyt wolno do wszystkiego się zabrał. Gallagher trochę nad tym ubolewał, ale potem oskarżycielsko milczał.

Piet poznał Matta w wojsku, w 1951 roku. Stacjonowali razem na Okinawie, w koszarach

na piaszczystej równinie bez żadnej rzeki. Piwo pito tam z puszek bez oznaczeń, wszędzie roilo się od apatycznych prostytutek z Luchuan, a perspektywa śmierci w walce była równie nierealna jak ziemia ojczysta i pochodząca z niej muzyka, która grzmiała przez głośniki w kantynie. Pietowi przypadła do gustu psotliwa natura Gallaghery, jego dbałość o wygląd, czarne włosy i oczy, rezon i umiejętność atrakcyjnego prezentowania się oraz kulturalny język, wolny od pogardliwych wyrażen. Matt przekonał go, że powinni zdawać na wydział architektury, a kiedy zostali zwolnieni, zabrał go ze sobą do Nowej Anglii, i tak zaczęło się jego obecne życie. Jednak ostatnimi czasy lojalność Pieta została wystawiona na próbę. Widział, że Matt zmienił się w człowieka oschłego, sztywnego, pochopnego w ocenach i skąpego. Gallagher marzył o zawładnięciu wielkimi połaciami wzgórz, a równocześnie chciał pozostać człowiekiem o nieskazitelnej osobowości. Otoczył żonę i dziecko murem katolicyzmu. W małym, przezroczystym świecie par, których intrygi owładnęły Pietem i zmieniły go, Matt odstawał jako nieprzenikniony człowiek zasad.

Kiedy telefon na biurku zadzwonił, Piet przestraszył się, że to pragnąca pogodzić się Georgene. Nie lubił trapić Matta swoją dwulicowością; myślał o nim z podobnym bólem, z jakim myślał o ojcu, cierpliwym duchu, który krąży w świetlistym mroku szklarni i czeka w milczeniu, aż jego syn zawróci ze złej drogi.

Tymczasem w słuchawce odezwał się głos Angeli. W przedszkolu Nancy okropnie rozplakała się z powodu chomika. Dziecko zrozumiało nagle z całą jasnością, że zwierzę poniosło śmierć z jej winy. „Tatus tak powiedział”, oznajmiła i wpadła w zupełną histerię. Angela wyniosła ją z sali, a że tego dnia to ona była opiekunką, zajęcia musiały się wcześniej skończyć. Nie wróciła jednak z Nancy. W domu nie było nic do jedzenia prócz szynki i chcąc odwrócić uwagę dziewczynki lodami z syropem, zabrała ją na naleśniki do North Mather. Teraz mała spała na sofie w domu, z kciukiem w buzi; dostała lekkiej gorączki.

– Nancy potrafi wzbudzić współczucie – stwierdził Piet.

– Ale najwyraźniej nie własnego ojca. Nie zadzwoniłam po to, żeby cię rozczulić tą wiadomością, chociaż naprawdę uważam, że źle rozegrałaś sprawę. Zachowałeś się głupio albo okrutnie. Dzwonię, żeby poprosić cię, żebyś odebrał Ruth ze szkoły i pojechał z nią po nowego chomika do Lacetown. Uważam, że należy to zrobić jak najszybciej.

Czary-mary. Nowy chomik za pomocą magicznej sztuczki stanie się starym chomikiem, który zaczął się już rozkładać pod cklivicą. Religia pozorów z wyższych sfer. Idea chomika trwa wiecznie. Platon. Piet był jednak zwolennikiem Arystotelesa. Powiedział, że nie może odebrać Ruth; popołudniem miał jeszcze tysiąc rzeczy do zrobienia. Należało sprawdzić bilans pierwszego kwartału, popchnąć kwestię domów na wzgórz, milion dupereli; branża budowlana schodziła na psy. Cały czas Piet miał świadomość, że Gallagher przysłuchuje się rozmowie.

– Zmarnowałem pół ranka na zrobienie nowej klatki. Widziałaś ją? Jest w kuchni.

– To jest klatka? – powiedziała Angela. – Nie wiedziałyśmy, do czego ma służyć. Dlaczego ma taki dziwny kształt? Nancy myślała, że to małe więzienie, w którym chcesz ją zamknąć.

– Powiedz jej, że bardzo ją kocham i żeby się nie martwiła. Do zobaczenia.

Księgi rachunkowe wykazywały dwadzieścia procent mniej dochodu, niż Gallagher chciałby mieć. Bracia Spiros dołączyli do miesięcznego zestawienia notę z ostrzeżeniem o zamknięciu konta; byli im winni 1189,24 dolarów. Gallagher pozwalał, by należności rosły przez długi czas, wyznając teorię, że pieniądź bezustannie traci na wartości. Liczby spadły na Pieta jak szara mglista sieć. Uczucie przygnębienia wzmógł telefon od Foxy Whitman, kobiety, która nieproszona pojawiła się na meczu koszykówki. Poprosiła Pieta, by przyjechał obejrzeć ich dom. Nie chciał tego zlecenia, nie lubił pracować dla znajomych. Jednak beznadziejny nastrój, w którym coraz bardziej się pograżał, skłonił Pieta do ucieczki od kolejnych rozmów i krępującej bliskości Gallaghery. Wsiadł do furgonetki, która na tylnej

klapie miała napisane UMYJ MNIE, i ruszył nad morze.

Po prawej stronie pojawiły się moczary, wyglądające niezwykle w świetle odchodzącego dnia. Pas połyskującego gruntu, a za nim ocean na horyzoncie. Kolorowa glazura nad wanną. Pierwsze rzadkie krople deszczu, zimne i beznamienne, zmoczyły jego dłonie, kiedy wysiadał z samochodu. Krzewy bzu ozdabiające wejście do domu Robinsonów były bardziej rozłożyste niż te, które rosły wzdłuż przydrożnego żywopłotu Pieta. Blisko morze i więcej słońca. Więcej życia. Malutkie stożki w kolorze wina, które za kilka tygodni rozwiną się w lawendowe wiechcie. Ulewa. Rosa. Sól. Bryza. Maślane żonkile kołysały się przy jego rękawach, przy zrobionym z desek ogrodzeniu, gdzie pławiły się w odbijanym ciepłe. Piet uniósł metalowy, przeżarty przez sól haczyk i wszedł. Nawet kiedy chmury były nisko nad ziemią, widok zapierał dech w piersiach; rozległy kobierzec, a na jego krańcu czyste wydmy i ocean. Popenił błąd, był zbyt ostrożny. Ten dom powinien należeć do Angeli.

Początkowo Ken Whitman zajmował się przemianą materii u jeźowców, potem zaczął specjalizować się w fotosyntezie. W pracy doktorskiej omówił siedmiowęglowy cukier sedoheptulozy, odgrywający niewielką rolę w łańcuchu niezliczonych reakcji, dzięki którym pięć szóstych grupy niewytwarzających skrobi trójfosforanów zostaje przemienionych w pięciofosforan rybulozy. Był to elegancki proces i niewielu ludzi poniżej czterdziestki, poza Kenem Whitmanem, poruszało się z równą swobodą po tej gigantycznej drabinie ze światła, po której schodzi dwutlenek węgla, by stać się węglowodanem. Obecnie Ken prowadził dwóch doktorantów, badających transport cząsteczek glukozy poprzez ściany komórek. Na tym szczyble kariery zdążył zniecierpliwic się już molekularną polityką cukrów i marzył o sięgnięciu do samego tajemniczego serca wiązań CO<sub>2</sub> – powodowanego przez chlorofil przetworzenia energii słonecznej w chemiczną. Jednakże na tym ostatnim etapie, w wypadku jedynej reakcji, która równoważy ogromne wydatki oddychania i która nie dopuszcza do rozkładu i śmierci, Ken nie był w stanie podążyć dalej. Pałeczkę przejmowały biofizyka i elektronika. Łańcuchy piętrzących się kwantosomów tworzyły strukturę podobną do sieci krystalicznej w tranzystorach. Fotony pobudzały przepływ elektronów w chmurze cząsteczek obecnych w chlorofilu. Mimo iż miał różne pomysły (dlaczego akurat chlorofil? dlaczego nie jakakolwiek ilość równie złożonych związków? czy atom magnezu stanowi klucz?), żeby zacząć je rozwijać, musiałby znów wrócić do szkoły, a w wieku trzydziestu dwóch lat czuł się już na to za stary. Poświęcił się całkowicie mało efektywnemu procesowi cyklu węglowego, podczas gdy młodszy zdobywali sławę i okazałe granty w tak obiecujących dziedzinach, jak neurobiologia, wirusologia i wspaniałe niezbadane domeny kwasów nukleinowych. A on miał żonę, dziecko w drodze, dom wymagający kapitalnego remontu. Przeliczył się z siłami. Życie, którego wdzięczne sekrety mógłby odkrywać, ciążyło mu ogromnie.

Ostatnie godziny tego ponurego dnia spędził, mając wrażenie, że porusza się pod wodą. Nieodwracalna, zamknięta przyszłość warzyła się w przyrządach w jego laboratorium. Był to fantastyczny szklany system kolb, retort, szczypców, szkiełek mikroskopowych i rurek, elektromagnetycznych wag, czułych nawet na jedną setną miligrama, i zbędnych eksperymentów, które prawdopodobnie powtarzano w Berkeley lub po drugiej stronie rzeki. Ken pracował na czwartym piętrze monumentalnego neoklasycystycznego budynku, od zewnątrz pokrytego sadzą i przestarzałego wewnątrz; zbudowano go w 1911 roku. Z okna w holu, którego parapet zdobiły zatarte kwiaty lili, rozciągał się widok na Boston. Autostrady wiły się na kształt naczyń włosowatych, zasilających położone w zagłębieniu centrum. Miało ono gęstą zabudowę z czerwonej cegły, między budynkami wznosiła się siedziba władz stanowych: State House, złote jądło. Zakurzone rozkopy pustoszyły pobliskie tereny. Tuż pod oknem studentki w kolorowych letnich sukienkach – barwione pierwiastki śladowe – prześlizgiwały się czterokołowcem ścieżkami między wielokątami chlorofilu. Ken spoglądał na świat nieświadomy swojego znużenia. Chwilę wcześniej spadł deszcz. Teraz przeniósł się



nad Tarbox. Dzień był tak pochmurny, że szyba stanowiła częściowo lustro, w którym uroda Kena, osobliwa przeciwwaga dla jego kariery, spoglądała na niego z uniesionymi brwiami, rozmytymi ustami i błyskiem białek. Ken cofnął się na widok tego ducha; przez większą część życia świadomie starał się unikać narcyzmu. Jako dziecko poprzysiągł sobie, że całkowicie poświęci się nauce, ale jego gładka twarz bezustannie mu w tym przeszkadzała. Odwrócił się i skierował w drugi koniec korytarza. Z braku miejsca ustawiono tam licznik scyntylacyjny Packard Tri-Carb – wydział wydał na niego piętnaście tysięcy. W tej chwili pracował, sprawdzając łańcuch roztworów o izotopowych znacznikach, prawdopodobnie mielonych mysich wątrób Neusnera. Był to mężczyzna o rudo blond włosach i szerokim karku. Jego żydowskie pochodzenie można było poznać jedynie po sennie opadających powiekach. Neusner zachowywał się z pewnością siebie osób wykazujących wyjątkowo niski poziom energii. Okraszał wykłady dużą ilością dowcipów, a jego prace naukowe przepełniało rozumowanie życzeniowe. Jednak był osobą lubianą, a poza tym udało mu się bezspornie ustalić przestrzenną konfigurację jednego enzymu. Ken zazdrościł Neusnerowi i nie zmartwiło go, że o czwartej trzydzięci laboratorium kolegi jest puste. Neusner często chodził na koncerty, był smakoszem win, kobieciarzem i podporą klubowej restauracji dla pracowników naukowych. Uczestniczył też w życiu politycznym Cambridge i dzień wcześniej opowiedział Kenowi swoim silnym, emfaticznym głosem najnowszy dowcip o Kennedym. „Którejś nocy około trzeciej rano Jackie słyszy, że Jack wchodzi do Białego Domu. Spotykają się na schodach. Kołnierzyk jej męża jest pognieciony, a na szyi widnieją ślady szminki. «Gdzie się u diabła podziewałeś?», pyta go. «Miałem spotkanie z Madame Nhu», odpowiada Jack. «Aha», mówi Jackie i zapomina o całej sprawie aż do następnego tygodnia, kiedy cała sytuacja się powtarza. Tym razem Jack tłumaczy, że siedział do późna, spierając się o kwestie ideologiczne z Niną Chruszczów...”. Doktorant o ziemistej cerze porządkował puste laboratoria. Na stole leżała kupka wypatroszonych białych myszek, przypominających popękane winogrona na tacy. Pełne klatki stworzonek o różowych oczach czekały w kolejce na unicestwienie. Neusner uwielbiał komputery i teorię statystyki i był znany z tego, że jego prace zawierały niekończące się arkusze liczb, które miały maskować jego fantastyczne wnioski. Drzwi obok stary Prichard, sycha na wydziale, bawił się nową metodą wykrywania i analizy substancji pamięciowej produkowanej przez mózg. Ken zazdrościł starszemu jego dziecinnej niefrasobliwości, swobody przedzierania się w gąszczu dowodów w poszukiwaniu rzadkiego ptaka. Zarówno Neusner, jak i Prichard cieszyli się swobodą, której Ken nie mógł zaznać. Dlaczego? Wszyscy czuli, że z tym Kenem jest coś nie w porządku, człowiekiem tak inteligentnym i przystojnym, ostrożnym i niezawodnym. Nawet ta seria zalet wskazywała na niestabilny, niewystępujący w przyrodzie związek. Prichard, prawdziwy święty, próbował mu pomóc, przekazując swoją wiedzę. Machał przy tym płamistymi dłońmi o skórze jak papier i kiwał wychudzoną twarzą, której płaskie policzki rumieniły się, gdy mówił, jękając się lekko. „Sedno sprawy, sedno sprawy leży w tym, Whitmanie, że wszystko to tylko żmudna dłubanina, nie można za-zakładać, że życie jest nam cokolwiek winne, po prostu musimy wycisnąć z tej s-suki ile się da, co?”. Jego wąski gabinet mieścił się obok laboratorium i tonął w wycinkach z gazet, satyrycznych rysunkach, zdjęciach dzieci i wnuków innych ludzi, dyplomach z wyróżnieniem, oficjalnych pochwałach wypisanych złotym literami, motylach w ramkach, napisach przekalkowanych z nagrobków i innych przejawach niezliczonych hobby starszka. Ken zatrzymał się przy drzwiach tego żywego albumu i spojrzął do środka wzruszony, jakby chcąc zaczerpnąć odrobinę zachęty. Zastanawiał się, dlaczego on sam nigdy nie będzie posiadaczem takiego sanktuarium. Starszek nie miał żony. Wspominano o jakimś skandalu w przeszłości, burzliwym rozwodzie. Ken wątpił w te opowieści, bo przecież to niemożliwe, żeby jakakolwiek kobieta mogła opuścić tak dobrego człowieka.

Nagle doznał olśnienia. Cnoty Pricharda mogły wykształcić się właśnie w wyniku

porzucenia, jako metaboliczna redukcja niezbędna przy procesie wzrostu, owocne frakcjonowanie. Chwila olśnienia minęła: Ken zajrzał w głąb siebie i zobaczył zagadkową gładkość. Na zagraconym biurku Pricharda leżała świeża gazeta z nagłówkiem ERHARD BĘDZIE NASTĘPCĄ ADENAUERA.

Morris Stein czekał na niego z nierozwiązanym problemem, enzymem, który nie dawał się skryształizować. Potem wybiła piąta i Ken ruszył w drogę do domu. Prowadził sprawnie, nieco agresywnie, mknąc Southeastern Expressway i zmieniając pasy, jak człowiek, który zna trasę na pamięć. Richard, Neusner i Stein tłukli się w jego głowie, podczas gdy samochody różnych marek wlokły się lub śmigły obok, wyprzedzały i były wyprzedzane – migwały za oknami jego pędzącego auta. Ken rozmyślał też o ludziach z Tarbox, o tym, że Hanema nie wstydził się jeździć niesamowicie brudną, grzechoczącą furgonetką, a Appleby starym brązowym fordem merkury, chociaż było go stać na lepszy model. Zastanawiał się też, dlaczego Prichard nie dostał nigdy Nagrody Nobla; przypuszczalnie dlatego, że jego badania były jak jego hobby, skaczące to w tę, to w tamtą stronę, bardziej spontaniczne niż zdyscyplinowane. Potem myśli Kena popłynęły ku fotosyntezie. Natura wykazywała dużą dozę kokieterii, ciągle skrywając jej sekrety, podczas gdy kościół palił astronomów, a dzieci umierały na białaczkę. Fotosynteza kapryśnie ulegała tylko tym, którzy umizgiwali się do niej w sposób najbardziej bezceremonialny, z naturalnym zapałem, którego jemu, Kenowi, brakowało. S-s-uka.

Wysokie kominy i zbiorniki gazowe południowego Bostonu ustępowały powoli hikorowym lasom, rosnącym wzdłuż Nun's Bay Road. Dotarł do domu przed zmrokiem. Niedawno przeszli na czas letni. W salonie, zwinięty na jednym z eleganckich foteli, spał samotnie Cotton. Ken zawołał Foxy. Jej cichy głos dobiegł go z tarasu – ktoś zerwał deski, którymi do tej pory były zabite oszklone drzwi. Foxy siedziała w wiklinowym fotelu, trzymając w ręku wysoką szklankę z dżinem i spoglądając w stronę morza ponad zardzewiałą balustradą. Niebo rozpogodziło się po krótkim deszczu. Ciemnoniebieskie chmury, cienkie jak karty do gry, przypominały drugą linię horyzontu. Czubek latarni morskiej oświetlała pomarańczowa kropla zachodzącego słońca.

– Nie jest ci zimno? – spytał.

– Ciepło mi. Jestem gruba.

Miał ochotę jej dotknąć, na szczęście i dla poczucia bezpieczeństwa, tak jak dziecko z Farmington, które po długim czasie ukrywania się w lesie wykrzykuje „Wolny!”, przykładając dłoń do przydomowego klonu. Kiedy tak spoglądała na słabnące światło ponad zieleniejącymi bagnami, była nieruchoma jak drewno. W mroku panującym na tarasie jej blond włosy, różowa skóra i piwne oczy miały ten sam odcień. W jednej chwili światło miękko gasło. Ken pochylił się, żeby pocałować Foxy, i jej skóra wydała mu się osobliwa w dotyku; jego żona drżała. Na jej ramionach pojawiła się gęsia skórka.

– Wejdz do środka – poprosił ją.

– Tu jest tak ładnie. Czy nie za to płacimy?

To stwierdzenie wydało mu się dziwne. Nigdy nie przywiązywali zbyt wiele wagi do pieniędzy. Postęp, zasługa, to było coś.

– Żyjemy raczej nieświadomi otaczającego nas świata – powiedziała, jak gdyby czytała w jego myślach. – Rzadko kiedy otwieramy się na piękno wokół nas. A ono jest wszędzie, bezustannie i każdego dnia, bez względu na to, czy na nie patrzymy, czy nie. Wspaniałe marnotrawstwo, prawda?

– Idę do środka i zrobię sobie drinka.

Foxy podążyła za nim, opowiadając, jak spędziła dzień. Wypielila i wygrabiła ogród z boku domu. Zdecydowała, że wzdłuż południowej, ślepej ściany skrzydła dla służby posadzi róże, czerwone przemieszane z białymi. Dzwonili z Plymoutha, że jej samochód, używany kombi (który dla niej kupili, ponieważ inaczej byłaby praktycznie odcięta od świata) będzie gotowy we czwartek, z tablicami rejestracyjnymi i naklejką z przeglądu. Ken zupełnie o nim

zapomniał, choć dobrze wiedział, że własny środek transportu był Foxy bardzo potrzebny. W Cambridge tyle czasu obchodzili się bez samochodu. Tuż przed lunchem wpadła w odwiedziny wracająca z plaży Irene Saltz z małym Jeremiah w indiańskim zawiniątku na plecach. Była działaczką na rzecz ochrony środowiska i niepokoiło ją, że zimowe sztormy wypłaszczą wiele wydm. Każde inne miasto już dawno zainwestowałoby w ogrodzenia na plaży i posadziło roślinność, żeby piasek się nie osypywał. Irene spytała Foxy, czy nie chciałyby przystąpić do Ligi Głosujących Kobiet, i wypila trzy filiżanki kawy. Gdy ma się męża, który na okrągło gada, trzeba pewnie znaleźć sobie jakieś inne erotyczne ujście, ale problem z ludźmi, którzy oddają się bez pamięci pracy w słusznym celu, polega na tym, że oczekują tego od wszystkich w swoim otoczeniu, nawet jeśli te osoby mają mężów tak przystojnych, uroczych i troskliwych jak, jej, ona sama... Ken sączył drinka i zastanawiał się, o co Foxy mogło chodzić. W świetle salonu wyglądała blado, a jej uszy i nozdrza były zaróżowione. Coś wzięła chyba.

Co jeszcze się wydarzyło? Ach, tak, w połowie jej drzemki (przy okazji: udało jej się dotrzeć do drugiego tomu *W poszukiwaniu straconego czasu*, który był znacznie mniej ciekawy niż poprzedni, jako że autor nie opowiadał już o swoim dzieciństwie) zadzwoniła Carol Constantine, żeby zaprosić ich na imprezę z okazji święta wiosny; zapowiada się dość orgiastycznie. W końcu też sama się przemogła i zadzwoniła do Hanemy, żeby przyszedł obejrzeć dom.

– Kiedy tu będzie?

– Już był.

– I co powiedział?

– Piętnaście tysięcy, mniej więcej. Zależy od tego, co chcemy zrobić. On twierdzi, że najlepiej byłoby podpiwniczyć cały dom, ale kanał umożliwiający dostęp do rur i przewodów oraz plastikowa izolacja na ziemi pod kuchnią od biedy wystarczą. Mówił też, że ogrzewanie ciepłą wodą to lepsze rozwiązanie, ale nawiew wyjdzie taniej, zwłaszcza że możemy puścić przewody w ścianach, które i tak trzeba postawić od nowa. Sam musisz z nim porozmawiać. Wszystko zdaje się jednak zależeć od czegoś innego.

– A co z dachem i gontem?

– Dach nowy. Ale stwierdził, że gont można na razie załatać.

– Czy w tych piętnastu tysiącach mieszczą się jakieś prace na tym paskudnym drugim piętrze i przeciekający świetlik?

– Nie wchodziliśmy na górę. Ale on oczywiście już zna dom. Uważa, że najważniejsza jest piwnica. Zachowywał się bardzo staroświecko i uprzejmie. Ciągłe mówił o dzieciach raczkujących na ciepłej podłodze i spoglądał na mój brzuch.

Ken poczuł, że ogarnia go obezwładniające zmęczenie.

– A kuchnia? – spytał jednak.

– Hanema uważa, że będą na nią potrzebne około cztery tysiące. Chciałby zburzyć ściankę od spiżarni i wymienić wszystko prócz zlewu. W tej kwestii jesteśmy zgodni. Ale instalację wodociągową trzeba całkowicie wymienić. Elektryczną również. Napij się jeszcze burbona, kochanie.

Wzięła jego szklanekę i posuwicie, jak żagłowiec popychany przez wiatr, poszła do kuchni.

– Zrób słabego – rzucił za nią Ken, a kiedy wróciła z drinkiem powiedział: – Co o nim sądzisz? Wydał ci się miły?

Foxy stała przez chwilę w bezruchu, wyglądając, jak gdyby miała zamiar zacząć nucić.

– Dam sobie z nim radę. Wydawał się nieco przybity. Kot sąsiada zjadł w nocy chomika jego córki.

Ken przypomniał sobie tacę pełną wypatroszonych myszy Neusnera i pomyślał ze zdziwieniem, że jacyś mężczyźni pozwalają sobie jeszcze na takie sentymenty.

– To głównie ty – powiedział do Foxy – będziesz miała z nim do czynienia.

Foxy znów poruszyła się płynnie i szybko, jak gdyby wpadła jej do głowy jakaś myśl, którą natychmiast od siebie odgoniła.

– Nie sądzę, by chciał przyjąć zlecenie. W tej chwili budują razem z twoim kumplem nowe domy, chcąc skorzystać na demograficznym boomie.

– Nie nazwałbym Gallaghery moim kumplem. Czy Hanema polecił ci jakiegoś innego wykonawcę?

– Prosiłam go o to. Powiedział, że nie zna nikogo, kogo mógłby nam na poczekaniu wskazać. Wyglądał na niezdecydowanego. Zachowywał się tak, jakby zazdrościł nam kupna domu.

– Jego żona chciała go mieć.

– Ciągle to powtarzasz.

Zareagowała niezwykle szybko, a jej oczy mocno błyszczały, co wydawało się dość dziwne. Ken czuł, że powodem tego jest jakiś nieznaną czynnik, tajemniczy związek chemiczny. Hanema nie przypadł jej do gustu; ten domysł, pochlebny dla niego samego, a także nieunikniony, w świetle własnych zalet, nastawił go pozytywnie do drugiego mężczyzny.

– Dlaczego nie mielibyśmy namówić go do pracy? – powiedział. – Wykorzystaj swoje wdzięki.

Foxy chodziła szybkim, lekkim krokiem po pokoju, wyglądając tak, jak gdyby robiła jakiś spis. Dotykała szorstkich powierzchni, które wkrótce miały zostać wygładzone, żegnała się z brzydkimi pamiątkami, z kolekcją muszli w kształcie wachlarza i suchymi bukietami z groszku nadmorskiego i hudsonii, które towarzyszyły jej przez ten ciężowy miesiąc.

– Jak ci minął dzień? – powiedziała, zmieniając temat.

– Czuję się, jakbym się znalazł w martwym punkcie – wyznał.

„Potrzebujesz innej kobiety”, pomyślała.

– To przez ten długi dojazd – powiedziała.

– Zbyt wiele użerania się z banałami. Jeśli o mnie chodzi, powinienem być zostać prawnikiem. Staruszek ma pustą makówkę, a wszyscy w Hartford sądzą, że to spryciarz.

Foxy się roześmiała i Ken spojrzał na nią ze zdziwieniem. Nie był świadomy tego, że kiedy myślał o Hartford, zaczynał mówić jak mały chłopiec.

– Zastanawiałem się dzisiaj nad Prichardem – ciągnął dalej ze smutkiem w głosie – i zdałem sobie sprawę, że brakuje mi tego „czegoś”, brakuje mi smykałki. Dla mnie to wszystko to tylko zbieranina szczegółów. Każdy głupi tak sądzi.

– Prichard jest już w podeszłym wieku. Ty jesteś młody. Starszych panów nie zajmują żadne poważne kwestie.

Przez „poważne kwestie” Foxy rozumiała rosnący wewnątrz niej cień, jej dziecko, skomplikowany proces wychowania.

– Poza śmiercią – odrzekł Ken, co wydało jej się dość dziwne.

Foxy zawsze sądziła, że myśli o śmierci mniej więcej tyle samo, ile zegarek o możliwości popsucia się. Zakładała, że Ken rozwiązał tę kwestię tuż po narodzinach, więc sama radziła sobie z nią na własną rękę.

– Nieprawda – oznajmiła ochotczo. – Ten problem rozwiązuje się w młodości. A kiedy człowiek się zestarzeje, myśli już tylko o tym, jak być szczęśliwym i cieszyć się każdym nowym dniem.

Popłynęła w kierunku półki na dwóch śrubach, na której leżała samotna bursztynowa kulka, rozświetlona spiralną białą smugą. Foxy ujęła ją w owalną, różową dłoń i próbując zajrzeć do środka, wyobraziła sobie Boga jako mężczyznę tak starego, że każdy nowy dzień sprawia Mu nieskończoną radość. Żałowała, że nie może dzielić się Bogiem z Kenem, chociaż jej wiara była tak niewinna jak ta kulka, mała i potulna, a jednak obecna. Jego wiara

nie musiała być większa. Tymczasem samą swoją obecnością sprawiał, że Foxy czuła się zawstydzona, dwulicowa.

Ken podniósł wzrok, jak gdyby przebudził się ze snu.

– Kto zerwał deski z drzwi na werandę?

– On. Hanema.

– Gołymi rękami?

*Chcesz to zrobić gołymi rękami?*

*Jasne. Czemu nie? Dlaczego sami tego nie zrobiliście?*

*Myśleliśmy, że są do czegoś potrzebne.*

*To prawda, ale zima się skończyła. Powitaj wiosnę. Od razu. Przy odrobinie wysiłku drzwi powinny się otworzyć. No i proszę. Chodź ze mną.*

*Byłam tu zaledwie kilka razy. Czy osłony na okna da się naprawić?*

Oderwał kawałek zardzewiałej siatki, zmiął ją i pokazał Foxy przypominające pyłek kwiatowy pomarańczowe drobinki, które zostały mu w dłoni. *Nowe osłony to jeden z najmniejszych wydatków, jakie poniesiecie. Alcoa produkuje zgrabne duże panele, które bez problemu wejdą w te prowadnice. Tutaj tak samo. Będziecie mogli zdejmować je jesienią. Latem weranda jest najprzyjemniejszym miejscem w całym domu. Można tu siedzieć i delektować się morską bryzą.*

*Ale weranda bardzo zacienia salon. Myślałam o tym, żeby ją zburzyć.*

*Nie pozbywaj się dodatkowej przestrzeni. Kupiliście ten widok A on znajduje się właśnie tutaj.*

*Uważasz, że postąpiliśmy niemądrze? Kupując ten dom?*

*Wcale nie. Można z nim zrobić, co się chce. Szkielet i powierzchnia już są. Teraz potrzeba jedynie pieniędzy.*

*To mój mąż się w nim zakochał. Ja myślałam o tym, żeby zamieszkać bliżej Bostonu, w Lexington albo Newton.*

*Wiesz...*

Zamiast skończyć przebiegł tam i z powrotem po werandzie, sprawdzając deski w miejscach, gdzie się lekko ugiwały.

*Tak?*

*Trzeba wzmocnić nieco podłogę. Na wszelki wypadek nie organizujcie tu na razie tańców w cztery pary.*

*Miałeś zamiar coś powiedzieć.*

*Właściwie nie.*

Czekała cierpliwie.

*Chciałem powiedzieć, że widok z waszej werandy wprawia mnie w smutny nastrój, ponieważ moja żona była w nim zakochana, a ja nie miałem odwagi zrobić tego, co zrobił twój mąż, czyli kupić domu.*

*Myślisz, że wystarczyła odwaga? Może chodziło o poczucie własnej wartości.*

*Niewykluczone.*

*A może to po prostu nie jest miejsce w twoim typie.*

*Dziękuję. Tak właśnie czułem. Nie jestem nadmorskim typem. Lubię mieć wokół siebie rozległe połacie stałego lądu, na wypadek powodzi.*

*Ja chyba też. Nie znoszę mieć mokrych nóg.*

*Ale czujesz się tu szczęśliwa, prawda? Słyszałem od kogoś, że tak właśnie mówiłaś. Oczywiście tak tylko pytam.*

Zachowywał się z nadmierną uprzejmością, jak gdyby czuł się zawstydzony. Był tak gotowy wrócić do roli najemnika, że Foxy pospieszyła z odpowiedzią, żeby zmniejszyć jego skrępowanie. *To prawda, jestem tu dość szczęśliwa. Ale odrobinę znudzona. Jednak miasteczko i ludzie, których tutaj poznałam, bardzo przypadli mi do gustu.*

*Naprawdę?*

*Dziwi cię to?*

*Ależ nie. Chyba sam częściowo zadaję sobie pytanie, czy tak naprawdę ich lubię. Są już częścią mnie.*

*A ty częścią ich?*

*W pewien sposób. Uważaj. Tobie też może się to przytrafić.*

*Nie sądzę, Ken i ja zawsze byliśmy niezależni. Nigdy nie angażowaliśmy się zbyt w przyjaźnie z innymi ludźmi. Chyba oboje jesteśmy dość chłodni.*

*Podczas gdy mówiła, wyjął nóż i odwracając się do niej plecami, zaczął dłubać przy oknie.*

*Powinniście wymienić wszystkie ramy.*

*Nie wystarczy założyć zimowe okna?*

*Niektóre z ram są zbyt przegniłe, by można cokolwiek do nich przykręcić.*

*Mam nadzieję...*

*Na co?*

*Chciałam powiedzieć, że mam nadzieję, że wpadniecie do nas z żoną, kiedy dom będzie już gotowy. Już się boję, że Angeli nie spodoba się to, co mamy zamiar z nim zrobić.*

*Roześmiał się – jego śmiech pochodził z głębin jego wnętrza, czego nigdy wcześniej nie słyszała u żadnego mężczyzny. Był też ciepły, nieco niepokojący i poruszający.*

*Próbowała się bronić.*

*Nie wiem właściwie, dlaczego miałabym się martwić aprobatą twojej żony. To taka urocza osoba.*

*Znów się roześmiał.*

*A twój mąż to uroczy facet.*

## II. Applesmithowie i inne zabawy

Domysły Foxy na temat Janet były tylko częściowo trafne. Janet tak naprawdę nigdy nie spała z Freddyem Thorne'em, chociaż przeprowadzili na ten temat poważną dyskusję, a jej romans z Haroldem, mniejszym Smithem, okazał się niespodziewanie trudny do zakończenia.

Pary Applebych i mniejszych Smithów przeprowadziły się do Tarbox w połowie lat pięćdziesiątych. Nie znali się, pomimo iż obaj mężczyźni pracowali na State Street i zajmowali się papierami wartościowymi – Harold jako makler, a Frank jako dyrektor działu operacji powierniczych w banku. Frank studiował na Harvardzie, Harold w Princeton. Obaj należeli do tej części pokolenia, która umiarkowanie buntowała się przeciwko ograniczeniu swobód i dyscyplinie, dzięki której zamożni utrzymali swój poziom życia w niespokojnych czasach Wielkiego Kryzysu i wojny światowej. Zostali wychowani w bezpiecznych kokonach bogactwa, podczas gdy reszta borykała się z kolejnymi nieszczęściami, a jako dorośli wkroczyli od razu w świat liberalnej gospodarki, w sprzyjający handlowi klimat. Składały się na niego młodzieńcza energia i ukryta depersonalizacja, pomyślne przedsięwzięcia na małą skalę, korzystające na dywersyfikacji, oraz skutek działań rządu, nakładającego podatki i składającego zamówienia oraz zbrojącego się bez umiaru. Przywódcy narodu moralizowali bezskutecznie, co służyło jedynie jako przykrywka dla ich sprytnych posunięć. Młodzieńcze rewolty i homoseksualny punkt widzenia jeszcze się nie liczyły. W kraju panowała atmosfera ukradkowego hedonizmu, wynikająca z zewnętrznego zagrożenia, nadal zbyt bliskiego, by móc sobie pozwolić na bezlitosną autoagresję; była to atmosfera czasów przejściowych, niepewnej przyszłości i życia z dnia na dzień, w którym wszelkie uogólnienia zdawały się pozbawione sensu. Do tego nowego świata małżeństwa Applebych i mniejszych Smithów wniosły skromne postanowienie o zachowaniu wolności, swobody i szczerości. Odgradzeni w dzieciństwie od rodziców przez niańki, prywatnych korepetytorów i wszelkiego rodzaju „pomocników”, dążyli do posiadania dużych rodzin, w których panowała atmosfera bliskości i serdeczności; własnymi rękami przewijali niemowlęta, wykonywali wszelkie prace domowe i drobne naprawy; działali w ogrodzie i odgarniali zimą śnieg z podjazdu, mając dzięki temu poczucie zdrowszego stylu życia. Wożeni jako dzieci czarnymi packardami i chryslerami, sami zadowalali się używanymi samochodami w całej gamie pastelowych kolorów. Pamiętając smutne czasy szkół z internatem, posyłali swoje dzieci do lokalnych szkół publicznych, których rozwój aktywnie wspierali. Poszukiwali innego rozwiązania niż sztywne i sformalizowane związki swoich rodziców oraz krępująca wierność, zawierając swobodne i otwarte przyjaźnie z innymi małżeństwami. Członkostwo w country klubach zastępowali nieformalną przynależnością do kręgu znajomych i uczestnictwem w przyjęciach i wspólnych zabawach. Zostawiali za sobą wspomnienia ekskluzywnych letnich kolonii, na których spędzali kiedyś wakacje i gdzie panowały nużące, ściśle określone zasady wzajemnego szacunku. Osiedlali się w spokojnych, robotniczych miasteczkach, takich jak Tarbox, starając się dodać w ten sposób swojemu życiu świeżości. Obowiązki i praca stawały się mniej ważne niż chwilowe przyjemności i rozrywki. Moralność przestała kształtować się w świątyni lub miejscu pracy; jej źródłem stało się zacisze własnego domu lub domy przyjaciół.

Pierwsze lata pobytu w Tarbox małżeństwa Applebych i Smithów spędziły, obracając się w towarzystwie starszych od siebie kobiet i mężczyzn. Mieszkające w pobliżu ciotki składały im obowiązkowe wizyty, a oni z początku grzecznie je przyjmowali, by w końcu zacząć odnosić się do nich z lekceważeniem. „Jacy drętwi”, mawiała Marcia, „są ci koniarze”. Kiedy poznały się bliżej z Janet, ukuły razem zwrot „wielkie K”, mający określać wszystkich tych, z którymi na szczęście nie musieli się już spotykać, a którzy tak bardzo im nadskakiwali,

zachowywali się zawsze we właściwy sposób i stanowili gęstą, rozciągającą się od Quogue po Bar Harbor siatkę krewnych i znajomych. Spotykając się od czasu do czasu w Milbrook albo Scituate na koniarskim przyjęciu, w którym obie zgodziły się uczestniczyć z dużą dozą ostentacyjnej rezygnacji, Marcia i Janet miały zwyczaj rzeć do siebie porozumiewawczo. Delikatne prychnięcie Janet, któremu towarzyszył ruch stopą podobny do sposobu, w jaki koń przebiera nogami, było dość sprośne; Janet była wtedy nieco szczuplejsza. Z reguły jednak stawiali się na wszystkich przyjęciach, ale ponieważ sami nigdy nikogo nie gościli, ilość zaproszeń powoli się zmniejszała. Skądinąd obie pary cieszyły się powodzeniem wśród tych wyśmiewanych, ograniczonych prowincjuszy ze względu na magnetyczną siłę nazwisk Appleby i Smith. Status ich rodziców zapewniał im natychmiastową akceptację oraz komplementy ze strony pogardliwie traktowanej społeczności „wielkiego K”.

Thorne'owie i Guerinowie mieszkali już wtedy w Tarbox, ale obie pary otaczała atmosfera dziwnego skrępowania i zakłopotania, związana z pozycją mężczyzn: dentysty Freddy'ego i w sumie nigdzie niezatrudnionego Rogera, który pomimo to często jeździł do Bostonu. Ich żony odznaczały się chorobliwą nieśmiałością; Bea nie piła wówczas takich ilości alkoholu i miała w zwyczaju milczeć przez cały wieczór, uśmiechając się mocno zaciśniętymi ustami. Kiedy Roger rzucał na nią groźne spojrzenie, zamierała jak zajęc oślepiiony światłami samochodu. Harold nazywał ich *Barbe bleu et Fatime*. Wszyscy natomiast uważali przymilną bezpośredniość i złośliwe wypowiedzi Freddy'ego Thorne'a za idiotyczne. W tamtych czasach mógł się jeszcze pochwalić niewielką ilością włosów, cienkimi, jasnymi jak len kosmykami, zaczesanymi na zaczątki łysiny. Z kolei Georgene była jeszcze jedną wykwalifikowaną, zadbaną klaczką z filadelfijskiego oddziału Wielkiego K. Od czasu do czasu pary wymieniały się odzieżą ciężową (oprócz Guerinów, ponieważ Bea nigdy nie była w ciąży) i zapraszały nawzajem na kolacje, które upływały w sztywnej atmosferze.

Natomiast regularni imprezowicze z Tarbox byli o dziesięć lat starsi i sprawiali wrażenie osób wulgarnych i pospolitych: Dan Mills, opalony i utykający alkoholik, właściciel przynoszącego straty warsztatu skutniczego; Eddie Warner, szef wytwórni farb w Mather, były sportowiec o okrągłej głowie, który nadal potrafił, podczas zakrapianych piwem pikników na plaży, rzucić piłką na odległość mili w szarość zapadającego zmroku; doktor Allen; dobry stary Ed Byrd; kilku zakompleksionych i bezustannie narzekających nauczycieli ze szkół w Tarbox; ich żony, matki nastoletnich dzieci, znające na pamięć niezliczone teksty rockandrollowych piosenek, nerwowe kobiety emocjonujące się cudzymi przygodami seksualnymi. Dla Janet byli to ludzie zdesperowani, ignorancy, prowincjonalni i zbyt krzykliwi. Ich liczne romanse, o których plotkowano w miasteczku, wydawały jej się żalodne, a pociąg do alkoholu wzbudzał w niej obrzydzenie. Janet jakiś czas temu urodziła dziecko, Franklina Juniora, ważył osiem funtów i sześć uncji; kiedy ssał jej pierś, skóra na jego skroniach uroczo pulsowała. Dlatego nie tylko chrapliwe głosy i kwaśne oddechy, ale też i nieświeży wygląd członków „towarzystwa ze skutni” (jak ich ochrzciły razem z Marcją) wywoływały jej niechęć. „Trędowaci” nie powinni pchać się do tańca. Towarzystwo ze skutni, powojenna społeczność złożona z weteranów wojennych, zatrudnionych gdzieś na miejscu i nieposiadających wyższego wykształcenia, zdawało sobie sprawę, że jest traktowane protekcjonalnie przez młodsze i modniejsze od siebie pary. Dlatego nikt nie przejął się specjalnie faktem, że kiedy wzajemne kontakty zupełnie się urwały. Ci „ze skutni” dalej spokojnie popijali drinki, grali w brydża i głośno wspominali Anzio i Guadalcanal.

Gdyby sprawiali sympatyczniejsze wrażenie, Janet prawdopodobnie nie zaczęłaby robić przyjaznych gestów w stosunku do Saltzów i Ongów, którzy w 1957 roku wprowadzili się do domów po przeciwnych stronach miasteczka i którzy przynajmniej mieli wyższe wykształcenie. Johna Onga można było nawet uznać za geniusza. W Cambridge badał materię od strony matematycznej, w ramach programu finansowanego przez rząd. Byłby fascynującą



osobą, gdyby nie to, że porozumiewał się prawie całkowicie niezrozumiałą angielszczyzną. Jego żona Bernadette pochodziła z Baltimore. Była barczystą pół Portugalką i pół Japonką – egzotyczną, hałaśliwą, ciepłą i męczącą, która sprawiała wrażenie, że stara się pomieścić dwa temperamenty w jednym ciele. Z kolei Saltzowie zachowywali się z okropną powagą, chociaż Irene zazwyczaj rozluźniała się przy trzecim martini. Zabawiała wtedy wszystkich naśladowaniem rozmaitych radnych i innych urzędników z Tarbox, którzy akurat czymś jej się narazili. Z kolei Ben potrafił imitować – skądinąd zupełnie nieświadomie – tylko jedną postać przepełnionego cierpliwie znośną udręką, zgiętego wpół rabina z niechlujną brodą i dłońmi zaplecionymi na plecach. Jednak dopiero w 1958 roku, kiedy Gallagher i Hanema otworzyli biuro na Hope Street, małe środowisko par skonsolidowało się w ostatecznym kształcie. Pojawienie się tych dwóch mężczyzn, Irlandczyka i Holendra, wyglądających razem jak Don Kichot i Sancho Pansa, obudziło w pozostałych sportowe namiętności. Futbol, jazda na nartach, koszykówka, żeglarstwo, tenis, a potem znowu futbol – ten niekończący się cykl dawał parom pretekst do bezustannych spotkań. Zawsze mieli na co czekać i co wspominać; mogli też spontanicznie organizować imprezy. Natomiast Terry i Angela wniosły do towarzystwa prawdziwy styl, swobodne wyrafinowanie, z którego pozostałe kobiety potrafiły naśladować zaledwie ton spontaniczności i rozbawienia, usprawiedliwiający niezwykle serdeczność, jaką sobie okazywali, i ciasne więzy wewnątrz grupy. W 1960 roku Constantinowie wprowadzili się do dużego, ponurego domu przy parku; Carol poświęcała się malarstwu, Eddie – lataniu. Jako para mieli w sobie coś pociągającego i niebezpiecznego. I wreszcie w 1963 Whitmanowie kupili dom Robinsonów.

W ciągu tych lat towarzystwo ze skutni przeszło od stanu upadku do całkowitej dezintegracji. Dwie pary się rozwiodły. Nauczycielom nie udało się uzyskać stałych posad, więc niektórzy odeszli, a inni zostali zwolnieni. Warsztat skutniczy biednego pijaczyny Danny'ego Millsa został przejęty przez bank, a on sam wyjechał na Florydę, zostawiając żonę, której żyłaste nogi zawsze jako pierwsze prezentowały kroki najnowszego tańca. Z poszczególnymi członkami towarzystwa ze skutni kontaktowano się już tylko telefonicznie, kiedy trzeba było poprosić którąś z ich nastoletnich córek o przypilnowanie dzieci. Jednak nie odeszli oni w całkowite zapomnienie – pozostawili po sobie pewien ślad, nieco irytujący dla Harolda i Marcii. W pierwszych latach ich pobytu w Tarbox mieszkała tam inna para o nazwisku Smith. Byli to ludzie pyszałkowaci, czerwoni na twarzy i pozbawieni poczucia humoru towarzyscy karierowicze. Po jakimś czasie przeprowadzili się do Newton, ale jeszcze przez rok uczestniczyli we wszystkich imprezach, na które zapraszano też mniejszych Smithów. Dla wygody nadano obu parom przydomki, które przetrwały do czasów, kiedy nie trzeba było już robić żadnego rozróżnienia. Niewielu z przyjaciół Harolda i Marcii wiedziało, kim byli więksi Smithowie i zapomniało ich wyniosłe, zaczerwienione twarze lalek, zawsze skwapliwie potakujące, jak kiwające się postacie na platformach w czasie parady. Co roku powodem do wesołości były gwiazdkowe kartki od Smithów, wykonane na hektografie i zawierające zakalcowate życzenia (co stanowiło główną metodę ataku), wysyłane z odległego Newton Thorne'om, Guerinom, Applebym oraz Haroldowi i Marcii. Przed nazwiskiem tych ostatnich, w pozdrowieniach, które im przekazywali, nieodmiennie pojawiało się „mniejsi” w cudzysłowie: dla naszych sobowtórów z Tarbox, „mniejszych” Smithów.

Zamieszanie z Applesmithami zaczęło się od momentu (krążyły nieprawdziwe plotki, że była to inicjatywa Janet), w którym Marcia zwróciła uwagę na dłoń Franka, których piękno wiązało się z jego wcześniejszą otyłością i dietą wrzodową, zastosowaną po gwałtownym spadku kursów akcji w kwietniu i maju 1962. Spadek ten, który miał większy wpływ na fundusze powiernicze Franka (dopiero co awansowano go na stanowisko niższego urzędnika) niż na maklerską działalność Harolda, na dodatek zaskoczył Appleby'ego z dużą ilością pieniędzy ulokowanych w akcjach przemysłu elektronicznego i farmaceutycznego. Te niepowodzenia sprawiły, że wraz z nadejściem zimy pary zacieśniły ze sobą stosunki. Mieli

też zwyczaj, by co niedzielę po partii tenisa jeść razem smażone małże lub homary, które przywozili w parujących papierowych torbach z restauracji w North Mather. Pewnego wieczoru, kiedy siedzieli wokół mozaikowego stolika mniejszych Smithów, Marcję zahipnotyzowały zgrabne ruchy błyszczących od tłuszczu palców Franka, gdy ten chwycił krążki cebuli. W wyniku diety jego dłonie stały się znacznie szczuplejsze i jakby wydłużone, ujawniając arystokratyczne, pięknie uformowane knykcie i skórki paznokci; ruchy jego kciuków były niezwykle wymowne. Wzdłuż pokrytych gęstymi włosami nadgarstków przez widoczne na wierzchu dłoni, przypominające przewody zasilające żyły płynęła do opuszków moc równocześnie niszczycielska i twórcza; Frank zajmował się przycinaniem róż, i dlatego skóra na jego rękach była pokryta drobnymi rankami, jak u rzeźbiarza albo człowieka łowiącego małże. Potem Marcja podniosła wzrok, by spojrzeć na jego twarz, i odnalazła na niej, pod warstwą chłopięcej pulchności, bezwiedny wyraz zmęczenia, wypalenia, dumy z wykonanej pracy i obecność płynnej mocy, która sprowadzała na jego policzki rumieniec i sprawiała, że oczy nabiegały mu krwią. Frank był mężczyzną. W jego znużonym spojrzeniu można było odnaleźć potwierdzenie tego, że życie stawiało na jego drodze liczne przeszkody, które mimo wszystko udało mu się pokonać. Doznawszy tego objawienia, Marcja nie była już w stanie patrzeć na Franka z obojętnością. Każdy jego ruch sprawiał, że drżała wewnętrznie, a przepływające przez jej ciało emocje szarpały nią delikatnie. Była kobietą. Wyczuwała wokół niego ekscytującą, niebezpieczną aurę. Kiedy wreszcie wstali, by udać się do domu, będąca w ósmym miesiącu ciąży Janet straciła równowagę i wsparła się na troskliwym ramieniu męża. Marcja, jak gdyby po raz pierwszy była świadkiem takich przejawów opiekuńczości, odczuła wstrząs; na jej oczach rozegrała się beczelna grabież.

Marcia Smith, z domu Burnham, była córką lekarza i wnuczką biskupa. Odkrycie męskiego piękna w Franku Applebym początkowo sprawiało, że w towarzystwie dwójki przyjaciół odczuwała niewinną, radosną lekkość, a w weekendy, kiedy się z nimi nie spotykali, wpadała w wyraźne przygnębienie (choć zazwyczaj udawało jej się zadzwonić do Janet i umówić się przynajmniej na drinka albo na wspólny rejs należącym do Applebych ketem). Jej zaborczość i czułość była prawie nie do odróżnienia od poprzednio okazywanej przyjaźni, chociaż na imprezach odczuwała wielką chęć, by znaleźć się w objęciach Franka. Nie był on jednak najlepszym tancerzem i czasami obijał się o Marcję, szurając niezgrabnie nogami, deptając jej po palcach, trzymając mocno chłodną dłoń w spoconym uścisku i chuchając alkoholowym oddechem w jej nagi kark, jak dziecko na szybę okienną. Marcja spoglądała wtedy z zazdrością na swojego męża i Janet albo Carol Constantine, walczących od ściany do ściany po ciemnych obrzeżach parkietu, podczas gdy ona i jej statyczny partner zajmowali jasno oświetlony środek. Harold był zwinny, ekspresyjny tancerzem i czasami po dłuższej chwili spędzonej w objęciach Franka Marcja dawała się ponieść mężowi i wirowała z nim, żeby złagodzić strzykanie i ból w karku, wywołany unoszeniem rąk zbyt wysoko. Jednakże we Franku wyczuwała stałość i solidność, której brakowało Haroldowi. Jej mąż nigdy tak naprawdę nie cierpiał; zawsze udawało mu się unikać nieszczęść. Harold czytał czasopisma branżowe albo lana Fleminga; Frank czytał Szekspira.

Marcia nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, że w pewnym sensie Szekspir pojawił się w życiu Franka później od niej. Dla Appleby'ego recesja, bezsenne noce z chorym żołądkiem, narodziny drugiego dziecka, rozmarzone spojrzenia, rzucone mu przez żonę przyjaciela, i narastająca skłonność do melancholii stanowiły początek wejścia w wiek średni, preludium do śmierci. Frank radził sobie z tą przemianą jak jego ojciec, sinolog amator, poprzez zanurzenie się w tchnącej spokojem przeszłości. „Gdy wciąż dokoła wicher wieje / A smętny ptak przez śnieg się wlecze / I nos Marianny czerwienieje / Nad miską, gdzie się jabłka piecze”. Wyjący wicher, stopiony śnieg i martwe ptaki zdawały się zatrzymane w kawałku bursztynu, a nawet w czymś jeszcze świetniejszym i czystszy, ponieważ ruch wewnątrz był możliwy. „Wyuczę szpaka, by mówił „Mortimer” / I w podarunku pošlę mu, by jego /

Wściekłość pobudzał nieustannie”. Gdy Frank kontemlował te wersy, idealnie przechowane, na zawsze bezpieczne namiętności, jego żołądek zapominał o sobie samym. Appleby nie był przyzwyczajony do dłuższej lektury, nie był w stanie skupić się na Dantem czy Miltonie, nie podobały mu się sztuki teatralne ani powieści. Jedyne Szekspir dostarczał mu ukojenia, bo tylko w jego dziełach upływ czasu pozostawał zakonserwowany w niezmiennych barwach.

– Wszystko w nim można znaleźć – tłumaczył kokieteryjnie Marcii, skądinąd z nikim poza nią o Szekspirze nie rozmawiał. Janet uważała, że oddając się nowej pasji, udziela jej tym samym nagany za to, że nie skończyła college’u i zamiast tego wyszła za niego za męż. – Wszystko, o czym marzymy, i zawsze źle się to kończy.

– Nawet komedie? – spytała Marcia.

– Kończą się ślubami, a szekspirowskie małżeństwa są nieszczęśliwe.

– Wydaje mi się – powiedziała Marcia, która jako osoba wyjątkowo spięta i nerwowa musiała mieć sprawę postawioną jasno – że chcesz przez to powiedzieć, że i my źle skończymy.

– My? Ty i ja?

Więc nie chciał jej w ten sposób dać znać, że czuje się nieszczęśliwy w małżeństwie.

– Gdybyśmy... coś zaczęli – dodała jednak.

– Powinniśmy coś zacząć? Kupuję ten pomysł. Tak. – Jego duża czerwona głowa zdawała się opadać ciężej na ramiona, w miarę jak rosła w niej nowa myśl. – A co z Haroldem i Janet? Może należałoby spytać ich najpierw o zdanie? Nie róbmy tego, ale udawajmy, że zrobiliśmy.

Jego ironia była tak niezręczna, że Marcia poczuła się urażona.

– Zapomnij o tym, co ci powiedziałam. Kobiety mają głupi zwyczaj przydawania erotyzmu przyjaźni. Chcę cię jedynie jako przyjaciela.

– Dlaczego? Janet jest twoją przyjaciółką. Proszę, przydad mi tego erotyzmu. To brzmi całkiem przyjemnie. W czasach recesji może nie być lepszej inwestycji.

Stali pośród letniego upału, opierając się o zderzak forda Applebych, zaparkowanego obok przypominającego twierdzę, ceglanego domu Gallagherów, na drodze prowadzącej do North Mather. Jeździli tam grać w tenisa, od kiedy Matt uzyskał pozwolenie sąsiada na korzystanie z kortu. Harold pił z gospodarzami, a Janet była w domu i zajmowała się córeczką. Nazwali ją Catharine na cześć ciotki, którą Frank zapamiętał jako kopkę zakurzonego aksamitu, obwieszzonego granatami koloru krwi.

– Okropny jesteś – powiedziała Marcia, śmiejąc się z przyjemnością. – A jeśli nawarzymy piwa?

– Niech pod kotłem żar się żarzy, niech z bulgotem war się warzy! Przez ostatnie dziewięć miesięcy Janet zachowywała się jak jędra. Zjedźmy przynajmniej razem lunch w Bostonie. Potrzebuję oddechu. Jak wyglądasz we wtorki?

– Odwożę wszystkim dzieci do szkoły.

– Hm. W środy zazwyczaj jadam lunch z Haroldem w Harvard Clubie. Muszę wysłuchiwać jego narzekań. Mam odwołać spotkanie?

– Lepiej nie. Harold nie znosi odstępstw od ustalonego porządku. Spróbuję zamówić opiekunkę dla Henrietty na czwartek. Ale zrozum, proszę. Spotykamy się tylko po to, żeby porozmawiać.

– Oczywiście, rozmawiamy. O ludziach, którym głowy wyrastają ze środka piersi.

– Otello?

– Zgadza się.

– Słuchaj, Frank. Zaczynam mieć na twoim punkcie obsesję. Wiem, że to absurdalne, i proszę cię o pomoc. Jako przyjaciela.

– Przed czy po przydaniu erotyzmu?

– Proszę, nie żartuj sobie. Ja jestem zupełnie poważna. Walczę o życie. Wiem, że mnie nie kochasz, i nie sądzę, że bym była w tobie zakochana, ale muszę z tobą o tym porozmawiać.

Tak bardzo tego potrzebuję. – Pochyliła głowę, żeby ukryć łzy, które bądź co bądź były prawdziwe. – Boję się.

– Kochana Marcio. Niczego się nie bój.

Zjedli razem lunch, a potem robili to dość regularnie, spotykając się na rogach nowych, oszklonych budynków albo przy wejściach do kwaciarni; rumiany, szczerzący zęby mężczyzna, sprawiający wrażenie kogoś, kto dobrze sobie radził w szkole, i niska, energiczna kobieta o ciemnych włosach, wyglądająca, jak gdyby wstrzymywała oddech. Trzymając się za ręce, przechadzali się nadbrzeżem w oparach morskiego zapachu albo przepychali się przez tłum na Washington Street w poszukiwaniu idealnej, schowanej w jakimś zaułku restauracyjki ze stolikiem w rogu i jowialnym barmanem, gdzie na pewno nie pojawiłby się żaden z ich znajomych z college'u czy pracy. Rozmawiali, stykali się stopami, muskali dłońmi w ramach przestrogi lub z żalu, opowiadali o sobie, o swoich dzieciństwach spędzanych za przyszyżonymi równo żywopłotami, o Szekspirze i psychiatrii, którą zajmował się ukochany ojciec Marcii, o Haroldzie i Janet, którzy niezmiennie przez nich oszukiwani, byli równocześnie idealizowani w ich niewiedzy, cudownie omylni i otrzymujący całkowite przebaczenie za wszelkie oznaki oziębłości, nadmierne wymagania, głupotę i próżność; związek Harolda i Marcii zdawał się czasami spiskiem zawiązanym w celu wychwalania nieobecnych małżonków. Jedna z ciotek Franka miała domek na północ od Bostonu, oddalony bezpiecznie od ich codziennego życia. Ciotka miała w zwyczaju chować klucz do drzwi za jednym z polnych kamieni, wbudowanych w fundamenty. Kiedy Frank był dzieckiem, sięganie po omacku do tej kryjówki przypominało piracką przygodę, płądowanie głębokiej groty pachnącej mocno ziemią, krezotem i odchodami gryzoni. Teraz klucz był zwyczajnie dostępny i Frank zastanawiał się, jak wiele nienależących do rodziny osób korzystało z tych samych gołych materaców i wojskowych koców, wyjmowanych z cedrowej skrzyni, a potem ostrożnie strzepywało popiół do folii zdjętej z paczki papierosów. W kuchni znaleźli mysz w pułapce. Umierając, przekręciła się na plecy i leżała, pokazując brudno-biały brzusek, przypominający zużyty wacik w gabinecie lekarskim. Frank i Marcia podkradli trochę sherry z szafki, ale myszy nie ruszyli. Przecież nigdy ich tam nie było. Z domku korzystano jedynie w czasie weekendów. Stał sobie bezpiecznie pośród sosen i dębów błotnych, a z jego okien roztaczał się widok na wąski półwysep Nahant. Morski zapach, wnikający do wnętrza, był bardziej słony i nieprzyjemny niż w Tarbox, gdzie Janet i dzieci wygrzewały się na słońcu. Marcia wydawała się Frankowi dziwnie mała, mocniej zbudowana, i łatwiej mu się z nią było obchodzić niż z własną żoną, zawsze niepokojąco rozbrzmiewającą rytmicznymi echemi. Kiedy w nią wchodził, odczuwał przyjemną twardość, przywodzącą na myśl młode kochanki francuskich dworzan, japońskie prostytutki, które opisywał kiedyś podpity Harold, szczupłych chłopców o gładkich ciałach, odtwarzających role Rozalindy, Kasi czy Ofelii. Marcia odznaczała się impulsywną podatnością na demoralizację, której on wcześniej nigdy nie miał okazji skosztować. Jej szczupłe ramiona połyskiwały w jego czerwonych objęciach. Kiedy czuła się całkowicie odprężona, spoglądała na niego jak przez całkowicie otwarty obiekt, chłonęła jego twarz.

– Uwielbiam twoje dłonie – powiedziała.

– Ciągle to powtarzasz.

– Uwielbiam w nich być. Są olbrzymie.

– Tylko w porównaniu – powiedział i zaraz tego pożałował, bo w ten sposób sprowadził do łóżka Harolda.

Ale Marcia zdawała sobie sprawę, że nigdy nie będą całkowicie sami.

– Jestem inna niż Janet? – spytała.

– Tak.

– Mam takie małe piersi.

– Są śliczne. Jak u greckiego posągu. Wenus zawsze ma malutkie piersi. Janet, Janet jest

teraz pełna mleka. To trochę kłopotliwe.

- Jak ono smakuje?
- Co? Mleko Janet?
- Nie musisz mi mówić.
- Nie, czemu nie? Jest słodkie. Właściwie za słodkie.

– Jesteś taki delikatny – powiedziała Marcia. – Nie jestem przyzwyczajona, by obchodzone się ze mną w łóżku z taką delikatnością.

W ten sposób dawała mu znać, że jest zbyt delikatny i że seks z Haroldem jest szorstki, bardziej intensywny i że prawdopodobnie jej mąż ma większego kutasa. Osłabiało to ich sytuację jako kochanków, ale wzmacniało jako powierników. Frank ze smutkiem ujrzał kryjącego się w nim endomorfika, jak przysadzistą postać stojącą na zamglonym brzegu. Jego wymagająca, głęboka, ektomorficzna kochanka leżała zaspokojona u jego boku; stykali się ze sobą całą długością lepkich ciał. Nerwowy blask inteligentnej twarzy Marcii zastygł; długi kolczyk opierał się na jej ramieniu, równolegle do linii kości policzkowej; prosty przedziałek na jej czarnych włosach został zwichrzony przez wichurę namiętności. Zasnęła? Frank pomacał ręką koło łóżka, pod leżącą na ziemi bielizną, w poszukiwaniu zegarka. Wkrótce miał się nauczyć, by w trakcie rozbierania się pozostawiać go dyskretnie w widocznym miejscu. Ciche, okolone złotem oblicze, malutka twarz bankiera oznajmiała, że ich lunch trwa już godzinę i czterdzieści minut. W żołądku poczuł cierpkie pieczenie.

Przez dwa miesiące udawało im się utrzymać romans w tajemnicy. Nietrudno jest oszukać pierwszy raz, ponieważ ofiary nie wykształciły jeszcze przeciwciał. Janet niewypełniona podejrzliwością, ignoruje spóźnienia, wierzy w absurdalne wymówki, zezwala, by najlichszymi łatanami naprawiać olbrzymie rozdarcia w codziennym życiu.

– Gdzie ty byłeś? – spytała którejs soboty.

– Wywieźć śmieci.

– Zajęło ci to dwie godziny?

– Zatrzymałem się po drodze, żeby porozmawiać z Buzzem Kappiotisem o stawkach podatkowych i o czteroprocentowej podwyżce dla straży pożarnej.

– Myślałam, że Buzz pojechał do Maine na ryby.

Ich sprzątaczką mieszkała po sąsiedzku.

– To znaczy nie z Buzzem, tylko z Iggym Galantisem, chyba zaczyna mi odbijać.

– Niewykluczone. Tak się ostatnio wierzysz w łóżku, że cierpię na bezsenność.

– To moje niebieskookie dzieciaczki wrzody.

– Nie rozumiem, dlaczego ostatnio jesteś taki nerwowy. Rynek się uspokoił, zredukowali marże. I gdzie tak pogmiotłeś ubranie?

Spojrzał w dół i zobaczył długi czarny włos Marcii uczepiony rozporoka jego sztruksów. Patrząc tam, poczuł, jak jego członek rozgrzewa się pod materiałem i delikatnie piecze. Słońce przenikało przez zakurzoną przednią szybę, rozświetlając jej skórę. Frank strzepnął włos.

– Przy przenoszeniu puszek na wysypisko.

Ale romans tylko czeka na to, aż go ktoś odkryje, chce podzielić się ze światem swoją chwałą. Żaden czyn nie jest na tyle intymny, by nie szukać poklasku. Publicznie Frank ledwie był w stanie powstrzymać uczucie dumy i opiekuńczości, jakie żywił wobec Marcii. Sposób, w jaki pod koniec wieczoru podawał jej płaszcz, tak się różnił od tego, jak podawał go Georgene Thorne, jak przyjmowanie hostii od picia herbaty. Każda chwila bezruchu czy dotyk wchodzący w skład tej prostej czynności były hojnie wypełnione magią. Przy poprawianiu kołnierza Frank muskał palcami jej kark; ona przyciskała dłońmi kłapy, jak gdyby to były jego ręce zaciśnięte na jej piersiach, i przewracała z rozkoszą oczami. Ta niewinna, odgrywana podczas ubierania pantomima była sprzężona ze wspomnieniem ich nagości. Usta i umysły skłaniały się do oszustwa, podczas gdy ciała nawoływały do wybuchu,

gwałtowności, zmiany. W końcu mniejsi Smithowie, Harold, wstawiony i paplający bezustannie, zostali wchłonięci przez mrok poza obrębem oświetlonego ganku. Marcia rzuciła jeszcze pożegnalne spojrzenie, ciemne jak ścięta mrozem róża, i drzwi się zamknęły.

– Masz romans z Marcją? – spytała Janet.

– Co za dziwne pytanie.

– Pytanie jest nieważne. Jaka jest odpowiedź?

– Oczywiście, że nie.

– To nie brzmi przekonująco. Przekonaj mnie. Proszę cię.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam na to czasu ani wystarczająco odpornego żołądka. Ona nie jest w moim typie. Jest drobna, roztrzęsiona i ma małe cycki. No i wreszcie, to ty jesteś moją żoną i wspaniałą kobietą. Głód budzisz, gdy najbardziej sycisz, rzeczy najgorsze przeistaczasz w sobie tak, że kapłani świątobliwi muszą błogosławić twoją płochotę. Chodźmy spać.

– Najpierw musimy załadować zmywarkę. Poza tym wcale mnie nie przekonałeś. Skąd Marcia nagle wie tyle o Szekspirze?

– Pewnie go czyta.

– Zęby sprawić ci przyjemność. I żeby dobrać się do mnie.

– W jaki sposób mogłoby ci to zaszkodzić?

– Wie, że ja go nigdy nie czytam.

– Ale ty słyszysz drzew mowę, poezję strumieni, kazania głązów, z wszystkiego zysk ciągnąc.

– Cha, cha. Ta podstępna suka. Opowiada mi ciągle, że ma sekret.

– Tak mówi?

– Jej oczy to mówią. I jej dupa. Kiedyś uważałam ją za sztywną intelektualistkę, ale ostatnio nic tylko kołysze biodrami.

– Może ma romans z Freddyem Thorne'em?

– Natychmiast przestań się tak na mnie patrzeć.

– Jak?

– Z takim rozbawieniem. Przestań! Natychmiast, Frank! To okropne!

Nagle rzuciła się na niego z pięściami, całym ciężarem ciała. Przycisnęła ją do siebie, stwierdzając ze smutkiem, że nawet teraz, kiedy wydzielając ostry zapach perfum, usiłowała dosięgnąć jego ramion, a jej twarz wykrzywiła się od płaczu, nie był w stanie pozbyć się wyrazu błogiej wyższości, satysfakcji z bezustannego kosztowania pięknej tajemnicy.

Harold mniejszy Smith nie od razu potrafił zidentyfikować kobietę, która zadzwoniła pewnego ranka do jego biura. Rzadko rozmawiał z Janet przez telefon; zawsze to Marcia umawiała się z nią albo z Frankiem na tenisa albo żeglowanie, piątkowe wyjścia do teatru czy sobotnie koncerty, wszelkie wspólne rozrywki, które obie pary fundowały sobie razem tego lata.

– Całe rano robiłam w mieście zakupy – usłyszał w słuchawce kobiecy głos. – Nigdzie nic nie ma, jestem zła i głodna i pomyślałam, że może byśmy zjedli razem lunch. Byłe nie smażone małże.

W samą porę rozpoznał Janet.

– Naprawdę? To uroczy pomysł, ale zazwyczaj w środy jadam lunch z Frankiem. Może zjemy we trójkę?

– To wykluczone. Nie mógłbyś zadzwonić do Franka i odwołać spotkanie? Wymyśl jakiś dobry powód. Powiedz mu, że masz dziewczynę. Nie bój się go, Haroldzie.

– Kto powiedział, że się boję?

– W takim razie zrób to. Proszę. Wiem, że to brzmi dość dziwnie i nachalnie, ale muszę z tobą porozmawiać i nie byłam w stanie nic innego wymyślić. Wiem, że zawsze spotykacie się w środy i że poza tym nie masz w tym czasie nic innego do roboty.

Harold się zawahał. Zawsze cieszył się szczególną swobodą myśli i wypowiedzi, ponieważ od dzieciństwa jego życie było wyjątkowo uporządkowane i zdyscyplinowane – był to maraton, który mógł biec na swój sposób, dopóki meldował się we wszystkich punktach kontrolnych. Jednym z nich były jego cotygodniowe spotkania z Frankiem. Rozmawiali o akcjach i obligacjach, rzadko kiedy wspominając o swoim wspólnym życiu w Tarbox.

– Nie musisz mi niczego stawiać – nalegała Jane. – Po prostu zjedz ze mną lunch.

To go ubodło. Harold uważał się za kogoś w rodzaju staroświeckiego eleganta. Zeszłej wiosny w St. Louis dał dziewczynie dwieście dolarów za to, żeby spędziła z nim noc. Rzucił do słuchawki:

– Ritz, pierwsze piętro – i rozłączył się.

Zastanawiające było to, że powiedziała mu, żeby nie bał się Franka, podczas gdy Harold zawsze bał się właśnie Janet. Czuł lęk przed wszelką wulgarnością, której nie dało się odprawić za pomocą pieniędzy. Kiedy poznał Applebych, zastanawiał się, dlaczego Frank ożenił się z tak pospolitą dziewczyną. Bez wątplenia była świetna w łóżku, ale po co zaraz brać ślub? Mimo iż pochodziła z szacownej rodziny (jej ojciec był właścicielem firmy farmaceutycznej w Buffalo, a jej panięskie nazwisko widniało na aptecznych półkach w całym kraju), Janet była jedną z niewielu znajomych Harolda, której powierzchowność i styl ubierania się mogłyby równie dobrze wskazywać na kelnerkę lub ekspedientkę (Janet rzeczywiście pracowała kiedyś za ladą, sprzedając męską biżuterię u Flinta i Kenta) albo fordanserkę. Pewnego dnia, i to już całkiem niedługo, zrobi się gruba. Już teraz skóra na jej kostkach marszczyła się, na ramionach była lekko obwisła, a na biodrach zaczynała rysować się mała oponka. Nie oznaczało to jednak, że Harold nie uważał jej za atrakcyjną. Wręcz przeciwnie, i stąd brał się jego strach. Jej piękno zdawało się darem, z którego robiła niewłaściwy użytek, jak mały chłopiec, który znalazł pistolet, albo które marnotrawiła, jak głupiec fortunę. Dla Harolda była jak zły inwestor, który drogo kupuje i sprzedaje po spadku, ciągnąc za sobą w dół każdego, kogo tylko może. Poszedł więc Milk Street, przez samo serce dzielnicy zamieszkałej przez starszaków, potem wzdłuż Tremont i przez bostońskie tereny rekreacyjne, Common i Public Garden, cały czas czując ściskanie w dołku. Chodnik był tak rozgrzany, że parzył przez podeszwy jego czarnych włoskich butów z cienkiej skóry. Tymczasem głowę miał pełną miękkiego weluru i satynowobiałej skóry, a fakt, że nie zawołał taksówki, był przejawem romantyzmu z jego strony. Z całej czwórki Applesmithów Harold był najbardziej doświadczony seksualnie. W jego sposobie bycia wyczuwało się nutę banalności, ale też pewności siebie i samozadowolenia, co skłaniało kobiety do eksperymentowania. Poza tym Harold miał przed ślubem tyle łóżkowych przygód, że sam nie był w stanie ich zliczyć. Natomiast po ślubie (miał już wtedy dwadzieścia sześć lat) przyszła pora na służbowe wyjazdy, dziewczyny na telefon, zwykle nadąsane, o ziemistej cerze i chrapliwym głosie, wionące whisky. Nigdy jednak nie zdradził Marcii z kimś z jego własnej warstwy społecznej.

– Chodzi o Marcię i Harolda – powiedziała Janet, wypiwszy drugie martini.

– Bardzo się ostatnio przyjaźnią.

– Zęby tylko. Mam pewność, że to coś więcej.

– Skąd wiesz? Masz jakieś dowody? *Evidence?*

– Nie są mi potrzebne. Po prostu wiem. Istnieje między nimi wyczuwalne napięcie. Frank ciągle o niej wspomina jakby od niechcenia. „Czy Marcia nie wydawała ci się dzisiaj nieco rozdrażniona?”, „Co sądzisz, kochanie, o nowej sukience Marcii?”. Co mnie, do cholery, obchodzi jej sukienka?

– Czyli nie masz żadnych dowodów? Frank niczego ci nie wyznał? Nie mówił, że chce od ciebie odejść?

– Po co miałyby ode mnie odchodzić? Przecież teraz doi dwie krowy.

– Nie wyrażasz się zbyt elegancko, Janet.

– Bo to nie jest elegancka sytuacja. Ale tobie najwyraźniej nie przeszkadza. Musisz być przyzwyczajony do tego, że twoja żona sypia z innymi facetami.

– Nie jestem. Po prostu w to nie wierzę. Sądzę, że Marcia i Frank czują do siebie pociąg. To całkiem naturalne, wzięwszy pod uwagę, jak często się ostatnio widzujemy. Z tego samego powodu my także czujemy do siebie pociąg. *Toi et moi*.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Daj spokój. Wiesz, jaka jesteś i co czują mężczyźni, kiedy cię widzą. Marzę o tym, żeby się z tobą przespać.

– Ty także nie wyrażasz się zbyt elegancko.

– Oczywiście, nie zrobimy tego. Teraz jesteśmy w związkach małżeńskich i czasy krótkich romansów, *escapades romantiques*, minęły. Musimy myśleć o innych.

– Właśnie o tych innych staram się z tobą porozmawiać, o Marcii i Franku. A ty mówisz tylko o tym, żebyśmy poszli do łóżka. To oni ze sobą sypiają. Co masz zamiar w związku z tym zrobić, Haroldzie?

– Zdobądź dowody, to ją z nimi skonfrontuję.

– Czego ty się spodziewasz? Sprośnych zdjęć? Uwierzytelnionych notarialnie krążków dopochwowych?

Harold się roześmiał, a pod wpływem wibracji po powierzchni jego gibsona rozeszły się koła, delikatne jak sprężyny w zegarku. Siedząca naprzeciw niego kobieta ujawniła nieoczekiwaną dozę poezji, całym swym miękkim ciałem wyrażając poruszenie niewygodną dla niej sytuacją. Drzewa rosnące w Public Garden wyglądały przez okna jak ciche kaskady zieleni, a ogromny miedziany buk jak lśniący strumień lawy.

– W porządku – powiedziała Janet. – Jak się Marcia zachowuje ostatnio w łóżku? Jest lepsza czy gorsza?

Jakie to było pospolite; trąciło akuszerstwem i czarami, kobiecymi kuracjami i wróżbiarstwem, skradzionymi spinkami i podpaskami. Pojawił się kelner, szary, usłużnie zgięty wpół mężczyzna, i Harold zamówił, nie dopuszczając Janet do głosu, *potage à la reine, quiche Lorraine*, sałatkę i lekkie wytrawne chablis.

– Nie jestem na diecie – oznajmiła Janet.

– Odpowiadając na twoje pytanie: wydaje mi się, że lepsza.

– Widzisz? Jest pobudzona. Cała przepelniona pieprzeniem.

Harold znów się roześmiał; jego szklanka był już pusta i nie pojawiło się więcej sprężyn od zegarka.

– Daj spokój, Janet. Spodziewałaś się, że powiem, że jest gorsza, prawda?

– A tak jest?

– Nie, mówiłem szczerze. Ostatnio zrobiła się wyjątkowo czuła. Twoim zdaniem kobiety są płcią poligamiczną, im więcej mają, tym więcej pragną?

– Nie wiem, Haroldzie. Nigdy nie zdradziłam Franka, czy to nie zabawne? Jednak jako kobieta sądzę...

„Jako kobieta”: to okrągłe sformułowanie sprawiło mu podobną przyjemność, jaką czuł, gdy wstawiony brał kiedyś po imprezie prysznic, a Marcia udała zbulwersowaną, kiedy zaproponował, że włoży jej stanik na swój zmoczony tors.

– ...że czułaby się winna i chciałaby udowodnić przed samą sobą, że romans nie zagraża jej małżeństwu, że potrafi zaspokoić obu mężczyzn. Ponadto rozpiera ją chęć przyznania się do wszystkiego, do szczęścia, które ją spotkało. Z kolei Frank zaczął nagle robić rzeczy, których ja go nigdy nie uczyłam.

Cienki klin bólu zaczął wbijać się w prawą skroń Harolda. W zamyśleniu sięgnął po pustą szklankę, niepewny, czy Marcia również się nie zmieniła, ponieważ z konwersacji pograżonych w transie ciał trudno jest zapamiętać jakiegokolwiek szczegóły, co najwyżej towarzyszące, powolne pięcie się w górę na księżycowe *plateau*, gdzie rozgrywają się



pantomimy jedzenia, zabijana oraz umierania i gdzie obie strony odgrywają wszystkie role. Marcia wydała mu się wprawdzie zalotna, później dzika, a następnie osobiście roztargniona, chłodna i automatyczna, by po wszystkim stać się rozmowna i przylepna, wdzięczna i czuła.

Janet uśmiechnęła się i przelała mu do szklanki nieco swojego drinka.

– Biedny Harold – powiedziała. – Nie znosi niedyskretnych rozmów. To zbyt kobiece, stawia go w niewygodnym położeniu. Ale wiesz – ciągnęła, zdając sobie sprawę, że ciekawie by było z nim poeksperymentować – ja się czuję niezręcznie, rozmawiając z innymi kobietami. Jedynie mężczyźni mogą mówić takie rzeczy.

Oznajmiła to tak, jak gdyby właśnie wyznała mu coś wzruszającego, ale Harold uznał jej zachowanie za aroganckie i bezczelne. Uważał, że kobiety powinny rozmawiać z kobietami, a mężczyźni z mężczyznami, a komunikacja między obiema płciami jest niebezpieczną, dworską grą, opartą na ustalonych zasadach, głównie finansowych, i ograniczoną czasowo. Dziewięćdziesiąt minut zazwyczaj wystarczało, a lunch z Janet przekroczył ten limit.

Uzgodnili, że spotkają się za tydzień o tej samej porze, żeby podzielić się swoimi obserwacjami. Harold wrócił do domu, który stał się dla niego bardziej przezroczyście; atmosfera prywatności została zakłócona. Frank i Janet Appleby mieszkali w miasteczku, na ustronnej uliczce w odległej dzielnicy Musquenomenee; ich nijaki dom był duży i biały, a wewnątrz wyposażyli rzeczami w stylu zapożyczonym lub odziedziczonym. Natomiast mniejsi Smithowie swój dom zbudowali sami, czuwając nad najdrobniejszymi szczegółami realizacji projektu. Był to nowoczesny budynek z drewna sekwoi, o płaskim dachu, stojący przy niewielkim występie skalnym, z którego roztaczał się widok na południową stronę bagien. Podłoga foyer była brukowana; po prawej stronie znajdowały się schody prowadzące na znajdujące się na piwnicznym poziomie piętro, na które składały się pokoje trójki dzieci (Jonathana, Julii i Henrietty), pralnia i garaże. Wyżej mieściły się kuchnia, jadalnia, główna sypialnia i elegancki hol, ozdobiony reprodukcjami obrazów Rembrandta, Dürera, Piranesiego i Picassa. Po lewej stronie foyer mieścił się niezwykle długi salon, z włochatym, ciemnoniebieskim dywanem na podłodze, dwiema białymi, ustawionymi naprzeciwko siebie kanapami, symetrycznymi głośnikami hi-fi, fortepianem firmy Baldwin i kominkiem z wielkim miedzianym okapem. Styl urządzenia wnętrza wskazywał na to, że tutaj pieniądze idą pod rękę z dobrym smakiem. W letnie wieczory Harold wracał samochodem ze stacji w blasku zachodzącego słońca, unoszącego się nad złotawobrazowymi bagnami, suchymi lub znajdującymi się pod wodą, w zależności od kierunku pływ. Jego małutka żona czekała na niego ze świeżo uczesanymi włosami na dłuższej z kanap, które nie były tak zupełnie białe (ich kolor przypominał raczej szorstką irańską wełnę, wybieloną do odcienia piasku zmieszanego z popiołem). Jakaś płyta, Glenn Gould albo Dinu Lupatti grający Bacha lub Schumanna, rozsyłała czyste pnącza dźwięku z niewidocznego korzenia, znajdującego się wewnątrz szafki ze sprzętem hi-fi. Schłodzony dzban martini czekał w lodówce na cudowny moment jego powrotu do domu; szmaragdowy odcień wermutu podkreślała zieleń liści olch, trawy, bluszczu, szaleju i ostrokrzewu, stłoczonych przy rozsuwanych szklanych drzwiach. Na zewnątrz, na trawniku skrzącym się w blasku słabnącego światła, kiedy słońce zaczynało chować się za widniejącym w oddali radarem – kunsztowną srebrną tarczą, bezustannie się poruszającą – Jonathan w spodenkach kąpielowych i koszulce w kolorowe prążki bawił się z Julią lub z dziećmi letników, rzucając starą piłką z gąbki, małym, pełnym kraterów księżycem, poprzez obracające się strumienie wody tryskające z ogrodowego zraszacza. Henrietta, wyglądająca równie schludnie i czujnie jak jej matka, wykąpana i ubrana w koszulkę w kaczuski, biegła na bosaka do Harolda poprzez ciemnoniebieski dywan, by zostać podniesiona, uściskana i obrócona w koło. Potem Marcia rozlewała zielonkawę martini do szklanek, które nagle pokrywały się kroplami wody. Piłka opadała na ziemię w miejscu, gdzie oświeśla ją ostatnie promienie słońca, a dzieci zaczynały się cicho spierać, które z nich powinno po nią pójść, i tym samym się zmoczy. Wtedy właśnie cały dom, a nawet

zbląkany mleczny motyl, który przysiadł na chwilę na miedzianym okapie, zdawał się pograżać w niebiańskiej błogości.

Harold zarejestrował w Marcii niewielką zmianę. Poznali się pewnego lata na Long Island i pobrali następnego, a później wszystko potoczyło się tak, jak to było przewidziane. Oboje mieli około dwudziestu pięciu lat, a w swoim otoczeniu opinię dość chłodnych intelektualistów. Odkryli w sobie nawzajem dużą dozę zmysłowości, ale pozwalali, by pragmatyzm decydował o ich życiu małżeńskim. Nigdy nie kłócili się publicznie, rzadko na osobności. Każde z nich spodziewało się, że partner jasno rozumie mechanizmy rządzące ich związkiem i bez zbędnych słów odpowiednio dostosuje się do wszelkich sytuacji. Dla Harolda jego sporadyczne spotkania na telefon były czynnością higieniczną; brał dziewczyny tak samo jak za zamkniętymi drzwiami łazienki aspirynę na ból głowy, nie żaląc się Marcii ani słowem. Dopuszczał możliwość, że żona może być wobec niego niewierna, ale uznawał to za przysługę wyświadczaną jemu samemu, żeby zaoszczędzić mu kłopotu i dodać subtelności ich związkowi. Ożenił się z Marcją, kiedy większość jej znajomych była już po ślubie. Wyrwał ją z prostackich, choć zamożnych nowojorskich kręgów towarzyskich, gdzie brakowało jej swobody i odwagi. Ufał, że zawsze będzie należała do niego. Marcia z uśmiechem podniosła do ust szklankę martini; alkohol i jej kolczyki zdrząły. Pociągnął łyk, wyśmienity chłód.

Chociaż nie było tego po nich widać, mniejsi Smithowie byli nieco starsi od swoich znajomych w Tarbox. Harold miał trzydzieści osiem lat, Marcia trzydzieści sześć.

Rzeczywiście ostatnimi czasy wydawała się bardziej niespokojna i wyjątkowo pomysłowa. Na ich posesji znajdowała się zniszczona promenada, reperowana każdego lata. Przetrwiała z czasów, kiedy na kupionej przez nich ziemi stała wakacyjna chatka poprzednich właścicieli, później wyburzona, żeby postawić dom. Promenada prowadziła do małej zatoczki, zbyt wąskiej, by można tam było wpłynąć motorówką. Woda między porastającym brzeg sitowiem była cieplejsza niż przy plaży i w trakcie przyływu pluskały się tam ich dzieci oraz dzieci znajomych. Tego lata, w nocy, kiedy pociechy już spały, a fala była wysoka, Marcia wyciągnęła Harolda na małą kąpiel przed snem, nago. Stąpając ostrożnie, zeszli do zatoczki w świetle księżyca, wśród gąszcza przyciętych sumaków podążając łataną ścieżką, którą tworzyły deski z rozmaitego drewna, przypominające klawisze gigantycznego fortepianu. Wyszli na miękkie brzeg, gdzie zdjęli ubrania i stanęli razem nago, mąż i żona, czując, jak pokrywają się gęsią skórą. Po chwili bezruchu skoczyli przez przepętnione atmosferą wyczekiwana powietrze do nieruchomej, czarnej wody, okolonej sitowiem. Widział jej piersi, wygięte w łuk ramiona i zwróconą ku górze twarz, poprzecinaną czarnymi pasmami włosów, które przelewały się przez pianę i przylegały do skóry. Miliony mikroskopijnych strumyków wysysało z zakończeń nerwowych Harolda drobinki miejskiego brudu. Pierwsza miłość każdego człowieka, uwielbienie dla żywiołów, przywracała mu młodość. Niekiedy podczas przyływu pojawiała się na wodzie jak pracowity słoń cyklop motorówka, ze swoim świecącym szperaczem. Kucali wtedy w błocie pod pomostem jak aborygeni, czekając, aż łódź ich minie. Potem wycierali się nawzajem. Marcia dokładnie osuszała jego ociekające wodą genitalia, myśląc o tym, jak niewinną częścią ciała się wydawały, a nie twardym, wystającym jak pasożyt odrębnym bytem. Kiedy biegła z powrotem pomostem, przyciskając do piersi ubrania, jej pośladki tańczyły w nieruchomym świetle księżyca. Jeśli potem, już w łóżku, uprawiali seks, ocierając się o siebie słonymi ciałami i wilgotnymi włosami, zachwycała się jego pożądaniem („ta twoja dzikość”) i znanstwem („wiesz, co lubię”), jak gdyby w jej życiu pojawił się ktoś łagodny i niezręczny, do kogo go porównywała. Wyrzucała też z siebie „kocham cię” z nową intonacją, jak gdyby to „cię” zostało przysłonięte niewypowiedzianym „niemniej jednak”.

Kiedy się ponownie spotkali, Janet nie miała dla niego nic prócz skarg na Marcję, która bez przerwy dzwoniła do Applebych, proponując rozmaite wspólne rozrywki – pływanie

żaglówką, kąpiel w morzu, grę w tenisa, spotkania. Starła się nawet zainteresować Janet Komitetem Sprawiedliwej Polityki Mieszkaniowej, który onanizowały wraz z Irene Saltz i Bernadettę Ong.

– Powiedziała jej: „Ale w naszym mieście nie ma ani jednego Murzyna”, a ona na to: „Właśnie o to chodzi. To region kulturowo upośledzony, nasze dzieci nie wiedzą nawet, jak wygląda Murzyn”. Wtedy spytałam, czy nie oglądają telewizji. A potem się zdenerwowałam i dodałam: „Wydaje mi się, że to niezbyt sprawiedliwe wobec Murzyna sprowadzać go tutaj tylko po to, żeby nasze dzieci mogły go sobie obejrzeć. Niech sobie popatrzą na Ongów w pochmurny dzień”. Nie powinnam tego mówić, bo uważam, że Bernadettę to wspaniała kobieta, ale moim zdaniem ten cały komitet to grupa wyjątkowych bufonów. Stworzyli go tylko dlatego, że inne miasta już mają podobne organizacje.

Janet wydawała się Haroldowi stara, mimo iż w rzeczywistości była od niego o wiele młodsza. Stara, zrędliva, z podwójnym podbródkiem, zadreńczająca się przejawami zwykłej towarzyskości Marcii, jej niewinnej potrzeby działania. Zmienił temat.

– O czym tak poważnie rozprawialiście z Pietem w czasie ostatniej imprezy u Thorne’ów? Skrzywiła karminowe usta, na których miała grubą, popękaną warstwę szminki.

– Żalił się, że żona nic mu z siebie nie daje. Opowiada to wszystkim kobietom.

– Marcii nigdy tego nie mówił.

– Nigdy ci o tym nie powiedziała. Piet już od dawna ma ochotę na skok w bok i nie wiem, co go jeszcze powstrzymuje. Georgene niecierpliwie na niego czeka.

To było fascynujące, móc spojrzeć na swoich przyjaciół z zupełnie innej perspektywy.

– A Freddy Thorne? – spytał delikatnie. Od dawna zastanawiał się, czy Janet z nim spała.

– To mój przyjaciel – odparła. – On rozumie kobiety.

– Tylko tyle masz ochotę zdradzić.

– Tylko tyle mam do powiedzenia. Nigdy ze sobą nie spaliśmy. Lubię go, jest zupełnie nieszkodliwy. Nie rozumiem, dlaczego wy, mężczyźni, jesteście w stosunku do niego tacy podli.

– Bo wy, kobiety, jesteście dla niego takie miłe.

Harold zdał sobie z rozbawieniem sprawę, że czuje zazdrość. Spoglądał na swoje palce, ułożone równolegle do sztucców.

– Myślisz, że Hanemowie się rozwiodą? – spytał.

Bardzo lubił Angelę, jedną z nielicznych kobiet w miasteczku, które mówiły jego językiem. Uwielbiał jej wzniosłą rezerwę i matczyne przewodnictwo nad ich letnimi spotkaniami towarzyskimi. W istocie wszyscy uwielbiali Angelę.

– Nigdy – odparła stanowczo Janet. – Piet jest na to zbyt potulny. Poza tym sumienie by go zżarło. Zostanie z nią, podrywając tymczasem wszelkie dupy, jakie się akurat nawiną. Problem z takimi podpuszczalskimi babkami jak Angela polega na tym, że pozwalają swoim facetom latać po świecie i przez to inne kobiety wpadają w kłopoty. Piet potrafi być bardzo ujmujący.

– Mówisz jak osoba, która wie coś na ten temat. *Elle qui sait*.

– Dawał tylko sygnały, nic poważnego. Jednym z jego wielu problemów jest nieśmiałość.

– Biedny Piet – stwierdził Harold, sam nie wiedząc czemu, chociaż Janet od razu przytaknęła.

Tego samego weekendu poszli z Marcją na imprezę i wrócili z niej pijani.

– Kochasz mnie? – spytał, kiedy weszli do domu.

– Kocham cię, Haroldzie, ale proszę, nie dzisiaj. Oboje jesteśmy zbyt wstawieni i śpiący. Jutro możemy wskoczyć na chwilkę do łóżka w ciągu dnia.

Jutro była niedziela.

– Nie chodzi mi o to, żebyśmy się kochali. Powiedz szczerze, *après douze années très heureuses*, nie znudziłaś się już mną trochę? Nie zastanawiasz się czasami, jakby to było być

z innym mężczyzną?

– Może odrobinę. I raczej podświadomie.

Była ubrana w szyfonową koszulkę nocną w kolorze persymony, a kiedy wpełzała pod kołdrę, jej ciemne kończyny wykonywały małe ruchy. Wdrapanie się na wysokie łóżko wymagało od niej zwinności; materac był twardy, ponieważ taki najlepiej nadawał się ich zdaniem do uprawiania miłości. Sypialnia mniejszych Smithów była zaprojektowana jako ich sanktuarium, surowa, święta przestrzeń. Znajdowały się tam jedynie dwa sekretarzyki z tekowego drewna, lampka wbudowana w deskę szczytową łóżka, lustro na drzwiach szafy i filodendron. Za dywan służyła skóra zebry, upolowanej przez dziadka Harolda podczas safari, w którym uczestniczył razem z Teddym Rooseveltem. Kiedy Marcia ułożyła się wygodnie, Harold zgasił światło. Ciemność miała odcień fioletu, a wysoko w oknie moczarowy księżyc pośród przesuwających się chmur zdawał się kołysać w przód i w tył, jak soczewka wahadła.

– Powiedz prawdę – zachęcił Harold. – Nie zranisz moich uczuć.

– Dobrze. Pytaj mnie o mężczyzn.

– Czy kiedykolwiek myślałaś o tym, żeby pójść do łóżka z Pietem Hanemą?

– Niespecjalnie. Za bardzo przypomina mi chochlika o ojcowskich zapędach. Jest zbyt sympatyczny i rodzinny. Kiedyś u Guerinów zostaliśmy sami w pokoju z większym kominkiem i Piet zaczął gładzić mnie po plecach, tak jak to się robi z niemowlęciem, żeby mu się odbiło. Sądzę, że on gustuje w potężniejszych kobietach. Georgene, Bea i ja jesteśmy dla niego zbyt drobne.

– Freddy Thorne.

– Nigdy w życiu. Jest paskudnie śliski i zniewieściał. Sądzę, że tak naprawdę o seksie potrafi jedynie rozmawiać. Janet lepiej się z nim rozumie, możesz ją zapytać.

– Wiesz, że nie potrafię z nią rozmawiać. Jej słownictwo jest okropne.

– Ostatnio nawet jakby się pogorszyło, nie uważasz?

– A Frank?

Podłużne romby, wzory księżycowego blasku, rozświetlały dywanik z zebry i brzeg łóżka. Przez uchylone drzwi (które zostawiali otwarte, żeby dzieci nie czuły się osamotnione) wpadał do wnętrza podłużny snop światła z korytarza. Przez okno nad drzwiami w foyer przedostawał się blask latarni, stojącej przy drodze wiodącej na plażę. Tworzył on bezkształtną poświatę na suficie, otoczoną fioletowym półmrokiem. Harold wstrzymał oddech w oczekiwaniu na odpowiedź Marcii.

Nadeszła od niechcenia, wypowiedziana jakby w półśnie.

– Zbyt długo przyjaźnimy się z Frankiem, żeby myśleć w ten sposób. Poza tym on ma wrzody i czuć od niego whisky. Nie, dziękuję.

Harold nie odzywał się, studiując nadal spokojnych świetlnych gości w ich pokoju. Marcia się poruszyła.

– Czemu pytasz? – spytała. – Pragniesz Janet?

– *Mon Dieu*, nie! – Roześmiał się głośno. – Ta dziewczyna to same kłopoty.

– Ostatnio jest wobec mnie bardzo wrogo nastawiona.

– Sądzę – powiedział Harold, obejmując ją i wtulając genitalia w ciepłe zagłębienie pod jej pośladkami – że powinniśmy przestać się z nimi tak często spotykać. Zaprośmy od czasu do czasu Guerinów. Albo poznamy lepiej Constantine'ów. Carol jest chyba całkiem w porządku.

Marcia się nie odzywała, więc po chwili szturchnął ją nieco.

– Guerinowie robią strasznie ponure wrażenie.

Kiedy znowu umówili się na lunch, Janet pojawiła się w znacznie lepszym humorze, wyglądając pięć lat młodziej. Był to jeden z gorących dni pod koniec sierpnia, kiedy lato wydaje się kobiecie odchodzącym kochankiem, do którego można przyłgnąć bez opamiętania, bo zachowanie pozorów przestało się już liczyć. Ale miłości pogarda się nie ima. Pot

rozmywa jej makijaż i psuje fryzurę. Powiewa ramionami w powietrzu. Gotujące się, wypełnione sekretarkami ulice miasta mają w sobie zmysłowość haremu. Janet była ubrana w bawełnianą sukienkę bez rękawów, z turkusowego materiału w czaple do góry nogami, i zachowywała się, jakby żadne zjawisko naturalne, żar słońca ani grom z jasnego nieba, nie było w stanie jej zagrozić. Jej stopy w sandałach były zakurzone i idąc obok niej w upale Federal Street, Harold zastanawiał się, jak by to było zlizywać ten brud po kolei z każdego jej palca. Zdjął marynarkę i przerzucił ją sobie przez ramię jak jakiś twardziel. Zjedli w bufecie, w którym szklane drzwi otwarto na oścież po obu stronach, jak wrota służy. Hałas przepływał przez niego: strzały silników przejeżdżających ciężarówek, brzęk sztućców i głośne polecenia zza baru, słowa siedzącej po przekątnej dziewczyny ze spoconą okrągłą twarzą i częściowo startą szminką.

– Jak ci minął weekend? – spytała Janet.

– W porządku. Chyba zresztą sama dobrze wiesz, bo widzieliśmy się bezustannie, poza momentami, kiedy ktoś musiał skorzystać z ubikacji.

– To się robi naprawdę nudne, nie uważasz? Frank i Marcia byli tacy rozmarzeni, co chwila rzucali sobie pełne czułości spojrzenia.

– Przesadzasz.

– Gówno prawda, Haroldzie. Frank robi się koszmarnie nerwowy, kiedy jego partnerką w debla nie jest Marcia. A kiedy znajdują się po przeciwnych stronach siatki, te łatwe do odebrania piłki, rzygać się chce. Frank zawsze tylko „wpada po drodze”. „Wpadnę do Smithów odebrać Frankiego”. „Wpadłem po drodze zostawić Szekspira w opracowaniu i zaprosili mnie na drinka”. Potem się okazuje, że „oni” to była Marcia, a ty w tym czasie siedziałeś na zebraniu republikanów. Dlaczego jesteś konserwatystą Haroldzie? To takie pretensjonalne.

Wysłuchał jej tyrady z wyrazem twarzy człowieka poddawanego masażowi albo biorącego ciepły prysznic.

– Ale nadal nie masz żadnych dowodów.

– Czego ty jeszcze oczekujesz? On za dużo wie, Haroldzie. Na przykład to, że w sobotni wieczór wybieracie się z Gallagherami do filharmonii. Albo że Julia zwichnęła ramię, skacząc w czwartek z pomostu. Kiedy spotykam się z Marcją, a potem opowiadam mu, czego się od niej dowiedziałam, nawet mnie nie słucha, bo już wszystko od dawna wie. Także to, że kąpiecie się nago w zatoczce, a potem idziecie się pieprzyć.

– Sądziłem, że wszyscy o tym wiedzą, to znaczy o kąpielach. Druga część nie zawsze następuje.

– Skąd wszyscy mieliby o tym wiedzieć? Sądzisz, że wasi znajomi nie mają nic lepszego do roboty niż włóczyć się z lornetką po bagnach?

– Marcia mogła o tym wspomnieć mimochodem Bei, Georgene, a nawet Irene.

– Mnie nic o tym nie mówiła, a podobno jestem jej najlepszą przyjaciółką. Frank tak twierdzi. Frank.

– W zeszły weekend po imprezie spytałem ją, czy ma romans z Frankiem.

Janet wbiła zęby w kanapkę z pastrami i spojrzała na niego znad bułki.

– A ona na to?

– Nie pamiętam dokładnie. Oboje byliśmy śpiący. Powiedziała, że zbyt długo się znają i że Frank ma wrzody.

– To już dwa powody przemawiające za tym, żeby z nim była. Każda kobieta ma kompleks pielęgniarki. I co przeszkadza sypiać z przyjacielem? Lepiej niż z wrogiem. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego ludzie są tacy wstrząśnięci, kiedy ktoś się prześpi z żoną najlepszego przyjaciela. Przecież to oczywiste, że z nią widuje się najczęściej!

– W każdym razie mnie to przekonało. – Harold chciał jak najlepiej sformułować odpowiedź. – Nie jesteśmy przecież tacy nieszczęśliwi. Nie ma powodu robić mi świństwa.

– Jak sobie chcesz. Jest czysta jak Królowna Śnieżka, a plamy na bieliźnie Franka to przypadek. Nie mówmy już o nich. Porozmawiajmy o nas. Dlaczego mnie nie lubisz, Haroldzie? Ja cię lubię. Podoba mi się, że twój nos ma dwa czubki i przypomina niedojrzałą truskawkę. Może weźmiesz sobie dzisiaj wolne do końca dnia i przejdiesz się ze mną pooglądać obrazy na Newbury Street? Znasz się na sztuce. Jak się nazywa ta nowa moda malowania obrazów, żeby wyglądały jak kadry z komiksu?

Położyła na blacie spoconą dłoń, która na tle laminatu ze srebrnymi drobinkami wyglądała jak wilgotny, różowy spodek. Harold nakrył ją własną – dwie ogromne, przypominające białe bułki dłonie, reklamujące miłość. Drugą ręką Janet zgarniała kawałkiem chleba resztki pastrami.

– To cudowny pomysł – odparł Harold – Ale nie mogę. Od piątku mam wolne, a w poniedziałek jest Święto Pracy, więc jedziemy do Maine. Został mi jeszcze tylko jeden dzień w biurze. Muszę tam być dzisiaj po południu. To się nazywa popart. A także hard-edge.

– Czyli nie będzie was cały weekend? – Zabrała dłoń i wytarła palce w serwetkę.

Spojrzała na niego z żałością; cienie na powiekach miała nieco roztarte, co sprawiało, że wyglądała na popisowo zmęczoną.

– Tak, planujemy zostać tam nawet kilka dni dłużej, więc w przyszłym tygodniu nie zjemy razem lunchu. *Je regrette.*

– Ach tak?

Na odchodnym ta niechlujna kobieta, z wielkim biustem i w sukience w czaple do góry nogami, machnęła silnym ramieniem pływaczki.

– Dobrze się bawcie z Marcją – powiedziała ironicznie.

Potem opuścili bufet różnymi wyjściami, ona w kierunku brązowego samochodu, stojącego na podziemnym parkingu, a on do biura na Post Office Square. Poczuli ulgę, że się od niej uwolnili.

Z okien należącego do rodziny letniego domku w Maine roztaczał się widok na przystań, mieniącą się różnymi odcieniami niebieskości. Była ona zatłoczona mnóstwem połyskujących żagli, kołyszącymi się bojami i skałami wystającymi z wody pod tym samym kątem w różnych miejscach, co dowodziło, że wieki temu miało tam miejsce wypiętrzenie geologiczne. Na największych skałach rosły krzaki i trawa, co nadawało im status wysp. Woda była zimna jak lód, a plaże, oddalone od niekończących się wydm Tarbox, były skąpyimi półkolami z kamieni i brązowego żwiru, pokrytego kurzem. Jednakże Harold, który na plaży w Tarbox pojawiał się dwa razy w roku, pływał tam codziennie przed śniadaniem. W Maine czuł się szczęśliwy. Jadł sałatkę z homara i ziemniaków, którą przyrządzała jego matka; czytał stare kryminały oraz dawne relacje odkrywców i podróżników; żeglował pośród rozbryzgów uderzających w burty fal; dokuczał siostrze i szwagrom; kochał się z Marcją jak marynarz, który wrócił do domu po wielu miesiącach spędzonych na morzu, a potem zasypiał twardym snem. Jego żona zachowywała się jak jego dziwka. Kuciała nad nim, skomląc i drażniąc mu usta sutkami. Mruczała jak kot. To było coś nowego, ta zabawa w prostytutkę – fakt, że tak mu służyła, czerpiąc przyjemność z jego rozkoszy. Jej wprawne, twarde ciało poruszało się bezwstydnie, chociaż nie zdarzało się już, by jej wewnętrzne płatki były skąpane w nektarze bezsilności, tak jak kiedyś, podczas ich wcześniejszych stosunków. Pozostawała nieco ciasna i sucha. Ale Harold nie zastanawiał się, skąd ta nagła zmiana, ponieważ był z niej zadowolony; wymagano od niego mniej delikatności i samokontroli. Być może w końcu wyrządził jej jakąś krzywdę, ponieważ w połowie urlopu zaczęła odrzucać jego pieśzcoty. Później opowiedziała Frankowi, że nie była już w stanie znieść dotyku wszechwiedzących dłoni Harolda. „Zdawał się lubieżnym nieznajomym, zachowującym się, jak gdyby właśnie mnie kupił”. Czowała obrzydzenie, kiedy w niej był – „jak gdybym miała usta pełne jedzenia, którego nie jestem w stanie się przełknąć”. Być może w Maine Marcja przeholowała z wyuzdaniem. Nosila w sobie obraz kochanka jak

spirale, co spowodowało, że najpierw wylała na męża pierwotne uczucia, a potem przeraziła się jego skorą reakcją. Zdała sobie sprawę, że jest w stanie obsłużyć kilku mężczyzn w jednym łóżku jednej nocy i że być może leży to w jej naturze. Wtedy znalazła schronienie w wyłącznej miłości do Franka. Seks z Haroldem został odarty z podniosłości. To, co robili ze swoimi ciałami, stało się równie trywialne jak defekacja i dopiero kilka miesięcy później, kiedy zmienił wobec niej nastawienie i zaczął promieniować groźbą odejścia, przekleństwo przewrażliwienia znikło z ich stosunków intymnych.

Mniejsi Smithowie wrócili do Tarbox w czwartek w nocy. Harold miał świadomość przerwania ciągłych spotkań z Janet i wątpił, nie odczuwając zresztą wcale żalu, by mieli je kiedykolwiek wznowić. Janet myliła się i być może jej zachowanie było tylko pretekstem. Dorastanie w towarzystwie trojga dziewcząt sprawiło, że nie Harold miał zbyt wysokiego mniemania o kobiecym umyśle. Obserwował przemianę sióstr z krzykliwych, ślamazarnych zwierząt w kłamiwe stworzenia, skazane na walkę o byt bez użycia otwartej agresji; ich wrażliwość była z konieczności słabsza. W najlepszym wypadku Janet miała trudności z prawidłowym rozumowaniem, w najgorszym cierpiała na paranoję. Stojąc na skraju popadnięcia w otyłość i utraty wdzięku, skazana na męża zrzędę i nudziarza, zwróciła się w desperacji do mężczyzny, który nie był ani trochę zdesperowany. Maklerzy zbierali obfite żniwo, a Marcia pokazała nową twarz i zademonstrowała Haroldowi żarliwość swoich uczuć.

Spodziewał się, że Janet zadzwoni w piątek do jego biura. Kiedy tak się nie stało, poczuł rosnące rozdrażnienie, aż w końcu zaczął oczekiwać dźwięku telefonu. Przez cały dzień zmagął się ze stertą banalnej korespondencji, która nadeszła w czasie urlopu; przerzucał nieaktualne zapisy wahań na giełdzie, a przez cały czas jego ucho wewnętrzne odbierało drażniący sygnał z kosmosu. Przywoływał w pamięci osobliwy styl ubierania się Janet, tak że tkanina oddzielała się od jej skóry i trzepotała w jego wyobraźni. Być może spotkają się w ten weekend całą czwórka. Miał nadzieję, że nie będzie próbowała robić scen. Jej oburzenie było takie mięciutkie, pluszowe. Sekretarka spytała go, dlaczego się uśmiecha.

W sobotni rano Marcia pojechała do centrum Tarbox, żeby porozmawiać z Irene Saltz o projekcie Sprawiedliwej Polityki Mieszkaniowej. Zgodziła się już zostać członkiem komitetu edukacji, którego jedynym dotychczasowym osiągnięciem było sfinansowanie biblioteki miejscowego liceum prenumeraty czasopisma „Ebony”.

– To może zająć kilka godzin, wiesz, jaka ona jest gadatliwa. Przyrządzisz coś do jedzenia dla siebie i dzieci, jeśli nie zdążę wrócić przed dwunastą? W zamrażarce jest pastrami, które możesz podgrzać. Na opakowaniu masz instrukcję. Pamiętaj, żeby należy je gotować w folii.

Poprzedniego wieczora byli na drinku z Thorne’ami i Hanemami i teraz Harold krzątał się niemrawo po ogrodzie, sprzątając letnie akcesoria. Złożył oklapły, porwany plastikowy brodzik, zwinął wąż ogrodowy i odpiął zraszacz. Jonathan wyciągnął z szafy piłkę i przez jakiś czas kopali ją do siebie leniwie, dopóki nie zjawił się młodszy towarzysz zabaw, pękaty Frankie Appleby, wraz z matką. Janet miała na sobie obcisłe dżinsy, pulower w pomarańczowe pasy i rozpięty kaszmirowy sweter w kolorze brzoskwiniowym, który narzuciła na ramiona jak pelerynę.

– Gdzie jest Marcia? – spytała, kiedy chłopcy oddalili się nieco.

– W mieście, umówiła się z Irene. A Frank?

– Powiedział, że idzie do fryzjera. Ale nie chciał zabrać Franklina, bo po drodze miał wstąpić do drogerii, gdzie zawsze wdaje się w dyskusje o polityce.

Janet prychnęła ironicznie i tupnęła. Znajdowała się pod świetlistym kloszem; snopy ostrego, wrześniowego światła opadały na ziemię w promieniu kilkunastu mil, aż po skraj bagien i po upstrzonym gęsto parterowymi domkami półwysep East Mather, obejmując także upiorną, skierowaną na północ antenę radaru. Janet miała podkrążone oczy, była blada i zdenerwowana; jej miękka, soczysta skóra błyszczała dojrzałością.

– Uważasz, że kłamie – powiedział Harold.

- Pewnie, że kłamie. Musimy tu stać? Słońce praży niemiłosiernie.
- Sądziłem, że kochasz słońce. *Une amoureuse du soleil.*
- Nie dzisiaj. Niedobrze mi się robi na myśl o tym, co muszę zrobić.
- Komu?
- Tobie.

Harold otworzył jej drzwi, prowadzące z ogrodu na niższy poziom domu, tam gdzie spały dzieci i gdzie robiło się pranie. Pralnia pachniała mydłem i cementem, a także piętrzącymi się wokół suszarki brudnymi ubraniami. Narzędzia stolarskie i ogrodnicze oraz półki zastawione opakowaniami z farbą, wapnem i nasionami trawy znajdowały się po drugiej stronie pomieszczenia. Stojąca obok kosiarka spalinowa wydzielala zapach benzyny. Janet stanęła wyprostowana pośród tych różnorodnych zapachów.

– Kiedy byliście w Maine, zepsuła mi się w samochodzie skrzynia biegów. Musiałam pojechać na zakupy corvairem Franka. Zawsze jeżdżę do supermarketu w Lacetown i kiedy wracałam, tamtejszy nadgorliwy gliniarz ze złotym zębami zatrzymał mnie za zlekceważenie znaku stopu, wiesz, tam koło muzeum, gdzie robią koronki. Wkurzyłam się, bo w Tarbox nigdy by mnie za coś takiego nie zatrzymali. W każdym razie, zaglądając do schowka na rękawiczki w poszukiwaniu dowodu rejestracyjnego, znalazłam pod upchniętymi tam mapami to.

Wyjęła z torebki zabrudzoną, złożoną na cztery kartkę papieru. Harold rozpoznał błękitną obwódkę należącej do Marcii papeterii. Dostała ją w dużych ilościach w prezencie ślubnym od ciotki z Southampton. Na każdym arkuszu wytłoczono jej nowe inicjały. Marcia śmiała się z tego prezentu, uważając go za coś wyjątkowo pretensjonalnego, za symbol wszystkiego, od czego uciekała, wychodząc za Harolda. Po tym, jak rozesłali listy z podziękowaniami, używała jej bardzo rzadko, więc po dwunastu latach miała jeszcze sporo w zapasie. Fakt używania przez nią tej papeterii był czymś tak niezwykłym, że Harold zastanawiał się przez moment, czy przypadkiem Janet nie udało się ukraść jednego arkusza, żeby podrobić list. Wyciągnęła do niego rękę ze złożoną kartką.

- Jesteś pewien, że chcesz go przeczytać?
  - Oczywiście.
  - Jest okropnie jednoznaczny.
  - A niech cię, daj mi go już.
  - Nie spodoba ci się – powiedziała ze zrezygnowaniem.
- List był napisany ręką Marcii.

*Drogi Franku, którego nazwałabym najdroższym, gdybym tylko mogła.*

*Piszę do Ciebie ten liścik po powrocie z plaży, żebyś mógł go przeczytać, kiedy ja będę już w Maine. Porzuciwszy nasz widok na Nahant, pojechałam do domu i zabrałam dzieci na plażę. Kiedy leżałam na piasku, a słońce zabierało z mojej skóry Twój zapach, pomyślałam: to On. Powąchałam dłonie i tam też Cię poczułam, a potem zacisnęłam mocno powieki i pozwoliłam, by słońce napierało na mnie całą swoją mocą, podczas gdy siedzące obok Irene i Bernadette spokojnie rozmawiały. Kąpiące się dzieci wołały do nas – fale były pięknie spienione. Wydaje mi się, że posmutniałeś po naszym dzisiejszym spotkaniu. Przykro mi, że zadzwonił telefon (jak gdyby ktoś nas oblał lodowatą wodą) i że droczyłam się z Tobą, żebyś został dłużej. Czasami mi się to zdarza. Wybacz mi. Musisz wiedzieć, że bardzo sobie cenię nasze spotkania, bez względu na to, jak krótko trwają. Musimy zadowolić się tym, co mamy. Nie powinieneś czuć się winny ani martwić się czymkolwiek. Miłość zaspokaja nie tylko fizycznie. Mysi o mnie, kiedy będę w Maine – marząca o tym, by mieć Cię u swojego boku, ale tak czy inaczej szczęśliwa, mój „ptaszku na jedwabnym sznurku”.*

*Zakochana i w pośpiechu,*

*Twoja M.*



To był jej inicjał, kanciaste „M”, nakreślone trzema wyrazistymi kreskami. Jednak reszta listu nie była w stylu Marcii, wydawała się zbyt płynna i gładka, jak gdyby napisana pod wpływem odurzenia alkoholowego albo w transie. Harold od wielu lat nie przyglądał się uważnie jej charakterowi pisma. Podniósł oczy znad kartki; na twarzy Janet malował się przeraźliwy niepokój, którego nadejścia Harold on ciągle jeszcze nie poczuł do końca.

– Cóż – powiedział. – Zawsze się zastanawiałem, o czym myślą kobiety w trakcie opalania.

– Haroldzie! – wykrzyknęła Janet. – Gdybyś tylko mógł zobaczyć swoją twarz!

Ruszyła w jego stronę i rzuciła mu się w ramiona. Musiał szybko upuścić na ziemię list Marcii, żeby nie został zgnieciony między ich ciałami. Kartka z niebieską obwódką sfrunęła na cementową podłogę. Zmysły Harolda zostały zbudzone siłą, zaczęły chłonać ostry zapach cementu i proszku do prania. Nieco dalej wysuszony trawnik wypełniał okno złotym haftem, jak na obrazach Wyetha<sup>4</sup>. Piersi i biodra Janet, poduszki przesiąknięte zmartwieniem, przycisnęły Harolda do emaliowanego brzegu suszarki; został schwyty w potrzask zimnych łez i ciepłego oddechu. Pocałował jej rozchylone usta, stary puder na policzkach i wypukłości jej zamkniętych oczu. Byli tego samego wzrostu. Ściągnęli się nawzajem w dół, na stertę brudnych ubrań, miękkich mankietów koszul i nogawek od pidżam. Ziemia pod nimi była twarda jak wilgotna kość. Szlochając, Janet podciągnęła sweter i pulower w pomarańczowe pasy i po chwili niecierpliwego szarpania rozpięła stanik. Jej niebieskobiałe piersi wypadły pod wpływem bezwładu, zbyt duże, by pozostać na miejscu, wyleciały jak ubrania z przechylonego kosza, którym była ona sama; sutki jak guziki, żyły w kolorze wodorostów. Zanurkował pod nią. Zimne paznokcie Janet gładziły napięte policzki jego ssącej twarzy, niekiedy palec z zaciekawieniem odnajdywał jego język. Harold otworzył oczy. Duże okno z widokiem na trawnik było jak z litego złota, niezakłócone cieniem obserwującego dziecka. Głosy dobiegały z bezpiecznej odległości, z pomostu. Twarz Harolda była częściowo skryta w stercie brudnych ubrań, pachnących lekko jego rodziną, Jonathanem, Julią, Henriettą i Marcją. Leżał na duchach osób niewinnie spoconych. Dłoń Janet szarpała jego rozporek. Wyciągnawszy rękę, Harold wyczuł przyciśnięte do jej boku drobne ząbki zamka błyskawicznego. „Tzzzzt”, pociągnął i ten cichy, zaskakujący odgłos otrzeźwił ich oboje.

– Nie – powiedziała. – Nie możemy. Nie tutaj.

– Pocałuj mnie jeszcze – poprosił błagalnie.

Jej piersi przelewały mu się przez dłonie. Miała mokre usta, a jego język marzył o tym, by popłynąć w kierunku ich horyzontu. Janet uniosła się nieco.

– To szaleństwo.

Uklękła na ziemi i schwytała piersi w miseczki z czarnej koronki, przypominające Haroldowi serwetki, które widywał w domu babci w Tarrytown. To właśnie jej rodzina przyjaźniła się z Teddym Rooseveltem, który zabierał dziadka na polowania.

– W każdej chwili mogą tu wpaść dzieci – oznajmiła Janet, obciągając pulower. – Albo wróci Marcia.

– Nie wróci zbyt szybko, jeśli spółkują z Frankiem w pobliżu wysypiska śmieci.

– Sądzisz, że zrobią to dzisiaj?

– Czemu nie? Spotkali się po tygodniu rozłąki, Marcia wróciła z Maine w towarzystwie rogatego potwora. *Avec le coucou*. Zapewnili sobie alibi na długie godziny. Fryzjer. Sprawiedliwa polityka mieszkaniowa.

Janet narzuciła brzoskwiniowy sweter na ramiona. Wstała i otrzepała kolana z czarnych smug. Harold nadal leżał na rozrzuconej bieleźnie, a ona spoglądała na niego jak na zakupioną rzecz, która w domu wygląda inaczej niż w sklepie.

– Naprawdę nie podejrzewałeś jej aż do tej pory? – spytała.

---

<sup>4</sup> Andrew Newell Wyeth (ur. 1917) – amerykański malarz realista.

– Nie. Nie sądziłem, że mogłaby się na coś takiego odważyć. Kiedy się pobraliśmy, była spiętą szarą myszką. Moja mała dziewczynka jest już całkiem dorosła.

– Nie szokuje cię to?

– Jestem zrozpaczony. Ale porozmawiajmy o tobie. Janet stanowczym ruchem poprawiła ubranie.

– Zachowałam się instynktownie. W każdym razie nie masz na co liczyć.

– Nic na to nie poradzę. Jesteś boska. *Ta poitrine, elle est magnifique.*

Janet zdjęła z puloweru nitkę, jak gdyby była jego komplementem, który się tam przyczepił.

– Teraz są już dość obwisłe. Żałuj, że mnie nie widziałeś, kiedy miałam dziewiętnaście lat.

– Są wspaniałe. Proszę, wejdź ze mną do domu.

Uznał, że będzie lepiej, jeśli przeprowadzi tę rozmowę w pozycji stojącej. Po ich miłosnej chwili pozostała jedynie spłaszczona sterta brudnych ubrań. Porzucając dowody, był zdany na jej łaskę.

– To niemożliwe – powiedziała Janet. – Dzieci. Poruszyła niepewnie rękoma, jak gdyby rozważała wszystkie za i przeciw.

– Możemy się kiedyś spotkać?

– A co z Marcją i Frankiem?

– Co z nimi? Wyrządzają nam krzywdę? Szczerze mówiąc, czy jesteśmy w stanie dać im to, co dają sobie nawzajem?

– Nie jestem aż tak opanowana, Haroldzie. Jestem z natury etyczna i zazdrosna. Chcę, żeby ponieśli karę.

– Wszyscy zostaniemy ukarani, bez względu na to, jak potoczą się sprawy. Takie zasady rządzą światem. Ludzie ponoszą karę za bycie dobrym i za bycie złym. Jeden facet u nas w biurze przez całe życie łykał witaminy, a dwa tygodnie temu przewrócił się w windzie i umarł. Otaczali go zdrowi pijacy. Ludzie ponoszą karę, nawet jeśli nie robią zupełnie nic. Zakonnice chorują na raka macicy, bo się nie pieprzą. O co ci chodziło? Myślałem, że to była propozycja.

– Była, ale ja...

– Przyjmuję to.

– Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, chyba było mi cię żal. To zbyt niemoralne, Haroldzie. Co chcesz, żebyśmy zrobili? Mamy się z nimi porozumieć i ułożyć harmonogram nocnych zamian?

– Naprawdę potrafisz odrzucić wszystko z romantyzmu. Po co mielibyśmy im cokolwiek mówić? Postarajmy się najpierw o to, żeby mieć o czym rozmawiać. Spotkajmy się i zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja. Nie jesteś ciekawa? To ty sprawiłaś, że cię pożądam; to ty przepędziłaś mnie po rozgrzanych bostońskich ulicach w seksownej letniej sukience. Zupełnie ci się nie podobam? Jestem tylko sposobem na to, by odegrać się na Franku?

Pogładził ją po krzywiźnie lewej, a potem prawej piersi. Zauważywszy zmianę, jaką ten ruch wywołał na jej twarzy, zrozumiał, że tędy droga. Dotykać jej, nie przestawać. Jej piersi są obwisłe i pragną, by ich dotykać. Nie należy dawać jej czasu do namysłu, nie podoba jej się to, co się dzieje, i nie chce o tym myśleć. Nie przestawać.

Janet powoli przesunęła dłonią po guzikach jego koszuli.

– Frank – powiedziała z namysłem, dotykając podniebienia czubkiem języka – będzie na początku tygodnia w Nowym Jorku.

– *Quelle coincidence!* Marcia mówiła, że w przyszły wtorek ma ochotę wybrać się do filharmonii, a w środę rano zająć się nieco działalnością dobroczynną i może nawet spędzić noc w mieście. Myślę, że należy ją do tego zachęcić, nie uważasz? Biedna Marcia, całą duszą oddaje się pracy charytatywnej.

Janet spojrzała ponad jego ramieniem. Jej usta ze zmysłowo pełną górną wargą i wąską

dolną zacisnęły się ze smutkiem.

– Czy już naprawdę do tego doszło? Spędzają razem całą noc?

– Nie oburzaj się – odparł, powtarzając w myślach: „Nie przestawaj”. – To prawdziwy luksus, móc zasnąć u boku ukochanej osoby. *Un luxe*. Nie żałuj im tego.

Bezustannie gładził jej piersi.

– Wiesz – westchnęła Janet – lubię Marcie. Zawsze jest taka wesoła, zawsze ma coś do powiedzenia; często wyciągała mnie z dołka. Dlatego uważam, że to nie zachowaniem Franka powinnam się przejmować, od lat nie jest nam już tak wspaniale w łóżku, biedak, nic dziwnego, że go poniosło. Bardziej przejmuję się tym, że ona mogła mi coś takiego zrobić.

– Słyszałaś, co powiedziałem o wtorkowej nocy?

– Słyszałam.

– Które z nas ma zamówić opiekunkę do dzieci?

Tak więc jesienią Harold i Janet zaczęli sypiać ze sobą bez wiedzy Marcii i Franka. Początkowo nowa kochanka wydawała się Haroldowi nazbyt powolna; jego orgazm, którego nadejście znacznie przyspieszała wizualna rozkosz z jej ciała, zawsze był przedwczesny. Dopiero za szóstym razem, w trakcie gorącej godziny skradzionej w pokoju gościnnym Applebych, pod półką z rekwizytami rodem z chińskiej świątyni i pergaminowymi zwojami odziedziczonymi po ojcu Franka, Janet osiągnęła pełną rozkosz i rzucając się gwałtownie, prawie rozszarpała Harolda. Po wszystkim śmiał się ze swojej ulgi, że udało mu się przetrwać, czując, że przez krótką niebezpieczną chwilę został zredukowany do gwałtownego bicia serca, zagubionego gdzieś w środku Janet. Uwielbiał patrzeć na jej nagość, zawierającą w sobie całą gamę kremowych odcieni różu i lila, na żółte podeszwy jej stóp, żyły zielone jak wodorosty i alabastrowy brzuch. Odkrył w niej niespodziewaną dozę wstydlivosti i lekkości, co wpawiło go w jeszcze większe rozczulenie. Lubił odgrywać rolę nauczyciela, znawcy. Uwielbiał siadać obok niej i badać wzrokiem jej ciało, aż przestawała skręcać się z zakłopotania i poddawała się jego oględzinom ze spokojem studiowanej przez malarza modelki. Haroldowi wydawało się, że otwiera jej na nowo oczy na jej własne piękno, które z biegiem lat przyzwyczaiła się ignorować. Jednak rzadkie obcesowe i aroganckie zachowania wskazywały na to, że kiedyś była go w pełni świadoma; Janet piętnaście lat temu, w wieku Mulatki z St. Louis. Zdaniem Harolda piękno, które działo się między ludźmi, było w pewnym sensie śladem tego, co już się wydarzyło. Dlatego Janet, chociaż nieznacznie pomięta i używana, była w jego oczach piękniejsza niż tamta, dziewczica. Wspaniałomyślność takiego oglądu cudownie wpływała także i na Harolda; kiedy leżał z Janet, zagubiony w miłości, czuł, jak płonący guz życia wiecznego pochłania jego ginące komórki.

Przez całą jesień 1962 roku obie pary pozostawały w skandalicznie bliskich, ekstatycznych wręcz stosunkach. Frank i Marcia byli zachwyceni tak częstymi wspólnymi spotkaniami, o które nie musieli już tak bardzo zabiegać. Tymczasem Janet i Harold żartowali na osobności z jawnych wybiegów stosowanych przez dwójkę kochanków. Z czasem żarty te zaczęły pojawiać się w rozmowach prowadzonych przez całą czwórkę. Do tradycyjnych niedzielnych spotkań doszły imprezy organizowane w ciągu tygodnia. Pod pretekstem odwożenia dzieci wpadali na drinka, a ostatecznie zostawali na obiad (Frankie junior i Jonathan szczerze się nie lubili; Catharine była jeszcze zbyt mała, by reagować na niezręczne próby matkowania Julii i Henrietty). Podczas gdy kobiety gotowały, stroiły się i troszczyły o nich, zalani Frank i Harold prowadzili głębokie rozmowy na temat Szekspira, historii, muzyki, okrutnego rynku, monopoli i potajemnej współpracy ludzi interesu z rządem, wszędobylstwa władz federalnych; mówili o nieudolnych posunięciach Kennedy'ego w sprawie stali i Kuby, o podobieństwach pochodzenia JFK do ich własnego i też o różnicach, o ich przeszłości, ojcach (do których czuli urazę i których dopiero po jakimś czasie nauczyli się doceniać, a wreszcie kochać), o strachu przed matkami, o seksie, o poglądzie na świat, jako miejscu, gdzie jest się zmuszonym wykonywać absurdalną pracę, by móc zaspokoić doczesne przyjemności.

– Dojrzałość jest wszystkim – mawiał czasem Frank, kiedy wreszcie cisza zapadała nad czterema głowami, odurzonymi intensywnością przyjaźni, jakiej nie mieli okazji zaznać od czasów dzieciństwa.

Potem odzywała się Janet, wiedząc, że oczekują od niej jakiegoś bulwersującego komentarza.

– Nie rozumiem, co takiego złego jest w kazirodztwie. Dlaczego ten temat stanowi dla wszystkich tabu? W młodości często miałam ochotę przespać się z bratem i jestem pewna, że i on zbytnio by się nie sprzeciwił. Mieliśmy w zwyczaju kąpać się razem, a ja obserwowałam, jak mu staje. Kiedyś zrobił coś na moim brzuchu, wtedy mi się wydawało, że robi siku. A teraz zarządza zakładami farmaceutycznymi ojca w Buffalo i już nigdy nie będziemy mieć okazji.

– Kochanie – mówił Harold, nachylając się nad okrągłym skórzanym stolikiem w zawieszonym lampionami salonie Applebych – to właśnie jest przyczyna. To dlatego kazirodztwo stanowi tabu. Bo każdy ma na nie ochotę. Poza mną. Miałam trzy siostry i dwie z nich stałyby pewnie obok, krytykując. *Trois sœurs est trop beacoup.*

Marcia wyprostowała się gwałtownie, węsząc podstęp.

– Czytałam ostatnio, że Ptolemeusze, wiecie, ci faraonowie, żenili się na lewo i prawo z siostrami i braćmi, a jednak nie produkowali zastępów tępaków. Dlatego uważam, że strach przed endogamią wywodzi się z purytanizmu.

Jej kolczyki migotały nerwowo.

– Koty to robią – poinformował ich Frank. – Kocie rodzeństwo zawsze się między sobą pieprzy.

– Ale czy pieprzące się koty – spytała Janet – zawsze są rodzeństwem?

– Kiedyś rozmawiałem – ciągnął Harold, zdecydowany przeciwstawić się Marcii – z bankierem, który zajmował się sprawami finansowymi grupy amiszów z Lancaster w Pensylwanii. Mówił, że są naprawdę niscy. *Trés, très petits.* Z każdym pokoleniem mniejsi. Tak właśnie wygląda ta twoja endogamia, Marcio. Nie są więksi od ciebie.

– Ona jest w sam raz – obruszył się Frank.

– Zgadzam się z tobą – zwróciła się Marcia do Janet. – Ja mam brata marzyciela, który grał na oboju i był pacyfistą. Byłoby tak miło wyjść za niego i nie musieć bezustannie tłumaczyć, dlaczego się jest takim, jakim się jest. On znałby wszystkie rodzinne powiedzenia i byłby wrażliwy na moje słowa. Nie jak te dwa barany.

– I vice versa. – Harold nie ustępował. – Wiecie, dlaczego Amerykanie stają się coraz wyżsi w tak szybkim tempie? Nie chodzi o odżywianie. To egzogamia. Ludzie szukają partnerów spoza swojej wioski. Lecą przez cały kontynent, do Denver albo St. Louis, żeby znaleźć małżonka.

– Dlaczego do St. Louis, na Boga? – spytała Marcia. – Denver jeszcze rozumiem.

Harold zarumienił się, zdając sobie sprawę ze swojego przejęzyczenia (w przeciwieństwie do Franka, żadna z pań nie wiedziała o Mulatce).

– Świeże geny. Zapłodnienie międzyosobnicze. Tak więc przykazanie „będziesz miłować bliźniego, jak siebie samego” to okropna rada, biologicznie rzecz biorąc. Jak większość z rad tego człowieka.

– Powiedział „miłować” – odezwała się Janet. – A nie „przelecieć”.

– Ja chcę mojego marzycielskiego brata – westchnęła Marcia, dolewając sobie burbona i trzęsąc ramionami w udawanym szloch.

Wszyscy zamilkli na chwilę.

– Dojrzałość jest wszystkim – oznajmił Frank.

Czasami siadywali przy prostokątnym mozaikowym stoliku w salonie mniejszych Smithów, oświetlonym przez ukryte, regulowane reostatem lampy, i obserwowali Harolda, który żywo gestykułując, dyrygował przy *Tristanie* Wagnera, *Czarodziejskim flecie* Mozarta

lub *Requiem wojennym* Brittena. Frank Appleby, który lubił tylko muzykę barokową, siadywał wtedy jak oniemiały, z zaczerwienionymi oczami, wypinając bolący brzuch, podczas gdy Harold, machając rękoma jak japoński funkcjonariusz drogówki, wydobywał „dzyń” z trójkąta na tyłach orkiestry albo gwałtownymi ruchami dawał znaki falującemu morzu smyczków. Janet obserwowała go jak zahipnotyzowana, a Marcia przyglądała się jej z zaciekawieniem. Cóż ona widziała w tym szaleńczym popisie? Jak kobieta, która codzienne sypia u boku Franka, może być choć odrobinę rozbawiona żalną komedią Harolda? Pewnej nocy, kiedy Janet i Frank poszli już do siebie, Marcia zaskoczyła męża pytaniem.

– Sypiasz z Janet?

– Czemu pytasz? Sypiasz z Frankiem?

– Oczywiście, że nie.

– W takim razie ja nie sypiam z Janet.

Spróbowała z innej beczki.

– Nie znudziły ci się te ciągle spotkania z nimi? Co się stało z resztą naszych znajomych?

– Duzi Smithowie przeprowadzili się do Newton.

– Oni nigdy nie należeli do naszych przyjaciół. Mówię o Thorne’ach, Guerinach, Saltzach, Gallagherach i Hanemach. Wiesz, co mi niedawno powiedziała Georgene? Podobno Matt znalazł kogoś chętnego na kupno domu Robinsonów, tego, który tak się podobał Angeli. Jakąś parę z Cambridge.

– Skąd Georgene zdobywa te informacje? Stała się prawdziwym ekspertem od spraw Hanemów. *Un specialiste vrai*.

– Nie sądzisz, że Freddy i Angela bardzo się przyjaźnią?

– *Tu es comique* – stwierdził Harold. – Angela to ostatnia kobieta w tym mieście, która mogłaby zdradzić męża. Poza tobą, oczywiście.

– Sądzisz, że Georgene spotyka się z Pietem?

– No cóż. Spogląda na niego bardzo rozmarzonym wzrokiem.

– Takim jak Janet, kiedy patrzy na ciebie?

– *Tu es trop comique*. Ona jest dwa razy większa ode mnie.

– Ale ty masz duże...

– Członki?

– Mniemanie o sobie, chciałam powiedzieć.

Pozostałe pary zaczęły nazywać ich Applesmithami.

Angela Hanema, której nigdy nic się nie śniło, miała sen, że udała się do domu Applebych, trzymając w rękach ciasto. Będąc już na ganku, oświetlonym sześcioboczną witrażową lampą, zdała sobie sprawę, że nie może otworzyć drzwi, bo dom pełen jest zaproszeń ślubnych. Zza rogu wyłoniła się Marcia, mniejsza Smith, w szortach i z czerwonym młotkiem do gry w krokieta i powiedziała: „Wszystko w porządku, moja droga, jesteśmy razem bardzo szczęśliwi”. Potem pojawili się całą grupą na wiejskiej dróżce, przypominającej tę prowadzącą na pomost, Angela nadal ze wzgardzonym ciastem w rękach. „Ale czy uda się wam załatwić sprawę z polisami ubezpieczeniowymi?”, spytała Franka. Było to dość dziwne, ponieważ na jawie Angela nie miała pojęcia o ubezpieczeniach. „Rozprowadzam akcje”, zapewnił ją, mrugając porozumiewawczo. Tylko tyle była w stanie sobie przypomnieć, i jeszcze to, że po obu stronach dróżki gęsto rosły fiołki, hiacynty i niebieskie lilijki. Następnego ranka, po powrocie z przedszkola, spotkała się z Georgene na kawie. Ostatnio czuła się nieswojo w jej towarzystwie i zdenerwowana opowiedziała jej swój sen. Georgene powtórzyła go Bei i Irene. Z kolei Piet, który usłyszał go przy śniadaniu, opowiedział go w biurze Mattowi Gallagherowi. Tak więc do Bernadette Ong wiadomość doszła z dwóch stron, od Irene podczas spotkania Komitetu Sprawiedliwej Polityki Mieszkaniowej i od Terry Gallagher po próbie Stowarzyszenia Chórów Tarbox-North i Mather-Lacetown; spragnieni śpiewacy zazwyczaj udawali się później do Ongów na piwo.

Jednakże to właśnie Bea, której złośliwość była nieodłączną częścią jej kokieterii (która z kolei była nierozdzielnie związana z jej bezpłodnością i skłonnością do popijania) opowiedziała sen Marcii. Marcia była zaskoczona i zupełnie nierozbawiona. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że Janet i Harold mogliby ze sobą sypiać. Nie sądziła nawet, by jej mąż miał na to ochotę. Żywiła ponadto dla Janet szczególny podziw, tak jak dla wszystkich dużych kobiet, a miłość do Franka jeszcze spotęgowała to uczucie. Nie przypuszczała, że dla osób postronnych cała czwórka może wyglądać na współsprawców – a to zbulwersowało ją i przestraszyło. Opowiedziała o swoich obawach Haroldowi; roześmiał się. Razem przekazali wiadomość Applebym i tym razem Janet zanosła się śmiechem, Frank się zdenerwował.

– Czemu ludzie nie potrafią pilnować swoich brudnych interesów?

– Zamiast naszych brudnych interesów? – spytał radośnie Harold; Marcia pomyślała, że jego podwójnie zakończony nos wygląda jak pszczeli odwłok.

– Uważaj, co mówisz! – Prychnęła z irytacją.

– Nie złość się, *mon petit chou* – powiedział Harold. – Angela nie ma wpływu na treść swoich snów. Jest najbardziej wyrafinowaną kobietą, jaką znamy. A Bea nie była w stanie się powstrzymać, by ci nie dokuczyć. Mąż ją bije, nie może mieć dzieci, więc musi sobie to w jakiś sposób rekompensować.

Janet wyglądała na zupełnie odprężoną.

– Pewnie sama się prosi o bicie – stwierdziła. – Wybierając Rogera, wiedziała, co ją czeka.

– To dotyczy nas wszystkich – powiedział Harold. – *Tout le monde*. Zawsze dostajemy to, czego podświadomie pragniemy.

– Ale im się wydaje, że robimy nie wiadomo co – zaprotestowała Marcia. – Są obrzydliwi, w głowie im się nie mieści pojęcie prawdziwej przyjaźni.

– Bo trudno sobie coś takiego wyobrazić – odparł Harold, zastanawiając się, czy nie przesadzi, jeśli się uśmiechnie.

Balansowali na krawędzi. Spojrzał na Janet, która z papierosem w ustach rozpierała się leniwie w żółtym fotelu. Jej bluzka migotała w miejscach, gdzie materiał się załamywał. Spódnicę miała niedbale podciągniętą, przez co było widać górę pończoch i podwiązki, a także delikatne, dobrze mu znane ciało. Jakim prostym i właściwym rozwiązaniem byłoby zabrać ją na górę, podczas gdy pozostała dwójka sprzątnęłaby szklanki i udała się do własnego łóżka.

– Są żądni sensacji – uznał Frank. – Ich małżeństwa straciły na świeżości i jak tylko coś ich w nos połaskocze, to myślą, że to szampan. Dobrze się bawimy w swoim towarzystwie i nie możemy się tego wstydić tylko dlatego, że inni mają brudne myśli. – Odchrząknął i zacytował: „Zmienna i cuchnąca tłuszczka”.

Słowa te sprowadziły złą aurę na resztę wieczoru. Marcia obserwowała Franka. Jej oczy były ciemne jak gęste gwiazdy, które nie przepuszczają światła. Czuła, że jest otchłanią przeznaczoną do przyjęcia tego mężczyzny, o powolnej krwi i miękkich dłoniach, którego sposób wystawiania się nabierał szekspirowskiego kolorytu i dostojeństwa, im dłużej była jego kochanką. „W nos ich połaskocze, i już myślą, że to szampan”. Odciągnął ich znad krawędzi. Mniejsi Smithowie wyszli o pierwszej trzydzieści i pojechali do domu. Latarnie w miasteczku, październikowo nagie, wydawały się plotkować na ich temat. Z okna ich sypialni bagna, pokryte koleinami i porośnięte trawą wzdłuż odsłoniętych przez wodę kanałów, wyglądały jak powierzchnia Księżyca, a ten z kolei zdawał się kulą ziemską. Niespokojni i skruszeni, Harold i Marcia kochali się, podczas gdy kilka mil dalej, po przeciwnej stronie bezlistnego miasta, druga para, również naga, odzwierciedlała ich poczynania.

Dopiero zimą nadeszła pora szczerych wyznań. W New Hampshire śnieg spadł wcześniej, a na święta Bożego Narodzenia Hanemowie, Thorne'owie, Gallagherowie, mniejsi Smithowie oraz Frank i Janet Appleby udali się ze swoimi starszymi dziećmi na narciarski wypad. Tablica ogłoszeniowa w pensjonacie była pokryta grubą warstwą zdjęć z letnich wakacji.

Uwiecznione na nich pary siedziały w kajakach lub starały się trafić gumowymi pierścieniami w słupek, a poręcze na werandzie zawieszono mokrymi kostiumami kąpielowymi. Teraz świeży śnieg skrzypiał pod butami, w jadalni widniał napis zakazujący wchodzenia w butach narciarskich, na obiad serwowano zupę z zielonego groszku, pieczoną szynkę i placek z jabłkami. Po kolacji dzieci tupały, ganiając się w długim korytarzu na pierwszym piętrze, między wyposażonymi w piętrowe łóżka pokojami chłopców i dziewczynek. Na parterze ich rodzice rozkoszowali się płonącym w kominku ogniem i przyjemnym uczuciem zmęczenia, wywołanym intensywnym wysiłkiem fizycznym. Popijając whisky, szybko uzupełniali kalorie, które świeże powietrze wywiało z ich ciał. Georgene metodycznie przerzucała kartki czasopism o sportach zimowych. Freddy szeptał coś do siedzącej obok na sofie Janet, która wyglądała na zdegustowaną. Frank grał z synem i Jonathanem mniejszym Smithem w „pamięć” i przegrywał, ponieważ był całkowicie pochłonięty nieprzyjemnym wirowaniem w żołądku, prawdopodobnie wywołanym przez gęsty sos rodzynekowy podany do pieczenia. Wesoło grzechocząc kostkami lodu, Harold przygotowywał drinka dla Angeli, której delikatna cera nabrała na ostrym powietrzu niesamowitego blasku, pokonując barierę wieku; żona Pieta wyglądała bardziej na dwadzieścia dwa lata niż trzydzieści cztery. Marcia przysłuchiwała się wywodowi Matta Gallaghery na temat stanowiska Watykanu w sprawie antykoncepcji: „Zero. Na seks zgody nie dadzą, ale może zezwólą jeść mięso w piątki”. Marcia pokiwała głową. Posiadanie kochanka pogłębiło jej zrozumienie dla wszystkiego, w tym także dla zachowania Matta Gallaghery, który uparcie przestrzegał zasad narzucanych mu przez bezlitosny Kościół. Spojrzała na ubraną w czarne, elastyczne spodnie Terry, która siedziała po turecku na podłodze i w skupieniu brzdąkała na lutni. Był to okazały instrument w kształcie tykwy, którego osiem strun wytwarzało niezbyt przyjemne, ciche dźwięki. Matt kupił Terry lutnię na gwiazdkę, w ramach przepływu rozrzutności, który doprowadził go już do kupna mercedesa, chociaż może chodziło też o symboliczny gest dotyczący ich małżeństwa – połysk jasnego drewna i eleganckie inkrustacje przywodziły na myśl coś sakramentalnego. Piet leżał obok na dywanie, spoglądając na naciągnięty materiał w kroku Terry. Szew zaczynał w jednym miejscu pękać. Świadomy tego, że tuż za nim siedzi nadąsana Georgene, obrócił się na plecy i zaczął robić w powietrzu rowerek. Zastanawiał się równocześnie, jak to jest z tymi katolikami, przypominając sobie swoje dawne, nieskonsumowane uczucie do Terry, kiedy on i Gallagher dopiero zostali partnerami. Whitney i Martha Thorne, Ruth Hanema, Tommy Gallagher, delikatny jak postać z obrazu Gainsborough, oraz Julia Smith z kruczoczarnymi włosami, związanymi w dwie kitki, oglądali film o drugiej wojnie światowej z Brianem Donlevym w roli głównej. Kanał telewizyjny pochodził z Manchesteru i odbiór nie był najlepszy. Gra w „pamięć” dobiegła końca. Frank potrzebował więcej burbona, by uspokoić żołądek. Dwójkami i trójkami prowadzono dzieci na górę lub do ogrzewanych piecykami gazowymi domków pod bielącymi się jak kości konarami brzoź. Przy kominku grupa nieznajomych zaczęła grać w brydża. Georgene Thorne, schludna kobieta z krótkimi, siwiejącymi włosami i o chłopięcym profilu, przejrzała czasopismo „Dom i Ogród”, a następnie wraz z dziećmi udała się spać do domku. Freddy posłał jej pocałunek, uśmiechając się złośliwie. Idąc samotnie skrzypiącą dróżką, pomyślała z gniewem o Piecie oraz jego flirtach i głupich akrobacjach. Wiedziała jednak, że to było do przewidzenia, że ma, czego chciała. W ciemności jej oddech materializował się w postaci białego obłoku. Niewidoczne jezioro trzeszczało, zamarzając coraz bardziej. Czarne brzoźowe gałązki stukały w powietrzu. Harold i Marcia starali się zorganizować jakąś grę w słowa, ale wszyscy zbyt szybko byli przepełnieni różnymi fizycznymi doznaniem, by móc się skupić. Nieoglądany telewizor ekscytował się w samotności wiadomościami o interwencji ONZ w Katandze, prowincji Kongo, potem odbiornik został wyłączony. Piet ubłagał Terry Gallagher, by zagrała im na lutni. Spoglądając na palce, jak gdyby poruszały się niezależnie od jej woli, i przyciskając kolejno właściwe progi, zagrała jedyną melodię, jaką udało jej się

do tej pory opanować – balladę *Greensleeves*. Pozostali usiłowali towarzyszyć jej śpiewem, ale nie byli w stanie przypomnieć sobie słów. Terry siedziała z pochyloną głową, a jej długie czarne włosy opadały na bok. Kiedy skończyła, Matt wstał z żołnierską sztywnością i po chwili Gallagherowie udali się do swojego domku. Na zewnątrz pracował pług śnieżny. Wysoko, w zakurczonym rogu pokoju, odezwała się spóźniona kukułka, oznajmiając, że minęła jedenasta. Angela z rumieńcami na policzkach podniosła się majestatycznie, a Piet, wyglądający jak uwielbiający pieszczoty pies o obwisłej skórze, podążył za nią po schodach do pokoju. W salonie zostali jedynie Applesmithowie i Freddy Thorne.

Prowadzący pensjonat kobieta i mężczyzna w średnim wieku wyszli z kuchni, gdzie skończyli właśnie zmywać górę naczyń po kolacji. Kierując się oszczędnością, wyłączyli wszystkie lampy poza jedną i rozsunęli polana w kominku, by ogień wygasł. Kiedy zwrócili się w stronę gości, spod ich uśmiechów przebijała lekka wzgarda.

– Dobranoc państwu.

– Dobranoc.

– Miłej nocy.

– *Bon soir*.

Jednakże jeszcze przez godzinę Freddy siedział z nimi w zimnym, ciemnym salonie, perorując i nie będąc w stanie wyzwolić się spod działania wspaniałego uczucia, ciepła, jakie wytwarzały pary, kiedy spędzały razem czas.

– Jesteście takimi pięknymi kobietami. Czemu się śmiejesz, Marcio? Jezu, ludzie zawsze się śmieją, kiedy mówię im coś miłego prosto w oczy. Najzwyczajniej nienawidzą miłości. Ona im zagraża. Jest jak psujące się zęby: boli i brzydko pachnie. Jestem jedynym człowiekiem, który się jej nie boi i rzuca się prosto na nią ze zgłębnikiem i lusterkiem w rękę. Kocham wszystkich, kobiety, mężczyzn, znerwicowane dzieci, kalekie psy, wyliniałe koty, karaluchy. Inni ludzie są jedyną rzeczą, jaka pozostała człowiekowi po tym, jak Bóg zwinął interes i dał nogę. Mówiąc „ludzie”, mam na myśli seks. Pieprzenie. Hip, hip, hura. Powiedz, Frank, dostrzegasz jakąś różnicę między tragedią a komedią? Oświeć mnie, do jasnej cholery. To poważne pytanie.

Frankowi zaburczało w brzuchu, kiedy starał się zmienić pozycję na wygodniejszą dla żołądka.

– Uznaję ją jako formalne rozróżnienie, w które wierzył Szekspir. Ale nie upierałbym się przy jej niepodważalności.

– Pięknie, mój drogi Frankfurcie. Dokładnie coś takiego powiedziała by każdy średnio inteligentny światowy człowiek. Ale tutaj się różnimy. Ponieważ ja to rozróżnienie uznaję. Wierzę, że istnieją sytuacje tragiczne i komiczne. Problem polega na tym, że prawie wszystko jest tragiczne, od zółciutkich gwiazd począwszy, na pyszniutkich saprofitach mnożących się w twojej jamie ustnej skończywszy. Spójrz na ogień, który nasi chytry gospodarze wygasili, żeby zaoszczędzić grosza. To tragiczne. Posłuchaj zawodzenia wiatru. Jakże jest tragiczne. W porządku, więc co tragiczne nie jest? W świecie Zachodu istnieją tylko dwie takie rzeczy: Kościół chrześcijański i nagie kobiety. Nie mamy Lenina, więc to tyle. Wszystko inne przypomina nam o tym, że jesteśmy martwi. Zastanówcie się; przywołajcie obraz dwóch okazałych melonów, podskakujących w górę i w dół. To was śmieszy, nieprawdaż? Albo przynajmniej wywołuje uśmiech na twarzy. Pomyślcie o biednej, durnej Marilyn Monroe, a może Durnoe. Jedyne dobre filmy, w jakich zagrała, to były komedie, do jasnej cholery.

– A Kościół chrześcijański? – spytała Marcia, spoglądając z ukosa na Franka. Jak gdyby starała się nerwowo ocenić natężenie jego cierpienia.

– Jezu, naprawdę chciałbym w to wierzyć – odparł Freddy. – W cokolwiek. Chociaż w najdrobniejszą rzecz. Jedną głupią beczkę wody przemienioną w wino. Nawet w pół beczki. W ćwierć litra. A niech tam, i pół litra wystarczy.

– Droga wolna – powiedziała Janet leniwym głosem. – Po prostu uwierz.



– Nie mogę. Marcio, przestań spoglądać badawczo na Franka. On jest przewrażliwiony. Nic mu nie będzie. Proszę was, to prawdziwa rozmowa od serca. Po to są inni ludzie. Wielka gra prawdy. Na przykład ty i ten puchaty pąsowy sweter; jesteś wspaniała. Wyglądasz jak farbowany pudel, kłębek nerwów i wystające pazurki, czempionka, jak Boga kocham. Gdyby twój dziadek nie był biskupem w East Egg, byłaby z ciebie świetna kurwa. Ty, Janet, to osobliwy przypadek. Czasem walisz prosto do celu i zbijasz wszystkie kręgle, a czasem zwyczajnie chybiasz. Wokół zaciśniętych ust pojawiają ci się zmarszczki. Dzisiaj jesteś naprawdę nakręcona. Wściekłaś się z powodu jakiejś głupoty, może Harold cię źle potraktował, a może wywiesiłaś czarną flagę, ale jesteś na miejscu. Nie zawsze się to zdarza. Gdzie wolałabyś być? Jezu, jesteś w każdej aptece, a ludzie mówią, że to bardzo skuteczny środek przeczyszczający, chociaż prawdę mówiąc, sam nigdy nie potrzebowałem.

– Poszerzamy asortyment – poinformowała go Janet. – Teraz specjalizujemy się w antybiotykach. Poza tym to nie był środek przeczyszczający, tylko olej parafinowy.

– Tym większy szacunek. Schudłaś, to sprytnie posunięcie. Przez chwilę pod podbródkiem zaczynała ci się formować buła. Wiesz, skarbie, naprawdę niezła z ciebie sztuka. Mówię to całkiem bezstronnie, jak dziewczyna dziewczynie. Nie musisz nosić tych krzykliwych strojów, żeby coś udowodnić. Tylko ciebie, grubą czy szczupłą Janet Szarlotkę, chcemy dostać na deser; kochamy cię, przestań się zamartwiać. Jak już mówiłem, piękne z was kobiety. Naprawdę mnie to dzisiaj zabiło, widzieć starą dobrą Terry Ciasnącipkę, rozkładającą szeroko nogi i z opuszczonymi włosami robiącą laskę temu biednemu melonowi. Zwróciliście uwagę na jej usta? Są ogromne. Język ma wielki jak łóżko; za każdym razem, kiedy oglądam jej trzonowce, mam ochotę zwinąć się na nim w kulkę i zasnąć.

– Jesteś kompletnie pijany – powiedziała Marcia.

– Daj mu spokój. Mnie się podoba. *Je l'aime*. Aria Freddy'ego.

– Boże mój – odezwał się Frank – że też człowiek sam wlewa sobie w przełyk coś, co tak mu szkodzi, co go okrada z rozumu!

– O nas wystarczy. – Janet nachyliła się do Thorne'a. – Opowiedz nam o Angeli i Georgene.

– Piękne dziewczyny, piękne. Nie żartuję. Wszystkie czepiacie się Angeli, ale...

– Nieprawda – zaprotestowała Marcia.

– Wszyscy czepiają się tej świętej, a ona ma najbardziej elokwentny tyłek, jaki kiedykolwiek widziałem. Może poza zadkiem strusia.

– Żyrafy też mają niezłe.

– Zbyt wysokie progi dla ciebie, moim zdaniem – odparł Frank.

Harold odwrócił się z zadartym nosem.

– Ty hipopotamie. Ty wole.

– Chłopcy – upomniała ich Janet.

– Czy nie wyglądała dzisiaj uroczo? – ciągnął Freddy. – Angela.

Harold, który szczylił się swoim nosowym basem, zaczął udawać, że śpiewa arię.

– Czyyyyyż ona, czyż ona nieeee wy-wy-wyglądała uroczo dziiiiis. Aaaangela, la, la!

Freddy odwrócił się do pań.

– Powiedzcie szczerze. Jesteście kobietami. Macie ładne, przejrzyste lesbijskie oczy. Nie uważacie, że wyglądała, jakby miała dwadzieścia lat? Dziewicza dwudziestka, oczy, w których odbija się niebo, cudownie zaróżowiona skóra, Jezu. To znaczy wszystkie jesteście piękne, mówię to bez ogródek, ale ona jest moim ideałem. Ubóstwiam ją. Spoglądam na ten tyłek i myślę o niebie. Dwadzieścia mil skowronków i bitej śmietany z truskawkami.

Obie pary zaczęły się śmiać w oszołomieniu. Freddy rzucił badawczo okiem w dół; jego szklanka jak za sprawą czarnoksięskiego zaklęcia ponownie napelniła się whisky.

– Freddy, a Georgene? – spytała Marcia. – Nie wspomniałeś jeszcze o swojej żonie.

– Zdrowa dziewczucha – powiedział. – Dobrze gotuje, dobrze gra w tenisa. W łóżku –

zmrzył oczy i potrząsnął dłonią – taka sobie. *Comme ci, comme ça*. Ja lubię, żeby długo trwało, jak najdłużej, napić się wina, potem jeszcze trochę, pobawić się, spróbować na odwrót, wiecie, żeby była to ludzka czynność. Ona zbyt szybko dochodzi. Spieszy się, żeby wrócić do domowych obowiązków. Podarowałem jej na Gwiazdkę *Kamasutrę*, a ona nie chciała nawet obejrzeć obrazków. Ta suka nie robi człowiekowi laski, dopóki się kompletnie nie nastuka. Co takiego mówi na ten temat Bard? Robienie loda jest rzeczką ludzką.

Freddy jak zwykle przekroczył wszelkie granice dobrego smaku. Obie pary wierzyciły się nerwowo, chcąc uciec do swoich pokojów. Janet wstała i wrzuciła zawartość popielniczki między tłące się na kominku szczapy. Frank zebrał karty do gry w „pamięć”. Harold położył nogi na oparciu sofy i udawał, że śpi. Tylko bawiąca się nerwowo kolczykiem Marcia wykazywała jeszcze cień zainteresowania.

Freddy spoglądał w odległy kąt pokoju, gdzie nad zegarem z kukułką zwieszała się chmura pajęczyn, sprawiająca upiorne wrażenie odwróconego odbicia w wodzie.

– Ujrzałem światło – oznajmił. – Wiecie, jakie zadanie ma każdy z nas do spełnienia na ziemi?

– Jakie? – spytał Harold z głębin fałszywego snu.

– Przed chwilą to zrozumiałem. Spłynęła na mnie wizja. Jesteśmy tu po to, żeby się nawzajem uczyłowić.

– Jesteś okropnie głupi – stwierdziła Marcia. – Ale naprawdę się przejmujesz. Na tym polega twój urok. Przejmujesz się.

– Jesteśmy komórką wywrotową – ciągnął Freddy. – Jak w katakumbach. Z tą różnicą, że oni chcieli się wyrwać z hedonizmu. My próbujemy się do niego dostać z powrotem. Nielatwa sprawa.

Janet zachichotała i zakryła Frankowi usta dłonią, nim zdążył powiedzieć, jak to miał zamiar zrobić: „Dojrzałość jest wszystkim”.

Potem opanowało ich zmęczenie i senność. Pokój był już całkiem wychłodzony. Cisza wystawiła swoje warty. Freddy podniósł się ociężale.

– Do zobaczenia na stoku – powiedział i wyszedł na dwór.

Czarne jezioro, skryte za kredowymi pniami brzoź, wyglądało jak otwarte, gotowe do leczenia usta. Alkoholowy pot na klatce piersiowej przekształcał się powoli w cienki pancerz; skóra na łysej głowie kurczyła się. Szedł szybkim krokiem po skrzypiącej ścieżce do Georgene.

Mimo to obie pary ociągały się z pójściem do swoich pokojów. Sprośności Freddy’ego wywołały w nich poruszenie. Marcia i Janet chodziły w tę i z powrotem, zbierając szklanki i składając rozrzucone czasopisma na stos. Potem znowu usiadły. Frank odchrząknął; jego oczy płonęły czerwonym blaskiem. Harold zakładał nogę w elastycznych spodniach to na jedno, to na drugie kolano.

– Freddy jest poważnie chory – powiedział, jakby w imieniu Franka. – *Tres malade*.

Za ekranem na kominku dogasające kawałki polan tworzyły powoli znikające konstelacje. Cisza stawała się gęsta i nie do zniesienia. Marcia wstała z sofy, a Janet, w brzoskwiowym sweterku i białych spodniach, ruchem baletnicy, która wypływa zza kulis, by wykonać swój pierwszy wyskok i piruet, podążyła za nią po schodach na górę. Obie pary miały pokoje na piętrze. Po chwili Frank i Harold usłyszeli dźwięk odkręcanej w łazience wody. Zgasili do końca światło. Frank znowu chrząknął, ale nic nie powiedział.

W korytarzu na górze, gdzie ciągnął się rząd cichych drzwi, Harold poczuł na ramieniu dotyk ręki Franka. Spodziewał się tego.

– Myślisz, że mamy właściwe pokoje? – spytał zachrypłym, zażenowanym głosem Frank.

– My jesteśmy w dziewiątce, wy w jedenastce – odparł szybko Harold.

– Chodzi mi o to, czy nie powinniśmy się zamienić?

Z wyższością człowieka, który posiadał tajemnicę, Harold pożałował tego pełnego

pożądania mężczyzny. Zastanowił się przez moment.

– Nie powinniśmy spytać o to pań? – zapytał. – Wątpię, by wyraziły zgodę.

W korytarzu świeciła jedna żarówka i w tym skąpym oświetleniu głowa Franka wyglądała, jakby miała eksplodować, kiedy starał się powstrzymać wyznanie.

– Wszystko w porządku – szepnął wilgotnym głosem. – Janet często mówiła, że ją pociągasz. Bierz ją. Masz moje błogosławieństwo. Co tam. Niech żyje kopulacja.

Harold udał konsternację.

– A Marcia? Skąd wiesz, czy ona będzie miała ochotę?

Frank szybko i żałośnie kiwnął głową.

– Będzie dobrze.

Drzwi do pokoiów dziewięć i jedenaście były uchylone.

Harold przypomniał sobie nagie, wilgotne ramiona Janet, kołyszące się nad błyszczącymi drobinkami na ulicach letniego Bostonu, i nie mógł się powstrzymać, by nie podręczyć rywala jeszcze przez chwilę.

– Czy ty i Janet robicie takie rzeczy – zamachał w powietrzu dłońmi – często?

– Nigdy. Nigdy wcześniej tego nie robiliśmy. No dalej, tak czy nie? Nie przeciągaj tego. Boli mnie brzuch i chce mi się spać.

Frank zmienił ton, podnosząc głos, i Harold ujrzał w nim większego mężczyznę, którego się obawiał. Chodziło też o to, że z za swojego biurka w banku Frank podrzucał Haroldowi jako maklerowi ogromną ilość zleceń. Wartość sekretu zdeponowanego w jego mózgu była już wątpliwa, zbywalna.

Frank opuścił rogiatą głowę. Obie pary drzwi czekały uchylone. Za jednymi leżała Marcia, z którą dzielił każdą męczącą noc; za drugimi Janet, której ciało było flakonem perfum. Zobaczył wyraźnie, że podstęp, który obmyślili, tracił na wartości. Zawsze jednak jest czas na to, by sprzedawać; sztuka polega na tym, by wybrać najlepszy moment. Janet czekała na niego jak pewny zysk. Wzruszył ostrożnie ramionami.

– Czemu nie? *Pourquoi non?* Wspaniale. Ale bądź delikatny.

To była dość dziwna prośba, ale w niewielkim przedpokoju wyłożonym płytą okładziną i z linoleum na podłodze Harold poczuł ciężki oddech Franka i zdał sobie sprawę z jego odpychającej masy. Obawiał się, że jego nerwowa, gibka żona nie zniesie takiego obciążenia; zaraz jednak przypomniał sobie, że robiła to już wiele razy. Widok oślich, wykrzywionych zębów Franka, białek oczu pokrytych krwawą siatką znieważał go. Harold skierował się do drzwi numer dziewięć, dotknął klamki, a potem otworzył je z rozmachem, jak gdyby ciemność poza nimi była jak oczekiwanie.

Drzwi się zatrzasnęły. Światło odbijające się od dachu pokrytego grubą warstwą śniegu rozchodziło się nierówno po ścianach. Janet usiadła w łóżku. Jej krótkie słowa zdawały się zapalki zapalane w złowrogiej ciemności.

– Ty. Czemu? Dlaczego teraz? Haroldzie, tak nie można!

Przesunął się po omacku w stronę łóżka. Przysiadł na brzegu i zauważył, że Janet narzuciła sweter na koszulę nocną.

– To był pomysł twojego męża. Ja tylko mu ustąpiłem. Będą myśleć, że to nasz pierwszy raz.

– Ale będą mieć świadomość! Zacznie się obserwacja. Niczego nie rozumiesz? Powinieneś być udać zbulwersowanego i powiedzieć, że przez myśl by ci nie przeszło, by coś takiego zrobić. Frank dobrze wie, jak się zachowuje, kiedy jest pijany, nie obraziłby się. Jestem pewna, że tego właśnie oczekiwał. Boże drogi, Haroldzie.

Przytuliła się do niego mocno, aseksualnie. Objął jej zaokrąglone, odziane w sweter plecy, jakby przytulał kalekę.

– Ale ja cię pragnę Janet.

– Przecież możesz mnie mieć, kiedy chcesz.

– Nieprawda. Nigdy nie miałem okazji spędzić z tobą całej nocy.  
– Jak może ci to sprawiać przyjemność, kiedy wiesz, że tych dwoje jest tak blisko?  
– Nie robią mi nic złego. Lubię ich. Niech się sobą nacieszą.  
– Ja tego nie zniosę. Nie jestem taka opanowana jak ty, Haroldzie. Pójdę tam i z tym skończę.

– Nie.

– Nie mów do mnie takim apodyktycznym tonem. Nie próbuj być moim ojcem. Jestem zupełnie roztrzęsiona.

– Ułóż się w moich ramionach. Nie musimy się kochać. Przytul się do mnie i śpij.

– Naprawdę nic nie rozumiesz? Tak nie można. Jesteśmy doszczętnie zepsuci. Cała czwórka.

Położył się koło niej, na kołdrze. Widoczny za oknem śnieg jakby pojaśniał.

– Myślisz, że na Księżycu – spytał – to się cokolwiek liczy?

– Chyba jednak – westchnęła Janet – chodzi o nią. Teraz będzie miała na mnie haka.

– Marcia? Przecież ty też będziesz coś na nią miała.

– Ale ona skończyła college, a ja nie.

Roześmiał się zaskoczony.

– Rozumiem. Skończyła college, więc jest ekspertką w technikach seksualnych i dlatego wyciąga z Franka więcej niż ty ze mnie. W tej właśnie chwili stosuje Rybie Ukąszenie, po czym przerzuci się na pozycję okrakiem, jak to zaleca wydział higieny Bryn Mawr<sup>5</sup>.

Janet schowała ręce pod kołdrę i pociągnęła nosem.

– Wcale nie o to chodzi. Ale najwyraźniej tak myślisz.

Zirytowany jej brakiem zapału, uznał, że musiał ją chyba bardzo obrazić. Zdezorientowany westchnął przez nos.

Po pewnym czasie Janet się poruszyła.

– Może wejdziesz pod kołdrę? – spytała nieśmiałym tonem sprzedawczyni, mającej do czynienia z niezdecydowanym klientem.

Ostatecznie więc Harold przebył wówczas podróż przez wyłożony jedwabiami pałac i opadające schody prowadzące do flakonu perfum, które trysnęły na niego ze wszystkich stron, promieniście. Stojący obok zlewu kaloryfer mruczał siedmioma równoległymi gardłami. Janet była nieprzezroczysta, blada, pudrowa, ciężka, słodka i matczyna; został zmuszony do odpoczynku, z wąską głową wtuloną między jej piersi i językiem wysuniętym jak u zastygłej jaszczurki.

Tymczasem tuż obok Marcia była dla Franka przezroczysta, lotna, nieuchwytna, stanowiła jedność z tańczącymi po ścianach cieniami. Powiększał się i powiększała, aż ona prawie całkowicie zniknęła i Frank zlał się z ciemnością, a potem zaczął opadać, wsłuchując się w jej srebrzysty, zdyszany głos.

– Cudownie. Och. Jak bosko. Boskie pieprzenie.

Pomiędzy parami, w pokoju numer dziesięć, w zupełnej nieświadomości spali odwróceniem do siebie plecami Piet i Angela Hanema. Piet śnił o połączeniach na czopy w nieprzyjemnym kontekście połączenia skoku ze zjazdem z opuszczonym ramieniem, którego uczył się tego dnia na stoku. Sen Angeli nie miał sensu, pojawiały się w nim dzieci bez imion, śnieg padający w górskim krajobrazie, którego nie znała, wielki stół na lwich nogach, podtrzymujący pustą, doskonałą niebieską wazę w stylu *mei ping*; po przebudzeniu niczego nie pamiętała.

Z wydarzeń tej nocy Harold zapamiętał chłodny majestat Janet, półkoliste światło na jej pulchnych ramionach nad nim, jej uległość, gdy przebywali długą drogę do jego drugiego orgazmu. Zmęczenie, a także rozpraszająca kwestia otwartej intymności, sprawiły, że był

---

<sup>5</sup> Bryn Mawr College – żeńska uczelnia założona przez kwakrów w Lower Merion Township w Pensylwanii.

niezwykle powolny. Leżała pod nim biernie, jak ktoś zarzynany, z wyciągniętą szyją i ramionami całymi w cieniu.

- Przepraszam – szepnął. – Tyle mi to zajmuje.
- Nie szkodzi. Podoba mi się.
- Mam przestać?
- Ależ nie. Nie.

Smutny ton jej głosu tak go poruszył, że zdołał dotrzeć na skraj i spadł, dając jej spokój. Odwróciła się i zasnęła. Jej nieruchomy ciężar ukołysał go do snu, jak gdyby znajdowali się na huśtawce. Śnieg za oknem błyszczał jak prześwietlony film. Poduszka, na której leżały jej splątane włosy, również przypominała śnieg. Za każdym razem, kiedy Harold zamykał oczy, przypominał sobie górski stok, karłowate, pokryte zmrożoną czapą sosny koło wyciągu, lodowe rynny, pierzynę świeżego puchu, muldy ubite przez skręcających narciarzy; czuł wtedy, jak mięśnie napinają mu się w nogach. Bolały go golenie. Muzyka, przypominająca urywki z Debussy'ego, próbowała przebić się do niego, w przerwach między oddechami Janet. Obrócił się i przytulił się do niej całym ciałem.

- O nie, kochany, więcej nie dam rady – westchnęła dziecinnym głosem.

Obudził się przed świtem. Z korytarza dobiegły go kroki. Marcia. Jego opuszczona żona, wykorzystana i bliska szaleństwa, wyszła, by go szukać. Nieznajome ciało Janet leżało obok, zwinięte w kulkę, powodujące, że się pocił. Jak szpieg rozklejający kopertę wysunął się ostrożnie spod kołdry. Tkanina nocy została odsunięta, ujawniając rozmaite wizualne szczegóły – smugi brudu między pęknięciami na podłodze, jego własne wąskie stopy otarte od butów narciarskich, wkładki rękawiczek Janet, suszące się na grzejniku, słoiczek kremu do rąk na pustej sosnowej komodzie, skupiający księżycowy blask. Z ubrań, w których wszedł do tego pokoju, włożył na siebie jedynie spodnie i sweter. Podłoga w holu znów zaskrzypiała, tym razem bliżej drzwi. Otworzył je delikatnie, z wyrazem czułości na twarzy.

Za drzwiami stał Frank, który wrócił właśnie z łazienki. W świede nocnej lampki miał oczy owada i plamistą cerę. Na widok Harolda jego wzrok przeszedł bolesną metamorfozę, stając się równocześnie wymijający i wyzywający, zawstydzony i zbolący.

- Co jest? – szepnął do niego Harold.
- Żółądek. Za dużo alkoholu.
- Et ma femme? Dorme-elle?
- Jak kamień. A Jan-Jan?
- La manę.

Frank zastanawiał się przez chwilę nad swoimi dolegliwościami.

– To jest jak smołowa kula, której nie jestem w stanie rozbić. W końcu zwymiotowałem. Teraz czuję się trochę lepiej. Może to ze zdenerwowania.

- Chcesz wrócić do swojego pokoju?
- Chyba powinniśmy to zrobić. Niedługo obudzą się dzieciaki i mogą chcieć wejść.
- Dobranoc, słodki książę, niech ci do snu chóry aniołów i tak dalej.
- Dzięki. Do zobaczenia na stoku.
- *Oui*. Do zobaczenia na stoku.

Harold usiłował sobie przypomnieć jak się mówi „stok” po francusku. Nie był w stanie tego zrobić i roześmiał się, jak gdyby ironia sytuacji dotarła do niego z opóźnieniem.

Janet rozbudziło wyjście Harolda oraz szepty w korytarzu. Wiedziała, że to Frank wraca do jej łóżka, ale udała, że śpi. Być może właśnie w tym momencie zaczęła mieć irytującą pewność, że została skrzywdzona. Janet była kobietą, w której wcześniej rozkwitłe piękno rozbudziło wysokie wymagania. Fakt, że nigdy nie zostały spełnione, spowodował, że popadła w cierpki idealizm, przez którego pryzmat znajdowała w otaczającym ją świecie jedynie wady. Uznała, że ostateczne przyzwolenie Harolda oznaczało jego zdradę. Marcia wstąpiła na drogę niewierności świadomie, natomiast Janet zwróciła się do jej męża, by ukoić

swój ból. Istnienie cynicznego czworokąta pozbawiło ją jednak możliwości takiego usprawiedliwienia. Każde spotkanie z Haroldem było w jej mniemaniu częścią zemsty; w ciemnościach rysowało się coś na kształt sprawiedliwości. Jednakże jej romans okazał się udogodnieniem, a nie zemstą, a idealizm Janet wymagał od życia więcej, niż mogła jej dać poczworna dawka dowartościowania i seksu. A jeszcze głębiej niż moralne rozterki tkwiło podejrzenie, że Marcia była od niej bardziej zmysłowa i lepsza w łóżku. Janet nie widziała powodu, dla którego powinna oddawać się dwóm nieodpowiednim, denerwującym mężczyznom, żeby Marcia mogła usprawiedliwić swoje nimfomańskie żądze. Zawsze uważała przyjaciółkę za osobę oschłą i pozbawioną gustu, a tymczasem okazała się ona iście diaboliczna. Janet drażnił fakt, że gdyby w końcu wybuchł wokół nich skandal, wszyscy solidaryzowaliby się z Marcją, a oskarżali tylko ją.

Nieodpowiedniość i natarczywość mężczyzn wyszła na jaw, gdy tylko Janet zdecydowała się stawić opór. Tydzień po zamianie siedzieli w salonie Applebych, gdzie znajdował się okrągły, skórzany stół, a na półkach stały odziedziczone serie książkowe: Balzak w czerwieni, żółto-brunatny Scott, D'Annunzio w białej skórze cielejącej ze złotymi tłoczeniami, Mann w czarnych okładkach Knopfa i zielony Shaw wydany przez Dodd, Mead. Nienaruszona ściana książek wchłaniała dym i rozmowy. Burza śnieżna, pierwsza w Tarbox tej zimy, zaczynała odcinać im drogę powrotu. Frank przyrządził gorący rumowy poncz i wszyscy byli już wstawieni.

– Chodźmy na górę – zaproponował o północy.

– Nie – zaprotestowała Janet.

– Nie chodzi mi o nas – wyjaśnił Frank. – Ty możesz iść z nim.

– Obojgu z was oprę się bez problemu.

– Janet! – powiedział Harold, niezbyt zaskoczony, ponieważ spał z nią w środę i zdążyła mu już wyjaśnić, co o tym wszystkim sądzi.

– Uważam, że to zbyt niemoralne – stwierdziła. – Nieprawda, Marcio?

Marcia chwyciła lewy kolczyk, jak gdyby chciała powstrzymać jego brzęczenie.

– Nie, jeśli wszyscy będziemy się nawzajem szanować.

– Przykro mi – powiedziała Janet – ale nie potrafię szanować żadnego z was. A zwłaszcza kobiety, która czuje potrzebę posiadania wielu mężczyzn.

– Tylko dwóch – uściślił Frank.

– Naprawdę mi przykro, Marcio, ale uważam, że powinnaś pójść do lekarza.

– To będzie trzeci mężczyzna – powiedział Harold.

W duszy zakładał, że opór Janet jest czymś w rodzaju mgły, która z pewnej odległości wydaje się nieprzepuszczalna, ale ustępuje przy pierwszej próbie nacisku.

– Myślisz, że potrzebuję pomocy?

– Nie chodzi mi o żadne badania, tylko o terapię. Sesję u psychoanalityka. Frank opowiedział mi ze szczegółami o waszym romansie i moim zdaniem sposób, w jaki się na niego rzuciłaś, nie był czymś normalnym. Nie mówię teraz jako pokrzywdzona żona, powiedziałabym to samo, gdyby to był jakikolwiek inny mężczyzna. Zresztą to prawdopodobnie mógł być jakikolwiek inny mężczyzna.

– Kochana Janet, cieszę się, że tak się mną przejmujesz. Ale ja się nie rzuciłam na Franka. Zeszliśmy się, bo ty go unieszczęśliwiałaś. Z twojego powodu nabawił się wrzodów.

– Stan jego żołądka znacznie się pogorszył w ciągu ostatnich miesięcy.

– Bo nie przestajesz go zadreć. Po tym, jak Harold opisał mi twój striptiz w pralni, zaskakuje mnie twoje czepialstwo.

Janet odwróciła się do Harolda.

– Opowiedziałeś jej o tym?

Wzruszył ramionami i złapał się za lewe ucho.

– Ona zwierzyła mi się ze wszystkiego. Nie chciałem, żeby miała poczucie winy.

Janet zaczęła płakać w milczeniu, nie poruszając ramionami ani dłońmi.

Marcia zapaliła papierosa, spoglądając na nią z niewzruszonym wyrazem twarzy.

– Bez obaw – powiedziała. – Za nic w świecie nie wzięłabym Franka, nawet gdybyś mnie błagała. Dzisiaj czy kiedykolwiek. Chcę, żebyś była przy nim, aż zetrzesz go na proch. Od pół roku trzymam go na powierzchni i mam już tego dosyć. Ostatnia rzecz, jakiej oczekuję, to twoja wdzięczność.

Janet milczała i obaj panowie wstawili się za nią.

– To spadek cen na giełdzie wpędził mnie w chorobę wrzodową, a nie Jan-Jan.

– Jest cudowna w łóżku – poinformował żonę Harold. – *Belle en lit*.

– W takim razie idź ją pieprzyć – powiedziała Frankowi Marcia. – Zabierz ją na górę, pieprz i nie przyłaż do mnie więcej ze swoimi żalnymi cytatami z Szekspira. Dosyć mam oglądania łez wielkich głupich bab, które potrafią jedynie łaskawie pozwalać światu, by lizał ich urocze tyłki. Rozwiedź się ze mną – zwróciła się do Harolda. – Rozwiedź się ze mną i ożeń się z nią, jeśli uważasz, że ma takie boskie cycki. Nie ma miejsca we wspólnej bla bla dla barier, przeszkód, czy nie tak, Frank? To już koniec. Koniec z nami i całą tą paskudną sprawą.

Wstała, próbując zbadać stopień konsternacji malującej się na twarzach poniżej.

– Marcio – upomniał ją Harold – przestań dręczyć Janet. Jesteś nie w porządku.

– Ona mnie nie dręczy – odezwała się Janet. – Ja się z nią zgadzam.

– Podgrzeję poncz – zaproponował Frank. – Czy może ktoś woli piwo?

– Jesteś wspianały, Frank – powiedział Harold – ale jeśli nie idziemy do łóżka, to chciałbym się wyspać. Dzisiaj dziećmi opiekuje się jedna z córek Millsów, która ma teraz egzaminy semestralne na Uniwersytecie Bostońskim.

– Mój znajomy z Exeter – oznajmił Frank – ten, który kupił dom Robinsonów, jest tam wykładowcą.

– Słyszałam, że przystojny – dodała Janet.

Marcia poczuła, że sytuacja wymyka jej się z rąk.

– Nie mogę już znieść waszego towarzystwa i mam dosyć tego ponurego domu.

Wyszła do korytarza po swój mysioszary płaszcz. Harold poszedł za nią, wiedząc, że przyniosła ze sobą w torebce krążek dopochwowy, i miał nadzieję, że w takim razie wykorzysta go w domu. Ale mniejsi Smithowie zbyt długo ociągali się z odejściem, i w końcu zarówno Frank, jak i Janet musieli wyjść na głęboki śnieg, żeby popchnąć porche Harolda i pomóc mu odpalić. Tylne światła samochodu wiły się bezczelnie, uciekając w dół.

– Mam nadzieję, że więcej ich nie zobaczymy. Są nieznośni i chociaż nie zdają sobie z tego sprawy, zatruwają otoczenie. Czy dzisiejsza noc nie jest piękna? Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam głowę do tego, by zachwycać się pogodą, kiedy zaczęliśmy się zadawać z tymi ludźmi.

Między drzewami oświetlonymi lampami z ganku wirowały płatki, muskały ich delikatnie i od razu umierały. Już w ciepłym korytarzu Janet pochyliła się, by ściągnąć kalosze, a Frank poklepał ją lekko. Wyprostowała się ze złością.

– Ani się waż mnie dotykać. To na nią masz ochotę. Idź sobie do niej. No, idź już. Idź.

Janet zawsze bardzo zależało na tym, by nie sprawiać wrażenia oziębłej. Cała jej nieformalna edukacja, poczynszy od bajki o Królowie Śnieżce po ostatnie wydanie magazynu „Life”, dotyczyła tego, by stawiać miłość na pierwszym miejscu. Zaledwie pocałunek wystarczy, by zdjąć urok przeklętego jabłka. Od urodzin aż po śmierć przesuwały się wraz z tłumem innych, a ta parada nazywa się miłość. Bez względu na to, jak dalekie to było od ideału, Janet obawiała się pozostać w tyle. Dlatego też nie była w stanie przestać flirtować, przestać wyciągać dłoń, chociaż nosiła w sobie ziarno nieufności, goryczy jak osad w fabryce leków jej ojca, którą musiała omijać na każdym kroku. Alkohol był w tym pomocny.

Obie pary nie spotykały się przez kilka tygodni. Marcia i Janet poinformowały resztę znajomych, że miała miejsce kłótnia. Taktownie nie zapraszano ich na te same przyjęcia. Harold zadzwonił do Janet.

– Przykro mi, Haroldzie – powiedziała. – Było mi z tobą dobrze, jak człowiekowi z człowiekiem i jak kobiecie z mężczyzną. Naprawdę umiałeś sprawić mi przyjemność. Ale sądzę, że takie mieszanie w związkach może być niebezpieczne. Jeśli jeszcze raz zadzwonisz, obawiam się, że będę musiała odłożyć słuchawkę. Miej chociaż na względzie dobro dzieci.

Frank zadzwonił do Marcii.

– Chcę być z tobą, tylko z tobą – powiedziała mu. – Chcę tego bardziej, niż można sobie wyobrazić. Ale nie mam zamiaru wkładać Janet broni do ręki. Gdybym miała pewność, że mnie kochasz, to co innego; zdałam sobie jednak sprawę tej nocy w górach, kiedy opuściłeś moje łóżko, jak bardzo jesteś do niej przywiązany. Teraz muszę myśleć, jak zadbać o własne dobro. Ona by mnie zniszczyła, gdyby tylko miała po temu sposobność. Nie chcę dramatyzować; to w jej stylu, nie w moim. Nie żegnam się z tobą. Kiedy wyjaśnicie między sobą wszystko jak należy, byłabym zachwycona móc się z tobą znowu spotkać. Jesteś niestety miłością mojego życia.

Frank odniósł wrażenie, że Marcia stara się go namówić na rozwód. Tymczasem potencjał doradczy w Wietnamie zaczął się powoli kruszyć, na rynku zapanowała panika, a także ekscytacja szansą rozszerzenia działań wojennych. Kennedy nie budził zaufania; było w nim coś nieprzekonywującego.

W pewną styczniową sobotę wszystkie pary z Tarbox udały się do Bostonu, żeby zjeść lunch i obejrzeć mecz hokeja: Bruins-Red Wings. Pary Applebych i mniejszych Smithów zrezygnowały z udziału w wypadzie. Jedni i drudzy obawiali się spotkania całą czwórką, a nie wiedzieli, że żadne z nich się nie wybiera. Dlatego zostali w Tarbox sami, a jako że Jonathan i Frank junior mieli w soboty wspólne lekcje jazdy na nartach pod stacją radarową, tatusiowie umówili się wcześniej, że starszy Frank odbierze ich obu o czwartej trzydzieści. Kiedy odwiedził Jonathana do rodziców, został zaproszony przez nich na drinka. Wypił go, potem następnego, potem jeszcze kolejnych sześć i namawiany przez rozchichotanych mniejszych Smithów, zadzwonił do Janet, by powiedzieć jej, żeby wezwała opiekunkę do dzieci, kupiła pizzę i przyjechała do nich. To, co początkowo uważali za obrazę moralności, okazało się zaledwie irytującą świadomością, że obserwują się nawzajem.

Janet oddzwoniła po dziesięciu minutach z wiadomością, że nie jest w stanie znaleźć ani jednej wolnej opiekunki, ponieważ wszystkie są zajęte w związku z masowym eksodusem na mecz hokeja. Harold przejął słuchawkę i poradził Janet, żeby wzięła ze sobą Catharine i położyła ją spać w łóżeczku w pokoju Henrietty.

Janet zjawiła się o siódmej trzydzieści, trzymając w jednej ręce dziecko, a w drugiej parującą papierową torbę. Była ubrana w długie futro z norek, które już od dawna znajdowało się w jej posiadaniu, ale rzadko go używała, ponieważ w Tarbox wyglądała w nim pretensjonalnie, a nawet komicznie. Pod spodem miała olśniewającą kreację: jedwabną, czerwono-pomarańczową bluzkę, obcisłe dzinsy przetarte na biało jak u nastolatki oraz białe buty do łydki, włożone na gołe stopy. Widząc ją tak odzianą w swoim długim salonie (niebieski, włochaty dywan podkreślał kolor jej zaróżowionych od zimna stóp, których podbicie było liliowobiałe, a pięty i przestrzeń między palcami pokryte pyłem), Harold poczuł niezwykle odprężenie i rozkosz. Nawet Marcia zdawała się poruszona faktem, że jej mąż miał kiedyś tak wspinałką kochankę. Frank podszedł do żony z troską, jak gdyby była kaleką albo dżinem, który w każdej chwili może rozplynać się w powietrzu.

Od siódmej do ósmej pili drinki. Między ósmą a dziewiątą położyli dzieci spać. Franklin junior, obawiający się zmoczyć prześcieradło, nie zgodził się spać w tym samym łóżku, co gardzący nim Jonathan. Położyli go więc w łóżeczku w pokoju Henrietty. Dla Catharine Appleby, o policzkach czerwonych jak ścianki bukłaka na wino, przyszykowali posłanie na



kawałku ceraty ułożonej na świętym małżeńskim łożu. Janet położyła się obok, by utulić ją do snu, a Marcia udała się do kuchni włożyć zimne pizzę do piekarnika. Harold przeczytał małemu Frankiemu jeden rozdział z albumu dla dzieci na temat minerałów, podczas gdy duży Frank obserwował, jak Jonathan z lekceważącym wyrazem twarzy mości się w pościeli z książką z serii Kryminały dla Najmłodszych, zatytułowaną *Niepożądany gość*. Od dziewiątej do dziesiątej dorosli jedli, od dziesiątej do jedenastej rozmawiali, od jedenastej do dwunastej tańczyli. Harold włączył starą płytę Elli Fitzgerald i pary zaczęły obracać się do *These Foolish Things, Youre the Top* i *I've Been Around the World*. Harold i Janet prześlizgiwali się gładko z boku, a Marcia z Frankiem zajmowali środek podłogi, z której wcześniej zabrali dywan. W przesuwanych szklanych drzwiach, wychodzących na bagna, było widać odbicia całej czwórki, przez co zdawało się, że na dworze odbywa się równoległa impreza; pary zbliżały się i oddalały od swoich sobowótów, przypominając kleksy na złożonej kartce albo zwiedzających w fioletowym oceanarium, którzy przybliżają twarze do szyb, by dojrzeć ryby i widzą wodniste cienie kobiet i mężczyzn.

Pozostająca prawie w bezruchu, Marcia obserwowała, jak dłoń Harolda śmiałym ruchem łapie w tańcu pośladki Janet. Ta z kolei kątem oka zauważyła, jak Marcia wtula się w sztywne objęcia Franka, podczas gdy ten szepcze jej coś do ucha. Jego przesiąknięta alkoholem twarz błyszczała. Jedną dłoń trzymał na plecach Marcii, a drugą wciśniętą między własną klatkę piersiową i jej podbródek. Janet zdawała sobie sprawę, podczas gdy uda Harolda ocierały się o jej uda, że Frank hipnotycznym ruchem głaszcze jednym palcem szyję Marcii, schodząc aż do piersi. Była to jedna z jego starych sztuczek. Harold obrócił gwałtownie Janet i kiedy znów spojrzała w tamtą stronę, Frank zaczynał właśnie rozpinać niemodną czarną sukienkę Marcii. Potem pod innym kątem Janet ujrzała na ustach przyjaciółki grymas okrucieństwa, który jak już wcześniej zaobserwowała, pojawiał się na twarzy Marcii, kiedy była bardzo zmęczona albo kiedy czuła się całkowicie swobodnie. Spoglądające poprzez pokój oczy Janet wydawały się Marcii ogromne, obejmujące całe pomieszczenie naraz, jak odbicie w szklanej ogrodowej kuli, w której mieści się cała okolica, skondensowana i zniekształcona. Delikatnym ruchem Frank rozpiął jej stanik i zsunął palec między jej piersi. Poczowała, że miękną jej nogi, że rośnie. *I've flown around the world in a plane* – Ella, fioletowy duch, krążyła nad nimi, śpiewając. *I've settled rev-o-lutions in Spain*. Janet, mająca zawroty głowy od bezustannego wirowania, poczuła, że pośród węzowego wicia i ocierania się coś popycha ją do tyłu, rosnący pagórek za rozporkiem. Pomyślała, że to smutne, że tych dwoje okrutnych ludzi spogląda teraz na Harolda jak na głupca, podczas gdy ona sam na sam z nim, w idealnym odosobnieniu, bez wahania wybaczyłaby mu bezczelne ruchy rąk na jej skórze. Obraz samej siebie rozrastał się w jej głowie, mleko, kurz i czerwień maków, aż po równoległe ułożone sekwojowe deski na suficie z wbudowanymi dyskretnymi regulowanymi światłami i Janet uznała, że matkowanie zawsze było jej specjalnością.

Dlatego to właśnie ona odezwała się jako pierwsza, kiedy muzyka przestała grać.

– Kręci mi się w głowie i jestem śpiąca. Kto mnie zabierze do łóżka?

Stojący pośrodku pokoju Frank się nie poruszył, natomiast Harold został u jej boku.

Zęby wygospodarować sobie miejsce, musieli poprzenieć dzieci. Catharine Appleby z rumianą, zaspaną buzią została ułożona w łóżku szczupłej, sześćioletniej Julii Smith; drzwi do pokoju Jonathana Smitha zamknięto (chłopiec spał przy włączonym świetle i z *Niepożętym gościem* leżącym okładką do góry na kołdrze), żeby nie doszły go żadne odgłosy z sypialni rodziców. Dwie białe sofy zepchnięto razem, tworząc w ten sposób drugie łóżko. Dla Janet powrót do domu między trzecią a czwartą rano byłby czymś równie osobliwym jak podróż do Sikkim albo wyprawa w peruwiańskie góry. Dziwaczne wydawało jej się owinięcie niczego nieświadomych dzieci w pożyczone koce i przeniesienie ich przez trawnik przed domem mniejszych Smithów do dwóch zaparkowanych tam samochodów; szeptane pożegnania i ostatnie pieszczoty przez ubranie, które po ponownym włożeniu

zdawało się sztucznym, sztywnym i prowizorycznym kostiumem; podążanie za tylnymi światłami samochodu Franka, poprzez dobrze znaną okolicę, wśród leżących tu i ówdzie kupek suchego, na wpół stopionego śniegu; wejście do opuszczonego domu z dziećmi na rękach, jak złodzieje z torbami pełnymi łupów; zasypianie obok nieznanego, obrzydliwego mężczyzny, który był też jej mężem; czucie między udami wilgotnego jeszcze nasienia, należącego do kogoś innego; przebudzenie się rano, by przekonać się, że poczucie obcości zniknęło. Pozostało jedynie coś nieuchwytnego w przepełnionych wdzięcznością oczach Franka i męczące podskakiwanie kolorów w rubryce z komiksami niedzielnego dodatku do gazety (a może po prostu był to nierówny druk).

Ten schemat krzyżowych kłótni i godzenia się, sprzeciwu i uległości, powtórzył się tej zimy jeszcze trzy lub cztery razy, podczas gdy w Turcji zderzyły się ze sobą samoloty, w Iraku i Togo przeprowadzano zamachy stanu, w Libii doszło do trzęsienia ziemi, na Wyspach Kanaryjskich ludzie tratowali się w popłochu, a w Ekwadorze zawaliła się kaplica, zabijając sto dwadzieścia dziewczynek i zakonnice. Janet zaczęła dokładniej czytać gazety, jak gdyby niewyraźne obrazy z życia innych ludzi, mogły pomóc uporządkować jej własne. Co ją gryzło? Pozostali troje byli całkowicie zadowoleni z układu, w jakim się znaleźli; religia z kolei nie odgrywała w jej życiu tak ważnej roli, żeby jej wpływem mogła usprawiedliwić swoją niewygodę i poczucie nieprawości (Janet odebrała wychowanie prezbiteriańskie; mimo iż jej ojciec hojnie wspomagał kościół finansowo, sam czuł się zbyt bogaty, by chodzić na mszę, jak człowiek, który zawstydziłby swoich służących, pojawiając się na ich przyjęciu). Janet podejrzewała, że Marcia, Harold i Frank, jako osoby, które ukończyły college, znali pewne sekrety i wykorzystywali tę wiedzę przeciwko niej. Czowała, że wyceniają jej ciało. Była ich zdobyczą. Kiedyś, kiedy podawała im po północy jajecznicę w swoim domu, w szlafroku narzuconym na koszulę nocną (wcześniej położyła się spać z bólem głowy i w złym nastroju, ale po godzinie przysłuchiwania się trzem śmiejącym się głosom wróciła na dół) i pochyliła się nad stołem z patelnią w ręku, Frank pogłaskał ją z jednej strony, Harold z drugiej, a Marcia się uśmiechnęła. Janet stała się ich pupilką, tematem rozmów. Nie byli w stanie zrozumieć, skąd się bierze jej poczucie klaustrofobii i oburzenia, i omawiali z nią jej „problem”, jak gdyby przez myśl im nie przechodziło, że to właśnie oni mogą go stanowić.

– Widziałas kiedykolwiek, jak twoi rodzice uprawiają seks? – spytał Harold, kiedy siedzieli przy skórzanym, stoliku całym w tłustych plamach.

– Nigdy. Najwyżej zamknięte drzwi do ich sypialni w niedzielne poranki.

– Droga Janet – powiedziała Marcia. – Biedna, droga Janet. Ubrana w sukienkę do szkółki niedzielnej, idąca na paluszkach przez długi, cichy hol i napierająca na zamknięte drzwi.

– Cholera – oburzyła się Janet. – Nigdy na nic nie napierałam, mów za siebie.

– Ach! – ciągnęła Marcia. – Jakie to musiało być frustrujące.

– Niegrzeczna dziewczynka – dodał Harold. – Naparła na mnie i upadłem na stertę prania.

– Bo wyglądałeś na strasznie przygnębionego. – Janet starała się nie rozplakać, bo wiedziała, że to ich tylko rozochoci.

– Zostawcie Jan-Jan w spokoju – wstawił się za nią Frank. – To wspaniała dziewczucha i matka moich dziedziców.

– Popatrz na Franka – zwróciła się do Harolda Marcia. – Znowu fantazjuje o dziedzicach.

Niezwykła bliskość ich stosunków narzuciła każdemu z nich specyficzną rolę. Marcia przyjęła postawę kobiety oschłej i błyskotliwej, choć tak naprawdę była poważna i szczerą, podchodzącą do życia raczej emocjonalnie i bez humoru. Spoglądając na nią, Janet widziała niewinnie złośliwe i znerwicowane dziecko.

– Nie musisz bronić Janet przede mną – powiedział Harold Frankowi. – Ja ją kocham.

– Pożadasz jej – poprawiła go Marcia. – Wysysa to z ciebie całą energię.

Twarz Harold błyszczała od alkoholu, a jego podwójnie zakończony nos lśnił w świetle lamp.

– Jest do cholery najbardziej uroczą d...

– Dupą – wpadła mu w słowo Marcia, szukając papierosa w zgniezionej paczce.

– ...dziewczyną, jaką miałem – dokończył Harold i po chwili dodał: – Poza związkiem małżeńskim.

– Odrzućcie śmiech i żarty grube – powiedział Frank. – Uczcijcie rogi, rogi lube.

Janet zauważyła, że jego również przygnębia ta rozmowa.

Natomiast Harold nie zamierzał się odczepić.

– Twoje pierwsze doświadczenia z chłopcami w krzakach były interesujące czy nieprzyjemne? *Intéressant ou désagréable?*

– Nie oddawałam się wiejskim chłopcom w krzakach – powiedziała Janet. – Byłam na to zbyt bogata i otyła.

– My nigdy nie byliśmy tak naprawdę bogaci – oznajmiła Marcia. – Po prostu przyzwoita rodzina. Uważałam ojca za świętego.

– Świętego Sofę – dodał Harold.

– Ja uważałam – powiedziała Janet, którą temat zainteresował i przez chwilę miała nadzieję, że może się czegoś od nich nauczyć – mojego ojca za słabego przeciwnika. Matka robiła z nim, co chciała. Zawsze była piękną kobietą i nigdy nie dbała o linię. Nawet kiedy już sporo utyła, nadal uważała się za piękność. Nazywała mnie swoim brzydkim kaczątkiem. Mówiła mi „Nie rozumiem. Twój ojciec to taki przystojny mężczyzna”.

– Powinnaś opowiedzieć o tym psychiatrze – poradziła jej Marcia, z niezamierzonym wyrazem sympatii na twarzy.

– Nie ma potrzeby, kiedy my jesteśmy na miejscu – stwierdził Harold. – *Pas de besoin, avec nous ici.* Najwyraźniej nigdy nie było jej dane wypracować sobie drogi od homoseksualnej miłości do matki do heteroseksualności. Pierwsza rzecz, w jakiej się zakochujemy, to pierś rodzicielki. Naszymi pierwszymi podarunkami dla drogich nam osób są balaski, niemowlęce balaski. Jej ojciec produkuje środki przeczyszczające. Janet, to takie oczywiste, dlaczego nie chcesz z nami spać.

– Ze mną sypia – zapewnił Frank.

– Nie chwał się – powiedziała Marcia, a jej zazdrość, skryta pod maską oschłości, podniosła w oczach Janet wartość Franka.

Spojrzała na niego ponad okrągłą tratwę, na której tłoczyły się puste szklanki i karafki, jak na ocalałego z katastrofy towarzysza niedoli, spalonego słońcem i na wpół obłąkanego od picia słonej wody.

– Zawsze musisz wszystko popsuć – rzucił nagle w jej stronę. – Nie rozumiesz, że wszyscy cię kochamy?

– Nie lubię ryzykownych gier – oznajmiła Janet.

– Czy kiedy byłeś dzieckiem – spytał Harold – rodzice pozwalali ci się bawić w błotku, czy może miałaś nianię czyścioszkę?

– Niania czyścioszka – powiedziała Marcia. – Jak to głupio brzmi.

– O jakim ryzyku mówisz? – Frank zwrócił się do Janet.

Jego znajdujące się w nieładzie ubranie, pijacki głos i czerwone oczy świecące w dużej głowie przestraszyły Janet, mimo że już prawie od dziesięciu lat co noc kołysała go do snu, swojego Minotaura.

– Zróbmy to! – krzyknął. – Wszyscy w jednym pokoju! Twoją białą owieczkę tryka czarny baran!

Harold odetchnął znacząco przez nos.

– Widzisz – powiedział do Janet. – Oziębłością doprowadziłaś męża do szaleństwa. Czuję, że zaraz rozboli mnie głowa.

– Uczłowieczmy się nawzajem – poprosił Frank.

Marcia wystąpiła przeciwko niemu.

– Nie cytuj Freddy’ego Thorne’a. Sądziłam, że masz dla siebie więcej intelektualnego szacunku.

Jednakże to właśnie Freddy Thorne zauważył, że nad całą czwórką zbierają się czarne chmury i postanowił obrócić sytuację na własną korzyść.

– Słyszałem, że w Applesmithsville zagnieździł się wąż – powiedział Janet.

– A gdzie to jest?

Siedzieli na kanapie w jej domu, gdzie właśnie odbywało się powitalne przyjęcie na cześć Whitmanów. Janet rozpraszał fakt, że była gospodynią; wydawało jej się, że jest potrzebna w kilku miejscach naraz. Piet Hanema leżał pod schodami i kiedy Foxy Whitman wracała z łazienki, zajrzał jej pod sukienkę. Powinna wziąć Foxy na bok i wytłumaczyć jej zachowanie Pieta.

– Tu i tam, wszędzie – odparł Freddy, próbując zwrócić na siebie jej uwagę. – Cały świat to Applesmithsville.

W rogu, obok półek z seriami wydawniczymi w jednakowych okładkach, siedział John Ong i z wyrazem uprzejmości i napięcia na swej twarzy o nieokreślonym wieku słuchał drobiazgowej paplaniny Bena Saltza. Janet uznała, że potrzeba tam kobiecej interwencji, ale na myśl o tym przysunęła się bliżej do szepczącego jej do ucha Freddy’ego Thorne’a. Czemu wygląda, jakby był pozbawiony zębów, jeśli jest dentystą?

– Zabawiają się twoim kosztem, Jan-Jan – oznajmił jej. – Obsługujesz dwóch ogierów, podczas gdy Marcia siedzi w siodle.

– Oszczędź mi swoich wulgarnych fantazji, Freddy – powiedziała Janet, naśladując Marcję. – Wbrew temu, co wszyscy myślą, nigdy nie spałam z Haroldem. Rozmawialiśmy o tym, ale w końcu uznaliśmy, że mogłoby to doprowadzić do niepotrzebnych komplikacji.

– Jesteś piękna – powiedział Freddy. – Uwielbiam sposób, w jaki patrzysz mi prosto w oczy, opowiadając te bzdury. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, ale masz w sobie to „coś”. W przeciwieństwie do pozostałych pizd. Marcia tego nie ma, ale bardzo się stara to udawać. Bea z kolei pomaga sobie alkoholem. Angela stara się być ponad to. A ty nie musisz nic robić. Bądź tak dobra i nie wciskaj bujd staremu dobremu Freddy’emu.

Janet się roześmiała; jego słowa były jak słodkawy płyn do płukania ust, stojący obok fotela dentystycznego, pyszne, ale nie do przełknięcia.

– A Georgene? – spytała. – Czy ona to ma?

– Nie czepiaj się jej, bo w tenisowej spódniczce wygląda całkiem nieźle. Pieprzy się i potrafi gotować, więc co mi tam. Przecież się nie oświadczam.

– Nie zmuszaj mnie, bym zraniła twoje uczucia.

– Chcesz się wycofać?

– I tak, i nie. Mam do tego stosunek, jak to się mówi, aberracyjny?

– Ambiwalentny. Androginiczny. Ambiwandrogeracyjny.

– Dobrze się bawimy w towarzystwie Smithów, tylko siedząc i rozmawiając. Ani ja, ani Frank nie mieliśmy wcześniej naprawdę bliskich znajomych. Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie zwykłej przyjaźni, prawda?

Freddy poklepał się po błyszczącej łysinie, a potem potarł ją energicznie w nagłym przyływie radości.

– Między nami mówiąc, nie jestem w stanie. Podobne uczucia żywi ryba wobec innej ryby, którą właśnie spożywa. Jeśli chcesz się wydostać z tej sytuacji, pomogę ci. Miej ze mną mały romans, a ten cały cyrk, który musisz znosić, spakuje manatki i wyniesie się z miasta. I znowu będziesz panią samej siebie.

– Co dla ciebie oznacza „mały”?

– Och – Freddy ścisnął dłońmi niewidoczny akordeon – taki, jak potrzeba. Coś za coś. Jak się nie uda, to trudno. Butelka bez kaucji, kochaniutka.

– Czemu mi to proponujesz? Przecież wcale ci się tak bardzo nie podobam. To Angela jest

obiektem twoich marzeń.

– Po pierwsze, nie jest, po drugie, podobasz mi się, a po trzecie, lubię pomagać bliźnim. Wydaje mi się, że jesteś na skraju paniki i nie chciałbym być świadkiem tego, jak w nią wpadasz. Jesteś na to zbyt ostrą babką. Ubrania za dobrze na tobie leżą. Tak przy okazji, masz na sobie dzisiaj śliczną sukienkę. Jesteś w ciąży?

– Nie bądź niemądry. To empirowy krój.

– Czy nie byłoby okropnie wpaść i nie wiedzieć, kto jest ojcem? Hej, bierzesz pigułkę?

– Ta rozmowa przestaje mi się podobać, Freddy.

– Dobrze, już dobrze. Niech się dalej kisi. Ryzyk fizyk, jak powiedział Chruszczów, rozmieszczając rakiety na Kubie. W każdym razie daj znać, gdybym ci się mógł do czegoś przydać.

– Dziękuję, Freddy. Miły z ciebie facet. – Janet poczuła wyrzut sumienia i dodała: – Tak.

– Co tak?

– Tak, w odpowiedzi na twoje pytanie. Biorę pigułkę. Marcia jeszcze nie. Boi się dostać raka.

Freddy uśmiechnął się złośliwie i ułożył kciuk i palec wskazujący w kółko.

– Złota z ciebie dziewczyna – powiedział. – Jedna z ostatnich.

Przyłożył kółko do ust i pomachał w nim językiem.

Janet zaczęła poważnie rozważać jego propozycję. Nie wydawała jej się ona już tak nieprawdopodobna, kiedy przedzierała się przez imprezowe zamieszanie. Freddy wiedziałby, jak się zachować. Marcia, Frank i Harold byliby zbulwersowani. Niewybaczalnie uraziłaby dumę Harolda. Miłość goni miłość. Takie rzeczy się zdarzają. Piet obściskał się z biedną Beą Guerin. Frank wił się groteskowo w tańcu (jego trawienie!) naprzeciw Carol Constantine. Siedzący na sofie Eddy demonstrował Bernadettę kolistymi ruchami rąk schemat ruchu powietrznego nad LaGuardią i Idelwild; tłumaczył, dlaczego turbośmigłowce i prywatne samoloty są sprowadzane na ziemię wcześniej niż odrzutowce, piękne nowe 707 i DC-8, a także dlaczego za każdym razem po wprowadzeniu nowego komercyjnego samolotu kilkuset pasażerów zostanie zabitych w wyniku pomyłki pilota oraz dlaczego mewy i szpaki nad Logan stanowią szczególne zagrożenie; w końcu jego wąska, porośnięta kręconymi włosami głowa opadła na jedwabiste ramię słuchaczki; wyglądało na to, że Eddy zasnął. Honorowi goście nie mogli się jakoś wczuć w atmosferę. Foxy miała mdłości, więc Whitmanowie udali się wcześniej do domu. W końcu zostali już tylko mniejsi Smithowie i cała czwórka usiadła przy okrągłym stoliku, dopijając resztki alkoholu.

– Nie wydaje ci się, że Freddy wyglądał dziś szczególnie pociągająco? – Janet spytała Marcję.

Marcia się roześmiała; długie kolczyki rzucały na jej twarz krótkie błyski.

– Mój Boże, oczywiście, że nie. Spytał mnie, czy czuję się szczęśliwa w Applesmithsville.

– I co odpowiedziałaś?

– Zachowywałam się lodowato, i w końcu dał mi spokój. Biedna Georgene.

– Mnie też o to spytał. Tak właściwie – Janet nie była pewna, czy to najlepsza taktyka, ale likier, którym się właśnie raczyła, dodał jej animuszu – to spytał, czy nie chciałabym mieć z nim romansu.

– Co za prostak – prychnął Frank.

Brandy szkodziła mu najbardziej, a popijał już trzecią szklanekę. Harold w zamyśleniu kręcił kieliszkiem z koniakiem.

– Po co nam to mówisz? – spytał.

– Nie wiem. Bardzo mnie zdziwiło, że nie wydało mi się to od razu złym pomysłem. Od czasu, kiedy wypadły mu wszystkie włosy, stał się całkiem przystojny.

– I dość bezpośredni – dodała Marcja, sącząc anyżówkę.

– To obrzydliwe, Janet – poskarżył się Harold. – Jak możesz zarzucać tym *merde* trójkę

uwielbiających cię osób?

– Ja ją uwielbiam tylko w połowie – sprostowała Marcia.

– Dwie i pół osoby – poprawił się Harold. – *Deux point cinq.*

– Nie wiem – powiedziała Janet. – Chyba chcę, żeby ktoś mnie przekonał, że to zły pomysł. Nie rozumiem, dlaczego Harold i Frank wyglądają na urażonych. W ten sposób może dołączyć do nas jeszcze Georgene. Czy nie potrzebujemy nowej krwi? Wydaje mi się, że już z sześćdziesiąt razy powiedzieliśmy sobie to, co mieliśmy sobie powiedzieć. Wiemy wszystko o wrzodach Franka i o tym, że jego ojciec ich uniknął, ponieważ zaczął wnikliwie studiować historię Chin, i że Szekspir nie działa równie skutecznie jak Chiny, możliwe, że jest zbyt cierpki. Osobiście polecam maaloX. Wiemy też o tym, że ojciec i dziadek biskup byli dla Marcii świętymi, a także to, że nie znosiła Long Island i że teraz uwielbia mieszkać tutaj, z dala od tych wszystkich nudziarzy, którzy nic tylko grali w badmintona, popijając martini z oliwką. Wiemy też o prostytutkach Harolda i o kolorowej dziewczynie z St. Louis, i o tym, że żadna z nas nie jest równie dobra...

– Jeśli zaczniesz kręcić z Freddym – odezwał się Frank, kipiąc groźnie – to usłyszysz ode mnie: „Idź do klasztoru”. Rozwiódę się z tobą.

– Ale wtedy – ciągnęła spokojnie Janet – wszyscy by się o nas dowiedzieli. Jak śmiesznie by to wyglądało w gazetach. Ciężko wytłumaczyć innym pewne rzeczy, które między przyjaciółmi są tak oczywiste.

– Dla mnie to oczywiste – powiedział jej Freddy Thorne tydzień później, kiedy zostali sami w kuchni pod koniec imprezy u Guerinów. – Nigdy nie kochałaś Harolda. Zaczęłaś z nim romans, żeby wyrównać rachunki z Marcją.

Kilka dni wcześniej Janet miała wizytę dentystyczną i w przerwach między zabiegami Freddy wyciągnął z niej całą historię.

– Freddy, skąd możesz to wiedzieć? – spytała, częstując się kawałkiem selera z serkiem śmietankowym. – Myślisz, że potrafisz każdego rozszyfrować? Kiedy jesteśmy sami, Harold jest naprawdę wspaiały. Czasami jest nieodparcie czarujący.

– Jak każdy. – Freddy wzruszył ramionami. – Oporność jest funkcją prostą kobiecej decyzji, by sprzeciwić się lub nie.

Pocił się za grubymi szklami, które pomniejszały mu oczy. Freddy miał problemy ze wzrokiem. Jakiś czas temu zainstalował urządzenie rozpylające wodę i podczas wizyty Janet musiał co chwilę przecierać okulary.

– Freddy – powiedziała – nie lubię, kiedy ktoś się wtrąca w moje sprawy i mówi mi, co mam robić. Najpierw musisz się z kobietą zaprzyjaźnić.

– Jesteśmy przyjaciółmi, od kiedy przeprowadziliście się do Tarbox.

Pogłaskał jej ramię, z którego zsunęła się czarna koronkowa bluzka. Z drugiego pokoju dochodził drżący blask świec i głosy pozostałych gości.

– Po zastanowieniu twierdzą, że nie zaczęłaś romansować z Haroldem, żeby dopiec Marcji, ale żeby zrobić im przyjemność, przypodobać się. Jak na taką ekstrababkę, która jest na dodatek bogata, masz cholernie mało pewności siebie.

– Jak na krótkowzrocznego idiotę, który jest na dodatek dentystą, masz cholernie dużo pewności siebie. Tak przy okazji, przestań podrywać tę Whitman. Ona jest w ciąży.

– Niech jej będzie chwała. Potrzeba nam ludzi, by wypełnić nimi amerykańskie łodzie podwodne. Ona jeszcze o tym nie wie, ale tak naprawdę lubi się zabawić. Kobiety o błyszczącej cerze są wspaiałe w łóżku. Ich serca szybciej biją.

– Ale z ciebie sukinsyn – powiedziała Janet, której skóra, pomimo iż niezwykle blada, była raczej szorstka i matowa.

Później jednak musiała przyznać Freddy’emu rację – wzajemna grzeczność stała się nieodłączną częścią sytuacji, w jakiej znalazła się cała czwórka. Applesmithowie przekroczyli granicę, poza którą ich potrzeby zlewały się w jedno i ogólna uprzejmość zastępowała

indywidualne pragnienia. Kobiety sypiały z obojgiem mężczyzn z litości, udostępniając sobie nawzajem mężów ze słabnącą i rozpacziwą hojnością. Kuriozalne poczucie taktu i pomieszane troski sprawiały, że w domach obu par panowała niezdrowa atmosfera, jak w szpitalu. Franka i Harolda bezustannie paraliżowała nawykowa żądza; Janet i Marcia, w okresach pomiędzy gwałtownymi kłótniami zachowywały się wobec siebie z uprzejmością i ostrożnością dwóch pozbawionych twarzy pacjentów na oddziale urazowym.

W następnym tygodniu miała się stawić na wymianę porcelanowego wypełnienia i Freddy dzwonił do niej codziennie w południe, proponując, by poszła z nim do łóżka. Nigdy jednak nie precyzował, gdzie by się to miało ewentualnie odbyć, nie próbował też wyznaczyć konkretnej godziny; Janet zrozumiała w końcu, że tak naprawdę Freddy nie pożąda jej fizycznie, satysfakcjonuje go czysto werbalna intymność, zwyczajne gadanie. Tymczasem Harold błagał ją, by do niego wróciła. Postarał się nawet o klucz do jakiejś kawalerki na Beacon Street, która przez cały dzień stała pusta. Ciekawa, jak żyją kawalerowie, Janet udała się tam z nim w piątek przed weekendem, w który Piet złamał Freddy'emu mały palec. Od pierwszego momentu zdała sobie sprawę, że mieszkańcami są homoseksualiści. Meble były zbyt dobrze dobrane; przeważała gięta wiklina i pomarańczowy aksamit. Jeden z mężczyzn malował, a raczej wykonywał kolaże z wyciętych z gazet reklam i wojennych nagłówek, wypchnionych golasów o opalizujących pachach, zbombardowanych wiosek, gdzie leżały zakrwawione ciała, zielonych znaczków, zdjęć Roberta McNamary, ślicznych modelek w prążkowanych pasach i rysunków armat, przyklejonych do krocza rozmaitych postaci. Wszystko to razem wyglądało brzydko i odstręcająco, jednak sam pokój nie sprawiał złego wrażenia, a magnolie na południe od Beacon zaczynały już kwitnąć. Harold był uprzejmy, nieśmiały, ojcowski, rozmarzony, wzruszający. Pozwoliła, by zsunął z niej ubranie, i szybko doszła razem z nim, a potem, po papierosie i kieliszku wina, pozwoliła mu dojść po raz kolejny, zebrać całą siłę w kroczu i zanurzyć się bezboleśnie w jej wewnętrznej obfitości. Trzęsąc się, jak gdyby go biczowano, lizał jej powieki i ssał palce u stóp, jeden po drugim. To było niesamowicie zabawne uczucie. Następnego dnia, w sobotę, Janet napisała do Freddy'ego list:

*Mój drogi Freddy,*

*Chciałam podziękować za troskę. Szczerze. Ale bardziej niż kiedykolwiek jestem przekonana, że moja przyszłość należy do Franka. Dlatego musisz przestać do mnie dzwonić. Od jutra za każdym razem, kiedy usłyszę Twój głos w słuchawce, rozłączę się. Czy możemy pozostać w przyjacielskich stosunkach? Proszę, wolałabym nie zmieniać dentysty, ty masz całą moją dokumentację.*

*Z wyrazami czułości,*

*J.*

Wysłała list do gabinetu, który mieścił się na Divinity Street, w budynku podobnym do wiejskiej chaty. Freddy otrzymał go w poniedziałek i przeczytał, uśmiechając się; nie był zawiedziony. Rozważał zniszczenie listu nad palikiem gazowym w laboratorium, ale że w jego posiadaniu nie znajdowało się wiele tego typu miłosnych pamiątek, wrzucił kopertę do kosza na śmieci, a list włożył do kieszeni marynarki. Tego samego wieczoru odnalazła ją Georgene, podczas gdy Freddy popijał w klubie Lions. Następnego dnia Georgene opowiedziała Pietowi o swoim zdenerwowaniu, na zawsze go do siebie zrażając.

Tak więc Foxy po części się myliła, a po części miała rację co do Janet. Przeceniła swobodę jej zachowania i możliwości seksualne Freddy'ego Thorne'a. Mimo że wydawał się wrogo nastawiony wobec kobiet, w rzeczywistości starał się zawrzeć z nimi przymierze. Jednakże nadejście lata sprawiło, że Foxy na jakiś czas zupełnie zapomniała o domysłach na temat życia miłosnego innych; wymiotło ją w pewnym sensie na otwarte morze, skąd pary na

plaży w Tarbox wyglądały jak sznurek kolorowych koralików.

Piet Hanema został wyproszony z pokoju i po chwili zastanowienia zdecydowali, że będzie Ho Szi Minem. Frank Appleby upierał się przy Casanovie, ale Irene powiedziała, że nie można wybierać postaci fikcyjnych. Frank odparł, że Casanova był równie prawdziwy jak każdy z obecnych, ale nikomu poza nim ta postać nie odpowiadała. Irene zaproponowała wiceprezydenta Johnsona, ale uznano, że to zbyt drętwe. Wtedy Terry Gallagher wymyśliła Ho Szi Mina, co spodobało się wszystkim. Brawo, Terry! Od kiedy dostała lutnię, ożywiła się nieco. Uczłowieczyła się. Przez całą wiosnę miała lekcje gry na lutni u starszej pani z Norwell. Długie czarne włosy częściej nosiła rozpuszczone, a jej usta miały wysoko uniesione kąciki, jakby trzymała w nich monetę albo cukierka. Spoglądając na nią, Eddie Constantine zaproponował, żeby Piet był Joan Baez, ale pozostali opowiedzieli się za Ho Szi Minem. Georgene podeszła do schodów, by zawołać Pieta na dół.

Była to ostatnia sobota czerwca. Ściśnięte rozki w kolorze wina na gałęziach bzu, które Piet zauważył, zatrzymując się przed domem Foxy Whitman, rozkwitły wraz z nadejściem pierwszego ciepłego tygodnia maja. Przywodziły na myśl papieską infułę (najpierw kolor lawendowy, później bardziej święta biel, skryta między zwyczajnymi zielonymi liśćmi w kształcie serca). Drobne kwiatki powoli traciły kolor, aż w końcu wyschły zupełnie i niczym wianek panny młodej wisiały przy drzwiach garaży i wzdłuż podjazdów, pokryte kurzem. Strzała, najpiękniejsza z konstelacji, unosiła się w bezruchu między Łabędziem a Orłem – wielkimi samolotami z klejnotów, pilotowanymi przez Deneba i Altaira. Droga Mleczna rozciągała się jak sznur z praniem na zbielełym od upału niebie. Nieliczne, niemrawe imprezy, towarzyskie chwasty, wyrastały od czasu do czasu, w ramach zapełniania jasnych nocy, dłuższych po przejściu na czas letni. Na przyjęciach stawiały się tenisowe niedobitki, spalone słońcem połówki par; jedzono salami, zamówioną pizzę, popijano napój cytrynowy, a pojedyncze zapomniane dzieci zasypiały, kołysane do snu niebieskim migotaniem ekranu telewizora. „Tryumfalna jak dotąd podróż Kennedy’ego po Europie Zachodniej weszła w fazę spokojniejszych nieco rozmów w Sussex, w Anglii...”

Saltzowie, miłośnicy obserwowania ptaków i pieszych wycieczek, zachowujący się tak, jak gdyby natura była przedmiotem, który należy wkuć, udali się o zmierzchu na plażę, żeby przyjrzeć się brodzcom i popływać. Uczulona na słońce Irene w południe wychodziła z domu ubrana w ochronny kapelusz z opadającym rondem i koszulę z długimi rękawami, a w morzu pływała dopiero pod wieczór. Przy skalach dalej napotkali całą rodzinę Hanemów i Whitmanów. Ken lubił pływać z maską i rurką, a Ruth i Nancy były zafascynowane jego sprzętem. W tym miejscu plaża opadała wystarczająco stromo, by móc swobodnie nurkować. Piet, w masce i płetwach, dawał lekcję Ruth, podczas gdy niecierpliwa i zazdrosna o siostrę Nancy płakała. Ken i Angela stali obok siebie, wyglądając jak para bogów, niezniszczalnych, bez trosk, wpatrzonych w linię horyzontu, na której rozgrywały się regaty; białe spinakery było doskonale widać. Foxy ubrana w cytrynowożółty ciężowy kostium z falbanką leżała na plecach na płaskim kamieniu. Miała zamknięte oczy i uśmiech na twarzy. Irene pozazdrościła im wszystkim szczęścia i swobody pod tym samym słońcem, które u niej wywoływało bolesną wysypkę. Cała szóstka siedziała na plaży od południa. Irene spontanicznie zaprosiła ich do siebie na drinka, mając niewielką nadzieję na nakłonienie Foxy, samolubnie niezaangażowanej, do wzięcia udziału w którymś ze słusznych przedsięwzięć (nauczaniu przedszkolnym, sprawiedliwej polityce mieszkaniowej lub ochronie gleby). Saltzowie mieszkali w pobliżu parku, w wąskim domu z azbestowym dachem, który było widać z okien Constantine’ów. Kiedy sąsiedzi zobaczyli zaparkowane samochody, również wpadli z wizytą. Przyprawdzili też z sobą Terry Gallagher. Carol, która uczyła się baletu, szycia, wyplatania i malarstwa, grała również na gitarze i tego lata obie kobiety często się spotykały, by grać w duecie. Ulegając namowom Eddy’ego, Ben zadzwonił do Applebych, do których wpadli



akurat mniejsi Smithowie i Thorne'owie, i teraz wszyscy razem raczyli się zamówionym jedzeniem. Połowa z nich – Frank, Marcia i Georgene – zjawiała się po jakimś czasie u Saltzów. Było już po ósmej. Nim słońce zupełnie zaszło, Eddie zabrał Angelę skuterem do włoskiej knajpy na drodze numer 123 i przywieźli pięć pizz. Wróciwszy do wąskiego salonu Saltzów, Angela wyglądała wspaniale, zarumieniona od wiatru oraz ze strachu i wysiłku, bo musiała trzymać poziomo pudełka z pizzerii. Wokół bioder miała obwiązany wilgotny ręcznik, osłaniający jej mokry kostium kąpielowy, a kiedy pochylała się, by ugryźć kawałek pizzy, Piet widział jej sutki. Jego żona. Miejsce, które ssał. Nie przewidziawszy, że impreza tak się przeciągnie, przyprowadzili ze sobą dziewczynki. Ruth, której już łzawiły oczy, oglądała telewizję ze starszym z synów Saltzów, Bernardem, a Nancy zasnęła w pokoju Jeremiaha. Irene uwielbiała zabawy w słowa. O jedenastej trzydzieści, kiedy Ken Whitman przyglądał się z napięciem swoim sznurówkom, Frank Appleby przewracał oczami z powodu niestrawności, a Janet zdążyła zadzwonić już dwa razy, by upewnić się, czy jej mąż i Marcia nie udali się gdzieś samotnie, oraz by spytać, w jaki sposób ma wyprosić z domu Freddy'ego Thome'a, pozostali zdążyli zagrać już cztery razy w „duchy”, dwa razy w „prawdę” i trzy razy w „botticellego”. Zostały im jeszcze „skojarzenia”. Eddie Constantine wyszedł jako pierwszy, a Burl Ives zaledwie po jednej niepoprawnej odpowiedzi, odgadł, że jest nieżyjącym papieżem Janem XXIII. Georgene namęczyła się trochę dłużej, by zgadnąć, że jest Altheą Gibson. Następny zgłosił się Piet, ponieważ musiał iść do toalety i chciał przy okazji zajrzeć do Nancy („Nigdy nie dorosnę i nigdy w życiu nie umrę”. Jej włosy były splątane i sztywne; kostium kąpielowy, który zadarł się jej w czasie snu, odsłonił księżycowe połówki usianych piaskiem pośladków. Piet ubolewał nad ciałem dziecka, ale światło z dołu trzymało go bezsilnego na miejscu. „Spij. Wybacz nam w swoim śnie”). I zrobili z niego Ho Szi Mina.

Będąc u stóp schodów i spoglądając prosto przed siebie, klepnął Georgene w bok na pamiątkę dawnych czasów. Wszedł do salonu; miał na sobie sweter i spodni kąpielowe w szkocką kratę; jego rozpląszczone na podłodze stopy wyglądały na pokryte guzkami; Foxy zauważyła też, że jego łydki otaczało coś w rodzaju futrzanej aureoli.

- Jakim rodzajem krajobrazu jestem?
- Dżunglą – powiedziała Georgene.
- Polami ryżowymi – rzuciła Marcia, mniejsza Smith.
- Rozdartym – dodała Terry Gallagher.
- Rozdarty krajobraz?
- Może chodzi mi o spacyfikowany.

Angela zamknęła oczy.

– Widzę świątynię, z czerwonymi kolumnami i bożkiem z utraconą głową, wszystko zarośnięte pnączami. Na szerszej części jednego z ud posągu ktoś robił matematyczne obliczenia kredą.

– Gorąca wizja – stwierdził Eddie Constantine.

– To niesprawiedliwe, para posługuje się percepcją pozazmysłową – zaprotestowała Georgene, wysuwając podbródek.

– Ktoś jeszcze? – spytał Piet. – Foxy? Ken?

– Ja z jakiegoś powodu mam przed oczami pejzaż Indiany – odezwał się Ken.

Wszyscy się roześmiali poza Foxy, która pokiwała głową.

– On ma rację. To raczej jakieś spokojne, szare i zwyczajne miejsce. Oregon? Dakota Południowa?

– Chyba Północna – powiedział Frank Appleby.

– Bez podpowiedzi – zaprotestowała Carol Constantine.

Siedziała na podłodze w pozycji osoby, która coś plecie, modli się albo gra w „monopol”. Nogi miała schowane pod liściem krótkiej zielonej spódniczki, z której jej tułów wyrastał jak

łodyga. Była niezwykle cienka w talii i gibka, a jej dziurki od nosa, długie szparki, zdawały się nieustannie wciągać powietrze.

– Jaki kwiat? – spytał Piet.

– Mak.

– Mak.

– Storczyk. Purpurowa orchidea – podrzuciła Irene Saltz.

– Purpurowa orchidea w cieniu olbrzymiego chińskiego tulipanowca – powiedział Frank Appleby.

– Frank chyba nie rozumie, na czym polega gra – zwróciła się Carol do Marcii. – Ciągłe podpowiada.

– Ja znowu widzę coś szarego. – Foxy zmarszczyła brwi. – Jemioła.

– Ciągłe upierasz się przy szarości – rzucił trochę ostrym tonem Piet i spojrzął na Kena. – Kwiat?

– Rumianek pospolity – odparł Ken, chyba odrobinę nieprzyjaźnie, wpatrując się we własne stopy. Powiedział to specjalnie?

– Każdy kwiat i żaden – odezwała się Angela. – Pojedyncza lilia wręczona żonie majora przez dziecko podczas uroczystości.

– Zwiędła gardenia w kłapie kelnera – powiedziała Terry Gallagher i uśmiechnęła się szeroko, gdyż wszyscy zaczęli prześcigać się w pochwałach. Czuli, że ożywa, przygotowuje się do rozkwitu.

– Oset – powiedziała Georgene. – Oficjalnie rzecz biorąc.

– Nie potrafię nawet stwierdzić – poskarżył się Piet – czy lubicie tę osobę, czy nie.

– Jak sądzisz, jakiej jest płci? – spytała Carol.

Jej twarz, chociaż opanowana i gładka, świadczyła o kłótności – w okolicach nozdrzy i poniżej wydętej dolnej wargi wydawało się, że widnieje ciemna smuga. Piet zauważył, że przedłużała linię powiek za pomocą cieni, i zdał sobie sprawę, że jej oczy są raczej niewielkie i blisko osadzone, tak blisko, że momentami jej sztywne dostojeństwo przypominało zachowanie kogoś z zezem. Poczul się lepiej, fascynacja osłabła. Włosy Carol były brązowoszare, bez wyrazu i spięte w kitkę, na którą była już za stara.

– To mężczyzna – odparł Piet. – Ale nie ma to chyba większego znaczenia. Jego męskość nie jest dla niego powodem do dumy.

– A dla kogo jest? – spytała chłodno Carol.

Piet się zaczerwienił.

– Jaki... jaki okres w malarstwie?

– Secesja – rzuciła szybko Angela.

– Malarstwo jaskiniowe – wpadła jej w słowo Foxy.

Frank Appleby przewrócił oczami i jęknął.

– Jedyne, co przychodzi mi na myśl, to coś, co znowu zdenerwuje Carol.

– Co takiego? – spytała Carol.

– Sowieckie plakaty.

– Nie. – Carol wzruszyła ramionami. – To mi nie przeszkadza. Nie najlepiej, ale może być.

– Od kiedy jesteś arbitrem? – spytała ją Irene Saltz.

– Ilustracje z medycznych podręczników – powiedział stanowczym głosem Ken Whitman – z przezroczytymi przekładkami z ryżowego papieru.

– Nieźle – pochwalił go ktoś uprzejmie.

– Komiks *Terry i Piraci*<sup>6</sup> – dorzucił Eddie Constantine.

– Przykro mi, ale uważam, że wszyscy jesteście beznadziejni – westchnęła Carol. – To zdecydowanie Yves Tanguy. I może jeszcze Arshile Gorky.

---

6 *Terry and the Pirates* – ukazująca się od 1934 roku historyjka obrazkowa, opowiadająca o losach amerykańskiego chłopca, który przybywa do Chin.

– To dramaturg – poprawił ją Frank.  
– Chodzi ci o Maksyma – odparła.  
– Kim był Maksym Alny? – spytał niewinnie Ken, pamiętając, że niektóre z jego kalamburów wywoływały wesołość.

Foxy się skrzywiła.

– Żydowskim zwolennikiem ekspansjonizmu – powiedział Eddie. – Oj, bez obrazy, Benie.  
– Jeszcze jacyś malarze albo okresy w sztuce? – spytał spokojnie Piet.  
– Nie sądzę – powiedziała Marcia – by coś ci to pomogło. Zbyt dosłowne te skojarzenia.

Postaw przed nami jakieś wyzwanie.

Piet zrozumiał, że Frank zaczyna się nudzić.

– Jaką sztuką Szekspira jestem? – spytał więc.

Frank przez chwilę obracał pytanie w myśli.

– *Antoniusz i Kleopatra* – oznajmił, pokrępiając się łykiem brandy. – Z punktu widzenia Oktawiana.

– A co z *Tytusem Andronikusem*? – podpowiedziała usłużnie Marcia.

– Za dużo zamieszania – odparł Frank. – Ten człowiek jest wydajny.

Foxy Whitman (po drodze wstąpiła do domu, by przebrać się z ciężowego kostiumu w bardziej twarzową luźną sukienkę w kolorze kanarkowym, która ukrywała nieco jej zaokrągloną sylwetkę) starała się zwrócić na siebie uwagę.

– A może *Otello*, w którym Jago ma rację?

– On zawsze ma rację – powiedział Frank i ryknął śmiechem.

Ben podniósł się z miejsca z wyrazem zmęczenia na twarzy.

– Ktoś chce jeszcze piwa? – spytał. – Brandy? Mamy mnóstwo dzinu, ale skończył się napój cytrynowy.

– Za długo się zastanawiasz – skrytykowała Pieta Georgene. – Dajemy ci piękne odpowiedzi, a ty je lekceważysz.

– Jesteście wszystkie takie ładne, że nie mogę się skupić. Ciągle myślę o medycznym podręczniku Kena.

– Nie bierz go pod uwagę – powiedziała Foxy.

– W porządku. Jakim jestem napojem?

– Herbatą.

– Herbatą.

– Raczej souchong niż czarną pomarańczową.

– Herbatą z gałką muszkatołową – powiedziała Angela.

– Chyba naprawdę lubisz tę osobę. – Terry Gallagher uniosła brwi.

– Muszę. To mój mąż.

– Nie znoszę herbaty – powiedział Piet. – Zwłaszcza z gałką muszkatołową.

– Nigdy nie próbowałaś – oświadczyła Angela.

– Nie bądź tego taka pewna.

Pozostali ucichli, pozwalając im na sprzeczkę.

– Jaki rodzaj jedzenia? – spytał szybko Piet.

– Ryż.

– Ryż, ale musisz sprecyzować pytanie – powiedział Ben, wracając z piwem w brązowych bezzwrotnych butelkach.

– Gotowany czy smażony? – spytał Piet.

– Gotowany – odparła Angela. – Jest czystszy.

– Lekko podsmażony – stwierdziła Marcia.

– Hamburger na spalonej bułce – powiedziała Terry, mrużąc powieki.

– Niech was wszyscy diabli – westchnął Frank Appleby. – Powiem, co mi się nasuwa. Mniisi grill.

Carol krzyknęła, jej drobne ciało drgnęło jakby porażone prądem, a stopy wysunęły się spod spódnicy.

– Jesteś okropny! Podsunąłeś mu odpowiedź na tacy.

– Jestem Ngo Dinh Diem – powiedział z ulgą Piet.

Ze wszystkich stron pojawiły się przeczące głosy.

– Ngnie, nie jesteś.

– Blisko, ale w sitar nie trafił.

– Blisko? Nie mógł się bardziej pomylić.

– Właściwy kościół, ale nie ta nawa.

Ostatnia uwaga pochodziła od Georgene, która wyciągnęła do Pieta pomocną dłoń; jej pomoc została przyjęta, chociaż sama Georgene pozostała odtrącona.

– Ho Szi Min – domyślił się w końcu Piet.

Gra zakończyła się pośród wesołego trajkotania. Piwo zostało rozlane do szklanek. Terry Gallagher i Ken Whitman unieśli się równocześnie z miejsc i spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

– Serdeczność przepelniająca wasze „skojarzenia” była wyjątkowo zwodnicza – mówił Piet. – To wróg naszej demokracji, te wszystkie kwiaty i delikatne szarości.

Georgene wyczuła, że jego skarga skierowana jest do Angeli i Foxy.

– Sam się prosiłeś o kwiaty.

– Nie spytałeś natomiast o zwierzęta. Wąsata łasica.

– Wychudzona panda.

– Czemu go nienawidzić? Przecież tego właśnie chcą – odezwała się do tej pory dziwnie małomówna Irene.

– *Chacun a son goût*, jak powiedziałby Harold, gdyby tu był – stwierdziła Marcia z zaskakującą lojalnością.

– Wydawało mi się zręczne z mojej strony przypomnieć, że w Paryżu pracował jako kelner – pochwaliła się Terry. – Dzięki za wszystko, ale muszę już iść. Byliśmy wcześniej rano na mszy, a Matt całe popołudnie pokazywał ludziom domy.

– Popieram wniosek – odezwał się Ken. – Chodź, Fox.

Jednakże chwilowe wrażenie, jakie wywarła przystojna para złożona z Kena i Terry, stojących obok siebie, wysokich, ciemnowłosych i poważnych, sprowokowała pozostałych, by zatrzymać Foxy.

– Zostań jeszcze chociaż na drinka – poprosiła Carol.

– Teraz twoja kolej na zgadywanie.

– Foxy zgaduje. Dalej, Foxy.

– Kobiety w ciąży proszone są o opuszczenie pomieszczenia.

Foxy spojrzała na Kena, który wyczytał na jej twarzy pewne niezdecydowanie. Albowiem wstawione, złośliwe towarzystwo ją pociągało. Ich własny dom pełen był komarów i niewykończonych stolarki. A jednak była zmęczona, była też jego żoną, wierną mu.

– Nie – odparła. – Wyszłabym na głupią. Nie do końca rozumiem, na czym ta gra polega.

– Ależ nie.

– Gra polega na tym, żeby być sobą.

– Twoje skojarzenia były urocze.

– Wybierzemy jakąś nieskomplikowaną postać. Margaret Truman. Byle nie Jackie. To by zajęło dziesięć minut.

Foxy się zawahała. Ken mówił do niej sponad nawołujących ją głów z całkowitym spokojem, ale mimo to jego głos ją wystraszył. Jej mąż wyglądał nierealnie; idealny tekturowy profil podłączony do głośnika.

– Ja już ledwo żyję, ale jeśli chcesz to zostań i zagraj. Marcia może cię podrzucić.

– To nie w porządku – zaprotestowała Foxy. – Marcia musi się jeszcze zająć Haroldem.

Lepiej będzie, jak z tobą pojedę.

- Nie możesz. Teraz twoja kolej. Zostań – usłyszała ze wszystkich stron.
- Zostań – powiedział Ken i skierował się do wyjścia.

Poczuła, że jej krągłość została odrzucona; raziły go jej kształty. Poprosiła go, by wybawił ją z opresji, a on kapryśnie zostawił ją na łasce losu. Zła, postanowiła zagrać i udała się po schodach na górę, tak jak chwilę wcześniej Piet.

Podjęcie decyzji nie zajęło im długo, gdyż czerwiec aż kipiał od rozmaitych wydarzeń: umarł papież Jan, Quang Duc dokonał samospalenia, Walentina Tierieszkowa jako pierwsza kobieta poleciała w kosmos, John Profumo ustąpił ze stanowiska, w amerykańskich szkołach publicznych zabroniono odmawiania *Ojciec nasz*. Po chwili Georgene podeszła do stóp schodów.

- E-li-za-beth! – zawołała. – Elizabeth Fox Whitman, zejdź na dół!
- To był głos jej ciotki z Wilmington.

Foxy weszła do salonu krokiem skarconego dziecka; jasność pomieszczenia pełnego ludzi promieniowała okrucieństwem. Ciemne pokoje na piętrze, gdzie na ścianach poprzypinane były mapy, a na podłodze leżały rozrzucone zabawki, gdzie dzieci spały bezgłośnie, a woda w rurach szumiała cicho, były jakby lepszym światem. Foxy pomyślała o swojej sypialni i księżycu, który dzielił z nią bezsenność. Gładka poduszka obok głowy Kena należała do niej. Tutaj nie było już Kena ani Terry. Frank Appleby spał, oparłszy nogi w sandałach o stoliczek w stylu pseudokolonialnym; miał na wpół otwarte usta i chrapał głośno. Foxy usłyszała szepty dobiegające z kuchni i zauważyła, że w salonie brakuje Irene i Eddy'ego Constantine'a. Sześcioro niedobitków, w tym cztery kobiety, wyglądało już na dość zmęczonych i zniecierpliwionych. Foxy zdała sobie sprawę, że powinna była wrócić do domu z Kenem. Gra się już wyczerpała, a oni po prostu starali się być mili, chcieli, żeby poczuła się kochana, stałą częścią ich towarzystwa. Musi jak najszybciej zgadnąć i jechać do domu.

– Jakim... jakim rodzajem oceanu jestem? – Foxy nie była pewna, czy można zadawać pytania, które już się wcześniej pojawiły, a poza tym chciała być twórcza, wrażliwa, jedyna w swoim rodzaju. Piet Hanema, siedzący na sofie obok żony, spojrzał w swoją szklankę.

- Jakim rodzajem oceanu? – powtórzyła Carol. – Dziwne. Wzburzoną chyba.

– Czasami wzburzoną – dodała Marcia – czasami nieruchomą, zahipnotyzowaną. Od czasu do czasu jakaś większa fala.

- Bez skazy – powiedział Piet.

– Bez skazy?

– Pływają po nim tam i z powrotem statki, nie zostawiając najmniejszego śladu. Przyjmujesz je wszystkie. Nie robią na tobie wrażenia.

- Kawałek morza z syreną – powiedział Ben, uśmiechając się.

– Tylko bez jednoznacznych wskazówek – upomniała go Carol.

Foxy poczuła nagle niezwykły przypływ nieśmiałości.

- Angela? – spytała. – Jaki ocean?

– Nie ocean – odparła Angela. – Mały, smętny staw.

– Smętny?

– Cały w szumowinach – odezwała się Georgene.

Niewyszukana, zaskakująca obelga, ale wszyscy, a zwłaszcza panowie, roześmiali się, przyznając jej rację.

- Dobrze. W takim razie jaka pora dnia?

– Druga w nocy.

– Jedenasta rano, z pościelą w nieładzie.

– Jakakolwiek pora. Cały dzień.

Znowu nieprzyjazny śmiech. Twarz Foxy powoli pokryła się rumieńcem. Chciała polubić osobę, którą dla niej wybrali, na przekór im.

Angela próbowała jej pomóc.

– Widzę tę osobę około dziewiątej wieczorem, wychodzi z domu na jasno oświetlone miejskie ulice, szczęśliwa na swój sposób i głupia.

– A może nawet – dodała Marcia – o czwartej trzydzieści po południu, chodzi po parku bez kapelusza, uśmiechając się do starszych panów, do wiewiórek i bobasów w wózkach.

– I do bobbich – powiedział Piet.

– Zaczynacie być zbyt bez-poś-red-ni – zanuciła Carol i spojrzała w kierunku rozbrzmiewającej szeptami kuchni, odwracając głowę gwałtownie, jak balerina w trakcie robienia piruetu.

Angielka, zasugerował Piet. Królowa Elżbieta szumowiną? Virginia Woolf? *Fale*. Ale ta pościel w nieładzie. Może jakiś zniewieściały mężczyzna o złej reputacji. Cecil Beaton. Alec Guinness; Piet mówił coś o pływaniu w tę i z powrotem po morzu, aktor, który gra różne role. Ale pokryty szumowinami staw? Jaka jest głupia. Bała się udzielić nieprawidłowej odpowiedzi, była skrępowana, utknęła. Wyposażenie salonu Saltzów pogłębiało jej uczucie pustki: fotele z ciemnymi, aksamitnymi obiciami i z koronkowymi serwetkami na oparciach, drewniane stojaki na gazety, z których wystawały „Scientific American”, „Newsweek” i „Look”, wiszące nad kanapą wścibskie lampki pokojowe, van Gogh jarzący się na ścianach, zastygłe zdjęcia ślubne na pianinie z żółtymi klawiszami, wieszak na ubrania na brzydkich powykręcanych nogach, cętkowane prostokątne lustro w ciemnym przedpokoju, wąskie schody pnące się niebezpiecznie w górę, po których dzieci co noc wspinają się, walcząc ze strachem. Jej dalsi krewni z Delaware mieszkali w takich domach, ściśniętych wzdłuż ulicy, z krzakami hortensji przy wejściu, gdzie można się było wysuszać albo skryć przed swoimi dalekimi kuzynami. Żydzi odziedziczyli mieszczański styl życia, już nikt poza nimi go nie ceni.

– Jaka warstwa społeczna? – spytała Foxy.

– To zbyt szczegółowe – upomniała ją Carol.

– Niższa – orzekła Georgene.

– Niższa klasa średnia – powiedział Piet. – Nieco puszenia się.

– Wykraczająca poza granice wszystkich warstw – stwierdziła Angela. – Niższa niż niższa, wyższa niż wyższa.

– Brzmisz – stwierdził Benz Saltzteatralnie, mrugając oczami – jak wyznawczyni gnozy.

– Co za pomówienie – powiedziała Marcia.

– Nie rozumiem, skąd wszyscy mają znać tę osobę, wydaje się taka zwyczajna! – wykrzyknęła Foxy.

– Ona ma ukryte zdolności – powiedział Piet.

– Ona albo on – poprawiła go Carol.

– Jakim jestem ptakiem? – spytała Foxy.

– Rajskim – oświadczyła Angela.

– Wróblem.

– Przybrudzonym gołąbkim.

– Dobrze, przybrudzony gołąbek.

– Ja widzę – powiedział Piet – dużego ptaka, z błyszczącymi piórami na piersi. Kakadu?

– Jesteś kukułką – odezwała się Georgene.

Piet odwrócił się w jej stronę.

– To niesprawiedliwe!

Georgene wzruszyła ramionami.

– Używają gniazd innych ptaków.

Foxy czuła się, jak gdyby była naga, nie będąc tego świadoma, jak gdyby leżała martwa na stole autopsyjnym, słysząc wszystkie uwagi, okrutne sprośności. Chciała być z Kenem, zabrać budzącą się w niej osobę i uciec; zgrzeszyła.

– Jaką postacią z Biblii jestem? Wiem, że powiecie, że Dalilą.  
– Jesteś dla siebie zbyt surowa – odparł Piet. – Ja wybrałbym raczej Hagar.  
– Nie – sprzeciwił się Ben. – Moim zdaniem to Abiszag. Dziewczyna, którą przyprowadzono, żeby ogrzała umierającego Dawida. Po hebrajsku *Wecham la-zdoni hamelech*.

– I co się stało? – spytała Marcia.

– *Wehzymelech lo jada-a*. Król jej nie znał.

– Naprawdę, Benie – powiedziała Marcia – uważam, że wspaniale potrafisz recytować po hebrajsku.

– Uczylem się go dziesięć lat. Byliśmy tradycyjną rodziną.

– Nosiliście te małe czapeczki?

– Jarmułki. – Uśmiechnął się wspaniale, jak lew, a zęby pobłyskiwały mu zza brody. – Latem wysyłali mnie też na obozy dla żydowskich dzieci.

– Georgene? – spytała Foxy.

– Nie znam Biblii tak dobrze. Ja powiedziałabym, że Dalila. Albo Magdalena, ale to wydaje mi się zbyt aroganckie.

– Ja ją widzę jako jedną z tych mieszkańców Jerozolimy, którzy nigdy nie znaleźli się w Biblii – powiedziała Angela. – Po prostu miała inne sprawy na głowie. Kiedy mijał ją krzyż, flirtowała akurat z rzymskim żołnierzem.

– Co za okropna kobieta – westchnęła Foxy. – Pokryty szumowinami staw, kukułka.

– Zdaje się, że słuchałaś tylko Georgene – powiedział Piet. – Ona się dzisiaj bawi w moralizatorstwo.

– Ty też nie lubisz tej osoby. Tylko Angela i Ben ją lubią.

Mówiąc to, Foxy odczuła ukłucie zazdrości, bo nie podobało jej się, że tych dwoje jest w jakiś sposób ze sobą połączonych. Tak naprawdę chciała, by Ben – nie ten prawdziwy, ale wspomnienie, jakie przywoływał – był jej własnym Żydem.

Szepty w kuchni ucichły.

– To zbyt długo trwa – stwierdziła Carol i wstała z miejsca, nieco zesztywniała od siedzenia w jednej pozycji; szyję i nadgarstki miała naciągnięte, napięte. Nie miała jednak odwagi wejść do kuchni. Zrobiła krok w kierunku jej otwartych drzwi.

– Chodźcie nam pomóc – zawołała głośno. – Ona utknęła.

– Poddaję się – powiedziała Foxy. – Kim ja jestem? Jestem pewna, że nigdy o sobie nie słyszałam.

– Na pewno słyszałaś – zachęcił ją Piet; chciał, żeby dobrze jej poszło, wstydził się za nią.

– Jestem jakąś nieciekawą gwiazdeczką, a ja nigdy nie zapamiętuję ich nazwisk.

– W tej chwili – poinformował ją Piet – jesteś prawdziwą gwiazdą.

– W tej chwili. Julie Andrews. Liz Taylor.

– Nie. Podążasz w złym kierunku.

– Ech – westchnęła Foxy. – Tak na nie liczyłam. Obie są Angielkami. Nie jestem przypadkiem May Whitty?

– Nie bądź niemądra – powiedziała Carol.

– To coś na wielką skalę – podpowiedział Piet. – Na skalę światową.

– Zadaj więcej pytań – poradził Ben.

Wszyscy jej podpowiadali, syczeli na nią jak na zacinające się dziecko w bożonarodzeniowym przedstawieniu. W surowych oczach Georgene było widać wyraźne zadowolenie.

– Spytaj Franka, jaką sztuką Szekspira jesteś – zaproponowała Marcia. – Obudzę go.

Popłynęła w kierunku kanapy, na której leżał bezwładnie Frank, usiadła koło niego i zaczęła mu szeptać coś do ucha z czułością żony, aż uniósł powieki i spojrzał przed siebie zbolalym wzrokiem. Foxy czuła, że w półśnie przejrzał ją na wylot.

– Pomóż mi, Frank – poprosiła. – Jaką sztuką Szekspira jestem?  
– *Troilus i Kresyda* – oznajmił i zamknął oczy.  
– Nie czytałam – powiedziała Foxy.  
– Ja zaliczyłam cię do sonetów – stwierdziła Marcia.  
– Po rosyjsku i angielsku *en face* – powiedział Piet i wszyscy się roześmiali.  
– Jesteście dla mnie za sprytni – oznajmiła im Foxy. – Teraz zupełnie się zgubiłam. Zaczynałam już brać pod uwagę księżniczkę Małgorzatę.  
Wszyscy znowu wybuchli śmiechem.  
– Jesteście okropni – powiedziała. – Chcę iść do domu. Chcę się poddać.  
– Nie poddawaj się – zachęcił ją Piet. – Wiem, że wiesz. Za bardzo się starasz.  
– Co jest przeciwieństwem królowy? – spytał ją Ben.  
– Żebraczka. Ach. Kwiaciarka. Eliza Doolittle. Sądziłam, że nie można wybierać postaci fikcyjnych.  
– Bo nie można. Nie jesteś Elizą – powiedziała Georgene. – Co jest przeciwieństwem dziewczicy?  
– Uważam, że Foxy powinna móc zrezygnować, jeśli ma na to ochotę – wstawiła się za nią Angela.  
– Jest zbyt blisko, by teraz rezygnować – uznała Carol.  
Do salonu wróciła Irene Saltz, przyglądając ręką włosy. Jej czarne brwi były kształtu wygiętych skrzydeł.  
– Mam ci przekazać, że Eddie pojechał już do domu. Jutro wcześniej rano ma lot. Wyszedł przez kuchenne drzwi.  
– Jak zwykle – prychnęła Carol i poweselała.  
Kiedy siadała na podłodze, jej tułów znów przekształcił się w łodygę, smukłą i wyprostowaną.  
– Spróbuj jeszcze jednego „skojarzenia” – poprosiła.  
– Jaki kwiat? – westchnęła Foxy z rezygnacją.  
Tym razem opisy były bardziej szczegółowe, jako że chcieli, by zgadła, by się dowiedziała.  
– Lilia tygrysia – powiedziała Carol. – Przesadzona z wiejskiego ogródka na miejską ulicę.  
– Kto by miał ochotę zrobić coś takiego? – spytała Georgene. – Ja widzę coś wulgarnego i krzykliwego. Mak.  
– Ale Ho Szi Min też nim był – przypomniał Piet.  
– Tak. Może zachodzić podobieństwo – odparła Georgene.  
Spojrzała na niego swymi nieco wylupiastymi oczami, które wraz z opalenizną i siwiejącymi włosami należały do zgryźliwej kobiety w średnim wieku, jaką Georgene już niedługo miała się stać. Foxy pamiętała jej milczenie w trakcie obiadu przy świecach u Guerinów. Było ono tajemnicze i pełne satysfakcji i tego niemiłego dla Foxy wieczoru zdawało się mieć podobną chemiczną naturę do jej ciąży. Od tamtej pory Georgene jakby się nagle postarzała.  
– Nie wiem, o kogo chodzi – powiedziała Irene. Kiedy Carol szepnęła jej coś na ucho, rzuciła bez namysłu: – Róża szkocka.  
– Czy w Japonii – powiedziała Angela – po tym, jak zrzuciliśmy bomby, nie pojawił się skądś kwiat, który zaczął porastać radioaktywne obszary? Ja widzę tę osobę właśnie w ten sposób, przekształcającą nowoczesną truciznę w słodycz.  
– Jakie to miłe, Angelo – westchnęła z wdzięcznością Foxy. – Nie czuję się już tak źle, że jestem tą osobą.  
– Jastrzębiec pomarańczowy – oznajmiła Marcia. – Albo coś szklarniowego.  
– Wiesz, czasami – odezwał się Ben Saltz – jak pielisz chwasty wokół domu, natykasz się na roślinę w rodzaju dzikiej marchwi albo rachitycznego astra, ale nie masz serca ich wyrwać,



bo na razie pełnią funkcję ozdobną.

– Wszyscy tacy jesteśmy – powiedziała Angela.

– Mów za siebie, kochana – zaprotestowała Georgene.

– Geranium przenoszone z parapetu na parapet, żeby złapało trochę słońca – podsunął Piet.

– Hiacynt w plastikowej doniczce. Czasami róża lady Palmerston. Foxy, czy zauważyłaś kiedyś w szklarni, jak wkładają bukiet ciętych goździków do kubła z farbą? W ten sposób przygotowuje się te zielone z okazji dnia Świętego Patryka. Dla mnie jesteś żółtą odmianą, którą zanurzano w czerwonej farbie. Wyszła głęboka czerń i ludzie dotykają cię, sądząc, że jesteś sztuczna, i są zdziwieni, kiedy odkrywają, że to prawdziwy kwiat. W momencie śmierci wykrwawisz się na czarno, stając się na powrót żółta.

Jego płaska, pełna napięcia twarz wyrażała proces obumierania tej często dotykanej rośliny.

– Jest w niej beztroska odporność, której nie sugerowaliśmy – powiedziała Carol.

– Zajmijmy się może literaturą – zniecierpliwiła się Marcia. – *Fortunne i niefortunne przypadki sławetnej Moll Flanders* w wersji lana Fleminga.

– *Phineas Finn* – podsunęła Angela – streszczony dla „Playboya”.

– *Czerwony Kapturek* – powiedział Ben – napisany przez markiza de Sade.

– Stójcie – poprosiła Foxy. – Poddaję się. Jestem głupia. Angelo, powiedz mi proszę.

– Jesteś Christine Keeler – oznajmił Piet.

W ciszy, która zapadła, dało się słyszeć jak Foxy burczy w brzuchu.

– Ta... dziwka? Jestem nią? Przykro mi.

Bezwiednie, niechcący, nie wiedząc sama, w którym momencie, odchyliła głowę i wybuchła płaczem. Łzy ciekły po jej zmęczonej i zmieszanej twarzy. Dla wszystkich, prócz Angeli i Bena, stało się jasne, że tak jak się tego spodziewali, Foxy spotyka się z Pietem.

### III. Na cienkim lodzie

Tak jak we śnie potrzebujemy śnić, tak po przebudzeniu musimy dotykać i mówić, być dotykani i słyszeć mowę.

Foxy?

Piet?

Ich proste imiona miały w sobie czar, magię pieśczoćy, która wydobywa z narządów płciowych coś strasznego i wrażliwego zarazem.

*Mylisz, że postępujemy źle?*

*Źle? Zdawało się, że pojęcie to płynie do niej z jakiegoś innego wszechświata. Nie wiem. Nie wydaje mi się.*

*Jak to dobrze!*

*Że nie wydaje mi się, że źle postępujemy?*

*Tak, tak, tak. Tak. Nigdy nie możesz tak pomyśleć. Sprawiaj, że ja też będę w to wierzył. Hej. Śniłaś mi się wczoraj. Pierwszy raz. Zabawne, kto pojawia się w naszych snach. To klub, w którym panują bezsensowne reguły. Zawsze śni mi się Freddy Thorne, a przecież go nie znoszę.*

*Co robiłam w twoim śnie? Był erotyczny?*

*Zupełnie niewinny. Byłem w domu towarowym, a nad głowę miałem ogromny świetlik. Pracowałaś tam jako sprzedawczyni. Zatrzymałem się przy twoim stoisku, nie wiedząc, czego chcę.*

*Według ciebie jestem sprzedawczynią? Przyjmowała ten kłótny ton, droczyła się z nim, by dać ujście urażonej ambicji. Co niby miałabym sprzedawać?*

*Tam panowała szczególna atmosfera. Byłaś bardzo poważna, chłodna, obojętna, tak jak to czasem potrafisz. Nie byłem się w stanie odezwać, ale i tak schyliłaś się pod ladę, znikając na chwilę, jakbyś czegoś szukała. Obudziłem się z silną erekcją.*

Tego lata, kiedy nie mogąc zasnąć, leżał obok uśpionej Angeli, Piet podnosił czasami dłoń i studiował jej ciemny kształt na tle podzielonego na sekcje okna o jasnoniebieskich szybkach. Wyglądała wtedy jak dłoń wynurzona w ostatnim momencie z wody, na sekundę przed utonięciem. Spokojny oddech nieświadomej niczego Angeli wydawał mu się falą wypływającą z głębin, w które mógł w każdej chwili wpaść. Brakowało mu odgłosu kołowrotka chomika, przebłysków światła. W obecności Foxy zachowywał się ostrożnie i z nieśmiałością, jak zwykły najemny robotnik, nie miał zamiaru rozbudzić w sobie pożądania. Ale ona towarzyszyła mu przy całym procesie tworzenia nowego projektu dla tej starej rudery, w środku i na zewnątrz, szczególnie po szczególnie, z kokieteryjnym zapałem, który wprawiał go w zakłopotanie.

*Tutaj można by zamontować półki. Albo szafki.*

*Nie wolałabyś otwartych półek? Drzwiczki się zacinają. Zaklejają się na amen, albo przestają się domykać.*

*Teraz produkują takie na magnes, niezawodne. Półki to pokusa. Macie kota, będziecie mieć dziecko. Potrzebujecie przestrzeni, które można zamknąć. Znam dwóch starszych stolarzy, którzy robią ładne szafki. Nazywają się Adams i Comeau.*

*Więc chcesz nakręcić im zlecenie.*

Piet poczuł konsternację. Przemieszczając się tam i z powrotem po zabytkowej kuchni, w rozdętej, zaczepiającej o wszystko koszuli ciężowej, kobieta ta zdawała się lżejsza od wszystkich innych, jakie znał. Bardzo szybko udało jej się go wybadać i zachowywała się wobec niego jak wobec kogoś, kogo dobrze kiedyś znała i z kim nadal była trochę związana

emocjonalnie.

*To fachowcy starej daty. Chcę, żeby pracowali dla ludzi, którzy potrafią ich docenić.*

Odwróciła się i spoglądając na pejzaż za oknem, uniosła ramiona, jak przed świętym obrazem. *Chcę otwartych pól, otwartych drzwi i w ogóle żeby wszystko było szeroko otwarte na wodę i morskie powietrze. Całe życie mieszkałam w sprytnie zaprojektowanych, wykorzystujących oszczędnie przestrzeń pokoikach,* powiedziała stanowczo i wypadła z kuchni, powiewając szeroką, cytrynowo-żółtą koszulą. Jasna skóra na jej twarzy płonęła na czerwono. Piet już widział, że będą z nią kłopoty.

– Dlaczego przyjąłeś zlecenie? – spytała Georgene. – Mówiłeś, że powinieneś zajmować się budową nowych domów.

Był niedzielny ranek i oboje stali przy korcie tenisowym Ongów. Piet zrezygnował z pójścia do kościoła, żeby Angela mogła podjąć wyzwanie Freddy'ego Thorne'a. Brakowało mu tej godziny rozmyślenia w ławce i śpiewu na stojąco. Poza tym czuł, jak wczorajszy dzin kłuje go w głowie i opasuje ją ciasno lodowatymi obręczami. Wyzwanie, które Freddy rzucił poprzedniej nocy u Constantine'ów, dotyczyło zagrania singla z Angelą. Tymczasem Bernadette wraz z trójką synów wróciła tego ranka wcześniej z mszy i nie wypadało nie zaprosić Ongów do gry na ich własnym korcie. Zęby go zbudować, wycięto kawałek łagodnie opadającej łąki, przylegającej do nowo wzniesionego domu. Budynek był kosztowny i egzotyczny, z płaskim dachem, pełen płyt z piaskowca i wiszących schodów. Został zaprojektowany przez architekta, którego John poznał podczas studiów w Cambridge, wspólnika I.M. Pei. Dom ten zawsze przypominał młodym, zarozumiiałym parom z Tarbox o absurdalnie wysokim prestiżu, jakim cieszył się Ong. Sam John, niski, kościsty mężczyzna w kolorze brązowoszarym, zakochany we wszystkim, co amerykańskie, począwszy od komory pęcherzykowej, na papierosach z filtrem skończywszy, był też miłośnikiem gry w tenisa, nie mając w tej dziedzinie najmniejszych uzdolnień. Zawsze wychodził na kort w świeżo wyprasowanych białych szortach i koszulce, opasce na nadgarstek i zielonym daszku przeciwsłonecznym. Jego lekkie odbicia, którym towarzyszyły wydawane przez niego samego okrzyki zachęty i pomruki zawodu, były bez litości ścinane przez zachodnich przyjaciół. Jednakże Bernadette łatwo gromiła przeciwników. Wraz z Freddyem, który poruszał się z komiczną niezdarnością i podawał jak dziecko, grali przeciwko Johnowi i Angeli. Ta ostatnia wykazywała się sporym doświadczeniem i gracją, ale nie potrafiła ścinać. Piet i Georgene obserwowali grę, rozmawiając. Nie ścisiali specjalnie głosów, ale pilnowali się, by nikt ich nie usłyszał.

– Parterowe domki są takie nudne – odpowiedział na jej pytanie. – Wszystkie wyglądają tak samo.

Georgene prychnęła z oburzeniem.

– To dotyczy też zębów – powiedziała. – Wszystkie są takie same. Jak i akcje i obligacje. Każdy pracuje przy rzeczach, które są do siebie podobne. Dlaczego ty miałbyś być inny? Co sprawia, że jesteś takim playboyem? Nie masz nawet pieniędzy.

Od dzieciństwa besztanie wywoływało u Pieta burzę w mózgu. To, że świat może zawsze i wszędzie odmówić mu miłości, wydawało się matematycznym paradoksem, którego Piet z bólem nie był w stanie przeniknąć.

– Wy wszyscy macie pieniądze za mnie – powiedział.

– To zupełnie w twoim stylu, nieprawdaż? Bierzesz, kłaniasz się i wychodzisz.

Widział jej twarz z profilu, jednooką i poważną jak u waleta karo. Błyszczała w słońcu.

– To ty powiedziałaś, że powinniśmy być bardziej ostrożni – przypomniał, kiedy z kortu dobiegły ich ożywione okrzyki i odbicia, zagłuszające jego słowa. – Z powodu listu Janet, pamiętasz? Potrzebowałem cię wtedy, a ty mnie zbyłaś.

– To było kilka miesięcy temu. Powiedziałam, że powinniśmy uważać, a nie zerwać.

– Nie lubię, kiedy ktoś nakazuje mi ostrożność.  
– Pewnie, że nie, bo nie musisz być ostrożny. Angela świetnie sobie zdaje sprawę z twoich wyskoków, ale woli przemykać na nie oko.

Usłyszawszy swoje imię, Angela odwróciła głowę.

– Georgene podziwia twój styl gry – zawołał do niej Piet. Potem odwrócił się do swojej rozmówczynie, uśmiechając się, jak gdyby prowadzili zwykłą pogawędkę: – A co z tobą i twoim? Pokazałaś mu list?

– Tak. W końcu to zrobiłam.

– I co ten wspaniały człowiek na to?

Georgene obróciła raketę między kolanami, przyglądając się naciągowi. Nierówny i gładki. Nierówny, gładki.

– Nie pamiętam. Jakoś udało mu się wywinąć. Powiedział, że miał do niej stosunek czysto ojcowski, że próbował pomóc Janet wydostać się z tego zamieszania Applesmithów. Ale okazała się zbyt nerwowa i zwróciła się przeciwko niemu. To dość prawdopodobne, wzięwszy pod uwagę sposób, w jaki sformułowała liścik.

– A potem z ulgą poszłaś z nim do łóżka.

– Tak, żebyś wiedział.

– I było cudownie.

– Całkiem nieźle.

– Każde z was miało siedem orgazmów, między którymi czytaliście sobie na głos Henry’ego Millera.

– Jakbyś przy tym był.

– Wyobraziłem sobie na podstawie twoich licznych barwnych opisów.

– Przestań zachowywać się jak sukinsyn. Ja mam dosyć bycia jędzą. Spotkaj się ze mną. Tylko na kawę.

– Tylko na kawę to równie niebezpieczne jak pieprzenie, jeśli ktoś by nas przyłapał.

– Tęsknię za tobą.

– Przecież jestem tutaj.

– Masz kogoś, prawda?

– Kochanie – powiedział – przecież mnie znasz.

– Nie mogę uwierzyć, że wybrałaś sobie tę Whitman. Jest dla ciebie za sztywna i wymuskana. Nie w twoim typie.

– Masz rację. To nie ona, to Julia, mniejsza Smith.

– Foxy jest dla ciebie za wysoka. Wyglądasz przy niej śmiesznie.

– Nie dość, że biedny, to jeszcze karzeł. W jaki sposób taka wyrafinowana laska jak ty mogła kiedykolwiek się mną zainteresować?

Georgene spojrzała na niego chłodno. Za jej plecami było widać drucianą siatkę otaczającą kort, a dalej zbocze porośnięte trawą, zbiegała w miejscach wystawionych na działanie wiatru. Fale. Kraty. Łączenie i łączenie na nowo. Rozpad.

– Czasami tak sobie myślę – szepnęła – że to musiała być wyłączne chemia.

Smutek pożądania spowodował odrętwienie poniżej pasa. Dochodzili razem. Wiele razy. Modrzewie, papa. Jej fioletowy turban.

Piłka meczowa i gra się skończyła. Angela i John, zwycięzcy, podeszli do linii bocznej, lśniąc od potu. Ong coś tłumaczył, ale Piet nic nie rozumiał. Wszystkie samogłoski John wymawiał jak „a” i łączył je twardymi spółgłoskami. Piet zmrużył oczy, czując, jak niezwykła inteligencja usiłuje przedostać się do niego zza gładkiej, złotej maski.

– Mówi, że łatwo traci oddech – wyjaśniła Bernadette.

Jej ramiona i miednica były szerokie, a twarz miała jak w uśmiechu nawet wtedy, kiedy na niej nie gościł. Piet uwielbiał Ongów. Pozwalali mu korzystać ze swojego kortu, nigdy nie traktowali go protekcyjnie, a ich obecność w Tarbox była równie przypadkowa jak jego.

John zapalił papierosa i dostał suchego kaszlu. Piet ze zdziwieniem stwierdził, że kasznięcie dawało się zrozumieć. Podstawowe środki komunikacji międzyludzkiej. Kasznięcie, śmiech, płacz, krzyk, pierdnięcie, westchnienie. Amen.

– Taraz wa – wykrztusił zgięty w pół John, chcąc dać znać, że pozostałe dwie pary powinny zagrać razem.

Następnie Ongowie udali się do domu wraz z trójką obskakujących ich chłopców.

Hanemowie stanęli twarzą w twarz z Thorne'ami. Georgene założyła okulary przeciwsłoneczne; jej twarz wyglądała jak wyrzeźbiona. Słońce stało już wysoko. Zielony kort błyszczał. Angela zaserwowała. Jej odbicia, choć precyzyjne, były zbyt słabe i łatwe do odebrania. Odbicie Georgene, jeden z jej mocnych forhendów, śmignęło w kierunku przyczajonego przy siatce Pieta. Ze złości pospieszyła się nieco z ciosem i piłka uderzyła w siatkę na wysokości jego pachwiny i upadła po drugiej stronie.

– Piętnaście do zera – zawołała Angela i stanęła na palcach, przygotowując się do następnego serwu.

Piet przeszedł na drugie pole serwisowe. Naprzeciwko niego stał Freddy Thorne, ubrany w krzykliwe kraciaste szorty, różową koszulkę, czapkę z daszkiem, opadające niebieskie skarpetki i gumowane tenisówki, które wyglądały, jakby były na niego za duże. Freddy wystawił stopy na zewnątrz jak klaun i zarzucił raketę na ramię, jakby to był kij bejsbolowy. Angela zaczęła się śmiać i wypadła z rytmu, przez co popełniła podwójny błąd serwisowy.

– Po piętnaście – zawołała i Piet znów znalazł się naprzeciw Georgene.

Płynna, zdradliwa gra. Przewaga szybko się zmieniła. Miłość przekształciła się w nienawiść. *Nadajesz mi mój kształt*. Bezoka Georgene przygotowała się do serwu, odchyliła raketę do forhendu, zacisnęła podbródek i zrobiła krok do przodu, a Piet ścisnął uchwyt tak mocno, że spociła mu się dłoń i stłumił w sobie błaganie o litość.

– Powiedz, tatusiu, jestem ładna?

Piet starał się nie ziewnąć szeroko, chociaż miał na to ochotę. Sądził, że spełnił już swoje zadanie. Obserwował, jak Nancy myje zęby, a potem przeczytał z nią po raz dwudziesty *W krainie potworów* i wspólnie wyrecytował (coraz rzadziej tak robili) modlitwę przed snem, małą litanie, do której Piet nigdy nie był pewien, czy powinien włączyć imiona swoich rodziców. Czuł, że oni także, wraz z dziadkami ze strony matki, powinni być przez dziecko wspomniani. Ale ich niezmienna nieobecność bardzo Nancy niepokoiła. Toteż zazwyczaj Jacobus i Martę Hanemowie pozostawiali bez błogosławieństwa, a ich dusze w niebie bez modlitw odchodziły w nicłość.

– Tak, Nancy, jesteś bardzo ładna. Jak urośniesz będziesz tak śliczna jak mamusia.

– A teraz jestem ładna?

– Nie bądź niemądra. Przecież wiesz, że jesteś.

– A inne dziewczynki?

– Jakie inne dziewczynki?

– Martha i Julia.

Małe kobietki pluskające się topless w lodowatych wodach zatoki Tarbox. Pulchne kończyny, z przylepionym piaskiem jak cukrem. Dziewczynki kucające w promieniach zachodzącego słońca, by zatrzymać przypływ.

– A ty jak sądzisz? – spytał Piet.

– Są brzydkie.

– Są ładne na swój sposób, tak jak i ty. Martha jest ładna po thorne'owsku, a Julia jest ładna w jaki sposób?

– Po smithowsku.

– Zgadza się. A Catharine w jaki sposób?

– Po appleby'owsku.

– Właśnie. A kiedy pani Whitman urodzi dzidziusia, to będzie on ładny po whitmanowsku. Opowiadanie o niej niewinnemu dziecku było niewłaściwe, ale Piet czerpał przyjemność z wymawiania nazwiska Foxy, uwielbiał trzymać je w ustach i czuć, jak całe jego ciało napęnia się jej wspomnieniem. Angela, podświadomie zresztą, irytowała się, kiedy od niechcenia napomykał o Whitmanach, i z czasem temat ten stał się w ich domu zakazany.

Nancy zrozumiała już, na czym polega gra. Jej okrągła buzia śmiała się na poduszce.

– A kiedy Jackie Kennedy urodzi dzidziusia, to będzie on ładny po kennedy'owsku.

– Zgadza się. A teraz śpij już, śliczna Nancy, bo inaczej będziesz od rana naburmuszona.

Jednakże dziewczynka odznaczała się kobiecym uporem, w znacznie większym stopniu niż jej obcesowa siostra o holenderskim temperamentem.

– Ale czy ja jestem najładniejsza?

– Kochanie, przecież przed chwilą powiedzieliśmy, że każdy jest piękny na swój sposób i nikt nie chce nikogo zmieniać, bo wtedy wszyscy wyglądaliby tak samo. Jak kalarepa.

Piet zostawił przy fotelu martini z lodem, który już się pewnie rozpuszczał, rozcieńczając alkohol wodą.

Nancy skrzywiła się, powstrzymując łzy.

– Ale ja umrę – wyjaśniła.

Piet usiłował podążyć za tokiem jej rozumowania.

– Sądzisz, że Bóg nie pozwala umrzeć tym, którzy są najpiękniejsi?

Pokiwała bez słowa głową. Włożyła kciuk do buzi i oczy jej pociemniały, jak gdyby wysysała z niego atrament.

– Ale ładni ludzie też umierają – zapewnił ją Piet. – To by nie było sprawiedliwe, gdyby umierali tylko brzydki. Poza tym nikt nie wydaje się brzydki osobom, które go kochają.

– Jak mamusiom i tatusiom – powiedziała, wyjmując na sekundę palec z buzi i wkładając go zaraz z powrotem.

– Właśnie.

– I przyjaciołom.

– Pewnie też.

– Znam twoją przyjaciółkę, tatusiu.

– Naprawdę? Kto to?

– Mamusia.

Piet się roześmiał.

– A kto jest przyjacielem mamusi?

Symetria.

– Tatuś Marty – odparło dziecko.

– Ten okropny pan?

– Jest zabawny – wytłumaczyła Nancy. – Mówi „kupa”.

– Czyli gdybym ja mówił „kupa”, to też byłbym zabawny?

Roześmiała się. Bulgoczący odgłos, pochodzący z głębin, gdzie znajdują się wrota do królestwa snu.

– Powiedziałeś „kupa”. A fe, tato!

Oboje umilkli. Liście pozbawionego kwiatów bzu docierały na wysokość okna pokoju Nancy. Zielone serduszka ocierały się o szybę. Strach pukał, skrobał. Piet nie miał odwagi zostawić jej samej.

– Naprawdę tak się obawiasz śmierci, kochanie?

Nancy pokiwała poważnie głową.

– Mamusia mówi, że najpierw będę bardzo starą panią i dopiero potem umrę.

– Czy to nie miłe? Kiedy będziesz bardzo starą panią, będziesz mogła siedzieć w fotelu na biegunach i opowiadać swoim prawnukom o tym, że miałaś tatusia, który mówił „kupa”.

Śmiech, który chciał wywołać, rozbrzmiał z głębi pogrążonego w cieniu gardła i po chwili

zamarł. Nancy z przerażeniem obracała w myślach obraz, który nakreślił przed nią Piet.

– Nie chcę być starą panią! Nie chcę dorosnąć!

– Już jesteś większa, niż byłaś. Kiedyś byłaś wielkości moich dwóch dłoni. Chyba nie chciałybyś być teraz taka. Nie potrafiłabyś chodzić ani mówić.

– Właśnie, że bym chciała. Idź już sobie, przyślij mamusię.

– Posłuchaj, Nancy. Nie umrzesz. To coś, co mieszka w tobie i nazywa się Nancy, nigdy nie umrze. Bóg na to nie pozwoli. On unosi wszystkich prosto do nieba. To, co wkładają do ziemi, wcale nie jest tobą.

– Chcę, żeby przyszła mamusia!

Piet zdał sobie sprawę, że Angela swoim prostym rozumowaniem sprawiła, iż sedno jedynej nadziei stało się dla dziecka niezrozumiałe i przerażające.

– Mamusia zmywa naczynia.

– Chcę, żeby przyszła.

– Przyjdzie, kiedy będziesz już spała i da ci buzi.

– Chcę teraz.

– A tatusia nie?

– Nie.

Czasami podczas ciepłych, bladych nocy, kiedy powietrze stawało się nieco chłodniejsze, a samochody na drodze za żywoplotem z bzów śmigwały w kierunku Nun's Bay, rozbrzmiewając muzyką z radia, Angela odwracała się do Pieta, który leżał, starając się ulec zmęczeniu. Zdawało się, że najważniejsze jest, by sam nie okazał pożądanego; wtedy, bez słowa, jak gdyby ciałem jego żony owładnął ktoś obcy, Angela przyciskała się do niego i palcami dotykała jego boków i pleców. Piet również się nie odzywał, obawiając się, że czar pryśnie, i nieśmiało odpowiadał na pieszczoty, głaszcząc jej koszulę nocną (zazwyczaj nieprzezroczystą i stanowiącą przeszkodę nie do pokonania), która stawała się przejrzysta, przeżarta rozkładem oraz ześlizgiwała się i odpadała z niej jak całun z ciała, które zmartwychwstaje. Z tyłu i pomiędzy nogami ujawniały wilgotność i pyszne zaokrąglenia. Angela podciągała koszulę do brody i palcami podsuwała mu do ust błyszczącą pierś, nabrzmiałą oczekiwaniem. Kiedy rytmicznie przewracała się na plecy, by dać mu dostęp do drugiej piersi, wyczuwał dłońią obrzmiały wzgórek Wenera, całe jej unoszące się ciało przygotowane do przyjęcia bóstwa pod jakąkolwiek postacią, którą Piet miał akurat szczęście przybrać, schwyciwszy w swój ciemny kształt. Piękno kobiety było pieszczotą dla jego oczu. Opuszczał kudłatą głowę, żeby zanurzyć się w starożytnym korytarzu, gdzie nieprzywoita, dumna królowa wilgotniała najbardziej. Badał językiem jej cierpkie wargi, aż stawały się słodkie. Szarpnęła go za włosy – podciągnij się do góry.

– Wejdz we mnie.

Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, on, który dzień wcześniej zanurzył się w Foxy Whitman, że żadna nie miała takiej cipki jak Angela, tak apetycznej i sycącej. Zagubił się w niej całkowicie. Intensywność jej oddziaływania sprawiała, że skomlał. Największym ich łóżkowym problemem była obfitość Angeli, z którą Piet nie był w stanie dać sobie rady. Wsparała się o jego owłosiony tors – *czekaj* – i zaczęła się dotykać. Czując trzepotanie jej palców, wstrzymał się do momentu, kiedy jej dłonie znalazły się na jego pośladkach, ponagląjąc je do ostatecznego pchnięcia, aż w końcu jęknęła, uwalniając się od napięcia.

– Moja kochana żona – powiedział. – Co za miła niespodzianka.

Wzruszyła ramionami, leżąc na wznak na przeпоconym prześcieradle. Jej nagie ramiona błyszcząły w świetle gwiazd.

– Ja też się podniecam. Tak jak i inne twoje kobiety.

– Nie mam innych kobiet – głąskała ją, gładząc wzburzone włosy. – Masz niebiańską cipkę.

Angela machnęła na niego ręką i odwróciła się tyłem. Od początku małżeństwa mieli

zwyczaj sypiać nago po uprawianiu seksu.

– Jestem pewna – powiedziała – że tam w dole jesteście wszystkie takie same.

– To nieprawda – zaprzeczył Piet. – Całkowita nieprawda.

Angela zignorowała jego wyznanie.

W obecności Foxy zachowywał się ostrożnie i z nieśmiałością, nie chciał wcale jej pożądać. Większą część dnia spędzał w Indian Hill, nadzorując budowę trzech parterowych domów, które szybko wyrastały z betonowych fundamentów. Głowę wypełniały mu bale o przekroju 5x10 cm, teowniki, podstawy fundamentowe, słupy szkieletowe, belki nośne, legary i materiał podłogowy, namurnice i podwaliny. Z młotkiem w dłoni rozkoszował się, wgrzyzając się w grawitację. Jasno widział, w jaki sposób zostanie rozmieszczony ciężar; żaden dom nie wyglądał w jego mniemaniu piękniej niż wtedy, kiedy było widać sam jego szkielet. Później solidną stolarkę psuły niegodne materiały i rzemiosło, a pracę opóźniały pertraktacje z podwykonawcami – cwanyimi elektrykami, nieuczciwymi hydraulikami i upartymi, powolnymi murarzami.

Dlatego przez wiele dni zajeżdżał pod dom Robinsonów dopiero o trzeciej, czwartej po południu. Najpierw został rozwiązany największy problem – brak piwnicy. Skrzydło dla służby, cztery malutkie, wyposażone w mansardowe okna sypialnie oraz aneks kuchenny zostały zburzone i wtedy w dwa dni czerpak koparki wykopał otwór głęboki na dziesięć stóp, docierając aż pod kuchnię. Czterech wyrostków przez tydzień pracowało dalej łopatami. Wykopali otwór pod kuchnią i holem, przebijając się do znajdującego się pod salonem pomieszczenia z piecem. Przez kilka dni, podczas gdy wylewano i rozprowadzano beton (operacja ta zbiegła się w czasie z czerwcową falą upałów; widok chłopców rozebranych do pasa i stojących po kostki w pyłe w jamie pod budynkiem był prawdziwie piekielny), połowa domu Foxy opierała się na kilku cedrowych słupach i wspartych na pustakach stalowych kolumnach. Potem nad nową piwnicą Piet wzniósł jednopiętrową przybudówkę. Mieściły się w niej dwa pomieszczenia, z których jedno mogło zostać przeznaczone na dziecienną sypialnię, a drugie na pokój zabaw. Wychodziło się z nich na zabudowaną werandę z widokiem na bagna, połączoną z kuchnią korytarzykiem, który mógł służyć za składzik na narzędzia ogrodnicze. Przed końcem czerwca Foxy zamówiła ze szklarni Vos i Syn sześć krzewów róż, które zostały posadzone przy szerszym końcu nowego skrzydła. Foxy pielęgnowała je, dostarczając torf i wysypując nawóz, ponieważ gliniasta ziemia nadal była pełna gruzu i zryta kołami traktora.

W pięć czerwcowych dni grupa dekarzy zerwała nierówny, przeciekający gont i zamontowała nowy, płaski dach.

Stara, zbutwiała weranda została zburzona. Salon zalało światło. Jego ściany, podczas gdy montowano przewody do ogrzewania ciepłym powietrzem, zostały pokryte siatką podtynkową przez starego Czecha i jego kalekiego bratanka z Lacetown, ostatnich tynkarzy na południe od Mather. Te najbardziej pracochłonne fazy remontu, prawie całkowicie skończone do sierpnia, kosztowały Kena Whitmana jedenaście tysięcy, z czego dwa tysiące osiemset zagarnęła firma Pieta, mając zaledwie kilkaset dolarów czystego zysku. Reszta pieniędzy poszła na materiały, pracowników fizycznych i specjalistyczną robocizną Adama i Comeau, wykonawcę systemu grzewczego, dostawcę betonu i hydraulika. Remont kuchni, wraz z nowym wyposażeniem, hydrauliką, szafkami i linoleum, kosztował kolejne trzy tysiące. Piet, współczując Whitmanowi (który nigdy o współczuciu nie prosił i godził się na wszystkie niezbędne udoskonalenia oraz wydatki jedynie szybkim skinieniem głowy, a tymczasem dom stopniowo stawał się coraz mniej jego i coraz bardziej Foxy), starał się pracować prawie bez zysku. Tak jak wszyscy, a zwłaszcza Gallagher, przewidzieli, całe przedsięwzięcie było od samego początku katastrofą.

Ale Pietowi sprawiało przyjemność przebywanie z ciężarną Foxy, przyglądanie się jej,



kiedy czyta listy pod ścianą ze świeżym tynkiem, na który rzucała cień o złotej barwie. Chciał, by była zadowolona z jego pracy. Każda zmiana, jaką wprowadzał, była oznaką jego coraz większej skrupulatności. W nocy i podczas dłużących się godzin dziennych, kiedy z nią nie przebywał, wyobrażał sobie, że chronią ją wartownicy, których on sam postawił: znajdujące się w piwnicy stalowe kolumny, puste płaszczyzny uważnego tynku, sprawnie wyrównane, czujne drzwi, wiszące lekko w starych, krzywych framugach, doskonale zamocowany świetlik nad jej śpiącą głową, teraz już podwójnej grubości i właśnie uszczelniony. Zawsze kiedy był z dala od Foxy, wyobrażał ją sobie pogrążoną we śnie, jej długie ciało nieruchome, dojrzewające nieświadomie. Czasami, kiedy przyjeżdżał po południu, Foxy drzemała na kanapie. Ciemna woda połyskiwała w wijących się kanałach. Daleka latarnia morska w Lacetown falowała w upale. Charakterystyczny dla pełni lata zapach siana unosił się nad opadającym ku bagnom zboczem, porośniętym nawiodą i zamieszkanym przez polne myszy. Przy drzwiach stały pieńki po krzakach bzu. Na podjeździe nie parkował samochód robotników, jedynie jej używany plymouth, błękitny jak okładka kościelnego śpiewnika.

Piet uniósł metalowy haczyk od furki. Obejrzał nieskończony szkielet przybudówki, zauważył dwa źle przybite i ułamane fragmenty legatów podłogowych, obszedł dom od frontu, gdzie poprzednio znajdowała się weranda, a teraz jej miejsce zajmowała mieszanina błota, rozbryzganego cementu, ogromnych zakurzonych papierowych worków, strzępów plastikowej folii i wełny izolacyjnej. Potem zapukał do bocznych drzwi, które jakby były wypychane od wewnątrz przez wypełniającą dom ciszę. W środku coś zastukało – Cotton, karmelowy kocur, ciężki i powolny. Piet wszedł do środka, a kot uklonił się, przeciągnął i zamruczał w oczekiwaniu, że gość go podniesie. Wewnątrz czuć było błogi zapach wiórów.

Foxy spała piętro wyżej. Chcąc obudzić ją delikatnie, Piet zaczął przechadzać się po niewykończonych pokojach, sprawdzając scyzorykiem fugi, otwierając i zamykając drzwiczki szafek, które przytrzymał na miejscu wmontowany u dołu magnes. Usłyszał nad głową kroki cięższe niż kocie. Zaczął uważnie sprawdzać detale miedzianej instalacji, zamontowanej nad starym kamionkowym zlewem. Hydraulicy nie dokończyli pracy i zdawało się, że rury są jak niemy krzyk. Foxy stała tuż za nim, ubrana w narzucony na halkę, luźno zawiązany szlafrok. Wzrok miała zamglony od snu, a wilgotne blond włosy przyklejone do policzka, który przed chwilą spoczywał na poduszce.

*Powiedzieli, że wrócą.*

*Zastanawiałem się właśnie, dlaczego przerwali pracę.*

*Mówili coś o gwintownicy i kolankach.*

*Hydraulicy to zmora branży budowlanej. Hydraulicy i murarze.*

*Mają w zwyczaju nagle znikać?*

*Nawet kiedy znikają, robią to powoli. Ty i Ken musicie mieć już serdecznie dosyć mieszkania w samym środku tego bałaganu.*

*W dzień Kena nigdy nie ma, a dla mnie to nawet zabawne, że ciągle jacyś mężczyźni przynoszą mi prezenty. Siedzę sobie z Adamsem i Comeau przy stoliku, w salonie i rozmawiamy o tym, jak to kiedyś było w Tarbox.*

*To znaczy kiedy?*

*Wygląda na to, że Tarbox zawsze było słonym miasteczkiem. Masz ochotę się czegoś napić? Obudziłam się okropnie spragniona, zaraz zrobię lemoniadę. Potrzeba do niej tylko zimnej wody.*

*Powinienem wrócić do biura i zrobić porządek z tymi hydraulikami.*

*Obiecali, że wrócą, żebym miała ciepłą wodę. Masz coś przeciw różowej lemoniadzie?*

*Taką lubię najbardziej. Moja mama zawsze robiła różową. Z truskawkami.*

*W starych dobrych czasach, o których opowiadali mi Adams i Comeau, Dwinity Street jeździł tramwaj, z którego wysypywał się tłum pijaków, jako że Tarbox było jedynym*

miastem między Bostonem a Plymouth nieprzestrzegającym prohibicji. Przyjeżdżali nawet w czasie śnieżycy. To zabawne z tymi tramwajami. Istniały przez jakiś czas, a potem je zlikwidowano.

Zawsze źle się w nich czułam. Robiło mi się niedobrze od zapachu cygara, które palił motorniczy.

A jeśli chodzi o bałagan, to co z miejscem, w którym znajdowała się stara weranda? Chcesz tam mieć trawnik patio czy coś innego?

Planuję tam obrośniętą winoroślą altankę. Dlaczego się śmiejesz?

W ten sposób zasłonisz światło, które zyskałaś po zburzeniu werandy. Zniknie też widok na który otwierają się teraz okna.

Widok mi się znudził. To pasja Kena. Zawsze spogląda na zewnątrz. Opowiem ci o altance obrośniętej winoroślą.

Opowiedz.

Pewnego lata, kiedy dorastałam, tuż przed Pearl Harbor, moi rodzice zapragnęli wyjechać na jakiś czas z Bethesdy. Wynajęli na miesiąc ceglany dom w Wirginii z ogromną, obrośniętą winoroślą altanką, pod którą mrówki usypywały małe kopce. Ile mogłam mieć wtedy lat? To było w czterdziestym pierwszym roku, czyli siedem. Wybacz, zazwyczaj nie jestem taka rozmowna.

Wiem.

Pamiętam, że boczne pędy przypominały kształtem litery.

Ułożyła palce w literę A.

Staralam się zbierać pełną kolekcję. Od A do Z.

Jak daleko zaszłaś?

Chyba do D. Nie byłam w stanie znaleźć idealnego E. A przecież można by pomyśleć, że w takim gąszczu pędów wszystko się znajdzie.

Trzeba było przeskoczyć do F.

Byłam przesadna i uważałam, że nie wolno mi tego zrobić. Miałam wtedy różne zahamowania.

Piet się skrzywił. Lemoniada była za kwaśna.

Z czasem zdają się całkowicie znikać. Zahamowania znaczy się. W pewien sposób brakuje mi ich.

Jakie to smutne. Dlaczego ci ich brakuje? Mnie zupełnie nie. Od czasu, kiedy zaszłam w ciążę, stałam się okropnie zapuszczona. Spójrz na mnie, mam na sobie szlafrok. Uwielbiam go.

Jej usta na tle różowej skóry wyglądały jak białe, jak gdyby posmarowała je ochronną pomadką.

Chcesz poznać sekret?

Lepiej nie. Powiedz, w jakim odcieniu bieli chciałabyś mieć stolarkę w salonie? Czystym, błyszczącym, żółtawym czy kości słoniowej?

To zupełnie niewinny sekret. Od wielu lat chciałam zająć w ciążę, ale trochę się bałam. Nie chodziło o to, że stracę figurę, bo i tak zawsze byłam zbyt szczupła, by się tym martwić. Wydawało mi się natomiast, że moje dało może zaskoczyć innych niemile. Przez długi czas nie powiedziałam o swojej ciąży nikomu oprócz Bei Guerin.

Która opowiedziała o niej wszystkim.

Wiem i cieszę się, że to zrobiła. Bo okazało się, że to nie ma znaczenia. Ludzi to po prostu nic nie obchodzi. Zarozumiałstwem z mojej strony było sądzić inaczej. Tak właściwie to odnoszą się do ciebie z większą życzliwością, jeśli wyglądasz gorzej niż zazwyczaj. Jeśli wyglądasz, jakbyś byt nieco zużyty.

Ty tak nie wyglądasz, moim zdaniem.

Ty też nie.

*Czy mężczyznę ktoś może wykorzystać? To zazwyczaj oni wykorzystują.*

*Jakże się mylisz. Wykorzystujemy was bez przerwy. Tylko to potrafimy robić. Ale fakt, że to mówisz, ma związek ze wspomnianym brakiem zahamowań. Prawdziwy z ciebie purytanin. Nie oszczędzasz się. Początkowo sądziłam, że spadłeś ze schodów i wyczyniasz wygibasy, żeby się popisać. Ale ty to robisz, żeby wyrządzić sobie samemu krzywdę. Mając nadzieję, że ci się uda. Dlaczego się śmiejesz?*

*Bo jesteś bardzo bystra.*

*Nieprawda. Opowiedz mi o swoim dzieciństwie. Moje było wyjątkowo szare. Rodzice w końcu się rozwiedli. Byłam tym zdumiona.*

*My mieliśmy szklarnię. Rodzice mówili z holenderskim akcentem. Bardzo się starałem, żeby go po nich nie odziedziczyć. Zginęli wiele lat temu w wypadku samochodowym.*

*Tak, jasne. Freddy Thorne nazywa cię naszą sierotką.*

*Często się z nim widujesz?*

*Tyle, ile trzeba. Zagaduje mnie na przyjęciach.*

*Wszystkich zagaduje.*

*Wiem. Nie musisz mi tego mówić.*

*Przepraszam. Nie miałem zamiaru w ogóle niczego ci mówić. Jestem pewien, że wiesz już wystarczająco. Chcę po prostu skończyć pracę, żebyście wraz z dzidziusiem spędzili nadchodzącą zimę wygodnie.*

*Jej usta znieruchomiały na moment, zamarły, blade, mierzące przestrzeń jak suwmiarka.*

*Jeszcze nie ma nawet lipca, powiedziała.*

*Czas szybko płynie.*

*Tak odpowiedział. Jeszcze nie było lipca, a on jej ani razu nie dotknął, poza zwyczajowym powitaniem i w czasie tańca. Foxy była od niego nieco wyższa, ale pozwalała się prowadzić. Delikatnie opierała rękę na jego plecach i miękko obijała się o niego twardym brzuchem. Teraz wyczuł w niej zniecierpliwienie, kiedy siedziała owinięta w szlafrok na kuchennym stołku. Można ją było nawet uznać za agresywną, nieatrakcyjną, skażoną rozgadaniem oczekiwaniem i ciężową bladością.*

*Dobra lemoniada.*

*Rzucił to niezobowiązująco, w tym samym momencie, kiedy Foxy ostro spytała:*

*Dlaczego chodzisz do kościoła?*

*A ty?*

*Ja spytałam pierwsza.*

*Zwyczajnie. Jestem tchórzem. Tradycjonalistą. Religijnym republikaninem. Tam są duchy moich rodziców, a starsza córka śpiewa w chórze. Jest taką dzielna.*

*Przykro mi, że jesteś republikaninem. Moi rodzice uwielbiali Roosevelta.*

*Moi czuli się urażeni faktem, że jest Holendrem. Uważali, że Holendrzy nie mają żadnego interesu w tym, by rządzić krajem. Wydaje mi się, że uważali władzę za grzech. Ja nie mam na ten temat żadnych poważnych przemyśleń. No, może poza jednym. Uważam, że Ameryką jest w tej chwili jak obsypane cukierkami, niekochane dziecko. Jak kobieta w średnim wieku, której mąż przywozi prezent z każdej podróży, ponieważ ją zdradza. Kiedy byli świeżo po ślubie, nie musiał jej dawać prezentów.*

*Kim jest ten mąż?*

*To oczywiście Bóg. On już nas nie kocha. Kocha Rosję.*

*Ugandę. My jesteśmy otyli i pryszczaci i zawsze domagamy się więcej cukierków. Straciliśmy jego względy.*

*Dużo rozmyślasz o miłości, prawda?*

*Więcej niż inni ludzie?*

*Tak mi się wydaje.*

*Tak właściwie to nigdy o niej nie myślę. To działka twojego przyjaciela, Freddy'ego*

Thorne'a.

*Chciałbyś mnie pocałować?*

*Tak, bardzo.*

*Więc dlaczego tego nie zrobisz?*

*Nie wydaje mi się to stosowne. Nie mam odwagi. Nosisz dziecko innego mężczyzny.*

Foxy wstała, zniecierpliwiona.

*Ken boi się mojego dziecka, wykrzyknęła. Mnie też się boi. Ty też się mnie boisz.*

Piet podniósł się z krzesła. Foxy stanęła obok niego i zwróciła się do niego głosem tak cichym, jak niewielka była między nimi odległość.

*Czyż nie jesteśmy w naszym domu? Czy nie budujesz go dla mnie?*

Nim ją pocałował – wiedział już, że nie ma innego wyjścia – zobaczył na jej twarzy wyraz idealnego spokoju i całkowity brak emocji. Przypominała płomień świecy na słabnącym wietrze, prostą drogę biegnącą bez celu albo holenderskie kanały. Dotykając jej skóry pod luźnym szlafrokiem, odkrył, że jest prawie jak z drewna, chociaż żywa i należąca już do niego. Ciało Foxy tak szybko stało się dla niego znajome, że nie odczuwał potrzeby wzięcia jej od razu, na miejscu. Podobnie jak obejmujący się w kuchni mąż i żona, którzy zaprzestają pieszczot, ponieważ wiedzą, że wkrótce będą mieć dla siebie całą noc, kiedy dzieci będą już spały i nie zapuka listonosz.

Znalazszy się znów na zewnątrz, pośród rozjeżdżonej gliny, wiórów, stosów gontów i pozostałości krzewów bzu, Piet miał cały czas przed oczami jej włosy, rozjaśnione przez słońce Tarbox, przyklejone częściowo do policzka. Gdy ją pocałował, odwróciła powleczonej rumieńcem twarz, jak gdyby chciała nabrać oddechu, westchnęła i spojrzała w daleki kąt niewykończonych kuchni. Jej na pozór cienkie usta były w dotyku szerokie, ciepłe i śliskie. Kiedy Piet wyszedł na zewnątrz, pamięć o niej w zetknięciu z tlenem jak gdyby uległa chemicznej przemianie i odurzyła go wszechogarniającą apatią.

Jego pożycie z Angelą zmieniło się pod wpływem przyjemnego zubożenia na wszystko, odrętwienia, którego Georgene nigdy w nim nie wywoływała. Piet miał Foxy we krwi; bezustannie rozmyślał o tym, co mu do tej pory zdążyła ujawnić: delikatne włosy łonowe, wysokie krzyki w trakcie stosunku, niespodziewanie długie i czułe zabawy jego fallusem, którego brała do ust. Opanowała go obsesja bycia gospodarzem i sekretnym ogrodnikiem.

*Nie wiedziałem, że w tym miejscu też jesteś blondynką.*

*A jaka miałabym być? Ty jesteś rudy.*

*Ale twoje włosy są takie delikatne. Przezrocyste. Jak meszek na róży.*

Roześmiała się.

*Nauczyłam się z tym żyć, więc ty też musisz.*

Żył jak we mgle, posuwając się naprzód po omacku, pomiędzy wspaniałymi, niejasnymi chwilami, kiedy szybko zsuwali z siebie ubrania i Foxy układała się obok niego z napiętym, lśniącym brzuchem. Wtedy on otwierał się jak obiekt i jak oślepiiony śniegiem narciarz gubił się pomiędzy zboczami jej ciała tuż-tuż. Lipiec był już piątym miesiącem jej ciąży, więc musieli kochać się w niezbyt romantyczny sposób. Pochylenie się sprawiało Foxy trudność, więc ześlizgiwała się z łóżka, żeby go pocałować.

*Naprawdę sprawia ci to przyjemność?*

*Ogromną.*

*Jaki mam smak?*

*Przyjemny. Słony i mocny. Odrobinę gorzki, jak cytryna.*

*Boję się, że zrobię ci krzywdę.*

*Niczego się nie bój.*

Nie miewała orgazmów. Bez względu na to, z jaką radością go przyjmowała i jak umiejętnie obracał jej ciałem, pieszcząc dłońmi i językiem, ostatecznie ich drogi zawsze się

rozchodziły.

*Wejź we mnie.*

*Jesteś gotowa.*

*Chcę mieć cię w sobie.*

Czuł spóźnienie jej wewnętrznej muzyki. Miała młodą, ciasną cipkę. Coś jakby rozdrażnienie popychało go na sam skraj, a kiedy zaczynała skomleć, dochodził i wtedy dysząc, opadała. Ale wybaczała mu, a on wybaczał jej; obwiniała się, a on się temu sprzeciwiał i oboje akceptowali swoją winę, przez co ich miłość była bezustannie poddawana próbie i rosła. Kiedy Foxy patrzyła na niego piwnymi oczami, odbijał się w nich kwadratowy światek. Zaczęła go przepraszać.

*Wybacz mi. Nie mogę do końca zapomnieć, że to ty.*

*A kim powinienem być?*

*Nikim. Po prostu mężczyzną. Myślę o twojej osobowości i to mnie zbija z tropu.*

*W wypadku Kena też ci się to zdarza?*

*Nie. Czasami dochodzę pierwsza. Znamy się już od tak dawna, że zachowujemy się dość obojętnie wobec siebie i wykorzystujemy nawzajem. Tak czy inaczej, jak ci już mówiłam, od kiedy urósł mi brzuch, nie kochamy się zbyt często.*

*To dziwne. Jesteś śliczna. Masz lśniącą skórę, nawet twój kształt zdaje się normalny. Nie mogę sobie wyobrazić kochania się z tobą z płaskim brzuchem. Nie byłabyś sobą. Brakowałoby ci tej okazałości.*

*Ken to dziwny człowiek. Chciałby zaszukawać seks. Poślubił mnie, i to w jego mniemaniu rozwiązało problem. Nigdy nie chciał, żebym zaszła w ciążę. Nie chodziło o brak pieniędzy, tylko o egoizm. Przez te wszystkie lata nie byłam jego żoną, ale cotygodniową dziwką.*

*Jestem zazdrosny.*

*Nie masz powodu. Piet, nie miej wyrzutów sumienia dlatego, że nie mogę dojść. Problem polega na tym, że będąc z tobą, za bardzo czuję miłość.*

*To miłe z twojej strony, ale szczerze się obawiam, że po prostu mi nie idzie. Tak jak w wypadku jazdy na nartach i golfa. Za późno zacząłem.*

*Jesteś okropny. Nie znoszę, kiedy domagasz się komplementów. Wszystkie panie muszą ci mówić, jaki jesteś wspaniały. Niesamowicie czuły.*

*Każdy mężczyzna, który zabrałby cię do łóżka bez ubrania, byłby niesamowicie czuły.*

*Nieprawda. W swoim życiu miałam zaledwie trzech mężczyzn, a pozostała dwójka nie wykazywała się zbyt dużą czułością.*

*Żyd też nie?*

*Opowiedziała mu o Żydzie.*

*Śmiał się ze mnie. Czasami robił mi krzywdę. Ale wtedy byłam dziewicą i prawdopodobnie nie był w stanie się powstrzymać. Teraz pewnie by się tak nie zachował.*

*Chciałabyś go teraz mieć?*

*Mam go. Czy to coś złego? Mam go w tobie i ciebie na dodatek. Tak jest lepiej. On był strasznie perwersyjny, Piet.*

*Ty też jesteś perwersyjna.*

*Otworzyła szeroko oczy w dziecinny sposób. – Jak to? Chodzi ci – dotknęła palcem ust, a potem jego penisa – o to? Dlaczego uważasz, że to perwersyjne? Nie podoba ci się?*

*Uwielbiam to. Bardzo nas do siebie zbliża, ale też budzi moją obawę.*

*Naprawdę? Cieszę się. Bałam się, że tylko ja się tak czuję. Piet, jak myślisz, co z nami zrobi świat?*

*Martwisz się o Boga czy o świat?*

*A czy to niejedno i to samo? Ja myślę, że są nierozdzielnie połączeni.*

*Może o to właśnie mi chodziło, kiedy powiedziałem, że jesteś perwersyjna.*

Jej twarz tak blisko wydawała mu się paradygmatem, wzorem wszystkich kobiecych twarzy, które się do niego zbliżały. Jej obojętne czoło i oddech mogłyby należeć do Angeli; potem obróciła głowę na poduszce i zimne niebieskie światło ze świetlika padło na jej różową twarz. To z pewnością nie była jego żona, tylko Foxy Whitman, młoda cudzołożnica.

Wystraszona, bezwstydna, nieśmiała, lubieżna, zbulwersowana własnym zachowaniem, nieskruszona. Zdrada rozpaliała ją od wewnątrz, jak koszulka żarowa w lampce gazowej, jak obwieszony draperiami i podzielony przepierzeniami z materiału dom, który uległ podpaleniu, ale opierał się pożarowi i dymił i żarzył się, stojąc w płomieniach. Ponieważ mu nadskakiwała; ponieważ szczyła się swoją ciążą, wcale na nią nie zważając; ponieważ sypiała z nim; ponieważ jej ojciec był nieustępliwym, dumnym z rodziny urzędnikiem marynarki wojennej; ponieważ jej matka wyszła za właściciela sieci pralni samoobsługowych; ponieważ zarówno ze względu na urodzenie, jak i zamążpójście znajdowała się wyżej od niego na drabinie społecznej; ponieważ brała jego nabrzmiały od krwi członek i wkładała do miękkich jak płatki kwiatów ust; ponieważ odnalazła w nim Żyda z przeszłości; ponieważ jej umysł pośród miłosnych spazmów pozostawał czasem równie beznamiętny i otwarty jak u mężczyzny; ponieważ miała delikatne, kruche ciało, które płonęło obecnością innego życia; ponieważ była jego niewolnicą; ponieważ on był jej najemnym robotnikiem; ponieważ się bała – w porównaniu z tymi zmiennymi, jasnymi jak dzień sprawami, Angela jawiła się jak twarda bryła, przeszkoda, zabite deskami drzwi. Nieświadomość rozwijającego się tuż pod jej nosem romansu, o którym pozostałe pary już dawno wiedziały, leżała u podstaw jej irytującej nieprzezroczystości. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co dla nich stało się najważniejsze. Była kaleką, niemową; w pomalowanych na jasny żółty pokojach drażniła napięte nerwy Pieta. Przepęniała go Foxy, był brzemienny jej ciałem, zapachami, okrzykami, wyrzutami sumienia, ucieczkami i wonnymi powrotami, był tak pełen miłości, że jego równowaga psychiczna stała się krucha jak lód. Piet błagał Angełę, by się wszystkiego domyśliła, a ona świadomie się przed tym wzbraniała. Wdzięczność za to, że pozwalała się oszukiwać, przekształcała się pod wpływem rosnącego, zamkniętego w ciemnościach sekretu we wściekłość, która w każdej chwili mogła wybuchnąć.

– Obudź się!

Siedziała, czytając książkę w świetle lampy. Zmrużyła oczy. Podniósłszy je znad białych stron, nie była w stanie go zobaczyć.

– Nie śpię.

– Nieprawda. Płyniesz przez życie jak w jakimś transie. Nie widzisz, co się z nami dzieje?

– Czuję tylko, że z dnia na dzień robisz się coraz bardziej podły.

Objijające się ćmy uderzały w abażur przy jej ramieniu, starając się na nim utrzymać.

– Martwię się – powiedział.

– Czym?

– Wszystkim. Rozbestwionym kanciarzem Gallagherem. Gównianymi domkami na Indian Hill. Jazinskim, który uważa mnie za alkoholika. Pracą dla Whitmanów. Tracę swoje pieniądze, a ten sukinsyn nawet nie okazuje wdzięczności.

– Myślałam, że lubisz tam codziennie wpadać, żeby odwiedzić małą królową.

Roześmiał się z ulgą.

– Tako niej myślisz?

– Uważam, że jest młoda. I arogancka. Sądzę, że ostatecznie złagodnieje, kiedy urodzi dziecko. Moim zdaniem nie potrzebuje twoich ojcowskich względów.

– Dlaczego przypuszczasz, że obdarzam ją ojcowskimi względami?

– Ojcowskimi czy jakimiś tam. Mogę wrócić do książki? Ani Foxy Whitman, ani ta rozmowa nie wydają mi się aż tak ciekawe.

– Jaka ty jesteś z siebie zadowolona. Tak bardzo, że aż przykro popatrzeć.

– Słuchaj, obiecuję się z tobą dzisiaj kochać, pozwól mi tylko doczytać do końca rozdziału.  
– Możesz nawet skończyć całą tę pieprzoną książkę. Wsadź ją sobie. Zafunduj sobie prawdziwą literacką podniecie.

Usłyszała błaganie w tym wybuchu agresji i starała się podnieść głowę, ale zadrukowana strona przyciągała jej wzrok jak magnes.

– Nie możesz się zrelaksować przez dziesięć minut? – spytała z roztargnieniem. – Zostało mi jeszcze pięć stron.

Piet skoczył na równe nogi, przeszedł parę kroków w kierunku lustra wiszącego nad telefonem i zawrócił.

– Muszę wyjść. Pójść na jakąś imprezę. Ciekawe, co robią Applesmithowie. Albo Constalcowie.

– Mów ciszej. Już jedenasta.

– Umieram. Jestem trzydziestoczteroletnim budowlańcem nastawionym na szybki zysk. Nie mam synów, żona mnie lekceważy, pracownicy mną gardzą, wszyscy moi przyjaciele są przyjaciółmi mojej żony. Jestem sierotą, pariasem.

– Raczej zwierzęciem w klatce.

– Tak.

Przyjął wojowniczą pozę, stając przed Angelą z pięściami opartymi na biodrach, żwawy, krępy, rudy mężczyzna. Podwinięte rękawy od koszuli ukazywały obsypane piegami przedramiona.

– A kto zbudował tę klatkę, kochanie? Powiedz. No kto?

Chciał, żeby wydobyła z niego sekret, który ją oczaruje i napełni podziwem, pragnął, by razem badali jego zawilosci i pielęgowali go. Jednakże Angela pozostawała zamknięta w równoległym, spoczywającym na jej kolanach świetle – jednocześnie zmysłowym i restrykcyjnym, mieszającym bezwstyd kochanka z ojcowskim współczuciem – i nic nie odpowiedziała. Wcześniej niedoceniana przez nią książka pochodziła z czasów akademickich. Było to pokryte młodzieńczymi zapiskami i plamami olejku, którego używały z współlokatorkami pod kwarcówką, wydane w serii Modern Library *Objaśnianie marzeń sennych*.

Na plaży Janet przyznała się Angeli, że chodzi do psychiatry.

– Tylko dwa razy w tygodniu w ramach terapii, nie jak w regularnej psychoanalizie – wytłumaczyła później Angela Pietowi. – Frank popiera jej decyzję. Opisała powrót do domu o trzeciej nad ranem po okropnej kłótni z Marcją u mniejszych Smithów. Zdała sobie wtedy nagle sprawę, że potrzebuje pomocy osoby, która nie jest jej przyjacielem ani kochankiem i która nie ma najmniejszego powodu, by się o nią martwić. Była dopiero na kilku sesjach, ale już jest przekonana, że nie wie, dlaczego robi to, co robi. Nigdy nie kochała Harolda, więc dlaczego poszła z nim do łóżka? Wmawiała sobie, że zrobiło jej się go żal, ale on sam zupełnie się nad sobą nie litował, więc kogo chciała w ten sposób oszukać? I dlaczego nawet teraz, mimo iż przestali ze sobą sypiać, a przynajmniej ona z Haroldem, nadal nie są w stanie przestać spędzać wszystkich weekendów całą czwórką? Mówiła, że dołączyli też do nich Thorne'owie, zwłaszcza Freddy...

– Ten dupek – wtrącił Piet.

– ...i teraz dopiero się zrobił bałagan. Cebulowe krążki i dżin. Wygląda na to, że Thorne'owie nigdy nie wracają do domu. Georgene po prostu siedzi i pije, chociaż nigdy wcześniej tego nie robiła, a Freddy pisze na kolanie niekończącą się sztukę erotyczną.

– Więc Janet chodzi do psychiatry, bo Georgene zaczęła pić?

– Oczywiście, że nie. Chodzi do niego, bo uważa się za neurotyczkę.

– Co to znaczy?

Janet miała w posiadaniu sporą kolekcję bikini i Piet wyobraził ją sobie, jak wyznaje to

wszystko, leżąc na brzuchu na piasku, z rozwiązanym stanikiem, żeby się równo opalić, z policzkiem wspartym na złożonym ręczniku, i kiedy podnosi się na łokciach, żeby coś lepiej wytłumaczyć, albo sprawdzić, co robią dzieci, ukazując białe piersi.

– Wiesz, kim jest neurotyk. Robi różne rzeczy, sam nie wiedząc dlaczego. Na przykład sypia z wieloma kobietami, a tak naprawdę chce zamordować własną matkę.

– A jeśli matka już jest nieżywa?

– To może chodzi o przywrócenie jej życia. Ego występuje w roli mediatora między rzeczywistością zewnętrzną a id, czyli naszymi żądzami. Ego przenosi złe wieści tam i z powrotem, ale id nie chce go słuchać i stara się mimo wszystko robić to, co chciało, choć ego się przeciwstawia. Nie potrafię tego dobrze wytłumaczyć, bo nie do końca wszystko rozumiem, ale sny są sposobem na uwolnienie tych zahamowań, które na ogół wiążą się z seksem, który w dużej mierze wiąże się z naszymi rodzicami, którzy stali się naszym superego i dręczą nasze ego z zaświatów. Zresztą sam to dobrze wiesz, tak jak i każdy.

– Uważasz więc za coś nienaturalnego to, że Janet sypia od czasu do czasu z Haroldem? Frank potrafi być prawdziwym gburem. Chciałabyś sypiać z nim noc w noc, do końca życia?

– Tu nie chodzi o to, czy to naturalne, czy nienaturalne, właściwe czy niewłaściwe. Po prostu należy zrozumieć, dlaczego się postępuje w pewien sposób, żeby przestać to robić. Albo zacząć czerpać z tego przyjemność. Janet z pewnością nie czuje się szczęśliwa. Nie sądzę, by czerpała przyjemność z posiadania dzieci, z seksu czy nawet pieniędzy. A mogłaby mieć wspaniałe życie. Przecież niczego jej nie brakuje.

– Właśnie tacy ludzie są najbardziej nieszczęśliwi. Ci, którzy mają wszystko, najczęściej wpadają w panikę. Pozostali są zbyt zajęci walką o przeżycie.

– Co za prymitywne podejście. Twierdzisz, że bogaci nie przejdą przez ucho igielne. Ze pierwsi będą ostatnimi.

– Nie nabijaj się z Biblii. Jaki masz interes w tych sztuczkach z ego i id? Czemu jesteś taka czuła na tym punkcie? Pewnie sama chcesz iść do psychiatrii.

– Tak.

– Po moim trupie. Nie pozwolę na to, póki jesteś moją żoną.

– Ach tak? Myślisz o tym, żeby znaleźć sobie inną żonę?

– Oczywiście, że nie. Ale to dla mnie obraźliwe. Oznacza, że nie zaspokajam cię seksualnie.

– Nieprawda.

– W takim razie masz dosyć seksu.

– Właśnie. Może psychiatra będzie w stanie mi wyjaśnić, dlaczego nie chcę więcej. Chcę i nie chcę zarazem. Nie znoszę się w tym stanie. Cierpimy przez to oboje.

Piet poczuł konsternację. W głębi duszy zakładał, że Angela wie najlepiej, jak należy postępować, i że ilość seksu, na jaką zezwalała, jest najwłaściwsza, a zwiększony popęd to jego problem, jego wina.

– Uważasz, że coś jest nie tak z naszym życiem seksualnym? – spytał.

– Jest okropne. Straszne. Przecież wiesz.

Piet potrzebował dokładniejszych danych.

– Jak byś je oceniła w skali od jednego do dziesięciu?

– Na dwa.

– Daj spokój, nie jest tak źle. Bywasz rozkoszna.

– Rzadko się to zdarza. I nie używam dłoni ani ust, ani nic takiego. Jestem chora. Potrzebuję pomocy, Piet. Przeze mnie zmieniasz się w despota i krętacza, a ja staję się jedną z tych czcigodnych panius, o których wszyscy opowiadają, jakie to były piękne za młodu.

Z jej niebieskich oczu popłynęły łzy. Kiedy płakała, puchła jej twarz, tak jak Nancy. Pieta to poruszyło. Siedzieli w kuchni, ona popijając wermut, a on dżin z tonikiem. Dziewczynki już spały. Na tle tapety w czerwone kwiatki przyjemnie owalna głowa Angeli, z letnimi



warkoczykami i kokiem, emanowała szlachetną elegancją. Nagle Piet zdał sobie sprawę, że przez swój ekstrawertyzm Angela przygotowuje go na kolejną noc bez seksu. Potwierdziła to przyznaniem się do oziębłości.

– Ale wszyscy cię kochają – zaprotestował. – Każdy facet w mieście chciałby pójść z tobą do łóżka. Nawet Eddie Constantine z tobą flirtuje. John Ong cię uwielbia. Okazywałyby to lepiej, gdyby można go było zrozumieć.

– Wiem. Nie sprawia mi to jednak żadnej przyjemności. Nie mam ochoty iść z nikim do łóżka. Tak naprawdę nie czuję się kobietą. Jestem jak wesoły obojnak, którego dla żartu obdarzono seksapilem.

– Moje biedactwo. To jak mieć na plecach przyczepiony napis: „Kopnij mnie”.

– No właśnie. Słuchając Janet, zdałam sobie sprawę, jak bardzo jesteśmy do siebie podobne. Ten stały przymus, by być miłym dla rozmaitych kreatur, a w sercu obrzydzenie i pustka. Obie pochodzimy z dobrych rodzin, mamy duże tyłki, próbujemy być zabawne, a w ostateczności się nami pomiata. Wiesz, że Janet trzyma przy łóżku tabletki nasenne i niekiedy nie liczy już nawet, ile ich połyka?

– Ty tak nie robisz.

– Ale mogłabym. Sposób, w jaki to opisywała, brzmiał znajomo. Uwielbiam spać, zapaść się w nicość snu. Wspaniale byłoby się nie obudzić.

– Angelo! To grzech tak mówić.

– Ale różnię się od Janet przede wszystkim tym, że ona stara się wyrzucić z siebie to, co jej doskwiera, podczas gdy ja wszystko tłumię wewnątrz. Nie sądzisz?

– Mnie nie pytaj.

– Jestem pewna, że miałeś z nią romans i dobrze wiesz, co mam na myśli. Opowiedz mi o nas, Piet.

– Co za pomysł! Nigdy nie spałem z Janet.

– W pewien sposób pragnę, byś to zrobił. W lesbijski sposób. Leżąc obok niej na plaży, czułam dziwny pociąg. Chyba mam lesbijskie skłonności. Załuję, że nie chodziłam do szkoły dla dziewcząt, w której nosi się tuniki i gra się w hokeja na trawie, a po ciepłej kąpieli siedzi się w kółku i słucha poezji.

– Jeśli tak dokładnie to wszystko przeanalizowałaś, to psychiatra ci niepotrzebny.

– Niczego nie przeanalizowałam, po prostu zgaduję. Pewnie powiedziałyby, że prawdą jest coś zupełnie odwrotnego. Na przykład, że nie znoszę być dotykana przez inne kobiety. Carol Constantine ma w zwyczaju klepać ludzi po plecach, tak samo jak Bea. Mógłby powiedzieć, że jestem zbyt heteroseksualna jak na współczesną Amerykę. Dlaczego na przykład nikt się ze mną nie ożenił, dopóki ty się nie pojawiłeś? Musiałam wszystkich wystraszyć.

– Ty albo twój ojciec.

– Mogę powiedzieć ci jeszcze jedną chorą rzecz? Zniesiesz to?

– Postaram się.

– Masturbuję się.

– Kochanie moje. Kiedy?

– Częściej latem niż zimą. Budzę się niekiedy między czwartą i piątą, kiedy ptaki zaczynają śpiewać albo kiedy drogą przejeżdża ciężarówka, a moja skóra jest niezwykle wrażliwa na dotyk pościeli. Wtedy to robię.

– To brzmi zupełnie normalnie. Wyobrażasz sobie kogoś, jakiegoś konkretnego mężczyznę?

– Dość mgliście. To głównie odczucie. Jesteś jedynym mężczyzną, jakiego miałam w życiu, więc jeśli kogoś sobie wyobrażam, to ciebie. Dlaczego więc nie budzę prawdziwego ciebie?

– Jesteś zbyt taktowna i nieśmiała.

– Akurat, Piet. Gówny prawda.

– Musisz przestać rozmawiać z Freddyem Thorne'em na przyjęciach. Twoje słownictwo schodzi na psy.

– To ja schodzę na psy. Nie wiem już, jak się powinnam zachowywać w tej seksbombie.

– Seksbombie?

– Tarbox.

– Seksbomba to osoba, a nie miejsce.

– Ta jest miejscem. Zabierz mnie stąd albo pozwól mi iść do lekarza.

– Nie bądź głupia. Tarbox jest takim samym miasteczkiem jak wszystkie inne w całym kraju. Chcesz po prostu powiedzieć, że jesteś za dobra dla tego świata. Jesteś za dobra dla nas wszystkich, do jasnej cholery.

– Nie podnoś głosu. Nie znoszę tego tonu.

– Pewnie, że nie znosisz. Mnie nie znosisz, to mojego głosu też nie.

– To nieprawda, że cię nie znoszę.

– Chyba jednak tak, ponieważ ja też zaczynam mieć cię dość.

– Ach tak. Teraz już wiem.

– Nie chciałem tego tak powiedzieć. Jesteś cudowna. Ale równocześnie taka egocentryczna. Nie masz pojęcia, jaki jestem naprawdę.

– Chcesz powiedzieć, że masz romans, a ja mam zgadnąć z kim?

– Nie o to mi chodziło.

– Foxy Whitman.

– Nie bądź śmieszna. Ona jest w ciąży i uwielbia swojego lodowatego męża, a poza tym jest dla mnie w pracy prawdziwym utrapieniem.

– No tak, ale dlaczego w takim razie ciągle przychodzi mi to na myśl? Wiem, że jestem przewrażliwiona, ale za każdym razem, kiedy tam jedziesz, a potem wracasz tak czuły w stosunku do mnie i dzieci, wydaje mi się, że się z nią przespałeś. Patrzę na jej twarz i wiem, że ma jakąś tajemnicę. Kiedy ze mną rozmawia, jest taka miła i radosna. Tak dobrze mnie zna, a są tu przecież dopiero od marca.

– Lubi cię. Może też ma lesbijskie skłonności.

– Zresztą nie chodzi tylko o Foxy, to może być Janet, Marcia, a nawet Georgene. Jestem chorobliwie zazdrosna. I im bardziej staję się zazdrosna, tym trudniej jest mi cię kochać. To smutne. Okropne. Wczoraj twój telefon był zajęty przez pół godziny i o jedenastej rano zrobiłam sobie martini, sądząc, że to jakaś kobieta.

Po jej owalnej twarzy było widać, że chciałaby dalej płakać, ale skomplikowany mechanizm wyprodukował w zastępstwie coś w rodzaju półśmiechu. Piet spojrział z zażenowaniem w dół, na jej białe stopy; żaden z małych palców nie dotykał linoleum. Jego biedna, ślepa, zdradzana żona; jakim prawem oderwał ją od jej wszechmocnego ojca? Każdego popołudnia, na godzinę przed końcem pracy, stary Hamilton, za którym ciągnęła się smuga dymu z fajki, siedł przez trawnik między równo przystrzyżonymi żywopłotami, niosąc litrową butelkę heinekera i papierowe kubki dla pracowników.

– Nie mam pieniędzy tak jak Appleby, nie stać mnie.

– Czy ja nie mogłabym zacząć w jakiś sposób zarabiać? – spytała Angela. – Mogłabym zrobić w Bostonie kurs pedagogiczny i zacząć przynajmniej uczyć w jakiejś prywatnej szkole. Nancy idzie do pierwszej klasy i będzie spędzać cały dzień poza domem. Muszę sobie jakoś zorganizować czas. Mogłabym też rozpocząć terapię, przynajmniej dwie sesje tygodniowo, w czasie trwania kursu. Piet, byłabym wspaniałą żoną, wszystkiego bym się o sobie dowiedziała.

Zmartwiło go, że go błaga, że z takim wyprzedzeniem snuje plany na życie. Uważała, że jest mu jeszcze potrzebna, i chciała odważnie zgłębiać swoje wnętrze, by dowiedzieć się, jakie jest jej przeznaczenie, podczas gdy on wiedział, że jest mu już do niczego nieprzydatna, że stanowi zatęchły labirynt, który należy pokonać, by wydostać się na świeże powietrze i do

Foxy. Foxy we śnie, blask księżycy kładący się miękko na jej kościach policzkowych, gładzący po skosie jej brew; kiedy obraz ten pojawił mu się przed oczami, poczuł ucisk w żołądku, skóra pokryła mu się potem, a jego palce i język zaczęły mrowić. Pod gwiazdami rozciągała się srebrna ścieżka. Niczego nieświadoma Angela zagradzała mu drogę.

– Nie – wyrwało mu się w panice, podczas gdy czuł, jak spod nóg usuwają mu się czas, domy, drzewa, istnienia piętrzące się jak gruzy, stracone szanse, obracające się mgławicach gwiazdy. – Nie. Kochanie, nie widzisz, co mi robisz? Nie powstrzymuj mnie!

Na dźwięk jego poniesionego głosu zbladła; rumieniec gorliwości i wyraz ofiarności w oczach zniknęły.

– Dobrze – powiedziała. – Rób, co chcesz. Mogę spytać, jakie masz zamiary?

Piet otworzył usta, żeby jej powiedzieć, ale lodowa skorupa powstrzymała sekret przez ujawnieniem.

Angela odwróciła się od niego niepewnie.

– Twoje wybuchy – powiedziała – stają się coraz mniej śmieszne.

– Obudź się, tatusiu! Dzidzius Jackie Kennedy umarł, bo za wcześnie się urodził!

Twarz Nancy była jak księżyc unoszący się nad horyzontem jego snu. Miała przejrzyste, wielkie ze zdziwienia oczy. Kanaliki łzowe zaczerwienione jak kurze podgardle. Rzeź. Przedwcześnie urodzony Kennedy już od dwóch dni znajdował się na granicy śmierci. Nancy usłyszała pewnie wiadomości w telewizji.

– Przykro mi – powiedział Piet.

Miał gruby, złamany głos. W sierpniu zawsze cierpiał na katar sienny. „Jakie to dziwne”, pomyślał, „ile nieszczęść dotyka tę parę. Nie chroni ich ani bogactwo, ani uroda, ani oddawana im cześć. Cierpią, trzymając w rękach rąbek królewskiej szaty. Nasi słabi bogowie”.

– Tatusiu?

– Mm?

– Czy dzidzius się bał?

Strach, zapach świdrujący jak kocia szczyna, przenikał przez flanelową woń jej dziecięcej skóry. Śnił mu się brat. Brat zamrożony pod szkłem, szczątki papieża, Piet skruszony, że nie został, by mu pomóc, w szklarni byli partnerami. *Is het koud, Joop?* Zmarznięty z przepracowania, zbierający szarotki. Odwrócił się i wyjaśnił pozostałym: *Mijn broeder is dood*. Ale Foxy też pojawiła się w tym śnie, chociaż niezauważalnie; jej obecność, jak przyływ łaski, jak podziemny strumień śpiewający od studni do studni, płynęła pod powierzchnią snu, jak pod podszewką rzeczywistości, żywa, bezustannie zagrożona delikatna istota.

– Dzidzius był za mały, żeby odczuwać strach. Nie zdawał sobie z niczego sprawy. Jeszcze nie myślał.

– On chce do mamusi! – wykrzyknęła Nancy, tupiąc nogą. – Płacze i płacze, a nikt go nie słucha. Wszyscy się cieszą, że stała mu się krzywda.

– Nikt się nie cieszy – zapewnił ją Piet, kładąc na powrót policzek na poduszce, świadom, że dziecko ma rację. Tak naprawdę nikt nie słucha.

Okno, na którego de w nocy jego dłoń miała kształt rogatego potwora, o świcie otwierało się na słodką zieleń liści bzu w kształcie serca i rosnącego nieopodal wiązku. Najwyraźniej przestrzeń oferuje zbawienie. Piet wysunął rękę i wciągnął Nancy w łagodzące ciepło, jakie jeszcze pozostało z jego snu. Starła mu się wyrwać, rozumiejąc, że chce w ten sposób sprawić, by sprawa rozeszła się po kościach. Spoglądała na niego ze złością, czując się oszukana. Tego lata na jej nosie pojawiły się pęgi, chociaż sądzili, że odziedziczyła po matce lekko oliwkową skórę. Spokój Angeli złamany przez jego pełną niepokoju naturę. Krople ołowiu w jej gęstych, ciemnoniebieskich tęczęwkach. Morskie stwory. Niewyraźnie światło

nabiera kształtu staje się myślą, staje się duszą i umiera. Na siatkówce nie zostaje nic.

– Gdzie mamusia? – spytał.

– Już wstała. Wskakuj z łóżka, tatusiu.

– Idź opowiedz mamusi o dzidziusiu Kennedych, a tymczasem tatuś się ubierze. – Poprzedniej nocy chciał się kochać z Angelą i pomimo iż do niczego nie doszło, zasnął nago. Nie chciał wystraszyć dziecka widokiem swojego ciała. – Idź na dół. Tatuś dziwnie się czuje.

– Jesteś pijany?

Niedawno nauczyła się tego słowa i wzbudzało ono w niej strach. Jakiś czas temu Frank Appleby wpełzł do jej kojca, rozgniatając plastikową kaczkę, i następnego dnia wytłumaczyli jej, że był pijany.

– Nie. Byłem pijany wczoraj i teraz tego żałuję. Boli mnie głowa. Przykro mi z powodu dziecka Kennedych.

– Mamusia mówiła, że ja nie umrę. Że najpierw będę bardzo starą panią i będę nosić kolczyki.

– To najprawdziwsza prawda.

Ale...

Niewypowiedziana wątpliwość. Czując dotkliwe parcie na pęcherz, Piet odrzucił z niecierpliwością kołdrę. Jego ciało wypełniło jej oczy, w których pojawiły się łzy.

– Ale dzidzius był jeszcze mniejszy od ciebie? – spytał.

Pokiwała bezradnie głową.

Piet ukląkł i przytulił ją, rozpoznając w ramionach tę samą powściągliwość, której doświadczał, obejmując większe ciało Angeli.

– Dzidzius za wcześniej wyszedł – wytłumaczył szybko. – To był błąd, Bóg nie miał zamiaru dawać mu życia. Nie to co takiej dużej, pyzatej dziewczynce jak ty.

Wystawiona na powietrze nagość i ruch jej skóry w jego ramionach powoli budziły penis Pieta do życia. Pęknięcie w chmurach, promień słońca.

Nancy wyśliznęła się z jego objęć.

– Bóg powinien był powiedzieć dzidziusiowi, żeby nie wychodził! – krzyknęła, stojąc u szczytu schodów.

– Wstałeś już? – zawołała z dołu Angela.

– Zejdę za trzy minuty – odparł.

Włożył coś na siebie, ogolił się, a potem skończył się ubierać. Tego dnia miał pracować wyłącznie w biurze. Z okien sypialni trawnik wyglądał na wypalony słońcem. Tego lata panowała susza. Ciągłe wiało ze wszystkich kierunków. Lodowce topniały. Rzedły gęste lasy. Na Indian Hill plac budowy był bezustannie pokryty warstwą kurzu, który wciskał się pomiędzy nieskończone szkielety budynków, wypełniony sklejką i wiszącymi przewodami elektrycznymi. Gdzieniedzie w pobliskim lesie spragnione klony żółkły przedwcześnie. W nocy głośno ćwierkały świerszcze. Ale bagna widoczne z okien Foxy Whitman nie potrzebowały deszczu,ssały wodę prosto z matki oceanu; rozciągały się bujne i młode, zielone jak wiosna i układające się jak plusz na krętych brzegach zatoczek. W niektóre popołudnia w czasie przypływu woda prawie całkowicie zakrywała bagna i Pietowi zdawało się, że ziemia sięga aż po księżyc. Atlantyda. Ararat.

Wąskie schody wiejskiego domu miały dwa stopnie i kończyły się krok od głównego wejścia, w holu tak ciasnym, że drzwi uderzały w słupek balustrady. Po prawej, w salonie ocienionym przez gęste krzewy bzu, jak wartownicy stały na poręczach foteli i na meblach puste szklanki, używane zeszłej nocy przez mniejszych Smithów, Saltzów i Guerinów. Nancy i Ruth oglądały telewizję. Wyniosły brytyjski urzędnik, którego rozmazany wizerunek transmitowano przez satelitę, opowiadał o kradzieży siedmiu milionów dolarów z londyńskiego pociągu pocztowego, największej zrabowanej sumie w dziejach – „nie licząc, oczywiście, napadów i konfiskat, które w istocie są aktami politycznymi, co chyba jest jasne.

Mamy jednakże prawie całkowitą pewność, że ci ludzie nie mieli nic wspólnego z polityką”. Telewizja wprowadzała do ich domu świat zewnętrzny. Lodowaty blask małego ekranu dowodził, że poza ciepłym środowiskiem Tarbox, kręgiem przyjaciół i rodziny, istniał wszechświat wypełniony zimnem. Lustra ustawione w Nowym Jorku i Los Angeles obserwowały nieprzyjazną przestrzeń między sobą i transmitowały wiadomości, które rzucały na twarze dzieci trujące, drgające, niebieskie światło. Trucizną stanowiło ich własne życie amerykańskie. Od czasów Korei Piet nie przejmował się wiadomościami. Dotyczyły innych ludzi.

Po lewej, w zalanej słońcem kuchni, Angela nakrywała do śniadania. Ustawiała talerze, szklanki, łyżki i noże na prostokątnych podkładkach. Ciemne punkty jej sutków dotykały od środka nocnej koszuli. Miała rozpuszczone włosy, które beztrudno się kołysały, kiedy ruszała głową.

– Biedna Nancy – odezwał się Piet. – Jest zupełnie roztrzęsiona.

– Spytała mnie, czy dziecko Kennedych jest w niebie i biega razem z chomikiem w kołowrotku – powiedziała Angela. – Naprawdę się zastanawiam, czy kultywowanie religii rzeczywiście jest warte zachodu. Może lepiej byłoby powiedzieć im prawdę, że zakopują nas w ziemi, że z niczego nie zdajemy sobie sprawy i będzie na nas trawa rosła.

– Którą zjedzą krowy. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy stoicy uważają, że śmierć jest taka cholernie zdrowa. Jeszcze chwila i wejdiesz do wanny z podciętymi żyłami, żeby to udowodnić.

– To by ci się podobało.

Nancy weszła do kuchni, pochlipując.

– Ruthie mówi... Ruthie mówi...

Za nią wmaszerowała Ruth.

– Powiedziałam, że Bóg jest debilny – uśmiechnęła się szyderczo do siostry. – *Dzieeecko*.

– Ruth! – krzyknęła Angela.

– Debilny? – spytał Piet.

Pokolenie jego córki określało w ten sposób wszystko, co działało nie po ich myśli.

Debilny nauczyciel przetrzymał nas po lekcjach. To debilne pióro nie chce pisać. Frankie to de-bil.

– Właśnie tak – powiedziała Ruth. – Pozwala, by umierały malutkie dzieci i żeby koty zjadały ptaszki i tak dalej. Jesienią nie chcę już śpiewać w chórze.

– To z pewnością sprawi, że Bóg się weźmie w garść.

– Nie widzę powodu, żeby Ruth musiała co niedziela śpiewać w chórze – stwierdziła Angela, stojąc pochylona nad płaczącą Nancy.

Jej rozpuszczone włosy częściowo zasłaniały dziecko. Matkowanie. Szukała u córki tego, czego nie znajdowała u Pieta. Kocha ją bardziej niż jego. Jedna dla drugiej. Symbioza.

– Powinna to robić z tego samego pieprzonego powodu, dla którego ja jestem zmuszony żyć w otoczeniu narzekających bab.

Zjadł śniadanie pośród przykrego milczenia. Tak czy inaczej czuł, że zrobił dobry uczynek: ocalił Nancy od uścisku śmierci. Lepiej jest złościć się niż się bać. Lepiej zabić niż zostać zabitym.

Pojechał do biura Charity Street i zaparkował na Hope. Udało mu się znaleźć miejsce, co ostatnio nieczęsto się zdarzało. Przydałyby się światła na rogu Divinity. Może mylące dla ludzi spoza miasteczka. Za dużo samochodów. Za dużo ludzi. Homoseksualizm rozwiązaniem? Pigułka. Gallagher z wyraźnym irlandzkim akcentem rozmawiał przez telefon.

– Mamy trzydzieści trzy pokoje, siostró, a wyburzenie zaledwie jednej ściany dałoby wspaniały refektarz.

Piet podgrzał wodę grzałką i zrobił sobie kawę rozpuszczalną. Maxwell. Faraday. Usiadł przy biurku i usiłował skoncentrować się na pracy. Drewno, w sumie 769,82 doi., zaległa

płatność, jeśli wcześniej umknęło uwadze, prosimy o przesłanie, jako że mocna zdolność kredytowa, itd. Szczypały go przewody nosowe, łzawiły mu oczy. Kolejny drażliwy sierpniowy dzień. Foxy daleko. Dziela ich całe godziny. Jej śmiech, jej futerko.

Odwiedzić małą królową. Jest dla ciebie zbyt wymuskana.

Zadzwoił telefon.

– Witaj kochanie – usłyszał w słuchawce głos Georgene. Nie rozmawiali ze sobą od miesiąca.

– Dzień dobry – odparł suchym, oficjalnym tonem.

– Jesteś nie sam? Matt w pobliżu?

– Nie. Tak.

Niedawno postawili w ciasnym biurze grube na cal przepierzenie z grubego szkła firmy ASG, które sprawiało, że Gallagher wyglądał nieco bardziej na szefa. Jednakże ścianka była cienka, a kiedy Matt nie przyjmował klientów, zawsze zostawiał drzwi otwarte, żeby był przeciąg. Inaczej marszczyła mu się koszula. Urządził sobie zamkniętą przestrzeń bez okna. W jego pokoiku znajdował się elektryczny zegar, kalendarz Forda, kolorowa mapa administracyjna strefy Tarbox, zdjęcie lotnicze centrum i plaż, gromadzone od 1958 raporty miejskie w jasnoniebieskich okładkach, cienki czerwony podręcznik *Wycena nieruchomości* oraz gruby, zużyty mszał. Kiedy Piet pracował nad dokumentami, jego żółte dębowe biurko, pochodzące z jakiegoś liceum, było zarzucone rozsypującymi się próbkami i katalogami producentów, podczas gdy żołnierskie, stalowe Gallaghery zawsze pozostawało czyste, tylko pióro i tusz w wypolerowanej kamiennej podstawce, suszka, zdjęcia Terry i Tommy'ego w ramkach oraz dwa telefony. Na ścianie powiesił licencję wydaną przez Zarząd Izby Pośredników Handlu Nieruchomościami i Sprzedawców. Dopiero co nabył dla firmy ponad pięćdziesiąt akrów ziemi i budynek o trzydziestu trzech pokojach, majątek ziemski w Lacetown, z metalowymi sarnami na trawniku. Miał zamiar podzielić teren na mniejsze działki, ale zwąchał gdzieś, że żeński zakon szuka miejsca, w które siostry mogłyby przenieść nowicjat. Jak tryumfalnie poinformował Pieta, Kościół nie będzie się targował. Tymczasem ich mała firma miała wśród rozmaitych zobowiązań dług hipoteczny w wysokości stu tysięcy dolarów; co już było ryzykiem. Ale Gallagher uwielbiał hazard i rozkręcanie interesu sprawiło, że potrzebował więcej miejsca dla swojego ego. Piet obawiał się, że głos Georgene może dochodzić, więc przycisnął mocniej słuchawkę do ucha.

– Nie martw się, zaraz się rozłączę – powiedziała. – Naszła mnie taka szalona chęć, żeby zadzwonić i dowiedzieć się, co robisz. Czy to nie zbytnia bezczelność? Chyba mam jeszcze jakieś prawa? To, co między nami zaszło, było pewnie prawdziwe?

– Rozumiem cię – powiedział Piet.

– Nie możesz rozmawiać?

– Zgadza się.

– Gdybyś zadzwonił do mnie od czasu do czasu, nie nękałabym cię w pracy. Słyszałam, że odbyła się u was wczoraj mała impreza i było mi przykro, że nie zostaliśmy zaproszeni. Ta wiadomość wysnęła się Irene, co było bardzo złośliwe.

– Zamówienia – powiedział z wahaniem Piet – są o tej porze roku realizowane z pewnym opóźnieniem. Przedstawiciele rządu skupują na zachodnim wybrzeżu spore ilości drewna sosnowego.

– Tak za tobą tęsknię, Piet, nie mogę tego znieść. Nie mógłbyś wpaść na kawę, jak będziesz przejeżdżał w pobliżu? Na przykład dzisiaj. To zupełnie bezpieczne. Whitney jest na koloniach, a Martha i Judy poszły z Irene na plażę. Powiedziałam jej, że czekam na hydraulika. To prawda, ciśnienie spadło prawie do zera. Nigdy nie mieszkaj na wzgórzu. Nie mógłbyś przyjechać? Proszę. Po prostu sobie porozmawiamy. Obiecuję, że nie będę natarczywa. U Ongów zachowywałam się jak prawdziwa jędra.

– Wstępna wycena wygląda mało atrakcyjnie.

– Tak mi smutno, Piet. Nie wiem, jak długo jeszcze zniosę życie z tym mężczyzną. Z dnia na dzień staje się okropniejszy. Zatracam świadomość swojej kobiecości.

– Sądziłem, że dobrze się spisuje.

Georgene roześmiała się energicznie, odrobinę oficjalnie.

– Jestem pewna, że Matta nie da się tak łatwo oszukać. Bawicie się w kotka i myszkę. Nie, jeśli musisz wiedzieć, spisuje się raczej mamie. Freddy jest kiepski w łóżku, czy nie to chciałeś usłyszeć? Zawsze czekałeś, aż to przyznam. Kłamałam. Chroniłam go. Nic mu nie wychodzi, dopóki się nie upije, a i wtedy jest raczej żalosny i zaraz zasypia. Opada mu. Rozumiesz?

– Mówimy o wzmacniających wspornikach.

– To takie smutne. Sprawia, że się wstydzę. Kompletnie straciłam wiarę w siebie. Razem z Terry przegrałyśmy wczoraj sześć do dwóch i sześć do trzech z Bernadettę i Angelą. Pewnie ci się chwaliła.

– Nie.

– Przyjedź, proszę. Tak mi smutno. Przysięgam, że nie będę wścibska. Wiem, że kogoś masz, ale już się tym nie zajmuję. Czy rzeczywiście byłam aż taka wymagająca? Naprawdę? Czy nie przyjmowałam cię bez zastrzeżeń?

– Tak.

Gallagher głośno zaszeleścił papierami i zamknął z hukiem szufladę stalowego biurka.

– Jak ja nie znoszę dźwięku własnego głosu. Nienawidzę go. Nienawidzę błagać. Wiele tygodni zajęło mi przełamanie się, żeby do ciebie zadzwonić. Przysięgam, nie będziesz musiał iść ze mną do łóżka. Po prostu chciałabym cię mieć dla siebie chociaż przez pół godziny. Przez piętnaście minut.

– Obawiam się, że w tej chwili mamy opóźnienia.

– Jeśli nie przyjedziesz, opowiem o nas Freddy’emu. Opowiem wszystko Freddy’emu i Angeli. Nie. Jej nie. Powiem za to Foxy. Wparuję do niej, usadowię się wygodnie i wyłuszczę, z jakim sukinsynem się zadaje.

– Oddzwonię później. Muszę spojrzeć w harmonogram.

Zaczęła płakać. Ta niezwykła u Georgene reakcja była jakoś nieładna i głupia. Piet przestraszył się, że dźwięk płaczu wypełni biuro w ten sam sposób, w jaki wypełniał jego czaszkę.

– Nie wiedziałam – łkała – że będę aż tak bardzo za tobą tęsknić, nie wiedziałam, że... wnikniesz we mnie... tak głęboko. Natomiast ty zdawałeś sobie ze wszystkiego sprawę. Wiedzałeś, co mi robisz, ty sukinsynu, cholerny, marny sukinsynu. Sprawiasz mi ból, ponieważ twoi rodzice zginęli w wypadku. Ja ich nie zabiłam, Piet. Byłam wtedy w Filadelfii, nie znałam ani ich, ani ciebie... wybac, nie wiem, co mówię...

– Na razie – powiedział Piet. – Uważaj na przecieki.

Odłożył słuchawkę.

Za jego plecami zaległa pytająca cisza.

– Bea Guerin – rzucił. – Obawia się, że jej dom osiada. Nie ufa cedrowym słupom, które u niej stawiałem, bo u Whitmanów stosuję nowocześniejsze, metalowe. Uważam, że histeryzuje. Tak naprawdę jedyne, czego jej trzeba, to dziecka. *À propos*, chciałem cię spytać o radę w jednej sprawie. Angela uważa, że powinna zacząć chodzić do psychiatry.

Tak jak miał nadzieję, ostatnie zdanie skutecznie odciągnęło uwagę współnika od telefonu; prawda jest zawsze bardziej interesująca od kłamstwa.

– Angela to najzdrowsza psychicznie osoba, jaką znam – stwierdził Matt.

– W tym upadłym świecie – powiedział Piet – dobre samopoczucie nie wynika z bycia zdrowym psychicznie.

Gallagher skrzywił się niepewnie. Zawsze zakładał, co było częścią jego katolicyzmu, że wszelkie teologiczne aluzje w prywatnych rozmowach muszą oznaczać głupie żarty. W jego

towarzystwie Piet przybierał kpiarską pozę i przymilny ton, co potwierdzało, że zaczęli się od siebie oddalać. Powoli upewniali się, że nie są w stanie ze sobą wytrzymać. Gdyby zresztą nie rutyna, przyzwyczajenie, Piet w ogóle nie potrafiłby rozmawiać z Mattem.

– Z pewnością nie jest zdrowsza na umyśle od Terry – stwierdził.

– Terry. Kompletnie jej odbiło na punkcie lutni. Jeździ do Norwell dwa razy w tygodniu, a teraz chce jeszcze pobierać lekcje garncarstwa u męża swojej nauczycielki.

– Terry jest bardzo twórcza.

– Pewnie tak. Dla mnie jednak nie chce grać. Ostatnio nie wiem, jak powinienem się wobec niej zachowywać.

– Tak właściwie – powiedział niespodziewanie Piet – to Angela potrzebuje kochanka, a nie psychiatry.

Na dźwięk jego słów krucha twarz Matta, o szczęce tak wygolonej, że zdawała się idealnie gładka, zastygła. Zaciśnął usta. Wyczuł w rozumowaniu Pieta skierowaną do siebie wiadomość. Ale był ciekawy; wykazywał się człowieczeństwem, jak by to ujął Freddy Thome.

– Pozwoliłbyś jej? – spytał.

– Cóż, spodziewałbym się, że dla przyzwoitości próbowałaby to utrzymać w tajemnicy. Po prostu nie byłbym wścibski. Gdyby coś się wydało, oczywiście musiałbym się wkurzyć.

Rozmawiali przez otwarte drzwi. Matt stał w szklanym obramowaniu. Biuro było tak małe, że nie musieli nawet podnosić głosu.

– Jeśli mógłbym coś powiedzieć, Piet... – zaczął Matt.

– Wał śmiało, przyjacielu. Szczery człowiek to najwspanialsze dzieło Boga.

– Wydajesz się o nią dość zazdrosny. Ja i Terry zawsze odnosiliśmy wrażenie, że zachowujecie się wobec siebie bardzo czule, przejawiacie odruchy opiekuńcze, podczas gdy udajecie zupełnie coś innego.

– Udajemy coś innego? – spytał z urazą Piet, ale Matt był zbyt skupiony, by to zauważyć.

– Terry i ja – ciągnął – nie mamy takiego pola manewru. Wierność to coś niepodważalnego. Czy wiesz, że według Kościoła małżeństwo jest sakramentem, którego para udziela sobie sama?

– Może sakrament powinien dawać więcej wolności. Czemu tyle zamieszania o cielesność? – spytał Piet. – Za pięćdziesiąt lat będzie już na nas rosła trawa. Wiesz, co dla mnie mogłoby być sakramentem? Angela pieprząca się z innym facetem, podczas gdy ja stoję nad nimi, rzucając na jego plecy płatki róż.

Piet podniósł dłoń i potarł kciukiem o palec wskazujący.

– Błogosławiąc jego włochate plecy – powtórzył.

– Matka i ojciec – skwitował Gallagher.

– Czyi?

– Twoi. Kiedy to opisywałeś, wyobraziłem sobie dziecko przy łóżku rodziców. Kocha matkę, ale wie, że nie jest w stanie sobie z nią poradzić, więc pozwala staremu, by ją grzmocił, podczas gdy samo zajmuje się błogosławieństwem.

– Wszyscy nagle przemienili się w psychoanalityków – warknął obrażony po raz kolejny Piet. – Pozwól, że cię o coś spytam. Co by było, gdyby się okazało, że Terry wcale nie pobiera lekcji muzyki?

– Nie przyjąłbym tego do wiadomości – odparł Matt gładko, jak katecheta i uśmiechnął się. Uśmiech Irlandczyków zawsze potrafi wykrzesać iskrę. W ich oczach maluje się zaciętość długo ciemionych. Krzemień ironii. – W przeciwieństwie do mnie cieszysz się pewną wolnością. Możesz szukać przygód w różnych miejscach. Ja muszę poszukiwać ich tutaj.

Położył dłoń płasko na metalowym biurku. Była porośnięta czarnymi włosami. Duże pory. Surowe dogmaty.



– Przez te twoje przygody robię się coraz bardziej nerwowy – powiedział Piet. – Co u diabła poczniemy z tym zgniłym starym zamkiem w Lacetown? Przepierzenie, o którym opowiadałeś zakonnicy, nie może zostać wyburzone, to ściana nośna.

– Nie powinienes pracować w tym fachu – oznajmił Matt. – Jesteś zbyt konserwatywny i nerwowy. Musisz sobie wreszcie uprzytomnić, że ziemia to czysty zysk. Mamy jej tylko tyle, a ludzi ciągle przybywa.

– Dzięki papieżowi.

– Ty masz więcej dzieci ode mnie.

– Naprawdę nie wiem, jak to robisz, to musi być jakiś cud.

– Samokontrola. Też mógłbyś spróbować.

Piet był w bojowym nastroju. Ten Gallagher, którego żona zadaje się z jakimś starym garnarczem, miał czelność udzielać mu porad. Piet tak się zdenerwował, że aż wstał ze skrzypiącego obrotowego krzesła.

– *A propos*, powinienem zajechać na wzgórze i sprawdzić, czy używają do budowy drewna, czy też tektury, jak im przykazałeś.

Twarz Matta była jak kryształ, rozszerzający się przy gładko ogolonych kościach policzkowych i płaskich skroniach.

– Tak, i zajrzyj przy okazji do pani Whitman – rzucił.

– Dzięki za przypomnienie. Na pewno to zrobię.

Piet wyszedł na Hope Street. Na ulicy bez drzew uderzyło go światło słoneczne tak jaskrawe, że musiał zmrużyć oczy, a rzeczywistość wokoło zdawała się płynna. Piet uświadomił sobie, jak wszystko, anteny telewizyjne, żwir na chodniku, przyjaźnie, związki małżeńskie, rozmowy, są niczym, skazane na niepowodzenie za przedwczesną chęć ujżenia światła.

Trzy domy na Indian Hill znajdowały się w ponurym stanie niewykończenia. Konstrukcje szkieletowe, osłonięte płytami ze sklejki, były już gotowe, ale wnętrza czekały jeszcze na elektryków, hydraulików i tynkarzy. Kosztowny cedrowy gont leżał w stertach na wilgotnej ziemi. Przybijało go dwóch chłopaków z zawodówki, Jazinski ich obserwował. Pieta zezłościła jego bezczynność.

– Weź młotek – powiedział i spędził resztę poranka obok niego, układając i przybijając cedrowy gont nad folią izolacyjną.

Drewno wydzielalo starożytny zapach, a metoda układania gontu – wystarczyło naciągnąć sznurek potarty kredą – była przyjemnie prosta. Słońce grzało ramiona Pieta i wypalało z niego zmartwienia. Dobrze było pracować, uszczelniać, układać rybie łuski. On był Noem, a szczupły Polak, machający obok młotkiem, mógł być jego synem. Piet starał się nawiązać rozmowę z Leonem. Pomiedzy jednym uderzeniem a drugim chłopak odpowiadał zdecydowanie, choć z nadętą miną, jego opinie były zasadnicze i do niczego nie prowadziły.

O dziecku Kennedych: „Jedynę, czego brakuje tym ludziom, to szczęścia. Stary Joseph Kennedy im go nie kupi”. O religii katolickiej: „Wierzę w istnienie Istoty Najwyższej, ale w nic poza tym. Moja żona się ze mną zgadza, co mnie dziwi”. O postępach w pracy: „Teraz trzeba czekać na hydraulików. Dwa domy zostały już chyba sprzedane. Rodziny chcą się wprowadzić z rozpoczęciem roku szkolnego. Zadzwoń pan do hydraulików czy ja mam to zrobić?”. O czarnym kierowcy buldożera, którego Piet wspominał z życzliwością, za okazanie pogody ducha w dniu śmierci: „Takie jest moje zdanie. Jeśli się starają, to powinni być traktowani jak inni. Co nie oznacza, że chciałbym ich mieć za sąsiadów”. O przyszłości: „Możliwe, że nie będzie mnie tu już latem za rok. Rozglądam się. Mam swoje różne zobowiązania”.

– Wiesz, Leonie, możliwe, że przyszłego lata to właśnie mnie już nie będzie, i wtedy mógłbyś znaleźć się na moim miejscu.

Chłopak nic nie powiedział, a Piet, rzucając na niego okiem, zastanawiał się, w jaki sposób

jego ramiona pozostają niezmiennie żylaste i blade, jak u urzędnika, mimo iż pracował całe lato na powietrzu.

W rytmicznej ciszy Piet zaczął rozmawiać w myślach z Foxy. Zerwie dla niej rosnącą przy drodze cykorię, z kwiatami tak intensywnie niebieskimi jak oczy nimfomanki.

*To dla mnie?*

*A dla kogo innego?*

*Jesteś taki czuty. Kiedy nie ma cię przy mnie, pamiętam o namiętności, ale zapominam o tkliwości.*

Wtedy by się roześmiał.

*Jak mógłbym nie okazywać ci tkliwości?*

*Inni mężczyźni byliby w stanie. Tak mi się wydaje. Nie mam tyle doświadczenia.*

*Powiedziałbym, że masz go wystarczająco.*

*Co ty we mnie widzisz? Robię się ogromna, nigdy nie mam z tobą orgazmu, a poza tym nie jestem ani tak dobra, ani tak błyskotliwa jak Angela.*

*Dla mnie jesteś.*

*Pójdziemy na górę, do łóżka?*

*Tylko na moment. Żeby odpocząć.*

*Tak. Żeby odpocząć.*

*Uwielbiam twoją odzież ciążową. Wydyma się i płynie w powietrzu. Uwielbiam twój twardy brzusek, który mnie popycha. Za jakiś miesiąc zaczniesz kopać.*

*Naprawdę podobam ci się w tym stanie? Spójrz, wychodzą mi żyły na nogach.*

*Pięknie niebieskie. Niebieskoblond, puszysta, zarumieniona Foxy.*

*Piet, zdejmij te okropne bokserki. Chcę cię pocałować.*

*Jak sobie życzysz.*

Kładł się z lwią godnością. Ona z przymrużonymi powiekami; jej policzek w kolorze zakurzonej róży miał zagłębienie powstałe w wyniku bardzo szerokiego rozwarcia szczęk. Jej zaspana twarz przysłaniała jego przykurczony członek, który kalwiński szept przy kołysce nauczył uważać za coś nikczemnego. Dotyk zębów jak przebłysk światła. Trzepoczący język i zaokrąglone usta. Opuszczone włosy, tworzące ruch powietrza między jego uniesionymi udami, sutki i paznokcie, zmacony strumień krwi. Sięgał do światła jednym pchnięciem, sprawiając, że się dławiała. Skruszony błagał: „Chodź do mnie”, a jej zahipnotyzowana, biała twarz płynęła do niego i jej zimne, wiotkie usta, kiedy je całował, miały niepokojący, stęchły zapach nikczemności, którą wzięła w siebie. Niewinnie stykali się lędźwiami, jej duży brzuch błyszczał nad nim, i pomimo iż brakowało jej tchu i nie myślała już trzeźwo, nie była w stanie dojść. Tak się działo i miało się dziać jeszcze wiele razy tego lata zaćmienia słonecznego.

Trzy tygodnie wcześniej zjawisko to było w dziewięćdziesięciu procentach widoczne na ich szerokości geograficznej. Niewidzialny pożeracz przesunął się po jasnej tarczy, pośród zmagających chmur będących świadkami tego zdarzenia. Plamki światła wokół wiązki nabrały kształtu półksiężyca; ptaki śpiewały, jak gdyby nadszedł wieczór. Widziane przez okopcone szkło słońce przypominało strużynę, ukośną brew, dziecianną łódź, płynącą wśród zamętu poskręcanych cumulusów. Fałszywy zmierzch zaczął się cofać; rogi półksiężyców pod drzewami wskazywały w przeciwnym kierunku; ptaki śpiewały na powitanie dnia. Zaledwie miesiąc wcześniej po raz pierwszy kochał się z Foxy.

Jeszcze tylko jedno wydarzenie miało równie złowieszczy wydźwięk; w październikową środę 1962 roku, kiedy Kennedy starł się z Chruszczowem w sprawie Kuby. Piet miał tego dnia grać w golfa z Rogerem Guerinem. Uznali, że nie odłożą spotkania.

– Równie dobry sposób na odejście jak każdy inny – stwierdził Roger, rozmawiając z Pietem przez telefon.

Roger Guerin lubił poważne wydarzenia. Jadąc na północ w stronę pola golfowego Bay View, Piet usłyszał w radiu, że pierwszy radziecki statek zbliża się do blokady. Tego

pięknego popołudnia ustawiali piłki na podstawkach, spoglądali między odbiciami w niebo i sprawdzali, czy nie nadlatują bombowce. Chicago i Detroit poszłyby na pierwszy ogień i prawdopodobnie wraz z pierwszym komunikatem z budynku klubowego rozległyby się krzyki. Poza nimi na polu golfowym nie było prawie nikogo. Promienie słoneczne odbijały się od drżących na lekkim wietrze liści. Wyglądało to, jak gdyby znajdowali się na pofałdowanym, zielonym pokładzie statku. Jako Amerykanie mieli przywilej uczestniczyć w luksusowym narodowym rejsie, a pójście na dno było wliczonym w koszty ryzykiem. Roger, robiący mocne, gniewne zamachy i koncentrujący się ze zmarszczonymi brwiami na każdym uderzeniu, zakończył grę poniżej dziewięćdziesięciu. Pietowi szło nieco gorzej. Czuł się zbyt szczęśliwy. Najlepiej grało mu się, kiedy był przeziębiony albo na kacu. Rozpraszał go cudowny blask, jakim promieniowało otoczenie – dalekie trawniki, opadłe liście i flagi – widziane na tle onyksowej bliskości śmierci, na de wyraźnej jasności nieba, na którym w każdej chwili mogły pojawić się samoloty. Biorąc zamach, dziękował za to, że miesiąc wcześniej przestał być wierny Angeli i przespał się z Georgene. Spotykał się z nią w domu i na dworze. Widywali się na plażach, werandach i pod prześwieتلanymi przez słońce drzewami. Wspominając ją z radością i wyobrażając sobie jej proste nogi, Piet marnował piłki, przekraczał liczbę uderzeń o trzy, grał każdy dołek, jak gdyby znajdował się na skraju wymyślanego urwiska. Wracając do domu, usłyszał w samochodowym radiu, że Rosjanie poddali się kontroli i zostali przepuszczeni. Odczuł wielki niepokój, wiedząc, że w takim razie nadal muszą podążać – on, Georgene, Angela i Freddy – w kierunku rozwiązania mniej mimowolnego i doniosłego. Wtedy jego miłość była jeszcze świeża.

– To słońce jest nie do zniesienia – powiedział Jazinski. – Osobiście wolę zimę. W tym roku chcemy spróbować z żoną wyprawy na narty.

Minęło południe, a potem pierwsza. Skóra łącząca dłoń i kciuk w miejscu, gdzie ocierał się młotek, szczypała, jak gdyby miał wyskoczyć pęcherz. Piet opuścił Leona i pojechał do miasta, a potem dalej, drogą prowadzącą na plażę. Przykurzone kwiaty cykorii, nawłoci i późne stokrotki migają na poboczu, ale zbyt szybko się spieszył, by się zatrzymać.

*Chciałem przywieźć ci kwiaty, ale tak pędziłem, że w końcu przywożę ci tylko siebie.*

*I dobrze. To wspaniały prezent.*

Dom był pusty. Na podjeździe nie stało ani kombi Foxy, ani furgonetka robotników. Drzwi były otwarte. Dywanik w holu przekrzywiony. Cotton spał zwinięty na niebieskim leżaku. Remont dobiegał końca; sprzątnięto już nawet po tynkowaniu. Okrągły termostat i kwadratowy włącznik światła zamontowane obok siebie na gładkiej ścianie. Ostre kany. Na wyszlifowanej i zaszpachlowanej podłodze leżały próbki tapet. Katalogi z pantenem stały oparte o sosnową listwę podłogową. Kuchnię należało tylko pomalować na biało i wstawić do niej zamówioną zmywarkę. Dom był jeszcze pełen zapachu ziemi i trocin. Słone powietrze wkrótce go wyprze. Obiecała, że kiedy skończą remont, zaprosi Pieta wraz z Angelą. Leżące na wierzchu próbki tapet nie były w guście jego żony. Wielkie pastelowe plamy. Zwyczajne namiętności.

Gdzie się podziała? O tej porze nigdy nie jeździła na zakupy, to był czas na drzemkę. Czyżby tylko mu się zamarzyło, że ją teraz weźmie? Był odpływ i kanały widoczne z kuchennego okna przypominały wstęgi, błyszczące między brzegami aksamitnej gliny. Trzy jelenie skakały przez suche bagno, zmierzając w kierunku niezamieszkanego, porośniętego krzakami wyspy. Sezon polowań miał się wkrótce rozpocząć. Na krystalicznie czystym niebie zaczęły pojawiać się pierzaste chmurki, przypominające ślady łyżew. Poronienie. Lekarze, wracający pracownicy. Bez niej dom wydawał mu się wrogim miejscem, ściany jak gdyby odmawiały mu wstępu. Za wcześnie, za wcześnie. Poczł niepokój i wyszedł szybko, a jadąc przez miasto, skręcił odruchowo do domu Thorne'ów.

Saltzowie i Constantine'owie, nazywani przez inne pary Constalcami, kupili wspólnie łódź, keta Applebych z silnikiem o mocy sześciu koni. Po spędzeniu soboty czy niedzieli na rejsie siadywali razem w wilgotnych kostiumach kąpielowych i pili piwo lub wino; zapraszali też inne pary. W niedzielę przed Świętem Pracy w wiktoriańskim domostwie Constantine'ów zebrało się sporo osób. Pary były podekscytowane i zmęczone grą w tenisa; przez cały tydzień trwał Klubowy Otwarty Turniej Tenisowy North Mather. Jak co roku smukli mężczyźni z North Mather, sprzedawcy samochodów i agenci ubezpieczeniowi, którzy całą zimę trenowali na dwóch zadaszonych kortach, z łatwością eliminowali najlepszych spośród mężczyzn z Tarbox, w tym Matta Gallaghery. Jednakże kobiety z North Mather nie były w stanie stawić czoła atakom pań z Tarbox. Jak zawsze Angela i Georgene, Terry i Bernadette dominowały w finale i na kilka tygodni przed Świętem Pracy wydzwaniali do nich mężczyźni z North Mather – poszukujący amazonek centaurowie, błagający wspaniałe kobiety z Tarbox, by zgodziły się partnerować im w miksach.

Żadne z Constalców nie grało w tenisa. Delikatna linia towarzyska wcześniej się zarysowała i bardzo uważano, by jej nie przekroczyć. Zamiast tego wypłynęli na zatokę, żeby ponurkować wraz z Freddyem Thorne'em, który był do niczego na korcie. Freddy'ego niezwykle bawiło chodzenie w gumowym kombinezonie do nurkowania. Ubrany w błyszczącą czarną skórę, wyglądał niepokojąco hermafrodytycznie. Uwydatniały się jego miękkie jak u kobiety biodra, a obnażone płece, wystające z elastycznego pancerza rękawów, poruszały się z ohydą delikatnością drapieżnych macek hydry. Ten krągły gumowy człowiek należał do obcego żywiołu. Cyklopowa maska do nurkowania wystawała z łysej głowy jak gigantyczny monokl, a przypominające szufle płetwy człapały groteskowo po wytartych orientalnych dywanach Constantine'ów. Kiedy Freddy usiadł w ozdobionym serwetką fotelu i obracając papierosa w palcach, beztrząsco założył nogę na nogę, widok był tak skandaliczny i uciechowy zarazem, potworny i królewski, że nawet Piet Hanema wybuchnął śmiechem, odnajdując w tym przedstawieniu skuteczne egzorcyzmowanie sennych koszmarów.

– Przeczytaj nam sztukę, którą napisałeś – poprosiła Freddy'ego Carol Constantine. Na pomarańczowe bikini miała narzuconą męską koszulę. Z jakiegoś powodu była tego wieczora wyjątkowo zdenerwowana; tydzień wcześniej ufarbowała włosy na pomarańczowo. – Każdy z nas zagra jakąś rolę.

Przez całe lato krążyły pogłoski, że Freddy pisze sztukę erotyczną. Teraz udawał, że o niczym nie wie.

– Jaką sztukę? – spytał.

Pod zaparowaną od wewnątrz maską Freddy nie miał charakterystycznych okularów. Jego oczy były rozmyte i niedowidzące; bezusta twarz przybrała wyraz zaskoczenia i zadowolenia.

– Widziałam ją, Freddy – powiedziała Janet Appleby. – Widziałam spis postaci.

Z godnością zniedołężniałego monarchy Freddy powoli odwrócił głowę w jej stronę.

– Kto mówi? A, już wiem. Jan-Jan Szarlotka. Nie poznałem cię bez kontekstu. Gdzie się podzieli twoi mali przyjaciele?

– Pojechali do Maine, Bogu dzięki.

– Postaraj się raz być miły, Freddy – powiedziała Carol.

Siedziała na oparciu fotela, obejmując wątlymi ramionami gumowy tułów Freddy'ego. Rozchyliła jej się przy tym bluzka i Piet, siedzący po turecku na podłodze, ujrzał jej pępek: oko o grubej powiece. Carol pogłaskała Freddy'ego po rurce, którą zawiesił sobie luźno na szyi.

– Chcemy wystąpić w twojej sztuce. – Nie dawała za wygraną.

– Możemy nakręcić na jej podstawie film – zaproponował Eddie Constantine.

Eddie miał przerwę w lataniu i od trzech dni siedział w domu. Killudniowy zarost na jego twarzy sprawiał, że wyglądał na komandosa, czujnego i okrutnego. W każdej dłoni trzymał puszkę piwa. Widząc swoją żonę udrapowaną na Freddyem, zapomniał natychmiast, dla kogo

je niósł; jego oczy miały kolor aluminium. Raptownie, jak gdyby rzucał granat, podał piwo Benowi Saltzowi, który siedział w rogu.

– Ja chcę dostać rolę osoby, która otwiera drzwi – poprosiła Carol. – Czy nie jest tak, że wszystkie filmy pornograficzne zaczynają się od sceny, w której kobieta otwiera komuś drzwi?

Ben siedział w milczeniu, spoglądając przed siebie oczami wilgotnymi z niepokoju. Niedawno ogolił brodę i wyglądał przez to na nieco zmarnowanego; miał obwisły podbródek, a strój żeglarski wyglądał na nim dość śmiesznie – pulower z łódkowym dekoltem, wiatrówka, biała oficerska czapka, spodnie z uciętymi, postrzępionymi na brzegach nogawkami. Jego łydki były gęsto owłosione. W tym niedzisiejszo włóchatym człowieku Piet ujrzał przez moment siebie, ale jego własne ciało było czerwone, jaśniejsze, radośniejsze, bardziej sprężyste. Rzadkie włosy Bena tworzyły na nogach czarne pasma, które podobne do ran, biegły w dół do groteskowo jaskrawych tenisówek z gumowymi podeszwami. Poza opalonym nosem skóra Bena była ziemista i niezdrowa, pokryta krostami. Jego zraniona miłość do Carol ciążyła w powietrzu i wprawiała pary w spore poruszenie, takie jakie odczuwają dzieci, które uciekły przed burzą.

– Co to jest film pornograficzny? – spytał Freddy, mrużąc oczy i udając zakłopotanie.

– *Historia życia Toma Jonesa* – odparła Terry Gallagher.

Angela nieoczekiwanie wstała z miejsca.

– Chodź, Carol, pomóż mi go rozebrać – powiedziała. – Wiem, że nosi tę sztukę w kieszeni.

– Sądzisz, że zabiera ją ze sobą pod wodę? – spytał lekkim tonem Piet, wymieniając z Foxy zdziwione spojrzenie w związku z niezwykłym u Angeli przyływem chęci do flirtu.

We dwójkę stali się rodzicami swoich małżonków, którym wybaczały błędy i których bezsilność zdawała się im – wszechwiedzącym i niewiernym – czymś rozczulającym.

Foxy przyszła na przyjęcie bez Kena, ale z Terry Gallagher. Ken i Matt, których z łatwością pokonali mężczyźni z North Mather, przez całe popołudnie rozgrywali między sobą zawody pocieszenia na korcie Ongów. Obaj panowie czuli się nieswojo w towarzystwie par z Tarbox, ale ze sobą pozostawali w jak najlepszych stosunkach. Natomiast Foxy i Terry, obie wysokiego wzrostu, odznaczały się podobną, trudną do zdefiniowania opornością i lekko nieprzystępnym czarem, którym być może nasiąkały, przebywając w towarzystwie swoich podobnych mężów. Ale Foxy była białą Śnieżką, a Terry Różą Czerwoną – w kształcie jej pełnych ust, muzycznych dłoni i silnych mięśni, łączących biodra z udami, pobrzmiwało coś celtyckiego. Wstała, górując nad wszystkimi, a potem przyłączyła się do gwałtu.

– Gdzie jego spodnie? – rzuciła do Janet. – Mówiłaś, że Freddy zawsze nosi ją w spodniach.

– Na górze – odparła przerywanym głosem Carol, siłując się z Freddyem, który młócił powietrze rękami, podczas gdy starała się rozpiąć zardzewiałe napy od kombinezonu. – W pokoju Kevina. Nie obudź go.

Janet, która już od dwóch miesięcy uczęszczała na terapię, obserwowała kwaśno ich szamotaninę.

– To dziecinada – oznajmiła.

Angela usiłowała schwytać za kostki zsuwającego się z krzesła Freddy'ego. Wymachując płetwami, przewrócił taboret, na którym stały wypełniona po brzegi popielniczka i wazonik z bukietem astrów. Angela zmiotła popiół i niedopałki dwoma egzemplarzami „Art News”, Eddie starannie polał głowę Freddy'ego piwem, a Ben Saltz siedział oszołomiony widokiem Carol z włosami w kolorze, który nie występował w naturze, wijącą się niemal nago w objęciach czarnego człowieka. Kiedy jej obnażona skóra ocierała się o kolana Freddy'ego, guma kombinezonu popiskiwała. Koszula podjechała Carol do pach; pomarańczowy stanik przekreślił się i jedna z niewielkich piersi wypadła na zewnątrz. Kucając na dywanie, Carol

szybko doprowadziła bikini do porządku, ale jeszcze przez chwilę klęczała na podłodze, dysząc i nie mając śmiałości na nikogo spojrzeć. Wszyscy widzieli jej sutek. Miał pomarańczowy odcień.

Z drugiego pokoju, do którego wchodziło się przez drzwi z koralikową zasłoną, dobiegł ich głos Irene Saltz.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz, Frank. Znam cię i wiem, że jesteś człowiekiem.

Była pijana.

– To wy nie pozwalacie im się wybić – odparł Frank wzburzonym, zbolałym głosem. – Podsuwacie im na tacy to, na co każdy w tym kraju ciężko pracował.

– Pracował! Nigdy nie miałeś uczciwej pracy.

– Praca wpędziła go w chorobę wrzodową, Irene – zawołała do nich Janet. – Chodź tu lepiej i zabierz męża do domu, nie wygląda najlepiej.

Dom Constantine'ów był duży, ale sporo miejsca zajmowały w nim pretensjonalne dębowe schody, przestronne korytarze i przepastne szafy ściennie, w związku z czym w żadnym z pokoi nie było tyle miejsca, żeby pomieścić całe przyjęcie. Imprezy rozpadały się zwykle na kilka mniejszych i dlatego powstawały problemy z przemieszczaniem i akustyką. Słów Janet prawie nie było słycać, za to głos Franka dobiegał do nich całkiem wyraźnie.

– Rząd federalny nie miał być troskliwą mamuszką, do której może przybiec każda beksa. Idealem założycieli był rząd minimum. Prawa poszczególnych stanów. Prawa jednostki.

W czasie dyskusji Irene zaczęła mówić niewyraźnie i nawet z czułością.

– Pomyśl, że jesteś panią Evers. Nie zbierałoby ci się na płacz?

– Spytaj pierwszego lepszego inteligentnego Murzyna, co pieniądze z zasiłków zrobiły z jego rasą. Oni tego nienawidzą. To ich kastruje. Zgadam się z Malcolmem X.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Frank. Co z Medgarem Eversem? Co z szóstką dzieci ze szkoły niedzielnej w Birmingham?

– Powinno ich chronić prawo, jak każdego obywatela – odparł Frank. – Ni mniej, ni więcej. Nie pochwalam dyskryminacyjnej legislacji, a tym właśnie jest projekt ustawy o Sprawiedliwej Polityce Mieszkaniowej Massachusetts. Pozbawia właściciela domu prawa wyboru. Konstytucja, moja droga Irene, ma zapewnić równość szans, a nie statusu społecznego.

– Status i szanse są nierozłączne.

– Nie da się ich jakoś uciszyć? – spytał Eddie Constantine.

– Dla Irene to jak seks – poinformowała go Carol, zapinająca mu na stojąco koszulę. – Uwielbia dyskutować z mężczyznami o prawicowych poglądach. Uważa, że mają oni większe kutasy.

Janet otworzyła usta, spojrzała na Carol, Freddy'ego i Bena, ale nic nie powiedziała. Nowo nabyta samowiedza sprawiała, że Janet przekształcała się powoli w niezdecydowanego obserwatora.

Terry Gallagher zeszła po szerokich schodach, trzymając w ręku pojedynczą, wymiętą kartkę papieru.

– Nic tu nie ma – oznajmiła. – Nawet nie rozpoczęta. Sam spis postaci. Jesteś oszustem, Freddy.

– Ale to piękne postacie – oburzył się.

Wino i piwo zostało rozlane. Pośród śmiechów, zapachu wody morskiej i potu tenisistów, sztuka przechodziła z rąk do rąk. Nie miała tytułu. Pismo, które u góry kartki było staranne i ozdobne, niżej przeradzało się w bezkształtne bazgroły Freddy'ego, pozbawione zdecydowanego nachylenia i z tendencją do smętnie opadających zakończeń liter.

Erekcjani, główny bohater  
Szparolina, główna bohaterka

Minetka, przebiegła francuska dziewczyna  
Jądek, zrzędlawy stary rumpel

Nimfy:  
Anna L. Niespenetrowana  
Ona Nizm  
Labia Minoris

Ciotka Apogea, *bogata i wpływowa krewna*

## AKT I

Erekcjani (penetrując):!  
Szparolina (spenetrowana): O!

- To bez sensu – orzekła Janet. – Nikt się nie nazywa Szparolina czy Ona.
- Może problem polega na tym – powiedział Piet – że Erekcjani za wcześnie penetruje.
- Chciałem wprowadzić Ciotkę Porażkę w trzecim akcie – poinformował go Freddy.
- Cieszę się, że Matt nie przyszedł – mruknęła Terry.
- Ken uwielbia gry słowne – oznajmiła Foxy.
- Dobra robota, Freddy – pochwalił go Eddie Constantine. – Kupię tę sztukę, jeśli ją wydasz.

Poklepał po plecach Bena Saltza i podsunął mu kartkę przed oczy. Ben poblądł, stał się bielszy niż jego wrażliwa na słońce żona. Foxy podeszła do niego i kołysząc się, rozłożyła jak namiot, uklękła obok, szepcząc mu coś na ucho.

Piet był w ferworze improwizacji. Poczł przyplływ wspierającej go energii, którą wszyscy tak u niego lubili.

– Potrzeba nam więcej fabuły – orzekł. – Może Szparolina powinna mieć przyrodniego brata, P. Nisa. Piotra Nisa. W kołysce brzydko się ze sobą zabawiali, a teraz on powraca nieoczekiwanie zza mór.

– Z Miasta Cycka – dorzucił Eddie.

Ze wszystkich mężczyzn był najgorzej wykształcony i niedaleki intelektualnie od poziomu podstawówki. Jednakże zajmował się bezpiecznym unoszeniem i przewożeniem tysięcy dusz nad kontynentem. Akceptowali go.

– Jesteście niesamowicie obrzydliwi – oznajmiła Janet. – Najbardziej wkurza mnie to, że będę musiała zmarnować na ten groteskowy wieczór całą sesję, wartą dwadzieścia dolarów.

– To wyjdź – poradziła jej Carol.

Piet ciągnął dalej, gestykulując żywo, a rude włosy na jego ramionach drżały.

– Szparolina jest zdenerwowana pojawieniem się przyrodniego brata. Czy dawna magia odżyje? Drogi Boże, oby nie! Wystarczyło tylko jedno spojrzenie. Niestety! Nic się nie zmieniło. „Szparolino!”, wyrzuca z siebie Piotr. „Teraz jestem panią Nizm”, odpowiada ona chłodno, ale wewnątrz cała drży.

– Mylisz moje śliczne postaci – poskarżył się Freddy.

– Zagrajmy w nową grę – zaproponowała Carol.

Przykucnęła, żeby zebrać zawartość przewróconej popielniczki. Jej małe piersi zakołysały się przed oczami Pieta. Witajcie w Cycku, mrocznym mieście o niezrównanej ssalności. Poczł przyplływ czułości do przykucniętej naprzeciwko Carol. Miłość Pieta lizała wybruszenia w jej kroku. Jej bosc stopy o długich palcach śmierdziały jak nieświeże małże;

ufarbowane włosy zwisały i co chwila kleiły się do twarzy, włożyły do ust. Wstała z ziemi, trzymając w liliowej dłoni popiół i płatki astrów. Rzuciła gniewne spojrzenie w stronę kąta, gdzie pod reprodukcją Miro Foxy szeptała pocieszająco do nieruchomego Bena Saltza.

– Po co? – zaprotestował Freddy Thorne. – Dobrze jest, kiedy ludzie mają szansę realizować fantazje.

Rozochocona winem Angela podskoczyła, zdecydowana zmusić Freddy'ego do pokazania kart.

– Chcę zdjąć z siebie całe ubranie – oznajmiła.

– Bardzo dobrze – powiedział Freddy, kiwając spokojnie głową.

Zgasił papierosa na własnym czole: na szklanej, cyklopowej masce. Zaskwierczała. Twarz Freddy'ego, przypominająca oblicze starej, mądrej kobiety o wąskich ustach, ociekała potem.

– Nie powinieneś już tego zdjąć? – spytał Piet. – Czy nie jest tak, że jeśli skóra nie oddycha, ciało po jakimś czasie umiera?

– Przecież to ja. Piet, mój drogi, ten strój to moja skóra. Jestem potworem z głębin.

Dłoń Angeli zatrzymała się w połowie otwierania zamka błyskawicznego na plecach białej plisowanej sukienki tenisowej.

– Nikt nie patrzy – poskarżyła się.

Piet dotknął jej dłoni i zasunął na powrót zamek błyskawiczny, który wydał dźwięk jak przy pocałunku.

– Nie przerywaj jej, to świetna sprawa – powiedział Freddy. – Chce się podzielić z nami swoją urodą. Zawsze marzyłem o tym, żeby zobaczyć Angelę nago.

– Jest piękna – poinformował go Piet.

– Jezus, nie wątpię. Pozwól jej na striptiz. Ma ochotę się rozebrać, nie rozumiesz własnej żony. Jest ekshibicjonistką. To wcale nie taka wstydliva panienka, którą, jak ci się wydaje, masz na głowie.

– Ben ma mdłości – Foxy zwróciła się w obronie własnej do Carol.

– Może – odparła Carol – wolałby, żeby go zostawić w spokoju.

– Mówi, że daliście mu na kolację homara z rumem.

– Nawet o tym nie wspominaj – jęknął Ben.

Piet rozpoznał manipulację, mającą na celu zwrócenie na siebie uwagi, gospodarność w cierpieniu. Wiedział jednak, że Ben zabrnął w swoim przedstawieniu zbyt daleko, pragnąc, by odniosło pożądany skutek, i w końcu sytuacja obróci się przeciwko niemu. Zawzięta twarz Żyda była woskowa: martwy Ezaw. Jego skóra bieląca w miejscu, gdzie poprzednio rosła broda.

– Owoce morza – poinformował pozostałych Eddie. – Nie są koszerne.

– Foxy, zostaw go, poradzi sobie – rzuciła ostro Carol. – Jeśli musi, może iść na górę położyć się w którymś z łóżek.

– Wie, gdzie są łóżka? – spytał Freddy.

– Może włożysz tę maskę na twarz, Freddy?

Carol drżała na całej skórze, jak gdyby miała podrażniony każdy nerw. Wieczór zrobił się chłodny, a piec nie został jeszcze uruchomiony. Rozchyliła usta, ale jej zęby pozostawały zaciśnięte, jak u dziecka po pływaniu. Piet był wzruszony tym widokiem i odczuł potrzebę zbliżenia.

– Czemu jesteś dzisiaj taka wredna? – spytał.

– Bo umarł Braque.

Ściany jej domu były zawieszane obrazami, rycinami i jej własnymi ponurymi bohomasami, płótnami o pospolitej kolorystyce i grubej fakturze, zgodnie z panującą modą. Obrazy przedstawiały siedzące na krzesłach dzieci, nabrzeże Tarbox i warsztat szkutniczy, Eddiego w golfie, pozbawiony wdzięku krajobraz, rozciągający się za kościołem kongregacyjnym, domy i drzewa widoczne z okien jej pracowni. Wszystko było jaskrawe,



nierealne, nadąsane. Cezanne i John Marin, Utrillo i Ben Shahn – Carol mieszała ich style, by stworzyć własny. Piet zdał sobie sprawę, jakimi są prowincjuszami, jacy są nijacy i zagubieni.

Carol wyczuła tok jego myśli i zwróciła się przeciwko niemu:

– Już od dawna chciałam cię o coś spytać, Piet i wiem, że wypiliśmy wystarczająco dużo wina, by to zrobić. Czemu budujesz takie brzydkie domy? Przecież nie musisz tego robić, jesteś całkiem zdolny.

Piet poszukał wzrokiem Foxy, która zrobiła to samo. Wiedziała, że zraniony, będzie potrzebował jej pocieszenia. Ich spojrzenia spotkały się, zapłonęły i rozeszły na powrót.

– Nie są brzydkie – odpowiedział Carol. – Są po prostu zwyczajne.

– Są okropne. Uważam, że to, co robicie na Indian Hill, przynosi wam wstyd.

Szczupła Carol z premedytacją sprawiła, że pozostali spojrzeli na nią ze zdumieniem. Jedną z ich niewypowiedzianych zasad było to, że nie mogą krytykować nawzajem swoich zawodowych osiągnięć; praca to był pakt z pozbawionym sensu światem, znajdującym się na zewnątrz ich kręgu.

– Budują razem z Mattem to, co, jak im wydaje się, ludzie będą chcieli kupić – wzięła go w obronę Terry Gallagher.

– Mnie się jego domy podobają – oświadczył Freddy. – Mają w sobie coś holenderskiego, są dopasowane. Przypominają mi zęby. Nie śmiecie się, mówię szczerze. Ja i Piet jesteśmy pokrewnymi duszami. Ja wkładam do moich jam amalgamat, a on do swoich ludzi. Jezu, jak tylko człowiek stara się powiedzieć coś serio w tym towarzystwie, to od razu wszyscy się śmieją.

– Jesteś niedorzeczna, Carol – powiedziała Angela.

– Nie, ona ma rację – sprzeciwił się Piet. – Nie znoszę swoich domów. Nienawidzę ich.

– W zeszłym miesiącu zmarł ktoś jeszcze – odezwała się Janet Appleby. – Poeta. Marcia była bardzo zmartwiona. Powiedziała, że to największy amerykański liryk i że wcale nie był taki stary.

– Frost zmarł w styczniu – powiedziała Terry.

– Nie Frost. Miał niemieckie nazwisko. Marcia i Harold by wiedzieli. Żadne z nas nic nie wie.

– Wiedziałem, że zaczniesz za nimi tęsknić – powiedział Freddy.

Siedząca na podłodze Janet sennym ruchem wsparła głowę na pufie. Przerzuciła się z terapii dwa razy w tygodniu na psychoanalizę i jeździła do Brookline o siódmej trzydzieści codziennie prócz weekendów. Chodziły słuchy, że Frank również rozpoczął terapię.

– Musimy zagrać w nową grę – powiedziała.

– Zagrajmy w „skojarzenia”, Freddy – zaproponowała Terry.

– Wymyślmy więcej imion do mojej sztuki – odparł. – Nie muszą być świńskie. – Zmrużył oczy i przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń, aż w końcu rzucił: – Donovan U. Era.

– Przygotowałeś to sobie wcześniej – stwierdziła Janet. – Ale zeszłej nocy Harold też wymyślił coś niezłego. Jak to szło, Frank?

Dało się słyszeć grzechot drewnianych koralii i brakująca para wróciła z salonu politycznego. Frank wyglądał na zmieszanego, a brwi i usta Irene zdawały się jeszcze ciemniejsze niż zwykle.

– Leon MacDouffe – oznajmił Frank, spoglądając na Janet w nadziei na szybki powrót do domu.

– Irene, twój mąż wygląda coraz gorzej – stwierdziła Carol tonem obojętnego obserwatora.

– Mówiłam, że powinien położyć się na gorze, ale nikt się tym nie zainteresował. Mnie jest wszystko jedno, ale nie mogę pozwolić, żeby zniszczył dywan.

Irene spojrzała na Bena z dziwnym wyrazem twarzy. Matczyny niepokój przekształcił się w zniecierpliwienie i złość. Dalila wpatrywała się w Samsona, któremu obciąła włosy. Pośrodku pokoju Eddie Constantine, mały, wydajny mężczyzna bez religii czy wątpliwości,

giętki, opalony i ładnie umięśniony, walczył o jej uwagę. W jego dłoni błyszczała puszcza z piwem, a szare oczy potrafiły odnaleźć drogę przez kipiące od chmur Himalaje. Kiedy tak spoglądał na Irene poprzez cały pokój, wszystkim zaświtało, że to kobieta, za którą warto umrzeć. Pomimo bladości i ociężałości odznaczała się gracją gołębia o wypiętej piersi.

– Dlaczego nie może położyć się do łóżka we własnym domu, parę kroków stąd? – spytała Irene.

– Ja go zabiorę – zaoferował się Eddie i wkładając głowę pod ramię Bena, podniósł go sprawnie z krzesła.

Nagle ruch, jak gwałtowny dźwięk nad uchem śpiącego, przywrócił Benowi zdolności konwersacyjne.

– To bardzo interesujące – powiedział. – Jaka powinna być estetyka nowoczesnych domów mieszkalnych? Czy powinno się mieć na względzie coś poza użytecznością i kosztami?

Freddy Thorne włączył się radośnie do rozmowy.

– Czy wieśniacy, którzy wznosili lepianki, martwili się o estetykę? Wszyscy kochamy Jezusa z chatki pokrytej strzechą.

– No właśnie – powiedział Ben. To, co mówił, brzmiało zupełnie normalnie i jego rozumowanie było prawidłowe, ale dźwięki dochodziły z widmowych ust nienaturalnie powoli. – Ale być może bardziej oralna i duchowa kultura wiąże się ze świadomością piękną, którą niszczy kapitalizm z jego metodą linii montażowej. W tym miesiącu magazyn „Commentary” zamieścił fascynujący...

– Chciwość – powiedziała raptownie Carol. – Nowoczesne domy śmierdzą chciwością, wstydem i kanalizacją. Dlaczego łazienka ma być brudną tajemnicą? Wszyscy to robimy. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby zrobić na waszych oczach kupę.

– Carol! – zawołała Angela. – To jeszcze wspanialsze niż moja chęć rozebrania się do naga.

– Zagrajmy we „wspaniałe” – zaproponował Freddy Thorne, dodając: – Dostyc już mam tego pieprzonego kombinezonu. Mogę go zdjąć?

– Noś go – odezwał się Piet. – To część ciebie.

– Jak się gra we „wspaniałe”? – spytała Foxy.

– Ty – poinformował ją Freddy – nie musisz się nawet starać.

– Czy to podobne do „skojarzeń”? – spytała Terry.

Ben opierał się już na Eddie'm całym swym ciężarem, a pobladała twarz miał zwróconą ku podłodze.

– Chciałbym to kiedyś poważnie przedyskutować. Na przykład miasta przyszłości i odsalanie wody morskiej. Moim zdaniem przemysł budowlany w tym kraju schodzi na psy.

– Buuu, buuu – powiedział Eddie, pociągając za niewidoczną linkę gwizdka i holując Bena w kierunku drzwi wyjściowych.

– Mam iść z wami? – spytała Irene.

Na jej twarzy znów pojawił się wyraz niezdecydowania. Idąc za mężem, będzie równocześnie z kochankiem. Romantyczne semickie cienie na jej dolnych powiekach kontrastowały z błyskiem pragmatyzmu w oczach i ustami szukającymi przychylności zebranych w pokoju spadkobierców purytanów.

Eddie spojrzał na nią przenikliwie, ocenił stopień jej przygotowania i wybrał właściwą drogę.

– Tak – oznajmił zdecydowanym tonem. – Ja go zaniosę, a ty położysz go do łóżka.

Cała trójka opuściła duszny pokój i przeszła przez olbrzymi, fatalnie urządzony hol, bez względu na pogodę pachnący starymi parasolami. Wyszli w noc, wypełnioną liśćmi i ochlapaną światłem niebieskich latami.

Carol z ulgą zamachała rękoma, kipiąc gniewem. Para Applebych poszeptała z troską o żołądka Franka i głowie Janet i z ociąganiem udała się do domu. Sposób, w jaki opuścili

towarzystwo, obwieszczał, że nadszedł koniec lata gier i zabaw, i że mieli świadomość wkraczania w jesień odpowiedzialności, rozsądnego wsparcia i nowych obowiązków. Tylko Freddy Thorne starał się ich zatrzymać. Ściągnął gumowy kombinezon i stał na środku pokoju w przemoczonym podkoszulku i zmarszczonych spodenkach kąpielowych. Skóra na jego nogach i rękach rozmiękła i wyglądała jak na dłoniach praczki. Po wyjściu Applebych Freddy i Piet zostali sami w towarzystwie kobiet.

Foxy podniosła się z miejsca, majestatyczna, w lnianej sukni w kolorze kości słoniowej. Minęło już siedem miesięcy.

– Ja też powinnam iść.

– Nie możesz, kochanie – poinformował ją Freddy. – Będziemy grać we „wspaniale”.

Foxy rzuciła okiem na twarz Pieta, na której malowała się prośba: „Nie idź”.

– Nie idź – powiedział.

– Jak się w to gra? – spytała Freddy’ego Terry.

Piet wyobraził sobie czekającego na Foxy Gallaghery, srogiego jak matka, i zastanawiał się, jak ona może mieć śmiałość nie iść jeszcze do domu, siedzieć z nimi taka opanowana. Kobiety nie mają sumienia. Nic nigdy z ich winy. Wąż mnie zwiódł.

Freddy poliział usta.

– Każde z nas musi opowiedzieć o najwspanialszej rzeczy, jaką jest w stanie sobie wyobrazić – wytłumaczył słabym głosem. – Carol, gdzie macie ten cholerny piec? Zaraz zamarnię.

Przyniosła mu z drugiego pokoju koc z afgańskiej wełny. Owinął go wokół siebie jak szal.

– Starzejesz się, Freddy – powiedziała Carol.

– Dziękuję. A teraz przestań się już rzucać i usiądź spokojnie, Carolino. Eddie i Irene układają właśnie Bena do snu. Zaraz wrócą. A nawet jeśli nie, to świat się nie zawali. Wyobraź sobie, że Eddie jest w trakcie lotu do Miami. *Che sara, sara*, jak to zawsze powtarzam.

– Wytłumacz nam – poprosiła Terry – o co chodzi z tym „wspaniałym”.

– Chodzi o to, moja droga Terrierko, że pod koniec gry będziemy się wszyscy lepiej znać.

– Nie chcę was lepiej znać – powiedziała Angela.

– Nie chcę, żebyście znali mnie lepiej – wpadła jej w słowo Foxy.

– A gdzie element rywalizacji? – spytał Piet. – W jaki sposób można wygrać albo przegrać?

Freddy zachowywał się tajemniczo. Nadal miał na sobie gigantyczny monokl i był bardziej wstawiony niż reszta osób w pokoju poza Angelą, która upiła się białym winem; ciepła, półprzezroczysta nietrzeźwość, która uwalnia umysł.

– Nie można przegrać, Piet. Myślę, że to będzie dla ciebie przyjemna odmiana. Wiesz, Peterkins – mogę mówić szczerze?

– Ależ tak, bracie, tak! – zawołał Piet, wijąc się na podłodze. – Powiedz to, powiedz!

Freddy spoważniał, chcąc jasno wyłożyć swoją myśl.

– Jesteś paradoksem. Zabawnym facetem. Dawno temu, kiedy byłem małym chłopczykiem obserwującym mamusię i tatusia, zrozumiałem, że na świecie istnieją dwa rodzaje osób: tacy, którzy pieprzą, i tacy, których pieprzą. Zabawne jest to, Petrov, że sądzisz, iż należysz do grupy A, a tak naprawdę jesteś w B.

– A dla mnie zabawne jest to – odparł Piet – że ty tak naprawdę nie należysz do żadnej.

Nim zaczął sypiać z Foxy, kiedy Freddy, chociaż nieświadomie, przetrzymywał Georgene jako zakładniczkę, Piet nie miał odwagi odpowiadać mu tak przekornie i wyzywająco. Freddy zmrużył oczy, czując wyzwolenie Pieta, jego bardziej otwartą wrogość.

– Gdybyście, primadonny – odezwała się Terry – przestały tak na siebie naskakiwać, moglibyśmy w końcu zagrać we „wspaniale”.

– Ja uważam, że wspaniale byłoby mieć więcej wina – powiedziała Carol. – Kto jeszcze

tak uważa?

– Ja – odezwała się Angela, wyciągając zgrabne ramię i pokazując pustą szklanekę. – Jutro w finałach muszę stawić czoło Georgene.

– Właśnie, gdzie ona jest? – Piet spytał uprzejmie Freddy'ego, obawiając się, że przed chwilą przesadził, mówiąc „nie należysz do żadnej”.

– Wypoczywa przed wielkim meczem – odparł Freddy, najwyraźniej już mu przebaczywszy.

– Naprawdę powinniśmy niedługo iść – Foxy zwróciła się do Terry.

– My też – powiedział Piet do Angeli.

Zawsze kiedy wpadała w jeden ze swoich rzadkich nastrojów wyzwolenia, obawiał się, że objawi mu niezmiernie bogactwa, które się w niej kryją, i pokaże otchłań strat, pokrytą lodową skorupą ich małżeństwa.

Carol rozlała do sześciu kieliszków wino z dzbanka, wywijając nim jakby w tańcu.

– Dobra – powiedział Freddy. – Carol rozpoczęła grę, mówiąc, że wspaniale jest mieć więcej wina.

– Nie powiedziałam, że to najwspanialsza rzecz, jaką mogę wymyślić. Powinnam dostać jeszcze jedną szansę.

– W porządku. Jesteś gospodynią, więc zaczynaj.

– Naprawdę muszę?

Wszyscy przytaknęli, koniecznie musi. Bosonoga Carol wstała w milczeniu z miejsca.

– Czy to nie podniecające? – spytała zachwycona atmosferą Angeli.

– Paznokcie noworodka – zdecydowała Carol.

Pełne podziwu westchnienia, ach, a potem parodie westchnień, ooch, powitały jej wypowiedź.

Freddy zaopatrzył się w ołówek i zaczął robić notatki po drugiej stronie kartki z początkiem sztuki.

– Paznokcie noworodka. Bardzo ładnie. Prosimy o wytłumaczenie.

– Muszę tłumaczyć? W takim razie chodzi o cały ten proces, chemię. Nie rozumiem jej, więc dlatego wydaje mi się taka wspaniała. Wiesz – zwróciła się do Foxy, która jako jedyna z zebranych w pokoju kobiet absolutnie o niczym nie miała pojęcia – sposób, w jaki coś powstaje z niczego, prawie bez względu na to, co robimy: palimy, pijemy czy spadamy ze schodów, nawet jeśli go nie chcemy, żywe niemowlę, z idealnie uformowanymi paznokietkami. Chodzi mi o to – ciągnęła, widząc po wyrazach ich twarzy, że takie wytłumaczenie nie wystarczy – ile jednak pracy, pomysłowości, a nawet miłości łączy się z powstawaniem każdego z nas, bez względu na to, jak usilnie się później staramy, by wszystko speprzyć.

– Jesteś kochana, Carol – stwierdził Piet. – Jak ktoś tak uroczy może nienawidzić mnie i moich sympatycznych domków?

Czuł, że chciała skorzystać z okazji, żeby naprawić swój wizerunek; miała świadomość, że do tej pory zachowywała się jak farbowana suka i opuszczona przez Saltzów i męża, potrzebowała miłości tych, którzy ją otaczali, być może zwłaszcza Pieta, który tak jak i ona, pochodził z niższej warstwy klasy średniej.

– Wcale cię nie nienawidzę – zaprotestowała. – Wręcz przeciwnie, uważam, że mógłbyś wiele z siebie dać, a tylko marnujesz swój potencjał.

Po krótkiej chwili milczenia odezwała się Angela:

– Nie wiem, czy uznać to za obelgę, czy prowokację.

– Mamy niemowlęce paznokcie – oznajmił Freddy Thorne. – Kto następny?

– Teraz jakiś mężczyzna – zaproponowała Terry Gallagher.

Piet poczuł się wyróżniony i wzruszony tym, że to powiedziała. Terry spoczywała na podłodze, wysoka kobieta, z nogami podwiniętymi pod rozpląszczone uda. Jej usta

wyglądały, jakby trzymała w nich monetę, a ciemne włosy opadały, przywodząc na myśl krzywizny harfy. Kiedyś ją kochał, wtedy jeszcze zbyt nieśmiały, by wiedzieć, że tylko na to czeka. Naczynie nabiera kształtu, nim się je napełni. Upił łyk wina, którego kolor przypominał słońce widziane przez mgłę, idealny okrąg mniejszy od księżyca. Zaćmienie. Miłość skazana na zgubę? Foxy obserwowała go, jak pije, jej zaróżowiona twarz w obramowaniu jasnych włosów, wzburzonych przez morską wodę. Czasem jej brzuch miał słony smak. Jasny bęben, napięty jak linia morza nad burzą blond włosów, poskręcanych jak sprężyny od zegarka. Pępek zwrócony do środka. Ich miłość księżycowa, harmonijny obieg wokół planety jej łona. Półksiężycowe fragmenty pośladków, które był w stanie osiągnąć językiem poniżej płatków jej róży. Dalekie jęki, jakby na drugim planie, zaćmione.

– Twoja kolej, Piet – powiedziała Angela.

Przebiegł myślami świat, miasta, pola, wieże i morza, zaprawę murarską i pieniądze, pocięte drewno, słodko pachnące wióry, niebieskie śpiewniki i meszek na płatkach róży. Dupy. Jego umysł nie mógł się oprzeć temu wnioskowi: liczą się tylko dupy. Nie istnieje nic lepszego.

– Śpiąca kobieta – powiedział. Dlaczego śpiąca? – Bo kiedy śpi, staje się wszystkimi kobietami świata.

– Jesteś pijany – stwierdziła Carol i Piet odgadł, że wyraził się zbyt prosto i ją obraził. Świat nienawidzi światła.

Freddy zacisnął usta i zmrużył oczy.

– Może dlatego śpiąca – oznajmił – że przebudzona stanowi dla ciebie zagrożenie.

– Mów za siebie – powiedział Piet, czując nagle znudzenie nową grą i potrzebę znalezienia się ze swoimi pograżonymi we śnie dziećmi; być może to właśnie one, Ruth i Nancy, były kobietami, o których myślał, syte i ciężkie od snu, jak posypane cukrem kawałki rachatlukum.

– Śpiąca kobieta – powtórzył z uporem.

– Mająca niemowlęce paznokcie – dodał Freddy Thorne. – Ależ jesteście w rodzinnym nastroju. Horyzontalnie rzecz biorąc, znaczy się. Terry?

Była gotowa od czasu, kiedy jej uśmiech stał się pełen samozadowolenia.

– Utwory J.S. Bacha.

– W aranżacji na lutnię? – spytał zazdrośnie Piet.

– W aranżacji na cokolwiek. Grane jakkolwiek. To właśnie jest takie wspaniałe w muzyce Bacha. Nie zdawał sobie sprawy z własnej wielkości. Po prostu starał się utrzymać swoich siedemnaścioro dzieci uczciwą pracą.

– Znowu wracamy do życia rodzinnego – mruknęła Angela.

– Nie wierz w to. – Piet zwrócił się do Terry: – Chciał być wielki. Marzył o tym, by stać się nieśmiertelny.

Mówiąc to, nadal odnosił się do Carol, spierał się z nią o swoje domy, o jej obrazy, przepraszając i przyznając się do chwili zwątpienia.

– Moim zdaniem był zwyczajnym, nieświadomym znaczenia swojej pracy człowiekiem. Pełnym słonecznego światła. Wspaniałe jest go mieć pod palcami.

– Graj czysto – upomniał ją Freddy, robiąc notatki. – Dzieła J.S. Bacha, niekoniecznie w aranżacji na instrumenty strunowe. Angela.

– Zaraz się rozplączę. – Westchnęła. – Wszyscy jesteście tacy pewni tego, co dla was najlepsze. Ja nie jestem w stanie wymyślić nic wystarczająco wspaniałego, by móc to wskazać. Chyba dzieci, ale czy chodzi mi o moje własne, czy też o sam fakt ich posiadania, o czym już mówiła Carol? Proszę, Freddy, wróć do mnie później. Proszę. Nie jestem jeszcze gotowa.

– Eucharystia – powiedziała Foxy. – Nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Teraz kolej Freddy'ego – powiedział Piet.

To był podwójny ratunek: Foxy Angela, on Foxy. Ryzyko obnażenia się było

niebezpieczeństwem towarzyszącym wymyślanym przez Freddy'ego grom. Niebezpieczeństwem i ich owocem.

Freddy odłożył ołówek i zaczął mówić z wahaniem, jak gdyby czytał magiczny tekst, materializujący się przed nim w powietrzu.

– Najwspanialszą rzeczą, jaką znam, jest ludzka zdolność do oszukiwania samego siebie. To ona sprawia, że świat się kręci.

– Tylko ludzki świat – wtrąciła się Carol – który jest zaledwie zarozumiałą skorupką na świecie rzeczywistym. Zwierzęta nie oszukują samych siebie. Kamienie też.

Angela wyprostowała się pod wpływem nagłej myśli.

– Mówicie, że świat to wszystko? W takim razie ja stawiam na gwiazdy. Oczywiście. Gwiazdy.

Zaskoczony, przestraszony Piet zdawał się zapadać w jej przejrzystej twarzy.

– Ale dlaczego? – spytał.

Angela wzruszyła ramionami.

– Bo są takie niezmiennie. Ponad wszystko. Jak gdyby ktoś rzucił w powietrze garść soli, która już tak została na miliardy lat. Wiem, że się poruszają, ale nie względem nas, jesteśmy zbyt mali. Za szybko umieramy. Poza tym są piękne, Wega w letni wieczór, Syriusz zimą. Czy tylko ja jeszcze im się przyglądam? Jeden z moich wujów ze strony matki był astronomem, Lansing Gibbs. Zdaje się, że nazwali po nim jakiś efekt, efekt Gibbsa. A może jakąś galaktykę. Wyobraźcie sobie galaktykę, te wszystkie planety i słońca, nazwane nazwiskiem jednego mężczyzny. Z powodu przechodzonej w dzieciństwie choroby był bardzo niski, miał ostre zęby i krzywe nogi. Lubił mnie nawet wtedy, kiedy go przerosłam. Nauczył mnie nazw najważniejszych gwiazd: Wega, Deneb, Antares, Arktur... Niektórych już nie pamiętam. Kiedy byłam małą dziewczynką, lubiłam leżeć na werandzie naszego domku letniego w Vermoncie i wyobrażać sobie, że wędruję między nimi, od życia do życia, wiecznie. Są wspaniałe.

– Jesteś urocza, Angelo – odezwała się Foxy.

– Angela potrafi być urocza – przyznał Piet i westchnął. Powinni byli pójść już dawno temu.

– Opowiedz nam o oszukiwaniu samego siebie, Freddy – zażądała Terry.

Owinięty w koc Freddy wyglądał staro i absurdalnie. Jego paznokcie, widoczne w otworach płetw, były odrażające: wrastające, okropne, skrzycone od używania na co dzień ciasnych butów.

– Ludzie ciągle przychodzą do mnie z zębami, z którymi nic już się nie da zrobić – powiedział Freddy. – Wmawiają sobie, że rośnie to neuralgia. Ból najwyraźniej męczy ich straszliwie. Chodzą tak miesiącami, nie mogąc przeżuwać ani nawet zamknąć szczęk, ponieważ podświadomie nie chcą stracić zęba. Utrata zęba oznacza dla ludzi śmierć: to klasyczny symbol kastracji. Wolą mieć kutasa, który boli, niż nie mieć go wcale. Boją się mnie okropnie, ponieważ mogę powiedzieć im prawdę. Kiedy dostają sztuczną szczękę, przekonuję ich, że wyglądają lepiej niż kiedykolwiek, a oni wylażą ze skóry, żeby mi uwierzyć. A to gówna prawda. Tracąc zęby, tracisz swój uśmiech. Wyobraźcie sobie, jakie bzdury musi opowiadać lekarz zajmujący się pacjentami chorymi na raka. Jezu, kiedy przez rok studiowałem medycynę, widziałem chodzące szkielety mówiące o poprawie zdrowia. Widziałem kobiety bez twarzy nawijające włosy na wałki. Ale najzabawniejsze jest to, że wcale nie zdrowiejesz, a wszyscy mają to kompletnie w dupie. Rodzisz się, żeby dać się przelecieć, a potem umrzeć, i im szybciej, tym lepiej. Carol, masz rację co do tego zmyślnego mechanizmu, od którego zaczęliśmy; problem polega na tym, że porusza się on tylko w jednym kierunku. Po równi pochyłej, w dół.

– Czy naprawdę nic nie zyskujemy? – spytała Foxy. – Mądrość? Współczucie?

– Na co by nam była mądrość – odparł Freddy – gdybyśmy nie gnili? Mądrości używa się

do odegnania brzydkiego zapachu.

– Wiesz co – odezwał się delikatnie Piet, chcąc zachować coś z siebie, ponieważ czuł, że Freddy jest jak wir, który ściąga wszystkich w otchłań. – Sądzę, że masz zawodową obsesję na punkcie rozkładu. Oprócz gnicia istnieje też wzrost. Życie nie toczy się po równi pochyłej, składa się z wielu wznoszeń i upadków. W ostatniej sekundzie możesz być wysoko w górze. Wyobraź sobie bycie wewnątrz macicy. Nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić. Czy nic, co istnieje, nie jest cudownie zadziwiające? Znacznie bardziej od ludzkiej zdolności do oszukiwania samego siebie podziwiam ludzką pomysłowość w tworzeniu nieszczęścia. Wierzmy w nie. Nieszczęście to my. Głosowaliśmy na nie od momentu opuszczenia Edenu. Produkuje cierpienie, żyjemy się trucizną. Ale to nie oznacza, że świat nie jest wspaniały.

– Przestań z tym walczyć, mój drogi – powiedział Freddy. – Jesteśmy skazani na przegraną. Życie znaczy przegrywać.

Puścił w obiegu trzymaną w dłoni kartkę papieru.

– Oto on. Twój wspaniały świat.

Lista zawierała następujące pozycje:

paznokcie niemowlaka kobieta (zzzz)

Bach

Euch.

□ □ □

zdol. do oszuk. samego siebie

– Ja w to nie wierzę – odezwała się ostro Foxy. – Pozwoliłbyś, by wszystko, co ludziom udało się zbudować, stoczyło się i uległo rozpadowi.

– Wykonuję tylko swoją pracę – odpowiedział Freddy. – Nie jest to wymarzona praca, ale codziennie wkładam biały fartuch i ją wykonuję.

Biały fartuch. Antyseptyczna prawda. Nauczył się w niej żyć. Ja nie. Jest lepszym człowiekiem ode mnie. Piet czuł, że wpada w przepaść o oblodzonych brzegach, w umysł Freddy'ego. Foxy wyciągnęła do niego w milczeniu dłoń; Terry odwróciła się do niego.

– Nadzieja nie jest czymś, do czego można się samemu przekonać. To coś związanego z moralnością, tak jak i posłuszeństwo. Jest nam dana. Możemy ją najwyżej zaakceptować albo odrzucić.

Angela wstała z miejsca.

– Sądzę, że wszyscy jesteśmy do siebie dość podobni, bez względu na to, w co, jak nam się wydaje, wierzymy. Mężu, jestem pijana. Zabierz mnie do domu.

W holu cuchnącym mokrymi parasolami Piet żartobliwie dźgnął Freddy'ego palcem w brzuch.

– Powiedz, Georgene, że nam jej brakowało – poprosił.

Odpowiedź Freddy'ego nie zabrzmiała wesoło; jego zamazana twarz napuchła strasznie pod błyszczącą maską.

– Wolą nie przychodzić. Masz dla niej jakąś wiadomość?

Lodowata świadomość tego, że Freddy wie, przemknęła przez twarz Pieta.

– Nie, pozdrów ją tylko serdecznie – odparł prędko, mając jeszcze możliwość prześlizgnięcia się, zrobienia uniku na tym poziomie, gdzie liczyły się reakcje i nie było wymagane poddanie się śmierci.

Wątpił, by Freddy zdawał sobie z czegośkolwiek sprawę. Georgene łkała, kiedy przespała się z nim po długiej przerwie, ale Piet już wcześniej wypróbował jej odporność i wiedział, że zniesie największy nawet napór zgryzot i oprze się pokusie wyznania. Groźba w głosie Freddy'ego stanowiła błąd, typowe macanie w mroku. Jego żywioł.

– Nie powinieneś już do niej wracać? – Zadał kolejny cios.

Nie wyglądało na to, by Freddy szykował się do wyjścia.

– Ona już śpi – powiedział.

Śpiąca kobieta. Obraz równie złowieszczy jak wspaniały. Wolą iść spać zamiast pojawić się na spotkaniu, w którym mógł uczestniczyć jej kochanek. Pielęgnowała swoje cierpienie. Piet czuł, że Georgene żyje w cieniu tego człowieka jak w niewoli, i pożałował, że znów ją odwiedził.

Carol zamilkła, nasłuchując Eddiego. Teraz i ona się podniosła, żeby się pożegnać. Wraz z Freddym, oboje w strojach plażowych, pomachali odjeżdżającym z zalanego bladożółtym światłem ganku. Ulicę dalej wąski dom Saltzów był całkowicie ciemny poza żarówką palącą się u stóp schodów. Tarbox układało się do snu. Wodospad przy fabryce zabawek huczał cicho. Niedaleko parku dało się słyszeć pisk opon odjeżdżającego samochodu. Pośród gwiazd ryczał niewidoczny odrzutowiec. Jego dźwięk był jak zgrzyt noża na szkło. Ostatni moment pożegnań. Foxy i Terry, powoli przesuujące się cienie po niebieskiej wrześniowej ulicy, skierowały się do mercedesa Gallagherów. Nie odwracając się, pomachała palcami lewej dłoni; do zobaczenia, aż znowu będą mogła cię dotknąć.

– Biedna Foxy – powiedziała cicho Angela. – Czemu Terry nie była na tyle rozsądna, by zabrać ją do domu już dawno temu?

– Sądzisz, że miała ochotę wracać? – spytał dotknięty Piet.

– Oczywiście, była skonana. Czy rozwiązanie nie ma nastąpić już za miesiąc?

– Mnie nie pytaj. Skąd miałbym wiedzieć?

– Raz w połowie tej niekończącej się gry, a nawiasem mówiąc, nie powinniście z Freddym roztrząsać prywatnych sporów w damskim towarzystwie, to nie jest ani fascynujące, ani przyjemne, spojrzałam na nią i wyglądała na strasznie ponurą.

– Nie zauważyłem.

– Była taka piękna, kiedy się tu sprowadzili, a my zmieniamy ją w wiedźmę.

Chodnik z kostki w świetle latarni miał fioletowy odcień, przypominający osad z wina. Piet zauważył małego, krągłego owada biegnącego w szczelinie: późny przechodzień, widziany z kościelnej wieży. Nikt nie woła, by wrócił do domu. Bez matki, bez ojca. *Onvoldaan*. Nadmiar wina zmniejszył ostrość w kamerze umieszczonej w jego głowie; podniósł oczy i ujrzał za ogrodzeniem boiska swój kościół, dominujący nad okolicą, szeroki i bezkształtny od tyłu, majestatyczną, pustą plamę.

Informacja o tym, że Ben stracił pracę, doszła Pieta z trzech różnych stron. Angela dowiedziała się po zajęciach w przedszkolu, gdzie zgodziła się dalej uczyć we wtorki i piątki, chociaż Nancy chodziła już do pierwszej klasy. Irene sama przekazała jej wiadomość, zupełnie wprost, tonem przywodzącym na myśl obwieszczenie prasowe.

– Pewnie już słyszałaś. Ben zmienia pracę.

– Nie. Nic o tym nie wiem. Jakie to cudowne! Gdzie teraz będzie pracował? Mam nadzieję, że nie oznacza to dla was wyprowadzki z Tarbox.

– Właściwie nic nie jest jeszcze do końca postanowione. Ale Ben złożył już rezygnację.

– Tym lepiej dla niego – powiedziała Angela, wpędzona w bezmyślność sztucznym zachowaniem Irene; odruch, by złożyć wyrazy współczucia, został z miejsca stłumiony.

– Wyglądała upiornie – opowiedziała później Pietowi. – Była wymęczona. Nagle, a wiesz przecież, jak ładnie wyglądała przez całe lato, stała się przytłoczona zmartwieniami Żydówką w średnim wieku. Kiedy mówiła, jej oczy były całkowicie czarne i dziwnie nieruchome. Taki stanowczy wzrok. Miałam wrażenie, że chce ubić ze mną jakiś interes.

– Nigdy tak naprawdę nie wiedziałem – odparł Piet, nie potrafiąc udąć zdziwienia, ponieważ otrzymał już tę wieść wcześniej – czym tak właściwie Ben się zajmował.

– Miniaturyzacją, kochanie. Dla programu kosmicznego. Tylko tyle mógł wyjawić.

Angela nakrywała dla dziewczynek. Zawsze była najbardziej towarzyska w trakcie przygotowywania posiłków. Oni sami mieli wieczorem zjeść kolację u Guerinów.



– Chodzi mi o to – powiedział Piet – jak dobry był w tym, co robił? Wykonywał pracę technika czy też zajmował się miniaturyzacją od strony teoretycznej?

– W rozmowach uwielbia teoretyzować.

– To mnie zastanawia. Z tego, co mówiła Irene, można było wywnioskować, że cała sonda kosmiczna Mariner do niego należy. Ze jest ceniony na równi z Johnem Ongiem. A teraz się okazuje, że wyrzucają go z pracy, jak tylko biedny Ben się trochę zaplątał. Skurczybyk.

– Sądzisz, że sprawa z Constalzami miała z tym coś wspólnego?

– Najwyraźniej. Oczywiście. Constantinowie wycisnęli z niego ostatnie siły. Oboje rzadko kiedy śpią, a Eddie lata zgodnie z przepisami jedynie czterdzieści godzin miesięcznie. Irene wrywało się nawet czasem, że Ben spóźnia się na poranny pociąg.

Piet przekazywał Angeli domysły, które Georgene podała mu jako fakt, zasłyszany wcześniej od Freddy'ego.

– Nie mogę uwierzyć, że było aż tak źle.

– Jesteś taka cholernie niewinna, złotko. W głowie ci się nie mieści, że ktoś może mieć więcej energii seksualnej od ciebie. Ta czwórka przesiadywała razem całe noce, robiąc zamiany. Carol uwielbia mieć dwóch mężczyzn równocześnie; przed Benem sypiała z tym chłopakiem, którego Eddie przyprowadzał na mecze koszykówki.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Wszyscy wiedzą – odparł szybko Piet.

Angela zamyśliła się, przerywając rozlewanie rosółu z makaronem do dwóch czystych misek.

– Ale czy miała ich w sobie równocześnie? To znaczy, czy wystarcza na to miejsca? I gdzie by się to miało odbywać? W jej pracowni, gdzie trzyma te wszystkie brudne tuby z farbami? I co niby miałyby robić Irene w trakcie akrobatycznego występu?

Mrugnęła niebieskimi oczami, próbując sobie to wyobrazić; Piet był zadowolony, widząc jej zainteresowanie. Nie potrafił jednak wskazać mężczyzny, z którym mógłby ją dzielić. Thorne był okropny, a Whitman zbyt czysty.

Następnego wtorku Angela wróciła późno z przedszkola, z błyszczącymi oczami.

– Miałaś rację – oznajmiła. – Chodziło o Constantine'ów. Irene zabrała mnie do domu na filiżankę herbaty, która okazała się burbonem, i wszystko mi opowiedziała. Jest pełna rozgoryczenia. Nie chce widzieć Constantine'ów na oczy, chociaż Carol nachodzi ją co jakiś czas, chcąc załagodzić sprawę. Irene przyznaje, że jest to częściowo jej własna wina, a Ben powinien był się kontrolować. Było to jednak dla nich niezwykle podniecające doświadczenie, wcześniej zawsze zachowywali powagę i nigdy nie przyjaźnili się naprawdę blisko z inną parą. Uważali, że to wspaniałe, że Constantine'owie mają zupełnie inną filozofię życiową i że są zawsze tacy wyluzowani i gotowi na wszystko, że jedzą, kiedy mają ochotę, i czasami nie śpią całą noc. Irene nie ukrywała, że Eddie i Carol potrafią być niezwykle czarujący i właściwie nie należy ich winić, tacy już są, amoralni. Powiedziała, że w pewien sposób jest im nawet wdzięczna za lato i cieszy się, że mogła czegoś takiego doświadczyć, choć właściwie zrujnowała swoje małżeństwo i w tej chwili są spłukani. Przyznała, że skłamała z tą zmianą pracy. Ben nie ma innej pracy.

– Pewnie, że nie ma. Podała jakieś szczegóły? To znaczy, co takiego zrobił Ben, że go wylali?

– Powiedziała tylko, że nie chodziło wyłącznie o spóźnienia. Czasami Ben w ogóle nie pojawiał się w pracy, zwłaszcza po tym, jak kupili wspólnie łódź i wypływali na całodniowe rejsy. Raz dotarli aż do Provincetown, wyobrażasz sobie, tym starym ketem, nadającym się najwyżej do pływania po moczarach. Irene mówi, że większą część czasu była przerażona, ale najwyraźniej Eddie to zręczny żeglarz. Już sobie wyobrażam uroczy obrazek: Irene w wielkim, fioletowym kapeluszu i koszuli z długimi rękawami i Ben walczący całą drogę z chorobą morską. Dwie sowy i dwa koty w ślicznej łódeczce w groszkowym kolorze. Do

Provincetown! Mój ojciec i wuj zabierali na taką wyprawę sześciuosobową załogę, a dzieci nie miały nawet o czym marzyć. Oczywiście żołądek Bena nie przyswaja dużych ilości alkoholu, więc kiedy już szedł do pracy, był często zbyt chory, by cokolwiek zrobić. Na dodatek nie ma prywatnego biura, tylko szklany boks, więc nie dało się niczego ukryć.

– A co z seksem? Są jakieś szczegóły?

– Zachowywała się wymijająco i nie chciałam na nią naciskać. Czułam się tak wyróżniona i równocześnie oszołomiona, że po prostu siedziałam, słuchając, jak wylewa z siebie potok żalu. Ciekawe, dlaczego zdecydowała się zwierzyć akurat mnie?

– Jesteś sumieniem miasteczka. Wszyscy czują się w obowiązku przed tobą usprawiedliwiać.

– Nie bądź sarkastyczny. Dała mi do zrozumienia, że prawdopodobnie mogłam usłyszeć co innego z innych ust. Powiedziała, że Eddie potrafi być bardzo pociągający, jak gdyby tylko to odczuwała, ale oczywiście nie uległa. Jeśli się ulegnie, to nie można już tego nazwać pociąganiem, prawda?

– To ty jesteś ekspertem – odparł Piet.

Nie podobało mu się, że Angela czerpie tyle satysfakcji z przeżywania spraw czyjegoś życia.

– Wieczory, które spędzali razem, opisywała tak, jakby składały się wyłącznie z rozmów. Czasami byli z nimi Freddy Thorne albo Terry. Wydawało mi się, że wyłazi ze skóry, by dać mi do zrozumienia, że tej nocy, kiedy razem z Eddiem położyli Bena spać i wszystkie światła w ich domu były wyłączone, tak naprawdę siedzieli w kuchni, rozmawiając o pracy Bena. Już wtedy dostał poważne ostrzeżenie.

– Ale zero seksu. Zgubiły go łódki i alkohol.

– Irene nie powiedziała tego wprost, ale sugerowała, że z pewnością nie. Nawet, naprawdę odebrało mi mowę, kiedy usłyszałam to z jej ust, nazwała Carol „podpuszczalską”. Jak gdyby miała ochotę iść do łóżka z Benem, ale tego nie zrobiła, albo nie robiła zbyt często, nie wiem. To dość smutna i zagmatwana historia. Zwłaszcza kiedy pomyśleć o dzieciach. Większość ich spotkań odbywała się u Constantine’ów, ponieważ Saltzom łatwiej było zostawiać młodszego syna pod opieką Bernarda, który i tak siedzi do późna, czytając książki. Jednak po północy Irene odczuwała czasami wyrzuty sumienia i wracała do domu, zostawiając Bena z Eddiem. Rozmawiali praktycznie o wszystkim: przestrzeni kosmicznej, komputerach, szkołach prywatnych i publicznych, religii. Eddie jest tak zaciekłym ateistą, że na samo słowo „kościół” zaczyna się pieniść.

– I wtedy Carol była z oboma naraz.

– Nie chciałabym podkopywać twojego wysokiego mniemania o Carol, ale naprawdę uważam, że to dość nieprawdopodobne. Może takie rzeczy dzieją się w burdelach na Okinawie, ale nie w domach ludzi, których znamy. To by było... groteskowe.

– Kochanie, ona jest człowiekiem. Mogłaby wziąć jednego do ust.

Niebieskie oczy Angeli gwałtownie rozbłysły.

– Chciałbyś, żebym to zrobiła, prawda?

– Nie, nie, nie – zaprotestował. – Dobry Boże, nie. Ty i seks analny.

Foxy usłyszała inną wersję tej historii, którą opowiedziała jej Terry po rozmowie z Carol. Terry i Carol podzielały pasję do muzyki; Foxy i Carol spotykały się od czasu do czasu, żeby wspólnie rysować, najczęściej pozujące w trykotach wykwinne córki Constantine’ów: Laure albo Patrice.

– Twierdzi – powiedziała Pietowi – że Saltzowie najzwyczajniej zwalili im się na głowę. Ze byli rozpaczliwie samotnymi wyrzutkami i kiedy zobaczyli, że ona i Eddie są gotowi ich zaakceptować, nie potrafili zachować umiaru. Według niej Ben był chowany pod kloszem, po staroświecku, w hebrajskim getcie na Brooklynie...

– Już widzę, jak Carol mówi „hebrajskim”. – Piet roześmiał się.

Foxy była dobrą parodystką i nieświadomie ubarwiała swoje opowieści cechami mówienia osób, których słowa relacjonowała. Piet miał głowę opartą o jej kolana i wyraźnie słyszał bicie serca nienarodzonego dziecka.

– ...w hebrajskim getcie, i był zwyczajnie spragniony, cóż, odrobiny szaleństwa. Carol jest przekonana, że dopóki Constantine'owie nie pojawili się w Tarbox, Saltzowie byli wykluczani z towarzystwa „sympatycznych” par przez Guerinów, którzy mieszkają zaledwie kilka przecznic dalej, na Prudence Street, i przez drogich Thorne'ów, uroczych Applesmithów, zawsze modnych Hanemów, nie wspominając już jakże obiecujących Gall...

– Nieprawda. Zawsze zapraszaliśmy Bena na mecze koszykówki. A czyja to wina, że nie grają w tenisa ani nie jeżdżą na nartach? Zawsze byli na dużych imprezach. Holendrzy są mniej znaczącą mniejszością w tym miasteczku niż Żydzi.

– W każdym razie Carol takie odniosła wrażenie, prawdopodobnie słuchając Irene – powiedziała Foxy, głosząc Pieta z roztargnieniem po głowie. – Twoich włosów nie da się wygładzić.

– Przerzedzają się? Będę łyсы jak Freddy Thorne? Rudym mężczyznom często się to zdarza. To kara boska za nadmiar energii. Nie przestawaj. Bardzo mi przykro, że Irene, którą zawsze uwielbiałem, uważa, że jesteśmy antysemitami.

– Najwyraźniej tak jest. Była wściekła, kiedy w szkole podstawowej obsadzili Bernarda w bożonarodzeniowym przedstawieniu. Na dodatek jako Józefa. Według Terry, Carol jest przekonana o tym, że inicjatywa zejścia się obu par wyszła od Irene. Małżeństwo Saltzów od lat się rozpadało. Byli razem z powodu Bernarda, a Jeremiaś był wpadką. Irene załamała się z tego powodu nerwowo.

– Pamiętam, jak pięknie wyglądała w ciąży. Uwielbiam ciężarne kobiety.

– Właśnie widzę.

– Co ci mówiła Terry na temat tego, co mówiła Carol o powodach niechęci Irene do Bena?

– Czuje, że Benowi brakuje ambicji, determinacji. Jej ojciec siłą utorował sobie drogę w przemyśle odzieżowym. Tak czy inaczej, Piet, kto to wie, dlaczego kobiety wolą jednych mężczyzn, a innych nie? Może z powodu chemii? Carol twierdzi, że Eddie spodobał się Irene, która rozpałała się dla niego jak w wypadku wszystkiego, Sprawiedliwej Polityki Mieszkaniowej, nauczania przedszkolnego i ochrony przyrody. Stał się dla niej słuszną sprawą.

– Uwielbiam cię słuchać. Masz taki piękny głos.

– Ty też. I inaczej wymawiasz niektóre słowa.

– Ostatecznie jestem imigrantem. Tak czy inaczej, twój opis brzmi dla mnie bardziej jak Terry niż Carol. Carol powiedziała by „miała na niego ochotę” albo coś równie nieskomplikowanego, a potem rzuciłaby mordercze spojrzenie. „Poprzysięgła sobie, że go zdobędzie”. „Od owej chwili robiła wszystko, by dzielić z nim posianie”.

– Zupełnie nie tak. Powiedziałyby raczej: „Ta suka była tak napalona, że dała mu dupy”.

– Ach, moja pani. Co za język. „Dała dupy”.

– Nie potrząsaj tak głową, bo wywołasz poród.

– To prawda, przez to całe zamieszanie Irene uzyskała miano prawdziwej zdziiry. A przecież do tej pory była osobą, z którą rozmawia się na początku przyjęcia, żeby mieć ją szybko z głowy.

– Carol mówiła, że kiedy Saltzowie szli do domu, siadywali z Eddiem i nabijali się z oczywistych zagrań Irene.

– A potem on szedł do domu Saltzów i śmiał się w duchu. Podoba mi się idea, że Eddie to słuszną sprawą, coś w rodzaju integracji międzyszkolnej albo ruchu na rzecz ochrony żurawi. To najmniej wartościowy człowiek, jakiego znam. I pomyśleć, że powierzamy mu nasze życie. A co Carol mówiła o jej i Bena wspólnej walce o cnotę młodego pilota?

– Powiedziała, że było jej żal Bena, ale tak naprawdę nigdy nie wydawał się jej atrakcyjny.

- Odrzuciła go. Kolejna przedstawicielka białej elity.
- Tak. – Foxy pokiwała głową. – Wspomniała o tym, że jako jedyna w tym czworokącie miała anglosaskie pochodzenie. Eddiego to najwyraźniej niezwykle drażni i zawsze poddaje ją różnym próbom. Straszy ją, kiedy prowadzi samochód, tego typu rzeczy.
- Sądziłem, że jest niepraktykującym katolikiem.
- Bo jest. Ona była prezbiterianką. – Foxy przesunęła palce z włosów na wrażliwą twarz Pieta, napięte powierzchnie, które badała dotykiem jak niewidoma. – Ponadto – ciągnęła głosem, którego muzyczne cienie i spadki stały się, tak jak i jej słodko pachnący ciężar, domeną jego miłości – ponadto, i przestań tak na mnie patrzeć, Carol nie uważa, żeby to, co razem robili, miało związek z utratą pracy przez Bena. Carol sądzi, że po prostu źle ją wykonywał, w co jestem w stanie uwierzyć, ponieważ za każdym razem, kiedy rozmawiał z Kenem...
- Ken i Ben jak zły sen – wyrecytował Piet.
- ...kiedy rozmawiał z Kenem, wyrażając fascynację biochemią, tajemnicą życia i nie wiadomo czym jeszcze, okazywało się, że nie przejawia zbyt dużego zrozumienia dla tych zagadnień, a interesują go głównie błahe ciekawostki jak z „Newsweeka”. Wszędzie doszukiwał się religijnych podtekstów, co Kena śmiertelnie nudzi. Jak to ująć? Eklektyczny? Ben ma całkowicie eklektyczny umysł.
- Moim zdaniem – powiedział Piet, zamykając oczy, żeby jeszcze głębiej poczuć słodką obecność Foxy, jej brzuch przy swoim uchu, jej palce na swojej skroni, jej uda, na których wspierał głowę – Saltzowie weszli w ten układ, żeby Ben dowiedział się czegoś więcej o lotnictwie od Eddiego i usprawnił swoją pracę w kompleksie lotniczo-kosmicznym. I jak się już znaleźli w tym starym, śmierdzącym domu, Carol nimfomanka musiała nakłonić Bena, żeby ją przeleciał, a Eddie zamiast przyglądać się temu spokojnie, zaczął posuwać Irene, która pomyślała: „A co mi tam, to niezła zabawa!”.
- Cóż, między wierszami rysuje się mniej więcej taka historia.
- Carol i ja myślimy podobnie.
- Nawet mi tego nie mów! – poprosiła Foxy, dotykając jego ust i przypominając mu o nieporównywalnej powadze ich grzechu.
- Angela przyniosła do domu dodatkowe informacje na temat historii zasłyszanej od Irene.
- Wzięła mnie na bok po zajęciach w przedszkolu i ze łzami w oczach opowiedziała, że Carol rozsiewa plotki, że ona, Irene, czuła się wykluczona z towarzystwa z powodu bycia Żydówką. Chciała, żebym wiedziała, że to całkowita nieprawda i że oboje z Benem uważają, że zawsze byli ciepło przyjmowani, i byłoby im przykro, gdyby ich przyjaciele sądzili inaczej. Powiedziała też, że Carol jest bardzo znerwicowana i że Kevin ma problemy ze swoim zachowaniem z powodu, w jaki jest przez nią traktowany. Kiedy Carol ma ochotę malować, zamyka Kevina w pokoju. Chłopiec czasami tak krzyczy, że sąsiedzi się skarżą. Irene powiedziała też, że jej obiekcje co do roli Bernarda w przedstawieniu zostały celowo mylnie zinterpretowane. Nigdy nie była przeciwna przedstawieniu, uważała jedynie, że powinni w jakiś sposób okazać też szacunek dla święta Chanuka.
- Tak – powiedział Piet. – Może powinni też uświetnić Ramadan, zabraniając dzieciom jedzenia lunchu?
- Angela analizowała sprawę Irene poważnie, z liberalnego punktu widzenia.
- Nie rozumiem, po co zawracasz sobie głowę chodzeniem do kościoła – stwierdziła. – Odnoszę wrażenie, że jest do dla ciebie coraz mniej istotne.
- Georgene dorzuciła nieco pikantnych szczegółów na temat ostatnich wydarzeń.
- Freddy rozmawiał z Eddiem... – powiedziała Pietowi przez telefon.
- Freddy i Eddie to kawał biedy – wtrącił Piet.
- Gallagher był akurat u zakonnic, które miały zamiar zakupić zadłużoną posiadłość w Lacetown, i Piet siedział w biurze sam.

– Nie przerywaj mi. Eddie twierdzi, że Ben późno w nocy zaczynał opowiadać o pracy, którą wykonywał przy budowie raket. Mówił o czymś, co się nazywa „Titan”, o gigantycznych stratach i rywalizacji między różnymi departamentami i przedstawicielami rządu, o niektórych pomysłach, nad którymi pracowali, z paliwem stałym i systemami samonaprowadzania, przy których chyba właśnie pomagał Ben. Eddie był w szoku, że Ben mu to wszystko opowiada. Uważa, że jeśli jemu się tak zwierzał, to mógł się też zwierzać innym ludziom. Dowiedziano się o tym i postanowiono go zwolnić.

– Nie sądzisz, że Ben ukołysałby do snu każdego szpiega, który próbowałby go wysłuchać?

– Freddy uważa, że to prawdopodobnie właśnie Eddie wydał Bena. Ostatecznie pracuje w lotnictwie, wiedziałby, komu przekazać taką wiadomość.

– Czemu miałby chcieć pogrążyć kochanka swojej żony? Sądzisz, że Eddie ma coś przeciwko?

– Oczywiście. Ta kobieta go zamęcza. Jest stuknięta. To zupełna egoistka.

– A on jej nie zamęcza?

– W znacznie mniejszym stopniu. Eddie to tylko mały chłopiec, który lubi się bawić silnikami.

– Hm. Moim zdaniem, analizując męskie zachowania, nie należy kierować się teoriami o „mentalności małego chłopca”. Okradają nas z grzesznej godności.

– Hej, kiedy znowu do mnie wpadniesz?

– Przecież niedawno byłem.

– Miesiąc temu.

– Jak ten czas szybko leci.

– Ależ to upokarzające. Do diabła z tobą, Piecie Hanemo.

– Co ja takiego zrobiłem?

– Nic. Nieważne. Do widzenia. Do zobaczenia na przyjęciach.

– Czekaaj.

Odłożyła słuchawkę.

Następnego dnia znowu zadzwoniła, udając sekretarkę.

– Chciałam jedynie powiadomić pana, w kontekście naszej wczorajszej porannej rozmowy, że dwóch mężczyzn w garniturach i kapeluszach obserwowało przez jakiś czas dom państwa Saltzów na Prudence Street w Tarbox, a potem weszło do środka.

– Skąd wiesz?

– Podekscytowany pacjent opowiedział o tym Freddy’emu. Ludzie chodzący po Tarbox w kapeluszach to na pewno agenci FBI. Najwyraźniej już całe miasteczko wie o Benie.

– Sądzisz, że pójdzie na krzesło elektryczne jak Greenbergowie albo zostanie wymieniony na więzionego w Rosji Gary’ego Powersa?

– Cha, cha. Od kiedy zacząłeś sypiać z Foxy, zachowujesz się, jakbyś był kompletnie naćpany. Czeka cię twarde upadki. A tym razem ja cię nie złapię.

– Nie sypiam z tą niezwykle ciężką i cnotliwą damą. Hej, śniłaś mi się wczoraj.

– Tak? To był przyjemny sen?

– Całkiem niezły. Byliśmy w pomieszczeniu w rodzaju piwniczki na wino. Freddy startował w tegorocznych wyborach na radnego miejskiego, a ty zabrałaś mnie do piwniczki, żeby pokazać mi szampana, gromadzonego na świętowanie jego wygranej. Kiedy już tam się znaleźliśmy, wśród wiklinowych mebli, poprosiłaś, żebym ocenił twoje nowe perfumy, którymi spryskałaś się za uchem. Powiedziłaś z dumą, że kupiłaś je w drogerii Cogswella. Zanurzyłem twarz głęboko w twoich włosach, a ty objęłaś mnie delikatnym ruchem, i zdałem sobie sprawę, że masz ochotę się ze mną kochać. Wtedy się obudziłem. We śnie miałaś dłuższe włosy niż w rzeczywistości. Ufarbowane na czerwono.

– To nie byłam ja. Ty sukinsynu.

– To byłaś ty, Georgene. Mówiłaś o szansach Freddy’ego na wygraną swoim wysokim, obojętnym głosem.

– Przyjedź mnie odwiedzić, Piecie.

– Niedługo – obiecał.

– Irene zachowywała się dzisiaj naprawdę dziwnie – poinformowała Pieta wieczorem Angela. – Powiedziała, że Ben nie ma co robić i zaprosił do domu dwóch młodych mormonów. Uważają się za zaginione izraelskie plemię, więc dla Bena to jak rodzinne spotkanie.

– Jakich mormonów?

– Musiałeś ich chyba zauważyć w mieście. Co ty robisz całe dni? Dwóch młodych mężczyzn w garniturach i kapeluszach z szerokim rondem. Wygląda na to, że powołaniem każdego mormona jest nawracanie ludzi żyjących na nieoświeconych ziemiach. Czyli nas. Dla nich jesteście Hotentotami.

– Słyszałem, że to agenci FBI.

– Irene mówi, że wszyscy tak myślą. Twierdzi też, że Carol rozsiewa plotki, że Ben zdradził jakieś tajemnice państwowe.

– Powoli jej odbija. Carol.

– Spotkałam ją dzisiaj w sklepie i zachowywała się wyjątkowo miło. Powiedziała, że Eddie chce mnie znowu zabrać na przejażdżkę skuterem.

W samym środku tej burzy plotek przeżywający kryzys mężczyzna grabił liście, robił drobne naprawy i odmalowywał dom, a w ładne popołudnia zabierał synów na plażę. Z końcem lata plaża znów należała do stałych mieszkańców, którzy przeganiali psy wzdłuż spienionych fal i puszczali latawce nad morzem wydm. Zamiast kłębiastych chmur, towarzyszących upalnej pogodzie, po niebie płynęły wydłużone, ołowiane obłoki. Z North Mather przyjeżdżały do Tarbox przyczepy z końmi i podczas odpływu po burch płaszczyznach galopowały nastoletnie dziewczyny. Tam właśnie pewnego niedzielnego poranka w połowie października Piet przechadzał się z Ruth. Nie poszedł na mszę, więc i ona nie śpiewała tego dnia w chórze. W pewnym momencie w oddali ukazała się sylwetka Bena Saltza. Trzymał za rękę małego Jeremiaha i co chwila przystawał, by obejrzeć wraz z Bernardem muszle i co ciekawsze śmieci, zaplątane w zostawianych przez odpływ wodorostach. Piet chciał podejść do Bena, żeby wyrazić swoje współczucie, ale bał się go jak śmiertelnie chorego. Jego własne życie było zbyt niestabilne, by pragnął zbliżyć się do kogoś, kto już spadł w przepaść. Angela uważała, że powinni zaprosić Saltzów na obiad, spotkać się tylko we dwie pary. Początkowo Piet nie chciał się zgodzić, potem ustąpił, ale sama Irene chłodno odmówiła. Z Benem uznali, że ze względu na sytuację finansową, w jakiej się znaleźli, nie są w stanie zrewanżować się gościnnie, więc nie będą przyjmować żadnych zaproszeń. Wśród par zapanowała milcząca zgoda, by nie zapraszać Saltzów na przyjęcia, ponieważ byłoby to dla nich bolesne i wprawiło Constantine’ów w zakłopotanie. Jednakże Piet miał ochotę zajrzeć w przepaść, ujrzeć prawdziwą twarz katastrofy. O każdej porze dnia starał się przejeżdżać koło domu Saltzów, nawet jeśli musiał nadłożyć drogi. Światła w ich oknach gasły wcześniej; z kolei u Constantine’ów płonęły wyzywająco. Teraz spotykali się często z Guerinami, Thorne’ami i Gallagherami. Co rano starsze dzieci, Laura i Bernard, wyruszały z obu domów równoległymi ścieżkami, biegnącymi przez ruchliwy park; przed wieczorem wracały razem, rozmawiając znacznie poważniej, niż powinny dzieci.

Pewnego wietrznego popołudnia w środku tygodnia, okrążając park pikapem, Piet zauważył Bena montującego zimowe okna. Leżały z boku domu na stosie przypominającym ogromną, pochyloną szklaną talię kart. Ben przyglądał im się w zamyśleniu. Piet chciał go pozdrowić, ale równocześnie bał się zwolnić i zostać przywołanym, więc ostatecznie jedynie zerknął. Zaskoczyło go, że to, co ujrzał w przelocie, było przejawem szczęścia. Ben znów zapuszczał brodę. Kiedy pochylał się, by odczytać rzymskie cyfry wycięte w górnych rogach

okien, jego starożytny profil zdawał się należeć do człowieka uśmiechniętego, pogrążonego we śnie. Wyglądał jak ktoś na zasłużonym urlopie, jak ktoś, kto zrobił coś nieuniknionego i teraz walczył o przetrwanie, jak ktoś – takie wrażenie odniósł Piet – kto sięgnął dna i odnalazł spokój, bezpieczeństwo.

Mniej więcej w tym samym czasie Piet miał sen, że znajduje się na pokładzie samolotu, dużego, nowego odrzutowca. Wyposażenie obszernego okrągłego wnętrza, w kolorach beżowym i turkusowym, było dla niego widoczne w najdrobniejszych szczegółach, chociaż nigdy takim samolotem nie podróżował. Po wyjściu z wojska bardzo rzadko latał; ostatni raz dwa lata wcześniej, kiedy udał się w odwiedziny do brata w Michigan. Do Detroit leciał elektryką o okopconych silnikach, trzęsącą się w powietrzu jak stary pies. Natomiast luksusowy samolot z jego snu sunął w przestworzach, sprawiając wrażenie, że jest nieruchomy. Zagłówki foteli zlewały się równoległe do przejścia wyłożonego turkusowym dywanem. Dało się słyszeć pilota o południowym akcencie i melodyjnym głosie, który na pewno nie należał do Eddiego Constantine'a.

– Chyba udało nam się wymknąć – oznajmił radośnie z głośników.

Piet spojrział przez szczelne okienko i zobaczył, że oddalają się od ściany wijących się szarych chmur, zza których wyłania się błękitne niebo. Udało im się ominąć burzę. Nagle samolot zakołysał się i szarpnął w pełnym prądów powietrzu. Opadając bezwładnie, Piet próbował się czegoś schwycić, ale bez powodzenia. Osunął się i przechylił. Po chwili kąt przechyłu zwiększył się i samolot zaczął spadać. Olbrzymi kadłub ruszył w kierunku ziemi. Precyzyjnie zaprojektowane detale – jaskrawe, naniesione przez szablon numery foteli i pokrowce na zagłówkach, przytrzymywane w miejscu przez chromowane nity – zdawały się niezwykle statyczne pośród narastającego ryku nurkującego samolotu. Między siedzeniami stewardesa ze sztywną fryzurą z rudych włosów opierała się dla równowagi o dwa fotele, a zasłonki oddzielające pierwszą klasę od drugiej powiewały. Poza tym nie było żadnych oznak przerażenia, żadnych krzyków. „Co za marnotrawstwo”, pomyślał Piet. Zmyślny mechanizm zawiódł na całej linii. Co za koszt. Samolot leciał prosto w dół. Płyn w uchu wewnętrznym Pieta wezbrał i zastygł. Wiedział, że z tego upadku nikt go nie podniesie, i obudził się w ciemnościach, przekonany o swojej rychłej śmierci.

Oddech leżącej obok Angeli był równy i wilgotny. Pod wpływem ciężaru jej ciała materac zapadał się do środka. Ostry, słodkawy kobiecy zapach dominował w ciepłym łóżku. Brzegi karbowanego abażuru lampy stojącej na sekretarzyku przy oknie były obramowane niewyraźnym światłem. Jego dom. Statek z postawionymi żaglami, nieruchomy na spiętrzonych falach nocy. Oderwał dłoń od policzka. Na tle szczeblin w kształcie krzyża i niebieskich szyb miała rogowopodobny zarys. Jego dłoń. Poruszał palcami. Żył. Jednakże stanawszy w obliczu śmierci – wyjącego we śnie biernego, żarłocznego powietrza, które z chęcią by go połknęło – nie był w stanie powrócić do iluzji bezpieczeństwa, stanowiącej drzwi do życia. Ciężki jak z ołowiu, leża! na cieniutkiej warstwie lodu. Zaczął się pocić. Stopniowo jego skóra pokryła się grubą warstwą wilgoci, a mdłości, przyływ paniki płynący z nadnercza, luźny łańcuch uczipiony żołądka, groziły wywróceniem wnętrzości na nice. Szybko odwrócił się na plecy.

To nie był pierwszy tego typu atak paniki. Ale istnieją antidota. Wyobrazić sobie śnieg. Wyobrazić sobie wygięty od wiatru, dobrze zabezpieczony przed deszczem namiot. Udać, że kołdra daje schronienie. Myśleć o skórze. Piet starał się ukołysać do snu obrazami ciał kobiet, które znał. Delikatne pachy Foxy i płatki wokół jej szparki, bardziej kształtne niż u róży. Chuda, obsypana piegami szyja Georgene. Jej prosta nagość i krótka fryzura, poprzetykana siwymi włosami, które sprawiały, że nie miał chęci znów się z Georgene zobaczyć. Być może ten brak uroku niejako ułatwiał im wcześniejsze spotkania. Cudowna nieprzenikliwość Angeli. Giętka kibić Carol, silne nogi tancerki. Wylewający się biust pijanej

Bei Guerin, z nektarem potu pośrodku. Cuchnące, elastyczne krocze Annabelle Vojt, która pomimo braku doświadczenia pozwalała mu we wnętrzu opukiwanego przez deszcz samochodu, zaparkowanego pośród wysokiej, falującej trawy, całować się tam i lizać; twarz pomiędzy jej udami, bolący kręgosłup, świerszcze cykające wokół i jej palce, przebiegające jego włosy. Czasami, pośród hamburgerowych oparów i blasku rzucanego przez ściszone radio, pochodząca z pobożnej rodziny dziewczyna zdejmowała bez słowa tajemną osłonę jedwabiu, dysząc w sposób, który niepokojąco emanował doświadczeniem, unosiła sprawnie biodra nad siedzenie i pozwalała, by ściągnął jej od tyłu spodnie. Piet uchwycił się na moment wspomnienia bezgłośnego mrugania srebrnego ekranu i unoszącej się piersi, które wyskoczyło z jego pamięci jak wygięta w powietrzu ryba, ale i ono okazało się zbyt ulotne, by ukołysać go do snu. Był zbyt pobudzony, by móc w nie zapaść. Nerwy i atomy skrzyły się w nim i obracały. Z kośćmi pustymi jak u ptaka, miał na zawsze unosić się w powietrzu, wciąż czując na nowo w ustach tę samą cierpkosć.

Równy oddech Angeli zniknął. Obróciła się, ciągnąc za sobą pościel, i po chwili jej piersi znów zaczęła rytmicznie się unosić.

Okropnie rozbudzony, Piet próbował się modlić. Napływające do głowy myśli o nic nie zaczepiały. Onyksowy gazowy pył nad jego twarzą. Coś mocnego rozpadło się na atomy. Nie będziesz pożądał. Każdy, kto pożądliwie patrzy, już się w swoim sercu dopuścił... Niemądre wygibasy Pedricka. Nieugięte pustynne plemię: Morze Martwe. Garnki rozbite przez młodego pasterza. Pomarańczowy pył. Jeszcze jedna ponura sekta. Mormoni. Salt Lake. Nietwierane przez tydzień zbiory hymnów cuchną stęchlizną: odwijanie ryby. Wybacz mi. Wyciągnij dłoń i dotknij. Piet traktował wiarę protekcyjnie i ją stracił. Bóg nie pozwoli się wykorzystywać. Rozpościerała się pod nim bezgraniczna śmierć. Życie to szlam, świadomość jego szlamu. Piet leżał jak drżący duch na zimnej skale. Jego rodzice byli drobinkami miki w granitowym bloku. Nie docierało do nich światło. Wieczna utrata światła: kiedy samolot spadał, a on nie wiedział, że śni, szczery do bólu, tak to właśnie wyraził, jakby to zrobił każdy wykluczony z Kościoła codzienny podróżnik, który ma zły dzień. Po co dłużej droczyć się z Bogiem? Zapracowany staruszek musi przesłuchiwać wdowy i sieroty, pogrążonych w smutku mieszkańców Teheranu, wciąż nieoświeconych. Wgryźć się w śmierć. Wgryźć. Żadnych krzyków w samolocie. Który nadal spada. Stoicka poza, jak z filmu. Nadzieja rajy wysysa niebo. On nie Hotentot. Precz z przepaską na oczy. Materia w przeważającej części z niczego, chichot w próżni. Angela śpi w gwiazdnej kołysce, sieci swojego wuja. Nie ma żadnej świętości. Trójjedyny jak fiut i jaja: Freddy Thorne. O Panie, ten mdlący spadek, to osuwanie się. Cierpliwi rodzice łapiący okazję do domu, umieścili w torfie nasiona, z których wyrosło drzewo, by mógł nakarmić jego owocami kobiety. Zachłanna rozpacz kobiet wchłonęła Boga.

Z wyżyn strachu Piet wyraźnie widział swoje życie, skurczone, małe. Trzy nowe domy na Indian Hill, już sprzedane, widok jak z helikoptera. Teraz Gallagher pożądał kolejnych hektarów, widział się w roli dewelopera, budowniczego miast. Gallagherville. Terrytown. Plac Hanemy. Ulica Angeli. Mapy, foldery, podziemne garaże, pełna wdzięczności wspólnota oddaje głosy. Sir Matthew Gallernik dał pracę masom, to prawdziwy ksiądz Kościoła, kolacja w Białym Domu przy dźwiękach muzyki granej przez Pablo Casals i Ruby'ego Newmana. „A to, panie prezydencie, mój współnik”. Ten twardy irlandzki uśmiech, sztywny kręgosłup, wytrzeszczone oczy. Jack: „Ten milutki jegomość? Mogę go pogłaskać?”. Inny głos, bardziej melodyjny: „Czy on gryzie?”.

Czując, że jego myśli rozplývają się w bez sensu, Piet zeszywniał z wdzięczności, bardzo pragnąc snu, i znów całkowicie się rozbudził, a jego serce zaczęło łomotać. Musiał czegoś dotknąć. U Gallaghera nie miał perspektyw na awans, ponieważ czuł potrzebę trzymania w rękach narzędzi. Dotykania ziemi. Samolot zaczął spadać, a on nie miał żadnych środków, był wykluczony z Kościoła, a także bez załogi. Potrzebował dotknąć Foxy, jej sutków i brzucha



oświetlanych przez padający ukośnie blask księżyca. Na jej głowie warkocz splecionych krzyżyków. Wierzyła. Ubóstwiała jego fiuta. Oddała mu całą swoją rozdętą, półprzezroczystą objętość, należała do niego, była daną mu kobietą.

Angela poruszyła się nieświadomie, jęknęła cicho. Piet wstał z łóżka i zszedł na dół po szklankę mleka. Zawsze kiedy najdotkliwiej odczuwał tęsknotę za Foxy, szedł do lodówki, zimnej, bladej skrzyni, wypełnionej podświetlonym jedzeniem, którym próbował wypełnić ziejącą w sobie pustkę. Przyłożył policzek do chłodnego policzka maszyny i pomyślał o jej głosie, pobrzmiwających w nim południowych cieniach, wesołej powściągliwości i muzycznym wspomnieniu jego genitaliów. Ułożył jej imię z literek na magnesach, którymi dziewczynki bawiły się na wysokich drzwiach lodówki. FOXY. PIET K CHA FOXY. Przemieszał litery i wrócił do łóżka przez dom, którego znajome meble i tapety stanowiły runy naładowane niepomyślną energią. Leżąc obok Angeli, myślał, że gdyby to była Foxy, mógłby zasnąć nawet na tłuczonym szkłe. Bezsensowność jako niemożność osiągnięcia porozumienia. Ulicą przejechała z hukiem ciężarówka i po chwili znów zaległa cisza.

Ciężar nieruchomej nocy. Strach błakał się w jego wnętrzu, szukając miejsca, w którym mógłby się zagnieździć. Annabelle rozchyłała szeroko nogi, chcąc władczo schwycić całą jego twarz w usta młodzieńczych moczarów. Jakby pytająca iskra w oku Foxy: beznamiętny umysł oceniający go poprzez zasłony zachwyty. Pełen obaw wzrok jego córki: jakie to w pewnym sensie szczęście umrzeć i nie męczyć już dzieci widmem ojca. Śmierć drugiej osoby, zawsze potajemnie przyjmowana z ulgą. Fale życia pod wpływem do Boga w oczekiwaniu na rzeź. Oczyszczanie slumsów. Najdroższy Panie, ochroń Foxy, mój płochliwy płomyk świecy, przed tym holokaustem, Twoim oddechem. Amen. Wirujące we wnętrzu przerażenie starło pancerz na wiór. Półprzezroczysta łupina opróżniona z nasion, Piet czekał na miażdżące uderzenie.

Ostrze chińskiego noża przed oczami. Odkurzone krzesło elektryczne w wyłożonym kafelkami pomieszczeniu. Trzęsienie ziemi, roztrzaskujące krokwie katedr. Żarłoczny ocean. Jedwabny sznur z węzłami. Struna fortepianu w ręku komandosa. Krab w jelicie. Kurza kość w tchawicy. Śliska droga zimą. Źle odczytany wysokościomierz. Pluton egzekucyjny dogaszający hiszpańskie papierosy na glinianym klepisku podwórza, kolejny ciemny świt, filozoficzne westchnienie. Chłopiec z Jonii. Niemowlę o wiotkich kończynach, uduszone w kołysce. Gnijąca nerka złocząca skórę. Strzał ze śrutówki oczyszczający czaszkę z mózgu. Rozległy zawał serca. Gilotyna. Przetarta lina od windy. Huk pęknięcia i szybkie zapadanie się lodu: w Michigan rybacy opadali w swoich łajbach na samo dno, w bańce powietrza i ze wstrzymanym oddechem wznosili się do rozproszonego światła. Młockarnia. Przypadkowy rekin. Odwodnienie i obrzękły język. Asfiksja o czarnej twarzy. Łagodny trąd. Ukrzyżowanie. Wypatroszenie. Ogień. Gaz w łaźni. Szybki toporek zdejmującego skalp. Skupiona jak u zegarmistrza twarz oprawcy. Łamanie kołem. Wciągający wir. Kocie ugryzienie lwa. Niepewny kamień, ześlizgujący się but, nierealny upadek. Gniew królów. Kula, bomba, zaraza, kraksa, zlekceważona infekcja, zła reakcja. Roztrzaskana przednia szyba. Głupi błąd pijanego lekarza i tylko wzruszenie ramion. Cień na kruchym lodzie, pod bezlitosnymi zimnymi gwiazdami: głuchy upadek, zachłyśnięcie się, swobodne zanurzenie.

– Angelo – jego głos zabrzmiał obco, jak gdyby dochodził z oddali – mogłabyś się trochę obudzić i przytulić mnie? Przyśnił mi się koszmar.

Posłuchała go na wpeł przytomna, obracając się do niego przodem, ale zaraz zapadając na powrót w sen, na brzuchu; próbowała go dosięgnąć, ale ramię opadło jej wzdłuż boku. Piet zaczął nasłuchiwać odgłosu kołowrotka chomika. Zamiast tego złowił uchem drzenie lodówki, która po chwili zaczęła mruczeć.

*Drogi Piecie!*

*Nadchodzi wysoki przypływ i tak, niebieski, że woda zdaje się jak atrament. Mały chłopiec w czerwonej kopuli siedzi w przycumowanej na wyspie łodzi od czasu, kiedy wypiliśmy drugą filiżankę kawy. Rozmyślałam o nas i zawsze wydaje mi się, że mam Ci tyle do powiedzenia, dopóki nie usiądę nad kartką papieru. Kiedy byłeś u mnie wczoraj, usiłowałam opowiedzieć Ci o Kenie, o mnie i moich orgazmach, ale Ty poczułeś się dotknięty i nie chciałeś mnie wysłuchać. Kochanku mój, nie powinieneś czuć się źle. Z jaką nieśmiałością piszę to dziwne słowo „kochanek”. Absurdalne słowo. Ale muszę Cię jakoś nazywać, a przecież tym właśnie dla mnie jesteś.*

*Ken jest moim mężem. Kocham go jako męża. Czuję, że kochając się z nim, postępuję właściwie. To właśnie chciałam Ci powiedzieć. Nie ma między nami żadnych barier, poza znudzeniem, co ostatecznie nie jest poważnym problemem, ponieważ życie to i tak szara codzienność. Natomiast między Tobą i mną piętrzy się wiele barier – oczywiście moje poczucie winy, nieśmiałość i obawa, że wydam Ci się niezadowolająca w porównaniu z innymi Twoimi kobietami, nasz wspólny strach przed tym, że ktoś odkryje nasz związek, czasami (to moja sugestia) Twoja niepotrzebna niecierpliwość i pośpiech, Twój denerwujący zwyczaj kpienia z samego siebie i potrzeba, by zaprzeczano tym żartom, a nawet Twoja ogromna czułość, która – muszę przyznać – czasami mnie przeraża. A wszystko przesycone jest ponadto zmysłowością związaną z ciążą. To stanowi sporą barierę, więc fakt, że nie szczytuję, drogi Pieciu, nie oznacza, że nie wynosisz mnie na wyżyny. Wzlatuję wysoko. Nie prosz, bym wdawała się w szczegóły. Nie prosz też, bym sprzeniewierzyła się danej Kenowi przysiędze (która swego czasu wydawała się święta i nadał taka jest, bez względu na wszelkie niewygody czy niezadowolenie), ani nie staraj się z nim rywalizować. To nie zawody. Nie rozumiem, dlaczego akurat teraz zdecydowałam się przyjąć Cię do mojego życia, ale miejsce, które zajmujesz, stworzyłeś sam i nie powinieneś czuć się zagrożony.*

*Przeniosłam się z listem na słońce. Jestem w bieliźnie, swobodna jak zwykle; nie wchodzi już na mnie żadne z moich kostiumów. Mam nadzieję, że hydraulicy nie pojawią się nieoczekiwanie. Chłopiec w czerwonej koszuli zniknął. Nie sądzę, by udało mu się coś złowić. Kiedy czytam to, co napisałam, czuję, że nie najlepiej wyraziłam uczucia, że jestem zbyt ostrożna i staram się chronić samą siebie. Nie wiem, czy powinnam dać Ci ten list. Twoja spiąca, ale zawsze czuła*

*Foxy*

Listy Foxy, niemające daty, a czasami i podpisu, Piet gromadził w głębi szafy na dokumenty firmy Gallagher & Hanema, pod stosem kalki maszynowej, gdzie Matt nigdy nie zaglądał. Miały różne kolory i rozmiary. Niektóre składały się z czterech kartek pokrytych z obu stron płynnym, prostym pismem. Na innych skrawkach papieru, podawanych mu do ręki w czasie przyjęć, widniało zaledwie kilka nakreślonych pospiesznie słów. Przesądny, uporządkowany Piet zachowywał je wszystkie i wracał do nich co jakiś czas, w otepiających dniach po pamiętnej nocy i koszmarze. Czytał je jak ktoś mało znaczący, kto szuka siebie w legendzie, której bohaterem jest jego daleki przodek.

*Kochanku mój!*

*Cały dom Tobą oddycha – zapach oheblowanego drewna to Ty, tak tamo jak i słony wiatr, a także znajdująca się w nieładzie pościel, której woń jest najsubtelniejsza i najśłodsza, bo to my razem. Przez ostatnie godziny żyłam otwartymi oknami, wydętymi zasłonami i niebieskim widokiem. Tak bardzo czuję, że należę do Ciebie, że musiałam Ci to napisać, pomimo iż Ken jest już na dole i czeka na mnie, żeby pojechać do mniejszych Smithów. Za kilka minut Cię zobaczę. Ale w otoczeniu innych. Przyjmij ten pocałunek.*

Inne listy były bardziej wylewne i chaotyczne, a nawet moralizatorskie. W każdym z nich Piet wyczuwał jej ochotę, by go kształtować, prostować i usprawiedliwiać.

Mój drogi kochanku!

Zrobiłam długą wycieczkę po plaży, w kierunku jej ogólnodostępnej części. Minęłam wakacyjne tłumy (robiące na drutach włoskie babcie siedzące na aluminiowych krzeselkach po kostki ta wodzie, z podwiniętymi do kolan spódnicami) i ruszyłam dalej, gdzie nikt z naszych wspólnych znajomych się nie zapuszcza. Tutaj jest osobliwie inaczej, mnóstwo urwisk i skał. Wieje silny wiatr, a woda jest bardziej wzburzona niż na osłoniętym odcinku, gdzie pluskają się nasze uroczne matrony z Tarbox i ich potomstwo. Poprzez wodną mgiełkę wyraźnie widać latarnię morską z Lacetown. Co jakiś czas przechodzi para gejów z Bostonu lub Cape Cod. Ubrani w skąpe kąpielówki (które Freddy nazywa przytul-jajkami), trzymają się za ręce. Poza tym jestem sama, ciężarna i w związku z tym „niepodrywalna”, kobieta z pogniecionym egzemplarzem „New Yorkera” na kolanach, układająca zabawny list do swojego kochanka, który sądzi, że jest Żydem.

Nie wyraziłam się jasno, kim był dla mnie Peter. Nie jesteś nim, pomimo zbieżności imion. Ale przez lata nie był on dla mnie nawet imieniem, raczej cieniem stojącym między mną i moimi rodzicami, między mną i Kenem. Nie kochał mnie – śmieszyłam go, niezdarza i niewinna siksa. Bawił się mną i z przerażeniem odkryłam, że mi się to podoba. Uwielbiałam być wykorzystywana. Wszystko, co robił, jedynie rozpałało moją miłość, nawet kiedy wpadał w okropny, zimny nastrój i ze wzgardą mnie ignorował. Potrzebował więcej samotności, niż byłam mu w stanie dać. To były czasy braku samokontroli, mającego prawdopodobnie związek z zachowaniem rodziców. Długie nieobecności ojca były dla matki niezwykle męczące i dopóki miałam przy sobie Petera, czułam wdzięczność, nawet jeśli zachowywał się wulgarnie. A może pociągała mnie po prostu jego duma, swoisty odruchowy egoizm, przypominający mi ojca. Wiesz, że stał się sławny? Jakiś rok temu zamieścili w magazynie „Time” jego zdjęcie, razem z rzeźbą ze złomu, którą zespawał. Nadal mieszka w Detroit z matką, nie ożenił się. Miałam więc mnóstwo czasu na to, by do niego uciec, przez te wszystkie lata z Kenem, kiedy jeszcze nie mieliśmy dziecka. Ale nie robiłam tego. To by było jak powrót do czasów randek w łodziach.

My z pewnością różnimy się od siebie. Z Tobą po raz pierwszy w życiu czuję, jak to jest nie być młodym. Przy Tobie wiem, że wreszcie mam prawo wyboru – wolnego od przyzwyczajenia, nakazu czy przymusu. W pewnym sensie jesteś moim pierwszym partnerem. Nasz słodki grzech jest dziwnie zmieszany ze radością bycia w ciąży. Być może Ken za długo zwlekał z zapłodnieniem mnie, a kiedy to wreszcie nastąpiło, obdarzyłam wdzięcznością kogoś innego. Ufam Ci i obawiam się Ciebie. Obawiałam się Petera, a ufam Kenowi. Tylko w Twoim wypadku te dwa uczucia się łączą.

Czyżbym proponowała Ci małżeństwo? Podstępna kobieta!! Nic w tym sensie – jestem tak bezpiecznie związana z Kenem, że mam odwagę otworzyć się przed Tobą jak przed nieznanym we śnie, wiedząc, że cały czas leżę spokojnie u boku męża. Nie bój się, nie chcę odebrać Ci Angeli. Lepiej niż Ty wiem, jak bardzo jest Ci ona droga, jak ważny jest dom, który razem tworzycie, i jak mocno, prawdziwie jesteście sobie poślubieni. Czy to nie ze względu na całkowity brak wolności odczuwamy takie wyzwolenie w czasie naszych wykradzonych popołudni? Dłoń mi omdlała i drży. Proszę, nie zostawiaj mnie jeszcze. Mój latający Holendrze – czy to nie Sprzeczność sama w sobie?

Później.

Zeszłam na dół, żeby popływać. Było wspaniale, jak we wnętrzu diamentu. Woda w Woods Hole jest znacznie cieplejsza. Przyjrzałam się też leżącym na plaży kamykom. Wiesz, że studiowałam przez jeden semestr geologię? Rozpoznałam bazalt i kwarc – te najczęstsze, czarne i białe, Boga i Diabła. Znalazłam też mnóstwo cętkowanych, przypominających cukierki kamyków, które hurtem zaliczyłam do „granitu”. Cóż za różnorodność. I jaka moc czasu kryje się w gładkości tych trzymanyh w dłoniach kamieni! Chciałam je pocałować. Mając w pamięci Twoją gładkość. Uwielbiam plażę. Zastanawiam się, czy byłam tak naprawdę sobą, dopóki Ken nie wyprowadził mnie na otwartą przestrzeń z widokiem na morze.

*Wtem, o zgrozo, zobaczyłam, że zbliża się do mnie Janet z Haroldem! A niech to! Poczulałam się zawstydzona, chociaż to oni powinni być skrępowani. Ale zachowywali się jak zwykle z jawną bezwstydnością. Zostawili Franką i Marcję z dziećmi, a co ja robię tak daleko, sama w tym Gejowie? Odparłam, że zażywam ruchu na świeżym powietrzu, a poza tym chciałam naszkicować latarnię w Lacetown. Zauważyli, że pisałam list, i zachowywali się bardzo wesoło, a oczy im błyszczały. Wydaje mi się, że naprawdę mnie lubią, chociaż wyglądają na okropnie zdemoralizowanych. Ale czy wolno mi ich osądzać? Tak czy inaczej, czuję się osobą prawą i sam widziałeś, jak się rozplakałam, kiedy się okazało, że wybraliście dla mnie Christine Keeler.*

*Jeszcze później.*

*Zasnąłam. Jak dziwnie jest się obudzić w potokach światła, z zapuchniętą buzią i włosami w piasku. Muszę wracać do domu. Ken gra dzisiaj w tenisa z Gallagherem, Guerinem i kimś jeszcze. Czyżbyś to był Ty? Odpowiedź na zagadkę: czwarty lipca.*

*Czy udało mi się cokolwiek wyjaśnić, Piet? Myślę, że chciałam odgrodzić nas od innych, zrobić coś z powodu Twojego zgnębionego, dzikiego spojrzenia, które pojawia się w Twoich oczach, kiedy nadchodzi czas powrotu do pracy albo kiedy wyobrazasz sobie, że w biurze dzwoni telefon. W pewien sposób, ponieważ wierzysz, że raj jest gdzieś indziej (jak francuski Harolda: bezustanne odwoływanie się do czegoś wyższego), żyjesz w piekle, a ja stałam się jednym z demonów. Nie chcę tego, chcę mieć własności uzdrawiające. Pragnę być biała, anonimowa i dowcipna, pełnić funkcję pielęgniarki, na którą byłam według mojego ojca zbyt inteligentna. Martwię się, że zrobisz coś szalonego i zgubnego, żeby uspokoić gryzące sumienie. Nie rób tego. Bierz mnie bez skrupułów. Skrupuły nudzą kobiety. Wystarczy mi, że mnie uwodzisz. Za nic w świecie bym tego nie oddała. Lepiej Ty niż Freddy Thorne.*

*W ten sposób usiłuję skryć fakt, że spanie na piasku pobudziło mnie seksualnie. Pragnę Twojej siły i ciepła i pozostaję*

*Twoją kochanką*

*Najsłodszy Piecie!*

*Jakim brakiem taktu się wykazałam, jak całkowicie niewłaściwie zachowałam się, zwierając Ci się z moich uczuć względem Kena. Jak komiczny był Twój gniew – wyglądałeś na całkowicie zaskoczonego, że w ogóle żywię wobec niego jakieś uczucia – i jak smutno było widzieć, że ostatecznie próbujesz obrócić irytację w żart. Tocząca się w Tobie nieustannie waliza między poczuciem niższości i wyższości należy do Twoich uroków. Ale kiedy pojechałeś, opadło mnie przygnębienie i chciałam spróbować raz jeszcze.*

*Kiedy mówiłam, że jesteśmy z Kenem małżeństwem od siedmiu lat, natomiast Ciebie znam zaledwie kilka miesięcy, nie chodziło mi o krytykę – jasne jest, że nowość, jaką dla mnie stanowisz, działa na naszą korzyść. Jednakże w świetle mojej tajemniczej (tak samo dla mnie, jak i dla kogokolwiek innego) seksualnej reakcji w Stadium I można to uznać za zaletę, natomiast w Stadium II już za wadę. Mężczyźni lubią nowe kobiety, podczas gdy kobiety spisują się najlepiej w wypadku mężczyzn, których już znają. Chodzi tu o zaufanie (ponieważ za każdym razem, kiedy rozkładasz nogi, przemyka ci przez myśl, że zostaniesz skrzywdzona) i o pewien smutek (dlaczego go tu odnajduję?), związany z faktem, że w wypadku kobiet osobowość nie liczy się tak bardzo, jak w wypadku mężczyzn. Konkretnie w seksie, w przeciwieństwie do gry wstępnej. Potrzeba nam jedynie starego, dobrego, zaufanego instrumentu. Kobiece narządy płciowe są niezwykle głupie, ładujemy się przez nie w różne kłopoty, z których umysł wydobyłby nas bez problemu.*

*Dlaczego przepraszam Cię, za to że nadal czerpię przyjemność z bycia z mężem? Obudziłeś mnie z siedmioletniego snu, a Ken na tym zyskuje. Czy Twojemu ego nie wystarczy, jeśli przyrzeknę, że zamieszkuje obszar, do którego on nigdy nie miał wstępu? I że jego niewiedza na temat naszego romansu, który trawi moje wnętrze, sprawia, że zdaje się dzieckiem za szkłem, dzieckiem, które za szkłem pozostaje z własnej woli. Nigdy nie interesował się specjalnie życiem ponad poziomem molekularnym. Jest*

*mężczyzną w masce, który wspina się na balkon, żeby spędzić ze mną noc. Odkryłam w sobie zalegające pokłady chłodu względem Kena. Oziębłe manipuluję naszymi dalami, żeby wyzwolić napięcie, które Ty we mnie wytwarzasz.*

*Pozwól mi jednak kochać go, jak tylko umiem. To ostatecznie mój mężczyzna. Podczas gdy Ty jesteś po prostu mężczyzną. Możliwe, że tym jedynym. Ale nie moim.*

*Czuję, że się pogubiłam. Kiedy zdecydowałam, na długo nim ze sobą spaliśmy, że będziemy razem, postanowiłam odizolować was od siebie kompletnie, trzymać każdego na wyznaczonym miejscu. Tymczasem prowadzicie ze sobą dialog poprzez moje dąło. Tak bardzo chcę opowiadać każdemu z was o tym drugim. Żyję w ciągłym strachu, że wykrzyknę niewłaściwe imię. Chcę zwierzyć się z Ciebie Kenowi i z Kena Tobie. On jest niezadowolony ze swojej kariery zawodowej i niepokoi się naszym nienarodzonym dzieckiem. Coraz częściej dzieli się ze mną swoimi obawami, więcej niż w pierwszych latach małżeństwa. Oczywiście, jestem zupełnie bezpieczna. Przeszywają mnie jego słowa. Nie można zapłodnić ciężarnej. Nie można zabić martwego. W porównaniu z Tobą to coś mechanicznego, ale praca Kena polega właśnie na tym, by pokazać, jak automatyczne jest życie.*

*Ty poświęcasz się budowaniu, kochanku najdroższy, pięknie zabudowałeś moje wnętrze. Oddycham Twoim imieniem i pisząc te słowa, tęsknię za Twoim głosem, za kojącym wyrazem twarzy. Naprawdę sądzisz, że nudzimy Boga? Kiedyś powiedziałeś, że Bóg ma już dość Ameryki. Czasami wydaje mi się, że Go nie doceniasz, czyli innymi słowy, że nienawidzisz wiary, która narzuca Ci strach przed śmiercią. Zawarłeś niekorzystny układ i Twój udział coraz bardziej topnieje. Powinieneś być urodzić się kobietą. Kobieta z gazety, która trzyma w ramionach martwe dziecko, wiedząc, że uderzył w nią Bóg. Czuję Jego obecność nad sobą i wokoło, a także w Tobie, pomimo Ciebie i przez Ciebie. Życie to gra w „zgubiono-znaleziono”. Muszę przygotować Kenowi kolację. Miłość bez żalu. Kocham.*

Piet z ulgą odłożył narcystycznie długi list Foxy i wziął do ręki skrawek papieru z nabazgranym pytaniem: „Nadal sypiasz z Georgene?”

Po tym, jak opowiedziała mu o Żydzie, on zwierzył się jej ze związku z Georgene. We wrześniu instynkt Foxy lub plotki sprawiły, że zaczęła podejrzewać, iż znowu zaczęli się spotykać. Tak naprawdę był to niezaplanowana, przejściowa chwila słabości, trwająca półtora miesiąca, od dnia śmierci dziecka Kennedych. Piet złożył Georgene zaledwie trzy wizyty, w trakcie których starał się przede wszystkim znaleźć najwłaściwsze wyjście z sytuacji. Georgene zachowywała się ponuro i biernie, miała płaski brzuch i nie wykazywała zainteresowania bardziej urozmaiconym seksem. Bez względu na to, czy znajdowali się w łóżku Freddy’ego, czy na dworze, Piet był tak zdenerwowany i czujny, że trudno mu było utrzymać erekcję. Liścik od Foxy był ostrzeżeniem, wystrzałem w ciemnościach. Piet spotkał się z Georgene jeszcze tylko raz, na początku października: opadające z modrzewi igły stuknęły o papę, słońce świeciło blado, jej podbródek drżał, a wypełnione łzami oczy nie dawały mu pocieszenia. Opuścił ją, mając pewność, że długo się u niej nie pojawi. Miał teraz na głowie podejrzenie przyjazne stosunki Angeli i Freddy’ego (który poza tym zachowywał się ostatnio niepokojąco groźnie), napięcie w stosunkach z Gallagherem i większą ilość obowiązków w pracy; chodziło mu także o dobro samej Georgene (podstawą każdego romansu jest obustronna niezależność; Georgene zgrzeszyła, uzależniając się od niego i stwarzając zagrożenie dla samej siebie). Przytakiwała sztywnym podbródkiem, ale nie chciała spojrzeć mu w oczy, pomimo iż Piet trzymał ją mocno za nagie ramiona. Na pytanie Foxy odpowiedział „nie”, nie spał z Georgene od czasu, kiedy Whitmanowie pojawili się w miasteczku i po raz pierwszy zobaczył Foxy zatraskującą drzwi od samochodu po wyjściu z kościoła. Z perspektywy czasu uznał tamtą chwilę za początek zauroczenia. Przyznał, że Georgene nadal jest jego przyjaciółką i że od czasu do czasu dzwoni do niego do biura, żeby pogadać (któż mógłby ją winić, biorąc pod uwagę to, jakiego ma męża?). Piet powiedział o tym Foxy na wszelki wypadek, gdyż mogła usłyszeć to już od Matta albo Terry. Będąc

oszukiwana, Foxy zbliżyłaby się statusu żony.

#### ZAGADKI

1. *Co ma pięć stóp i dziewięć cali, jest episkopalne i za chwilę pęknie?*
2. *Co jest mniejsze od wagonu towarowego, ale przewycięża śmierć?*
3. *Co ma pięć stóp (?), zręczne dłonie, rude włosy, duże stopy i cudzoziemskie pochodzenie?*
4. *Co jest mniejsze niż pojemnik na pieczywo, ale i tak przynosi satysfakcję?*

4. *No własnie. Gdzie jesteś mój kochanku?*
3. *Rudobrzyszowy kangur hafujący serwetkę. Ha!*
2. *Łózko.*
1. *Foxy Whitman.*

Im dłużej trwał ich związek, tym krótsze i bardziej żartobliwe stawały się jej liściki. Ale wraz z nastaniem jesieni mógł ją widywać coraz rzadziej. Remont domu dobiegał końca, a Gallagher dostał intratne, pilne zlecenie – powiększenie lokalnej restauracji o stylowym wnętrzu. Piet był zmuszony spędzać całe dni na zdobieniu oheblowanych fabrycznie belek i tworzeniu siedemnastowiecznych efektów na świeżym drewnie. Dwóch ambitnych Greków, będących właścicielami Tarbox Inne, chciało otworzyć nowe skrzydło już w listopadzie. Dla Pieta oznaczało to wiele uciążliwych wypraw – do Mather po stare cegły, do Brockton po ręcznie kute żelazo, do Plymouth po informacje na temat kolonialnej stolarki: „Boczne belki dla drugiego piętra, które zbożem obarczone będzie, na trzpieniach trzymać się nie mogą, ale raczej podtrzymane słupami być muszą lub podniesione na fałszywych stojakach, a więc końcach umocnione. Na tym piętrze przegrodę postawić należy, środkiem biegnącą lub nad przepierzeniem dolnym, to już wedle uznania stolarzy. Pragnę takowoż, by dźwigary daleko okapu sięgały, by ściany tym lepiej przed pogodą niepomyślną chronić. Dom drewniany mieć pragnę, choć prosty. Deskami pokryty z dębiny najsolidniejszej...”. Próby dostosowania tych starych opisów do współczesnego wyobrażenia o staroświeckości były dla Pieta zniechęcające. W tym właśnie kierunku zmierzło architektoniczne balsamowanie jego ukochanego, nieświadomego swoich uroków miasteczka, którego piękno było produktem ubocznym zaniedbania. Wściekał się, nie mogąc odwiedzić Foxy, i żywił absurdalną nadzieję, że ujrzy jej sylwetkę wykwitająca gdzieś na ulicy jednego z obcych miast, w szarym zaułku prowadzącym do magazynu z artykułami budowlanymi. Na widok każdego niebieskiego kombi drżało mu serce; każda blond fryzura w oknie okazywała się płonną nadzieją. Co jakiś czas spotykali się w różnych miejscach poza Tarbox – w barze w Mather, pełnym reklamujących piwo neonów, w rezerwacie przyrody na zachód od Lacetown, gdzie olbrzymie komary przysiadły na jej ramionach, kiedy tylko przystawali, by się objąć, na dzikiej plaży na północ od Duxbury, gdzie atlantyckie fale uderzały gniewnie o brzeg, a wysokie wydmy były pełne rdzewiejących puszek, odłamków zielonego szkła i porzuconej bielizny. Niebezpieczeństwo, że ktoś ich zobaczy, zdawało się większe tam niż w miasteczku, w labiryncie przewidywalnych odwiedzin i rutynowych zajęć; a ponadto zbliżał się termin rozwiązania i Foxy niechętnie oddalała się od domu. Poza Tarbox byli jeszcze jedną ukrytą, niedozwoloną parą, zmuszoną do szukania odosobnienia byle gdzie; ciąża Foxy wydawała się

czymś groteskowym. W jej wietrznym domu zawsze przypominali dwie wspaniałe, nagie postacie, instrumenty symfonicznej namiętności. Marzyli o spędzeniu wspólnie nocy.

*Piecie – Ken jedzie na konferencję do Columbii w Nowym Jorku. Nie będzie go od wtorku do czwartku. Udałoby Ci się wygospodarować trochę czasu czy mam pojechać do Cambridge do znajomych, Neda i Gretchen? Ken chce, żebym tak zrobiła, nie chce zostawiać mnie samej, ale mogę go przekonać, jeśli istnieje dobry powód. Istnieje? Wszystko mnie boli i potrzebuję Twoich względów. Ogrom mojego ciała jest czymś okropnym albo to nowa forma piękna – ty mi powiedz.*

Nie był w stanie się wyrwać. Nowe skrzydło restauracji było w fazie wykańczania i razem z Adamsem i Comeau spędzali tam po dziesięć godzin dziennie. Liście opadły z drzew i droga prowadząca na plażę sprawiała wrażenie przezroczyściej. Piet krępował się przejeżdżać koło czujnego wzgórze Thorne'ów, kierując się do domu Whitmanów, jesienią widocznego też z okien mniejszych Smithów. Wieczorami również nie mógł się z nią widywać, ze względu na nowy zwrot w ich życiu towarzyskim; zafascynowana psychiatrią Angela zacieśniła stosunki z Janet i Frankiem Appleby oraz z Freddym, co oznaczało spotkania z obojgiem Thorne'ów. Kiedy podczas rozmowy ktoś napomknął o wyjeździe Kena Whitmana, lekko wytrzeszczone oczy Georgene przeniosły się na Pieta. Zmrużyła je, tak jak to robiła, wygrywając seta. Piet poradził Foxy, żeby pojechała do Cambridge, dzięki czemu uniknie plotek, a on nie będzie miał okazji zrobić czegoś desperackiego i zgubnego w skutkach.

*A niech to! Moja matka zdecydowała się przyjechać, by potrzymać mnie za rączką podczas nadchodzącej „przygody”, więc od poniedziałku zamieszka u nas. Możesz przyjść jutro do kościoła?*

Po mszy, na wzgórzu, pod czujnym okiem kurka, Piet przeszedł szarą ścieżką, mijając metalowy pawilon, w kierunku czerwonych kamieni, przy których zaparkowała Foxy. Czekala na niego, czujna i nienaturalnie uprzejma. Była wielka – wydęty żagiel w jasnym swetrze. Na głowie miała jeden z modnych tej jesieni wysokich, obcisłych turbanów. Zakrywał całkowicie włosy i jej twarz sprawiała wrażenie obnażonej i gładkiej. Piet czuł, jak wciąga go w swoją orbitę; pragnął ją objąć, osiąść na zawsze, tę wykwintną kulę, napęczniałą kobietę. Miejsce spotkania przypomniało mu chwilę, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, zamożną, nieco teatralną, wracającą do domu.

- Cześć.
- Cześć. Skąd ta powaga?
- Wspaniale wyglądasz. Dostojnie.
- Pan również, panie Hanema. To nowy garnitur?
- Był nowy zeszłej jesieni. Jeszcze mnie wtedy nie znałaś. To nowy kapelusz?
- To się nazywa „kapelusz, w którym należy powitać matkę na lotnisku, żeby wiedziała, że dobrze ci się powodzi”.
- Jest całkiem udany.
- Zbyt surowo w nim wyglądam? Zdjęłabym go, ale jest przypięty.
- Jest świetny. Podkreśla zadbany róż twojej skóry.
- Ależ jesteś wrogo nastawiony.
- Może i jestem, ale cię uwielbiam. Chodźmy do łóżka.
- To by nam przyniosło ulgę, nieprawdaż? Wiesz, ile dni już minęło od czasu, kiedy kochaliśmy się po raz ostatni?
- Wiele.
- Dziewiętnaście. Dwa wtorki temu.
- Udałoby ci się jakoś wyrwać matce? – Dłonie i twarz Pieta zaczynały marznąć; czuł, że tutaj, w samym środku miasteczka, pochyla się do środka, jak człowiek siedzący od

zewnątrznej na karuzeli.

– Udałoby mi się, gdybyś ty mógł uciec na jakiś czas od Angeli i Gallaghery.

– Oboje są ostatnio dość czujni. Jezu, strasznie jest nie móc się z tobą widywać. Ostatnio czuję, że...

– Powiedz to.

Być może sądziła, że chce przyznać się do innej kobiety.

– Ze śmierć coraz bardziej mnie przeraża.

– Dlaczego? Jesteś chory?

– Nie obchodzi mnie śmierć w dosłownym sensie, tylko ogólnie, śmierć w jakimkolwiek momencie, zawsze.

– Czy to ma coś wspólnego ze mną? – spytała.

– Być może – odparł, chociaż do tej pory nie przyszło mu to na myśl. – Być może obawiam się, że wszystko się zmieni, kiedy urodzisz dziecko.

– Dlaczego miałyby się zmienić?

Wzruszył ramionami.

– Będiesz matką. To nie jest moje dziecko. To się nie uda, będziesz zbyt rozdarta.

Twarz Foxy była bez wyrazu, nieruchoma. Otaczała ich niedziela, niebo rozbrzmiewało dzwonami, mijały ich samochody w rozmaitych kolorach, spiesząc do domu.

– Muszę się z tobą spotkać – wyrzucił z siebie nagle Piet w ciszy, która między nimi zapadła. – Muszę zobaczyć twój brzuch.

Stali na widoku w pełnym świetle, pośród wzmagającego się ruchu, i Foxy postanowiła wracać do samochodu.

– Zadzwoń do mnie – powiedziała. – Możesz do mnie zadzwonić jutro przed dziewiątą? Matka przylatuje o dziesiątej trzydzieści. – Zastanowiła się przez chwilę. – Nie. Jednak nie. Ken jedzie ze mną do Bostonu, więc będzie w domu wcześniej. – Znowu się zastanowiła. – Postaram się zadzwonić do ciebie do biura, kiedy będę po południu na zakupach. Ale ty będziesz pewnie w restauracji. – Zamyśliła się po raz kolejny, analizując to, co przed chwilą powiedziała. – Ależ to jest beznadziejne. – Westchnęła. – Chcę się z tobą widywać. Chcę być z tobą cały czas. Chcę cię mieć na własność.

Jej ostatnie wyznanie potwierdziło i uzasadniło jego poczucie straty. Piet machnął uprzejmie ręką, na znak, że nic się nie da na to poradzić.

– To, że tego chcesz – zapewnił – najbardziej się dla mnie liczy. Będziemy w kontakcie. Bądź miła dla swojej mamy.

Jej dłoń w białej rękawiczce drgnęła, naciskając klamkę w drzwiach samochodu.

– Muszę jechać – powiedziała.

Zdając sobie sprawę, że widać go jak na dłoni Piet uklonił się przed nią komicznym ruchem i zauważył, że miała na sobie zdrowe dla nóg, elastyczne pończochy w kolorze przykurzonego rózu.

– Jakże uroczo – oznajmił – widzieć w ten piękny poranek pani urodziwe lico, pani Whitman.

– I wzajemnie, panie Hanema – odparła, a jej oczy skrzyły się w pułapce ich wspólnej niedoli.

Jasne październikowe dni były po brzegi wypełnione jej nieobecnością. Wieczorami, kiedy nie odbywało się żadne przyjęcie ani spotkanie, Piet i Angela tkwili w domu, w dusznej atmosferze jego tęsknoty.

– Przestań wdychać.

Piet uniósł ze zdziwieniem wzrok znad „Life’a”, gdzie widniało zdjęcie protestujących mnichów w szafranowych szatach.

– Ja wdycham?

– Oddychasz w nieprzyjemny sposób.



- Przepraszam. Postaram się więcej nie oddychać.
- Co cię gryzie? Praca dla Greków?
- Nic. Po prostu jestem niespokojny. Co mamy w lodówce?
- Już sprawdzałeś. Utyjesz, jeśli będziesz ciągle podjadał. Czemu nie wyjdiesz na dwór popatrzeć na gwiazdy? Nie mogę znieść twojego wzdychania.
- A pójdziesz ze mną?
- Za chwilę.

Angela była zatopiona w nowej książce Salingera, która miała strasznie długi tytuł i musztardową okładkę, wyglądającą identycznie z przodu i z tyłu.

- Zaraz mają doznać objawienia.

Nie mógł sobie przypomnieć, na jakim etapie narzeczeństwa byli, kiedy siedząc na urwisku w Nun's Bay, Angela zaskoczyła go swoją znajomością gwiazd, o których opowiadał jej wuj. Siedzieli, stykając się policzkami, żeby Piet mógł śledzić jej wskazującą dłoń, a ona wszystko objaśniała. „Najpierw odzyskaj najjaśniejsze gwiazdy. Potem przemieszczaj się między nimi. Wyobraź sobie proste linie”. Rosa przenikała przez koc. Nad trawnik padało światło z okien domu jej ojca, ale tłumili je przycięte równo jak blat stołu krzewy. Ciepły oddech Angeli opowiadającej o wiszących nad nimi legendach.

Zostawił ją siedzącą pod lampą i ruszył chrzęszczącym podjazdem w ciemności ogrodu, poprzecinane zielonymi żyłami jak czarny marmur. Otaczał go wysoki śpiew cykad. Pogodna noc zapowiadała przymrozki. Nieruchoma kaskada gwiazd otrzymała uderzenie z boku: Wega, władczyni letnich nocy, nie królowała już w zenicie, ustępując miejsca bledszemu Denebowi i słabo widocznej konstelacji w kształcie domu. Cefeusz. W Andromedzie Piet poszukał niewyraźnej mgiełki, którą Angela wskazała mu kiedyś jako oddaloną o dwa miliony lat świetlnych galaktykę. Jej blask płynął do niego poprzez onyksowe oceany. Natomiast jego spojrzenie, za którym będzie podążać śmierć, powędruje na zewnątrz po wiecznej linii prostej. Poczul zawroty głowy. Stojąc wśród nieczułej lśniącej mnogości, odniósł wrażenie nieskończonego upadku; tonąc ku górze, chwycił się oczami bladej ziemi. Liście złamanej gałązki bzu, martwe i niemogące oddzielić się od szypulek, żeby opaść swobodnie, wisiały bez ruchu na tle rozświetlonego okna. Piet wyobraził sobie Foxy, futerko, wspomnienie wątych pach, suchych ust, gdy wilgotniała, pokryte meszkiem plecy, na których rozmasowywał kciukami ból spowodowany noszeniem dziecka, jej naprężone koralowe sutki, rozbudzone dotykiem paznokci, jej ostrożny, przyćmiony wzrok. Kiedy powierzał jej swoje nasienie stawała się bezkształtna i bezbronna.

*Robię ci krzywdę.*

*Nie. Nie przestawaj.*

*Zaraz dojdę.*

*Zrób to. Nie mogę tym razem. Zrób to, Piet.*

*Naprawdę? Podoba ci się?*

Skinęła głową w milczeniu, z pełnymi ustami. Jej język sprowadził na niego falę gorąca; pomogła dłoń.

*Och. Jak cudownie. Połknij mnie.*

Połknęła go.

Liście złamanej gałązki bzu, martwe i niemogące opaść na ziemię, wisiały bez ruchu na tle oświetlonego okna. Angela za szybą spokojnie obróciła stronę. Sklepienie płonące nad prostokątnym podwórzem zdawało się rozłupywać podczas swej gwałtownej ucieczki. Daj mi tę, przez którą umknąłeś.

Tamtej nocy Piet szybko zapadł w sen, ale obudził się wcześniej rano, na kilka godzin przed świtem, czując się oszukany, gdyż nic mu się nie śniło. Angela leżała u jego boku, niczego nieświadoma. Poprowadził jej dłoń do penisa, ale opadła na bok. Sam zrezygnował z uwolnienia się od pożądania; nadal jednak nie był w stanie odprężyć się i zasnąć. Pamiętał z

dzieciństwa spowijającą go ciepłą ciemność, w którą mógł się na powrót wtulić, dotykając miękkiej kołdry, pluszowej zabawki, słuchając padającego nad głową deszczu lub głosów na dole. Teraz, gdy znajdował się na samym środku łuku swego życia, pierwsza ciemność oddaliła się nieskończenie, a druga, oczekująca go, nie dawała mu jeszcze ukojenia. Niespodziewane twarze, zupełnie obce, niezyczliwe, pojawiły się nagle w jego umyśle, kiedy starał się całkowicie go opróżnić w oczekiwaniu na sen. Dokładne rysunki niezabudowanych domów, wyraźne w każdym szczególe, legły przez chwilę na jego chwiejnym wnętrzu. Raz po raz łomocące serce hamowało rozpad umysłu. Miał wielką ochotę szturchnąć Angelę, zbudzić ją; pragnienie wyznania jej, jak bardzo jest nieszczęśliwy, i przyznania się do tego, że sypia z Foxy, zaczęło palić go w gardle jak zapowiedź wymiotów. Po długim czasie obracania się z boku na bok i usiłowania znalezienia najwygodniejszej pozycji postanowił wstać i zejść na dół. Potem wyszedł na zewnątrz.

Gwiazdy prawie całkowicie zniknęły. Było je widać jak z innej planety, zza Drogi Mlecznej, ciche i obce. Stąpając lekko po oszronionej trawie, kłującej jego bose stopy zimnem, odnalazł w końcu na południu, ponad dachem stodoły, ozdobionym dwiema połączonymi błyskawicami gigantyczny i znajomy gwiazdozbiór Oriona. Zimowy olbrzym, zaskoczony w łóżku. A więc jednak przyszłość jest zapisana na niebie. Wszystko już istnieje. Piet wrócił do przytulnego domu zadowolony, że kryzys w miłości do Foxy przeminął; że od tej pory będzie mógł ją mniej kochać.

## IV. Przełom

Foxy czuła, że obecność matki w domu stwarza groźną, ale opatrnościową okazję do wyznania, że ma kochanka. Nie wyniknęłyby z tego żadne praktyczne korzyści, a jej matka, beztraska i zadowolona z siebie (co miało związek z powtórnyim zamążpójściem i wejściem w wiek średni), nie wymagała od niej zwierzeń. Zakładała raczej, że małżeństwo, do którego przekonała córkę, wkracza w bardziej harmonijną fazę, teraz, kiedy jedyny problem, bezdzietność, ma zostać usunięty z drogi. Jej postawa irytowała Foxy; uważała ona, że świat ześlizguje się w otchłań po równi pochyłej, również dzięki takim poglądom jak jej matki. Przekorne wyznanie wzbierało w niej. Foxy zbyt długo nosiła w sobie sekret zdrady. Oba niewidoczne ciężary rosły w niej równolegle i teraz także ten grzeszny pragnął ujrzyć światło dzienne, domagał się poszerzenia jego własnej przestrzeni, większego zainteresowania i zrozumienia na zalanej słońcem półkuli.

Jednakże w trakcie dwóch pierwszych tygodni pobytu matki w domu Foxy nadal zachowywała w tej sprawie milczenie. Delikatny rumieniec maskował męczącą i niezręczną wytrwałość. Poród się opóźniał. Żartowano, nazbyt często, że istnieje szansa na pięcioraczki, jak te urodzone poprzedniego miesiąca w Dakocie Południowej. Ken i matka Foxy (Constance Price Fox Roth; prosiła, żeby mówić do niej Connie) świetnie się ze sobą dogadywali. Ubierali się też podobnie, w kostiumy raczej niż w ubrania. Ken miał strój na każdą okazję: inny na przejazd do pracy, inny do pracy, swobodny domowy, mniej swobodny domowy, do przechadzania się po plaży, do gry w tenisa, do gry w futbol z innymi młodymi mężczyznami z Tarbox w jesienne niedzielne popołudnia. Szafę miał pełną garniturów ułożonych według elegancji, sportowych kurtek z madrasu, lnu i tweedu, swetrów rozmaitej grubości, drellichów i dzinsów o różnym stopniu zużycia oraz tenisówek w kilku rodzajach; posiadał nawet fular i bonzurkę na domowe okazje. Podobnie i matka Foxy, teraz już kobieta bogata, przebierała się kilka razy dziennie, stosownie do okazji. Między piątą trzydzieści a szóstą wieczorem, kiedy przygotowywały sobie drinki i siadały razem w oczekiwaniu na powrót Kena z Bostonu, Connie wkładała jedną ze swoich bardziej stonowanych sukienek koktajlowych, a Foxy, nieodmiennie ubrana w podniszczony namiot ciężowy, z zazdrością patrzyła na jej figurę. Pomimo iż matka zaczynała już przybierać w talii i kurczyć się w biodrach, jej ciało i tak wydawało się niewielkie i zwyczajnie seksowne, w porównaniu z ociężałą, płaskostopą, nazbyt wysoką Foxy. Connie wyczekiwała powrotu Kena z wzmożoną niecierpliwością. Od czasu, kiedy rodzice Foxy go zaaprobowali, wyprzystojniał; równocześnie Foxy stała się niewrażliwa na jego urodę. Wysoki, o eleganckiej, wyprostowanej sylwetce i kształtnej głowie, przyprószonej już po bokach siwizną, i o szarym spojrzeniu, śmiałym jak u dziecka. Connie była pod wrażeniem zawodowych osiągnięć Kena, które Foxy uznawała za przykry kontrast z ich studenckim życiem, po prostu za oszustwo. Panią Roth intrygowało to, co Foxy ignorowała jako przejawy zwykłej oschłości męża – rozmach i bezceremonialność, z jakimi wykonywał niektóre czynności, takie jak prowadzenie samochodu, kończenie rozmów czy nabywanie domu.

– Uwielbiam wasz dom Liz – powiedziała córce Connie. – Ten widok jest taki charakterystyczny dla Nowej Anglii.

Nadmiernie południowo brzmiący akcent matki denerwował Foxy; jej bezustanne emfazy przywodziły na myśl klimakteryczne towarzystwo, którego uprzejmość wystudziła głębsze emocje i wyglądała na farsę. Jednakże pod maską tego wulgarnego, obcego stworzenia w natapirowanych, starannie ufarbowanych włosach, drugiej żony, wybranej, by panowała nad mnogością dzielnicowych samoobsługowych pralni, kryła się poprzednia kobieta, wojenna

żona i młoda matka ze sterczącym kokiem, w wełnianych sukienkach i butach na płaskiej podszewie, stojąca nad przypaloną deską do prasowania i nasłuchująca trzeszczących wiadomości z lakierowanego radia Philco, zmęczona i dzielna, mająca zwyczaj nagłego opuszczania rąk w geście przerażenia. Foxy sądziła, że mogłaby przywołać to wszystko, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– To pałac! – ciągnęła pani Roth z okropnym entuzjazmem. – Jakie to urocze i ambitne ze strony Kena, że wybrał go dla waszej dwójki.

– I dziecka.

– Oczywiście, dla dziecka też, jak mogłam o nim zapomnieć! Przecież jestem tu właśnie z powodu aniołka!

– Kiedy się wprowadzaliśmy, to była ruina letniego domu. Zatrudniliśmy sympatycznego wykonawcę stąd, żeby doprowadził wszystko do porządku. Ściany, weranda, kuchnia i znajdujące się za nią niewielkie skrzydło są nowe. Musieliśmy wykopać piwnicę.

Matka Foxy przyjrzała się wynikom pracy Pieta, mrużąc oczy zza dymu z papierosa o czerwonym ustniku. Podnosząc głowę, odsłoniła obwisłą, zdradzającą wiek skórę na szyi. Foxy poczuła, jak wewnętrzne kopnięcie przemieściło jej serce do góry.

– Nie wiem, Liz. Wydaje mi się trochę zbyt wymyślny. Te staroświeckie gipsowe wykończenia nie są w waszym stylu.

– Na moczarach liczy się solidność – odparła defensywnie Foxy. – Dom musi chronić przed wiatrem.

Pani Roth odczuła nagłą potrzebę zachowania delikatności i taktu.

– Jestem pewna, że im dłużej będziecie tu mieszkać, tym przytulniejszy będzie się stawał – powiedziała i zmieniła temat. – Mówiąc o wietrze, Libby, czy wiedziałaś, mam to akurat świeżo w głowie, bo na spotkaniu kółka czytelniczego zajmowaliśmy się ostatnio grecką mitologią, która jest w tym roku bardzo modna, iż starożytni Grecy i cała reszta uważali, że kobiety były przez niego zapładniane? Przez wiatr!

Foxy się roześmiała.

– Pamiętasz mamo, że w Bethesdzie panna Ravenel przesiadywała ciągle na bujanym fotelu w przeciagu? – córka codziennie sprowadzała rozmowę na wspomnienia związane z rodzinnym miastem.

– Oczywiście, że pamiętam! – wykrzyknęła Connie. – No pewnie. Na to właśnie czekała, na zapłodnienie!

Ich śmiech w dużym pomieszczeniu o nagich ścianach nie zabrzmiał zbyt donośnie; pewnie i jedna, i druga została zapłodniona zaledwie raz w życiu.

Kenowi podobała się obecność teściowej w domu, ponieważ ktoś dotrzymywał towarzystwa Foxy, trzymał ją z daleka od pozostałych par z Tarbox, które Ken zaczął nazywać „jej znajomymi”. Kiedy już gdzieś wychodzili, to zawsze w trójkę. Matka Foxy, ubrana w błyszczącą czerwień i białą jedwabną etolę, której bezustannie dotykała i poprawiała ją, odniosła sukces towarzyski: pół naiwna, pół przyzwoitka. Najbardziej przypadli sobie do gustu z Freddyem Thorne'em.

– Muszę przyznać, że jak na dentystę jest ze wszystkim bardzo na bieżąco – poinformowała córkę po imprezie, którą mniejsi Smithowie zorganizowali w dzień po Halloween i bez przebrań. – Opowiadał fascynujące rzeczy na temat współczesnej psychologii i mitów. Nie uważasz go za najsympatyczniejszą osobę spośród twoich zabawnych znajomych?

– Szczerze mówiąc, nie. Uważam go za podstępного i odpychającego człowieka.

– Naprawdę? Rzeczywiście, nie ma zbyt pięknej twarzy, ale z drugiej strony, w porównaniu z Kenem, każdy mężczyzna wypada kiepsko.

Connie chciała wy badać córkę. Po dwóch tygodniach dostrzegła zastanawiającą nieobecność Kena i zobojętnienie, jakie wywoływał w Foxy. Tego poranka grał w tenisa.

Wcześniej sam sobie zrobił śniadanie i zostawił w kamionkowym zlewie opłukane naczynia, jak gdyby demonstracyjnie.

– Kogo w takim razie lubisz? – spytała.

– Cóż – odparła Foxy – przede wszystkim kobiety. Terry Gallagher, to ta wysoka z prostymi włosami, która nie dała się namówić na zagranie na lutni, mimo że przyniosła ją ze sobą; i w pewien sposób też Janet Appleby, tę pulchną dziewczynę, która pod koniec imprezy była już solidnie wstawiona i parodiowała swojego psychiatrę.

– Sądziłam, że powinna być bardziej zadowolona z życia.

– Ona też tak uważa. Z par najbardziej lubię Hanemów, Guerinowie też są w porządku. Z Rogerem nie potrafię się porozumieć, ale sądzę, że Bea, pomimo iż lubi się popisywać, jest prawdziwie serdeczną osobą. Ich nieszczęściem jest to, że nie mogą mieć dzieci.

– Hanema. Ten okropny mały rudas, który biegał wokoło, klepiąc wszystkich po tyłkach i stając co chwilę na rękach?

– Tak, to Piet. Ma uroczą żonę. Miła, spokojna i zawsze wesoła.

– Nie zauważyłam jej. Muszę jednak powiedzieć, że jako grupa jesteście ze sobą w bardzo bliskich stosunkach. Masz szczęście, że udało ci się znaleźć przyjaciół, z którymi można się dobrze bawić. Ja i twój ojciec nie znaleźmy nikogo takiego. Byliśmy sami; sami z tobą. Dobrze jest co jakiś czas móc trochę zaszaleć.

– Ken uważa, że przesadzamy z tym. Sądzi, że znamy się zbyt dobrze. To prawda, jeden z naszych znajomych stracił pracę, bo uwikłali się z żoną w związek z inną parą.

– Który to?

– Nie pojawiają się już na przyjęciach. Nazywa się Ben Saltz. To Żydzi.

Foxy zarumieniła się bezradnie, z wyrzutem. Wyglądało jednak, że jej matka niczego sobie nie przypomina.

– Musiały się na to złożyć rozmaite okoliczności – stwierdziła, jak gdyby nigdy nic, gasząc papierosa w zachłapanym kawą spodku.

– Kobieta, w której się zakochał, była wczoraj na imprezie. Carol Constantine. Zaczesane do góry pomarańczowe włosy z ciemnymi odrostami, bardzo szczupła w talii. Maluje. Myślałam, żeby kupić od niej obraz, po wysłuchaniu twoich krytycznych uwag na temat naszych nagich ścian.

– Zauważyłam ją. W tej chwili wygląda zachwycająco, ale jej uroda znacznie niedługo wędznąć. Ona zdaje sobie z tego sprawę. Wie też, że nie może oczekiwać wyrozumiałości ze strony swojego fircykowatego mężusia.

– Eddiego? Nie bierzemy go zbyt poważnie.

– A powinniście. To nadzwyczaj prózny i bezwzględny młody Włoch. Powiedziałam mu prosto w twarz, że chętnie poleciałabym jakimkolwiek samolotem, który byłby przez niego pilotowany; jest zbyt zarozumiały, by się rozbić.

– Mamo! To niegodziwe, że flirtujesz z młodymi mężczyznami w wieku swojej córki.

– Nie flirtowałam, byłam zaniepokojona. Tak jak i jego mizerna żona.

– A jeśli chodzi o pary – powiedziała Foxy, stęskniona za Waszyngtonem – co słyhać u Kennedych?

– Ludzie mówią, że jest lepiej niż jakiś czas temu. On oczywiście nie ma dobrej opinii.

– Jackie wygląda ostatnio w gazetach na mniej niespokojną. Leżąc na swojej greckiej plaży.

– Co za nieszczęście, ich przedwcześnie urodzone dziecko. Ale pewnie jako katolicy będą potrafili znaleźć w tym jakieś dobre strony. Jeszcze jeden aniołek w górze, hop siup.

– Sądzisz, że ludzie należący do Kościoła episkopalnego nie mogą tak pomyśleć?

– Moja kochana Elizabeth. – Matka wyciągnęła niepewnie dłoń, żeby ją dotknąć, i ich obrączki delikatnie stuknęły o siebie, złoto o złoto. – Przyznam szczerze, że przestałam uważać się za członka jakiegokolwiek Kościoła. Roth oczywiście odnosi się niechętnie do

wszelkich tego typu praktyk. W wypadku twojego ojca miało to związek ze służbą w marynarce.

– A on chodzi jeszcze do kościoła?

– Nigdy nie myślałam, by go spytać, a zresztą widziałam go ostatnio wiele lat temu. Mieszka w San Diego, możliwe, że już nigdy się nie spotkamy. Pomyśl o tym.

Foxy nie chciała o tym myśleć.

– Czy to prawda, co mówiono? Ze prawie się rozwiedli?

– John i Jackie? Nie widzimy wielu ludzi z rządu, ale to prawda, że od czasu do czasu słyszy się takie pogłoski. Oczywiście rozwód nie wchodził w rachubę; musieliby ubiegać się o unieważnienie ślubu, prawdopodobnie u kardynała Spellmana. Zresztą, ze względu na ból pleców, Kennedy nie jest już tak aktywny jak kiedyś. – Pani Roth oparła łokcie na brzegu stołu i ze znużeniem wygładziła skórę pod oczami. – Dlaczego pytasz?

– Ciekawi mnie kwestia rozwodów – odparła Foxy i odwróciła głowę, by powstrzymać cisnące się jej na usta wyznanie. Jej wzrok spoczął na wielkim nagłówku na pierwszej stronie starannie złożonej gazety, leżącej na fotelu Kena. DIEM OBALONY. Diem. Dies, diei, diei, diem. – Czasami się zastanawiam, czy my z Kenem nie powinniśmy o tym pomyśleć.

Ziemia obracała się powoli, a Foxy czekała, by usłyszeć, która z kobiet się do niej odezwie, jej matka czy pani Roth.

– Mówisz poważnie?

Która z nich?

Foxy postanowiła się wycofać.

– Niezbyt – rzuciła lekkim tonem. – Ta myśl nachodzi mnie od czasu do czasu. Od kiedy się tu przeprowadziliśmy, zbyt często siedzę sama i rozmyślam. Wszystko wróci do normy, kiedy pojawi się dziecko.

– Miejmy nadzieję – powiedziała matka. – Ale jeśli czujesz się nieszczęśliwa, to dlaczego nic nie zrobiłaś, nim przestało to dotyczyć tylko was dwojga? Ile lat mieszkaliście razem? Siedem?

– Nie wiedziałam, że jestem nieszczęśliwa, dopóki się tu nie przeprowadziłam. Och, mamo, to takie poplątane i smutne. Ken ma wszystkie cechy, jakich szukam u mężczyzny, ale po prostu nie potrafimy się dogadać.

– Dziecko. Tak, płacz. Bardzo mi przykro.

– On jest takim dobrym człowiekiem, mamo, jest taki cholernie dobry. Nie widzi mnie, nie zna mnie.

– Jesteś tego pewna?

– Tak, tak. Mam romans, a Ken nic nie podejrzewa. Zupełnie nic.

– Z kim masz romans? – spytała ostro pani Roth. – To coś poważnego?

– Nieważne z kim. Z innym mężczyzną. Boże, tak, sypiamy ze sobą.

– To jego dziecko?

– Nie, mamo, dziecko jest Kena.

Najstraszniejsze wyznanie. Łzy zaczęły kapać na pogniecioną biel; płakała z głową na kolanach, trzymając twarz w różowych dłoniach. Zrozumiała, że to było najgorsze, że gdyby była w ciąży z dzieckiem Pieta, miałyby racjonalne uzasadnienie, a ich związek nie wydawałby się tak absolutnie nie do przyjęcia.

– W takim razie – druga kobieta odzyskała w końcu głos – musisz z tym skończyć.

Foxy czuła moc swoich łez; schowana za ich srebrną tarczą, napierała na matkę, nie chcąc się tak łatwo poddać i żądając ratunku.

– Gdybym była w stanie przestać, to nie zaczynałabym na samym początku. Od razu wszystko źle się potoczyło. To nie był jego pomysł, tylko mój. Najbardziej obawiam się nie tego, że mogę skrzywdzić Kena, ale że mogę wykorzystać miłość mojego kochanka, by się ze mną ożenił.

– Rozumiem, że to żonaty mężczyzna?

– Oczywiście. Przyjaźnimy się tylko z parami.

– Proponował ci małżeństwo?

– Nie. Tak. Nie wiem. To niemożliwe.

– Dobrze ci radzę, żebyś z tym skończyła. Ale jestem ostatnią osobą, która mogłaby twierdzić, że rozwód jest zawsze katastrofalny w skutkach.

– Ale byłby. On kocha swoją żonę.

– Tak mówi?

– Kocha nas obie. Kocha nas wszystkie. Nie chcę wyjść na sukę, która go wykorzystała.

– Co za wzniosła moralność. Za moich czasów to kobieta była wykorzystywana. Jeśli to mężczyzna, o którym myślę, to wyląduje na czterech łapach.

– A o kim myślisz?

– Ten budowlaniec. Wysoki Irlandczyk, zapomniałam, jak się nazywa, ten, z którym wczoraj tańczyłaś.

– Matt Gallagher? – Foxy się roześmiała. – Dobrze tańczy, ale mam, on jest taki jak Ken, tylko znacznie mniej inteligentny.

Słyszając śmiech córki, Connie się zarumieniła, rozumiejąc, że nie zgadła.

– To jedyny wystarczająco wysoki dla ciebie mężczyzna w tym towarzystwie – powiedziała słabym głosem. Po chwili nabrała pewności siebie, znalazłszy właściwą drogę: – Kochanie, ja nie chcę wiedzieć, kim jest ten człowiek. Gdybym wiedziała, byłabym zmuszona powiedzieć Kenowi. Wolałabym raczej usłyszeć, dlaczego czujesz się nieszczęśliwa. Dla mnie Ken to idealny mężczyzna.

– Wiem, że tak go widzisz. Dałaś mi to jasno do zrozumienia.

– Poza tym on cię uwielbia. Chodzi o seks?

– Seks jest w porządku.

– Masz orgazmy?

– Mam. Oczywiście.

– Nie bądź taka cięta. Ja nauczyłam się czerpać przyjemność z własnego ciała dopiero po trzydziestce.

– Muszę powiedzieć, że w tym stanie moje ciało nie daje mi jakiejś przyjemności. Nie mogę się schylić i bolą mnie nogi.

Wstała gwałtownie i zaczęła nosić do kuchni talerze i kubki, zmuszając matkę, by ciągnęła rozmowę podniesionym głosem.

– Jak to się stało, że ten mężczyzna kontynuował z tobą romans po tym, jak zaszłaś w ciążę?

– – Wcześniej nawet się nie znaliśmy. – Foxy wzruszyła ramionami. – Mój stan nie stanowił przeszkody. Wręcz przeciwnie, jest wobec mnie niezwykle czuły z tego powodu. Jego żona nie chce mieć więcej dzieci. Nie chce się przyczyniać do przeludnienia.

– Droga Liz, on mi nie wygląda na zrównoważonego człowieka. Masz wyjątkowo kiepski gust, jeśli chodzi o mężczyzn.

– Pytasz mnie o Kena. Wydaje mi się, że problem z nim polega na tym, że to nie ja go wybrałam. Ty go wybrałaś. Tata go wybrał. Harvard i Radcliffe go wybrały. Cały świat był zgodny, że jest dla mnie idealną partią, i właśnie dlatego nią nie jest. Ale mnie nikt nie znał. Nikogo nic nie obchodziło. Byłam przedmiotem, który można było spakować i wysłać, żebyście mogli wziąć z tą swój wspaniały rozwód.

Oskarżenie było tak poważne, że znów usiadła przy stoliku. Pod przepehionym sercem poczuła dziwne pieczenie.

Jej matka masowała wilgotną, zaczerwienioną skórę pod oczami.

– Tak to dla ciebie wyglądało? – spytała zachrypniętym głosem. – To nie było tak, nie sądziliśmy, ale bardzo mi przykro, Liz, bardzo mi przykro. Oboje cię kochaliśmy, zawsze

byłaś dla nas taka dzielna, przez te wszystkie ponure lata twój jasny głosik, uroda. Byliśmy przerażeni tym, co sobie robiłaś, będąc z Peterem.

– Ale mam – ich dłonie na stole unikały dotyku, jakby pamiętając groteskowy odgłos stukających obrączek – zdawałam sobie z tego sprawę. Znałam Petera. Wiedziałam, że to się samo skończy, nie powinniście byli wracać. Straciłam wtedy godność. Ten drugi mężczyzna. Wiem, że to też się skończy. Zostawi mnie. Podąży dalej. Nie mów o tym Kenowi. Proszę.

– Nigdy bym mu nie powiedziała. Nie wiedziałaby, co zrobić; mógłby spanikować. Wiesz, Liz, nie jestem ostatecznie starą wypicowaną idiotką. Widzę ograniczenia Kena. Jest podobny do twojego ojca, potrzebuje nadawać wszystkiemu określony kształt. Ale poza tym uważam, że to nadzwyczajny człowiek. Warto traktować go jak skarb.

– Ależ jest. Tak go traktuję. Ale to druzgocące mieć męża, którego pracą jest badanie sekretów życia, a który nie zauważa lub nie przejmuje się tym, że umieram u jego boku.

– Jestem pewna, że się przejmuję.

– Przejmuję się należącymi do niego rzeczami, a ja jestem jedną z nich.

Do głosu znowu doszła pani Roth.

– Jesteś pewna, że jesteś w stanie zakończyć romans z tym mężczyzną? Nie zaszłście już za daleko?

Resztki śniadania na stole, skórki pomarańczy, skorupki od jajek i gazety stanowiły dla Foxy uosobienie sensu świata. Nic dziwnego, że dziecko nie spieszyło się z wyjściem. Jego ciało wewnątrz niej (płód opadł już jakiś tydzień temu i jego ruchy, kiedyś ledwo wyczuwalne, stawały się coraz bardziej gwałtowne) zdawało się ciężkie jak ołów, przerażone i czujące zdradę.

– Możliwe, że już się skończył – odparła matce. – Prawie wcale z nim nie rozmawiałam od czasu, kiedy przyjechałaś. W sumie nie byliśmy ze sobą już od pięciu tygodni.

Palce pani Roth znów powędrowały do twarzy i zaczęły uważnie masować przymknięte powieki.

– Droga Libby – powiedziała, nie patrząc na córkę – z naszego okropnego domu w Bethesdzie zapamiętałam przede wszystkim blask radiowego magicznego oka i twoje piękne płowe włosy, które czesałam i czesałam bez końca.

– Wszystko minęło, mam – odparła lekko Foxy; wstała z miejsca i nagle poczuła nietypową, muzyczną frazę bólu w krzyżu.

Jako że dopiero wybiła dziesiąta, jeszcze pulchna, ale o powoli rozkwitającej urodzie, Ruth oddawała się spokojnej kontemplacji samej siebie w pokoju, który utrzymywała w idealnym porządku. Piet podarował jej na urodziny wysokie lustro, zachętę do próżności, prezent podyktowany ojcowską miłością, choć może niezupełnie odpowiedni. Piet stał się nieśmiały wobec córki, bał się zakłócać jej spokój. Kiedy wchodził do jej pokoju, zerkał na lustro w poszukiwaniu śladów używania i zaskakiwało go własne wyraźne odbicie, amorficzne i jakby złodziejskie. Pokój był wyklejony tapetą w krzykliwe kwiaty, którą Ruth sama wybrała, na półkach stały kolekcje książek, muszli, kapsli i zagranicznych lalek (przysyłanych jej przez rodziców Angeli z portów odwiedzanych podczas zimowych rejsów wycieczkowych). Na ścianach wisały: mapa świata z turkusowymi oceanami, zielono-biały proporczyk drużyny futbolowej Tarbox High, przyklejone taśmą zdjęcia, które Ruth sama zrobiła (stojący obok siebie rodzice, świętej pamięci chomik, kwitnące krzewy bzu, jej przyjaciele na plaży; siostra nie pojawiała się na żadnym z nich). W tym otoczeniu siadywała przy zrobionym przez Pieta składanym biurku i odrabiała lekcje, robiła lakoniczne wpisy do pamiętnika, dotyczące głównie pogody i wycieczek, albo uzupełniała album ze starannie wyciętymi z „Life” albo „National Geographic” postaciami – Sophią Loren, angielską królową Elżbietą II, rosyjskim psem kosmonautą, olbrzymim kamiennym faraonem, zagrożonym zatopieniem przez wody



Wielkiej Tamy Asuańskiej, nagą nigeryjską panną młodą, pakistańską matką oplakującą śmierć dziecka w trzęsieniu ziemi, Jacqueline Kennedy i zespołem wokalnym o nazwie The Beades.

W dni, kiedy wracał do domu wcześniej niż Angela, Piet słyszał, jak jego córka kręci się po pokoju na górze; autobus przywoził ją pod dom o czwartej. Cisza za jej zamkniętymi drzwiami, przerywana odgłosami przekładania przedmiotów z miejsca na miejsce i nuceniem pieśni, których nauczyła się na chórze, budziła jego strach. Kiedyś prał jej pieluchy i podgrzewał butelki z mlekiem, a teraz jego jedyną funkcją było zapewnianie córce prywatności, nienarzucanie się jej. Przeczytał ponownie gazetę, zastanowił się, czy nie powinien zająć się wymianą przegniłych desek w stodole, ale zamiast tego przyrządził sobie dzin z tonikiem. Nowe skrzydło restauracji zostało już skończone i uroczyste otwarte oficjalnym bankietem (wzięli w nim udział wszyscy trzej radni i komendant straży pożarnej Buzz Kappiotis, który zasnął), więc Piet miał niewiele pracy. Gallagher sprzedał zakonnicom posiadłość w Lacetown, ale intratny kontrakt na odbudowę dostał się firmie z Watertown, której dyrektor miał brata księdza. Powiedziano im, że przetarg został rozstrzygnięty w drodze losowania; starania Gallaghiera, by oczarować siostry, poszły na marne. Teraz mieli tylko jedno zlecenie, przebudowę starego domu Tarboksów na Divinity, podzielenie go na biura i mieszkania na wynajem. Stara Gertrudę Tarbox, która stworzyła sobie niebiańskie schronienie z uzbieranych papierzyk i puszek, została we wrześniu odwieziona do domu spokojnej starości, na polecenie krewnych z Palo Alto, czym zajął się oddział banku z New Bedford. Remont – wymiana oszalowania, usuwanie ścian działowych, cyklinowanie podłóg, pokrywanie rozpadających się ścian winylowymi panelami dekoracyjnymi, imitującymi drewno – wymagały pracy tylko Adamsa, Comeau i Jazinskiego, którzy zatrudnieni na akord mieli pierwszeństwo, kiedy rozdzielano zadania. Piet więc często nie miał nic do roboty. Wziął duży łyk słodkiego dzinu i starał się nie myśleć o Foxy; od kiedy schowała się za plecami matki, istniała w jego świadomości i pamięci jak opryszczka, której dotykał bezustannie językiem. Lato zdawało się odległym snem. Zniknęła – trzask drzwi samochodu po wyjściu z kościoła. Brakowało mu związanej z podwójnym życiem konieczności lawirowania, przeczernego oszczędzania energii. Marnował się, dochowując wierności. Rozcieńczone godziny płynęły wokół niego martwo. Pił, by zabić czas.

Angela wróciła do domu, kipiąc informacjami o Irene.

– Wiesz, co ta kobieta zrobiła? Dostała dobrze płatną pracę w Akademii dla Dziewcząt w Lacetown. Zaczyna w przyszły poniedziałek, czyli za tydzień, co oznacza, że sama będę musiała zaopiekować się przedszkolem.

– Powiedz jej, że to niemożliwe.

– Niby dlaczego? Jeśli nie mogę chodzić do psychiatry, to przynajmniej zajmę się sama tuzinem dzieci, bez przeszkód ze strony Irene i jej kibucowych teorii.

– Masz na to ochotę.

– I co w tym dziwnego? Nie jest to dla mnie wymarzone zajęcie. Nie sądzę, by opiekowanie się tak małymi dziećmi było moim powołaniem, ale chcę sprawdzić, jak mi pójdzie uczenie po latach. Poza tym nie byłbyś zadowolony, gdybym zaczęła przynosić do domu trochę pieniędzy?

– Boisz się, że nie jestem w stanie nas utrzymać.

Angela pochyliła się i szybkim ruchem potarła lekko policzkiem o jego skroń; muśnięcie szykującego się do odlotu skrzydła.

– Oczywiście, że jesteś. Ale ja też jestem człowiekiem. Dzieci rosną. – Przerwała i ściszyła głos do szeptu: – Nancy nie ssie już kciuka rano, chyba że coś jej o tym przypomni.

Szeptła, ponieważ przywiozła córkę do domu, a Nancy stała właśnie na schodach, zastanawiając się, czy ma odwagę zakłócić spokój Ruth.

– Co jeszcze mówiła Irene? Strasznie długo cię nie było. Ben znalazł już pracę?

– Nie, i nie wiem nawet, czy jej szuka. Ale Irene miała mnóstwo innych wieści. Bezustannie spogląda łakomie swym czarnym okiem w stronę domu Constantinów i twierdzi, że teraz spotykają się z Guerinami. Roger i Bea są u nich każdego wieczoru, a Irene uważa, powinieneś usłyszeć to z jej ust, że pociąg istnieje w obrębie płci. – Zamachała w powietrzu rękami. – Między Carol i Beą oraz między Rogerem i Eddiem.

– I Irene sądzi, że naprawdę okazują sobie uczucia? Zrobię jeszcze drinka. Ty też chcesz?

– Nalej mi burbona. Piet, lato się skończyło. Irene nie ma śmiałości tego powiedzieć. Ale uważa, że Carol jest zdolna do wszystkiego, a Bea ma skłonność do bierności. Zawsze w pewien sposób była blisko z innymi kobietami; flirtuje z nimi, lekko je poklepuje.

– Ale to poważny krok – powiedział Piet, zdając sobie sprawę, że tylko z perspektywy hetero. – Przejdźcie od tego rodzaju zabaw, do zrzucenia ubrań i przystąpienia do akcji.

Angela wzięła od niego kieliszek ze złotym napojem o piźmowym zapachu; kiedy piła, na myśl o rzeczach, o których jej opowiedziano, kolor jej niebieskich oczu stawał się coraz intensywniejszy.

– Nie robimy się młodszy – stwierdziła. – A jeśli zawsze miało się na coś ochotę, to czy z czasem zahamowania jednak nie słabną? Jest coraz mniej świętości.

– Jestem pewien, że Roger ma skłonności homoseksualne – oznajmił Piet, nalewając sobie czystego dżinu. – Ale jego urok zawsze polegał na nieumiejętności przyznania się do tego. Jednak sposób, w jaki odnosi się do kobiet, jest znamieny, traktuje je nieuprzejmie albo z przesadną grzecznością.

– Myślę, że istnieje różnica – powiedziała Angela – między byciem homoseksualistą a odczuwaniem niechęci wobec kobiet. Czy Roger starał się kiedykolwiek cię poderwać, na przykład na polu golfowym?

– Nie. Ale zawsze zachowuje się bardzo swobodnie i nie znosi czekać na swoją kolej za czterema paniami. Sądzę jednak, że prawdziwą tajemnicę stanowi Eddie. Jak Irene może oskarżać kochankę sprzed zaledwie kilku miesięcy o bycie aktywnym gejem?

– Po pierwsze, nie powiedziała tego dosłownie, a po drugie, czuje się zraniona i rozgoryczona. Kiedy ją delikatnie podpytałam, powiedziała jedynie, że Eddie potrafi być bardzo przekonujący. Nie wiem, o co jej dokładnie chodziło, ale powtórzyła to trzy albo cztery razy.

– A jaką rolę odgrywa w tym wszystkim twój przyjaciel Freddy Thorne? – spytał Piet.

– Freddy sprawił, że zaczęli się spotykać. Do tej pory Constantinowie i Guerinowie nie mieli ze sobą wiele do czynienia. Często z nimi przesiaduje, dolewając oliwy do ognia.

– Biedna Georgene.

– Dlaczego biedna? – spytała czujnie Angela, unosząc górną wargę, spod której wyłaniały się lśniące zęby.

– Ogólnie. Ma męża dupka i obłudnika.

– Freddy nie jest taki obłudny. Po prostu lubi trochę namieszać. Nawiasem mówiąc, od rozpoczęcia roku szkolnego Georgene zachowuje się wobec mnie niezwykle oziębłe. Nie byłabym zdziwiona, gdyby zrezygnowała ze swojego dnia, kiedy Irene przestanie pracować.

– Co jeszcze ciekawego opowiadała Irene?

– Niech pomyślę. John Ong jest chory. Coś z płucami; lekarze kazali mu przestać palić, ale tego nie zrobił. Nie potrafi.

– Dobry Boże. Ma raka?

– Nie wiadomo. Tak czy inaczej, jest od nas o wiele starszy, czego nie widać po Azjatach.

– Leży w szpitalu?

– Jeszcze nie. Ach, byłabym zapomniała. Ucieszysz się. Foxy Whitman urodziła dzidziusia.

Powietrze stężało; Piet poczuł, że się dusi, ale po chwili nadeszło beztroskie uczucie swobodnego spadania w przestrzeni.

– Kiedy? – spytał.

– Jakoś w ten weekend. Chyba w niedzielę. W piątek była jeszcze u mniejszych Smithów. Tańczyła z Mattem Gallagherem, więc może dlatego. Podskakuje jak szalony.

– I nikt nam wcześniej nie powiedział?

– Czemu bierzesz to sobie tak do serca? Nie należysz do jej najbliższych krewnych. Chociaż dziwię się, że Matt nie powiedział ci w pracy. Terry na pewno już wie, w końcu są przyjaciółkami.

– Ostatnio rzadko ze sobą rozmawiamy. Matt jest w złym humorze, bo przepadło nam zlecenie na przebudowę klasztoru. Ale to miło. Foxy była już olbrzymia. Chłopiec czy dziewczynka?

– Chłopiec. Siedem funtów ileś tam. Powinniśmy wysłać kwiaty? Lubię Foxy, ale chyba nie jesteśmy ze sobą w aż tak bliskich stosunkach.

– Wyślij. Spokojnie. Nie zabierzesz ich ze sobą do grobu, aniele. W niebie kwiaty nie rosną, tam nie ma nawozu.

Angela skrzywiła się, zdziwiona jego nieprzyjazną paplaniną.

– Ruth! – zawołała, wychodząc z kuchni. – Zejdz na dół i bądź bardziej towarzyska. Nancy chce zagrać w „Ryby”.

Znalazszy się sam, Piet starał się opanować wyraźne, choć chwiejne uczucie radości, jakie w nim narastało. Foxy była bezpieczna. Urodziła chłopca. Szczęście jej nie opuszczało. Miał ochotę znaleźć się tuż przy niej, wpełznąć do sterylnego, białego pokoju, w którym leżała, zmniejszona i różowa, niewidocznie krwawiąca, oddychająca nieświadomie, z otwartą bladą buzią i rozrzuconymi na poduszce włosami. Przed oczami stanęły mu kwiaty w szklarni – dorodne mieczyki, pokazowe dalie, ozdobione wstążkami hiacynty, pachnące szklarniową ziemią, ściśnięte mocno przybrudzonymi kciukami, czerwone cięte róże, obojętnie pochyłające ciężkie główki. Piet ujrzał przez moment szklankę nieświeżej wody, stojącą przy jej niewyraźnej twarzy, obrazki na kartkach z życzeniami i na wpół zjedzony batonik, schowany w białej metalowej szufladzie przy łóżku. Po chwili zaborcze marzenia stały się świadomością, że nie informując go o porodzie, obraziła go, a jej poczucie winy było dla niego obietnicą wolności. Kiedyś nie mogła dojść i masturbowała się, ocierając się o jego udo, wciśnięte między nogi.

*Czy to dla ciebie coś okropnego?*

*Nie, oczywiście, że nie. Młodość też musi być obsłużona.*

*Nie dokuczaj mi. I tak już jestem przy tobie wyjątkowo nieśmiała.*

*Przy mnie, twoim kochanku? Nieśmiała?*

*Tak już jest.*

*To wzruszające, jak ciężką kobiety muszą pracować.*

*Dotknij moich sutków.*

*Z przyjemnością.*

*Delikatniej. Już prawie tam jestem.*

*Dojdz.*

Udo zaczynało go boleć i mrowić, z powodu utrudnionego krążenia.

*Dojdz. Dobrze. Wspaniale.*

Na lodówce stała drewniana miska do sałatek, wypełniona po brzegi cukierkami uzbieranymi przez Ruth i Nancy w czasie Halloween. Chcąc uczcić swoją radość i nadać jej treść, Piet zdjął misę i pożarł garść cukierków w kształcie kolb kukurydzy. Zazwyczaj rzadko jadał słodczyce; bał się o zęby.

Foxy zapisała się na wizytę trzy tygodnie wcześniej, jeszcze leżąc w szpitalu. Mimo to kiedy w piątek o pierwszej pojawiła się w gabinecie, Freddy Thorne wyglądał na zaskoczonego. Do tej pory leczyła się w swojego dentysty w Cambridge, ale pod koniec ciąży zaczęły

pobolewać ją zęby, a teraz, mając maleńkie dziecko, nie mogła daleko się wypuszczać. Nikt, nawet Piet, nie kwestionował kwalifikacji Freddy'ego. Jednak wchodząc do gabinetu, Foxy nie była w stanie pozbyć się uczucia, że pojawiając się w dziwacznej chatce przy poczcie na Divinity Street, podczas gdy w mieście było kilku innych dobrych dentystów, ośmielona przez fakt bycia matką, gra w grę, której nauczyło ją Tarbox, polegającą na kuszeniu losu.

Freddy miał na sobie biały fartuch, a na okulary założył dodatkowo parę prostokątnych szkieł powiększających. Jego miejsce pracy było pedantycznie czyste, począwszy od okrągłej serwetki na tacce do narzędzi po zaczerwienione od szorowania dłonie, uniesione w geście zdumienia i błogosławieństwa przed zapinanym na plecach fartuchem. Czarny kwadratowy zegar wskazywał dwanaście po pierwszej. Pierwszy pacjent po lunchu. Foxy skubnęła coś około dziesiątej; pojawienie się dziecka zburzyło jej rytm jedzenia i spania. Pocieszał ją fakt, że tak jak wszyscy dentyści, Freddy miał opóźnienia.

– Kogóż to ja widzę! – wykrzyknął, kiedy weszła. – Piękny mamy dzisiaj dzień – ciągnął, pomrukując i sadzając ją na fotelu. – W którym miejscu boli?

Przemówiły do niej trzy osoby: najpierw frywolny, wścibski mężczyzna, którego знаła, potem uprzejmy, znudzony znajomy, a na końcu zupełnie obcy technik.

– Tutaj – powiedziała.

Wskazała palcem od zewnętrznej strony policzka i językiem od wewnątrz. Kiedy mówiła, Freddy trzymał lusterko i zgłębnik skrzyżowane przy piersi.

– Podejrzewam, że to górny trzonowiec. Boli mnie, kiedy jem słodczyce. A tutaj, po drugiej stronie, wyczuwam dziurę w miejscu, gdzie było wypełnienie. Poza tym we wszystkich książkach jest napisane i moja matka też tak twierdzi, że teraz zęby mi wypadną, bo cały wapń poszedł w dziecko.

– Brałaś wapń w tabletkach?

– Wiedziałam tylko o żelazie. Brałam wszystko, co mi przepisywał doktor Allen.

– Przy współczesnych nawykach żywieniowych przemieszczenie wapnia nie stanowi większego problemu. Natomiast kobiety prymitywne często tracą piękny uśmiech. Zajrzymy do środka?

Dotyk zgłębnika był delikatny. Kiedy stalowa końcówka trafiła na nerw, Freddy natychmiast ją wycofał. Mięta w jego oddechu maskowała zapach tego, co zjadł na lunch, przypuszczalnie cielęcinę. Ładnie pachnące palce znalazły się w jej ustach i tak samo jak w wypadku innych abstrakcyjnych lęków, dotyczących na przykład porodu czy zdrady małżeńskiej, rzeczywistość okazała się bardziej niejednoznaczna, niż Foxy sobie wyobrażała, i wcale nie taka zła.

– Masz mocne zęby – oznajmił Freddy.

Zrobił dokładne oznaczenia na jednym z tych dentystycznych diagramów, które w dzieciństwie przypominały Foxy otwarte w krzyku usta. To ciekawe, że użył akurat określenia „mocne”, a nie na przykład „ładne” albo „dobre”. Foxy policzyła znaczki na diagramie.

– Cztery ubytki!

Siedząc w fotelu dentystycznym, zawsze miała ochotę dużo mówić, żeby oddalić moment zbliżenia wiertła.

– Twoje zęby są w dobrym stanie – powiedział Freddy. – Zaczniemy od tego górnego po prawej stronie, który cię boli.

Wyjął igłę ze sterylizatora.

– Zazwyczaj nie chcę nowokainy.

– Wolałbym ci ją dzisiaj podać.

Zachowywał się łagodnie i z nieodpartym urokiem; gdzie się podział okropny troll, którego znała z imprez? Przez dodatkowe szkła trudno było dojrzeć jego oczy. Freddy stał się samym głosem i dotykiem.

– To taki nowy gadżet – oznajmił i odsłoniwszy palcami właściwe miejsce na górnym dziąśle rozpylił coś lodowatego; tak znieczulona nie zauważyła nawet ukłucia igły.

Czekali, aż nowokaina zacznie działać. Freddy krzątał się za jej plecami. Foxy ziewnęła; karmiła Toby’ego o drugiej, ale o piątej znów się obudził. Jej stopy w różowych balerinkach, wiszące w powietrzu na metalowym podnóżku, wyglądały na duże, płaskie i blade. Naprzeciwko niej znajdowało się zasłonięte burym płótnem okno, otwierające się na abstrakcyjny widok: dach poczty, opadający od lśniącej miedzianej krawędzi, wyraźnie rysujące się na tle niebieskiego nieba. Jak na dzień pod koniec listopada pogoda była wyjątkowo piękna. Małe, płynące powoli chmurki rzucały nieproporcjonalnie wielkie cienie na Tarbox, kiedy przysłaniały na moment słońce. Foxy zastanawiała się, dlaczego Piet nie przysłał kwiatów. Freddy grzebał w brzęczących metalowych narzędziach, a recepcjonistka o spleśzczonym nosie i z równo przystrzyżoną grzywką w czarno-białe pasy krążyła między przedpokojem i pokojem, w którym Foxy dojrzała stół, palnik Bunsena, wystrzępiony wykres, drastycznie obrazujący higienę dentystyczną u dzieci, oraz brzeg leżanki. Bliżej, na szafce z emaliowanymi szufladami, stało małe beżowe radio. Płynęła z niego muzyka, przerywana co jakiś czas przez bezbarwny głos prezentera, bez śladu akcentu czy emocji. Foxy zastanawiała się, skąd się bierze taka muzyka, czy tworzą ją ludzie, czy też może maszyny, i dlaczego nieodmiennie kojarzy się ona z gabinetami dentystycznymi, holami hotelowymi i poczekalniami na lotniskach. Ken określał tego typu melodie mianem muzycznej pasty do zębów.

Freddy odchrząknął.

– Twoja matka nadal tu bawi? – spytał. – Przyjdzie dzisiaj z wami?

Thorne’owie wydawali przyjęcie, na którym obowiązywały stroje wieczorowe. Dla Foxy oznaczało to, że po wielu tygodniach odosobnienia znów zobaczy się z Pietem.

– Nie, odleciała we wtorek. W końcu.

– Ken nie był zadowolony z obecności teściowej?

– Przeszkadzała bardziej mnie niż jemu. Jestem przyzwyczajona do pustelniczego życia.

– Twoja matka wydaje się miłą kobietą.

– Bo nią jest. Ale nie miałam z nią wiele do czynienia od czasu, kiedy skończyłam studia. Jestem za stara na to, by mieć matkę.

– Cieszy się z narodzin dziecka. – Nie zabrzmiało to jak pytanie.

– Wyraziła zachwyt, kiedy było trzeba. Ale odkryłam, że ludzie w jej wieku nie są już zbyt elastyczni, i musiałam się sporo namęczyć, żeby dziecko jej nie denerwowało. Ona nic tylko się przebierała i snuła wspomnienia, podczas gdy ja latałam tam i z powrotem po schodach.

Zbliżał się moment użycia wiertła i Foxy napłynęła ślina do ust, sprawiając, że miała ochotę opowiedzieć Freddy’emu wszystko – pojawienie się pierwszego, melodyjnego bólu, ustającego chwilami, niezrozumiała obojętność lekarzy i pielęgniarek, znieczulenie obejmujące ją jak świszczący, wyjący wiatr, zadziwiająco badawcze spojrzenie nowo narodzonego dziecka, jej dzika, szaleńcza myśl, że jest bardziej podobny do Pieta niż do Kena, i cudowny, obecny fakt, że ona, szczupła Foxy, jest pełna pokarmu jak wysokie, ciężkie od owoców drzewo.

– Nie spieszyła się chyba zbyt do męża – powiedział Freddy.

– Tak, zastanawiałam się nad tym. Mówiła o nim z dużą lojalnością, kiedy tylko sobie o nim przypomniwała. Wydaje mi się, że widzi swój los jak coś w rodzaju bajki o Kopciuszku, uratowanym pod koniec, a teraz, kiedy już żyje długo i szczęśliwie, jest tym życiem znudzona.

– Ken przypadł jej do gustu? – Znowu nie zabrzmiało to jak pytanie.

– Bardzo.

Freddy nie spodziewał się tak ostrej, krótkiej odpowiedzi; odrobinę rozczarowany, oblizwał usta.

- Zdaję się, że ja też się jej spodobałem – rzucił.
- Wszystkim nam się podobasz, Freddy.

Recepcjonistka, pobrzękująca w kącie sterylizatorem, uśmiechnęła się dwuznacznie za jego plecami. Wyczuwając, że Foxy się z nim droczy, Freddy stał się bardziej oschły.

- Rozmawialiśmy o kwestii płodności, nie opowiadała ci?

Recepcjonistka wyszła z pokoju.

- Jednym tchem. Wszystko o mitach.

– Częściowo. Z tego, co pamiętam, doszliśmy ostatecznie do wniosku, że kobiety mogą być zapłodnione tak samo przez wiatr, jak i przez mężczyzn, jeśli wystarczająco mocno w to wierzą. Ze wszelkie poczęcie jest niepokalane, pod najbliższym pretekstem.

Niewyraźny uśmiezek. Co miała sobie pomyśleć, że oznacza?

- Jakie to niemądre. Najwyraźniej jesteście bezradne.

– Czyżby?

– W przeciwnym razie, skąd tyle jedynaków? Nie znosiłam być jedynaczką. Mojego ojca nigdy nie było w domu. Mieliśmy mnóstwo wentylatorów.

- Naprawdę? – Freddy stracił wątek.

– Po jednym w każdym pokoju. Ja nie zamierzam poprzestać na jednym dziecku.

No i proszę, akurat w momencie, kiedy Foxy po raz setny doszła do wniosku, że Freddy jest draniem, zdała sobie sprawę, że udało mu się wyciągnąć ją na zwierzenia.

- Znieczulenie działa?

– Prawie. Do czego jest ci potrzebna leżanka? – Foxy machnęła ręką w kierunku drugiego pokoju, żeby odciągnąć uwagę Freddy'ego od siebie samej.

Mała chmura przysłoniła na moment słońce i w gabinecie zrobiło się znacznie ciemniej, powstała jak gdyby atmosfera do intymnej rozmowy. W radiu leciała bezpłciowa wersja *Tea for Two*. Foxy nabrała nagle ochoty na angielskie bułeczki drożdżowe.

- Nie do tego, o czym myślisz – powiedział Freddy.

– Nic nie myślę. Tylko pytam.

– Czasami ucinam sobie drzemkę w przerwie na lunch.

– Zastanawiałam się, jak sobie dajesz radę, przy tych ciągłych imprezach. A sądziłeś, że co myślę?

Wskazała głową młodą recepcjonistkę, udając jej słodki wzrok i macając czoło w poszukiwaniu grzywki, a potem składając dłonie przy twarzy, spać. Ułożyła usta jak do pocałunku, żeby podkreślić przesłanie.

- Nie – szepnął Freddy. – Ze przeprowadzam aborcje.

Wstrząśnięta do tego stopnia, że odebrało jej oddech, Foxy poczuła nagłą chęć, by zeskoczyć z fotela i uciec.

- Nigdy czegoś takiego nie pomyślałam.

– Ale dentyści często to robią. Mają idealne warunki. Wszystko na miejscu: fotel, środki znieczulające, narzędzia.

Foxy stwierdziła, że Freddy mówi to, chcąc jej zaimponować, podsycić zainteresowanie swoją osobą. Studiował medycynę, dążył do zdobycia władzy nad życiem i śmiercią; kiedy mu się nie powiodło zdecydował się na stomatologię, ostrożne dłubanie przy ustach życia, ale nadal miał aspiracje.

- Nie chcę tego słuchać – przerwała mu.

– Znieczulenie już powinno działać – powiedział Freddy i zaczął wiercić.

Widziany do góry nogami, z ciepłym policzkiem blisko jej twarzy, Freddy przeistoczył się w dwie włochate dziurki od nosa, badawczy taniec palców i połyskujące półksiężycy szkła. Emanował czymś macierzyńskim, cukierkowo słodkim. Foxy się odprężyła. Zaczynały boleć ją piersi i z niecierpliwością czekała na oswobodzenie, wyjście z gabinetu, odebranie dzidziusia w beżowym nosidełku od Bei Guerin, przejechanie krętą drogą do pustego domu,

rozebranie się do pasa i obdarzenie nagromadzonym bogactwem malutkiej, szukającej jej na oślepie buzi, tak spragnionej ssania. Tego ranka zaczął od prawej piersi, więc po południu kolej na lewą. Za dwadzieścia minut nowokaina przestanie działać i będzie mogła sobie przygotować lunch składający się z resztki sałatki i kanapki z tuńczykiem. Jak niewinnie życie pożerało dni. Jaka była niemądra, chrześcijańsko przewrażliwiona, by wyczuwać pod lekką warstwą mieszaniny starzenia się i wzrostu, karmienia, jedzenia i spania, miłości udawanej, skradzionej i prawdziwej, strach, świadomość kipiącego zła, poczucie winy szykujące się do natarcia. Biedny Freddy, ten prowodyr, okazał się sprawnym dentystą. Radio rozbrzmiewało melodią *Lady Be Good*. Pod czerwoną narzutą zamkniętych powiek Foxy wyraźnie dostrzegła, że musi zerwać z Pietem, i nie poczuła bólu.

Melodia w radiu urwała się w połowie.

Rozległ się bezbarwny męski głos, zadyszany i pospieszny, jak gdyby zawołano go do mikrofonu z dużej odległości.

– Komunikat specjalny – oznajmił. – W Dallas słyszano strzały w pobliżu kawalkady samochodów eskortujących prezydenta Kennedy’ego.

Na sekundę zapadła przenikliwa cisza. Potem igła opadła w rowek i melodia *Lady Be Good* gładko popłynęła dalej. Czarny zegar wskazywał godzinę 1.36.

Freddy oddalił wiertło od jej ust.

– Słyszałaś?

– Co to oznacza? – spytała.

– Jakiś stuknięty Teksaszczyk. – Freddy powrócił do wiercenia.

Zwiększył obroty i pisk stał się wyższy, jakby niecierpliwy. Gorący punkt zanurzył się w chmurze pyłu i Foxy poczuła ból. Freddy odetchnął miętowo.

– Możesz wypluć.

Recepcjonistka, która usłyszała przez drzwi wiadomość z radia, weszła do pokoju z szeroko otwartymi oczami, żeby przygotować amalgamat i posłuchać.

– Czy to możliwe, że to sprawka komunistów? – spytała.

Muzyka znów przestała grać. Dziewczyna się przeżegnała. Stadko gołębi, które przysiadło na dachówkach, żeby ogrzać się od komina poczty, spłoszyło się i poderwało się bezładnie do lotu. Powtórzono komunikat, dodając informację, że już na pewno wiadomo, że celem ataku była kolumna aut. Naliczono trzy strzały. Gołębie złapały wiatr w brudne skrzydła i odleciały, znikając sprzed oczu Foxy. Dziewczyna przyniosła kuleczkę srebra na irchowej podkładce i położyła ją na nieskazitelnie czystej okrągłej serwetce, wyścielającej tackę na narzędzia. Freddy ścisnął kulkę między palcami. Radio nie powtórzyło już błędu z wznowieniem muzyki. Na tle ciszy rozbrzmiały twarde słowa uzupełniające komunikat. Strzelano do prezydenta, został trafiony w głowę, znajduje się w stanie krytycznym, wezwano księdza, prezydent nie żyje. O drugiej było już wszystko wiadomo. Pośród zapachu lekarstw Freddy przetaił dziurę w zębie Foxy, osłonił ząb trzymaną szczypcami ligniną i wcisnął amalgamat do środka. Foxy czekała w fotelu jeszcze dziesięć minut i usłyszała przed wyjściem najgorszą wiadomość. Pielęgniarka płakała, nadal mając szeroko otwarte oczy, jak gdyby była lalką, którą żeby je zamknęła, trzeba położyć na plecach. Foxy, wdzięczna za okazywanie uczuć, poklepała ją w przejściu po dłoni. Żywa skóra szuka dotyku skóry.

– Ja i moja rodzina nawet na niego nie głosowaliśmy – wybuchła dziewczyna – Ale na pewno zrobilibyśmy to następnym razem.

Freddy wyglądał na przyjemnie podekscytowanego tym potwierdzeniem wszechobecnego chaosu.

– Chyba nam się rozpieprzyło przyjęcie – stwierdził, odprowadzając Foxy przez poczekalnię do wyjścia.

– Musicie je odwołać – powiedziała Foxy. Nie dane jej było zobaczyć się tego wieczora z Pietem.

– A ja już kupiłem gorzałę! – zaprotestował Freddy.

Foxy znalazła się w malutkim ogródku przed wejściem do gabinetu Freddy’ego. Rosła w nim pozbawiona liści dzika jabłoń, przypominająca koślawy szkielet. Flaga przed budynkiem poczty została już opuszczona do połowy masztu. Divinity Street była tak cicha i spokojna, że Foxy usłyszała gdzieś z oddali dźwięk elektrycznej szlifierki. Przez szklane ściany pizzerii, redakcji miejscowej gazety „Star” i dziupli szewca, która służyła też za lokal bukmacherski, widziała cienie ludzi otaczających odbiorniki radiowe. Foxy pomyślała o tym, jak radio wstydliwie zaprzestało nadawania mdłej muzyki, o szklistych od łez ciemnoniebieskich oczach recepcjonistki, o głupim zachowaniu Freddy’ego, który w błędny i haniebny sposób nie przyjmował do wiadomości obowiązku zachowania żałoby. A jednak pod jakim względem mogła się uważać za lepszą? Starła się wyobrazić sobie martwe ciało młodego mężczyzny właściwie z jej pokolenia, z którym mogłaby się przespać. Odległy mąż umarł, a jego śmierć nie tyle pozostawiła pustkę, ile ujawniła pustkę już istniejącą. Tam, gdzie powinien rodzić się smutek, pojawiła się odruchowa wrażliwość, osobisty lęk. Znalazłszy się na rogu Cogswella, Foxy spojrzała w stronę kościoła kongregacyjnego, a jej serce, ślepa owieczka, zaczęło szybciej bić. Zaparkowała samochód przy skałach; musi pędzić z powrotem do dziecka. Idąc pod górę, wśród poruszających się plamek słonecznego światła, Foxy wyobraziła sobie bezzębne, spragnione usta synka. Poczła lekki ból w lewej piersi. Pomacała językiem prawą stronę ust i stwierdziła, że nadal jest odrętwiała. Czy przestraszy go jej krzywy uśmiech? Potem wydało jej się, że zuchwały nieboszczyk z workami pod oczami to Piet, jej żołądek zmienił pozycję, a całe miasteczko wokoło chwyciło poczucie winy w brudne białe fasady, pragnąc się wznieść i stać się modlitwą.

Thorne’owie zdecydowali ostatecznie, że nie odwołują przyjęcia. Późnym popołudniem, kiedy Oswald został już schwytyany, Johnson zaprzysiężony, a machina narodowej ciągłości zademonstrowała swoją siłę, Georgene obdzwoniła wszystkich zaproszonych. Wytłumaczyła, że jedzenie i alkohol zostały kupione, goście sprawili sobie sukienki i dali do czyszczenia smokingi, że ona i Freddy czuliby się bardzo samotni, a dzieci strasznie zawiedzione, i że nie widzi nic złego w tym, by w ten straszny dzień zaprzyjaźnione pary czuły się okropnie we wspólnym gronie. To będzie jak irlandzki zwyczaj czuwania przy zmarłym, poinformowała przez telefon Angelę, a uroczystym obiadem i wieczorkiem tanecznym uczcimy zmarłego, który miał styl. Przyjdźcie. Proszę. Freddy’emu byłoby bardzo przykro, a przecież wiecie, jaki jest delikatny.

W tym sezonie modne były głębokie dekolty. Przybywszy na miejsce, Piet poczuł się oszołomiony widokiem obnażonych piersi. Na przyjęcie wybrał się niechętnie. Jego przesądna natura domagała się jakiegoś religijnego obrzędu, ceremonii dla wyrażenia uznania dla wytwornego martwego prezydenta, pomimo iż Kennedy był republikaninem. Wiedział też, że Freddy będzie starał się sprofanować tę chwilę. Poza tym Piet nie czuł się najlepiej: język i dziąsła miał całe w nadżerkach, Foxy była niedostępna, Angela nie kochała się z nim od wielu tygodni, jego smoking był stary i używany, po teściu, z niemodnie szerokimi klapami, a na czarnych ramionach świecił jego łupież. Kiedy wszedł do salonu Thorne’ów, zobaczył las nagich ramion i rozświetlonych, odsłoniętych, połyskujących piersi, całych w świetle świec, nawiedzających pomieszczenie wypełnione afrykańskimi maskami, jaskrawymi poduszkami, wiklinowymi podnózkami, hiszpańskimi komodami z zawiasami pasowymi i wypłowiałymi fotelami z uszakami. W kominku z polnych kamieni płonęły drwa. Stół barowy z białym obrusem, szklankami i butelkami odbijał migoczące światło. Janet Appleby miała na sobie zjadliwie zieloną sukienkę, której sznurowany przód sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał pęknąć pod naporem wciśniętego w dekolt ciężaru, tworzącego pionową fałdę jak między zmarszczonymi brwiami. Marcia, mniejsza Smith, przysłała w obcisłej, pomarańczowej sukience, bez stanika. Pochylając się do przodu, by



strząsnąć papierosa do miedzianej popielniczki, na której każde wgłębienie w świetle świec stawało się półksiężycem, ukazywała stożkowe cycki, wiszące w cieniu jak okrągłe korzenie, swobodnie unoszące się w wodzie. Georgene była ubrana na białą. Na wzór attycki i sportowy skrzyżowała na biuście dwie płachty zwiewnej tkaniny, co spłaszczyło jej piersi, jak gdyby leżała na plecach. Carol Constantine uszyła sobie obcisłą sukienkę z niebieskiego jedwabiu, bardzo wąską w kostkach i o cnotliwie zakrytym dekolcie, ale przez plecy biegł otwór kończący się przy kręgu krzyżowym. Irene Saltz (Saltzowie również stawili się na przyjęciu, po części dlatego, że znalazłszy pracę, Irene odbudowała nieco swoją pewność siebie, a po części z powodu podstępnych namów Freddy'ego) włożyła prostą sukienkę koktajlową z czarnego aksamitu. Owalny dekolt wyginał się w odwrotnym kierunku niż wystraszone łuki jej brwi, podczas gdy zazdrośnie i z niepokojem wodziła wzrokiem za Benem, Carol i Eddiem. Piet był wzruszony. Tak jak i on, Irene czuła, że pojawianie się na imprezie było czymś niewłaściwym. Straciła na wadze. Nędzny wygląd dodawał jej uroku.

Bea Guerin podpłynęła do niego, patrząc mu prosto w oczy. Jej perlący się od potu biust wysuwał się do przodu w sztywnym jasnoczerwonym pancerzu jak miękkie, słodkie bułeczki, podawane na gorąco w metalowych foremkach.

– Piecie – powiedziała – czy to nie okropne, że nie mogliśmy się powstrzymać, żeby się nie spotkać, że nie mogliśmy zostać w domach i jak należy uczcić prezydenta żałobą?

Piet przytaknął, mrużąc powieki i pożądając piersi, które przez podniesienie tak się zaokrągliły, że tworzyły niewielkie załamanie w punkcie styku z klatką piersiową. „Dlaczego nie chcesz mnie przelecieć?”. Spod lekko uniesionej górnej wargi było widać szparę między jej przednimi zębami; położyła mu drżącą dłoń na ramieniu, żeby złapać równowagę, albo dać ostrzeżenie. „Otaczają cię nieżyczliwi ludzie”. Zażenowany popijał martini, a nadżerki paliły go w ustach.

– Słyszałem, że często widujecie się z Constantine'ami – powiedział.

– To nudziarze. Roger ich lubi, ale to para egocentrycznych nudziarzy. Po pewnym czasie zaczyna ci przeszkadzać, że nie chodzili do college'u.

– Kogo Roger lubi bardziej, Eddiego czy Carol?

– Nie bądź podły. Nie przeszkadza mi, kiedy pozostali opowiadają różne rzeczy, ale nie życzę sobie słyszeć tego od ciebie. Nie jesteś podły, więc po co udajesz?

– Odpowiedz na moje pytanie.

– Carol jest nawet zabawna – stwierdziła Bea – ale równocześnie taka oziębła. Oziębła i wulgarna. Sądzę, to strasznie smutne, sądzę, że była naprawdę zakochana w Benie, nawet bardzo, ale nigdy nie przyjęła tego do wiadomości. Teraz się nie przyzna, bo to by było zbyt niegodne, i parodiuje go w okrutny sposób.

– Ale Ben to taki nudziarz.

– Nie sądzą, by w ogóle to zauważyli, ponieważ oboje są równie nudni. To okropne, że wszyscy są tacy nieciekawi. Roger jest koszmarnym nudziarzem.

– I sądzisz, że ja bym nim nie był?

– Przez jakiś czas. Nawet dość długi. Ale ty nie lubisz niskich kobiet, to takie napoleońskie w tobie.

Piet roześmiał się i spojrzał nad głowę Bei. Gdzie się podziewała Foxy? Na próżno przebiegał wzrokiem migoczący od świec pokój. Czuł, że trzymając się z daleka, uzyskała nad nim moralną przewagę, co dopełniło jej tryumfu, królewskiego lekceważenia, z jakim urodziła syna. Poczul ukłucie żalu; był opuszczony, mały.

– Gdzie Gallagherowie? – spytał Bei.

– Matt poinformował Georgene, że wybierają się z dziećmi na specjalną mszę. Powiedziała, że starał się zachować przez telefon minimum uprzejmości.

– Matt staje się bardzo niezależny. A co z Ongami?

– John zbyt źle się czuje.

– Bardzo choruje?

– Freddy mówi, że jest umierający – powiedziała Bea, a krzywizna jej policzka wyglądała w blasku świec jak łuk Diany.

Umierający. Przed przyjściem na imprezę Piet oglądał z córkami w telewizji, jak trumna zostaje wydobyta z samolotu pośród blasku lotniskowych reflektorów. Światło odbiło się od wypolerowanego drewna nagle, jak pocisk. Wewnątrz przypuszczalnie duszne odosobnienie, na zewnątrz powódź światła. Wdowa biała pośród szybkich cieni, rzucanych przez szerokie ramiona *attachés* wojskowych. Trumna przechyliła się i podskoczyła.

– Nie spytałeś, gdzie są Whitmanowie – odezwała się Bea.

– Nie ma ich tutaj?

– Tak łatwo cię przejrzeć. Nie mam pojęcia, gdzie są, ale ty bezustannie spoglądasz nad moją głową. To niezbyt miłe.

– Zastanawiałem się, czy powinienem sobie zrobić jeszcze jednego drinka.

Żeby ugasić panikę. Lodówka. Gwiazdy.

– Piet – powiedziała szybko i miękko Bea, widząc, że się od niej oddala – pokochałabym cię, gdybyś mi na to pozwolił.

Przy stole z alkoholem Carol flirtowała równocześnie z Haroldem i Frankiem.

– Frank! – odezwała się głośno, nie mając jednak do końca śmiałości zwrócić na siebie uwagi wszystkich i zrobić przedstawienia. – Podrzuc jakiś cytat z Szekspira. Nikt nie wie, co należy powiedzieć w takiej sytuacji.

– Dobranoc, słodki książę? – zaproponowała Angela.

Tego wieczora Piet był bardzo zaskoczony jej urodą – piękna, owalna głowa i szyja, zawieszona w drgającym świetle, cienie omiatające białe ramiona, ząbkowany dekolt i dyskretna parabola pereł.

Frank Appleby o zaczerwienionych oczach zamyślił się na chwilę.

– Długi, jakie zaciągnęła ambicja władcy, zostały spłacone – wyrecytował w końcu.

– To cytat? – spytała Carol.

– Z *Juliusza Cezara*, głupia lafiryndo.

Ścisnął Carol z boku tak mocno, że Piet obawiał się, że zniszczy jej delikatną niebieską sukienkę.

– A może – odezwał się Harold, mniejszy Smith, przerywając wypowiedź chichotem – „Bo przecież Brutus to człowiek honoru”? – Zadowolony z wybuchu radości, jaki wywołał, ciągnął dalej: – Naprawdę nie mogłem powstrzymać się dzisiaj od śmiechu. Wiadomość nadeszła, kiedy zabierałem się do deseru, *gâteau avec des fraises*, w towarzystwie trzech najbardziej zacieklej republikańców, jakich znam, między innymi, to cię rozbawi Frank, młodego Eda Fostera, który jak Frank wie, uważa, że Bob Taft stawał się pod koniec nieco różowy. *Un peu de rose au fin*. Oczywiście wszyscy, łącznie z prezydentami radiowymi, wśród których są sami liberałowie, założyli, że...

– Naprawdę jesteś konserwatystą, Haroldzie? – przerwała mu Carol.

– Harold i Frank różnią się od siebie – wyjaśniła Janet. – Frank jest federalistą; szczerze wielbi Ojców Założycieli. Natomiast Harold to ultramontanin; w jego wypadku to forma szpanu.

– *Merci pour votre mots très incisifs*. Mogę mówić dalej? Więc wszyscy oczywiście założyli, że sprawcą jest jakiś prawicowy pomylenie. Pamiętacie, na początku dawali melancholijne zapychanie o tym, że Dallas było rajem dla członków John Birch Society i tak dalej; zrobiło się tak pobożnie, że fiu, fiu.

– To po francusku? – spytała Carol.

– Ale potem, około drugiej trzydzieści, kiedy wróciłem do biura i zaczęły się pojawiać informacje o Oswaldzie, zadzwonił do mnie młody Ed w stanie ekstazy. „Słyszałeś”, powiedział, „to nie był jeden z naszych, to był jeden z nich!”.

Tym razem śmiech nie był tak gromki, jak się Harold spodziewał, być może dlatego, że wszyscy doświadczyli w sobie podobnej zmiany.

– Od kiedy McCarthy sfiksował, naprawdę niebezpieczne wilki zostały na lewicy – oświadczył Frank.

– Jednej rzeczy jestem całkowicie pewien – powiedział Freddy. – Oswald nie działał sam. Oddano zbyt wiele strzałów. Całe to cholerne przedsięwzięcie za dobrze wyszło.

Został jednogłośnie wyśmiany.

– Wszędzie widzisz spiski – powiedziała Janet.

– On uważa – oznajmiła Angela – że należymy do spisku, którego celem jest ocalenie się nawzajem od śmierci.

– Wydaje mi się, że powiedziałem „oddalenie nocy”.

Piet był pod wrażeniem, że Freddy pamiętał cokolwiek z tego, co kiedyś mówił. Ameba zaczynała wytwarzać szkielec. Żywiąc się wapniem skradzionym z ospałego, pozbawionego celu życia Pieta. Ostatnimi czasy Freddy miał w zwyczaju wpatrywać się w niego surowym, wymownym wzrokiem.

– Mogę wprowadzić was w tajniki jednego spisku – odezwał się Harold, mniejszy Smith. – Kiedy giełda na powrót się otworzy, kupujcie. Biznes nie był zachwycony Kennedym, natomiast Johnsona pokocha. Tacy starzy dranie potrafią sprawić, że interes kwitnie.

– Ponury, obleśny facet – wzdrygnęła się Carol o odkrytych plecach. – Jakby stanowisko przewodniczącego klasy przyjął szkolny atleta, czysta pokora i zielonego pojęcia o gramatyce. Pozwolisz nam potaćzyć, Freddy?

– Moi goście mogą robić, co tylko uznają za słuszne. Przyznam szczerze, że nie wiem, jak powinienem się zachowywać. Nigdy wcześniej nie zabito mi prezydenta. Byłem niemowlakiem, kiedy kropnęli Lincolna. Abrahama Uczciwego.

Ben Saltz usłyszał te słowa i podszedł do nich. Jego twarz ponad brodą wydawała się Pietowi kredowobiała, uśmiechnięta cząstka zburzonej przeszłości.

– A tymczasem – poinformował Freddy’ego – od tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego ten kraj ma historię politycznej przemocy nie do pozazdroszczenia. Czterech prezydentów plus zamach na Trumana i obu Rooseveltów. Jak wiecie, Teddy został ranny podczas nieudanej kampanii w tysiąc dziewięćset dwunastym, nie mówiąc już o Hueyu Longu. Na zachód od Bałkanów nie istnieje kraj z podobną przeszłością. A premierzy Wielkiej Brytanii poruszają się w towarzystwie zaledwie jednego ochroniarza.

– Walczyliśmy o prawo do posiadania broni – rzucił Frank.

– Ben ze mną zatańczy, prawda? – mówiła tymczasem Carol. – Chciałbyś ze mną zatańczyć?

Na twarzy Bena pojawił się uśmiech lwa z płaskorzeźby, ale w jego oczach nadal czaiła się wątpliwość, ludzki strach. Carol nerwowo złapała Harolda za ramię.

– Jeśli Ben się boi, to może zatańczę z Haroldem. Zatańczysz ze mną, prawda, Haroldzie? Po tym, jak złośliwie Janet wypowiedziała się na temat twoich eleganckich poglądów politycznych. Freddy, włącz jakąś płytę. – Carol odwróciła się chłodnymi, bladymi plecami do Pieta.

Ben, ubrany w schludny, zapewne pożyczony smoking, również się odwrócił i zaczął rozmawiać z Angelą. Piet usłyszał jej ciche pytanie.

– ...jej idzie praca?

– ...cieszy mnie, że po tylu latach ma znów okazję używać swojej wiedzy – odparł Ben wyraźnym, smętnym głosem. – Ze jest pobudzona intelektualnie, do pewnego stopnia.

Georgene stała na środku pokoju z miną gospodyni, która nie jest pewna, czym powinna się najpierw zająć. Piet podszedł do niej i dał jej swojego drinka.

– Carol jest niezłe podekscytowana – stwierdził.

– To zabierz ją do łóżka. Wiesz, gdzie się znajduje.

– Nawet o tym nie myślę. Rzuciłaby się na mnie z pazurami. Ale zastanawiam się, czyim pomysłem było zaproszenie zarówno Saltzów, jak i Constantine'ów?

– Freddy'ego, oczywiście.

– Ale ty umożliwiłaś wykonanie planu. Zazwyczaj pozwalasz jego pomysłodawcy uszytać.

W Georgene rozpalili się temperament działaczki klubowej.

– Naprawdę, Piet, ludzie powinni nauczyć się przeżywać romanse na osobności.

My byliśmy inni, mówiła jej mina, dzielni, lepsi niż te zdemoralizowane pary, trzymaliśmy wszystko w tajemnicy. Przeczesała palcami siwiejące włosy, jak gdyby chciała pozbyć się modrzewiowych igieł.

– Wydaje mi się czasem – ciągnęła – że jestem ostatnią osobą, która zachowała jeszcze poczucie prywatności.

– A, to ciekawa uwaga.

– Nie o to mi chodziło.

– Droga Georgene, co robisz z taką ilością prywatności, kiedy już mnie przy tobie nie ma?

– Mężczyźni przychodzą i odchodzą – odparła. – Nie jestem w stanie ich wszystkich spamiętać. Wydeptali ścieżkę przez las. Obchodzi cię to?

– Oczywiście. Byłaś dla mnie wspaniała.

– Co się w takim razie stało?

– Przestraszyłem się. Czuję, że Freddy wie.

– A jeśli nawet? Miałam go pod kontrolą.

– Może nie jestem całkiem szczery.

– Wiem, że nie jesteś – powiedziała Georgene. – Nigdy nie jesteś.

Odrzuciła się do niego szybko, jak odkryta karta z talii, i odeszła. Dopuść do siebie kobietę, pomyślał Piet, a nigdy nie przestanie prawić kazań. Pedagogika od czasu awantury z jabłkiem. Być jak bogowie.

Podszedł do niego Roger Guerin, marszcząc brwi. Był ubrany w koszulę frakową z plisami, falbankami i rubinowymi spinkami do mankietów, oraz miękko opadającą muszkę, ostatni krzyk mody.

– Schowałeś już kije do golfa? – spytał.

– Możliwe, że będzie jeszcze jakiś ciepły weekend – odparł Piet.

Podszedł do nich skulony Eddie Constantine.

– Jezu – powiedział – zaglądaliście już Marcii w dekolt? Te dwa stożki ochronne sięgają jej do pępka.

– Przecież zawsze wiedziałeś, że je ma – stwierdził Piet.

– Wierzyć to nie to samo, co zobaczyć na własne oczy. Boże, rozmawialiśmy w kuchni o czymś obrzydliwym, zanieczyszczeniu powietrza, a ja nic tylko spoglądałem w dół. Cały czas jej podskakiwały, aż mi stanął i musiałem się wycofać, żeby trochę ochłonąć.

Roger roześmiał się nieco zbyt głośno małymi ustami, jak człowiek, który nauczył się śmiać późno w życiu. Piet zdał sobie sprawę, że jego obecność jest tylko pretekstem, że anegdota Eddiego miała rozbawić i podniecić Rogera. Mój fiut, mówił Eddie między słowami, jest wielki jak kadłub samolotu. Kobiety, mówił, to świnię.

– A Janet? – spytał Roger. – Przewiązana tymi cieniutkimi sznurówkami.

Nadal lekko przykurczony, Eddie podszedł bliżej do drugiego, sztywno wyprostowanego mężczyzny.

– Wydaje mi się, że sposób, w jaki są ściśnięte, świadczy o tym, że Janet ma drugi tyłek, na wypadek, gdyby jej się zużył pierwszy. – Piękno dwoistości. Wszechświat dwójek. – Hej, powiedz mi, co ostatniej nocy zrobiła szalona Carol? Byliśmy... no wiesz... na moich kolanach... w górze... i co robi ta suka? Wymach nogą do tyłu i wciska mi stopę do ust! Było wspaniale, omal się nie porzygałem. Namów Beę, żeby spróbowała.

Piet odsunął się od nich dyskretnie. Stojąc wyczekująco w samotności, zwrócił na siebie

uwagę Janet, która oderwała się od mniejszych Smithów i Freddy'ego Thorne'a. W trzymanej przez nią szklance pływały na wół roztopione kostki lodu; Piet wyciągnął rękę, żeby przejąć drinka. Nie sprzeciwiła się, stała z pochyloną głową. Znaleźli się w cichej przestrzeni, ograniczonej przez ich ciała.

– Jak leci, Jan-Jan? – spytał Piet. – Co słyhać u twojego wspaniałego analityka?

– Ten drań, ten cholerny sukinsyn – odparła, nie podnosząc wzroku – nie chce powiedzieć mi, żebym przestała spotykać się z Haroldem.

– Wszyscy myśleliśmy, że nie spotykasz się z nim już od dawna. Od kiedy zaczęłaś prowadzić zdrowy i cnotliwy tryb życia.

Janet podniosła wreszcie wzrok.

– Miły jesteś, Piecie. Naiwny, ale miły.

– Dlaczego akurat psychiatra musi kazać ci przestać widywać się z Haroldem?

– On mówi to samo – powiedziała. – Ponieważ go kocham, właśnie dlatego. To stary, gruby Szkop z aparatem ortopedycznym na nodze, a ja go kocham, uwielbiam tego cholernego drania. Gdybym obchodziła go chociaż trochę, kazałby mi przestać sypiać z Haroldem. Ale on nie ma takiego zamiaru. Stary de-bil.

– Co ci w takim razie mówi?

– Chodzę do niego już od pięciu miesięcy, a jedyna wskazówka, jaką od niego otrzymałam, jest taka, że – ze względu na firmę farmaceutyczną – za każdym razem, kiedy połkam tabletkę, odbywam stosunek z ojcem. Przyjmuję jego nasienie. Spytałam go więc, co powinnam zrobić, kiedy boli mnie głowa i potrzebuję dwóch aspiryn. Zamówić telefoniczną modlitwę?

– Kochana, słodka Janet, nie płacz. Powiedz mi lepiej, czy Angela powinna rozpocząć terapię? Ma na to ochotę od czasu, kiedy ty zaczęłaś chodzić. Co powinienem zrobić w tej sytuacji, jako mąż?

– Nie pozwól jej. Spraw jej kochanka, wyślij do Jugosławii, cokolwiek, byle nie to. To okropnie poniżające. Wszystko jej się pomiesza, a Angela jest taka pogodna. Nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jaka jest neurotyczna.

– Chyba powoli zaczyna mieć tego świadomość. Mówi, że staje się coraz bardziej obojętna, jak gdyby już była martwa.

– Coś o tym wiem. Angela i ja jesteśmy do siebie nieco podobne.

– Ona też tak twierdzi. Mówi, że obie macie duże biusty, co wywołuje u was melancholię.

– Niech mówi za siebie. Nie jestem pewna, czy podoba mi się bycie czymś bliźniakiem.

Przyniesiesz mi w końcu tego burbona?

Kiedy Piet stanął przy barze, zbliżył się do niego chyłkiem Freddy Thorne.

– Możemy chwilę porozmawiać? Na osobności.

– Jakie to podniecające, Freddy! Tylko we dwóch, sam na sam?

– Zauważ, że się nie uśmiecham.

– Ale uśmiech twojej czaszki przebija zza pulchnych ust.

– Ile już wypieś?

– Nigdy nie zadawaj takich pytań Irlandczykowi podczas czuwania. Kieliszeczek strzelony za zmarłego się nie liczy. Przestań tak stać ze złowieszczym wyrazem twarzy. Muszę zanieść Janet burbona. Chyba się w niej zakochuję.

Kiedy jednak ruszył w jej stronę z kieliszkiem, okazało się, że Janet jest już głęboko pogrążona w rozmowie z Haroldem; Piet pozwolił więc Freddy'emu zaprowadzić się w róg pokoju, za ramę pozbawionej strun harfy.

– Piecie – Freddy nie bawił się we wstępy – czeka cię zimny prysznic. Wiem o tobie i Georgene.

– Prysznic? Nie jestem aż tak nietrzeźwy. Ani brudny.

– Mówiłem ci po imprezie u Constantine'ów, żebyś zostawił ją w spokoju. Pamiętasz?

– To wtedy, kiedy byłeś Czang Kaj-szekiem?  
– A przed chwilę widziałem, że szepczecie ze sobą na środku pokoju. Zgadza się?  
– Nie obchodzi mnie, co mówią w Departamencie Stanu. Uważam, że powinniśmy zezwolić ci na inwazję. Spuścić ze smyczy Freddy’ego Thorne’a, zawsze to powtarzam. Nasi wspólni znajomi poświadczą.

Freddy się nie odezwał. Wobec braku odpowiedzi Piet poczuł przerażającą pustkę.

– Skąd niby miałbyś to wiedzieć? – spytał.

Kiedy odpowiedź nadal nie nadchodziła, spytał ponownie:

– I co niby takiego wiesz?

– Sama mi powiedziała. Byliście kochankami.

– Georgene?

– Go, kłamała?

– Niewykluczone. Może się chciała na tobie za coś odegrać. Albo to ty teraz kłamiesz. Kiedy to się niby miało wydarzyć?

– Daruj sobie te gierki. Sam dobrze wiesz kiedy.

– W porządku. Przyznaję się. To się stało latem. Graliśmy razem w tenisa. Straciłem głowę. Ta jej urocza biała sukienka, piegi i wszystko, rzuciłem ją na linię końcową, godząc się na przegraną walkowerem. Przepraszam. Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

W ustach mu zaschło, chociaż trzecia szklanka martini była już lekka w jego dłoni: pusta, skończona, oliwka jak mdłe zielone jajko.

Freddy próbował, z niewielkim powodzeniem, przybrać groźną pozę; mrużąc oczy chmura, o majestatycznie wąskiej i łysej głowie. Kiedy zmarszczył brwi, na jego czole pojawiły się rozległe bruzdy.

– Zrobię ci krzywdę – oznajmił Pietowi i poszedł sztywno w kierunku kuchni, żeby przynieść więcej lodu.

Zauważywszy poruszenie na twarzy męża, Angela porzuciła Bena w połowie jego wywodu.

– O czym rozmawialiście z Freddy’em? – spytała Pieta. – Zbladłeś jak duch.

– Mówił mi, że powinienem naprostować sobie zęby. Au. Już czuję ten ból.

– Akurat. Chodziło o mnie?

– Zgadza się, aniele. Prosił mnie o twoją rękę. Powiedział, że od lat się w tobie kocha.

– Zawsze tak mówi.

– Naprawdę?

– Lubi się ze mną w ten sposób droczyć.

– Ale tobie się to podoba. Po wyrazie twojej twarzy widzę, że lubisz słuchać podobnych bzdur.

– Czemu nie? Dlaczego jesteś na niego taki cięty? Zrobił ci kiedykolwiek coś złego?

– Zagraża mojej prymitywnej wierze – odparł Piet.

Do pokoju weszła Foxy z Kenem. Miała na sobie srebrną suknię bez ramiączek. Jej piersi były nabrzmięte od mleka. Kiedy się odwracała, zdawało się, że pyszni się swoim ciałem, szukając wzrokiem Pieta wśród rozszałych cieni. Wejście Whitmanów głównymi drzwiami zakłóciło cyrkulację powietrza w pomieszczeniu; płomienie świec pochyliły się z wysiłkiem, a meble i ściany zdawały chwiać się i wybrzuszać. Przyszła dla niego. Opuściła dom i ciepłego dzidziusia w tę tragiczną noc wyłącznie po to, by go odszukać, uchronić przed krzywdą ze strony otaczających nikczemników. Piet usłyszał, jak wyjaśnia Georgene:

– Mieliśmy już zamówioną opiekunkę, więc stwierdziliśmy, że wpadniemy chociaż na chwilę, żeby i ona coś z tego miała. To córka doktora Allena i nie chcieliśmy jej od razu do siebie zrażać, bo dopiero zaczynamy. Nigdy wcześniej nie potrzebowaliśmy opiekunek. Kiedy przyszła, siedzieliśmy razem długo przed telewizorem, nie byliśmy w stanie oderwać oczu od ekranu.

– Co się teraz dzieje? – spytał niskim głosem Roger.

– Puszczają głównie urywki z archiwum – odparła Foxy. – Najbardziej bolesne są te z konferencji prasowych. Był taki szybki i pyskaty, i bo ja wiem, uważny. W pewien sposób przywrócił nam radość bycia Amerykanami.

Piet zauważył, że mówiąc to, trzymała cały czas męża za ramię, jak gdyby chowała się za nim. Ken stał wyprostowany i blady w nieskazitelnej czerni. Miał onyksowe spinki do mankietów.

– Ja go uwielbiałam – wykrzyknęła Bea Guerin nieco histerycznym głosem, w którym krył się głęboki żal, jakby dobiegający z krainy cieni. – Nigdy bym na niego nie zagłosowała, nie wierzyłam w te mętne socjalistyczne wymysły; uważam, że ludzie powinni być sobą, nawet jeśli tylko po to, żeby cierpieć. Ale uwielbiałam jego styl, sposób, w jaki się ubierał, to, że nie wkładał kapelusza ani płaszcza, znaczy się.

– Bezdenny smutek – powiedział Frank Appleby – kryjący się w dziwnych oczach z rozbieżnym zezem.

– Naprawdę miał zeza? – spytała Marcia. – Sądziłam, że tak wyglądał, bo zawsze czytał z telepromptera.

Świetlista muzyka zalała pokój. *Stars Fell on Alabama* Doris Day. Freddy uwielbiał Doris Day. Miał gołębie serce i był równie amerykański jak jabłecznik i seriale telewizyjne.

– Freddy! – zawołała Carol. – Jesteś boski! Gdzie Roger?

Dywan we wzór przeplatających się rozet został zwinięty pod same nogi obitego ałtąsem szeszlongu i Carol z Rogerem zaczęli tańczyć, ona giętka, on sztywny.

– Aj! – krzyknęła. – Twoje dłonie są zimne jak lód!

– Od drinka – mruknął zawstydzony i niezadowolony Roger i oparł dłoń (ułożoną bokiem i zwiniętą w bezwładną pięść, jak u śpiącego dziecka) na jej chudym, obnażonym karku.

Pozostali obserwowali ich z zażenowaniem. Ken Whitman starannie ominął środek pokoju, idąc po drinka dla siebie i Foxy. Czekał na lód, który Freddy miał przynieść z kuchni, zaczął rozmawiać cicho z Janet. Ben Saltz stanął obok Foxy. Ucieszyła się, że znów go widzi, po tak długiej ich nieobecności na imprezach; potem, w odpowiedzi na jego słowa, spojrzała w dół na płaski brzuch i zarumieniła się lekko, nie bez przyjemności odnajdując w Benie cień Petera. Angela dotknęła ramienia Pieta.

– Zatańczymy? – spytała.

– Masz ochotę? Czy to nie bluźnierstwo tańczyć na grobie tego biedaka?

– To rzeczywiście niesmaczne zachowanie, ale musimy. Nie możemy pozwolić, by Roger i Carol zostali sami. Są coraz bardziej skrepowani.

Znajome ciało było duże i miękkie w jego ramionach; nigdy nie nauczył się porządnie tańczyć i w trakcie ich małżeństwa Angela, oparta o niego udami i miednicą, nauczyła się lekko podążać za jego niepewnymi krokami, jak gdyby wyznaczały wzór. Byli tego samego wzrostu. Angela rzadko kiedy spryskiwała się perfumami, więc jej skóra i włosy wydzielały nieokreślony, ale niezwykle przyjemny zapach, taki jak woda, życie, czy istnienie samo w sobie, gdyby porównać je do panującej między gwiazdami próżni.

– Gdzie są – spytał Piet – Irene i Eddie?

– W kuchni. Rozmawiają o zanieczyszczeniu atmosfery.

– To dopiero zadowolona z siebie parka – stwierdził Piet. – Po tych wszystkich awanturach. Mam nadzieję, że od tej pory będziesz traktować jej dramatyczne zwierzenia z odpowiednią dozą rezerwy.

– Cóż – powiedziała Angela. – Ben rozmawia właśnie z twoją eks-ciężarną przyjaciółką, więc co Irene miała zrobić?

– To nazbyt skomplikowane – uznał Piet, starając się dopasować kroki do zmiany tempa, gdyż *Stars Fell on Alabama* przeszło w *Soft as the Starlight*. – A dama, o której mówisz, rzeczywiście była w ciąży, ale nigdy nie się ze mną nie przyjaźniła.

- Żartowałam. Nie spinaj się tak. Odpręż się. Rób posuwiste kroki.
- Szczerze mówiąc, to przyjęcie jest okropne. Kiedy możemy wracać do domu?
- Przecież uwielbiasz takie imprezy.
- Czuję, że znieważamy Kennedy'ego.
- Wcale nie. Jeszcze wczoraj był po prostu prezydentem w Waszyngtonie, a teraz nagle należy do nas wszystkich. Jest tutaj obecny. Nie czujesz?

Spojrzał ze zdumieniem w jej niebieskie oczy. Angela co jakiś czas ujawniała zadziwiającą stronę swojej osobowości, która mimo wszystko niezmiennie wprawiała oczarowanego Pietę w zachwyt. Gdy zdał sobie z tego sprawę, zniesmaczyła go własna subtelna niewola. Z całej siły zapragnął oderwać Foxy od Bena i zdeptać butami jego zarośniętą twarz. Poruszając się niezdarne, nastąpił na palec Angeli.

Po chwili dołączyli do nich na parkiecie Ken i Janet, a potem Freddy i Irene. Wystający ponad czarnymi plecami Thorne'a bliźniaczy cyrkumfleks idealnych brwi Irene przypominał uniesione w locie skrzydła. Przedziałek miała zrobiony precyzyjnie pośrodku czoła. Eddie Constantine podszedł do tańczących, jak gdyby chciał ją przechwycić, ale w ostatniej chwili zmienił kierunek i odbił Pietowi Angelę. Piet poprosił do tańca Georgene, która przyglądała im się, stojąc przy stole pełnym rozświetlonych butelek i brudnych szklanek.

– Sądziś, że jeszcze za wcześnie na podanie szynki? – spytała, gdy znalazła się w jego ramionach. – Kupiliśmy też łososia, ale nie przyszli żadni katolicy.

– Ty i twoje wspaniałe poczucie prywatności – powiedział oskarżycielsko. – Przed chwilą zostałem obsztorcowany przez twój męża.

– Przez Freddy'ego? Za co?

– Za to, że miałem z tobą romans.

– Nie żartuj sobie. Nasze wspólne chwile były bardzo cenne, przynajmniej dla mnie.

– Miałbym żartować? Powiedział, że wszystko mu wyjawiałaś. Pozycje, daty, fazy Księżyca.

– To kłamstwo. Nigdy mu nic nie mówiłam, chociaż często próbował wydobyć ze mnie prawdę. To taktyka Freddy'ego. Mam nadzieję, że do niczego się nie przyznałeś.

– Nie, ale to czysta perfidia. Założyłem, że ma mnie jak na talerzu.

– Ciągłe rozmawia z Janet i Carol. Może któraś z nich coś zasugerowała.

– Ale jesteś pewna, że nic nie wie? Jesteś pewna, że nie napomknęłaś mu o tym kiedyś, przed zapadnięciem w sen, uznając, że i tak jestem przegraną sprawą, i chcąc się w jakiś sposób odegrać na Freddy'ego za na przykład jego romans z Carol?

– Carol? Wiesz coś o tym? – Uwielbia! czuć w ramionach przerażoną Georgene; jej ciało jak gdyby rozpadało się od wewnątrz, identycznie jak w wypadku pożądania seksualnego.

– Nie. Ale całymi dniami przesiaduje u Constantine'ów, a Carol nie należy do wybrednych. Co nie znaczy – dodał od razu – że Freddy nie jest przystojniakiem.

Georgene zignorowała jego nieuprzejmą parodię eleganckiego zachowania.

– A ty? – spytała. – Jesteś przegraną sprawą?

Skończyło się *Soft as the Starlight* i rozległy się pierwsze takty *It Must Have Been Moonglow*.

– Cóż – odparł ostrożnie Piet. – Jestem nią coraz bardziej, zwłaszcza że Freddy zachowuje się, jak gdyby wszystko wiedział.

– Freddy, on nie chce o niczym wiedzieć, tylko sprawiać wrażenie, że wszystko wie. Ale ja nie jestem dla ciebie warta zachodu, więc nie ma o czym mówić, prawda? – Szybkim i stanowczym ruchem sportsmenki położyła mu dłonie na ramionach i wyswobodziła się z jego objęć. – Tylko nie przybiegaj do mnie następnym razem, kiedy zachce ci się innej dupy.

Obserwując, jak Georgene się oddala, zdał sobie sprawę, że przez te wszystkie miesiące z Foxy nadal uważał ją za swoją kochankę.

Foxy tańczyła z Frankiem Appleby'ym po drugiej stronie pokoju. Poruszali się spokojnie,



niezależnie od rytmu, srebro zamknięte w ołowianym uścisku. Rozległo się *Wrap Your Troubles in Dreams*. Stojąca w pobliżu Marcia szybkim ruchem wślizgnęła się w objęcia Pieta i przytuliła do jego przepoczonej koszuli.

– Co się z tobą stało? – spytała. – Nie jesteś już taki zabawny jak kiedyś.

– Nigdy nie starałem się być zabawny.

– Ale byłeś. Uwielbiałeś przebywać w naszym towarzystwie, na plaży, w górach, wszędzie. A teraz przestaliśmy cię obchodzić. Uważasz nas za paskudnych, głupich ludzi.

– Uwielbiam cię, Marcio. Założę się, że w szkole zawsze wybierano cię na przewodniczącą klasy.

– To z powodu pracy? Co teraz robicie, kiedy jest już za zimno na stawianie kolejnych przytulnych koszmarek na Indian Hill?

– Ratunek przyszedł w ostatniej chwili. Akurat w zeszłym tygodniu dostaliśmy duże zlecenie na prace wewnętrzne w domu na Divinity Street. Zabrali Gertrudę Tarbox do domu starców i bank z New Bedford, który udzielał kredytu pod hipotekę, chce stworzyć w budynku biura. Wywieźliśmy trzy ciężarówki egzemplarzy „National Geographic”.

Zachmurzył się, opowiadając o tym Marcii. Pracował tam sam cały dzień, obsługując dużą szlifierkę. Cyklinował podłogę w pomieszczeniu, które kiedyś służyło za jadalnię i było oświetlone wielkim żyrandolem. Zagubiony w hipnotycznym wyciu i warkocie maszyny, zafascynowany stopniowym znikaniem dziesięcioleci brudu oraz farby i odsłanianiem czystego drewna, nie miał pojęcia o zabójstwie prezydenta, dopóki Jazinski nie wrócił o trzeciej z niezwykle długo trwającego lunchu. Ogłuszony szlifierką, Piet pozwolił, by nabój przeszedł przez niego bezboleśnie.

– Na co komu biuro w Tarbox? – spytała podenerwowanym tonem Marcia.

– Zdziwiłabyś się. W centrum od dawna brakuje pomieszczeń, w których mogłyby się zainstalować firmy ubezpieczeniowe czy kręgarze. Anonimowi Alkoholicy chcą otworzyć w Tarbox swój oddział. To już nie jest to samo spokojne, sielskie miasteczko, do którego się przeprowadziłaś, Marcio. Zaczyna, niestety, stawać się obszarem podmiejskim. Między Tarbox a Lacetown ma powstać wielkie centrum handlowe. Czy Frank nie jest przypadkiem członkiem komitetu, który stara się wycisnąć więcej połączeń kolejowych ze starego, biednego New Haven, MBTA, Lionel Company czy kogoś?

– Kiedy wreszcie oderwiesz się od Gallaghery, Piet? Frank i Harold rozmawiali podczas lunchu w Bostonie z człowiekiem, który zna się na rzeczy i uważa, że Gallagher wkrótce zbankrutuje. Jest poważnie zadłużony i nadal bawi się w ryzykowne przedsięwzięcia. Gdyby latem zakonnice nie wyciągnęły go z kłopotów, nie byłby w stanie już za nic zapłacić.

– Nic nie rozumiesz, moja droga. Matt nie może przegrać. Żyjemy w rozszerzającym się wszechświecie.

Zęby ją uciszyć i stłumić krytyczny nastrój, zsunął dłoń na jej pośladki; były wąskie i ściśnięte; przywodziły na myśl przednie, delikatne koła traktora. Czując jego dotyk, przysunęła się do bliżej, tak blisko, że usta Pieta cofnęły się przed zimnym promieniującym z dyndającego kolczyka.

– *A propos* MBTA, jak się miewa Frank?

– Jak zwykle. Może trochę gorzej. Nie uspokaja go już, kiedy po prostu idziemy ze sobą do łóżka. Powinien wyzwolić się spod wpływu tej cholernej znerwicowanej suki.

– Każdy potrzebuje wyzwolić się spod czyjegoś wpływu.

– Ja nie. Harold jest mi potrzebny. Zęby mnie ranił. Jest cudownie okrutny, nie uważasz?

– Cudownie?

– I jednocześnie po staroświecku szarmancki. Należę do niego, ale on szanuje moją niezależność. Uważam, że jesteśmy bardzo miłą, staromodną parą, nie sądzisz?

– Starożytną. Wiktoria i książę Albert. Ale porozmawiajmy o mnie. Nie sądzisz, że powinienem wyzwolić się spod wpływu Angeli?

– Oj, Piet! – Marcia prychnęła niecierpliwie. – Zginałbyś bez niej.

Zaskoczony i nie wiedząc, co powiedzieć, zaśpiewał wraz z lekkim głosem z płyty do zakręconej, chłodnej muszli jej ucha.

– Zamki mogą runąć, to ostatecznie przeznaczenie, tak już w życiu jest.

Źle zrozumiała jego intencje i przycisnęła się do niego mocniej. Opuszkami palców zaczęła gładzić krótkie, rosnące mu na karku włoski i uniosła nieco biodra. Nie potrzeba jej było zachęcać dwa razy. Piet rozejrzał się po salonie, szukając ratunku. Ken nadal tańczył z Janet. Kiedy zbliżali się do światła świecy, jego skronie wyglądały na przysypane siwizną. Freddy odbił Angelę Eddiemu. Eddie i Irene stanęli pod ścianą, rozmawiając. Frank Appleby szykował sobie kolejnego drinka. Foxy się ulotniła. Doris Day zaczęła śpiewać *Moonglow*. Dostrzegłszy wzrok Pieta, Harold podszedł bliżej i bezlitośnie wpił palce w śpiące ramię Marcii, aż jej oliwkowa skóra zbieleła między jego paznokciami.

– W telepudle powiedzieli, że chcą ustawić dla niego wieczny znicz. *Une flamme éternelle*. Na miłość boską, przecież to nie żaden Nieznany Żołnierz, tylko umiejętnie wykreowany polityk, który miał pecha dostać jakąś kulę. *Chérie, es-tu ivre?*

– Tak – zachrypięła Marcia, którą głos Harolda zbudził ze snu.

– W takim razie chodź ze mną. *Pardonnez-nous*, Piet.

– Z przyjemnością. Pójdę złapać jakąś kulę.

Piet zrobił sobie czwarte martini, o srebrnym połysku. Foxy. Poszła do lasu? A gdzie Ben? Nie było go wśród tańczących mężczyzn. Leci do Żydów jak ćma do płomienia. Abram nad Lota. Palce Bena, zwinne dzięki doświadczeniu w miniaturyzacji, zsuwające po śniadych udach w pończochach, żeby dostać się do murzyńskich ust obrośniętych jasnym futerkiem. Jej lechtaczka nabrzmiwiająca powoli za mleczną powłoką, rubinoworóżowa, sprężynki od zegarka w kształcie bratków. Odległa, uśmiechnięta w mroku, Foxy wyciągała się i prowadziła go. Ben przypominający lwa, w skrywających go ciemnościach krzewu Thorne'ów. Za czarnymi oknami otworzyła się dla kolejnego kochanka.

Piet odwrócił się z bólem od okna i wydało mu się, że tańczące pary przesuwają się po wypolerowanym wieku trumny Kennedy'ego. Wysepka światła pośród pograżonego w żalobie narodu. *Close your eyes*. „Zaaaamkniiij oczyyy”, zaszeptał w uchu Pieta aksamitny głos z Hollywood. Oliwkowe jajko w jego martini zostało bezlitośnie porzucone przez matkę. Bolały go nadżerki, zwłaszcza ta po lewej stronie dziąsła, u dołu wargi, do której musiał mocno wyciągać język. Labirynt błon nigdy nie wykształciłby się z glonów bez jakiejś zachęty. Dostaliśmy kopniaka od Boga. Piet czuł, że nie powinien pić kolejnego drinka. Przed kolacją, na pusty żołądek. Poruszyło go wicie się Marcii w jego objęciach. Do połowy masztu, a potem opadł ciężko. Nerki dawały o sobie znać: płynne bicie niemego dzwonu, ulżyj mi. Łazienka Thorne'ów. Gdzie Georgene kąpała się przed i po. Mówiła, że jego sperma ścieka jej po nodze, zbyt wiele, powinien częściej pieprzyć się z Angelą. Sześciokątne płytki na podłodze, jasnoniebieski papier toaletowy, eleganckie fioletowe ręczniki. „Witaj w pigułkowym...”. Wychodziła spod prysznicza nago, posuwistym krokiem, z cipką świeżą jak paprotka. Przyjemna ociężałość po miłości. Dobra robota, tyś porządny i wiemy. Wchodząc po znajomych schodach i twardo stawiając czarne stopy na chybotliwych stopniach, rzucił okiem w stronę ciemnego pokoju, gdzie kilka ledwie widocznych głów oglądało nużącą, migoczącą powtórkę wyprowadzania trumny z wnętrza samolotu. Był tam Ben, pochylony do przodu, o wysrebrzonym profilu jak na oleodrukach w szkółce niedzielnej, spoglądający na Synaj. Roger i Carol siedzieli razem na jednym pufie. Frank palił cygaro, którego dym wypełniał się co chwila światłem, podczas gdy trumna stawała się wdową, wdowa Johnsonem, Johnson komentatorem. Upiory. Foxy musi być w kuchni. Pokryte drewnianymi panelami drzwi do łazienki były zamknięte. Piet taktownie zapukał.

– Chwi-lecz-kę – zawołał melodyjny głos.

– To ja – powiedział Piet i pchnął.

Drzwi się otworzyły. Siedziała na sedesie z podwiniętą srebrną suknią, zaskoczona, niebieski papier toaletowy w ręku jak fragment nieba. Na owalnej desce jej ozdobione podwiązkami, blade uda rozpląszczyły się; była pochylona do przodu; palcami stóp dotykała sześciokątnych płytek na podłodze, ale pięty wisiły w powietrzu.

– Kocham cię – wypadło z niego jak plomba z zęba.

Lustro nad zlewem rzuciło w niego odbiciem. Jego płaska, napięta twarz wyglądała na zaczerwienioną i zaskoczoną, usta miał otwarte, a czarny krawat przekrzywiony.

– Chyba zwariowałeś, żeby tu wchodzić – szept Foxy wypełnił jasne, wyłożone glazurą pomieszczenie.

Potem nedorzecznie starannie podtarła się, wrzuciła papier do muszli klozetowej i odwracając się, na siedząco nacisnęła srebrną rączkę. Woda spłynęła powoli: Georgene często narzekała na niskie ciśnienie wody na wzgórzu. Foxy wstała znad wiru i opuściła suknię, wygładzając ją. Stojąc naprzeciwko niego, zdawała się wysoka, odrobinę wyzywająca i wroga. Jej zaciśnięte usta były dziwnie rozjaśnione bladą różową szminką – nowa moda. Piet upewnił się, czy drzwi są porządnie zamknięte, i przeszedł obok niej, żeby oddać mocz na stojąco. Poczł skurcz; po chwili pojawił się wreszcie złoty łuk.

– Boże – powiedział. – Jak wspaniale cię widzieć. Kiedy u diabła możemy się spotkać?

– Nie byłam pewna, czy masz na to ochotę – powiedziała pospiesznie, zagłuszając jego strumień. – Ostatnimi czasy zachowywałeś się z dużą rezerwą.

– Od kiedy urodziłaś dziecko, strasznie się ciebie boję. Zakładałem, że między nami już wszystko skończone.

– To nieprawda. Chyba że tego chcesz.

– Prawda jest taka, że przez całą jesień byłem bezustannie czymś przerażony. Śmiercią, pracą, Gallagherem, własnymi dziećmi, gwiazdami. To był koszmar. – Ostateczne tryśnięcie, nieco retoryczne i końcowe strząśnięcie kropli. Zapiął spodnie. – Całe moje życie wydaje się jednym długim upadkiem.

– Ale nim nie jest. Masz dobre życie. Uroczą rodzinę, sympatyczny dom, mnie, jeśli chcesz. Nie możemy tu rozmawiać. Zadzwoń do mnie w poniedziałek. Znowu będę sama.

Piet spuścił wodę, rezerwuar się napełniał.

– Zaczekaj. Proszę. Pozwól mi spojrzeć na twoje piersi.

– Są wypełnione mlekiem.

– Wiem. Tylko na moment. Proszę. Potrzebuję tego.

Nasłuchiwali kroków na schodach, ale za drzwiami panowała cisza. Piętro niżej grała muzyka, a obok rozlegał się monotony głos z telewizora. Foxy otworzyła usta i jej język, czerwony jak jesiotr, dotknął górnej wargi, podczas gdy sięgała za plecy, żeby odpiąć stanik. Opadł razem z górą od sukienki. Dary natury.

– O Boże.

Zarumieniła się w odpowiedzi.

– Czuję się taka gruba.

– Są pokryte żyłami, obrzmiałe. Takie twarde u góry.

– Nie zaczynaj. Za godzinę muszę wracać do domu.

– Nakarmić dzidziusia.

– Tak. Jakie smutne linie zarysowały ci na czole. Nie marszcz brwi, Piet. I pojawiły ci się siwe włosy. Nie miałeś ich wcześniej.

– Nakarm mnie.

– O nie, kochanie.

– Nakarm mnie.

Zakryła jedną pierś, zaniepokojona, ale Piet ukląkł i przyłożył szerokie usta do drugiej. Pierwszy powolny, gęsty strumień był początkowo mdły i słodki. Jasne światło łazienki paliło Pieta w powieki i zdawało się barwić jego wnętrzności na kolor głębokiej, płynnej czerwieni,

aż po bolące kolana na lodowatej podłodze. Dłoń Foxy delikatnie objęła od tyłu jego wykrzywioną głowę i podprowadziła go bliżej wypływającego z niej strumienia, a potem ostrzegła, dotykając jego ucha, że sprawia jej ból. Otworzył oczy. Sutek drugiej piersi wystawał czerwony jak wisienka spośród obejmujących go w obronnym geście palców; Piet zamknął oczy. Skradziona żywność płynęła rytmicznie po języku i dziąsłach. Foxy bawiła się jego włosami, a on pieścił jej pośladki poprzez tkaninę sukienki. Była bliska zatopienia go w czerwieni.

Rozległo się zdecydowane pukanie do niezamkniętych drzwi, tuż za nimi. Pieta załało ostre światło. Zobaczył, jak ozdobiona pierścionkami dłoń Foxy chwyta hojnie płynące mleko z wystającej piersi, od której odsunął usta.

– Chwileczkę – zawołała równie melodyjnie jak poprzednio.

– Przepraszam, Foxy – dało się słyszeć jasny, uprzejmy głos Angeli. – Nie spiesz się.

– W porządku – powiedziała Foxy, spoglądając na Pieta rozgorączkowanym, pytającym wzrokiem.

Jej nagie piersi stanowiły dwie olbrzymie sfery. Chrześcijańska niewolnica obnażona przed torturami.

Ciało Pieta zadrżało ze strachu. Dłonie podrygiwały mu jak kukiełki na sznurkach, ale umysł zaczął badać jasno oświetlone pomieszczenie, w którym był uwięziony. Nie było drugich drzwi. Kabina prysznicowa miała ścianki z rozsuwanego, przezroczystego szkła; tam byłoby go widać. Łazienka miała małe okno. Parapet znajdował się na wysokości jego piersi. Zdając sobie sprawę, że robi hałas, unosząc szybę, nakazał bezgłośnie Foxy, by spuściła wodę. Kiedy pochyliła się, by dotknąć srebrnej rączki, jej piersi zmieniły się w zwisające wymiona o długich czubkach, z których kapały matowe krople. Piet otworzył mosiężny zatrzask i uniósł ramę, podczas gdy woda spływała powoli do muszli. Postawił jeden czarny but na krawędzi wanny, podciągnął się do mrocznego prostokąta i wcisnął się w niego. Po tej stronie domu rosły drzewa, wiązy, ale żaden z nich nie znajdował się wystarczająco blisko, by Piet mógł się go uchwycić. Jego dłonie dotykały jedynie pionowej ramy okiennej i lodowatego powietrza, całego w gwiazdach. Zbyt późno zorientował się, że powinien był wysunąć najpierw nogi; musi skoczyć. Znajdował się po typowo wiejskiej stronie budynku. Miękka trawa. Woda w sedesie ucichła i żaden odgłos nie zagłuszał już jego gramolenia się, kiedy zmieniał pozycję. Foxy odkręciła wodę w obu kranach. Za chwilę będzie musiała otworzyć Angeli drzwi. Piet wycofał się. Obserwująca go Foxy stała przy hałasujących kranach, wycierając się czerwoną myjką i nakładając z powrotem srebrną suknię. Pewnie się uśmiecha. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać. Stał na śliskiej krawędzi wanny i wytknął nogę przez okno, a potem robiąc coś w rodzaju stójki na pokrywie kaloryfera, zdołał precyzyjnie przecisnąć drugą. Guzik. Zaklinowany. O, już. Wysunął się na brzuchu i zawisnął całym ciężarem ciała wzdłuż falistego gontu Thorne'ów. Sterczące gwoździe mogą zaczepić o dziurkę od nosa i rozedrzeć twarz jak rybi brzuch. Pod butami miał powietrze. Dziesięć stóp. Jedenaście, dwanaście. Stare domy, wysokie sufity. Coś lekko musnęło jego zaciśnięte na framudze palce. Foxy błaga, by tego nie robił? Angela mówiąca, że wszystko w porządku, że już wie? Za późno. Skacz. Żadnych przeprosin. Odpychając się lekko butami od ściany i próbując skulić się, by zmniejszyć siłę uderzenia, puścił framugę. Lot rozpoczął się szumem powietrza, a zakończył wstrząsem: pęknięta struna harfy. Jego pięty uderzyły o zmarzniętą ziemię. Zrobił salto do tyłu i zaniepokoił się plamami z trawy na smokingu, nim pomyślał o tym, by błogosławić Boga, że się nie potknął. Nad Pietem różowa twarz zniknęła ze złotego okna, które zamknęło się z cichym westchnieniem. Byli bezpieczni. Siedział na zmrożonej trawie, a jego stopy w cieniutkich butach mrowiły.

Zarys pnia pobliskiego wiązu poruszył się. Piet usłyszał kobiecy chichot.

– Ależ ty się lubisz popisywać – odezwała się Bea Guerin.

– To był imponujący skok – dodał wyraźny głos Bena Saltza. – Jestem pod wrażeniem.

Piet wstał i otrząpał ubranie.

– Co wy tu robicie? – spytał.

– Ben chciał mi pokazać, jak przelatuje satelita – powiedziała Bea, której obcesowy ton na dworze zdawał się bezcielesny – w którym on coś zminiaturyzował.

– Malutki podzespół – zaznaczył Ben. – Stworzyła go stara ekipa, wykorzystując jeden lub dwa z moich świetnych pomysłów. Wydawało mi się, że powinien przelatywać jakoś teraz, ale widzieliśmy jedynie spadającą gwiazdę.

– To takie urocze – powiedziała Bea, a nieco oszołomionemu Pietowi ciągle wydawało się, że mówi do niego drzewo, pomimo iż jej jasnoczerwona sukienka rysowała się coraz wyraźniej – to, jak spadała, rozbłyskując niebieskozielonym światłem, niczym zapalona zapalka, a potem całkiem zniknęła. Od dzieciństwa nie widziałam komety.

– To nie była kometa – poprawił ją Ben. – To był meteor, bezwładny kawałek materii, inaczej pył kosmiczny, spalający się przy wejściu w atmosferę. Komety płoną i mają eliptyczne orbity.

– Ben, jesteś wspaniały, na wszystkim się znasz. Prawda, Piet? A teraz opowiedz nam, co takiego robiliście z Foxy?

– Dlaczego z Foxy?

– Widzieliśmy, jak zamyka okno. Ty nie?

– Jesteś pewna, że to była Foxy? Sądziłem, że Angela.

– Jasne, Angela. Oczywiście, że to była Foxy, te jej śliczne włosy w kolorze miodu. Kochaliście się? W łazience?

– O rany, do tego trzeba mieć nerwy ze stali – powiedział Ben. – Nie mówiąc o miękko wyścielanych ciałach. Ja próbowałem na łodzi, ale szczerze mówiąc, to nie w moim stylu.

– Nie bądźcie głupi – powiedział Piet. – Oczywiście, że tego nie robiliśmy. Jesteście groteskowi.

Być może jego gniew sprawi, że ta para zniknie.

– Dlaczego uważasz, że to niemądre? – wykrzyknęła Bea miękko, wznoszącym się płaczliwym tonem, jakim ubolewała nad śmiercią Kennedy'ego. – Wszyscy wiedzą o tobie i Foxy. Twój pikap ciągle stoi pod jej domem. Uważamy, że to miłe.

– Mojego samochodu nie było tam od wielu miesięcy.

– Cóż, mój drogi, Foxy nie była ostatnio w najlepszym stanie do zabaw.

– Wiesz – wtrącił Ben – zastanawiałem się nad tym. Zakazywanie stosunków w czasie ciąży. Podejrzewam, że okaże się to być kolejnym pseudomedycznym przesądem, podobnie jak niehigieniczność karmienia piersią, w co święcie wierzone w latach trzydziestych. To ja namówiłem Irene, by karmiła, i jest mi za to wdzięczna.

– Jesteś wspaniałym mężem, Benie – powiedział Piet – Teraz zmuszasz ją do pracy i znów jest ci wdzięczna.

Bea położyła mu drżącą dłoń na ramieniu.

– Nie odnoś się do niego sarkastycznie tylko dlatego, że sam czujesz się zażenowany. Nie powiemy nikomu, że widzieliśmy, jak skaczesz. Poza Rogerem i Irene.

– W takim razie kogo ja powinienem poinformować o tym, że całowałaś się namiętnie z Benem?

– Możesz powiedzieć jednej osobie – odparła Bea. – Takie są zasady. Ale nie Angeli, bo ona opowie Freddy'emu Thorne'owi i wtedy wszyscy się dowiedzą. Zaraz zamarznę.

Wrócili we trójkę do środka. Doris Day śpiewała *Stardust*. Angela schodziła z góry, wracając z łazienki.

– Gdzie się podziewaliście? – spytała.

– Ben twierdzi, że wyprodukował jedną z gwiazd, ale nie mogliśmy jej odnaleźć – wytłumaczył Piet.

– A dlaczego szukaliście jej pod drzewami? Zastanawiałam się, kto tam gada coś na

dworze; słyszałam was z łazienki.

Zawieszona w połowie schodów, migotała jak zyrandol. Teraz, kiedy bezpiecznie wrócił na przyjęcie, Piet poczuł się dotknięty stwierdzeniem Bei, że Angela mówiła o wszystkim Freddy'emu. Miał ochotę ją o to zapytać.

– Ile już wypijaś? – powiedział zamiast tego.

– Wystarczająco – odparła, schodząc na sam dół.

Rozchylając niewidzialną zasłonę rękoma, przepłynęła obok niego. Piet pospieszył dalej; miał potrzebę zadawania pytań wszystkim kobietom. Nadal czuł w ustach smak mdłego mleka. Foxy gawędziła w kuchni z Janet, która odwróciła się plecami, żeby kochankowie mogli porozmawiać.

– Wszystko w porządku? – spytał zachrypniętym głosem.

– Oczywiście – szepnęła.

– Stałaś tam, uśmiechając się – ciągnął – czy tylko mi się wydawało?

Foxy rozejrzała się wokoło, by upewnić się, że nikt ich nie słyszy.

– Zachowywałeś się jak maniak, to przypominało nieme kino. Chciałam ci powiedzieć, żebyś nie był niemądry i nie narażał życia, ale nie mogliśmy się odzywać. Poza tym najwyraźniej byłeś zachwycony pomysłem skoku.

– Zachwycony! Byłem przerażony, a teraz zaczyna mnie boleć lewe kolano.

– Bałeś się Angeli. Dlaczego? Czy to coś wielkiego, że twój mąż jest w łazience z inną kobietą? To nie koniec świata. Może wpadło mi coś do oka, a ty pomagałeś mi to wydstać.

Piet nie mógł otrząsnąć się z moralnego oburzenia.

– Jestem zszokowany – oznajmił – że cię to śmieszy. Przecież ważyły się losy naszej miłości.

– Próbowałam złapać cię w ostatniej chwili za rękę, ale się puściłeś. – Jej uśmiech stał się sztuczny, brutalny. – Lepiej już nie rozmawiajmy. Freddy Thorne przygląda się nam podejrzliwie, a poza tym zbliża się Harold Mniejszy.

Harold, z ulizanymi włosami, które z tyłu głowy przypominały nastroszone pióra, wpadł do kuchni, robiąc małe zamieszanie.

– Gdybym wierzył we wszechmogącego Jezusa Chrystusa – oznajmił, kontynuując rozmowę, którą rozpoczął gdzie indziej – powiedziałbym, że to kara za zezwolenie na przyparcie do muru jednego z naszych najbardziej oddanych sprzymierzeńców w południowo-wschodniej Azji, żeby zadowolić resztkę ciot, które jeszcze zostały w tym kraju.  
*La gauche efféminée.*

– Haroldzie – powiedziała Foxy matczynym tonem – nie mów tak, bo przypominasz mi kogoś. Kardynała Richelieu. Sądzisz, że uznamy za urocze, jeśli staniesz się prawnikiem. A my uważamy, że jesteś uroczy teraz. Prawda, Piet?

– Haroldzie – spytał Piet – myślałeś już o tym, by poprosić młodą wdowę o rękę? Stanowilibyście z Madame Nhu czarującą parę. Oboje potraficie płomiennie się przemawiać.

– I oboje mówicie po francusku – dodała Foxy.

– Problem polega na tym – oznajmił z nadąsaną miną, ale mile polechtany Harold – że w tym gównianym kraju nie istnieje przyzwoita możliwość niebycia liberałem.

– Spójrz na mnie – powiedział Piet. – Nie jestem liberałem. Spójrz na swoich kolegów maklerów. Oszukują biednych i stręczą dla bogatych. Nie ma w tym niczego liberalnego.

– To idioci. Po francusku *idiots* – oznajmił Pietowi Harold. – Nigdy nie wypuszczasz się poza granice tego sielskiego rajku, więc nie zdajesz sobie sprawy, jacy imbecyle żyją na świecie. Dla nich różnica między posiadaniem buicka i cadillaca jest czymś naprawdę ważnym.

– To zbyt obrzydliwe, bym mógł w to uwierzyć – powiedział Piet i zobaczywszy Carol stojącą samotnie przy ramie harfy, podszedł do niej. – Co takiego naopowiadałaś temu palantowi Freddy'emu?

– Nie wiem – odparła. – Ale jedno ci powiem, Piecie Hanemo. On był jedyną osobą, która nie przestała nas odwiedzać, kiedy wykluczylście mnie i Eddiego z towarzystwa z powodu biednej Irene. Właśnie widzę, jaka jest biedna. Zauważyłeś, że zaraz potem, jak tu przyszli, zabrała Eddiego do kuchni?

– Jesteś piękna. Zatańcz ze mną.

Doris Day śpiewała właśnie *Under a Blanket of Blue*. Plecy Carol pod jego dłonią były zupełnie nagie, chude i giętkie; czuł, z jaką łatwością jego długie, włochate ramiona mogłyby ją objąć w łóżku i ukoić smukłe, nerwowe ciało tancerki. Kciukiem muskał jedną z jej łopatek; wilgotną dłoń opierał na wypukłości kręgosłupa; opuszkami wyszukiwał miękkości, które opadając, umięśniały się, przechodziły w oś świata i falujące gniazdo, które nawet u kruchej kobiety jest duże i silne. Carol płynnie pozwałała unosić się do góry i ocierała się o niego całą powierzchnią ciała. Ciała kobiet są jak elementy układanki, które mogą pasować, lub nie, zależnie od woli właścicielek. Niepostrzeżenie Carol zmieniła nachylenie miednicy i Piet czuł, jakby pieściła jego penis. Ocierała się o niego lekko z boku na bok, pochyliła szyję, żeby mógł zobaczyć jej piersi, dmuchnęła mu w ucho. Muzyka przestała grać. Carol odsunęła się od niego, marszcząc brwi.

– Jesteś okropnym sukinsynem. – Westchnęła i odeszła, naga od karku po pas.

Syrena. Wyślizgnęła się z jego rąk jak kawałek mydła.

Okropny sukinsyn. Kiedy będąc w college'u, wrócił do domu po randce, z zaschniętymi ustami, mokrym rozporkiem oraz palcami pachnącymi cipką i powiedziano mu o wypadku rodziców, jego pierwszą myślą było, że gdyby znajdował się w tym czasie w Grand Rapids, jego obecność zmieniłaby bieg wydarzeń, odwróciłaby okoliczności na tyle, by matka i ojciec pozostali przy życiu. W ten sam sposób czuł się winny śmierci Kennedy'ego, kiedy opowiedział mu o niej Jazinski pośród ciszy, która nastąpiła po wyłączeniu szlifierki.

Tymczasem do Pieta podpłynęła Irene Saltz, z lukami czarnych brwi nad pełnymi łez oczami, błyszczącymi w świetle świec.

– Jesteś szczęśliwa, Irene? – zapytał ją.

– Nadal go kocham, jeśli o to pytasz – odparła.

– Chcesz, żeby się z ciebie śmiano – powiedział Piet. – Tak samo jak ja. Jesteśmy idealnymi kandydatami na kozła ofiarnego.

Z kuchni wyłonił się Freddy z Georgene i Angelą po bokach, trzymając tryumfalnie szynkę, ciepłą, tłustą lśniącą szynkę, ponacinaną i przyozdobioną goździkami. Bea Guerin o wyblakłych włosach, bledszych niż wiatr, związanych luźno w grecki kok, podążała krok za nimi, trzymając miskę wypełnioną sałatą, plasterkami ogórka, awokado, pomidorami i cykorią, polanymi oliwą i posypanymi pietruszką oraz szczypiorkiem. Pochwałom nie było końca. Szczęknęło srebro i Freddy zaczął ostrzyć nóż do krojenia mięsa.

– Cóż ten Cezar jada – ryknął zza pleców zebranej publiczności Frank Appleby – że tak nam wyrósł?

– Kupiłam łososia dla katolików – wyjaśniła Georgene – ale że się nie pojawili, dam go dzieciom na lunch.

Okulary Freddy'ego rzucały tu i tam refleksy, podczas gdy kroił mięso. Był prawdziwym ekspertem: nikt nie potrafił kroić równie cienkich plastrów.

– Bierzcie i jedzcie – zaintonował, kładąc plastry na talerzach, podsuwanych mu przez kobiety. – To jest bowiem ciało jego, które za was będzie wydane.

– Freddy! – zawołała Marcia, mniejsza Smith. – To obrzydliwe.

– Nie sądzicie – odezwała się Bea Guerin czystym, płaczącym głosem, dumna ze swojego zagubienia – że powinniśmy pościć albo coś?

– Pościć albo się pieprzyć – powiedział Freddy Thorne, odkrawając z chirurgiczną precyzją kolejny plaster.

Ken Whitman obserwował ich w milczeniu, stojąc pod ścianą, pod afrykańską maską. Ben

Saltz, ochoczy i przygarbiony, postawił na barze chleb i rzodkiewki. Carol przyniosła dwie butelki burgunda, wyglądającego w świetle świec jak smoła. Piet, któremu podano talerz, zaczął jeść, ale bez śliny w ustach; czuł, jakby parzyły go żarzące się w nich prochy. Nagle jakby postarzały, poszukał sobie krzesła. Kolano jednak go bolało.

Nadal utykając, Piet odwiedził Foxy następnego wtorku, kiedy życie narodowe wróciło do normalnego trybu. Trzy dni wszechobecnej żałoby minęły parom w Tarbox jak w transie; każdy przebiegał według identycznego wzoru. Mężczyźni co wieczór grali w piłkę na polu za domem Applebych, koło Joy Creek, natomiast kobiety z dziećmi siedziały w domu, w bibliotece, oglądając telewizję. W trakcie ciągnących się w nieskończoność nudnych relacji z ceremonii w Waszyngtonie lub analiz przebiegu wydarzeń w Dallas (tuż po powrocie z kościoła Piet z dziewczynkami obejrzał, jak zastrzelono Oswalda; Ruth odwróciła się, spokojnie pytając: „To nie było na niby?”, a Nancy siedziała, ssąc w milczeniu kciuk), niektóre z kobiet wychodziły na dwór, układały się na sianie i obserwowały, jak mężczyźni ganiają z zaczerwienionymi twarzami w tę i z powrotem po wyboistym polu, krzycząc, by podać im piłkę. Ostatnie dni u progu zimy były jesiennie pogodne, przesyczone ciepłem do momentu, kiedy cienie zaczynały szybko się wydłużać. Po zakończeniu gry mężczyźni i dzieci popijali z papierowych kubeczków napój jabłkowy, który ktoś (Whitmanowie, mniejsi Smithowie) przywoził z sadu rosnącego przy drodze na plażę. Potem zaczęli powoli przenosić się do środka, żeby popijać koktajle i siedzieć do późna przed telewizorem, aż dzieci stawały się marudne i robiły nalot na spiżarnię Janet, wyjadając zapasy krakersów, masła orzechowego, rodzynek i jabłek. Kolejne programy i powtórki przesuwaly się na kołowrotku bezsenności: Hajle Sellasje i generał de Gaulle przechadzali się po Pennsylvania Avenue; jedna ze striptizerek Jacka Ruby’ego opowiadała, że szef czasami bywał nieprzyjemny; złośliwie uśmiechnięty Lee Oswald był prowadzony zatłoczonym korytarzem w stronę przyczajonego kapelusza i wykrzywionych kamer. Wdowa i jeden z braci, przechodzący tak blisko kamery, że ich obraz się rozmazywał, pochylali się ukośnie nad bliżej nieokreślonym skrawkiem ziemi i stosem kwiatów. W oddali widniała kopuła oświetlona promieniami południowego słońca. Przy dźwięku werbli trumna załśniła i zniknęła. Dzieci przybiegły z płaczem, dręczone przez towarzyszy zabawy. Jeszcze drinka? Nadszedł czas powrotu do domu, czy może jeszcze nie? Nim zebrali dzieci i wyszli, zapadł wieczór. Wnętrza samochodów w drodze powrotnej gęstniały od niewypowiedzianych pytań, nienazwanych komplikacji związanych z zamordowaniem króla; w żołądkach najmłodszych dzieci trwało trzęsienie ziemi niepokoju, dziwne wewnętrzne ściskanie, ustające jedynie na czas snu. Nadejście wtorku i zajęć w szkole zostało powitane z ulgą.

Piet zaparkował pikapa na podjeździe, na widoku wszystkich. Krzewy bzów przy wejściu do domu Whitmanów nie miały już liści i Piet musiał zmrużyć oczy, stojąc w jaskrawych promieniach słońca. Często zapominamy, że każda pora roku wyróżnia się światłem o zupełnie innym odcieniu: kuchnia o oszronionych oknach, ganek obrośnięty liściastymi krzewami, kredowe wiosenne popołudnia, pierwsze chłody po opadnięciu liści, bezbarwnie przejrzyste. Październikowy oranż odpłynął z moczarów, które rozciągały się buro aż po odległy piaszczysty brzeg. Trwał odpływ; morze wypełniało szersze kanały jak płynne żeliwo. Foxy otworzyła po drugim dzwonku.

Wyglądała delikatnie, jak po przebytej chorobie albo jak gdyby przed chwilą wzięła wyjątkowo gorącą kąpiel.

- Ach, to ty. Wspaniale.
- Tak? Jesteś sama? Przyjechałem zobaczyć dziecko.
- A mnie nie?

Kiedy jednak znaleźli się w środku, na dywaniku w korytarzu, objął ją i przytulił, jakby w ogóle nie było żadnego dziecka, jak gdyby poza nimi na tej upadłej, neurodzajnej ziemi nie



pozostał nikt żywy. Pod grubą koszulą, którą wkładała w domu, pomiędzy uniesionymi piersiami i szczupłą miednicą, w miejscu nabrzmiałego brzucha znajdowało się bezbronne zagłębienie. Z salonu dało się słyszeć nosowy rozżalony dźwięk, bardziej przypominający skrobanie do drzwi w palącej potrzebie niż płacz. Foxy wczepiła się w Pieta, jak gdyby miała zacząć szlochać, a on w zamyśleniu wtulił głowę w jej włosy i pocałował ją z boku w szyję. Wtedy jej język i palce, uwolnione od nieśmiałości wywołanej długim rozstaniem, próbowały z drżeniem schwytać go, ale niewidome jak pszczoły w wypełnionym dymem pomieszczeniu dotykały absurdalnych miejsc – nieogolonego podbródka, brzęczących kieszeni, oka, które ledwie zdążył zamknąć na czas, podatnej na laskotki pachy, której nawet jej żarliwość nie zdołała odsłonić.

– Dziecko płacze – powiedział.

Razem przeszli do salonu, gdzie w wiklinowym łóżeczku leżał dzidzius. Otulała go perłowa cisza, a okna, otwierające się na pokryte szronem moczary, stanowiły ramy obrazu wnętrza, rozświetlonego magiczną latarnią skupioną na czystej duszy dziecka.

– Chcesz go potrzymać? – spytała Foxy, wyjmując dzidziusia z łóżeczka i bezceremonialnie podając go Pietowi.

Piet podłożył dłonie pod przekazany mu niestabilny ciężar i pozwolił się zadziwić tym, o czym zdążył już zapomnieć – wąskimi pośladkami i rozpaloną, fioletoworóżową główką. Dziecko spoglądało na niego przez moment badawczo surowymi, dużymi oczami w kolorze bazaltu. Potem jego tęczęwki skrzyżowały się, a mięśnie na czole powiększyły, jak elastyczne dźwigienki, ściągając brwi w dół. Niemowlę zaczęło płakać. Obawiając się, że zagrozi ich tajemnicy, Piet zwrócił dziecko Foxy, która zakołysała nim przy piersi szorstkim ruchem.

– Jak ma na imię? – spytał Piet.

– Nie wiesz?

– Angela mi mówiła, ale zapomniałem. Wydało mi się staroświeckie. Jak na taką nowoczesną parę.

– Tobias.

– To nie imię kota?

– Kot nazywa się Cotton. Tobias był dziadkiem Kena.

– Dlaczego nie nazwaliście go na cześć ojca Kena?

– Ken najwyraźniej go nie lubi.

– Sądziłem, że to wzorowy ojciec, ten idealny prawnik z Hartford.

– To prawda. Ale Ken się uparł, aż byłam zdziwiona.

– Potrafi zgotować od czasu do czasu niespodziankę, nieprawdaż? Fascynujący z niego facet.

– Dlaczego tak mi go zachwalasz?

– Dlaczego tak lawirujemy? – spytał Piet.

– Nie wiem – powiedziała Foxy. – Dziecko wytrąciło cię z równowagi.

– Uwielbiam je. Uwielbiam cię jako matkę.

– Ale jako kochankę już nie?

Poczuł w żołądku skurcz wstydu.

– Nie jesteś chyba jeszcze gotowa?

– Będę mogła się znów kochać dopiero za dwa tygodnie, ale myślę, że nie zaszkodziłoby, gdybyś okazał mi odrobinę uczucia. Czemu jesteś taki oziębły?

– Ja oziębły?

Jak mógł jej wytłumaczyć, że zastał kompletną ciszę, suche bagna wypełniające okna, spokojny pokój, który sam skonstruował, z otynkowanymi ścianami osłaniającymi jak kwef; że dziecko otacza perłowa aura, a ona sama emanuje beznamiętnym wdziękiem, jak gdyby brakowało jej snu i szacunku dla siebie; że przesądnie boi się skazić czarującą atmosferę, przepełnioną niewinnością?

– Zastanawiam się – wyznał – czy mam jeszcze powody, żeby tutaj być.

– Czemu nie? A jakie powody miałeś wcześniej? Nie byłem twoją żoną. Przychodziłeś tutaj na pozamałżeńskie pieprzenie i to było w porządku, dawałam ci je, uwielbiałam to robić. A teraz? Jestem nieczysta, bo urodziłam dziecko.

Piet czuł, że te twarde słowa sprawiają Foxy przyjemność, że stanowią pretekst do wskrzeszenia czegoś z głębin jej doświadczenia. Stała na szeroko rozstawionych nogach, pochyłona nieco w pasie, trzymając na rękach Tobiasa, ale jakby nieświadoma jego obecności. Jej uniesiony głos ukołysał niemowlę do snu. Piet był zachwycony macierzyńską niezdarnością Foxy, naturalną pewnością, że potrafi obchodzić się ze swoim dzieckiem.

– Jak możesz mnie jeszcze chcieć? spytał. – Teraz masz to cudowne zawiniątko. Masz Kena, który ci je dał.

– Tobias mu się nie podoba. Ken nie lubi naszego dziecka.

– To niemożliwe.

Foxy zaczęła płakać. Jej włosy, matowe w popołudniowym świetle, zwieszały się nad niemowlęciem.

– Boi się go – wyrzuciła z siebie. – Boi się mnie. Zawsze się mnie bał. Nie winię go, jestem beznadziejna, Piet.

– Co za bzdury. – Ściskanie w żołądku przekształciło się w okropny ciężar; Piet nie miał innego wyjścia jak podejść do niej, objąć ją wraz z dzieckiem i powiedzieć: – Jesteś śliczna.

Nie mogła przestać łkać. Położenie, w jakim się znalazła, fakt, że Piet ustąpił i ją objął, rozżłościły ją tylko bardziej.

– Nie lubisz ze mną rozmawiać?

– Pewnie, że lubię.

– Ani trochę nie lubisz ze mną rozmawiać? Nigdy nie masz ochoty zrobić ze mną czegoś poza pójściem do łóżka? Nie możesz poczekać jeszcze kilka tygodni, żeby mnie mieć?

– Proszę, Fox. Nie bądź niemądra.

– Nie chciałam, żeby podawali mi eter, bo bałam się, że wykrzyknę twoje imię. Chodzę po domu, mówiąc „Piet, Piet” do mojego niewinnego dziecka. Zawlokłam biednego Kena na to obrzydliwe przyjęcie, żeby cię zobaczyć, a ty wolałeś zaryzykować śmierć niż zostać nakryty ze mną w łazience.

– Przesadzasz. Ryzyko było niewielkie. Poza tym zrobiłem to także, by chronić ciebie.

– Do tej pory utykasz.

– To przez mecz.

– Oj, Piet. Zaczynam zrzędzić. Nie zostawiaj mnie jeszcze tak całkiem. Jesteś jedyną prawdziwą rzeczą, jaką mam. Ken jest nierzeczywisty. Moczary są nierzeczywiste. Ja istnieję tylko po to, żeby utrzymywać dziecko przy życiu, tylko po to tu jestem i strasznie mnie to wkurza.

– Nie wkurzaj się – poprosił ją.

Ale sam był wzburzony, że jest poddawany presji, obarczany problemem; nie chciało mu się nawet tłumaczyć, że dalsze spotkania byłyby dla nich czymś złym, tym bardziej że wcześniej były czymś dobrym. Zostali wpuszczeni do boskiej sali zabaw i przez całe popołudnie bawili się razem na podłodze, ale teraz nadszedł czas, żeby schować klocki do pudeł i odstawić krzesła pod ścianę.

Ken wrócił z pracy, wyglądając na bardziej zmęczonego niż kiedykolwiek od czasów studiów doktoranckich. Przyniósł ze sobą zwój wydrukowanych na powielaczu arkuszy i rzucił je na stolik w korytarzu.

– Nastąpił przełom w badaniach nad fotosyntezą – poinformował Foxy. – Wpadli na coś, co ma związek z ferredoksyną, zdaje się, że to punkt przemiany zachodzący między reakcjami światła i ciemności.

- Co to jest ferredoksyna?
- Białko. Przenośnik elektronów z bardzo niskim potencjałem reakcji.
- I kto na to wpadł?

Ken prawie nigdy nie rozmawiał z nią na temat pracy, więc Foxy zależało, by sensownie reagować. Oczekując powrotu męża, przebrała się w elegancką, żółtą sukienkę koktajlową. Tobiasz skończył właśnie sześć tygodni.

– Ech – westchnął Ken. – Dwóch Japońców. Tak naprawdę to świetni naukowcy. Lepsi niż ja. Mam dosyć.

Opadł na skórzany fotel, który wnosili i znosili po schodach budynków mieszkalnych w całym Cambridge. Czując, że ich życie ucieka do tyłu, spanikowała.

– Pozwól mi spojrzeć – powiedziała i poszła do holu, zaniepokojona, stanowcza żona, mająca zamiar udowodnić mężowi, że się myli.

Broszura była zatytułowana *Neurofizjologiczne mechanizmy stanowiące podłoże zachowania: emocje i ciało migdałowe*. Pod spodem widniało *Eksperymentalna fenylketonuria: farmakogenetyka drgawek u myszy*. Dalej już nie patrzyła.

*Do naszych sobowtórów z Tarbox, „mniejszych” Smithów*

*Kolejne święta Bożego Narodzenia znajdują nas w dobrym zdrowiu i pomyślności, choć oczywiście zasmuconych tragicznymi i wstrząsającymi wydarzeniami listopada. Człowiek prawdziwie „nie znaczy więcej niż trawa”. Inny rodzaj smutku zapanował w naszym domu, kiedy obserwowaliśmy, jak młody Tim, nad wiek rozwinięty, ukochany synek, wyrusza, by rozpocząć naukę w szkole Świętego Marka. „Młody mężczyzna” spędza weekendy w domu, ale to dla nas szczęście, że będziemy mieć go znów pod dachem w trakcie świąt (nawet jeśli – ku konsternacji naszych narządów słuchu – zaczął grać na gitarze elektrycznej). Tymczasem Pat, Audrey i Gracelyn z powodzeniem kontynuują naukę w świetnych szkołach publicznych w Newton. Pat została nawet wyróżniona (odgłos, który słyszycie, to odpadające nam z dumy guziki).*

– Boże – powiedziała Marcia. – Jak bezceremonialnie piszą o biednym Kennedym, żeby oznajmić nam, że stać ich na posłanie dziecka do Świętego Marka.

– Ku konsternacji naszych narządów słuchu – rzuciła Janet i obie dostały napadu niepojętego śmiechu.

Przedświąteczne wieczory w centrum Tarbox są mroczne i ekscytujące: gwiazdy z folii aluminiowej i wieńce wiszące swobodnie na drutach wydają przenikliwy dźwięk; w blaszanej budce klęczą postacie przy żłóbku, dzieci wracają ze szkoły w ciemnościach, piszcząc; ludzie robiący zakupy późnym wieczorem spieszą ze spuszczoneymi głowami, jak gdyby załatwiali nielegalne interesy i bali się, że ktoś ich rozpozna; sklepy żelazne, Woolworth's i Western Auto nie śpią, mają witryny szeroko otwarte – niemogące powstrzymać się przed ziewaniem drzwi i okna. W tym roku flagi miejskie spuszczone do połowy masztu, a niektóre sklepy – stary jubiler i szwedzka piekarnia – nie przygotowały bożonarodzeniowych dekoracji. Piet wybrał się z córkami do zalanego światłem i bezwstydnie rozbrzmiewającego głośnymi kolędami taniego sklepu wielobranżowego, by znaleźć prezent dla Angeli. Przy stoisku ze świecami natknął się na Beę Guerin. Na widok jej małej, pochylonej w zamyśleniu głowy i lśniących, prostych włosów serce zaczęło mu szybciej bić, a ręce, zwisające bezwładnie, ścięły. Odwróciła się i zauważyła go; jej zwykły uśmiech stęzał, kiedy zdała sobie sprawę, jak bardzo Piet ucieszył się na jej widok.

Ruth i Nancy ruszyły dalej niezdecydowane, wzdłuż półek z rzeczami kuchennymi. Ich twarze w potokach jaskrawego światła zdawały się przybrudzone; dzieci wyglądały na zagubione sierotki, rozemocjonowane widokiem bezładnej masy śmieci. Ich głupie emocje sklepowe doprowadzały Pieta do rozpacz. Pozwolił córeczkom maszerować wzdłuż półek,

wiedząc, że w końcu zdecydują się na komplet ślicznych ręczników kuchennych w geometryczne wzory i temperówkę z czerwoną rączką, która z pewnością zostanie zgubiona przed Nowym Rokiem.

Nieposiadająca dzieci Bea wyglądała zadziwiająco młodo, wręcz dziewiczo. Miała na sobie zielony, wełniany płaszcz i zamszowe botki w podobnym odcieniu, w których przypominała elfa. Trzymała pudełko długich, żółtych świec. Wyglądała nie tylko na osobę młodą, ale też niezależną, jak psotna oszustka rozważająca kradzież. Piet podszedł do niej ostrożnie.

– Świece? – spytał trochę oskarżycielsko.

– Roger je lubi – odparła. – Dla mnie to coś upiornego. Boję się ognia.

– Bo mieszkacie w drewnianym domu? Wszyscy w nich mieszkamy.

– On lubi nawet mieć prawdziwe świeczki na choince, bo taka była tradycja w jego domu.

Stary z niego piernik.

Pośród klaustrofobicznej jasności jej uniesiona twarz była poważna, napięta, niezbyt ładna i przestraszona. Spięte z tyłu włosy naciągnęły błyszczącą skórę na jej czole. W domu rodziców Pieta wisiały na ścianach reprodukcje holenderskich obrazów przedstawiające dziewczyny o takich właśnie wysokich, lśniących czołach.

– Jeśli chodzi o twój dom...

Wróciła Nancy i niezadowolona pociągnęła go za kciuk dłonią lepką od słodyczy.

– Tatusiu, chodź zobaczyć.

– Za sekundę, kochanie.

– Chodź teraz. Ruthie mi dokuczają, nie pozwalają mi nic powiedzieć.

Twarz Nancy był okrągła jak ciastko, cała w piegach.

– Za chwilę do was przyjdę. – Piet westchnął. – Wracaj do Ruthie i powiedz jej, że ma przestać się mądrzyć. Każda z was ma znaleźć własny prezent dla mamusi. Może wybierzesz jakieś ładne ręczniki kuchenne?

Nancy posłuchała go niechętnie i ruszyła, by odszukać siostrę.

– Biedne dziecko – powiedział Piet do Bei. – Już dawno powinna spać. Boże Narodzenie to okropna rzecz.

Nie mając własnych dzieci, Bea nie zdawała sobie sprawy z ich władzy i spojrzała na Pieta, podziwiając jego cierpliwość, kiedy on tak naprawdę zlekceważył prośbę zmęczonej córki.

– Jeśli chodzi o mój dom...? – przypomniała mu.

– Tak – powiedział Piet i poczuł, że się rumieni, robi się całkiem czerwony w powodzi plastikowego blasku. – Zastanawiałem się, czy nie miałabyś nic przeciwko, żebym któregoś poranka lub popołudnia wpadł rzucić okiem na wynik prac remontowych, które przeprowadzałem u was cztery lata temu? Zrobiłem eksperyment z zawieszeniem belki nośnej na tężniku na strychu i chciałem zobaczyć, jak się trzyma. Tynk w żadnym miejscu nie popękał?

Coś z boku jego nosa, jakaś bezlitośnie oświetlona niedoskonałość, przykuła jej wzrok.

– Nie zauważyłam żadnych pęknięć – powiedziała powoli – ale oczywiście możesz wpaść i sam sprawdzić.

– Chciałabyś, żebym to zrobił?

Twarz Bei, z opuchniętymi powiekami, prawie całkowicie pozbawionymi rzęs i nieco skośnie przykrywającymi jej oczy, stała się jeszcze bardziej infantylna, jak u ogarniętego świąteczną łapczywością dziecka, jeszcze niepewnego i podejrzliwie traktującego prezenty.

– Kiedyś o tym mówiłaś – przypomniał jej.

– Nie, oczywiście, że bym chciała. Chodzi o to – szukała właściwych słów, a jej oczy, jaśniejsze niż Anieli, spojrzały na niego – że to w końcu tylko dom.

– Wiem, że to dom. Uroczy. Powiedz, kiedy mógłbym wpaść?

– Dzisiaj jest czwartek. Może po weekendzie. W poniedziałek?  
– Wolałbym we wtorek. W poniedziałki nadrabiam zaległości w pracy. Koło dziesiątej?  
– Nie wcześniej. Nie wiem, co ze mną jest nie tak, ale nie potrafię już szybko się ubrać rano.

– Tatusiu, ona się zachowuje jak głupia beksa, a ja się wcale nie mądrzę.

Ruth podbiegła do nich, ciągnąc za sobą płaczącą Nancy, i wstrząśnięty Piet zobaczył, że jego starsza córka, choć jeszcze nie tak wysoka jak Bea, jest podobnej postury. Porzuciła swą dziecianną naturę. Jej ojciec patrzył gdzie indziej. W nazbyt jaskrawym świetle ujrzał jej rozpaloną twarz, należącą jeszcze do dziecka, ale mającą już w sobie coś mglistego, pilnie strzeżoną kobiecość.

– Kim ona jest? – spytała Foxy podczas imprezy sylwestrowej wydanej przez Hanemów.

– O kim mówisz?

Tańczyli razem w schludnym kolonialnym salonie, który był za mały na tak dużą imprezę. Odsuwając stoły i krzesła, Frank Appleby i Eddie Constantine porysowali biało-żółtą drewnianą podłogę. Stare sosnowe deski skrzywiały pod niecodziennym ciężarem kołyszących się par i Piet obawiał się, że w pewnym momencie wszyscy wpadną do piwnicy. Wydanie przyjęcia było bardziej pomysłem Angeli niż jego. Ostatnimi czasy jego żona, która poprzednio zachowywała się wobec znajomych z rezerwą, zdawała się coraz lepiej czuć w ich towarzystwie. Przekonała nawet biedną Bernadettę Ong, żeby wpadła sama. John nadal leżał w szpitalu.

– Kobieta, która zajęła moje miejsce – powiedziała Foxy. – Twoja obecna kochanka.

– Najśłodsza Foxy, ja nie mam żadnej kochanki.

– Daj spokój. Przecież cię znam. Chyba że teraz Angela stała się przebojem sezonu.

– Rzeczywiście, jest ostatnio przyjemniejsza. Sądziś, że ma kochankę?

– Możliwe, ale nie interesuje mnie to. Jediną osobą w Tarbox, która mnie interesuje, jesteś ty. Dlaczego przestałeś do mnie dzwonić?

– Były święta. Dzieci nie chodziły do szkoły.

– Nie wciskaj mi kitu. Latem nie martwiłeś się dziećmi.

– Teraz pojawiło się jeszcze jedno – Obawiał się, że ją zranił, potraktował zbyt ostro. Poklepał Foxy po sztywnych plecach i powiedział żartobliwie: – Naprawdę nie lubisz nikogo spośród naszych przyjaciół? Kiedyś uwielbiałaś Angelę.

– Tak było, nim zakochałam się w tobie. Teraz jej nie znoszę. Dlaczego należysz do niej? Nie daje ci przecież szczęścia.

– Twarda z ciebie kobieta.

– Tak.

Spuściła skromnie wzrok i tańczyła dalej. Jej ciało, łagodnie płaskie i trochę sztywne, należało jakby do niego. Była to własność trudna do wycenienia, od kiedy zniknęła cudowna wypukłość, wielki klejnot jej brzucha.

– Uważam, że powinniśmy porozmawiać – powiedział w końcu. – Miło byłoby się z tobą zobaczyć.

Zdrada goni zdradę. Wygodne kłamstwa wznoszące się jak rusztowanie.

– Ciągłe siedzę w domu.

– Ken wraca w poniedziałek do pracy?

– On nigdy nie przestaje pracować. Jeździł do Bostonu w każdy wolny dzień oprócz Bożego Narodzenia.

– Może spotyka się z jakąś kobietą.

– Chciałabym, żeby tak było. Zaszłyłam na to. Ale obawiam się, że spotyka się z komórkami. Skromnie zaczyna.

Piet się roześmiał i nie przyciskając jej mocniej, naprężył mięśnie w ramionach, żeby

poczuła, jak ją obejmuje. Jeśli miał jakąś słabość, to do kobiecego zmysłu ironii.

– Marzę o tym, żeby się z tobą zobaczyć – powiedział. – Ale boję się, że się rozczarujesz. Nie spodziewaj się zbyt wiele. Po prostu pogadamy.

– Oczywiście, cóż innego moglibyśmy robić? Nie możesz przecież przelecieć młodej matki.

– Wydaje mi się, że sprawia ci przyjemność mylne interpretowanie mojego zachowania. Kocham twój dzidziusia.

– Nie wątpię. To mnie już nie kochasz.

– To nieprawda. Kocham cię aż za bardzo. Tak głęboko w ciebie wpadłem, tak mocno cię kochałem, że boję się do tego wracać. Uważam, że dano nam tylko jedną szansę i powrót byłby kuszeniem losu. Zużyliśmy swój zapas szczęścia. Robię to, ponieważ cię kocham, ponieważ nie chcę twojej krzywdy.

– W porządku, lepiej już się zamknij. Freddy i Georgene nas obserwują.

Piosenka śpiewana przez Delię Reese ucichła. Piet z ulgą odsunął się od Foxy, chociaż kiedy tak stała opuszczona, w szerokiej sukience do kolan w mlecznozielonym odcieniu ciętych łądek kwiatowych, naprawdę wyglądała jak niezdarna, porządna dziewczyna z Marylandu, młoda i długonoga, którą mu opisywała i w której istnienie nie był w stanie uwierzyć.

Z kuchni doszedł go czysty, zawodzący głos Bei, wznoszący się i opadający wraz z jakąś anegdotą, przywołujący go. Ale w wąskim korytarzu napotkał przeszkodę w postaci szerokich ramion Bernadette Ong.

– Piet – odezwała się melancholijnym głosem – kiedy w końcu ze mną zatańczysz?

– Bernadette – odparł z powagą – jak się miewa John? Kiedy wraca do domu?

Była wstawiona; zrobiła krok do przodu, objając się o niego miednicą. Jej oddech miał zapach brzozy.

– Kto wie? Lekarze nie potrafią dojść w tej kwestii do niczego. Jeden mówi, że niedługo, drugi, że być może. Wydatki pokrywa rządowe ubezpieczenie, więc mogą go tam trzymać całą wieczność.

– Jak on się czuje?

– Wszystko mu jedno. Ma swoje książki. Teraz rozmawia z Cambridge przez telefon.

– To chyba dobra wiadomość? – Piet zaczął wycofywać się w kierunku schodów.

Bernadette zrobiła kolejny krok do przodu, nie pozwalając mu sięgnąć balustrady.

– Może tak, może nie. Nie chcę go w domu w takim stanie jak poprzednio. Cała noc walki o oddech. Śmiertelnie przerażał chłopców.

– Jezu, tak to właśnie wyglądało?

Owinięta w jedwab Bernadette, z zabawkowym złotym krzyżem między piersiami, usłyszała, że w salonie ktoś włączył szybką muzykę i rozchyliła ramiona. Piet zobaczył w niej jej umierającego męża jak larwę w kokonie. Nerwowym, akrobatycznym ruchem prześlizgnął się bokiem i wszedł na schody.

– Za sekundę zejść – zapewnił i niepotrzebnie skłamał, bo być może pomyślała, że musi skorzystać z toalety. – Wydawało mi się, że słyszę płacz dziecka.

Na górze, wierny kłamstwu, odwrócił się od drzwi rozświetlonej łazienki i ruszył w kierunku oddychającej ciemności, gdzie spały jego córki. Na dole było słychać na zmianę głosy Bei i Angeli, które czasami się zlewały. Żona i kochanka. W łóżku Bea go oczarowała. Miała słodkawą, ziarnistą skórę, zimne stopy, a uścisk jej pochwy był płynny i mocny; ukryta szczelina otwierająca się na ogromną przestrzeń, gdzie jego tryskające nasienie natychmiast zniknęło. Z zamkniętymi, opuchniętymi powiekami ssła łapczywie jego palce, podwójnie penetrowana. Zdawała się unosić nad łóżkiem z rozkoszą, prawie niezależnie od jego przyjść i odejść, co stanowiło jeszcze większe wyzwanie; w końcu wyznała, że robi jej krzywdę, i lekko pociągnęła go za ucho, dziękując. Była jego najmniejszą, najbardziej bierną i najmniej

chętną do rozmowy czy zadawania pytań kobietą, wijącą się w złowrogich spazmach. Piet czuł, że on sam jest odpowiedzią na wszystko. Kiedy nadchodził czas jego odejścia, owijała się szybko w szlafrok, ukazując na moment piersi i pośladki zwisające jak płyn w nazbyt cienkiej skórze. Ektoplazma.

Przykucnął w miejscu, gdzie krzyżowały się oddechy jego śpiących córek. Ten należący do Nancy był wilgotny i ledwie słyszalny. Z łatwością mógł przemienić się w ciszę. Delikatna siatka wirujących atomów. Chomik w niebiańskim kołowrotku. Tam. On. Jest. Oddech Ruth był głębszy, za każdym razem wracał z nową siłą, prawie jak u dorosłego. Zmiana kursu statku, w górę rzeki. Pełną parą. Wkrótce chłopcy. Dowcipy w ubikacji, Nancy Drew, próby narysowania piersi: nastolatki. Kiedy przygotowywała się do roli niewidomej Helen Keller do szkolnego przedstawienia, przedzierała się przez jasny dom w opasce na oczy i nie byli w stanie namówić jej, żeby ją zdjęła. Bała się. Ale trzeba wykonać zadanie. Taka dzielna w chórze, wynudzona. Oddech Ruth uległ zaburzeniu, podwoił szybkość. Sen. Jego odejście. Przykucnął niżej między łózkami i ścisnął wilgotną, prostokątną dłoń. Zaczęła oddychać spokojniej. Obróciła głowę. Śpiąca królowa. Zatrute jabłko. Jestem twoim jedynym kochankiem. Ci, co za mną podążają, są moimi naśladowcami. Cienie. Sen. Muzyka na dole przestała grać. Nikt jeszcze nie nauczył się nowego tańca, byli na to za starzy. Oddech Nancy był prawie niesłyszalny. Tymczasem najłagodniejsza z istot zapukała do okna o poprzedzielanych krzyżami szybami. Śnieg. Kilka suchych płatków, zamieć. Pierwszy, nieśmiały objaw zimy. Szklarnia przy domu zakopana w śniegu. Przepęłniło go nieco stare uczucie szczęścia, radość z przebywania w prostokątnym pomieszczeniu, z bycia żywym wśród rosnących kwiatów, razem uwięzieni, jego matka na drugim końcu, wiążąca kokardki zręcznymi palcami, ferie zimowe, można odpocząć w spokoju.

W oddali dało się słyszeć wystrzał. Piętro niżej jego przyjaciele zaczęli śpiewać *Auld Lang Syne*. Pomimo iż jego miejsce jako gospodarza było między nimi, Piet pozostał tam, gdzie był, przykucnięty nad wznoszącymi się głosami, aż opadły, i znów mógł wyłowić z ciszy cieniutką nić oddechu Nancy i szept cichego świadka – śniegu.

Wizyta u Foxy była rozczarowaniem. Pojawił się u niej pewnego wietrznego, sprzyjającego bólowi uszu zimowego poniedziałku; pikap grzechotał wściekle, kiedy jechał prowadzącą na plażę drogą; poprzez zakłócenia usłyszał w radiu wiadomość, że papież Paweł omal nie został stratowany w Jerozolimie. Dom był zimny; Foxy miała na sobie graby sweter, flanelową koszulę i futrzane kapcie. Ruszała się i mówiła energicznie, jak gdyby nie chcąc tracić ciepła. Złośliwe moczary, pozwalające, by wiatr przedostawał się przez ściany, które on zbudował dla Foxy, były całe w smugach szarych, słonych brył lodu, okalających kanały. Woda marszczyła się do wiatru.

- Chcesz gorącej kawy? – spytała.
- Tak, poproszę.
- Strasznie mi zimno, tobie nie?
- Podkręciliście termostat?
- Piec jest włączony bez przerwy. Nie słyszysz, jak wyje? Boję się, że niedługo wybuchnie.
- Nie wybuchnie.
- Znajomy Kena, który wybudował dom na Cape Cod, uważa, że zrobiliśmy coś głupiego, nie wykopując całej piwnicy pod salonem.
- Wydalibyście na to co najmniej kolejne dwa tysiące.
- Byłoby warto. Pomyśl, ile benzyny spalam, jeżdżąc po Tarbox i odwiedzając ludzi, żeby się ogrzać. Jednego dnia u Janet, innego u Carol. Znam już wszystkie brudy.
- Na przykład?
- Nie ma tego wiele. Chyba jesteśmy już trochę zmęczeni. Janet szczegółowo wypytała

mnie o dzieciństwo Kena, a Carol uważa, że spotykasz się z Beą Guerin.

– To miło z jej strony.

– Wejść do kuchni na kawę. Tam nie jest tak źle.

– Zastanawiam się, czy nie pomogłyby zimowe okna w drewnianych ramach od strony wody. Są solidniejsze niż te z mieszanki z aluminium. A może po prostu zakryć je deskami, które tu były poprzednio?

– Co by się stało z krajobrazem Angeli?

Jej żart przypominał mu o czasach, kiedy leżąc w jego ramionach, podkreślała swoją podwójną kradzież: mężczyzny Angeli i domu Angeli. Weszli do cieplejszej kuchni, gdzie Whitmanowie na powrót wstawili grzejnik elektryczny.

– Śmiałyś się, widząc mnie w nocy z Kenem u jednego boku i Tobym u drugiego. Tylko dlatego nie marznę.

Zdawał sobie sprawę, że powiedziała to, by wzbudzić w nim zazdrość, ale rzeczywiście ją poczuł, wyobrażając sobie Foxy pogrążoną we śnie między mężem i synem, z rozpostartymi jak wachlarz w blasku księżyca włosami, łączącymi całą trójkę.

– Jak się miewa młody panicz? – spytał, wiedząc, że drażni ją jego zainteresowanie dzieckiem.

– Rośnie jak na drożdżach. Ma dopiero dwa miesiące i już przypomina ojca Kena. Ten sam sędziowski grymas.

– Dwa miesiące – powtórzył Piet.

Miał na sobie obuwie robocze i koszulę w kratę oraz morelową wiatrówkę. Foxy podała mu filiżankę z kawą, bez spodka, jak gdyby był zwykłym robotnikiem. Piet nie wiedział, co powiedzieć, czuł się jak prostak, a jej duże piwne oczy wydawały mu się denerwująco czujne. Nasłuchuje telefonu. Czyżby inny kochanek? Oczywiście, że nie, dopiero co urodziła dziecko. Matka w swoim legowisku.

Przyglądała mu się w skupieniu. W ostrym zimowym świetle było widać niewielki jęczmień, zaburzający linię jej lewej powieki.

– Dwa miesiące to więcej niż sześć tygodni – powiedziała.

Piet usiłował rozszyfrować znaczenie sześciu tygodni.

– Wspaniale. Ale... masz ochotę? Ze mną, znaczy się.

– Oczywiście, że mam. Kocham cię. To oczywiste. Ale czy powinniśmy? Znowu wszystko zaczynać. Szczerze mówiąc, boję się tego. Czy nie spłaciliśmy długu wobec społeczeństwa? Już raz się namęczyłam, żeby dojść do siebie, kiedy mnie zostawiłeś.

Obawiał się, że się z nim droczy, ale Foxy poważnie pokiwała głową. Jej włosy nie były całkowicie blond, jak u Bei, mieniły się różnymi odcieniami – dębowym, miodowym, popielatym, a nawet bursztynowym – które ściemniały wraz z nadejściem zimy. Podniosła głowę. Pod jedną z dziurek od nosa miała różową opryszczkę.

– Przerażam cię?

– Ty nie. To. Byłoby to teraz czymś bardzo złym.

– W porządku, w takim razie idź. Idź już. Dzięki za wszystko. Fajnie było.

– Nie bądź taka surowa.

Czekając, aż zacznie płakać, Piet poczuł, że jego oczy stają się ciepłe. Scena musi zostać odegrana.

Foxy weszła w rolę kobiety szlachetnej i wyniosłej.

– Nie wiem, w jaki sposób powinna zachowywać się porzucona kochanka. W Radcliffe nas tego nie uczyli. Może zapisywałam się na nieodpowiednie kursy. Jestem pewna, że następnym razem lepiej mi pójdzie.

– Nie rób tego – poprosił.

Z jej oczu strzelały błyskawice i Piet skulił się, robiąc uniki przed skierowanymi w niego ciosami.



– Czego mam nie robić? – spytała. – Mam nie robić scen? Nie zachowywać się jak jędrza? W końcu biedny budowlaniec tylko wszedł do mojego domu, oczarował mnie, aż mi spadły spodnie, i pozwolił mi się w sobie zakochać. Nie przy dziecku. Nie naprzykrzaj się. Nie zrobisz tego, kochany Piecie, nie bój się. Idź już, cholerny dupku. Wracaj do Bei. Wracaj do Georgene. Wracaj aż do Angeli. Nic mnie to nie obchodzi.

W jej oczach nie pojawiły się łzy. Musi zrobić coś, cokolwiek, żeby zdusić te lodowate spojrzenia, które go unicestwiały.

– Nie możemy się położyć razem na chwilę?

– Ech – zachnęła się, ale sweter i ciężka koszula nie wykonały żadnego ruchu, mimo wspomnień letniego wydymania i trzepotania, a kuchenne sprzęty, piec, piekarnik, zlewki okna nie zmieniły kształtu, jak niewzruszeni sędziowie. – Dasz mi jeszcze jedną szansę, w ramach przysługi. Nie jestem w aż takiej potrzebie.

Ale siła jej spojrzenia załamała się, doprowadził ją do łez. Głos Pieta wypełnił się ciepłem i mądrością, głęboko sięgając w pokłady mroku, które przebywali razem z Foxy.

– Chcę wymasować ci plecy i dowiedzieć się czegoś więcej o dziecku.

Wygładziła skórę pod oczami.

– Chyba masz rację co do nas – wyznała. – Po prostu wolałabym, żeby to nastąpiło niezauważalnie.

To był najlaskawszy spośród jej darów – wyzwolenie. Wiedział, że za godzinę będzie wolny, z czystym sumieniem.

– Pójdziemy na górę? – spytał. – Będziemy musieli się czymś przykryć.

– Trzeba zostawić otwarte drzwi, żebyś słyszała dziecko – powiedziała. – Śpi w swoim pokoiku.

Piet ucieszył się, że rezygnacja z niego łączyła się z troską o dziecko. Piętro wyżej panował jeszcze większy chłód. Foxy nie zdjęła wełnianej koszuli, a on bielizny; masował jej gładkie plecy i pośladki, aż zdawało się, że zasnęła. Ale kiedy przestał, obróciła się na plecy, żeby go widzieć, i sięgnęła ręką w dół, do jego bokserek, by go dotknąć.

– Chciałbyś we mnie wejść? – spytała, jak gdyby obawiała się, że się nie zgodzi.

– Ogromnie.

– Delikatnie.

Dziecko spowodowało, że stała się szersza; dziewczęce napięcie zniknęło. Chciał całować jej piersi, pomimo iż wydzielaly niepokojący, nieświeży zapach mleka, ale odepchnęła jego twarz. Musi oszczędzać się dla dziecka. Długie ciało pod nim było przyjazne, sztywne i męskie. W głowie Pieta pojawiały się obrazy drewna, cierpliwych, jasnych powierzchni, czekających na oszlifowanie, misternych spoin, wykończonych wata stalową i natłuszczonych, zaokrąglonych bali z czopami, solidnych, a jednocześnie miękkich, jakby żywych.

Nagle na łóżko upadło coś ciężkiego. Serce Pieta podskoczyło do gardła. Policzek Foxy, przytulony do jego twarzy, rozciągnął się w uśmiechu. To był kot Cotton. Mruczając, zwierzę ułożyło się z zadowoleniem w zagłębieniu pośrodku koców, między nogami Pieta i Foxy.

– Teraz mam dwóch kochanków – powiedziała Foxy cicho.

Ale Piet nie mógł się już pozbyć uczucia zagrożenia. Błysk strachu oświetlił ziemię – biuro Gallagher & Hanema na Hope Street, kolonialny wiejski dom na Nun's Bay Road, charakterystyczny samochód zaparkowaną bezczelnie na podjeździe Whitmanów. Musi się pospieszyć.

– Dasz radę? – spytał.

– Raczej nie. Zbyt wiele emocji.

– A ja mogę?

Pokiwała sztywno głową. Kilkoma obojętnymi, radosnymi i mocnymi pchnięciami skończył, trzymając ją mocno, podczas gdy drżała w rozprasający sposób, witając jego

orgazm, co za pierwszym razem uznał za jej własne szczytowanie. Zostawił za sobą pożądanie na pieńku, przeznaczone do ścięcia, głęboko wewnątrz jej miękkiego mechanizmu. Spojrzała na niego oczami, w których odbijały się prostokąty świetlika.

– Tak szybko?

– Wiem. Kiepski ze mnie kochanek. Muszę lecieć.

Ubrał się od razu, żeby uniknąć dyskusji i rekapitulacji, na którą wiedział, że Foxy ma ochotę. „To dobrze”, pomyślał, „że ostatni raz nie był przyjemny”. Teraz widział, że jej powolne dochodzenie zawsze miało coś z chciwości. Kiedy delikatnie otwierał drzwi za krzewami bzu, w drugim skrzydle zaczęło płakać dziecko.

Na zewnątrz panował bezruch, jak w domu w okresie między opuszczeniem go przez ostatnich podwykonawców a wprowadzeniem się mieszkańców i włączeniem ogrzewania. Las w stronę domu mniejszych Smithów, w kolorze fioleto wybielonego przez szadź, nie poruszał się na wietrze, był jak kwiaty ze szronu na szybach. Drogą na plażę nie jeździły żadne samochody. Pojedyncza mewa przecięła Pietowi pole widzenia i usłyszał za plecami płacz Foxy. Z drżącymi dłońmi na kierownicy wycofał pikapa i skierował się do centrum Tarbox. Spomiędzy bezlistnych drzew spoglądał złoty kurek. Podczas gdy kabina się nagrzewała, Piet pogwizdywał do płynącej z radia muzyki, w doskonałym nastroju, ponieważ znowu uszło mu na sucho.

Być może tamtego dnia odkrył w sobie skarb okrucieństwa, ponieważ gdy spotkał się w tym samym tygodniu z Beą późnym popołudniem, uderzył ją. Była nad nim, na czworakach, karmiący ssak ze zwisającymi piersiami, błyszczącymi jak liście tulipana. Jak gdyby chcąc wyznaczyć wyraźną granicę szczęścia, ścisnął jej pośladki i zwiotczałe boki, a potem obracając na plecy, uderzył w twarz wystarczająco mocno, by zostawić ślad. Widząc niedowierzanie malujące się w jej oczach, uderzył po raz kolejny, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości i twardo podkreślić nową granicę. Do tej pory zdążył wykorzystać już jej bierność we wszystkich pozycjach; wymierzony policzek zdekoncentrował jego penisa i Piet poczuł, że znalazł nowy sposób na przedłużenie czasu pozostawania wewnątrz kobiety, zawsze niewystarczającego.

Lewe oko Bei zwężało się w oczekiwaniu na trzecie uderzenie, a gdy ono nie nadeszło, rozszerzyło się na powrót, zdumione znajomą sytuacją.

– To właśnie robi Roger.

– Tak mówią ludzie.

– Sądziłam, że to dlatego, iż nie potrafi się normalnie kochać, bo w inny sposób go nie podniecam. Ale przecież w twoim wypadku tak nie jest.

– Nie, to przez ciebie. Sama się o to prosisz. Jesteś uroczą, białą dziurą, w którą można wszystko wtłoczyć. Spernę, pięści, ślinę.

Splunął między jej piersi i podniósł ramię, jak gdyby chciał ją dalej bić. Przestraszone, szeroko otwarte oczy Bei tak zblakły, że prawie zatraciły niebieski odcień. Odwróciła głowę na poduszce.

– Zastanawiam się czasem, czy nie oszalałam – powiedziała. – Ze robię to ludziom. Eddie ciągle wykręca mi nadgarstki. Proszę, Piecie, wołałabym, żebyś tego nie robił. Bierz mnie, jak chcesz, ale nie rób mi krzywdy, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. Tak naprawdę mi się to nie podoba. Chociaż może powinno.

– Wiem, wiem. Na pewno tego nie znosisz. Wybacz mi – przeprosił Piet, chowając twarz w jej szyi i włosach. – Wybacz mi, proszę.

Jednakże był zadowolony, ponieważ robiąc jej krzywdę, wzmocnił fundament miłości, dał sercu siłę do skoku. Kochał każdą kobietę, z którą sypiał, to była jego mocna strona, jego urok; ale wraz z każdą nową kobietą serce Pieta stawało się coraz bardziej przerażone mściwym upływem czasu. Teraz, z Beą, wymościł sobie legowisko z poczucia winy i

wykonał bezpieczny skok w spokojne wody jej ciała i łóżka. Wysoko, ponad odgłosami wracających do domu dzieci, rzucających śnieżkami w zapadającym zmroku, Bea ssła jego palce i głębia jej ust stawała się coraz bardziej przepastna, aż całkowicie się w niej zagubił i doświadczył osobliwego orgazmu jako płynnego wchłonięcia, falowania światła nad pokrytymi śniegiem dachami. Śmierć nie wydawała się już czymś okropnym.

Zadzwoił telefon i zdumiony Piet usłyszał w słuchawce głos Foxy. Przez cały miesiąc po ich niesatysfakcjonującym spotkaniu w zimnym domu nie kontaktowała się z nim i prawie wcale nie rozmawiali podczas imprez. Stała się jednym z elementów towarzyskiego kalejdoskopu.

– Gallagher jest w biurze? – spytała.

– Jest – zaintonował radośnie.

– Mógłbyś zadzwonić do mnie z budki telefonicznej?

– W tej chwili?

– Proszę, Piet. Musimy porozmawiać – powiedziała z lekkim zniecierpliwieniem i Piet wyobraził sobie, że mnie w rękach chusteczkę.

– Jak sobie życzysz – powiedział i dodał stanowczym, męskim głosem: – W porządku.

Czuł, że Gallagher przysłuchuje się zza szklanej ścianki, chociaż drzwi były zamknięte. Ostatnimi czasy coraz częściej je zamykał. Każdego ranka, wchodząc do biura, Piet miał wrażenie, że w pomieszczeniu jest jakby mniej miejsca. Koło jego biurka wisiał kalendarz firmy Bracia Spiros, Artykuły Budowlane i Stolarskie, ze zdjęciem ociekającego wodą golden retrievera, trzymającego w pysku kaczkę o zielonej głowie; pracując, Piet czuł przy uchu dopingujący oddech psa.

Wyszedł na jasność odgarniętego przez pług śniegu i otworzył drzwiczki pachnącej kaloszami aluminiowej budki telefonicznej. Na półeczce leżała wyschnięta, dziecięca rękawiczka, po którą nikt nie wrócił. Telefon u Whitmanów zadzwonił trzy, cztery, pięć razy bez odpowiedzi. Piet wyobraził sobie Foxy martwą, samobójstwo: zadzwoniła do niego w ostatnim, mglistym momencie przebudzenia, a potem zapadła w śpiączkę, leżąc na łóżku, z rozsypanymi włosami i niesłyszczanym płaczem dziecka w tle. Ktoś podniósł słuchawkę; jak gdyby otworzono przed nim nagle okno, Piet ujrzał przez brudną szybę czterech mężczyzn po drugiej stronie ulicy, usiłujących wypchnąć samochód z zasp.

– Halo. – Głos Foxy był chłodny, bezosobowy, bezbarwny.

– To ja. Czemu tak długo nie odbierałaś?

Napięcie opadło i jej głos się zmienił, ale Piet czuł, że nie do końca.

– Piecie. Tak szybko oddzwoniłaś.

– Bo mnie o to prosiłaś.

– Byłam u Tobyego.

– Co się dzieje?

Zawahała się.

– Zastanawiałam się po prostu, co u ciebie słychać. Miałam napad tęsknoty i zdałam sobie sprawę, że nie dzwoniłam do ciebie, bo chciałam cię ukarać, ale tak naprawdę to nie była żadna kara, więc co mi tam.

Roześmiał się, uspokojony, ale równocześnie coś podejrzewając, ponieważ nie zapamiętał jej jako osoby niezdecydowanej.

– Tak naprawdę to była kara dla mnie, ale doszedłem do wniosku, że póki nie mamy sobie nic konkretnego do powiedzenia, to lepiej, żebyśmy w ogóle nie rozmawiali. Podziwiałem twój takt. – Słyszac ciszę w słuchawce, dodał pospiesznie: – Co jakiś czas wyjmuję listy i czytam je na nowo.

Skłamał, od miesięcy tego nie robił. Niebieskie zawijasy i haczyki były jak martwe kolce, jeszcze ostrzejsze w swojej martwocie. Roześmiała się, jak gdyby to wyczuła.

– Ale ja mam ci coś do powiedzenia. To dobra wiadomość, ucieszysz się. W domu już jest

ciepło, to nie była twoja wina. Kiedy instalowali ogrzewanie, zamontowali termostat za blisko rur z ciepłą wodą, więc urządzenie myślało, że w domu jest ciągle ciepło i wyłączało piec. Ken i Frank Appleby wpadli na to któreś nocy, wstawieni. Ostatnimi czasy często widzimy się z Applesmithami.

– Wspaniale, ale to mimo wszystko moja wina. Byłem głównym wykonawcą i powinienem był to zauważyć. Ale rozpraszało mnie kochanie się z tobą.

– Lubieś się ze mną kochać? Nigdy nie byłam pewna. Jestem, mimo wszystko, nadal bardzo niewinna.

– Równocześnie niewinna i rozwiązła. Uwielbiałem się z tobą kochać. Było idealnie. Ale czy nie czujesz się teraz w pewien sposób lepiej? Możesz spokojnie spojrzeć w twarz Angeli, tak jak i ja Kenowi.

– Angela nigdy mi nie zawadzała. Odnosiłam dziwne wrażenie, że nie ma nic przeciwko.

Te słowa go rozdrażniły. Nie lubił, kiedy lekceważono Angelę. Czuł, że kochanka jest winna jego żonie szacunek, ponieważ on sam przyjął na siebie rolę osoby oszukującej Angelę.

– A co słyhać u Toby’ego? Masz z niego pociechę?

– Całkiem sporą. Podnosi głowę i wygląda, jakby słuchał tego, co do niego mówię. W przeciwieństwie do jego ojca.

– Z Kena nie masz radości?

– Niewiele.

– I po to do mnie zadzwoniłaś? Wyciągnęłaś mnie na śnieg.

– Nie.

Sylaba ta zabrzmiała metalicznie, jak gdyby wydała ją sama słuchawka. Potem Foxy zaczęła mówić zupełnie złamanym głosem. Słuchając, Piet miał wrażenie, że ślizga się po kryształowej powierzchni, najczystszej esencji, którą trzymały ręce Boga, nim wtoczyły ją do ciała, do jej duszy.

– Piet, mój okres spóźnia się dwa tygodnie. To mogeś być tylko ty.

– Co ja?

Ale zrozumiał od razu. Zimny dom, ich przepełniony strachem ostatni raz. Pieniek kata. Zakładnik. Łamał jej się głos z powodu jego zimnej obojętności.

– Nie chodzi tylko o spóźnienie, to cała chemiczna reakcja, palące uczucie tam w dole, które pamiętam z czasu, kiedy byłam w ciąży z Tobym.

– Tak szybko byś poczuła?

– Minał miesiąc.

– Od razu po porodzie? Czy u ciebie w środku nie panuje jeszcze bałagan?

– Od tego czasu miałam już dwa okresy.

– I to na pewno nie Ken?

– Nie, raczej nie.

Jej słowa wydały mu się dziwne.

– Używa tych rzeczy – dodała.

– Czasem pękają.

– Nie Kenowi. Tak czy inaczej, nie robiliśmy tego zbyt często. Od kiedy urodziłam dziecko, przygnębiał go. Poza tym martwi się pracą. Nie tylko Żydzi, ale i Japończycy zaczęli go wyprzedzać.

– Ale jak często?

– Dwa razy, kiedy mogło się przydarzyć, ale miał to na sobie, i ostatnio całkiem niedawno, kiedy miałam nadzieję, że już będę miała okres.

– I czujesz pieczenie?

– Tak. I niepokój. Bezsensowność. Piet, Piet, tak mi przykro, to takie głupie.

– Dlaczego mi pozwoliłaś, jeśli...

– Nie wiem, zachowywałeś się, jakbyś nie miał zamiaru, mój stary krążek dopochwowy

już nie pasuje, a...

– Myślałem, że bierzesz pigułki. Wszystkie to robią.

– Naprawdę? Widzę, że zrobiłeś ankietę.

– Nie bądź taka drażliwa.

– To ty nie bądź. A jeśli chodzi o pigułki, nie żeby to miało jakieś znaczenie, ale Ken im nie ufa. Uważa, że to zbyt skomplikowany proces i może mieć niepożądane skutki.

– Trach – powiedział Piet. – Trach, trach.

– A jeśli musisz wiedzieć – ciągnęła Foxy – jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, jaka jestem naiwna, to uważałam, że chroni mnie fakt karmienia piersią.

Jej lzy trzeszczały i drapały w zimnej słuchawce, którą trzymał przy uchu. Roześmiał się.

– Ten przesąd z zamierzchłych czasów? Ciągle zapominam, że jesteś kobietą z Południa, wychowaną na dobrych radach starej murzyńskiej niani.

– Cudownie jest słyszeć, że się ze mnie śmiesz – wykrztusiła słabym głosem. – Przeżyłam piekło. Zadzwoiłam dzisiaj rano, żeby już zupełnie nie zwariować, a kiedy oddzwoniłeś, bałam się odebrać, a potem skłamałam. Ciągle tylko kłamię i kłamię.

– Z czasem wszyscy stajemy się w tym dobrzy – powiedział.

Słuchawka była tak lekka w jego dłoni, chłodna, twarda i pusta, że zastanawiał się, czemu nie może po prostu jej odwieść i odejść wolny, dlaczego jest do niego przytwierdzona jak dusza do ciała.

– Co teraz zrobimy? – spytała Foxy.

W iluzji dawania rad odnalazł ulgę; proste kąty i belki nośne rozsądku, którymi mogli się obudować.

– Poczekaj jeszcze kilka dni – powiedział. – Bierz gorące kąpiele, tak gorące, jak tylko dasz radę wytrzymać. Jeśli okres nadal się nie pojawi, idź do lekarza, żeby zrobił ci test ciąży. Wtedy przynajmniej będziemy mieć pewność.

– Nie mogę iść do doktora Allena. Byłby zszokowany, że tak szybko zaszłam ponownie w ciążę. Mógłby powiedzieć o tym znajomym ze skutni.

– Lekarze nic nikomu nie opowiadają. A nie mieliście w Cambridge innego? Pojeźdź do niego, jeśli wolisz. Ale nie teraz. Okres może się jeszcze pojawić. Angela dostaje czasem co trzy tygodnie, czasem co pięć, bardzo nieregularnie miesiączkuje. To cud, że jej nie zapłodniłem.

Pomimo iż powiedział to całkiem poważnie, Foxy się roześmiała.

– Biedny Piet i jego kobiety – zażartowała. – Lawirujący pośród faz Księżyca. Zdaje się, że okazałam się do niczego.

– Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie – stwierdził i poczuł, wciąż przerażony, zadowolenie, że Foxy okazała się po raz drugi płodna, że pozwoliła mu zasadzić na ziemi kolejne życie.

– Zadzwoisz do mnie? – spytała. – Proszę. Nie musisz niczego robić. W jakiś sposób sama sobie poradzę. Całkowicie. Proszę, nic nie mów. Ale czuję się tak samotnie. Samotnie, Piet...

– Zadzwoię jutro – obiecał.

Czuł, że potrzebne jest ostatnie słowo, błogosławieństwo, które pozwoli mu odczepić słuchawkę od dłoni i ucha. W obawie, że odkrycie przed nią całej swojej mądrości życiowej zabrzmi pompatycznie, zaczął się trochę jąkać.

– Foxy. Po latach przemyśleń doszedłem do następującego wniosku: na świecie istnieją dwa rodzaje sytuacji: takie, na które mamy wpływ, i takie, na które wpływu nie mamy, jak gwiazdy i śmierć. Uznałem, że to ogromne marnotrawstwo, a właściwie grzech, martwić się czymś, na co nie można nic poradzić. Więc weź gorącą kąpiel i się zrelaksuj. Wszystko w rękach Allaha.

Niemówność wypowiedzenia słowa „Bóg” wzbudziła w nim obrzydzenie. Foxy jednak

zdawała się pozostawać w półśnie i jakby nie zarejestrowała jego słów.

– Zadzwoń do mnie jutro, Piet – powiedziała śpiwnie. – Jestem pewna, że sprawa się rozwieje, jak niemądry sen, i będziemy mogli wrócić z powrotem do naszej miłej, wygodnej separacji.

A więc „separacja” była ostatnim słowem, jakie padło. Piet odłożył słuchawkę i zobaczył, że czterej mężczyźni wydobyli samochód z zasy i cała Charity Street, rozbrzmiewająca dźwiękami łopat, zdawała się świętą przestrzenią, w której można było budować, uciekać i wybierać, i od której on sam był odseparowany.

Zaczął się koszmar codziennych rozmów telefonicznych, małych, złudnych nadziei (uczucie pieczenia było dzisiaj mniej wyraźne, po gorącej porannej kąpieli macica znajdowała się w jakimś dziwnym stanie, encyklopedia medyczna z biblioteki w Tarbox wspomina o poporodowych zaburzeniach cyklu) i nieznośnego nabierania pewności. Pierwszy wynik próby ciąży, który nadeszło z laboratorium, był negatywny, ale lekarz z Cambridge wytłumaczył, że w tak wczesnym stadium test mógł być dokładny w zaledwie dziewięćdziesięciu procentach, i delikatnie wyraził dezaprobatę wobec jej pośpiechu. Obsesowy mężczyzna o jastrzębich rysach, który w gabinecie eksponował trofea turniejów golfa, mógł jednym spojrzeniem zdiagnozować objawy i rozpoznać dopust boży, nierzadką przypadłość przyzwoitego społeczeństwa kalkulującego szanse losowych wypadków, która Pietowi i Foxy dawała takie poczucie wyobcowania. Po bezsennej nocy Foxy leżała, drżąc z powodu dobrej wieści, którą mogła podzielić się z Pietem dopiero rano. Ale szansa jedna do dziesięciu topniała w zastraszającym tempie, podczas gdy Foxy nie chciała wypuścić mikroskopijnego zakładnika, poddać się i zacząć krwawić. Piet krytykował ją przez telefon; obłaskawiał cierpliwością, tym, że za nic jej nie wini: zrezygnował przecież z bycia jej kochankiem, poszedł z nią do łóżka w ramach pożegnania, był szczęśliwy ze swoją niezwykłą, wyniosłą żoną, został wystrychnięty na dudka przez naiwność Foxy, która nie miała do niego prawa. Żadnej z tych rzeczy nie musiał mówić, to wszystko było z góry jasne. Przepraszała, kpiła z siebie, proponowała, że zabierze dziecko, to istniejące, i zniknie z miasteczka. Ale na razie on był jedyną osobą znającą jej sekret, jedynie on mógł dzielić z nią gehennę tych dni. Dźwięk jego głosu był jedyną bliską jej rzeczą na świecie. Uzgodnili, że się spotkają, ze współczucia dla siebie nawzajem i pragnienia, podobnie jak zwarci w uścisku bokserzy, żeby zbliżyć się do istoty, która sprawia tyle bólu. W Lacetown znajdował się sklep spożywczy, którego spory parking zawsze był odśnieżony. Z tyłu budynku, gdzie rozładowywano ciężarówki, nie parkowało wiele samochodów osobowych. Z ich przyjaciół jedynie Janet robiła tam czasem zakupy. Mogli czuć się bezpieczni.

Piątek. Ciężkie, sine niebo. Kilka suchych płatków śniegu. Serce mu podskoczyło na jej widok, samotna na asfalcie, pod nisko płynącymi chmurami, w czarnym mg Whitmanów. Zaparkował pikapa obok spalarni odpadów i przeszedł przez pusty parking. Foxy opuściła szybę w oknie. Płatek śniegu zaczepił się o jej lewą brew.

- Sądziłem, że Ken jeździ do Bostonu samochodem.
- Dzisiaj pojechał pociągiem, bo zapowiadali burzę śnieżną. Wsiadaj.
- Ken zawsze myśli rozsądnie – powiedział Piet, wsiadając i zatrząskując za sobą drzwi.
- Czemu go nie lubisz? To nie jego wina.
- To nieprawda, że go nie lubię. Podziwiam go. Zazdroszczę mu. Ma stopień naukowy.
- Myślałam, że powiesz, że ma mnie.

Roześmiali się z niej, z siebie, ze wszystkich. Wyjeżdżając z Tarbox, nabrali jakiejś perspektywy; ich domy i przyjaciele zostali daleko w tyle, pomniejszeni. Tylko oni sami, Foxy i Piet, byli naturalnej wielkości. Zaprzestali flirtu z życiem i biologia wyostrzyła ich twarze, a przeżywany kryzys dodał im uroku, podkreślił ich sylwetki jak wisząca w tle aksamitna kurtyna teatralna. Foxy siedziała zakłopotana w składanym fotelu za kierownicą,

dotykając kolanami dźwigni zmiany biegów, z długimi nogami w żółtych wełnianych spodniach i włosami opuszczonymi na kołnierz rosyjskiego generała.

– Nieźle wyglądasz – powiedział i poklepał ją po udzie. – Po naszych gorączkowych telefonach wyobrażałem sobie ciebie jako wrak człowieka.

Uśmiechnęła się; jej nos i podbródek nabrały ostrości, jakby smagał je wiatr. Płatki śniegu układały się w cienkie, białe linie wzdłuż gumy uszczelniającej szyby. Na platformie wyładunkowej za sklepem samotny chłopak w fartuchu sprzedawcy składał na stertę kartonowe pudła, a jego oddech ukazywał im się w postaci kłębow pary.

– My, kobiety, potrafimy zachowywać pozory – odparła, markując cios.

– Rozumiem, że nie pozostało wiele wątpliwości.

Pokiwała głową tak lekko, jak gdyby miała bukiet kwiatów przypięty blisko podbródka. Potańcówki. Dziewczyny w samochodach po potańcówkach. Ostatni raz robił coś takiego pokolenie temu.

– Nie dla mnie – powiedziała Foxy. – Dzisiaj po południu jadę na kolejny test. To znaczy powinnam jechać. Możliwe, że tego nie zrobię, jeśli będzie śnieżycy.

– Ty zawsze sobie dasz radę za kółkiem – stwierdził i jak gdyby chcąc usprawiedliwić swój uśmiech, dodał: – To zabawne, że została nam szansa jeden do dziesięciu.

– Zawsze mówiłeś, że igramy z losem.

– Przykro mi, że nasz ostatni raz nie był dla ciebie udany.

– Dobrze go pamiętam. Jak przenieśliśmy się do pokoju na górze, jak kot wskoczył na łóżko. To takie głupie, nie uważasz? Zdrada. Tyle z nią kłopotu.

Wzruszył ramionami, nie chcąc przyznać jej racji.

– To sposób na zapewnienie sobie przygód. Wyruszasz w świat w poszukiwaniu wiedzy.

– I co teraz wiemy, Piecie? – spytała.

Czuł, że używa jego imienia, żeby się do niego zbliżyć, próbuje przekształcić ich desperackie spotkanie w okazję do bycia razem, w randkę.

– Wiemy, że z Boga się nie kpi – powiedział twardo.

– Nigdy nie miałam zamiaru kpić z Boga.

– Nie. Twój Bóg jest pomiędzy twoimi nogami, bezkształtny i wstydlivy, czekający na to, by go dotknąć. Wszystko w porządku, Fox, nie będę narzekać. Robię to częściowo dlatego, że nadal jesteś atrakcyjna; nie spodziewałem się tego i jestem rozdrażniony. To takie nie na czasie, że dalej cię pragnę.

Ułożyła wygodniej nogi; dotknęła go kolanem i szybko się odsunęła.

– Spodziewałeś się, że będziesz mnie nienawidził?

– Trochę. Przez ostatnie dziesięć dni przeszedłem piekło. W porównaniu z twoim głosem w słuchawce, wyglądasz na szczęśliwą.

– To najgorsze z tego wszystkiego. Jestem szczęśliwa. Cieszę się, że jestem w ciąży z twoim dzieckiem. Cały mój organizm chce, żebym je urodziła.

– Nie możesz tego zrobić. Nie możesz, nie możesz.

– Oczywiście. Absolutnie. Zgadzam się z tobą.

Ale jej twarz stała się czujna. Piet stłumił jęk; pochylił się gwałtownie w jej stronę, niezgrabnie, bojąc się spojrzenia Foxy. Miała gorący oddech, a policzki zimne od łez; ciało w obszernym płaszczu próbowało mu się podporządkować, ale samochodowe siedzenia i dźwignia zmiany biegów na to nie pozwalały. Odsunął się i ujrzał na twarzy Foxy wyraz rozgrzeszenia, pozwolenia, by oczyścić jej wnętrze z wszelkich śladów ich miłości.

– Ale jak? – spytał. – Szwecja? Japonia? Jak ludzie robią takie rzeczy?

Ponad jej potarganymi włosami widniał rząd wysokich klonów, jak brzeg koronki na tle śnieżącego nieba.

– To takie smutne, nie uważasz? – powiedziała. – Wygląda na to, że żadne z nas nie zna odpowiednich ludzi. Wiem, że wszędzie są osoby dokonujące aborcji, które tylko czekają na

klientów, a ja jestem tutaj i nie ma jak nas ze sobą skontaktować.

– A co z Kenem? On zna różnych lekarzy.

– Nie mogę powiedzieć Kenowi.

– Jesteś pewna? To by ułatwiło sprawę. Mogłabyś nawet polecieć do Japonii. Ken mógłby dać gościnny wykład.

– Nie jest aż taki dobry.

– Żartowałem.

– Wiem. Piecie, zrobię wszystko, żeby się pozbyć się problemu, ale nie powiem o nas mężowi. Nie zniósłby tego. Jest zbyt pewny siebie. Ja też, w pewien sposób. Raz się ugięłam i nie zrobię tego znowu. Nie będę błagać ani przepraszać, bo mieliśmy zupełną rację. Wolę zaryzykować śmierć. To brzmi arogancko, chociaż w rzeczywistości takie nie jest. Mógłbyś powiedzieć Angeli, że ze mną spałeś; przyjęlibyście to, i wasz związek umocniłby się po jakimś czasie, ale nasze małżeństwo nie. Nie jesteśmy ze sobą tak blisko. Zawarliśmy konkretną umowę, która nie zezwala na takie błędy. To by go zdruzgotało. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Zrozumiał, że nie powie mężowi, tak samo jak kilka miesięcy wcześniej stanowczo nie zgodziła się na założenie szafek. Ona jest klientką; on musi spełniać jej zachcianki.

– A co by było, gdybyś mu powiedziała, że to jego dziecko, i urodziła kolejnego małego Whitmana? Niewykluczone, że będzie rudy, ale na pewno w którymś z was istnieje gen rudych włosów.

Zaczęła mówić powoli, przygryzając koniuszek języka. Kobiety o niespokojnych językach są najbardziej seksowne.

– To możliwe. Ale kiedy wyobrażam sobie to dziecko, stające się z dnia na dzień coraz większe, wyglądające coraz mniej jak Ken i coraz bardziej jak Piet Hanema, a potem zaczynające zjeżdżać po poręczach i zbijać razem kawałki drewna, wiem, że skazalibyśmy się na piekło za życia. Wolałabym przyjąć piekło w mocniejszej dawce i mieć to z głowy.

– Biedna jesteś, Fox.

Pochylił się i pocałował ją w nos. Czerwone dłonie Foxy leżały bezwładnie na połach generalskiego płaszcza; może pod nimi wzruszyła ramionami.

Brazowy mercury, podobny do coupé Janet Appleby, przejechał powoli przez parking. Jednakże kierowca był im nieznany, starszy mieszkaniak Lacetown z siwym zarostem, miał na głowie myśliwską czapkę w kratę. Przyjrzał im się – oczy szopa z białymi obwódkami – przeciął przez parking, a potem wyjechał z drugiej strony. Widmo to spowodowało, że obojgu zamarły serca i miejsce spotkania wydało im się bardzo nieodpowiednie. Chłopak układający pudełka zniknął z platformy.

– Lepiej już jedźmy – powiedział Piet – bo inaczej znajdą nas w objęciach, zamarzniętych na śmierć.

W domu, z daleka od burzy, pośród odgłosów krzątającej się w kuchni Angeli oraz bawiących się i kłócących dziewczynek, Piet usiłował spojrzeć na swoje kłopotliwe położenie jak na coś relatywnego i ujrzeć je w jakimkolwiek innym świetle niż to ostateczne, uprzytomniające, że dosięgła go katastrofa identyczna ze śmiercią. Cięża to życie. Natura kusi seksem, żebyśmy bezustannie podążali w kierunku przepaści. Wpadki są mile widziane. Wielcy ludzie mieli bękarty: Grover Cleveland, Karol Wielki. Nikt się nie przejmuje, rubaszny dowcipas, ciemne piwo, lord Norfolk pozdrawia nieślubnego syna. Kolejna dusza: trzy miliardy plus jeden. Tak czy inaczej, przeniosłaby się pewnie do Berkeley albo Los Alamos i nigdy by go nie zobaczył. Było, minęło. Piet Hanema, ojciec nowego narodu. Za jego zdrowie. Pociągnął łyk podwójnego martini i alkohol zetknął się z kipiącym, jęczącym strachem, wzbierającym jak pomyje. Ken. Jego strach miał związek z Kenem, dziwnym zaufaniem, jakie malowało się na jego pozbawionej wyrazu twarzy, i słusnością zemsty, której by szukał. Czując obrzydzenie i



osuwając się, Piet zrozumiał, że żyje w moralnym świecie mężczyzn, że jedynie mężczyźni domagają się sprawiedliwości i że jak dziecko chronione przed upadkiem przez stertę poduszek, usnął pośród kobiet. Był wstrząśnięty, kiedy Foxy wypowiadała się lekceważąco o Kenie. Dla niego Ken był nieskończony, a zniewaga skalania jego ojcostwa cudzym dzieckiem była niewyobrażalną szkodą. Ojcostwo to cipa mężczyzny. Wrażliwa. Delikatna. Ojciec uciskający brudnymi kciukami ziemię wokół pelargonii, perspektywa szklarni dająca złudzenie nieskończoności prostych linii. Jako dziecko wolał ciepły, ślepo zakończony pokój, gdzie matka o szerokich kolanach siadywała wśród poskręcanych wstążek. W milczeniu ojca brzmiał nakaz, który go płoszył. Wyprostowany mężczyzna, usta skrzywione od protezy. Boże, w sumie to dobrze, że już ich nie ma.

Wszystko jest względne. Kiedy był chłopcem i popadał w kłopoty, próbował wyobrazić sobie jakąś jeszcze gorszą sytuację. Gorsze od niedostania się do drużyny futbolowej mogło być polio. Gorsze od niebycia zaproszonym na przyjęcie urodzinowe Anabelle Vojt byłoby strzelić przypadkowo bratu w twarz i oślepić go na zawsze. Gorzej byłoby być martwym niż jechać na wózku inwalidzkim. Czy na pewno? Wkroczył na bezkresne obszary ciemności, jakby przerywając śmierć. W słonej, jedwabistej Foxy zasadził nasienie, które miało jego twarz, i teraz chciał być mikroskopijnej wielkości, by móc przeczołgać się przez śliskie korytarze i uderzyć jako morderca. Boże, przebac. Nie: Boże, zrób to. Bóg, który tak często zabija, z tak wielkopańską łatwością, poczawszy od okrzemków, po wieloryby, niech zrobi to raz jeszcze, zatrze ślady z wysoka, w jednej sekundzie, palec w jej gardło, i koniec z potwornym guzem.

Wyraz twarzy Kena, ledwie stara się być uprzejmy. Błady z ambicji i przepracowania. Wnętrznosci Pieta po raz kolejny zaczęły się skręcać; sączył srebrny płyn, by je uspokoić. Pocisk. Senny pluton egzekucyjny. Okropna sfera, gdzie życie wylania się z absolutnej ciemności. Przemyślany czyn Boga. Gлина zmieszana ze śliną. Przebiegła cipka Foxy, koralowe płatki, bardziej purpurowe wewnątrz, oczy jak dwa dzwonki zawieszane na drzewie, dzwoniące na wietrze. Jednak cierpiała, pod skórą kobiety czaiło się zwierzę, mężczyzna taki jak on, a raczej podstarzałe dziecko, oceniające, zgadujące, żywiące nadzieję, mające ochotę. To straszne mieć coś uciepionego siebie, jątrzącego, jak grzyb. Jaja ścierpły mu ze współczucia. Biedna, miękka Foxy. Sprzątnij je. Szarp, Panie. Wyciągnij dla mnie wolność.

Napił się znowu. Ostateczna słodycz prawdziwego upadku. Bea. Sądzi pewnie, że boi się do niej zadzwonić. Widziała co nieco. Widziała jego skok z okna, głowę Foxy w aureoli światła z łazienki. W łóżku Bei nie przyznał się jedynie do szarej poniedziałkowej wizyty, kiedy niechcący naruszył sferę zarezerwowaną dla Kena i powołał na świat kolejną obdarzoną wolną wolą duszę, za którą był prawnie odpowiedzialny. Wstyd, więzienie, śmierć, kremacja, unicestwienie, wieczna bezimiennosc. Śmiech przyjaciół. Szczegóły w gazetach. Widział uśmiechającą się Beę o obwisłych piersiach, jej ciało jak nieruchoma sadzawka, i jego fiut spoczywający w niej jak śpiący węgorz; i wiedział, dlaczego ją kocha – była bezpłodna. Nasienie mogło zanurzać się kiedykolwiek w jej białej otchłani i nigdy niczego by nie sprawiło.

Jego samotność stała się rozpacзлиwa. Zamieć zawodziła ponuro, rzecz bez rzeczywistości, poruszenie. Opróżnił szklanke i poszedł do kuchni. Żona i córki były zajęte układaniem walentynek. Nie zadbał o kartkę dla Angeli. Ruth i Nancy dostały w szkole włochate serduszka, rozmarzone krowy, splątane szyjami żyrafy. Ruth stawiała najlepszą na lodówce. Z podniesionymi ramionami miała uderzająco gibką figurę. Jego wejście po dolewkę przerwało nic trójstronnego kobiecego porozumienia, ważnego przede wszystkim dla małej Nancy. Podniosła twarz, w kształcie okrągłego, kartonowego serca i zachichotała w przypiływie niezwykłego zuchwalstwa.

– Tatuś jest brzydki – oznajmiła.

– Nie, tatuś nie bzydki – zaprotestowała Ruth, obejmując go ramieniem. – Tatuś pienny.  
– Ma okropne dziurki od nosa – powiedziała Nancy, podchodząc bliżej i patrząc do góry.  
Ruth ciągnęła dalej dziecięcym językiem, skrywając pod jego płaszczem impuls miłości.  
– Tatuś ma najpienknijse dziurki od nosa – powiedziała – bo dawno temu psyjechał z Hojandji.

Piet nie mógł powstrzymać śmiechu.

– A moje stopy? – spytał Nancy.

– Okropne stopy – uznała.

Ruth przytuliła go mocniej i pogłaskała po owłosionym ramieniu.

– Uloce stopy – powiedziała. – Mamusia ma głupie stopy, jej małe palce nie dotykają podłogi.

– To jest uważane – odezwała się Angela – za oznakę wielkiej piękności.

– Wiesz co, mamusiu? – powiedziała Ruth, odrywając się od ramienia Pieta i porzucając dziecienną mowę. – Pani Whitman ma płaskie stopy. Tego lata na plaży Frankie Appleby i Jonathan Smith bawili się w detektywów i chodzili za ludźmi i jej ślady na piasku nie miały pustego miejsca na środku, wiesz, gdzie jest to zagłębienie, jak się ono nazywa...

– Podbicie – wtrąciła Angela.

– ...gdzie jest podbicie. To wyglądało, jak gdyby nosiła tenisówki z palcami.

Dziecko spojrzało w kierunku ojca. Myśl o Foxy, nawet w tak niemiłym kontekście, nadał sprawiała mu przyjemność. Przechadzająca się niedbałym krokiem, szeroka, płaskostopa, w ciąży z jego dzieckiem. Jego wysoka cipka.

– To fascynujące – powiedziała Angela. Energicznie poruszała dłońmi między liśćmi sałaty na kolację. – Co jeszcze ciekawego zauważyłaś na temat stóp?

– Pan Thorne ma zielony paznokiec.

– Palce tatusia – oznajmiła Nancy, czując się bezpiecznie w pobliżu Angeli – są jak zęby dyni na Halloween.

Piet zrozumiał, że reprezentuje dla córki śmierć: zagrożenie dla kruchej życia było w jej przekonaniu skoncentrowane w jego wyniosłej, obrzydliwej męskości; wkrótce miała wejść w stadium, w którym znajdowała się już Ruth – śmiałości, by podziwiać i oswajając tę obcość – a w końcu w stadium Angeli, próbującej ocalić przed zetknięciem z nią nieskażony fragment samej siebie. Kochał je, swoje kobiety, znajdujące się wokół niego, przypominające zaostrome kołki w pułapce.

– Mamusiu – odezwała się Ruth – powiedz Nancy, żeby przestała obrażać tatusia. Tatuś jest przystojny, prawda?

Piet pochylił się i podniósł Nancy. Wrzasnęła i zaczęła wymachiwać nogami zarówno z obawy, jak i przyjemności. W jej oddechu czuć było mocny zapach czerwonych cukierków serduszek. Psuje swoje zdrowe zęby. Rozgniewany, ścisnął ją mocniej; zapiszczała i próbowała wyrwać się z jego objęć, czując już tylko strach.

– Nie wiem, czy tatuś jest przystojny – odparła Angela. – O takich jak on mówi się, że są atrakcyjni. – Po chwili dodała: – I mili, i dobrzy.

Piet postawił Nancy na ziemi, szczypiąc ją ukradkiem. Spojrzała na niego do góry, teraz wiedząc coś, czego nigdy nie miała zapomnieć ani potrafić wyrazić.

Być może rozczulona wieczorem spędzonym z dziećmi i walentynkami, a może po prostu podniecona atmosferą otaczającej ich zamieci, Angela zawiodła Pieta wcześniej do łóżka i jak opadająca ciepła chmura kochała się z nim, siedząc na nim okrakiem, w klasycznej pozycji Andromachy pocieszającej Hektora.

W sobotę rano zadzwonił telefon; Foxy mówiła, przyciskając usta do słuchawki, przez co wyraźnie było słychać jej oddech.

– Angela jest w pobliżu?

– Nie – odparł Piet. – Jest na dworze, odgarnia śnieg z dziećmi. Co byś powiedziała, gdyby to ona odebrała?

– Spytałabym, czy ma zamiar włożyć krótką, czy długą sukienkę, na bal Funduszu Serca.

– Wiesz, jakie to ryzykowne. Dopiero niedawno przestała być wobec ciebie podejrzliwa.

– Musiałam z tobą porozmawiać, przykro mi. Sądziłam, że pojawicie się u Gallagherów. Dlaczego wczoraj nie przyszliście?

– Nie zostaliśmy zaproszeni. Kto jeszcze był?

– Wszyscy. Poza wami, Saltzami i Ongami. Była też nowa młoda i nadęta para.

– Matt nic mi nie mówił. Tak czy inaczej. Co z tobą?

– Test. Wynik pozytywny. Nie ma wątpliwości, Piecie.

– Uch.

Kiedy pograżał się w tej wiadomości, zafascynowała go delikatność otaczających go mebli, stół pod telefon ze zwężanymi nogami z drewna klonowego, lustro z akantową ramą o wytartych złoceniach. Te rzeczy zostały wyprodukowane przez ludzi, którym nic nie ciążyło na sercu. Zdumiewało go, że sam był w stanie wykrzesać z siebie wystarczająco dużo energii, żeby sklecić z sobą dwa patyki.

– Stałam się dla ciebie takim ciężarem! – wykrzyknęła po chwili jego ołowianego milczenia.

– Nie – skłamał. – Nadal uważam cię za lekką i dobrą.

– Tak czy inaczej, rozłącz się, jeśli wejdzie Angela, wydaje mi się, że wpadłam na ślad.

– Jaki?

– Freddy Thorne.

Piet się roześmiał.

– Rzeczywiście, on może zanudzić płód na śmierć.

– W porządku, odkładam słuchawkę. Nie będę ci więcej zawracać głowy. Dzięki za wszystko.

– Nie. Czekał – zawołał, w obawie, że odsunęła już słuchawkę od ucha. – Powiedz, czego się dowiedziałas. I nie bądź taka drażliwa.

– Przechodzę piekło, kochanie, i nie podoba mi się, kiedy się ze mnie śmieją.

– Tak to już jest w piekle.

– Czekał, jeszcze sam się dowiesz.

– Freddy Thorne – podpowiedział zachęcająco.

– Freddy Thorne mówił mi kiedyś, że dentyści przeprowadzają aborcje. Mają wszystkie potrzebne narzędzia, fotel, środki znieczulające...

– Prawdopodobne. I?

– Wiesz, jak Freddy lubi prowadzić konfidenckalne rozmowy po kątach. Wczoraj u Gallagherów spytałam go, czy zna kogoś, kto się tym zajmuje.

– Powiedziałaś mu, że jesteś w ciąży.

– Nie. Niech Bóg broni. Powiedziałaś mu, że znam bardzo miłą dziewczynę z Cambridge, która jest zdesperowana.

– Całkiem prawdziwe.

– I... Jesteś pewien, że Angela nie słucha?

– Podejdę do okna sprawdzić, gdzie poszła. – Wróciwszy, oznajmił: – Jest na podjeździe, macha niesamowicie łopatą. Ostatnio ma dobry humor. Zamieć ją pobudziła.

– Mnie nie. Złapała mnie w trasie do i z Cambridge, kiedy pojechałam zawieźć próbkę moczu. Potem musieliśmy dostać się do Gallagherów.

– A Freddy Thorne spojrzał na ciebie, mrużąc mętne oczy, i od razu zdał sobie sprawę, że to ty jesteś w ciąży.

– Tak. To prawda. Ale nie powiedział tego.

– Co w takim razie zrobił? Spojrzał w swój rozkład aborcji i wyznaczył ci termin?

– Niezupełnie. Powiedział coś strasznego. Tak w ogóle, to byliśmy w kuchni; pozostali siedzieli w salonie i grali w nową grę, przy użyciu słownika. Powiedział, że musiałby się spotkać z tą dziewczyną i jej facetem.

– To rzeczywiście upiorne. Z dziewczyną i jej facetem.

– Tak, a jako że ja jestem dziewczyną, to musi zgadywać, że ty jesteś facetem, więc wnioskuje, że chce się spotkać z tobą.

– Za dużo wnioskujeś. Freddy nie jest aż tak dobrze zorganizowany. Leci sobie w kulki. To blef ślepego.

– Ja tego tak nie odebrałam. Był bardzo poważny i stanowczy. Miał minę dentysty, a nie imprezowicza.

– Ty to potrafisz wydobyć z Freddy’ego dentystę. Nie chcę się z nim spotykać. Nie lubię go i nie ufam mu. Nie mam zamiaru zdawać nas na jego łaskę.

– W takim razie czyją łaskę mi doradzasz?

Drzwi wejściowe się otworzyły. Piet pospiesznie odłożył słuchawkę i stanął twarzą do korytarza, jak gdyby przeglądał się przed chwilą w lustrze. Naprzeciwko niego stała Nancy, opatulona w przysypane śniegiem ubranie. Policzki jej płonęły. Otwierając szeroko oczy, wyciągnęła przemoczoną rękawiczkę z czymś, co Piet wziął najpierw za śnieżkę; ale trzymany przez Nancy przedmiot był częściowo szary. Zamarznięty ptak, z rudą główką i czarną kropką na piersi, mały łuskowiec, zaskoczony przez zamieć. Do otwartego oka, okrągłego jak główka szpilki od kapelusza, przyczepiły się kryształki lodu.

– Mamusia znalazła go całkiem sztywnego w śniegu – wytłumaczyło dziecko rzeczowym tonem, uprzedzając jego protest. – Położę go na grzejniku, żeby się ogrzał i odżył, chociaż wiem, że tego nie zrobi.

Bal Fundacji Serca odbywał się w lokalnym Klubie Amerykańskich Weteranów, ponurym budynku z pustaków przy Musquenomenee Street. Na parterze znajdował się bufet i dwa tory kręglarskie, a na piętrze sala balowa z dodatkowym barem. Obracająca się lustrzana kula rzucała na ściany kolorowe światła, bezustannie się poruszające, przyspieszające w rogach i zwalniaszące nad oknami, krzyżujące się w szaleńczym ruchu pod nogami tańczących. Bez względu na to, jak zimno było na dworze, w klubie zawsze panowała gorąca atmosfera. Kiedy otwierano drzwi, zabarwiona na różowo i niebiesko para wypływała na zewnątrz, by zmieszać się ze spalinami, uwalnianymi przez parkujące samochody.

Jak co roku na balu pojawiły się znane Pietowi pary. Carol Constantine przebierała się zazwyczaj za wdzięczną grecką tancerkę i podczas gdy patriarchowie wraz z żonami obserwowali znad stolików karcianych, uginających się pod nadziewanymi warzywami oraz pulpecikami z serem Feta, czarnymi oliwkami i bakławą, ona formowała węża z ich synami – właścicielami sklepów spożywczych, specami od elektryczności, maklerami. Carol odznaczała się posągowym stylem i staroświecką wręcz wyniosłością, która pozwalała, by uchodziło jej to na sucho. Ale w tym roku w zarządzie Fundacji Serca zasiadała Irene Saltz i Constantine’owie pojechali z Thorne’ami i Gallagherami do Bostonu, żeby zobaczyć drużynę Celtów. Hanemowie pojawili się na balu głównie z lojalności wobec Irene, która zdradziła im (nie mówcie o tym nikomu, zwłaszcza Terry Gallagher), że to prawdopodobnie ich ostatnie miesiące w Tarbox, ponieważ Ben dostał propozycję pracy w Cleveland. Whitmanowie siedzieli przy stoliku z Applesmithami, a Guerinowie przyprowadzili ze sobą nową parę o nazwisku Reinhardt. Nowi mieli gładkie twarze i usilnie starali się dobrze wypaść; Piet ledwie rzucił na nich okiem. Podczas gdy kolorowe punkciki omiatały ściany, a greckie dziewczyny z trzeciego pokolenia emigrantów poruszały się w takt orientalnego zawodzenia buzuki, Piet czekał na rozpoczęcie amerykańskich tańców, żeby wyciągnąć na parkiet Beę. Angela była zmęczona od machania szuflą, a Foxy wyglądała na zeszywniałą od wysiłku, jaki wkładała w ignorowanie Pieta. Jedynie obecność Bei, poruszającej się w kręgu jak

wnętrze białego dzwonu, którego bicie rozlegało się w jej donośnym głosie, dawała nadzieję na chwilę odpoczynku. Pamiętał ją jako spokojną sadzawkę, w której mógł uklęknąć zanurzony do pępka. Kiedy nastoletni muzycy zaczęli skoczniej grać, podał Bei ramię i razem odplynęli poza zasięg przyjaciół.

– Masz jakieś kłopoty, Piecie – powiedziała, spoglądając w bok. – Czuję to w twoim ciele.

– A może w swoim?

Ale Bea nie była pijana i trzymała się od niego na dystans, podczas gdy on wypił już tego dnia do obiadu w Tarbox Inne trzy martini i zaczynał się pocić. Chciał przycisnąć jej piersi do siebie, by uspokoić serce.

– Nie – odparła melodyjnym głosem, opierając się pytającemu naciskowi jego ramion. – To siedzi w tobie, straciłeś zwykłą sprężystość. Nawet nie stoisz w ten sam sposób. Czy nie ostrzegałam cię kiedyś, że źli ludzie dobiorą się do ciebie?

– Nikt mi nic złego nie zrobił. Wszyscy jesteście aż zbyt mili. Natomiast w trakcie tej samej rozmowy, którą, o dziwo, jeszcze pamiętasz, spytałaś mnie, czy nie miałbym ochoty...

– Pamiętam. Potem to zrobiłaś, ale od tej pory się u mnie nie pokazałaś. Nie podobało ci się?

– Jezu, pewnie, że mi się podobało. Uwielbiam cię. Nasz ostatni raz był wspaniały. Przekroczyliśmy wszystkie granice.

– To dlatego więcej nie zadzwoniłaś?

– Nie mogłem. Masz rację, rzeczywiście coś się dzieje w moim życiu, wszystko się okropnie poplątało. Jeśli uda mi się wydostać z tej sytuacji, przyjmiesz mnie z powrotem?

– Oczywiście. Zawsze.

Ale mówiła do niego jakby z oddalenia. Zasmucony, przycisnął ją mocniej, jak gorący okład na przykry węzeł w piersi, gdzie zdrada oplata zdradę. Frank Appleby, tańczący z panią Reinhardt, przypadkowo spotkał się z nim wzrokiem i uśmiechnął się krzywo. Zagubione dusze. Witaj w piekle. Frank, nieobarczony ciężarną kochanką, zdawał się o niebo szczęśliwszy: przewaga nauki w Exeter. Umiejętność mydlenia oczu.

Bea wysunęła mu się z objęć, spoglądając na coś ponad jego ramieniem. Piet obrócił się przestraszony. Za nimi stała Foxy.

– To niesprawiedliwe, Beo, żebyś miała tego uroczego mężczyznę tylko dla siebie.

Powiedziała to, nie patrząc na niego i kładąc mu stanowczym ruchem dłoń na ramieniu. Pociągnęła go do tańca.

– Przysyłał mi twoją żonę. Mam ci powiedzieć, że jest senna i chce wracać do domu – powiedziała ostro, a na jej twarzy malowała się gorycz. – Ale przytul mnie na chwilę.

Jednak jej ciało w tańcu było sztywne i skępowane, jak gdyby łączyło ich poczucie obowiązku. Foxy nietypowo spryskała się perfumami o mdłym zapachu, przejrzalym, przypominającym gnijące irysy; czując je, Piet zdał sobie sprawę, że zapach Bei był cytrynowy. Unosiła się jak duch w jego ramionach.

Gabinet Freddy'ego Thorne'a pachniał eugenolem, środkiem do czyszczenia dywanów i lizakami; ciągnąc Nancy za pulchną rączkę, Piet przypomniał sobie z dzieciństwa własny lęk związany z dentystycznymi zapachami – ściśnięty żołądek, świadomość pięknego dnia i kuszącej wolności na zewnątrz, modlitwę, by przespać nadchodzące pół godziny. W orzechowym stojaku na gazety leżały stare numery czasopism „Time'a” i „Newsweeka”, których okładki zdobiły zdjęcia Charles'a de Gaulle'a i Mariny Oswald. Oboje wyglądali na wymęczonych. Recepcjonistka o spłaszczonym nosie uśmiechnęła się uspokajająco do zdenerwowanego dziecka, a serce Pieta, przygotowane na spotkanie z Freddyem, zboczyło z toru za sprawą odruchowej wdzięczności i wypełniło się miłością dla dziewczyny. Świeża sztuka, młoda. Jak jeść selera, oddzielając pędy i kolejno je soląc. Czy Freddy kiedykolwiek? Szczerze w to wątpił. W ogóle był pełen wątpliwości, jeśli chodziło o osobę Freddy'ego;

przywołanie samego obrazu dentysty w myśli powodowało, że zaczynał przepełniać go mokry, rozpaczliwy ciężar, jak rzeczy pozostające w pralce, w której nastąpiło zwarcie.

Lewa dłoń Pieta ścierpła ze wstydu. Zazdrościł małej Nancy, że boi się jedynie bólu. Córka ocierała się o niego, podczas gdy usiłował czytać wymięty egzemplarz „Looka”. Pod włos. Dwa koty. Elektryczność to strach. Pedrick powiedział kiedyś, że można wyobrazić sobie Boga jako fale elektromagnetyczne. Brakowało mu zmagani starego biedaczyska, powinien znów się wybrać do kościoła. Nancy szepnęła coś, czego nie dosłyszał.

– Co? – spytał głośno, zirytowany jej uporczywym obijaniem się.

– Ciii! – krzyknęła, przykładając pospiesznie palec do ust.

Zawstydził ją. Nauczyła się ufać jedynie matce. Gdyby nie zebranie w przedszkolu, Angela sama zabrałaby ją do dentysty. Piet w obliczu wyzwania losu niechętnie zgodził się spełnić ten obowiązek. „W takim razie czyją łaskę sugerujesz w zamian?”. Teraz przepełniało go niezdecydowanie i odraza i tylko zmęczenie obniżało rozterkę do poziomu, który dało się tolerować. Jak oczekiwanie w szkole przed gabinetem dyrektora. Stary Orff, zatwardziały luteranin. Nie znosił Holendrów. Niewolniczy kalwinizm. „Tak mi przykro, proszę pana, okropnie mi przykro, nie wiedziałem”. „Nie wiedziałeś, że ktoś cię będzie obserwował?”. Złapany na gorącym uczynku, kiedy zwieszał się z balustrady w klatce schodowej – konstrukcji z cegły i stali.

– Będzie używał piszczącego urządzenia? – szepnęła nieco wyraźniej Nancy.

– To się nazywa wiertło. Tylko jeśli masz ubytki.

– Widzisz jakieś? – Otworzyła szeroko buzię, ogromne usta, jego usta.

– Nie widzę, kochanie, ale nie jestem dentystą. Jeśli masz ubytki, to bardzo małe, bo masz takie niewielkie ząbki i jesteś małą dziewczynką.

Połaskotał ją, ale była zbyt rozemocjonowana i zaniepokojona, żeby zareagować.

– Powiedz mu, żeby tego nie robił – poprosiła.

– Nie ma wyjścia, taką ma pracę. Jeśli nie pozwolimy mu naprawić co trzeba teraz, później zrobi się jeszcze gorzej.

Przysunął twarz blisko do jej twarzy. Okrągła i biała jak kawałek bibuły, wchłaniała jego odmowę udzielenia ratunku; Nancy nie rozplakała się jednak, i to napełniło Pieta odwagą. Razem weszli do gabinetu Freddy’ego.

Znalazszy się na niebieskim fotelu z podnóżkiem, z wodą pluskającą koło ucha i doktorem Thome’em żartującym nad jej głową z ojcem, Nancy rozluźniła się nieco i pozwoliła, by dentysta spokojnie podążył ścieżkami jej zębów.

– Dwa – oznajmił w końcu, zrobił znaczkę na diagramie i ocenił: – Nie tak źle.

– Dwa bubytki? – spytała Nancy. – Będzie bolało?

– Nie sądzę – powiedział obłudnie Freddy. – Zobaczmy, jak cicho potrafisz się zachowywać. Im cichsza jesteś na zewnątrz, tym cichsza jesteś wewnątrz i tym mniej czujesz pracę wiertła.

Piet przypomniał sobie szary podręcznik o hipnozie, leżący koło łóżka Freddy’ego, i gdyby nie był zdany na jego łaskę, zażartowałby złośliwie na temat amatorskiej psychologii.

– Podasz jej nowokainę? – spytał pokornie.

Freddy spojrział na niego z góry.

– Są bardzo małe – powiedział.

Nancy zniosła pierwsze wiercenie w milczeniu; kiedy jednak Freddy od razu zajął się drugim ubytkiem, jej gardło zagulgotało w proteście. Piet przeszedł na drugą stronę fotela i chwycił ją za drżącą dłoń. Ujrzał usta dziecka, gdzie pomiędzy dwoma nierównymi trzonowcami złudnie nieruchome wiertło tkwiło jak roślina w doniczce. Język Nancy wyginał się nad bolącym miejscem i Piet musiał przytrzymać jej dłoń, żeby nie podniosła jej do ust. Gulgot w gardle zaczął przeradzać się w krzyk. Oczy Nancy, prawie kwadratowe z bólu, otworzyły się i spojrzały na ojca. Piet oblał się potem, który przebiegł mu przez klatkę

piersiową, od pachy do pachy. Korale między wargą Nancy a dolnymi siekaczami, pokryła ślina i pył od wiercenia. Dziewczynka wygięła plecy do góry. Sięgnęła przed siebie wolną ręką, którą Piet złapał i przytrzymał.

– Zróbmy przerwę – poprosił Freddy’ego.

Freddy pochylił się nad trzęsącym się ciałem dziecka. Zaciął usta, a potem otworzył je jak ryba.

– Oho – powiedział i uniósł wiertło, skończywszy. – I proszę – zwrócił się do Nancy. – Warto było robić tyle zamieszania?

Policzki dziewczynki znów stały się płaskie; splunęła do bulgoczącej miski.

– Chciałam tylko jeden – poskarżyła się.

– Ale teraz – odezwał się Piet – mamy wiercenie z głowy i nadchodzi przyjemna część, kiedy doktor Thorne wkłada amalgamat!

– Wcale nie przyjemna – powiedziała Nancy.

– Nie tak łatwo ją przechytryć, prawda? – powiedział Freddy. – Córeczka mamusi.

Na jego ustach pojawił się uśmiezek zadowolenia.

– Nie trzeba było tak ochoczo zabierać się do wiercenia.

– To były niewielkie ubytki. Zadrapania na szkliwie. Sama się wystraszyła. W domu też jest taka lękliwa?

– Jest nieufna, ma to po mnie. Starsza dziewczynka zachowuje się bardziej stoicko, jak Angela.

– Angela nie ma stoickiej natury, to tylko twoja teoria. Ja uważam, że cierpi. – Uśmiech dentysty świadczył o tym, że Freddy ma dostęp do kopalni wiedzy, do tajemnego strumienia biegnącego pod powierzchnią rzeczywistości. Naprawdę, co za cholerny palant. Asystentka z pasemkami weszła, żeby przygotować amalgamat.

Nastąpił koniec cierpień Nancy. Freddy zrobił wypełnienia i wygładził je.

– Możemy porozmawiać przez chwilę na osobności? – Piet zdobył się na odwagę.

Freddy podniósł wzrok. Jego oczy, widoczne przez szkła powiększające uzupełniające okulary, były monstrualne.

– Mam dzisiaj spore opóźnienie w pracy.

– W porządku, nie ma sprawy. – Piet poczuł ulgę. – To nieważne. Może innym razem.

– Chwileczkę, panie Złota Rączka. Nie bądź pan taki w gorącej wodzie kąpany. Przecież mogę poświęcić chwilkę.

– To może zająć nawet dwie chwilki – powiedział Piet, nie mając już drogi ucieczki.

– Jesteś wolna, Nancy – oznajmił Freddy. – Idź z Janet, może znajdzie się dla ciebie jakiś lizak.

Wprowadził Pieta do małego bocznego pokoju, gdzie trzymał stary fotel i sprzęt, na wyjątkowe sytuacje i do czyszczenia. Okno wychodziło na ogródki okolicznych domów, było też przez nie widać iglicę kościoła kongreacjonalistycznego, płamę odbijającego się od złota światła. Freddy w kapłańskiej bieli wydawał się o wiele wyższy od Pieta. Policzki Pieta pokryły się rumieńcem. Freddy przetaił w oczekiwaniu okulary; lata złośliwości utrwaliły jego przebiegłą minę.

– Obaj znamy pewną panią... – zaczął Piet.

– Obaj znamy kilka pań.

– Wysoką, z długimi blond włosami i panińskim nazwiskiem, które oznacza zwierzę.

– To urocza dama – powiedział Freddy. – Słyszałem, że jest świetna w łóżku.

– Tego nie słyszałem – powiedział Piet. – Tak czy inaczej, rozmawiałem z nią...

– Nie w łóżku?

– Nie. Raczej przez telefon.

– Ja sam uważam, że telefon wcale nie wystarcza.

– Próbowaleś się masturbować?

– Piet, kochanie. Nie mam zbyt dużo czasu. Mów, o co chodzi. Wiem, co chcesz mi powiedzieć, ale chcę to usłyszeć od ciebie.

– Ta dama powiedziała mi, a może powiedziała komuś, kto potem zdał mi relację, że znasz dżentelmena, który przeprowadza operacje o niestomatologicznym charakterze.

– Może znam, może nie.

– Zgaduję, że nie znasz. – Piet wykonał gest, by przepchnąć się koło niego do zamkniętych drzwi.

Freddy zatrzymał go lekkim dotykiem, sprawnym ruchem technika.

– A jeśli znam?

– Na pewno? Muszę móc ci zaufać. Odpowiedz „tak” lub „nie”.

– Przyjmijmy, że tak.

– W takim razie, drogi Freddy, ta dama potrzebuje twojej przyjaźni.

– Stary, pobożny Piecie, mój przyjacielu. Mówisz tylko o niej. A co z nami? Czy ty przypadkiem także nie potrzebujesz mojej przyjaźni?

– Być może.

– Prawdopodobnie.

– W porządku. Prawdopodobnie.

Freddy wyszczerzył zęby; rzadko kiedy je pokazywał. Były małe, poprzedzielane szparami i pokryte kamieniem.

– Nie podoba mi się ta gra, wychodzę – powiedział Piet. – Blefujesz. Przed nią też blefowałeś, żeby skłonić mnie zwierzeń. Oślizgły z ciebie facet.

Freddy ponownie go powstrzymał, przytrzymując za ramię z urażoną serdecznością, jak gdyby lata sarkazmu i pogardy dawały mu prawo, by domagać się przywiązania.

– Nie blefuję. Potrafię dotrzymać słowa. To nie takie proste, ja też ponoszę ryzyko, ale można załatwić sprawę czysto. Ten człowiek to idealista, szaleniec. Wierzy w to, co robi. W Bostonie. Znam ludzi, którzy korzystali z jego usług. W którym jest miesiacu?

– Drugim. Dopiero.

– Świetnie.

– To naprawdę możliwe? – Dobra wiadomość rozchodziła się żyłami Pieta jak narkotyki; czuł się zniewieściał, uległy, wdzięczny jak pies.

– Powiedziałem, że potrafię dotrzymać słowa. A ty?

– Chodzi o pieniądze? Ile sobie liczy?

– Trzysta. Czteryście. Zależy.

– Nie ma problemu.

– Jeśli chodzi o niego, nie. Ale co ze mną?

– Ty też chcesz forsę? – Piet z radością przyjął kolejne potwierdzenie faktu, że Freddy zasługuje na pogardę. – Proszę bardzo. Podniesiemy stawkę.

Za drzwiami dało się słyszeć szuranie.

– *Uno momento*, Jeanette – zawołał Freddy.

– Kiedy pójdziemy do domu, tatusiu?. – odpowiedział przestraszony głos Nancy.

– Minutkę, koteczku – odparł Piet. – Idź do poczekalni i obejrzyj sobie jakieś pismo. Doktor Thorne robi mi prześwietlenie.

Freddy uśmiechnął się, słysząc jego wytłumaczenie.

– Stałeś się bardzo pomysłowym kłamcą.

– Tak to już jest w branży budowlanej. Rozmawialiśmy o pieniądzach.

– Nieprawda. Starzy przyjaciele, jak ty i ja, nie rozmawiają o pieniądzach. W naszym przypadku, stary przyjacielu, taka forma rekompensaty nie wchodzi w grę.

– Co innego mogę ci dać? Miłość? Łzy? Dozgonną wdzięczność? Może nowy kombinezon do nurkowania?

– Ależ z ciebie kawalarz. Bawisz się życiem i śmiercią, ale nie przestajesz żartować.



Pewnie dlatego kobiety tak cię kochają. Piecie, wyłożę ci to bez ogródek Istnieje między nami niezbilansowana sprawa. Byłeś z Georgene, zgadza się?

- Jeśli ona tak twierdzi. Zapomniałem już, jak to w sumie było.
- Z drugiej strony ja, chociaż zawsze szczerze podziwiałem twoją wybrankę, nigdy...
- Nie ma mowy. Nigdy się na to nie zgodzi. Nienawidzi cię.
- Nieprawda. Raczej się jej podobam.
- Ma cię za palanta.

– Uważaj, panie Brudna Rączka. Teraz to ja kieruję przedstawieniem i mam już dość docinków. Chcę jednej nocy. To skromne żądanie. Jedna noc z Angelą. Załatw to, przyjacielu. Powiedz jej, co trzeba. Powiedz jej wszystko. Spowiedź jest dobra dla duszy.

– Żądasz czegoś niemożliwego. I powiem ci, dlaczego to robisz: tak naprawdę nie jesteś w stanie mi pomóc. Jesteś oślizgłym, nic niewartym gadem.

Szybkim, żartobliwym ruchem Freddy przyłożył sobie zakrzywione palce wskazujące.

– Sam je przyprawiłeś, stary. Jesteś ekspertem. Ja jestem zaledwie przeciętnym, naiwnym ciułaczem, który nie robi kariery, pieprząc cudze żony. – Pozbawiona owłosienia twarz Freddy’ego przybrała wyjątkowo paskudny wyraz; przypominała tylną stronę jakiegoś miękkiego, pozbawionego oczu stworzenia morskiego, którego otwór gębowy dubluje odbyt. – Sam wykopałeś sobie grób, holenderski chłopczyku.

Po raz kolejny Piet skierował się do drzwi i tym razem nie został powstrzymany. Otworzył je z rozmachem i zdumiony zrobił krok do tyłu. Nancy nie wykonała jego polecenia; stała pod drzwiami, nasłuchując. Usta miała zaciśnięte wokół patyczka od lizaka, a jej oczy mówiły, chociaż nie potrafiła wyrazić tego słowami, że wszystko wie.

Piet opowiedział Foxy przez telefon o propozycji Freddy’ego.

– To zabawne – stwierdziła. – Zawsze sądziłam, że już ze sobą spali albo że przynajmniej mieli taki zamiar.

– Skąd ten wniosek?

– Ze sposobu, w jaki zachowują się na przyjęciach. Czują się swobodnie w swoim towarzystwie, utrzymują bardzo przyjacielskie stosunki.

– O ile wiem, Angela nigdy mnie nie zdradziła.

– Chwalisz się czy narzekasz?

– Jesteś w świetnym humorze. Jaki powinien być nasz kolejny krok?

– Nasz krok? Teraz wszystko zależy od Angeli, nieprawdaż?

– Chyba żartujesz. Nie mogę jej czegoś takiego zaproponować.

– Dlaczego nie? – Zniecierpliwienie pokonało zmęczenie w jej głosie. – To nie jest aż taki wielki problem. Kto wie, może sprawi jej przyjemność uciec od ciebie na jedną noc.

„On jej robi krzywdę”, chciał wytłumaczyć Piet. „Freddy Thorne skrzywdzi Angelę”.

– Ale to oznacza, że muszę jej opowiedzieć o nas.

– Nie rozumiem dlaczego. Jeśli cię kocha, robi to po prostu dlatego, że ją o to prosisz. Jeśli odpowiednio rozegrasz sytuację. To twoja żona, niech sobie na to miano zasłuży. My zabawiamy cię od dłuższego czasu, więc i ona mogłaby poświęcić się dla sprawy.

– Twarda jesteś.

– Staram się.

– Proszę, Fox. Nie każ mi jej o to prosić.

– Nic ci nie każę. Jak bym mogła? To sprawa między wami. Jeśli jesteś zbyt wielkim tchórzem albo ona jest za święta, będziemy musieli przekonać Freddy’ego w inny sposób lub zrobić to bez niego. Mogłabym spróbować zdać się na łaskę lekarza z Cambridge. Nie jest katolikiem. Mogłabym powiedzieć, że przeżywam załamanie nerwowe. To niezupełnie kłamstwo.

– Naprawdę uważasz, że udział Angeli wchodzi w grę? Zrobiłabyś coś takiego, żeby

ratować Kena?

– Zrobiłabym to, żeby ratować siebie. Prawdę mówiąc, już to proponowałam.

– Co proponowałaś? Ze prześpisz się z Freddym?

– Nie podnoś głosu. Nie możesz się tak zachowywać. Oczywiście, że to zrobiłam, mniej więcej. Nie podciągnęłam spódnicy, ale co innego mogłabym mu zaoferować? O czym zawsze rozmawiają kobiety i mężczyźni? Ale odrzucił moją propozycję. Zresztą w dość miły sposób. Powiedział, że za bardzo przypominam mu matkę, której zawsze się bał. Ale możliwe, że podsunęłam mu pomysł, by zażyczyć sobie Angeli. Sądzę, że tak naprawdę chce się dobrać do ciebie.

– Z powodu Georgene?

– Dlatego że zawsze traktowałeś go z pogardą.

– Nie uważasz, że może po prostu ma ochotę na Angelę?

– Proszę cię, nie próbuj wymuszać na mnie komplementów dla żony. Wszyscy wiemy, że jest wspaniała. Nie mam pojęcia, czego tak naprawdę chce Freddy. Wiem tylko, czego naprawdę chcę ja. Żeby to cholerstwo przestało wreszcie we mnie rosnąć.

– Nie płacz.

– Natura jest bezsensowna. Uruchomiła już we mnie odpowiednie gruczoły. Wiesz, co to oznacza? Wiesz, co jest najwspanialszą rzeczą, jaką odkryłam, będąc w ciąży? Coś, czego wcześniej nie byłam w stanie sobie wyobrazić. Nigdy nie jest się samym. Kiedy rośnie w tobie dziecko, nigdy nie jesteś sama. To prawdziwa osoba.

Już jej mówił, żeby nie płakała.

– Naprawdę uważasz... że mogłaby?

– Na miłość boską, jest człowiekiem jak wszyscy, nie mam pojęcia, co robi, a czego nie. Ty nadal wyobrażasz sobie chyba, że istnieje los gorszy od śmierci. To twoja wspaniała żona, rozwiążcie to między sobą. Daj mi tylko znać, jak ci poszło, żebym ewentualnie zaczęła szukać innego rozwiązania. Sądziłam, że dobrze się spisałam, wyławiając Freddy'ego Thorne'a.

– To prawda. Jesteś bardzo dzielna i zaradna.

– Dziękuję za komplement.

– Postaram się – zapewnił Piet. – Masz rację. Nie sądzą, żeby się udało. Możliwe, że zamiast tego zażąda rozwodu, ale jeśli się uda, Foxy, kochanie...

– Tak, kochanie.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to będzie koniec naszego... koniec nas.

– Oczywiście – powiedziała Foxy i odłożyła słuchawkę.

Następnego ranka Nancy opisała swój pierwszy zapamiętany w życiu sen. Ona i Judy Thorne siedziały na osłoniętej werandzie i łapały biedronki. Judy złapała jedną z pojedynczą kropką na grzbiecie i pokazała ją Nancy. Nancy złapała biedronkę z dwiema kropkami i pokazała ją Judy. Potem Judy złapała biedronkę z trzema kropkami, a Nancy z czterema. Dlatego że (wy tłumaczyło dziecko) kropki oznaczały ilość lat życia robaczek!

Opowiedziała sen matce, która namówiła ją do powtórzenia go ojcu przy śniadaniu. Piet był poruszony, będąc świadkiem wkroczenia córki w nowy wymiar życia, równie ważny jak szkoła. Wzruszył go niewielki zasób obrazów – osłonięta weranda (ani oni, ani Thorne'owie takiej nie posiadali, więc kto?), biedronki (poza żółwiami stworzenia najbardziej przypominające zabawki), tajemna moc numerów, kształtujących czas i przestrzeń. Piet wyobraził sobie długi, dopiero zaczynający się poszerzać korytarz snów Nancy i zapragnął zawsze móc słuchać, jak je opowiada, zestarzyć się przy niej i ją chronić. Dla jej dobra musi sprzedać Angelę.

– Aniele?

– Mm?

Leżeli w łóżku przed snem, przy zgaszonym świetle. Nie kochali się; Piet nie miał zamiaru już nigdy więcej z nikim się kochać.

– Uwierzyłybyś – odezwał się – gdybym ci powiedział, że mam poważne kłopoty?

– Tak-odparła.

– Jakiego rodzaju kłopoty? – spytał ze zdumieniem.

– Nie dogadujesz się z Gallagherem.

– To prawda. Ale ten problem jest do rozwiązania. Wyprostuję sprawy z Mattem, kiedy tylko uda mi się wyjść z innych kłopotów.

– Chcesz o tym porozmawiać? Przysypiam już, ale mogę się wybudzić, jeśli trzeba.

– Nie mogę o tym wszystkiego powiedzieć. Zaakceptujesz to?

– Tak.

– A uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział, że mogłabyś mi ogromnie pomóc, robiąc pewną specyficzną rzecz?

– Na przykład rozwodząc się z tobą?

– Nie, zupełnie nie to. A myślisz o tym?

– Czasami. Niepokoi cię to?

– Raczej tak. Kocham nasz dom.

– Ale nie oznacza to, że kochasz mnie.

– Ciebie też, oczywiście. – Jego słowa zabrzmiały oschle; czuł, że oddalają się od tematu, od pytania, które musi zadać. Być może istniała możliwość przedstawienia tego jako naturalny bieg wypadków, niespodziewany zakręt losu. Podjął rozmowę: – Nie. To, co mogłabyś dla mnie zrobić, zajęłoby tylko jedną noc.

– Mam się przespać z Freddyem Thorne'em – powiedziała.

– Czemu tak uważasz?

– A nie o to chodzi?

Pośród miękko zalegających ciemności Piet nie był w stanie złapać oddechu, żeby odpowiedzieć; leżał na łóżku jak na wodzie, utrzymując na powierzchni jedynie nos i oczy.

– Czemu tak uważasz? – powtórzył w końcu.

– Bo zawsze mi mówił, że któregoś dnia wylądujemy razem w łóżku. Od lat chciał znaleźć na ciebie haka. Udało mu się?

– Tak – odparł Piet.

– I tego właśnie chce?

Pokiwał w milczeniu głową, przez co wprawił łóżko w lekkie drzenie.

– Nie bądź taki szokowany – ciągnęła Angela głosem miękkiem jak ciemność. – Freddy pracuje nad tym od lat i ciągle zdaje mi relacje, więc to dla mnie dość zabawne. Zawsze wydawało mi się dziwne, że nigdy nie poprosił wprost, ufając własnemu urokowi, ale zakładał, że musi do tego dojść, grożąc tobie. Nie kocham go, oczywiście, ale Freddy potrafi być czasem czarujący, a ja jestem z tobą wystarczająco nieszczęśliwa, więc możliwe, że uległabym mu tak czy inaczej, gdyby był bardziej bezpośredni. Chcesz usłyszeć coś smutnego?

Znów pokiwał głową, ale tym razem drzenie łóżka było tylko celowo wywołanym efektem teatralnym.

– To jedyny mężczyzna w mieście, któremu kiedykolwiek się podobałam – powiedziała. – Eddie Constantine zabrał mnie na przejażdżkę na skuterze, ale nigdy nie próbował posunąć się dalej. Po prostu nie podobam się mężczyznom. Co jest ze mną nie tak?

– Nic.

– Coś musi być. Nie nadaję na niczyich falach. Nawet z dziećmi trudno mi się porozumieć, od kiedy Nancy nie jest już dzidziusiem. Jestem taka samotna, Piet. Nie. Nie dotykaj mnie. To czasami pomaga, ale teraz nie skutkuje. Naprawdę wydaje mi się, że nie do końca istnieję; dlatego chciałam iść do psychiatry. Sądzę, że przydałaby mi się fachowa pomoc. Muszę pójść

do szkoły, w której przedmiotem jestem ja sama.

Piet wyczuł, że z ciemności wylaniają się warunki umowy. Dalekie latarnie wzdłuż Nun Bay's Road, bzy o poskręcanych gałęziach, bezlistne wiązy w kształcie dzbanów i odbijający światło śnieg tworzyły na ścianach wzory, które pojawiały się jedynie zimą.

– Czemu nie? – powiedział. – Jeśli wszystko wróci do normy.

– Jeśli – powtórzyła Angela. – Jedno pytanie. Jestem ogromnie ciekawa, ale zadam tylko jedno. Ufasz Freddy'emu? Ze dotrzyma umowy?

– Nie wiem dlaczego, ale mu ufam. Być może ma potrzebę zaimponowania mi jako człowiek honoru.

– Chce mnie tylko raz?

– Tak mówił.

Zaśmiała się krótko i odwróciła się do niego plecami.

– Zdaje się, że nie wzbudzam w mężczyznach wielkich namiętności.

Jej słowa były stłumione, ale zabrzmiały ironicznie. Piet uniósł się na łokciu, żeby lepiej słyszeć. Płakała? Chciała umrzeć?

– Wolałabym nie robić tego tutaj, w mieście – odpowiedziała na jego ruch. – Za dużo tu samochodów i dzieci, na które trzeba uważać. Czy Thorne'owie nie wybierają się z nami na narty w weekend z urodzinami Waszyngtona?

– Pewnie, nie pozwolą, by cokolwiek ich ominęło.

– Dzieci będą spały w pokojach z piętrowymi łózkami, a my prawdopodobnie dostaniemy pokoje w tym samym korytarzu. Spałeś z Georgene?

Zawahał się, ale zrozumiał, że przeszli do zupełnie nowego etapu w ich wspólnym życiu.

– Kiedyś – przyznał.

– W takim razie wszystko ładnie się układa. Nie, Piet, nie dotykaj mnie. Naprawdę muszę już spać.

Na tablicy ogłoszeń w pensjonacie nadal wisiały zdjęcia z letnich wakacji, jakby mówiły: „To ja, to łagodne brązowe jezioro, to obsypane liśćmi brzozy, a nie obecne, przypominające maskę śmierci śniegi i lody”. Zepsuty zegar z kukułką wisiał na swoim miejscu w wysokim, zasnutym pajęczynami rogu pokoju, telewizor trzeszczał ignorowanymi wiadomościami, a podstarzali młodzi właściciele chodzili tam i z powrotem, nosząc popielniczki oraz tacki z kostkami lodu i nie kryjąc niezadowolenia. Stawki za pokoje zostały podniesione. Sos rodzynekowy do pieczeni nie był już tak gęsty. Czworko nieznajomych grało w brydża, a pary z Tarbox bawiły się w „słowa”, siedząc na podłodze. Whisky rozlała się po ich ciałach tryumfalną, przyjemną ociążałością – byli ocalałymi szczęśliwcami, zatrudnionymi, zdrowymi i wolnymi. Tego dnia zbocza świeciły, odbijając świąteczne słońce, które każdego dnia zataczało wyższy luk. Szczyt był oblodzony, w połowie stoku i na zacienionych trasach leżał puch, na samym dole cukier, a przy schronisku rozmokły śnieg, spod którego przebijało błoto. Silne słońce oraz kłujące, skrzące się chmury suchego śniegu, spadające zniechęcająco ze zwieszających się nad trasami gałęzi, niełatwe warunki i wielkie muldy, uformowane przez dwa miesiące skręcania i hamowania krawędziami, zmuszały narciarzy do sporego wysiłku i wypełniały ich ciała luksusowym znużeniem. Kolejno udawali się na spoczynek, znacznie wcześniej niż poprzedniego roku, kiedy to Freddy karmił Applesmithów swoimi fantazjami. Teraz Jonathan, mniejszy Smith, już prawie trzynastoletni, wykazywał znacznie więcej energii niż rodzice i zmuszał Frankiego Appleby'ego, dwa lata młodszego i marudzącego sennie, by grał z nim w szachy i przegrywał partię za partią. W końcu Harold i Marcia sami się podnieśli i zabrali syna do ogrzewanego piecykiem gazowym domku, gdzie spały już Henrietta i Julia. Chwilę później wyszli Frank i Janet Appleby. Tego roku obie pary wynajęły domki po przeciwnych końcach, na prośbę Janet. Potem podnieśli się Guerinowie (choć Freddy bardzo przekonywał Rogera, by został na jeszcze jednego drinka, podczas gdy Bea

rzucali Pietowi porozumiewawcze, pożegnalne spojrzenia), a potem wyszli w mrok bezksiężycowej nocy i skierowali się do domku z szumiącym piecykiem. W salonie zostali Gallagherowie, Hanemowie i Thorne'owie. Whitmanowie nie jeździli na nartach. Eddie Constantine, który awansował na bardziej odpowiedzialne stanowisko, pilotował do San Juan wspaniały nowy odrzutowiec, rozgrzanego boeinga 727, z trzema silnikami. O Saltzach, którzy wcześniej zapewniali, że tego roku mają zamiar nauczyć się jeździć na nartach, krążyła plotka, że przyjęli propozycję z Cleveland i opuszczają Tarbox; natychmiast więc stali się pariasami. Matt Gallagher rzucił kilka konwencjonalnych żartów, odkaszlnął z powagą i oznajmił, że idzie spać. Zaznaczył, że to jego własna decyzja, dając do zrozumienia, że daje Terry wolny wybór. Terry, która z powodów znanych tylko Carol Constantine przestała pobierać lekcje garncarstwa, wstała szybko z miejsca, oznajmiając, że ona również idzie spać. Hanemowie i Thorne'owie zostali sami, siedząc na stojących do siebie przodem sofach, rozdzielonych stolikiem z drewna klonowego, zarzuconego starymi numerami „Ski” i „Vogue’a”.

– Wygląda na to, że ostatnimi czasy nie macie sobie z Mattem wiele do powiedzenia – zwrócił się do Pieta Freddy.

– On robi swoje, ja swoje – odparł Piet.

Freddy uśmiechnął się podejrzanie.

– Niewiele masz ostatnio pracy, prawda, Zwinna Rączko? – spytał.

– Ale niedługo się zacznie. Jak tylko skończą się mrozy, wracamy na Indian Hill. Plan na nadchodzące lato to sześć nowych domów.

Jeszcze w zeszłym roku nie dałby Freddy'emu satysfakcji, udzielając tak wyczerpującej odpowiedzi, brzmiącej prawie jak przeprosiny.

Angela wyprostowała się i odsunęła niewidzialną zasłonę.

– A więc. Czy to ta noc?

Twarz miała zaczerwienioną od słońca i wiatru, a oczy tak zmienione pod wpływem pięknego dnia i niecodziennej dawki ruchu na świeżym powietrzu, że jej tęczy zlewały się ze źrenicami. Z kombinezonu przebrała się w jasnofioletowy sweter z dużymi oczkami i białe, rozszerzane od kolan spodnie; była boso. Stała się Janet Appleby.

– Nie mam zamiaru tego słuchać – powiedziała Georgene. – Idę do łóżka, zamykam się na klucz i wezmę tabletkę nasenną. Wy róbcie sobie w trójkę, co chcecie. Mnie w to nie mieszajcie.

Stała, jak gdyby czekając, że ktoś się jej sprzeciwi.

– Ale to ty zaczęłaś, Georgene, kochanie – powiedział Freddy. – Wet za wet. Wszystkich powinny obowiązywać te same zasady, itd.

– Jesteś godny pogardy. Wszyscy jesteście.

Z nieustępliwie ściągniętym podbródkiem przeszła przez krąg światła kilku lamp, kierując się do schodów. Przebywanie cały dzień na słońcu pozostawiło na jej twarzy pierwsze ślady opalenizny.

– A niech tam – odezwał się Freddy, kiedy mogła jeszcze to usłyszeć. – Odwołajmy wszystko. Chciałem po prostu zobaczyć waszą reakcję.

– Nie, proszę pana – powiedziała Angela. – To jakaś umowa i mamy zamiar jej dotrzymać. Chodźmy już lepiej na górę, bo całe to świeże powietrze zaczęło mnie osłabiać i robię się coraz bardziej senna.

Piet nie był w stanie spojrzeć na żadne z nich. Ich twarze, rozmazane plamy u góry jego pola widzenia, zdawały się zniekształcone, tak bardzo, że gdyby ośmielił się podnieść wzrok, mógłby mimowolnie zacząć śmiać się albo płakać.

– Dajmy Georgene moment na powrót do pokoju – powiedział, spoglądając w dół na swoje skarpety. – Freddy, chcesz iść po szczoteczka do zębów czy coś?

– Bierze pigułki antykoncepcyjne, prawda?

– Oczywiście. Witaj w raju.

Piet pozostał na sofie, podczas gdy oni skierowali się w stronę schodów. Angela pocałowała go na pożegnanie w policzek; nie poruszył głową. Bardzo wyraźnie poczuł zarys jej ust, jak gdyby była ogrzana przez ogień kamienną rzeźbą. Odważył się spojrzeć dopiero, kiedy zniknęła na górze, patrząc prosto przed siebie, z delikatnymi włosami rozpuszczonymi, które cały dzień ścisnęła czerwoną opaską na uszy. Freddy szedł za Angelą, niepewnie trzymając blade dłonie przy klatce piersiowej; usta miał otwarte, jakby chciał zrobić balona.

Korytarz na piętrze był cichy, oświetlała go jedna żarówka. Drzwi Georgene wyglądały na zamknięte na klucz. Z przylegającego pokoju Gallagherów dochodził cichy szmer głosów. Bosa Angela bezszelestnie poprowadziła Freddy'ego do swojej sypialni. Nim zdążyli się dotknąć, przeprosił ją i wyszedł do łazienki. Kiedy wrócił, Angela miała na sobie koszulę nocną, prostą, bawełnianą, w jakich śpią dzieci, z zielonym kwiatkiem przyszytym na dekolcie. Pojedyncze okno pokoju wychodziło na niewielki taras, na którym latem można się było opalać; na balustradzie leżał śnieg rzeźbiony przez słońce w barokowe kształty, utrwalone przez wieczorny przymrozek. W sypialni znajdowało się podwójne łóżko z mosiężną ramą, porcelanowa umywalka, zabrudzona ciepłą wodą ciekącą z kranu, tanie lustro, stary fotel na biegunach, pomalowany na cynobrowy kolor, jasnożółta sosnowa komoda i czarny, podrapany nogami budzika stolik nocny. Leżała na nim antologia *Poza zasadę przyjemności* w miękkiej okładce i stała mała, pstra lampka, rzucająca pomarańczowe światło. Angela rozczesała elektryzujące cicho długie włosy, a potem pochyliła się, by wyłączyć lampkę. Blask przeświecił jej skromną koszulę, zarysował pochyłą sylwetkę, pofałdowany brzuch, duże piersi, zwieszające się w czerwonej pościeli jak ospałe ryby w akwarium wypełnionym wodą różaną. Dało się słyszeć pstryknięcie i miejsce Angeli zajął jej duch.

– Nie zdejmiesz ubrania? – spytała Freddy'ego spoza zasłony potarganych włosów.

Niektóre z kosmyków, które wykręciły się na zewnątrz pod wpływem intensywnego szczytkowania, miały na de okna świetliste obramowanie. Angela zachowywała się swobodnie, wyczekująco. Freddy czuł w pobliżu obecność jej wypełnionego krwią ciała jak zwierzę, które wyczuwa bliskość wody, ofiary albo drapieżnika.

– Chętnie – odparł – ale może się najpierw napijemy? Nie masz może czegoś w walizce, jakiegoś małego jacka danielsa?

– Przywieźliśmy burbona, ale został na dole. Mam iść i wziąć go od Pieta?

– Jezus, nie. Nie zbliżaj się do niego.

– Naprawdę potrzebujesz alkoholu? Sądziłam, że wypiełeś już dość.

Miał wrażenie, że wewnątrz jego ust jest szorstkie, jak gdyby przeżuł i połknął dużą ilość sześciennych klocków. Nieprzyjemne uczucie zeszło niżej, do żołądka. Długo wyczekiwana bliskość Angeli wytrąciła w nim trucizny.

– Widzę, że nadal czytasz Freuda – powiedział.

– Te rozprawy są wspaniałe. Surowe i eleganckie. Mówi, że wszyscy, wszystkie zwierzęta, nosimy swoją śmierć we wnętrzu, że to, co organiczne, pragnie powrócić do stanu nieorganicznego. Chce odpocząć.

– Czytałem to dawno temu. Wydaje mi się, że wtedy miałem na ten temat wiele wątpliwości.

Jak sparaliżowany poczuł, że Angela zaczyna rozpinać mu koszulę. Unieruchomiła go wizja szklanki z whisky – bursztynową, jaśniejącą od rozpuszczającego się lodu – i przekonanie, że pachnący dymem złoty destylat usunąłby jego wewnętrzne trudności. Pozwolił Angeli rozchylić sobie koszulę i mocować się przez chwilę z rozporkiem, dopóki sama się nie odwróciła, zirytowana własnym brakiem wprawy. Podeszła do okna i wyjrzała przez nie szybko, a potem ściągnęła koszulę i rzuciła się z wyprostowanymi nogami i podskakującymi piersiami na starannie pościelone łóżko.

– Jakie zimne! – wykrzyknęła, naciągając kołdrę na twarz i wymamrotała spod niej: – Pospiesz się, Freddy.

Wyobraził sobie Pieta z butelką whisky, w długim salonie, złotym od światła z kominka. Rozebrał się do bielizny i wsunął się pod kołdrę.

– Hej! – powiedziała Angela. – Oszukujesz.

– Przestraszyłaś mnie, mówiąc, że łóżko jest zimne.

– Rozgrzejmy je. – Dotknęła go. – O, nie jesteś podniecony.

– Jestem w szoku – wyznał Freddy, grając na zwłokę i poprawiając pościel. Łóżko najpierw opierało się jak dziewica, a potem kołdra się splątała, odsłaniając plecy Freddy'ego.

– Piet zawsze... – Angela urwała. Miała zamiar powiedzieć: „...jest podniecony?”. Zamiast tego spytała: – Nie kręcę cię?

– Oszalamiasz mnie. Zawsze cię kochałem.

– Nie musisz tego mówić. Nic ze mnie nadzwyczajnego. Czasem przeglądam się w lustrze, które Piet podarował Ruth, i widzę sękatą, grubą chłopkę z żyłami na wierzchu, o malutkich, czerwonych stopach i uroczej owalnej główce, która nie pasuje do reszty. Piet nazywa mnie delfinem.

Przypomniała sobie, że nazywał ją tak w łóżku, kiedy odwracała się do niego tyłem, mając go nadal w sobie, i ukazywała wygięte plecy, które gładził szorstkimi dłońmi.

– Jak wam się z Pietem układa?

Angela zdała sobie sprawę, że Freddy ma ochotę porozmawiać, co przypuszczalnie będzie miało efekt usypiający. Połaskotała go w obnażony brzuch między gumką od slipów a brzegiem podkoszulki.

– Lepiej, naprawdę – odparła. – Ostatnio czymś się zamartwiał, ale ogólnie sędzę, że po raz pierwszy od lat czujemy więcej przyjemności z bycia ze sobą. Myślę, że cały rok zajęło mi wybaczenie mu, że nie kupił domu Robinsonów. Teraz już Whitmanów. Ci ludzie nie zrobili na mnie dobrego wrażenia.

Podciągnęła mu podkoszulkę i przytuliła się do jego piersi.

– Ale... jak się pogodziłaś z tym? – spytał.

– Z czym? – Zaskoczone milczenie Freddy'ego wywołało jej śmiech; pulchne, ciepłe piersi drżały przy jego skórze, a wprawione w ruch łóżko jęknęło. – Ze mamy się ze sobą przespać? Powiedział mi, że powinnam to zrobić. Kobiety z rodziny Hamiltonów są posłusznymi żonami. Poza tym byłam ciekawa, jak to będzie. I muszę powiedzieć, Freddy, że zachowujesz się pasywnie. Zdejmij z siebie to głupie ubranie.

Udało jej się ściągnąć mu nieco niżej gumkę od slipów. W przeciwieństwie do Pieta, nosił obcisłe majtki, jak mały chłopiec. Kiedy był już nagi, zaczęła obmacywać mu boki i ramiona.

– Freddy Thorne – oznajmiła. – Jesteś pulchny. – Zeszła niżej palcami. – I nadal mały – powiedziała oskarżycielsko.

Delikatne i ciepłe, jego genitalia leżały w jej dłoni jak trzy ugotowane, obrane ze skorupki i ostygłe jajka niesione do stołu. To doznanie zniechęciło Angelę. Nigdy by nie pomyślała, że mężczyzna mógłby się zachowywać z kobietą tak spokojnie. Piet nie wytrzymałby tyle. Nawet gdyby spał. Najprzyjemniejszy moment. Nie schowane bezpiecznie wewnątrz, jak u kobiet. Szukające przygody. Podatniejsze na urazy.

Freddy ostrożnie położył dłoń na plecach Angeli, jak gdyby z nią tańczył. Jej skóra wydawała się ciemna, oleista, negroidalna: płaskie, szerokie mięśnie, gładko zachodzące jedno na drugie, masywne pośladki jak księżycy uniesione ze starożytnej ziemi. Beznamiętna moc jej ciała przerażała go. Angela, najbardziej wyniosła z kobiet, której nieśmiałość i umiejętność wrażliwego słuchania rozbudzała w jego gadatliwym języku ostrość wiertła drążącego miążgę, powinna skrywać pod ubraniami równie zachłanną wielkość ciała, jaką przytłaczały Freddy'ego inne kobiety. Tymczasem czując mdłości i rozczarowanie, odnajdywał dotykiem drogę poprzez gładką, czarną jak lawa skórę. Zdawało mu się, że dłoń

trzymająca jego jaja zacznie zaraz je szarpać.

– Porozmawiajmy – poprosił.

Pragnął usłyszeć pośród ciszy jej głos wybaczący mu.

– Czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić? – spytała. – Coś specjalnego?

– Po prostu porozmawiajmy. Nie jesteś ciekawa, o co chodzi w naszej umowie?

– Nie. Wydaje mi się, że to coś przerażającego, i nie chcę tego słyszeć. Za daleko się zapędziliśmy, żeby wszyscy o wszystkim wiedzieli. To okropne z mojej strony, ale nigdy nie interesowały mnie kobiety Pieta. Dla mnie to nie bardziej jego sprawa niż chodzenie do łazienki. Pewnie nie zdajesz sobie sprawy, ale w domu zachowuje się wspaniale.

– Opowiedz mi o tym. Nigdy nie byłem w stanie wyobrazić sobie, jak się pieprzycie.

– To zabawne, Freddy. Idealizowałeś mnie chyba albo pomyliłeś z kimś innym. Piet i ja nie... – nie była w stanie wypowiedzieć tego słowa, zdawało się, że przez wzgląd na niego – ...tak często, jakby chciał, ale oczywiście robimy to. Właściwie coraz częściej.

– Spałaś kiedykolwiek z kimś innym?

– Nigdy. Dlatego pomyślałam, że może powinnam.

– Dlaczego?

– Żeby nauczyć się czegoś nowego.

– Dla Pieta. Cholera. Spójrz prawdzie w oczy, Angelo. Wyszłaś za sukinsyna. Despotę, który cię stręczy. Tak cię zastraszył, że prześpisz się z każdym, kogo ci wskaże.

– Ty nie jesteś każdym, Freddy. Ufam ci, jako tako. Jesteś do mnie podobny. Chcesz uczyć.

– Kiedyś chciałem. A potem dowiedziałem się ostatej rzeczy, jakiej można uczyć innych, i postanowiłem na tym poprzestać.

– Jakiej ostatej rzeczy?

– Umieramy. Nie przez sekundę, kiedyś tam, w przyszłości. Umieramy cały czas, we wszystkich kierunkach. Każdy posiłek niszczy nam szkliwo nazębne.

– Hej, powiększył się.

– Śmierć mnie podnieca. Umierać to być pieprzonym przez Boga. Będzie rozkosznie.

– Przecież nie wierzysz w Boga.

– W tego wierzę, Wielkiego Pana Śmierci. Codziennie czuję jego zapach między zębami ludzi.

Miał nadzieję, że brutalna wizja odsunie ją trochę, ale Angela przytuliła się jeszcze mocniej, napierając na niego bezkształtnym ciepłem. Dotknęła nogami jego stóp i zagłębiła mu podbródek w piersi, w twardej kości na prawo od serca.

– Pieta przeraża śmierć – powiedziała, tuląc się.

– To już część jego stylu – stwierdził Freddy. – Uniwersalne usprawiedliwienie. Wścieka się na świat, za zabicie mu rodziców.

– Mężczyźni są tacy romantyczni – oznajmiła Angela, czekając, aż Freddy powie więcej. – Piet poświęca całą energię, wyzywając śmierć na pojedynek, a ty akceptując ją.

– Tym się różnimy. Mężczyzna i kobieta.

– Uważasz się za kobietę?

– Oczywiście. Jestem najwyraźniej homoseksualistą. Ale z drugiej strony, który z mężczyzn w miasteczku nie jest poza biedakiem Pietem?

– Freddy, podpuszczasz mnie, żeby sprawdzić, co powiem. Bądź *szczerzy*.

– Jestem szczerzy. Każdy, kto choć odrobinę zna się na psychologii, przyzna mi rację. Zastanów się. Frak i Harold. Pieprzą nawzajem swoje żony, bo są zbyt wielkimi snobami, żeby pieprzyć się ze sobą. Janet czuje pismo nosem; jest dla nich tylko alibi. Spójrz na Gurerina i Constantine'a. Są dla siebie stworzeni.

– Oczywiście, Roger...

– Eddie jest jeszcze gorszy. Udany z niego sadysta. Albo Gallagher i Whitman.



Rozpieszczeni kapłani. Saltz i Ong może nie, ale jeden się przeprowadza, a drugi umiera. Tak czy inaczej oni się nie liczą, nie są chrześcijanami. Ja jestem najgorszy, pragnę być dla wszystkich matką. Chciałbym mieć piersi, żeby każdy mógł sobie possać. Myślisz, że dlaczego tyle piję? Żeby produkować mleko.

– Dokładnie to sobie przeanalizowałeś – powiedziała Angela.

– Nie, zmyślam na poczekaniu, żeby odwrócić twoją uwagę od mojego zwiotczonego fiuta; ale wszystko naprawdę pasuje, nie uważasz? Piet odstaje od reszty towarzystwa. Nic dziwnego, że kobiety w miasteczku chcą rozerwać go na kawałki.

– Dlatego go nienawidzisz?

– Zaraz nienawidzisz. Kocham go. Oboje go kochamy.

– Freddy, nie jesteś homoseksualistą i mam zamiar to udowodnić. – Podciągnęła się wyżej, eksponując w księżycowym świetle piersi i opierając się o niego miednicą. Uniosła udo i oparła je Freddy’emu na kości biodrowej. – No dalej. Włóż go we mnie.

Do tej pory udawało mu się utrzymać połowiczną sztywność, ale śliskie ciepło pochwy sparzyło go jak przy zbyt długim trzymaniu palca w płomieniu świecy. Angela wyczuła, że znów maleje.

– Co mogę zrobić? – spytała.

– Obciągnąć mi? – zaproponował.

– Co takiego? Nie wiem jak.

Ulitował się nad nią. To wyznanie pozwoliło mu zajrzeć do twierdzy niewinności, do której dostępu bronili Hanemowie, dwa szczelnie zamknięte skrzydła wrót.

– Dajmy sobie spokój. Lepiej poplotkujmy. Powiedz mi, jak sądzisz, Janet sypia jeszcze z Haroldem?

– Bardzo jej zależało, żeby mieli domki po przeciwnych końcach.

– To zaledwie trzydzieści jardów, niezbyt duża odległość do pokonania, nawet boso, jeśli się człowiek uprze. Moim zdaniem Janet, nieodrodna córeczka tatusia, naprawdę wierzy we wszelkiego rodzaju kuracje. Najpierw urodziła dziecko, potem znalazła sobie kochanka, następnie rozpoczęła psychoanalizę; mimo to zawsze ma taki wyraz twarzy jak osoba z chronicznym bólem głowy.

– Ja też chcę zacząć psychoanalizę – poinformowała go Angela.

Mówiła powoli, leżąc już całym swym ciężarem na łóżku. Na środku materaca utworzyło się zagłębienie i Freddy musiał uważać, żeby nie zsunąć się niżej. Uspokajającym głosem, z dłonią na aureoli jej włosów, zaczął opowiadać o psychoanalizie, o sobie, o Marcii i Franku, Irene i Eddiem, o raku Johna Onga, o przeznaczeniu ich wszystkich, zawieszonych w jednej z tych ciemnych epok, które nawiedzają ludzkość pomiędzy tysiącletnicami, między śmiercią i ponownymi narodzinami bogów, kiedy drogę poprzez życie można odnajdywać jedynie dzięki seksowi, stoicyzmowi i gwiazdom. Głos Freddy’ego przypominał Angeli ton i rytm rozmów prowadzonych przez rodziców i wuja, niezmordowaną pedanterię Gibbsów, łagodną, jałową skłonność do prawienia kazań, odziedziczoną po pielgrzymach – świat, w którym została wychowana i od którego zdawało się, że Piet ją uratował. Przysnęła, obudziła się, usłyszała, że Freddy nadal peroruje, a potem nieodwołalnie zapadła w sen. On z kolei, trzymając Angelę na dystans, pogłębiając swoje upokorzenie i dopełniając zemsty, poczuł, że rośnie w siłę, twardnieje jak gład, i zaczął masturbować się przy jej brzuchu, uważając, żeby jej nie zabrudzić. Potem oboje popłynęli równolegle w kierunku świtu, z twarzami spokojnymi jak u dzieci.

Na parterze Piet, który nalał sobie jeszcze burbona i zaczynał marznąć przy dogasającym ogniu, robił się coraz bardziej znudzony i oburzony. Próbował przykryć się kurtką, ale była za mała, by służyć jako kołdra. Wszedł więc na palcach po schodach, nasłuchiwał przez chwilę pod drzwiami swojego pokoju, a potem zapukał do Georgene. Nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły. Georgene, chociaż początkowo pełna oburzenia, odrzucona przez kochanka i

zdradzona przez męża, potraktowana jak pionek w ich grze, przyjęła Pieta do łóżka, bo naprawdę nie było gdzie usiąść, a poza tym robiło się coraz zimniej. Uprzedziła go, że nie będzie się z nim kochać. Piet przystał na jej warunki. Ale kiedy już leżał potulnie u jej boku, bliskość i bezsenność sprzysięgły się, by postanowienie Georgene stało się nie do zrealizowania. Piet zaproponował, że wymasuje jej plecy. Ona zaprosiła go do swojego ciała. Jak zwykle, pomimo iż wielomiesięczna przerwa zmieniła ich relacje, znów się zeszli; rzucała twarzą na boki, jak policzkowana, jej coraz większa miękkość zlewała się z jego pchnięciami, Georgene rozchyliła uda, żeby mógł wejść w nią jeszcze głębiej, i Piet zrozumiał, że wyolbrzymiał swoje kłopoty, że los można udobruchać.

## V. Znowu wiosna

W parku Boston Common stoi mały, ponury pawilon koncertowy, otoczony nierównym chodnikiem z cegieł oraz drewnianymi ławkami na cementowych nogach. Piet zatrzymał się tam, czekając, aż Foxy wyjdzie z gabinetu dentystycznego na Tremont Street, mieszczącego się w musztardowym biurówcu o sześciu piętrach. Była już połowa marca i po parku snuło się beczynnienie kilka osób. Dzieci w kombinezonach grały w kapsle na skraju pozbawionego wody stawu; szara wiewiórka przebiegła *staccato* przez martwy trawnik, przystając co chwila, jak gdyby pozowała do zdjęcia albo oceniała stopień zagrożenia związany z przytłumionym dźwiękiem kapsli. Pietowi wydawało się, że wyjątkowo głośno szura butami. Nad ziemią unosiła się mgła, przez którą wyraźnie przebijał blask sklepowych neonów wzdłuż ulic Tremont i Bolyston. Brudne, mokre gołębie kołowały beczelnie tuż nad głowami spieszących przez park ludzi. Korony drzew, spokojne źródła życia z tabliczkami *Ulmis hollandicis*, kiwały w zamglonym powietrzu gałązkami, pokrytymi nierozwiniętymi pączkami i ociekającymi wilgocią; ocalałe od chorób witały kolejny rok. Koło zrobiło pełny obrót. Czas wydawał się Pietowi wspaniałą ciszą: wskazówka sekundowa zegarka z gracją okrążała tarczę, wskazówka minutowa sunęła do przodu z niezrównaną precyzją. Nieomal czuł uwielbienie dla obojętności, która bez żadnej wieści rozciągała go godzina po godzinie. RUBY WINNY, SKAZANY NA ŚMIERĆ, głosił nagłówek w rzuconym na ziemię brukowcu, wdeptanym przez przechodniów w błoto i lód na brzegu ścieżki. Lewa dłoń Pieta drżała gwałtownie, kiedy spoglądał na gazetę albo słyszał krzyk któregoś z dzieci.

Freddy i Foxy załatwili we dwójkę wszystko tak sprawnie, że Piet poczuł się wykluczony. Żadne z nich nie chciało wytłumaczyć mu, co udało im się zorganizować. Piet spotkał się z bladą Foxy na Charity Street; w nozdrza szczypał ją wiatr, a w ramionach trzymała rozdartą torbę z zakupami.

– Nic nie musisz robić – poinformowała go. – Wolałabym, żebyś nie wiedział nawet, kiedy to się odbędzie. Powiedz mi tylko jedną rzecz teraz. Tego właśnie chcesz? Zabicia dziecka?

– Tak. – Prostota, z jaką to powiedział, wstrząsnęła nią; zrobiła się jeszcze bledsza. Piet spytał: – A jakie mamy wyjście?

– Masz rację – odparła chłodno. – Nie ma innego wyjścia.

Odwróciła się, a torba z zakupami rozdarła się jeszcze bardziej.

Później niechętnie wytłumaczyła mu przez telefon, na czym polega plan. W połowie marca Ken musiał lecieć na trzy dni do Chicago, na sympozjum biochemiczne, które zaczynało się w środę osiemnastego. W środy Freddy miał wolne, więc mógł zabrać ją do Bostonu do znajomego idealisty, który za trzysta pięćdziesiąt dolarów miał przeprowadzić aborcję. Freddy obiecał jej towarzyszyć, a potem odwiedzić ją do Tarbox. Znalazłszy się sama w domu przy plaży, musiała jedynie nakarmić siebie i Tobiasa, który sypiał po dwanaście godzin dziennie. Georgene miała wpadać rano i wieczorem, a Foxy mogła do niej dzwonić o każdej porze. Gdyby nastąpiły komplikacje, zostanie przyjęta do szpitala w Tarbox z rozpoznaniem poronienia, a Kenowi powie, że dziecko było jego.

Piet był przeciwny temu, by Georgene o wszystkim wiedziała.

– Ona zdaje sobie sprawę, że zawarliście jakiś obrzydliwy układ – powiedziała Foxy. – To decyzja Freddy’ego i ma do tego prawo. Przecież wiesz, że gdyby coś mi się stało, byłby współwinni morderstwa.

– Nic ci się nie stanie.

– Założmy, że nie. Georgene może do mnie wpadać bez wzbudzania podejrzeń, w przeciwieństwie do ciebie czy Freddy’ego. Marcia cały dzień jeździ tam i z powrotem drogą

na plażę. Najważniejsze jest, żebyś ty trzymał się z dala. Zapomnij, że istnieję. – Nie miała mu podać adresu lekarza dokonującego aborcji, aż do kolejnej rozmowy z Freddyem. – Freddy obawia się, że zrobisz coś dramatycznego i szalonego.

– Ty też się tego obawiasz?

– Nie. – Jej głos nie zabrzmiał przyjaźnie.

Freddy zadzwonił do niego tego samego popołudnia. Podał mu adres, kategorycznie zakazał pojawienia się tam razem z nimi i starał się odwieść go od obserwowania budynku z parku.

– Co ty możesz? – spytał Freddy i dodał z pogardą: – Módl się. Jeśli ma z nim skończyć, synu, to z nim skończy.

Niejednoznaczność słowa „skończy” i sugestia, że istnieje jakiś ściśle określony, cenny „on”, którego Foxy mogłaby objąć i posiadać (podobnie jak się mówi „miała go”, mając na myśli przespanie się z mężczyzną), niejasne wrażenie, że Foxy walczy o cenną nagrodę, sprawiło, że przez ciało Pieta przetoczyły się duchy wszystkich stworzeń i sław, które tę nagrodę już zdobyły. Zapragnął wszystko odwołać, zwolnić Freddy’ego z wypełnienia jego części umowy i pozwolić Foxy napęcznić, ale nie miałoby to sensu; powiedział sobie, że nie ma już nic do gadania. Freddy i Foxy i tak zrobią to, co zamierzają: stali się bogami poruszającymi się w nadprzyrodzonym świecie, gdzie tworzone i niszczone jest życie. Odłożył słuchawkę, czując, że jest chory, dłoń ma spuchniętą jak u topielca, a kruchy bakelit jest bardziej żywy od niego.

Ale poprzedniego wieczora, grając z córkami w „pamięć” i wiedząc, że wprowadził w ruch maszynę śmierci, przejmował się tym na tyle, by skoncentrować się i wygrać. Stos jego kart rósł w napełniających się łzami oczach Nancy. Sądziła, że to ona będzie wielką zwyciężczynią. Trochę szczęścia początkującego gracza i wydawało jej się, że posiada magiczną moc wybierania par. Piet pozbawił ją złudzeń. Ojcowski obowiązek. Tylko po co ten tryumf. Ruth ze zdziwieniem obserwowała jego zawzięte dążenie do zwycięstwa.

Do Pieta podszedł pociągający nosem włóczęga. Miał wyciągniętą rękę i wąsy jak pióra. Piet zrobił unik, obawiając się uderzenia nożem. Mężczyzna cofnął się z zakłopotaniem, pokazując swą pustą dłoń. Piet starał się zrozumieć, co mówi; był proszony go o coś. O dziesięciocentówkę. Włóczęga chciał dziesięciocentówkę. Głos wycofał mu się za wąsy, gdzieś w stronę dźwięków, z których powstała mowa. Piet dał mu ćwierć dolara.

– Bógcizapłać.

Anioł w przebraniu. Nigdy się nie odwracać. W czasie Wielkiego Kryzysu ludzie pukali do drzwi. Placki owocowe matki. Wyrzucić swój chleb na powierzchnię wód. Bierze twoją szatę, odstap i płaszcz. Zmusza, żeby iść z nim tysiąc kroków, idź dwa tysiące. Nikt nie wierzy. Filantropia to bujda chroniąca przed komunizmem. Jako dziecko zastanawiał się, kto by jadł mokry chleb. Wyświechtane opowieści. Chleby i ryby, śmieci. Dbaj o Boston. Odkrył, że jest głodny. Lekkość kończyn, dziwne uczucie – skąd wiedzą o jedzeniu? Pragnienia, dziwne anioły. Przychodzą z zewnątrz, zamieszkują nasz mechanizm. Piet nie przyjął głodu do wiadomości. Gdyby pobiegł do świecącego na rogu baru, Foxy by umarła. Obędzie się. Piękne wyrażenie matki. „Cóż synu, obędziemy się”. Jej umączzone dłonie sięgające na półkę w spiżarni. Chwała. Przetoczyła się przez niego lokomotywa miłości, spłaszczając mu trzewia. Nigdy więcej. *Moeder is dood.*

Mijały okrutne godziny. Pawilon, pokryte szronem cegły, wiewiórki jak pozujące do zdjęć, trzepoczące skrzydłami gangi gołębic oprychów, zwieszające się gałązki, pokryte tak grubą warstwą mgły, że zaczynała z nich skapywać – to stało się jedynym znanym Pietowi światem. Inne obrazy – szklarnia, wojsko, domy i imprezy wydawane przez przyjaciół w Tarbox – zdawały się wcześniejszymi rojeniami, drogami zbiegającymi się w tym jednym punkcie. Głód odezwał się w jego zamglonej głowie, ale obędzie się. Mógłby przegapić ważny dla Foxy moment. Nóż. Chce dziesięciocentówkę, daj ćwierć dolara. Piętnaście centów zysku.

Zabezpieczała inwestycję. Sprowadzi! całe swoje istnienie do modlitwy, która emanowała z niego do góry na kształt stożka. Odkręć to. Uwolnij mnie od niej, ją od niego i nas od Freddy'ego. Zwróć mi moje spokojne miejsce na ziemi. Pod kątem rozwartym przecięła płaszczyznę jego życia, gdzie codzienne zajęcia zbierały się jak kurz. Światło lampy, śniadanie. Wtargnęła w drastyczny wymiar. Podczas gdy on niewinny pośród drzew. Nalegała, żeby się dowiedział. Prosta linia życia, zapętlona. Węzeł był z pewnością grzechem. Piet modlił się, by udało się go rozplątać.

Nad głową gałęzie wiązów zanurzały się w niebie z brudnej wełny: kanały erozyjne w wysuszonej ziemi, sfotografowane z wysoka: witraż. W całym parku, jak gdyby pod zamkniętą kopułą, słychać było kroki ludzi wracających z lunchu. Mały czerwonawy robak pełził po krawędzi cegły. To się już kiedyś działo. Kiedy? Pochylał głowę w ten sam sposób. Dokładnie ten sam. Umysł Pieta zanurzył się gorączkowo w otchłań przeszłości, starając się ustalić, kiedy widział tego robaka. Podniósł wzrok i ujrzał okazały kościół na Park Street. Spojrzał na przepływający obok niego szary strumień przechodniów i wydało mu się czymś niezwykłym, że ci wszyscy ludzie spokojnie skrywają za jasnymi twarzami wiedzę o tym, że wkrótce, pod tym pobielonym niebem, zmarnieją lub zostaną ścięci.

Kościół. Bicie dzwonu. Trzy uderzenia. Zmiękł, stracił wiarę we własne siły i pobiegł po kawę i jeden, nie, dwa, cynamonowe pączki. Gdy wyszedł z baru, żółte niebo między budynkami było przepełnione Foxy. Z kawą chlupiącą z papierowego kubka i parzącą mu palce pobiegł wzdłuż Tremont, rozpaczliwie przekonany, że zawinił. Ale samochód Freddy'ego, żółty kabriolet merkury z płóciennym dachem, zapleśniałym od nieotwierania przez całą zimę, nadal stał jednym kołem na chodniku, w wąskiej alejce odchodzącej od głównej ulicy. W pobliżu znajdowały się metalowe drzwi, pomalowane na ten sam musztardowy kolor co ściana budynku, których zawiasy – wytarta, naga stal – zdradzały, że często są otwierane. Ale nie odjechała. Piet wrócił w poblizsze pawilonu i zjadł pączki.

Stopy coraz bardziej mu drętwiały. Boston bardziej zawiłgocony od Tarbox: przez brudny port dociera zimny pocałunek oceanu. Bardziej północny. Do obawy o Foxy dołączył strach, że czekają na niego w domu. Angela sądzi, że pracuje teraz z Gallagherem, który z kolei myśli, że Piet jest z rodziną. Słońce opadło niżej za nieboskłon, tam, gdzie jego linia jest cieńsza. Błyszczało jak łój, wytyczając cienie, dotykało tabliczek drzew i suchych fontann. W tym oświetleniu Piet ujrzał, że drzwi w głębi alejki się otwierają i wychodzi z nich jakaś plama, wyglądająca jak łysy Freddy Thorne. Przemykając w gęstniejącym ruchu ulicznym, chcąc poczuć ulgę, jaką da mu informacja, ciało Pieta zdawało się płynąć, jakby pozbawione stóp, jak wtedy, kiedy wchodził do domu Whitmanów przez drzwi obrosnięte krzewami bzu i szedł przez korytarz pachnący świeżo oheblowanym drewnem w stronę ogromnego widoku na moczary i objęć wydętej Foxy. Otwierając drzwi samochodu, Freddy Thorne podniósł głowę, mrużąc oczy, niezadowolony z jego widoku. Żaden z mężczyzn się nie odezwał. W otwartych metalowych drzwiach Murzynka w zielonym stroju pielęgniarki i okularach w drucianych oprawkach podtrzymywała Foxy.

Foxy była przytomna, ale odurzona; jej ostra twarz, pogrążona w półśnie, był pokryta białymi i różowymi plamkami, jak gdyby raz po raz uderzano ją w policzki. Na chwilę tylko zatrzymała wzrok na Piecie. Włosy opadały jej po jednej stronie głowy, jak zboże pochylone na wietrze, a kołnierz płaszcza rosyjskiego generała, który Piet tak lubił, miała podniesiony i zapięty tuż pod brodą. Freddy szybko do niej podszedł.

– Sześć kroków – powiedział.

Z pośpiechem zaciśniętymi ustami, które prawie całkowicie zniknęły, podtrzymując Foxy jednym ramieniem w pasie, a drugim pod łokciem, Freddy poprowadził ją delikatnie do otwartych drzwi samochodu, jak gdyby przy najłżejszym wstrząsie mogła rozpaść się na kawałki. Murzynka w milczeniu schowała się do środka, zamykając za sobą metalowe drzwi. Nie wyszła na ulicę. Biegący Piet zwrócił uwagę kilku przechodniów, którzy obserwowali

go z chodnika przy wejściu do alejki, ale nie ruszyli w ich kierunku. Freddy opuścił Foxy na siedzenie pasażera.

– Dobra dziewczynka – wyszeptał.

Zatrzasnął drzwi, które lekko stuknęły. Foxy znalazła się za szkłem. Układ jej ust, zapowiadające uśmiech napięcie w kącikach, zdeformowany cień z przeszłości, nadawał jej twarzy tajemniczą, ale i ostateczną martwość pieczołowicie wykonanych figur z wosku. Nagle Foxy podniosła rękę i wygładziła skórę pod oczami.

Piet okrążył samochód. Freddy siedział już na miejscu kierowcy. Pomrukując coś, opuścił szybę zaledwie o kilka cali.

– Kogo ja widzę. Toż to Piet Enema, znany środek przeczyszczający.

– Czy ona...? – spytał Piet.

– Wszystko w porządku – odparł Freddy. – Jak po maśle. Znowu jesteś bezpieczny, kochasiu.

– Czemu to trwało tyle czasu?

– Musiała poleżeć, dojść do siebie. Myślałeś, że od razu wstanie i zacznie tańczyć? Zabieraj pieprzoną rękę z klamki.

Być może rozbudzona wściekłością w głosie Freddy'ego, Foxy podniosła wzrok.

– Cześć – powiedziała. Jej głos brzmiał cieplej, sennie niż zwykle. Zmarszczyła brwi, usiłując sobie coś przypomnieć. – Ja cię znam.

Dla Pieta było to równocześnie wyznaczenie i ironia – Foxy bardzo dobrze знаła natręta, którego imienia nie mogła sobie przypomnieć. Freddy zamknął okno, zablokował drzwi, odpalił silnik i rzucił Pietowi zimne spojrzenie tryumfu. Zjechał ostrożnie z krawężnika, uważając, by nie trząść, i ruszył alejką w stronę ruchliwej ulicy, pełnej zdążających do domu samochodów. W otwartym rynsztoku leżały obok siebie prezerwatywa i papierek od cukierka.

Dopiero kilka dni później, po tym, jak Foxy przetrzymała czterdzieści osiem godzin sama w domu z Tobym, myśląc o powrocie Kena z Chicago, Piet dowiedział się (nie od Freddy'ego, ale od Foxy, która powtórzyła mu, co jej opowiedział Freddy), że tuż przed podaniem narkozy spanikowała; usiłowała uderzyć Murzynkę, która przyciskała jej do twarzy słodką maskę, i nim eter zaczął działać, krzyczała jeszcze, że powinna wracać do domu, że musi urodzić to dziecko i że zaraz się pojawi jego ojciec, rozwali drzwi młotem i ich powstrzyma.

Kiedy skończyła opowiadać to Pietowi w poniedziałek przez telefon, jego milczenie trwało tak długo, że musiała się roześmiać, żeby je przerwać.

– Nie wyrzucaj sobie, że nie rozwaliłeś drzwi. Nie chciałabym, żebyś to zrobił. To był głos mojej podświadomości. Dopiero kiedy świadomie znalazłam się w punkcie bez odwrotu, mogłam się naprawdę odprężyć. Postąpiliśmy właściwie. Nie mogliśmy nic innego zrobić, prawda?

– Nie widziałem innego rozwiązania.

– Mieliśmy sporo szczęścia, że uszło nam to na sucho. Powinniśmy podziękować... Komu? Naszej szczęśliwej gwiazdzie.

Znów się roześmiała, krótki szelest w słuchawce.

– Jesteś przygnębiona? – spytał Piet.

– Tak. Oczywiście. Nie dlatego, żebym popełniła jakiś grzech, ponieważ ty sam mnie o to prosiłeś i należało to zrobić dla dobra wszystkich. Ale teraz ponownie muszę się z tym zmierzyć, znów stoi przede mną w całej okazałości.

– Co?

– Moje życie. Ken, ten zimny dom. Utrata twojej miłości. Na dodatek skończył mi się pokarm, więc mam kolejny powód, żeby się nad sobą litować. Tobi ciągle wymiotuje mieszanką. Zniknął też Cotton.

– Cotton.  
– Nasz kot. Nie pamiętasz go?  
– Pewnie, że pamiętam. Zawsze mnie witał.  
– W środę rano łapał myszy na skraju bagien, a kiedy wróciłam wieczorem, już go nie było. Nawet nie zauważyłam jego zniknięcia. W czwartek zaczęłam nawoływać, ale byłam zbyt słaba, żeby wychodzić na dwór.  
– Ruszył na zaloty.  
– Nie – powiedziała Foxy. – Był wykastrowany.  
W słuchawce dało się słyszeć rytmiczny szmer jej płaczu.  
– Dlaczego nie porozmawiałaś ze mną o tym wcześniej?  
– Byłam zła, a to chyba to samo co się bać. A poza tym, co takiego mieliśmy sobie do powiedzenia? Wszystko było jasne. Stchórzyłeś, nie pozwalając mi urodzić go jako dziecka Kena, a ja od zawsze wiedziałam, że nie oderwę cię od Angeli. Nie próbuj się spierać.  
Posłusznie milczał.  
– Ale co teraz, Piet? – spytała. – Czego możemy od siebie nawzajem oczekiwać?  
– Nie za wiele – odparł po chwili zastanowienia.  
– Tobie jest łatwiej – powiedziała. – Zawsze znajdziesz kolejnego człowieka, która da ci pocieszenie. Nie zaprzeczaj. Ale wygląda na to, że ja utknęłam. Chcesz usłyszeć coś okropnego?  
– Jeśli chcesz mi o tym powiedzieć.  
– Nie jestem w stanie znieść Kena. Ledwie się zmuszam, żeby spojrzeć mu w twarz albo odpowiadać, kiedy coś do mnie mówi. Myślę o nim jak o człowieku, który zmusił mnie, bym zabiła moje dziecko. To dokładnie w jego stylu.  
– Kochanie, to nie on, to byłem ja.  
Foxy podała wytłumaczenie, które już wcześniej słyszał z jej ust. W jej przekonaniu Ken, odwołując przez siedem lat decyzję o dziecku, zabił w niej coś, co mogło odżyć jedynie za sprawą innego mężczyzny.  
– Przyjedziesz kiedyś ze mną porozmawiać? – spytała na koniec. – Tylko porozmawiać?  
– Sądzisz, że powinniśmy?  
– Powinniśmy, nie powinniśmy. Oczywiście, że nie. Ale jestem w dołku, mój kochanku. W strasznym, strasznym dołku.  
Wymówiła te słowa z udawanym znużeniem, takim jak w filmie. Scenariusz przewidywał, że w tym momencie powinna odłożyć słuchawkę, więc to zrobiła. Tracąc kolejną dziesięciocentówkę, Piet ponownie wykręcił jej numer z budki, znajdującej się naprzeciwko sklepu Poirer's Liquour Mart, gdzie w każdej chwili mógł pojawić się ktoś z ich przyjaciół i go zauważyć: zabawne zwłoki stojące prosto w jasnej aluminiowej trumnie. W domu Foxy nikt nie podnosił słuchawki. Oczywiście, musi ją odwiedzić. Śmierć, kiedy już się ją do siebie zaprosi, wszędzie zostawia ślady ubłoconych butów.

Georgene, posłuszna poleceniom Freddy'ego, przyjechała do Foxy w poniedziałek około południa i była wstrząśnięta, widząc samochód Pieta zaparkowany na podjeździe. Czuła, że umowa została złamana. Sądziła, że aborcja ostatecznie odbierze Foxy władzę nad Pietem, i uważała, że kiedy Foxy zostanie wyeliminowana, ona sama na nowo umocni własną pozycję i jak kiedyś stanie się przydatna Pietowi. Ona, Georgene, szczyliła się swoją użytecznością, umiejętnością dotrzymywania umów i wykonywania powierzonych jej zadań, bez względu na to, czy chodziło o pozyskanie mówcy dla Ligi Głosujących Kobiet, obronienie serwu w meczu tenisowym, czy pozostawanie żoną Freddy'ego Thorne'a. Odwiedziła Foxy późno wieczorem w środę, dwa razy w czwartek i raz w piątek. Przynosiła rekonwalescentce herbatę i tosty, zmieniała śmierdzące pomarańczowe pieluchy Toby'ego i przepuściła dwa kosze ubrań i pościeli przez pralkę i suszarkę. W piątek spędziła prawie godzinę, odkurzając parter i

sprzątając przed powrotem Kena. Jej nastawienie względem Foxy zmieniło się w czasie tych dni domowej konspiracji. Rok wcześniej, podczas przyjęcia u Applebnych, od pierwszego wejrzenia zapalała niechęcią do nowo przybyłej sztywnej królowej; kiedy Foxy ukradła jej Pieta, niechęć zmieniła się w nienawiść, a tym samym w respekt. Teraz, kiedy młodsza kobieta była zdana na jej łaskę, Georgene pozwoliła sobie na okazanie czułości. Widziała w Foxy osobę mającą odwagę ośmielić się i cierpieć, młodszą siostrę, której oszczędzono przymusu godzenia się na tanie rozwiązanie, której błędy były w niejasny sposób godne pozazdroszczenia. Zaimponowało jej też dostojność Foxy. Foxy nie ukrywała, że w czasie bolesnego interregnum potrzebuje pomocy i towarzystwa. Nie próbowała wykorzystać obecności Georgene jako okazji do protestów, szyderstwa, wyznań czy wyrażenia pogardy dla samej siebie. Będąc żoną Freddy'ego, Georgene zdawała sobie sprawę, jak szybko pogarda dla samego siebie zmienia się w pogardę dla innych, i była zadowolona, że Foxy bierze jej obecność za to, czym jest naprawdę – za zbieg okoliczności. W środową noc Foxy zwolniła ją z obowiązków z powagą i taktownością dziecka, które zapewnia rodzica, że nie boi się ciemności. Mówiła płaczącym głosem, jeszcze na wpół odurzona i przyciskając do siebie żywe dziecko jak lalkę, ale głębokie pokłady dobrego wychowania sprawiły, że podziękowała Georgene za przyjście, pozwoliła, by ta zmieniła jej zakrwawioną pościel, wysłuchiwała zakazu chodzenia po schodach i pokiwała poważnie głową na wiadomość o tym, że może zadzwonić do Thorne'ów o każdej godzinie, bez względu na powód, nawet gdyby odczuwała tylko zwykły strach. W czwartek rano Georgene znalazła ją na parterze, bladą z niewyspania; Foxy nie była w stanie nakarmić dziecka piersią i musiała zejść na dół, żeby podgrzać butelkę. Posłuszna nakazowi, nie próbowała wejść z powrotem na górę i urządziła im obojgu posłanie z koca na kanapie. Wyobrażając sobie długie, wypełnione księżycowym blaskiem godziny, z telefonem kuszącym wyzwoleniem od samotności, Georgene podziwiała skrycie odwagę i dumę młodszej kobiety. Pomagając jej wejść po schodach, czuła, jak obojętne, niezgrabne ciało Foxy opiera się na niej, nagie pod szlafrokiem i halką, wyższe, niezbyt giętkie, raczej chłodne i kochane przez jej kochankę. Georgene zaczęła emanować urojoną miłością. Foxy nieśmiało odwzajemniła uczucie. Milczały zgodnie. Przez te kilka dni (w czasie których na zewnątrz panował wilgotny przedsmak wiosny, pogodna mniej przyjemna niż pełnia zimy) snuły się razem po pokojach w taktownej ciszy. Nie rozmawiały o Piecie, Freddy'ym czy okolicznościach, które je ze sobą zetknęły, wyjąwszy sugestie, które robiła Georgene, pytając o kondycję Foxy. Mówiły o zdrowiu, pracach domowych, pogodzie za oknem i potrzebach niemowląt. W piątek po południu, ostatniego dnia, kiedy Georgene była potrzebna, przywiozła ze sobą małą Judy i już kompletnie ubrana Foxy, radosna z powodu odzyskania sił, podała ciasteczka i wermut i przekonała Georgene, by po sprząnięciu wypaliła wyjątkowo papierosa. Z zakłopotaniem uniosły kieliszki, jak gdyby chcąc wznieść toast za siebie nawzajem: kobiety, które posprzątały bałagan.

Nikt nie prosił Georgene, żeby wróciła w poniedziałek. Ale ciekawiło ją, jak Foxy przetrwała weekend i jak zmyliła Kena. Miała zamiar spytać, czy nie potrzebuje czegoś ze sklepu. Widząc na podjeździe samochód Pieta, doświadczyła skomplikowanego uczucia zazdrości, wielokrotnego zniszczenia; pierwszą stratą było poczucie bliskiego koleżeństwa z Foxy. Od Pieta nie oczekiwała niczego poza tym, że ma dalej istnieć i nieświadomie rozświetlać jej życie. Pozostała dla niego otwarta i wiedziała, że chemia miłości zachodzi całkowicie w jej wnętrzu, że jest jej własnym dziełem. Nawet zadawanie bólu lekceważeniem było siłą, którą ona stworzyła i przyznała Pietowi; cokolwiek robił, nie był w stanie uciec poza obszar jej wolności, swobody decyzji, by go kochać. Tymczasem stosunkami między nią a Foxy rządziły prawa: złożony zbiór przyjętych ustępstw, wspaniałomyślny układ oparty na domniemaniu porażki. Georgene rzadko kiedy zapuszczała się do pośredniej strefy między kobiecą uległością a bezpłciową władzą, więc jej wynegocjowana czułość do Foxy była czymś bardzo rzadkim, być może nawet cenniejszym niż miłość do Pieta, na którą została z



góry skazana – miłość niezmienna i nieco bezduszna. Zdrada Foxy ujawniła słabość Georgene. Otrzymała bowiem dowód, że jest nie tylko bezradna, ale i głupia. Na bezradność można znaleźć pocieszenie zmysłowe, inaczej niż na głupotę. Otworzyła drzwi bez pukania.

Piet i Foxy siedzieli z dala od siebie, po przeciwnych stronach niskiego stolika. Piet nie rozpiął morelowej, zamszowej kurtki, którą wkładał do pracy, a zza ucha wystawał mu żółty ogryzek ołówka. Poranne słońce z moczarów rozpałało biały ogień na brzegach obszytej falbankami koszuli nocnej Foxy i ścinało w lód jej bladą, trzymającą papierosa dłoń; dym unosił się spiralnie, na kształt rzeźby z niebieskiego kamienia. Serwis do kawy mieszał luki porcelany z metalem i słońcem na niskim stoliku z drewna tekowego. Georgene zdała sobie sprawę, że weszła w chwili milczenia. Nie udało jej się zaskoczyć ich w objęciach, co uniemożliwiło wybuch oburzenia. Tak czy inaczej, Piet poczuł zażenowanie i uniósł się z miejsca.

– Nie wstawaj – powiedziała Georgene. – Nie chciałam przeszkadzać wam w schadzce.

– To nie tak – zaprotestował Piet.

– Spotkanie dwóch dusz. Jak pięknie. – Georgene zwróciła się do Foxy: – Wpadłam sprawdzić, jak się czujesz, i spytać, czy nie chcesz czegoś ze sklepu. Widzę jednak, że wszystko wróciło do normy i nie będziesz mnie więcej potrzebować. Świetnie.

– Nie przyjmuj takiego tonu, Georgene. Właśnie opowiadałam Pietowi, jaka byłam wspaniała.

– A nie on tobie? Czuję się urażona.

– Dlaczego się złościś? Nie sądzisz, że mamy prawo porozmawiać?

Piet pochylił się do przodu na krześle.

– Pójdę już – mruknął.

– Na pewno tego nie zrobisz – powiedziała Foxy. – Dopiero co przyjechałeś. Napijesz się kawy, Georgene? Skończmy z tą farsą.

Georgene nie chciała usiąść.

– Nie wyobrażaj sobie – oznajmiła – że coś mnie to obchodzi. To nie mój interes, co robicie razem, a raczej nie byłby nim, gdyby mój mąż nie uratował wam tyłków, sam się narażając. Powiem jednak dla twojego własnego dobra, że to nie jest zbyt rozsądne, by Piet parkował na podjeździe, gdzie przejeżdżająca obok Marcia może to w każdej chwili zauważyć; chyba że macie zamiar razem uciec.

– Marcia ma wizytę u psychiatry w Brookline – powiedziała Foxy. – Nie ma jej codziennie od dziesiątej do drugiej albo dłużej, jeśli zostaje w mieście, żeby zjeść z Frankiem lunch.

Piet zapragnął rozwinąć rozmowę, wprowadzić do niej element zabawy.

– Marcia też się leczy? Angela właśnie zaczęła.

– Jesteś w stanie sobie na to pozwolić? – spytała Georgene.

– Nie jestem – odparł. – W przeciwieństwie do tatusia Hamiltona. Uknuli to we dwójkę.

– A co wyście tu razem knuli, kiedy wam przerwałam?

– Nic – zapewnił ją Piet. – Tak właściwie to mieliśmy problem, żeby znaleźć coś do powiedzenia.

– Dlaczego nie miałabym rozmawiać z ojcem mojego dziecka? – spytała Foxy.

– To nie było dziecko – sprostował Piet. – Tylko mała rybka, mniej niż rybka. To nie było nic, Foxy.

– To było coś, do diabła. Ty nie miałeś go w sobie.

Georgene zazdrościła im tej kłótni, popisu dumnych serc. Ona i Freddy rzadko się kłócili. Sypiali ze sobą, nadal chodzili razem na imprezy i cały następny dzień czuli nudę, jak niepełnosprawni weterani. Tylko Piet odkrył przed nią świat, gdzie roślinność była heraldyczna, a każdą kobietę ktoś uważał za swoją królową. W mniemaniu Georgene ten świat był jak widoczne przez okno moczary, gdzie trawa rosła bujnie w słonym błocie, które zabiłoby użyteczną roślinę, taką jak ona.

– Naprawdę uważam – usłyszała swój głos – że jedno z was powinno wyprowadzić się z Tarbox.

Zadziwiła ich, rozbawiła.

– Ale po co? – spytała Foxy.

– Dla własnego dobra. Dla dobra wszystkich. Zatruwacie powietrze.

– Jeśli jakieś powietrze zostało zatrute – powiedział Piet – to za sprawą twojego męża. On jest miejscowym mistrzem gry.

– Freddy chce po prostu być człowiekiem. Wie, że wszyscy uważają go za osobę niepoważną, więc przyjął na siebie taką rolę. Tak czy inaczej, nie miałam na myśli trucizny. Być może wszyscy poza wami są zatruci i denerwujecie nas niewinnością. Pomyślcie tylko. Spójrz na nią, Piecie. Dlaczego z uporem się jej narzucasz? Namów Foxy, żeby wróciła z mężem do Cambridge. Rozstań się z Gallagherem i przenieś się gdzieś indziej, wróć do Michigan. Zniszczycie się nawzajem. Byłam z nią pod koniec zeszłego tygodnia. To, co musiała przez ciebie przejść, nie było błahostką.

Foxy przerwała jej oschle:

– To moja decyzja. Jestem ci wdzięczna za pomoc, Georgene, ale sama też dałabym sobie radę. Znaleźlibyśmy również jakieś rozwiązanie, gdyby Freddy nam nie pomógł, chociaż akurat tak się dobrze złożyło. Jeśli natomiast chodzi o mnie i Pieta, nie mamy zamiaru już nigdy ze sobą sypiać. Wydaje mi się, że próbujesz dać mi znać, że nadal go pragniesz. Więc weź go sobie.

– Niczego takiego nie powiedziałam! Absolutnie nie!

Chciała tylko bezinteresownie nakreślić sytuację, z poczucia obywatelskiego obowiązku wyłuszczyć im pewną prawdę, ale byli zbyt zdemoralizowani, by jej słuchać.

– Czuję się, jakby wystawiono mnie na aukcję – zażartował Piet. – Czy Angela też może wziąć udział w licytacji?

Był rozbawiony. Oboje byli. Georgene ich bawiła, sprawiła, że stali się dla siebie bardziej barwni. Obserwowali, jak drżącą dłonią usiłuje podnieść filiżankę z kawą; niezręczny intruz. Oni zachowywali się wyniośle i mieli sytuację pod kontrolą. Nakłoniwszy maluczkich do zorganizowania aborcji, sami pozostali bezpieczni i zawsze mogli liczyć na siebie nawzajem. Ich twarze w blasku słońca były przyjazne i pełne samozadowolenia, jak u zwierząt, które dopiero coś zjadły.

Georgene łyknęła bardzo gorącej kawy, odstawiała filiżankę na spodek i wyprostowała się sztywno.

– Sama nie wiem, co chcę powiedzieć – odparła. – Cieszę się, Foxy, widząc cię tak szczęśliwą. Szczerze mówiąc, uważam cię za bardzo odważną dziewczynę.

– Nie jestem szczęśliwa – zaprotestowała Foxy, wyczuwając niebezpieczeństwo.

– W każdym razie szczęśliwsza. Ja też. Tak się cieszę, że znowu mamy wiosnę. Zima bardzo się dłużyła u mnie na wzgórzu. Przy garażu pojawiły się krokusy, Piet. Kiedy znowu zaczniemy grać razem w tenisa?

Wstała z miejsca. Nie miała płaszcza, który opóźniłby jej wyjście. Georgene tylko w najchłodniejsze zimowe dni nosiła coś więcej niż spódnicę, sweter i szalik w barwach uczelni. Rozgrzewający był jej widok, kiedy w styczniowe popołudnie, gdy spomiędzy chmur przedostawało się słońce, pojawiała się w centrum ubrana jak w złoty jesienny dzień, prowadząca odzianą w zimowy kombinezon Judy między lodowymi pagórkami, zdecydowana i pełna wewnętrznego ognia.

Wiosną zgromadzenie mieszkańców miasta wydzielало woń whisky. Piet poczuł jej zapach, kiedy tylko znalazł się w nowej auli szkoły średniej. Pomarańczowe plastikowe krzesła, zaprojektowane tak, by można było łączyć je w rzędy, ciasno wypełniały boisko do koszykówki między trybunami a sceną, pod oświetloną lampami fluorescencyjnymi rozległą

puszką, w której zwieszały się kable i kółka gimnastyczne. Kilka stóp nad trzęsawiskiem twarzy unosiły się błyskające alkoholowe wyziewy, bursztynowej whisky, martini pospiesznie wypitego między pociągiem a obiadem, żeby zdążyć przed pojawianiem się opiekunki do dzieci. Piet nigdy wcześniej nie zauważył tego zapachu i zastanawiał się, czy to z powodu ciepłego wieczoru – odwilżowa mgła napłynęła od oceanu i nagle boisko futbolowe upstrzyły mleczne – czy też zmieniło się samo miasteczko. Ciągłe przybywało osób dojeżdżających do pracy w Bostonie, coraz więcej młodych rodzin z minibusami VW i reprodukcjami Cezanne’a wprowadzało się do domków na osiedlach oddalonych o mile od historycznego centrum Tarbox. Co roku podczas zgromadzenia mieszkańców wypowiadało się coraz więcej młodych, pewnych siebie mężczyzn, a przestawały pojawiać się głosy, które dominowały, kiedy Piet i Angela dopiero co pojawili się w miasteczku (monotonnie mówiący jankescy aptekarze, poławiacze małż z paranoją, brzuchaci radni, nieskutecznie zwalczający antagonizmy wywołane przez ich ojców, krótkowzroczny przewodniczący o psiej twarzy, który rozpoznawał jedynie znajomych i kierował zgromadzeniem, doprowadzając do jednomyślności wszystkich poza tymi, których poglądy całkowicie się różniły). Podczas pierwszego spotkania, w którym brał udział Piet, pracownicy miejscy, grupa adeptów bez marynarek, którzy usadowili się na trybunach z dala od żon, tak długo wygwizdywali starego prokuratora okręgowego, szwagra Getrude Tarbox, aż jego cienki głos się urwał i mikrofon przyniósł odgłos cichego szlochu. Teraz pracownicy z miasteczka, ubrani w marynarki i rozproszeni po sali, siedzieli z żonami cisi i nadąsani, jako że rok po roku bez protestów uchwalano kolejne podwyżki. Teraz prokuratorem okręgowym stał się młodszy wspólnik w firmie ze State Street, który podjął tę pracę jako hobby, a przewodniczącym profesor nadzwyczajny socjologii, mistrz procedury parlamentarnej, mający odstające uszy. Jedynie podejmowane od czasu do czasu kwestie dotyczące wiejskiej przeszłości Tarbox – zakup starej stodoły graniczącej z parkingiem albo prośba farmera, niezwykle człowieka o odmrożonych policzkach i powolnym, wibrującym głosie, by pozwolono mu na wcześniejsze żniwa, nim rozpoczną się prace nad wyprostowaniem zakrętu na drodze do Mather – wywoływały dyskusję. Zezwolenia na budowę nowych szkół, autostrad i ścieków oraz zarządzenia dotyczące poszczególnych stref prześlizgiwały się jak po maśle ubitym z federalnych subwencji. Każdą modernizację i ograniczenie uznawano za narodową konieczność, za zaszczyt ochrony roztaczanej przez imperialne państwo. Ostatni przeciwnicy, flegmatyczni skąpcy i choleryczni pesymiści, którzy przez prawie dekadę bez sensu blokowali budowę szkoły, zmarli albo nie uczestniczyli już w zebraniach, pozwalając, by sprawy miasta rozpatrywano w budynku, którego szklany dach przeciekał, a ruchome boksy nie dawały się regulować. Jak co roku debatowano o zgromadzeniach przedstawicielskich i kworum zostało zmniejszone o połowę. Spośród znajomych Pieta Harold, mniejszy Smith, znalazł się w Komisji Finansowej, Frank Appleby został przewodniczącym komitetu zajmującego się negocjacjami z władzami stanowymi w sprawie finansowanego przez podatników pociągu dla dojeżdżających do pracy. Irene Saltz przewodniczyła Komisji Ochrony Środowiska (po wygłoszeniu raportu złożyła rezygnację, czarująco tłumacząc, że musi to zrobić, ponieważ z prawdziwym żalem przenoszą się wraz z mężem do Cleveland). Matt Gallagher był członkiem Komisji Odwoławczej do spraw Budownictwa. Co więcej, nie istniał powód, dla którego – jeśli wierzyć aluzjom polskiego księdza – nie miałby zostać wybrany na radnego. Georgene Thorne przegrała niewielką ilością głosów wybory do szkolnego zarządu, ponieważ ktoś zaczął rozpuszczać plotki o skandalu.

Polityka nudziła Pieta. Tam, gdzie się urodził, Holendrzy byli wykluczeni z władz lokalnych, dla których tak czy inaczej czuli pogardę. Jego rodzina wspierała republikanów, gdyż odnosili wrażenie, że to partia anarchistów; czuli, że rząd jest fikcją, której ludzie nie powinni podtrzymywać. Świat polityki nie miał dla Pieta większego znaczenia niż świat filmu, a w trakcie zgromadzeń czuł się nieswojo jak podczas konkursu talentów na wiejskim

jarmarku, gdzie pełne napięcia twarze przybierają wyuczone miny i unoszą się z nadzieją w stronę całkowicie wyśnionych gwiazd. Piet chodził tam, żeby spotkać się z przyjaciółmi, ale tego wieczora, mimo iż Hanemowie przybyli wcześniej, tak się złożyło, że nikt z nimi nie usiadł. Apple-Smithowie i Saltzowie zajęli miejsca z przodu, wśród innych aktywnych politycznie osób. Na scenie, jako obserwatorzy niebędący jeszcze prawowitymi mieszkańcami, siedzieli młodzi Reinhardtowie, których Piet nie znosił. Guerinowie i Thorne'owie po przybyciu zajęli miejsca przy drugich drzwiach i Pietowi nie udało się spotkać wzrokiem z żadną z kobiet. Bernadette Ong i Carol Constantine weszły razem, spóźnione i bez mężów. Co najdziwniejsze, Whitmanowie wcale się nie pojawili, chociaż mieszkali już w Tarbox wystarczająco długo, by być mieszkańcami z prawem głosu. Siedząca u boku Pieta Angela, która codziennie po zajęciach w przedszkolu pędziła do Cambridge, a potem wracając, przedzierała się przez miasto w godzinach szczytu, była wyczerpana i nie przestawała kołysać się i wiercić, ale jako lojalny liberał nalegała, by zostać i dodać swój senny głos do pozostałych. Propozycja dotycząca ustanowienia połączenia kolejowego, o przybliżonym rocznym budżecie dwunastu tysięcy dolarów, argumentowana tym, że przyciągnie do Tarbox mieszkańców, którzy ogromnie wzbogacą lokalną społeczność, została przegłosowana jednomyślnie. Arogancka wydajność wzmoczonych alkoholem członków zgromadzenia zirytowała Pieta i tak zagroziła jego instynktowi wolności, że kilka razy opuścił jednomyślny tłum, żeby napić się wody z fontanny na korytarzu (gdzie wydało mu się, że miejscowy inspektor budowlany unika jego wzroku i nie odpowiada na powitanie). Kiedy po jedenastej zebranie zostało odroczone, Piet spostrzegł znajomych skupionych przy wyjściu, planujących wspólnego drinka u jednej z par. Stojący profilem Harold paplał jak najęty; głowa Bei kiwała się powoli i sennie. Uprzedzając przeczucia Pieta, Angela oznajmiła, że chce wracać do domu i spać. Przed rozpoczęciem wizyt u psychiatry zakomunikowałyby mu to bardziej oględnie. Piet mógł jedynie ustąpić.

– Żyjesz? – spytał ją w samochodzie.

– Ledwie. Od tych wszystkich dróg publicznych i szerokich na stopę pasów ziemi rozboleła mnie głowa. Dlaczego nie mogą tego po prostu załatwić w ratuszu i dać nam spokój?

– Jak ci dzisiaj poszła wizyta u psychiatry?

– Niezbyt ekscytująco. Czuję się zmęczona i głupia i nie wiedziałam, po co tam w ogóle przyszedłam.

– Mnie o to nie pytaj.

– Nie pytam.

– O czym rozmawiacie we dwoje?

– Tylko ja mówię. On słucha.

– I w ogóle się nie odzywa?

– Teoretycznie.

– Opowiadałaś mu o mnie? Jak namówiłem cię, żebyś się przespała z Freddy Thornem?

– Tylko na początku. Teraz zatrzymaliśmy się na moich rodzicach. Głównie tatusiu. W zeszły czwartek okazało się, samo wyskoczyło mi z ust, że zawsze rozbierał się w garderobie. Od lat o tym nie myślałam. Jeśli wchodziłam po coś do ich sypialni, on wyłaniał się z garderoby już w pidżamie. Jedynym wyjściem było podglądać go w łazience.

– Podglądałaś, aniołku.

– Wiem, kiedy sobie to przypomniałam, zrobiłam się czerwona. Ale też i zła. Kiedy tylko tam wchodził, odkręcał oba kurki, żebyśmy nie były w stanie usłyszeć, co robi.

My: Louise, jej rzadko widywana siostra, niedoskonała kopia Angeli, dwa lata młodsza, mieszkająca w Vermoncie, mąż pracujący jako nauczyciel w prywatnej szkole średniej. Louise wcześniej wyszła za mąż, nie była tak nieprzeciętnej piękności jak Angela; niewyraźne usta i szara cera, ale prawdopodobnie lepsza w łóżku, bardziej sprośna. Piet pomyślał o

Joopie, bladym bracie z lnianymi włosami i zażawionymi oczami; młodszy, czystszy, zajmował się szklarnią, powinien był ożenić się z Angelą, żyliby spokojnie we dwoje, oświetlani promieniami zachodzącego słońca. Jemu zostałaby sprośna Louise.

– Czy Louise widziała kiedykolwiek jego penisa? – spytał. – Rozmawialiście o tym w ogóle?

– Raczej nie. Byłyśmy pełne zahamowań, pomimo iż matka zawsze nam opowiadała, jak wspaniała jest natura, tak śmiesznie to akcentując, a w domu było mnóstwo albumów z reprodukcjami sztuki. Te Michała Anioła, u Adama, są takie urocze i wiotkie, z długimi napletkami, więc kiedy zobaczyłam ciebie, pomyślałam...

– Co takiego pomyślałaś?

– To już omówię z psychiatrą.

Nun's Bay Road, od czasu, kiedy ją poszerzono, przestała przypominać drogę na plażę i stała się prosta i gładka, jak autostrady na Środkowym Zachodzie. Jedynymi znajdującymi się przy niej obiektami był zamknięty na głucho warzywniak i stojący na wysokim pagórku duży dom ze zdobieniami i farbą obłazającą ze ścian (na piętrze, gdzie mieszkał wdowiec, paliło się pojedyncze światło). Joop miał oczy i usta po matce. Wyblakłe, posłuszne, zmęczone. Piet czuł, że Angela zaczyna przysypiać.

– Nie pamiętam, czy kiedykolwiek widziałem matkę nago – powiedział. – Zawsze kąpali się, kiedy już spałem. Nie sądziłem, żeby mieli jakiegokolwiek pojęcie o seksie, i byłem w szoku, kiedy pewnego razu matka poskarżyła się mimochodem na plamy na mojej pościeli. Nie skarciła mnie, mówiła to prawie żartem. Chyba właśnie dlatego byłem taki zszokowany.

– Jedną dobrą rzeczą, jaką zrobił tatuś – odparła Angela – było to, że kazał nam trzymać plecy wyprostowane, kiedy zaczęły nam rosnać piersi. Wściekał się, kiedy widział, że się garbimy.

– Wstydziałaś się swoich piersi?

– Nie chodzi o to, że się wstydziałam. Po prostu na początku nie wiadomo, co z nimi robić. Wystają i się trzęsą.

Piet wyobraził sobie piersi Angeli.

– Przykro mi, że opowiadasz o ojcu – powiedział – kiedy myślałem, że to ze mną masz problem. Oczywiście, to on płaci za wizyty.

– Dlaczego tak cię to denerwuje? Ma pieniądze, a my ich nie mamy.

Koła kremowego peugeota zachrzęściły na żwirze podjazdu. Byli w domu. Prostokąty światła z okien cięły żywopłot w niewyraźną kratkę. Trawnik pod stopami był grząski, luźna skóra odwilży na ciele zimy. Młode drzewko klonu rosnące w pobliżu ganku, na grządce, znów zaczęło się rozrastać, wypuszczając proste pędy, czerwone jak alkohol w termometrze. Świecący zza czarnego komina zamglony księżyc sprawiał wrażenie ciepłego. Piet z przyjemnością wciągnął do płuc wilgotną noc. Rok kłopotów jakby się ulotnił, rozwiął w powietrzu.

Dziećmi opiekowała się Merissa Mills, nastoletnia córka lidera nieistniejącego już towarzystwa ze skutni, który lata temu się rozwiódł. Przeprowadził się na Florydę, gdzie zarządzał przystanią jachtową i ponownie się ożenił. Merissa, jak to często bywa z dziećmi z rozbitych rodzin, była dość spokojna, grzeczna i zwyczajna.

– Dzwoniła tylko jedna osoba – powiedziała. – Pan Whitman. Zapisałam numer.

Na kartce z żółtego bloczku rachunków Gallagher & Hanema widniał numer Foxy, zanotowany ołówkiem, nijakim, zaokrąglonym piśmem Merissy.

– Pan Whitman? – spytał Piet.

Merissa spojrzała na niego obojętnie, zbierając książki. W życiu doświadczyła już chaosu poczucia winy i nie miała zamiaru przeżywać go ponownie.

– Powiedział, żeby pan do niego zadzwonił, bez względu na to, jak późno wrócicie.

– Chyba nie miał na myśli aż tak późnej pory – powiedziała Pietowi Angela. – Zawieź

Merisę do domu, zadzwonię do Foxy rano.

– Nie!

Nagle Piet wyraźnie ujrzał przed sobą obie kobiety jako identyczne – o wczesnie ukształtowanej moralności i chowające się za maską wystudiowanego opanowania. Czuł, że osłaniają go przed czymś kryjącym się w ciemności, co mu się należało, przed przeznaczeniem, owocem jego czynów. Jak zahipnotyzowany podążył otwartą ciągle wąską ścieżką.

– Merissa może być nam potrzebna. Pozwól, że zadzwonię do Kena, nim ją zwolnimy do domu.

– Merissa musi iść jutro do szkoły, a ja jestem wyczerpana – zaprotestowała Angela.

W jej głosie brakowało jednak zdecydowania. Piet podszedł do telefonu; drżały mu ręce. Podnosząc słuchawkę i wykręcając numer, poruszał się ostrożnie, jak trędowaty, którego ciało odpada srebrnymi łuskami.

Ken odebrał po drugim sygnale.

– Piet – powiedział.

To nie było powitanie; Ken nadawał czemuś imię.

– Ken.

– Przeprowadziliśmy z Foxy długą rozmowę.

– Na jaki temat?

– Na wasz.

– Tak?

– Tak. Przyznajesz, że byliście kochankami od zeszłego lata?

Milczenie Kena się przedłużało. Niecierpliwy lekarz w obliczu topniejącej się nadziei. Piet zrozumiał, że to koniec, że prawda wymknęła się i otoczyła ich zewsząd, jak powietrze, jak ciemność. Westchnął – umierający człowiek, który po wielu miesiącach pomysłowych wybiegów z ulgą poddaje się nadziei życia pozagrobowego.

– Przyznaję.

– Świetnie. To jakiś postęp.

Kiedy słuchał, twarz zapomnianej Angeli utrzymywała się bez słowa gdzieś na obrzeżach jego pola widzenia.

– Powiedziała mi też, że tej zimy zaszła w ciążę z twoim dzieckiem, a ty załatwiłeś jej aborcję, która została przeprowadzona, kiedy byłem w Chicago.

– Tylko czy to prawda? Kiedy byłeś w Wietrznym Mieście? – Piet widział rozciągającą się przed nim twardą jak gład powierzchnię, na której miał ochotę zatańczyć.

– To prawda? – nie ustępował Ken.

– Jakie są zasady tego quizu? – spytał Piet. – Mogę wygrać czy jestem z góry skazany na przegraną?

Ken zamilkł na chwilę. Twarz Angeli, na której powoli pojawiała się zrozumienie, stawała się coraz bledsza. Jej usta bezgłośnie wymawiały pytanie „kto”?

– Sądzę, że najlepszym rozwiązaniem byłoby – powiedział Ken już nieco mniej ostrym, bardziej ustępliwym tonem – gdybyście przyjechali do nas z Angelą.

– Ona jest okropnie zmęczona.

– Mógłbyś dać mi ją do telefonu?

– Nie. Zaraz przyjedziemy.

Odkładając słuchawkę, spojrzął na prostokątny kawałek nieco ciemniejszej tapety, gdzie jeszcze niedawno wisiało lustro. Angela przeniosła je do pokoju Nancy, ponieważ dziewczynka bardzo zazdrościła siostrze prezentu urodzinowego od ojca.

– Musimy jechać – powiedział i zwrócił się do Merissy. – Możesz jeszcze zostać?

Obie wyraziły zgodę. W ciągu tych kilku minut rozmowy telefonicznej nabył dostojeństwa osoby, która nie może już niżej upaść. Twarz Pieta stanowiła maskę, podczas gdy krew

burzyła mu się w żyłach, kipiąc na zmianę pod wpływem wstydu i strachu. Tymczasem musiał wykonać wszystkie drobne czynności – powolne otwarcie zasuwki, uderzanie rękoma po kieszeniach w poszukiwaniu kluczyków od samochodu, pożegnalny uśmiech rzucony Merissie i obietnica, że niedługo wrócą – które były potrzebne by wyjść z domu, zanurzyć się we mgle i ruszyć w drogę.

Odległość między domami Hanemów i Whitmanów nie była duża. Najszybciej można było dojechać Blackberry Lane, krętą drogą przemianowaną z Nigger Lane, gdzie w czasach Daniela Webstera mieszkał zbiegły niewolnik, który umarł w końcu z samotności i na zapalenie płuc. Latem Piet często jeździł po pracy wykąpać się z córkami w morzu i zawsze zdążali do domu na kolację. Tak więc nie mieli z Angelą wiele czasu na rozmowę. Angela mówiła szybko, lekko, pobieżnie usiłując wypełnić luki w tym, co usłyszała i czego się domyśliła.

– Od jak dawna to trwa?

– Od zeszłego lata. Sądzę, że Foxy zatrudniła mnie do remontu, żeby sprawdzić, co się wydarzy.

– Przeszło mi to przez myśl, ale nie sądziłam, że wykorzystalbyś swoją pozycję w ten sposób, myślałam, że to poniżej twojej godności. Możesz oszukiwać mnie, ale swoich pracowników, Gallaghery...

– Pracę wykonałem dobrze. Zaczęliśmy ze sobą sypiać pod koniec. Dopiero po remoncie, kiedy nie istniał już powód, by mój samochód stał na ich podjeździe, zacząłem myśleć, że to nie w porządku.

– Naprawdę zacząłeś tak myśleć?

– Oczywiście. Zrobiło się bardzo poważnie. Prawie religijnie i smutno. Była taka wielka.

Piet czerpał przyjemność z opowiadania o tym wszystkim, jak gdyby pod tą inną postacią potajemnie kochał Angelę, a teraz mógł podzielić się z nią wielkością i głębią tej miłości.

– Tak, to dość zaskakujące. Jej ciąża. Kenowi ciężko to pewnie zaakceptować.

Piet wzruszył ramionami.

– Ciąża stanowiła jej część. Nie miałem nic przeciwko, bo Foxy też to nie przeszkadzało. Tak właściwie to sprawiało, że nasz związek był bardziej niewinny, jak gdyby część Foxy zawsze pozostawała wierna Kenowi, bez względu na to, co robiła z resztą.

– Ile razy się z nią w sumie kochałeś?

– Trzydzieści. Czterdzieści.

– Czterdzieści!

– Sama spytałaś. – Angela zaczęła płakać.

– Nie płacz.

– Płaczę, ponieważ ostatnimi czasy wydawałeś się szczęśliwszy i sądziłam, że to z mojego powodu, a chodziło o nią.

– Nie, nie chodziło o nią.

Wyczuł w sobie miękki punkt, ukryte dno romansu z Beą.

– Nie? Kiedy spałeś z nią po raz ostatni?

Aborcja. W żadnym wypadku nie powinna wiedzieć. Ale prawda była zbyt wielka do ukrycia, jak słoń. W jego cieniu ziemia wyglądała podejrzanie nago.

– Kilka miesięcy temu. Uzgodniliśmy, że to ostatni raz.

– Ale już po urodzeniu dziecka?

– Tak. Mniej więcej sześć tygodni po porodzie. Byłem zdumiony, że jeszcze mnie chce.

– Jakiś ty skromny.

Powiedziała to głosem martwym, pozbawionym ironii. W reflektorach samochodu pojawiła się przechylona na bok skrzynka na listy, na zawsze krzywa. Mgliste duchy napływały znad bagien, gdzie znikła droga.

– Dlaczego przestaliście się spotykać? – spytała Angela.

Nie wyjawiając całej prawdy, Piet nie szczędził szczerości odpowiadając na to pytanie.

– Nasz związek zaczął stawać się bardziej bolesny niż wygodny. Byłem okrutny dla ciebie i straciłem z oczu dziewczynki; wydawało mi się, że dojrzewają beze mnie. Potem, kiedy już urodziła dziecko, chłopca, stało się jasne, że nasz czas minął. – Po chwili dodał: – Jest czas kochania i czas umierania.

Przestała płakać, ale łzy pozostały w jej głosie, zużytym i złamanym.

– Kochałeś ją?

Musiał uważać, jak stąpa; ich rozmowa przeniosła się z gęstego, zwodniczego lasu na pustynię, gdzie każdy krok zostawiał ślad.

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem to pojęcie – powiedział. – Tak, sprawiało mi przyjemność przebywanie z nią.

– Z Georgene też?

– Tak. Chociaż w jej wypadku to było mniej skomplikowane. Nie była tak wymagająca. Foxy zawsze starała się mnie kształtować.

– Były jeszcze jakieś inne kobiety?

– Nie.

Kłamstwo unosiło się w powietrzu, kiedy zjechali z ostatniego pagórka przed wzniesieniem, na którym stał dom Whitmanów.

– A ja? Czy kiedykolwiek sprawiało ci przyjemność bycie ze mną?

Pustynia uległa przeobrażeniu; nawet głos Angeli, kiedyś płynna, ostra skała, stał się wypalonym kamieniem.

– Jezu, oczywiście – powiedział Piet. – Z tobą jest jak w niebie. – Ciągnął pospiesznie, podjąwszy decyzję. – Powinnaś coś wiedzieć, ponieważ Ken też o tym wie. Na koniec, kiedy zdecydowałem się przerwać romans, Foxy zaszła w ciążę, nie pytaj w jaki sposób, to było idiotyczne, i poprosiliśmy Freddy’ego Thorne’a, żeby pomógł nam zorganizować aborcję. W zamian za pomoc zażądał nocy z tobą. To brzmi okropnie, ale nie mieliśmy wyjścia. Zachowałaś się wspaniale i od tej pory między mną i Foxy wszystko skończone. Tamten związek należy do przeszłości. Było minęło. Jesteśmy tu dzisiaj tylko po to, żeby udzielono mi reprimendy.

Stali przed domem Whitmanów. W ciszy wyłączonego silnika milczenie Angeli, zaniepokoiło Pieta. Kiedy się wreszcie odezwała, jej głos był cichy, stłumiony i ostateczny:

– Lepiej zabierz mnie do domu.

– Nie bądź niemądra – powiedział. – Musisz wejść ze mną. – Po chwili dodał, jak gdyby chcąc usprawiedliwić swój władczy ton: – Bez ciebie nie mam odwagi.

Drzwi otworzył im Ken. Miał na sobie fular i bonżurkę – gospodarz. Potrząsnął poważnie dłonią Pieta, spoglądając na niego płytkimi, szarymi oczami, jak gdyby robił zdjęcie. Z Angelą przywitał się ni to troskliwie, ni to wesoło. Jego męski głos i ramiona swobodnie wypełniały przestrzeń, w których Foxy dryfowała sama, opuszczona. Ken wziął od nich okrycia, niebieski płaszcz Angeli, jeden z jej najlepszych, i morelową kurtkę Pieta, i wprowadził ich do salonu przez wyłożony chodnikami hol. Angela rozglądała się wokół, zafascynowana tym, w jaki sposób został odnowiony dom, który powinien należeć do niej.

– Ty wybrałaś tapety? – mruknęła do Pieta.

Foxy siedziała w salonie, karmiąc leżące na jej kolanach dziecko. Nie mogąc podnieść się z miejsca ani wymówić słów powitania, uśmiechnęła się do nich. Jej zapłakana twarz, rozświetlona uśmiechem, wydała się Pietowi wypełniona drogimi kamieniami; światło lampy spływało po rozpuszczonych włosach Foxy do pozbawionego twarzy tobołka na jej kolanach. Rządek butelek na niskim stoliku błyszczał. Pili przed ich przyjazdem. W małej społeczności znajomych z Tarbox największym wyrazem zaufania było zaproszenie do dzielenia wraz z



drugą parą prywatności, zobaczenia jej w zabawnym dezabilu, bycia świadkiem otwartych kłótni i wynikających z nich zmartwień. Tej nocy trudno było przerwać ten nieformalny urok i stanąć naprzeciw siebie w charakterze wrogów. Angela usiadła w starym skórzanym fotelu, a Piet wybrał krzesło z oparciem i siedzeniem plecionym z sitowia, które matka Foxy przysłała z Maryland, zbulwersowana przygnębiającym wnętrzem domu córki. Ken postanowił nie siadać, chcąc przeprowadzić spotkanie w akademicki sposób. Piet miał ochotę się zgrywać, skryć się za tradycyjną maską błazna. Angela i Foxy, siedzące ze skrzyżowanymi, lśniącymi nogami, wprowadzały do atmosfery pomieszczenia krzepiący urok kobiecej obecności, bez której żaden czyn od czasu nadania imienia Adamowi nie był kompletny. Kobiety to łagodne, bogate byty, których istnienie wśród nas rozprasza poczucie winy.

Ken spytał, czego chcą się napić. Musiał okazać się godnym rekwizytu, jakim była bonzurka. Zniewaga nie przybiera kostiumu.

– Niczego – powiedziała Angela.

Piet poprosił o coś z dzinem. Jako że sezon na tonik jeszcze się nie rozpoczął, więc może wytrawny wermut, pół na pół, europejskie martini. Cokolwiek, byle nie whisky. Opisał zapach, jaki unosił się nad zgromadzeniem mieszkańców miasta, i z rozczarowaniem przekonał się, że nikogo nie rozśmieszył.

– Co mamy w programie na dzisiejszy wieczór? – spytał rozdrażniony.

Ken zignorował jego pytanie i zwrócił się do Angeli:

– Ile z tego było ci wcześniej wiadome?

– Aha – powiedział Piet. – Egzamin ustny.

– Tyle, co tobie – odparła. – Nic.

– Musiałaś się chyba czegoś domyślać.

– Ciągłe zgaduję na temat Pieta, ale on jest dość nieobliczalny.

– Użyłbym słowa „sprytny” – powiedział Piet.

Ken nie zdejmował wzroku z Angeli.

– Przecież jesteś w Tarbox przez cały dzień; mnie nie ma od siódmej do siódmej.

Angela pochyliła się do przodu, a skórzana poduszka westchnęła.

– Co sugerujesz? Ze jestem złą żoną?

– Jednym z powodów, dla których Angela jest dobrą żoną dla Pieta – odezwała się Foxy – lepszą, niż ja kiedykolwiek mogłabym być, jest fakt, że świadomie nie widzi niektórych rzeczy.

– Nie byłabym tego taka pewna – powiedziała Angela, zaniepokojona dźwiękiem wydanym przez fotel, i nalała sobie brandy.

Koniak był pięciogwiazdkowy, ale z braku kieliszków Angela musiała zadowolić się szklanką z rysunkiem Flintstone'ów. Sposób prowadzenia domu przez Foxy dopuszczał tego typu wpadki i zaniedbania. Przychodząc późnym popołudniem, Piet widział, poprzez blond woal jej objęć, niezmyte naczynia stojące w salonie od śniadania i książkę, w której założyła stronę kawałkiem wyschniętego boczku. Kiedy jej to wytknął, stwierdziła, że robiła to specjalnie, żeby go rozbawić; zauważył też jednak, że nie zawsze miała czystą bieliznę.

Nie mogąc pozwolić, by sprzeciw Angeli pozostał bez komentarza, Foxy wyprostowała się na kanapie, potrząsając śpiącym na jej kolanach zawiniątkiem.

– To miał być komplement. Uważam, że to piękna cecha. Ja nie potrafiłabym się tak zachowywać, być mądrą, wyrozumiałą żoną. Jestem z natury zazdrosna. Skręcało mnie, kiedy w czasie przyjęć podchodziłaś ze słodkim, zaborczym uśmiechem i zabierałaś męża do domu.

Piet się skrzywił. Sztuczka polegała na tym, żeby nie rysować przed Kenem zbyt realistycznego obrazu. Trzeba zmienić temat.

– Skąd się dowiedziałeś? – spytał. Poczciwy człowiek próbujący się czegoś po prostu dowiedzieć.

– Ktoś mu powiedział – wtrąciła Foxy. – Kobieta. Zazdrosna kobieta.  
– Georgene – rzucił Piet.  
– Zgadza się – potwierdziła Foxy.  
– Nie – sprzeciwił się Ken. – Dowiedziałem się od Marcii. mniejszej Smith. Jakiś czas temu spotkałem ją w centrum i spytała mnie, co jeszcze remontujemy, bo pikap Pieta tak często stoi na naszym podjeździe.

– Nie bądź śmieszny. Wymyślili tę historyjkę we dwoje – zwróciła się do Pieta Foxy. – To na pewno była Georgene. Od kiedy natknęła się na nas razem w zeszłym tygodniu, spodziewałam się, że zrobi coś podłego. W jej życiu nie ma miłości, więc nie jest w stanie znieść, kiedy inni się kochają.

Pietowi nie podobał się ostry ton Foxy; czuł, że są winni parze, którą skrzywdzili, bardziej powściągliwe zachowanie.

– A wtedy ty mu o wszystkim opowiedziałas – oskarżył Foxy.

Delikatna perłowa sieć na jej twarzy rozpadła się.

– Tak. Tak. Kiedy już zaczęłam, nie mogłam przestać. Z jednej strony mi przykro. Ale z drugiej, przeżyłam przez ciebie piekło, człowieku.

Angela uśmiechnęła się do Kena znad swojej brandy.

– Kłóć się.

– To ich problem – odparł.

Słyszając jego nieugięty ton, Piet zrozumiał, że w przeciwieństwie do niego, Ken nie uważał, by ta sytuacja dotyczyła całej ich czwórki, by była czterostronnym natarciem i wycofaniem. Chciał teraz tylko uniewinnić siebie i przyspieszyć bieg wydarzeń.

Angela, tak jak i Piet przestraszona coraz bardziej stanowczym zachowaniem Whitmanów, pochyliła owalną głowę lekko w kierunku Foxy.

– Georgene widziała was razem w zeszłym tygodniu? – spytała cicho. – Piet mówił, że między wami już wszystko skończone.

– Kłamał, kochana – powiedziała Foxy.

– Nieprawda. – Twarz Pieta zapłonęła. – Przyjechałem, bo czułaś się nieszczęśliwa. Nie kochaliśmy się, prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Uznaliśmy, że aborcja definitywnie zakończyła to, co powinniśmy byli sami przerwać już dawno temu. Bez żadnych wątpliwości.

– Zupełnie żadnych?

Foxy spuściła oczy. Jej aksamitna buzia spoważniała. Piet pamiętał, jak wymownie potrafiły układać się jej usta. Emanowała równocześnie uległością i prośbą. Piet czuł, że jej piękne ciało, schwyte przez niego wzrokiem, wyraża błaganie, by nie kazał jej powtórnie doświadczać upokorzenia Petera.

Ken znów zwrócił się do Angeli:

– Ile w takim razie wiesz? Zdajesz sobie na przykład sprawę, że w dzień imprezy na cześć Kennedy’ego całowali się w łazience na piętrze? Wiesz, że przez chwilę Piet miał równocześnie Georgene i Foxy, a teraz ma jeszcze inną kobietę?

– Kogo?

Szybkie pytanie Angeli zaskoczyło oboje Whitmanów. Spojrzeli po sobie w milczeniu. Piet nie ujrzał na twarzy Foxy żadnej reakcji.

– Beę – oznajmił Ken Angeli prosto z mostu.

– Droga Bea – powiedziała Angela, trzymając place na mosiężnym ćwieku, znajdującym się na zewnętrznej krawędzi lewego podłokietnika skórzanego fotela.

Ból znoszony z wyniosłością. Zdradliwość lesbijek. Ubierać się w tuniki i słuchać poezji. Dotknij mojego ramienia. Hokej.

– To plotki – wtrącił Piet. – Jakie macie dowody?

– Daj spokój – powiedziała cicho Angela.

Ken powrócił do roli instruktora; kiedy pochylił się nad Angelą, ukazał w świetle lampy

skronie pokryte profesorską siwizną.

– Wiesz o aborcji?

Jego twarz była przepełniona wiadomościami, którym musiał dać ujście przez schludne usta. Przysadzisty, pilny uczeń, z którego naśmiewano się w czasie przerw. „Nie dokuczaj, Piecie, nikomu nie dokuczaj”.

– Czemu nie odczepisz się od mojej żony? – spytał Piet.

Angela przytaknęła i machnęła z wdziękiem w stronę Kena.

– Wydaje mi się, że zrobili to zarówno dla siebie, jak i dla ciebie. Kobieta cyniczna urodziłaby dziecko i wychowałaby je jako twoje.

– Musiałbym być chyba całkiem ślepy. Wiem, jak wygląda Whitman.

– Wystarczy posłuchać – powiedział Piet. – Od urodzenia poucza innych.

Ken odwrócił się w jego stronę.

– Jednym z kroków, jakie rozważam, jest wysunięcie oskarżenia przeciwko Thorne’owi. Ty byłbyś współwinny.

– Czemu, na Boga? – spytał Piet. – To prawdopodobnie najbardziej chrześcijański uczynek Freddy’ego Thorne’a. Nie musiał tego robić, działał pod wpływem współczucia. A nawet miłości.

– Miłości do kogo?

– Do przyjaciół.

Wymawiając te słowa, Piet czuł, że serce drży mu miłosnym niepokojem, jak gdyby mur między nim a Freddy’em runął i w końcu zrozumieli się z od dawna pożądaną pełnią, jak to się kiedyś prawie stało w zatęchłym holu Constantine’ów. Zarówno miłość, jak i nienawiść szukają zrozumienia.

Coś dziwnego działo się z górną wargą Kena, pojawiło się na niej cierpkie wybrzuszenie, uśmiezek nastolatka.

– Zrobił to, bo lubi mieszać w życiach innych ludzi. Ale to nie ma nic do rzeczy. Stało się, a ja nie widzę drogi powrotnej.

Jako pierwsza zrozumiała go Angela.

– Żadnej?

Ken potwierdził jej sugestię.

– Mam dość. Ujmując to językiem technicznym: niektóre reakcje są odwracalne, niektóre nie. Ta wydaje mi się nieodwracalna. Zwykłą niewierność mógłbym jeszcze jakoś znieść, może nawet dłuższy romans, ale z moim dzieckiem w brzuchu...

– Nie bądź przesądny – przerwała mu Foxy.

– ...a potem ten potworny numer z Thorne’em.

– Jak możesz ich osądzać? – spytała Angela. – Jak mówi Piet, w tej sytuacji to było zbawienne rozwiązanie.

– Całe lato pisała do mnie długie listy o tym, jak bardzo cię kocha – powiedział Piet.

Ale wiedział już, że wszystko na nic, i odczuwał satysfakcję, ponieważ był lojalny Bogu, który litościwie zwalnia z obowiązku błagania, który przybija legary Swego osądu mocno do podłogi i osłania wszechświat dachem ładu.

W głosie Kena, nadal stojącego nad nimi jak nauczyciel, zaczęło pobrzmiwać niezdecydowanie nastolatka:

– Spróbuję jeszcze raz. Wyraźnie widzę, że niewiele was obchodzi. Ale to była dla mnie trudna noc i chcę powiedzieć, co myślę.

– Słuchamy, słuchamy – zachęcił go Piet.

Z przyjemnością czekał, aż zostanie zmiażdżony i wyrzucony.

– W pewnym sensie – ciągnął Ken – czuję nawet wdzięczność i życzliwość, ponieważ jako naukowiec z założenia powinienem szukać prawdy. Dzisiaj została przede mną odkryta i chcę okazać się jej godzien. Nie chcę przed nią uchylać.

Piet dolał sobie dżinu. Foxy zmrużyła oczy i trąciła dziecko łokciem; Angela popijała brandy, nadal siedząc na samym brzegu ogromnego skórzanego fotela.

– W chemii – powiedział Ken – molekuly tworzą cząsteczki; niektóre związki mają silne wiązania, inne słabsze, i chociaż wiadomo już, że chodzi o wartościowość pierwiastków, początkowo dawano pragmatyczne wytłumaczenia. Słuchając dzisiejszego wieczoru mojej żony, zdziwiło mnie tylko to, co powiedziała o oszustwach dokonywanych z zimną krwią, ale i radosna oczywistość, z jaką to z siebie wyrzucała. Uznałem, że więzy między nami nie są zbyt silne. A sądzę, że powinny być. Pochodzimy z tego samego środowiska, oboje jesteśmy inteligentni, potrafimy trzymać się zasad; Foxy wytrwała przy mnie wiele lat, które jak teraz mówi, były dość szare i monotonne. Powiedziała mi, Piecie, że nie pamiętała, czym jest miłość, dopóki ty się nie pojawiłeś. Nic nie mów. Możliwe, że nie jestem zdolny do miłości. Zawsze zakładałem, że ją kocham, że czuję, co trzeba. Chciałem mieć z nią dziecko, kiedy będziemy mieć więcej miejsca, dałem jej ten dom...

– Dałeś go sam sobie – przerwała mu Foxy.

– Foxy – upomniał ją Piet.

Dłonie Kena, o długich palcach, młodsze niż reszta ciała, kreśliły w powietrzu schematy; teraz opadły na boki, skarcone. Zwrócił się do Pieta:

– Widzisz, nie ma żadnych więzi. Ale najwyraźniej istnieją one między tobą i nią. Tym lepiej dla was.

– Powiedziałabym, że tym gorzej – wtrąciła Angela.

Ken spojrzała na nią zdziwiony. Wydawało mu się, że postawił sprawę jasno.

– Rozwodzę się z Foxy.

– Nie zrobisz tego.

– To prawda?

Najpierw odezwała się Angela, a potem Piet do Foxy. Foxy pokiwała głową, a na jej różowej twarzy znów pojawiły się drogie kamienie, płonące, przyćmiewające skierowane do Pieta wymowne spojrzenie rozpoznania i wyznanie bezradności. Przypominała znajdującą się w stanie chwilowej równowagi Nancy, kiedy dziewczynka zмага się ze świadomością, że zaraz się rozplacze, a potem jej twarz chwieje się i rozpada jak stłuczona waza, odsłaniając zawadzający język, drżący w udreće na dnie ust.

– Jeśli się z nią rozwiedziesz, będę musiał się z nią ożenić. – Piet czuł, że stwierdzenie to raczej wymknęło się mu z ust, niż zostało świadomie wypowiedziane. Była to groźba, skarga czy obietnica?

– To najlaskawsze oświadczyzny, jakie kiedykolwiek słyszałam – stwierdziła oschle Foxy. Ale padło kluczowe słowo: oświadczyzny.

– O Boże, o Boże – wykrzyknęła Angela. – Niedobrze mi, niedobrze.

– Przestań tak wszystko powtarzać – powiedział Piet.

– On jej wcale nie kocha – Angela zwróciła się do Kena. – Od lata usiłował ją rzucić.

– Nie wiem, co powinieneś zrobić – powiedział Pietowi Ken. – Wiem tylko, co ja powinienem zrobić.

– Nie możesz rozwieść się z nią z powodu czegoś, co już się skończyło – wstawił się za Foxy Piet. – Spójrz na nią. Żałuje tego, co zrobiła. Do wszystkiego się przyznała. Trzyma na rękach twoje dziecko. Zabierz ją, zbij, opuść Tarbox, wróć z nią do Cambridge, cokolwiek. Ale żaden rozsądny człowiek...

– Rozsądku chyba mi nie odmówisz – przerwał mu Ken. – Poza tym mam niepodważalne podstawy prawne.

– Przestań na moment zachowywać się jak syn prawnika. Spróbuj być przez chwilę człowiekiem. Prawo jest martwe.

– Sedno sprawy leży w tym – powiedział Ken, siadając w końcu – że Foxy wcale nie żałuje tego, co zrobiła.

– Oczywiście, że żałuje – zapewnił go Piet. – Spójrz na nią. Zapytaj.  
– To prawda, Fox? – spytał łagodnie Ken, jak gdyby budził ją ze snu. – Żałujesz?  
Patrzyła na niego przez chwilę zuchwałymi piwnymi oczami.  
– Co wieczór będę obmywać ci stopy, a potem wypijać brudną wodę.  
Eksperyment się powiódł; Ken odwrócił się do Pieta.  
– Widzisz? Kpi sobie ze mnie.

Foxy wstała, wzięła dziecko na ramię i szybko poklepała mu plecy.  
– Nie wytrzymam tego dłużej – oznajmiła. – Traktujecie mnie jak przedmiot. Przepraszam, Angelo. Naprawdę mi przykro z powodu nieszczęścia, jakie cię spotkało, ale ci mężczyźni... Ciągłe rywalizują w uzalaniu się nad sobą.

Zatrzymała się przy drzwiach i podniosła z krzesła koc. Kiedy się pochylała, było cicho i Tobiasowi się odbiło.

Na dźwięk złowieszczego wyraźnego, poźegnalnego beknięcia ramiona Angeli zatrzęsły się od śmiechu. Ukryła twarz w dłoniach. Potem na powrót ją odsłoniła, jak swój własny akolita, otwierający w nabożnym skupieniu skrzydła tryptyku. Piet ujrzał z zakłopotaniem układ szczelin, gotowych jak ukwiał przyjąć wszystko, co przepływa wokół.

– Chcę wracać do domu – zwróciła się do Kena. – Jestem zmęczona, muszę się wykapać. Wszystko już ustalone? Ty rozwiedziesz się z Foxy, a Piet ze mną. Chcesz się ze mną ożenić, Ken?

Odpowiedział z kurtuazją, która utwierdziła Pieta w przekonaniu, jakie żywił od dziecka, że świat zaludniony jest osobami znakomitszymi i mądrzejszymi od niego, bardziej taktownymi i mniej zachłannymi.

– To kusząca propozycja. Żałuję, że nie poznaliśmy się wiele lat temu.

– Wiele lat temu – odparła Angela – byliśmy zbyt zajęci byciem dobrymi dziećmi. – Zwróciła się do Pieta: – Co teraz zrobimy? Chcesz się wyprowadzić jeszcze dzisiaj?

– Nie dramatyzuj – powiedział Piet. – Nic nie zostało ustalone. Sądzę, że powinniśmy przespać się z tym problemem.

– To znaczy, że już wycofujesz się ze swojej propozycji? – spytał Ken.

– Jakiej propozycji?

– Musisz coś o nas wiedzieć, Piecie, o mnie i o tobie – odparł Ken. – Coś, czego z jakiegoś powodu, prawdopodobnie ze względu na współczesne wychowanie, nie jestem w stanie dobitnie wyrazić i czego, jak widzę po twoim uśmiechu, ta dyskusja nie przedstawiła w jasnym świetle. Wkurzasz mnie. – Zabrzmiało to sztucznie, więc Ken się poprawił: – Nienawidzę cię za to, co zrobiłeś mnie i Foxy.

Piet sądził, że Angela zacznie go bronić albo przynajmniej lekko zaprotestuje, ale w powietrzu unosiło się jedynie jej milczenie.

– W mniej niż rok ty i to chore miasteczko zburzyliście wszystko, co udało nam się zbudować z żoną przez siedem lat. Pod maską wesołka skrywasz żądzę zniszczenia. Uwielbiasz niszczyć. Rudy mściciel. Czerpiesz przyjemność z bólu innych.

Znudzony surowymi upomnieniami, Piet zbuntował się i wstał.

– To twoja żona, więc pilnuj jej w łóżku – powiedział. – Straciłeś ją już na samym początku. Żaden myślący mężczyzna nie poślubiłby kobiety zaraz po tym, jak przeżyła zawód miłosny. Nie wiń mnie, skoro na takim podłożu nie rosną kwiaty. – Wychodząc do korytarza za Angellą, obrócił się jeszcze w drzwiach i wskazał Kenowi dom, meble Cambridge, puste łóżeczko dziecinne, wielkie okna, sumę małżeńskich lat. – Probówka.

Zadowolony z repliki, czekał poparcie ze strony Angeli, ale ona zdążyła już wyjść i zatrzasnąć za sobą drzwi z siatką. Znalazłszy się na zewnątrz, na wilgotnym powietrzu, Piet skręcił pośród krzewy bzów. Gałąź trafiła go pod oko; czy był pijany i stąd brała się przepelniająca go radość?

Samochód pędził przez mgłę.

– Była ode mnie o wiele lepsza w łóżku?

– Była inna – odparł Piet. – Robiła rzeczy, których ty nie robisz nigdy. Sądzę, że znacznie wyżej ceni mężczyzn. Nie ma tyle pewności siebie co ty i wykazuje więcej cech męskich. Jeśli chodzi o ciało, ciebie jest znacznie więcej w każdym miejscu; Foxy jest ciasna i jej wrażliwość nie rozwinęła się zupełnie. Jest młoda, jak sama kiedyś powiedziałaś.

Tak wyczerpująca odpowiedź doprowadziła Angelę do wściekłości, jak gdyby dopiero teraz przekonała się, że Piet tak dobrze poznał inną kobietę. Krzyknęła i ukląkszy na gumowej wykładzinie, zaczęła uderzać rękoma i głową w powierzchnię pełną gałek i metalowych brzegów, próbując stłumić płacz w zakurzonej samochodowej tapicerce. Piet zatrzymał peugeota, przeszedł wokoło cykającej maski na drugą stronę i otworzył drzwi. Kiedy wyciągał Angelę z samochodu, zdawała się całkiem bezwładna; opadała miękko jak człowiek pijany albo kukielka.

– Oddychaj głęboko – polecił jej.

W tym miejscu droga na plażę opadała w kierunku bagien, a mgła była gęsta i tak przesycona solą, że przywodziła na myśl coś wiecznego. Angela odzyskała panowanie nad sobą, przeprosiła, zerwała kilka źdźbeł wiosennej trawy i przycisnęła je do powiek. Z mgły wyłoniła się para reflektorów, podjechała do nich powoli i zatrzymała się.

Otworzyły się drzwi od samochodu. Usłyszeli pytający podniesiony głos Harolda, mniejszego Smitha.

– Wszystko w porządku?

– Tak, dzięki. Wdychamy morskie powietrze.

– O, Piet. To ty. Kto jest z tobą?

– Angela.

– Cześć – zawołała Angela, potwierdzając jego słowa.

– Jak się udała impreza? – spytał Piet ponad lśniącem dachem samochodu.

– To nie była impreza, napiliśmy się tylko piwa – odparł Harold tonem winowajcy. – *Un peu de bière*. Carol poszła was szukać, ale wyszliście innymi drzwiami.

– Dzięki, i tak nie moglibyśmy przyjść – powiedział Piet i spytał: – A kto jest z tobą?

– Marcia. Oczywiście.

– Dlaczego oczywiście?

– Daj spokój, Piet – głos Marcii przebił się przez mgłę. – Jesteś starym świntuchem.

– A ty równą babką. Dobranoc wam.

– Dobranoc, Hanemowie.

Para czerwonych świateł powoli zniknęła we mgle. W ciszy słychać było jedynie dźwięk wody podnoszącej się w kanałach, co sprawiało, że słone trawy uginają się, szeleściły i cmokały. Piski Angeli brzmiały zwierzęco, nawet nie, to był odgłos oszalalej maszyny. Piet ledwie mógł uwierzyć, że świat – mgła o pierwszej w nocy i znajome tereny Tarbox – będzie mógł wrócić po tak druzgocącym wydarzeniu do poprzedniego stanu. Ale Merissa, gdy Angela podziękowała jej i skłamała na temat ich powtórnego wyjścia („Dziecko Whitmanów dostało kolki i spanikowali; rozumiesz, to ich pierwszy raz”), obojętnie zebrała książki, które czytała przy włączonym telewizorze. Kiedy Piet wiozł ją do domu, pachniała mandarynkami i opowiadała o straszliwym trzęsieniu ziemi, które dotknęło Anchorage. Wróciwszy do domu, zastał światła na parterze wyłączone, a Angelę leżącą na gorze w wannie. Żyły na jej piersiach rysowały się turkusowo, a na ramionach i udach gościł jeszcze cień opalenizny. Leżała prawie całkiem zanurzona, leniwie namydlając srom. Umyła się okrężnymi ruchami, a potem wygładziła wilgotne włosy, które ułożyły się w nierówne kosmyki, i przekreśliła ciało, żeby woda przepłynęła przez nią, zmywając pianę. Jej piersi chlapały i prześlizgiwały się wraz z perłowobrudną wodą. Włosy miała spięte w grecki węzeł, lekko odsłaniający kark.

– Wybacz – odezwał się Piet – ale muszę. Mój żołądek przemienił się w kwaśną kulę.

– Proszę bardzo. Mną się nie przejmuj.

Usadowił się na sedesie i przyplływ palącej ulgi zmieszał się z widokiem palców stóp Angeli – sparzonych, różowych, zalotnych wypukłości. Foxy miała długie, chwytnie palce; którejś nocy u Constantine'ów napisała na ścianie „Elizabeth”, trzymając ołówek stopą.

– Jak się czujesz? – spytał Angele.

– Jestem zdesperowana. Jeśli podasz mi żyletkę, podetnę sobie żyły.

– Nie mów takich rzeczy.

Jego odpowiedź opóźni! nieco drugi atak biegunki, który zaparł Pietowi dech w piersiach. Skąd w nim tyle trucizny? Czyżby dżin zabijał enzymy?

– Czemu nie? – Angela zrobiła ćwierć obrotu i woda chlusnęła jak fala. – To by ci oszczędziło kłopotów z rozwodem. Nie sądzę, by ojciec pozwolił mi na zbytnią hojność.

– Sądzisz – trzeci raz, już mniejszy – że to w ogóle dojdzie do skutku? Ta kobieta mnie cholernie przeraża.

– Słyszałam, jak się jej oświadczasz.

– Ona sprawiła, że tak to wyglądało. Szczerze mówiąc, wolałbym pozostać twoim mężem.

– Ale może ja nie chcę być już twoją żoną.

– Przecież nie masz nikogo, do kogo mogłabyś pójść.

– Nie mam. Mam siebie. Tak się złożyło, że nie pozwalałeś mi być sobą. Te wszystkie przyjęcia, na które musiałam chodzić i które musiałam wydawać, żebyś mógł uwodzić żony tych nudziarzy.

Uwielbiał słuchać, jak mówi mu prawdę prosto w oczy; uwielbiał się zgadzać z Angela, być jej uczniem.

– Rzeczywiście są nudziarzami. Doszedłem do wniosku, że w naszym miasteczku istnieją dwa rodzaje palantów: z warstwy wyższej średniej i z warstwy niższej średniej. Ci z wyższej skończyli college. Mój problem polega na tym, że jestem jakby pośrodku.

– Co sądzisz o Kenie? – spytała.

– Jest okropny. Prawdziwy z niego komputer. Wprowadź dane, to wypłuje wyniki.

– Nie wiem – powiedziała Angela, powoli rozchylając i składając nogi w wodzie. – Wydaje mi się, że wykazał się znacznie większą odwagą niż którekolwiek z nas.

– Mówiąc o rozwodzie? Przecież on nie ma zamiaru się z nią rozwieść. Chce tylko nas wszystkich wystraszyć, żeby bronić swojego uczniackiego poczucia honoru.

– Nie zauważyłam, żeby Foxy była przestraszona. Ona tego właśnie chce. Po cóż opowiadałaby mu wszystko ze szczegółami?

Do opróżnionych jelit Pieta wdarło się zimno. Podtarł się i spuścił wodę. Zapach zgniłego cynamonu, który rozszedł się po małym pomieszczeniu, zawstydził go przed żoną. Podniosła do twarzy myjkę.

– O Boże, o mój Boże – zajęczała przez nią.

– Co takiego, kochanie? – spytał.

– Będę taka samotna – powiedziała. – Jesteś jedyną osobą, która próbowała wdrzeć się do mojego wnętrza.

– Obróć się, wyszoruję ci plecy.

Jej pośladki były czerwonymi pagórkami, pokrytymi gęsią skórą. Między nimi wąski pasek wody. Plecy brązowe jak u zwierzęcia, z odcisniętym poziomo paskiem od stanika, poznaczone niewyraźnymi bliznami po usuniętych pieprzykach.

– To się nie stanie – zapewnił, namydlając ją gładkimi ruchami. – To się nie stanie.

– Nie powinnam pozwolić ci nawet zostać na noc.

– Nic się nie stanie – powtórzył, robiąc okrężne ruchy wokół konstelacji blizn.

– Ale może właśnie powinno – stwierdziła cichym głosem, poddając się usypiającemu obmywaniu.

Kiedy skończył i Angela wstała, zdawała się ogromna. Rynnami między jej piersiami i

członkami spływały strumienie wody, wpadając na powrót do wanny. W niebieskich oczach czaiło się szaleństwo, a nagie ramiona zrobiły się dziwnie bezwładne. Po policzkach Angeli zaczęły płynąć łzy, podczas gdy ciało parowało w kierunku chłodnej żółto-białej sypialni.

– Coś powinno się wydarzyć, Piecie. Straszliwie mnie skrzywdziłeś. Bez wątpienia sama się o to prosiłam, ale to moja słabość, z którą nie próbowałam walczyć.

– Zaczynasz mówić jak psychiatra.

– On uważa, że nie szanuję siebie, i to prawda. To samo dotyczy ciebie. Tej nocy spotkaliśmy się z dwojgiem ludzi, którzy mają dla siebie trochę szacunku, i zostaliśmy przez nich zmiżdżeni.

– Ken miał dobrą passę. Tak jak i ja wcześniej.

– Nie znoszę, kiedy twarz ci się tak wydłuża. Tego właśnie nie wiesz: jaki miałeś dzisiejszego wieczoru wyraz twarzy. Kiedy powiedziałeś, że będziesz musiał się z nią ożenić, po prostu osłupiałam, zaczęłaś promieniować niesamowitą radością, jakbyś uzyskał odpowiedź na wszystkie pytania.

– To nie może być prawda. Nie chcę się z nią żenić. Już wolałbym ożenić się z Beą Guerin. Albo Bernadette Ong.

– Spałeś z Bernadette.

– Nigdy. Ale kołysała do mnie biodrami, a jej mąż umiera. – Zaśmiał się. – Daj spokój, aniele. To groteskowe. Nie mam ochoty żenić się z Foxy, Kocham ciebie. W porównaniu z tobą jest straszną zdzirą.

Angela wyciągnęła szyję. Choć byli tego samego wzrostu, poczuł, że spogląda na niego z góry – miała nadąsaną minę i twarz tak ściągniętą, że rozszerzyły się jej nozdrza. Piersi zakryła obronnym mchem.

– Ty lubisz zdziry – powiedziała. Do głowy przyszła jej kolejna myśl: – Wszyscy znajomi muszą uważać mnie za kompletną idiotkę.

Piet uznał, że nadszedł czas na jakiś akrobatyczny popis. Zdjąwszy wszystko prócz bokserek, rzucił się na kolana i owinął ramiona wokół ud Angeli. Podłoga była zimna, a skóra jego żony nadal parowała. W ramach protestu odepchnęła mu głowę w dół, hamując miłosne uniesienie. Różowobrazowy srom. Pergamin. Egipt. Kwiat lotosu.

– Nie każ mi odchodzić – poprosił. – Tylko ty stoisz na straży mojej duszy. Zostanę potępiony na wieki.

– To ci dobrze robi – oznajmiła, nadal spychając jego głowę w dół. – Foxy też. Masz rację, Ken nie jest atrakcyjny seksualnie. Próbowałam go dzisiaj rozpać, ale nie udało mi się wykrzesać nawet iskry.

– Jezu, nie żartuj sobie – powiedział. – Pomyśl o dziewczynkach.

– Będzie im ze mną dobrze.

– Będą cierpieć.

– Wiele razy mówiłeś, że powinny cierpieć. Jak inaczej się nauczą, jak być dobrymi? Przestań mnie skubać.

Wstał, zawstydzony. Stojąc w odległości dwóch stóp od niej, zdjął bokserki. Miał erekcję.

– Boże – powiedział. – Tak bardzo chciałbym cię przelecieć.

Angela opuściła rękę; jej piersi zakołysały się, sine i delikatne, jak dwie rany.

– Pewnie, że byś chciał – odparła.

Pięść mu podskoczyła; Angela drgnęła i czekała wyniośle.

W kwietniowe dni, które nastąpiły po tamtej nocy, Piet odbył wiele rozmów. Miasteczko jak gdyby wyczuwało, że jest zgubiony, i spieszyło się, by szepnąć mu na ucho ostatnie słowo. Któregoś deszczowego dnia Freddy Thorne zatrzymał go na Divinity Street, kiedy Piet z młotkiem i poziomicą w ręku opuszczał Biura Tarbox, stanowiące kiedyś należącą do Gertrudę Tarbox pustelnię z zamkniętymi na głucho okiennicami.



– Hej! – powiedział Freddy. – Coś ty najlepszego narobił? Właśnie dostałem paranoiczny list od Kena Whitmana, na temat wiesz czego, małej ortodoncji miedniczej, którą przeprowadziliśmy. Napisał, że postanowił nie wchodzić na razie na drogę prawną, ale, ekchem, ekchem, że będzie pamiętał, iż ma taką możliwość. Cały list był psychopatycznie oficjalny. Zacytował cztery prawa, które złamałem, podając rozdział i linijkę, razem z maksymalnymi karami, wszystko elegancko wypisane na maszynie. To skrajny pedant. Co się takiego stało, Hamaczku?

Piet, który dzień i noc żył w towarzystwie strachu, kurczowo uczepony milczącego telefonu i kamiennego cierpienia Angeli, podczas gdy córki obserwowały ich z szeroko otwartymi oczami i pochlipywały przez sen, z przyjemnością stwierdził, że w końcu został ocalony dzięki zaklęciu Freddy’ego Thorne’a; odraza i fascynacja zniknęły. Ateizm Freddy’ego, jego ewangeliczny humanizm, już Pietowi nie zagrażał. Dentysta wyłonił się z mżawki, pulchny zezowaty mężczyzna o kosmatym umyśle i szelmowskich ustach starej kobiety. Zapinana z tyłu kurtka przebijała na biało spod płaszcza przeciwdeszczowego. Jeśli Piet w ogóle coś do niego czuł, to sympatię w rodzaju tej, którą kobieta może żywić wobec spowiednika, ginekologa lub kochanka – kogoś, kto zaakceptował to, co w niej najgorsze. Piet postanowił nie mówić Freddy’emu, że Georgene zdradziła ich przed Kenem. Chociaż tyle był Thorne’om winien.

– Foxy nie wytrzymała presji i do wszystkiego się przyznała – powiedział zamiast tego. – W wieczór zgromadzenia mieszkańców Tarbox.

Opisał mu pokrótce późniejszą konfrontację obu par.

– Stary numer, „pułapka na myszy” – uznał Freddy. – Ma na ciebie wielką chrapkę, stary.

– Daj spokój, wpadła w histerię. Nie mogła przestać płakać.

Freddy przygryzł zamyślony dolną wargę.

– Kiedy złotowłosa swingerka wpada w histerię – powiedział – to znaczy, że sama nacisnęła spust. Jesteś skończony, przyjacielu. Życzę powodzenia.

– Bardzo cię niepokoi Whitman?

– Odrobinę. Niczego nie robi, dopóki Mała Panna Vulpes pociąga za sznurki.

– Freddy – powiedział Piet – żyjesz w urojonym świecie silnych kobiet. Od tamtej nocy Foxy nie odezwała się do mnie słowem. Właściwie zaczynam się martwić. Nie mógłbyś posłać do niej Georgene, żeby sprawdziła, jak się mają sprawy?

– Sądzę, że nie ma już co liczyć na jej pomoc – odparł Freddy. – Naprawdę się wściekła, kiedy znalazła ciebie i Fokstrot razem. Przez kilka dni miałem w domu rozjuszone zwierzę. Im rzadziej będziecie się widywać, tym lepiej dla nas wszystkich. Racja?

– Czy to dlatego nie jesteśmy już zapraszani na imprezy?

– Na jakie imprezy?

Georgene zadzwoniła do Pieta w piątek po południu, kiedy w poszukiwaniu stopek do belek stropowych przeglądał firmowy katalog Light Construction Sweeta. W dwóch z domów na Indian Hill zauważono zeszej zimy przecieki i Piet chciał ulepszyć nowe budynki, pod które już zaczęto kopać fundamenty. Gallagher siedział w swojej klitce i wszystko słyszał, ale Piet pozwolił Georgene się wygadać. Jej staranne sformułowania, a także poprawa pogody przypominająca o meczach tenisa i posiadach na werandach, sprawiły, że roztkliwił się i poczuł żal. Przypomniawszy sobie kiwające się modrzewie, sposób, w jaki Georgene chwyciła go wewnętrznymi mięśniami ud, jak zwężyły się jej źrenice i rozszerzały oczy i jak później miała w zwyczaju mówić mu, że nadaje jej kształt.

– Piecie – powiedziała głosem, z którego ekstrakowano całą szorstkość miłości i seksualnych podtekstów, pozostawiając łagodną, energiczną siostrę – pojechałam dzisiaj do Whitmanów, bo Freddy wspominał, że się martwisz. Nikogo nie zastałam. Wygląda na to, że nie ma ich już od jakiegoś czasu. Pod drzwiami leżą cztery gazety.

– Marcia nic nie wie na ten temat?

– Mówi, że od wtorku nie widziała na podjeździe żadnego samochodu.

– Zajrzałaś przez okno?

Otwarty piekarnik. Połknięte tabletki nasenne. Korytarz, w którym żarówka się przepaliła.

– W domu było czysto, jak gdyby posprząтали przed dłuższym wyjazdem. Nie zauważyłam dzieciennego łóżeczka.

– Rozmawiałaś z Carol albo Terry? Ktoś musi coś wiedzieć. Ludzie nie znikają tak po prostu.

– Spokojnie, mój drogi, nie panikuj, nie jesteś Bogiem. Nie możesz ochronić Whitmanów przed tym, co planują zrobić sobie nawzajem.

– Dzięki. Wielkie dzięki za podnoszące na duchu słowa. I także za to, że wygadałaś się Whitmanowi.

– Prawie nic mu nie powiedziałam. Przyznaję, że mniej lub bardziej złośliwie spytałam go, dlaczego twój samochód ciągle parkuje na ich podjeździe. Wtedy on zasypał mnie pytaniami, był naprawdę żądny informacji. Najwyraźniej większości sam się domyślił. Tak czy inaczej, jest mi przykro. Ale, Piecie, słuchasz mnie?, naprawdę się wkurzyłam, kiedy przyjechałam w poniedziałek, chcąc wystąpić w roli pielęgniarki Sue Barton, i jakoś tak wyszło, że stałam się sprzątaczką, która wprasza się na kawę.

Piet westchnął.

– W porządku, zapomnij o tym. Prawda zawsze wyjdzie na jaw, może tak jest lepiej. Dobra z ciebie kobieta. Lojalna żona i sumienna matka.

– Nie byłam dla ciebie odpowiednia, prawda? Sądziłam, że tak nam ze sobą dobrze, ale się myliłam.

– Byłaś świetną laską – zapewnił ją ze spokojem. – Ale byłaś dla mnie za dobra. Sprawiałaś, że wszystko wydawało się zbyt proste i pasujące dla mojej skrzywionej natury. Wybacz mi, proszę – dodał – jeśli kiedykolwiek cię skrzywdziłem. Nie chciałem tego.

Co najdziwniejsze, okazało się, że właśnie Gallagher wie, co się stało. Usłyszawszy rozmowę Pieta, zawołał go do wewnętrznego biura. W blasku słabnącego światła zaczął opowiadać mu o dziwnym wydarzeniu. Jako że nie włączył lampy, jego pięciokątna głowa zmieniała się powoli w mrużącą plamę.

We wtorkowy poranek, zanim jeszcze przywieźli mleko, Ken Whitman zjawił się w ich domu. Ociekał wodą, ubranie miał pogniecione i całe w piasku; całą noc spędził, chodząc po plaży we mgle, i przespał się tylko chwilę w samochodzie. Milcząc, Piet przypomniał sobie ze wstydem, że poniedziałkową noc spędził w ciepłym łóżku u boku Angeli, śpiąc mocno i chaotycznie śniąc o lataniu. Ken wytłumaczył im swoje najście. Przyszedł do Gallagherów, ponieważ Matt był jedynym człowiekiem w Tarbox, dla którego miał szacunek i był „niezwiązany”. Także Terry, usiłował powiedzieć, być może zrozumie Foxy. O co mu chodziło? Czyżby byli do siebie podobni? Oboje byli „dumni”. Tutaj Matt się zawahał, zatapiając się we własnych rozważaniach albo zastanawiając się, ile powinien Pietowi wyjawić. Ale że już zaczął, jego irlandzka krew domagała się opowiedzenia całej historii. Piet wyobraził sobie kuchnię Matta wczesnym rankiem – nad zlewem ze stali nierdzewnej pocztówkowa reprodukcja obrazu Dürera w ramce, przedstawiająca złożone do modlitwy dłonie; szorstki, jasny obrus Terry i miski, które niezgrabnie na nim ustawiła; trzy zaspane twarze, popijające kawę; usłyszał, że o nim rozmawiają, potępiają go, obwiniają. Ken spytał, co powinien zrobić. Oboje oczywiście poradzili mu, żeby wrócił do Foxy; kocha ją, mają syna, o którego muszą dbać, są ładną parą. Terry powiedziała, że każdy kiedyś zszedł z właściwej drogi albo miał na to ochotę. Piet podejrzewał, że Matt dodał to drugie. Ale Ken był nieugięty, chociaż nie szukał zemsty. Mówił o osobach dramatu jak o pierwiastkach chemicznych, bez emocji. Przemyślał wszystko, chodząc nad oceanem, i doszedł do wniosku, że jedynym rozwiązaniem jest rozwód. Terry zaczęła płakać. Ken nie zwracał na nią uwagi. Chciał jedynie zasięgnąć ich opinii co do tego, czy Piet rozwiedzie się z Angelą, żeby ożenić

się z Foxy. Jeśli sądzą, że tak, to im szybciej, tym lepiej. Natomiast jeśli uważają, że Piet okazałby się „tak wielkim sukinsynem” (Matt taktownie przerwał, nim wymówił to określenie), by „dać nogę”, to może powinni na razie poczekać, w separacji. On wróci do Cambridge, a Foxy zostanie w domu. Czy mogliby mieć na nią oko? Zgodzili się, oczywiście. Potem Terry wygłosiła długie kazanie. Powiedziała, że Ken i Foxy różnili się od pozostałych, ponieważ nie mieli dzieci i że z tego powodu byli bardziej wolni. I że bez względu na to, co mówi Kościół, nigdy nie uznawała małżeństwa za coś świętego i nierozzerwalnego, dopóki para nie wyprodukuje trzeciej duszy, dziecka. Ze do tego czasu małżeństwo nie znaczy więcej niż pocałunek z pierwszym ukochanym – to zaledwie eksperyment. Ale kiedy zostaje stworzone dziecko, eksperyment się kończy, związek staje się faktem – jak nieomyślność papieża czy skala chromatyczna. Trzeba mieć takie fakty, żeby budować na nich świat, nawet jeśli zdają się nieuzasadnione. Więc może i Ken nadal czuje się wolny, ale chyba zbyt powoli do niego dociera, że urodził mu się syn...

– Tak mu powiedziała? – spytał Piet.

– Tak. Nigdy nie lubiła zbytnio Whitmana.

– Jak to miło z jej strony.

Terry ciągnęła, że Ken może sobie wyobraża, że ma prawo podjąć każdą decyzję, ale Piet z pewnością nie może tego zrobić. Kocha córki, potrzebuje Angeli i byłoby czymś bardzo niewłaściwym, gdyby Ken, kierując się nieobowiązującym od stuleci absurdalnym kodeksem honorowym, usiłował go zmusić, żeby wszystko rzucił i ożenił się z Foxy. Piet po prostu takiej wolności nie posiada.

– I jak Ken to przyjął?

– Nie najgorzej. Pokiwał głową, podziękował i wyszedł. Jakiś czas później Terry poszła zobaczyć się z Foxy, jako że Ken nas w pewien sposób wybrał. Zastała ją w trakcie pakowania. Foxy zachowywała się zupełnie spokojnie, była schludnie ubrana. Miała zabrać dziecko i udać się do matki do Waszyngtonu, więc zakładam, że tam właśnie jest teraz.

– Dzięki Bogu. To znaczy, co za ulga, że nic jej nie jest. I że wyjechała z miasta.

– Naprawdę się z tobą nie kontaktowała?

– Ani słowem.

– A ty nie próbowałaś jej szukać?

– A powinienem? Bez względu na to, co powiedziałem, to by jedynie utwierdziło ją w przekonaniu, że nadal mi zależy, i skomplikowało sytuację. Co mi radzisz?

Matt zaczął mówić, starannie dobierając słowa, żeby Piet wiedział, że nie jest jego przyjacielem; do przyjaciół nie trzeba mówić w taki sposób. Matt przestał go lubić; nic dziwnego – Piet sam stopniowo tracił dla niego sympatię od czasu, kiedy zobaczył go po raz pierwszy, ubranego w wyprasowany mundur szeregowca, z czarnymi guzikami oczu, świeącymi jak jego buty: nadgorliwca.

– Oczywiście rozmawialiśmy o tym później z Terry i zgadzamy się, że powinieneś zrobić jedną rzecz. Zmusić go do pokazania kart. Daj znać Whitmanom, zadzwoń do Kena albo napisz list do Foxy, jestem pewien, że będziesz w stanie zdobyć adres jej matki, że w żadnym wypadku się z nią nie ożenisz. Sądzę, że wiedząc to, wrócą do siebie.

– Ale czy to na pewno najlepsze rozwiązanie? Mają się zejść, żebyś ty, Terry i papież mieli zapewniony spokój ducha? Georgene właśnie mi radziła, żebym nie próbował bawić się w Boga.

Czaszka jego rozmówcy, uniesiona w mroku, była na wpół oświetlona – zrolowany brzeg ucha i węzeł mięśnia w miejscu styku szczęki oraz nierówność na skroni – i niebiesko-biała, ponieważ za oknem biura zapaliła się lampa łukowa na Hope Street. Piet wiedział, co się wydarzyło i co się stanie: Matt błędnie ocenił represyjną moc swojej wyższości moralnej i teraz wycofa się, zagrożony brakiem pokory Pieta, w głąb niezachwianego poczucia słuszności. Gallagher trzasnął stalową szufladą biurka.

– Nie lubię mieszać się w twoje sprawy. Dałem ci radę. Przyjmij ją, jeśli chcesz wyjść z tarczą z tego bałaganu. Nie muszę wiedzieć, do czego tak naprawdę dążysz.

Piet usiłował załagodzić sytuację. Ten człowiek był jego partnerem i przekazał mu cenne informacje.

– Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żebym mógł jeszcze dyktować jakieś warunki. Jedyne, co mogę zrobić, to czekać na rozwój wydarzeń i się modlić.

– Tak właśnie zazwyczaj postępujesz – odparł Matt odruchowo i bez pośpiechu.

To było jedno z tych spojrzeń, równie dziwacznych jak widok własnego profilu w potrójnym lustrze w sklepie z ubraniami, uprzytamniający, jak cię widzą inni ludzie. Rudy mściciel.

W domu Angela powiedziała mu, że odbyła rozmowę telefoniczną. Pili akurat kawę po kolacji, a dziewczynki oglądały odcinek serialu *Gunsmoke*.

– Odebrałam dzisiaj rozmowę zamiejscową, z Waszyngtonu – oznajmiła na początek.

– Foxy?

– Tak, skąd wiedziałeś? – spytała i sama sobie odpowiedziała: – Dzwoniła do ciebie wcześniej, chociaż mówiła, że się z tobą nie kontaktowała.

– Nie dzwoniła. Gallagher powiedział mi dzisiaj, gdzie się oboje podziali. Ken był u nich we wtorek i zdał relację z całej smutnej historii.

– Sądziłam, że wiesz. Terry opowiedziała mi to wiele dni temu.

– Czemu nic nie mówiłaś? Zamartwiałem się na śmierć.

– Nie rozmawialiśmy ze sobą.

To była prawda.

– I co takiego urocza Elizabeth miała na swoje usprawiedliwienie?

Opanowana twarz Angeli, od niedawna nieco szczuplejsza, stężała i Piet zorientował się, że przyjął nieodpowiedni ton. Jego żona stawała się coraz surowsza.

– Była bardzo spokojna. Powiedziała, że mieszka teraz z matką, dużo rozmyśla i coraz bardziej utwierdza się w przekonaniu – Angela skrzyżowała dłonie na blacie stołu, żeby opanować ich drżenie – że powinna rozwieść się z Kenem, właśnie teraz, kiedy dziecko jest jeszcze w wieku niemowlęcym. Stwierdziła, że nie chce wychowywać Toby'ego w atmosferze fałszywego szczęścia, jakiej sama zaznała jako dziecko.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – powiedział Piet.

Spokojnie, pośród nieruchomych przedmiotów, powoli tonął. Angela podniosła palec z naoliwionego blatu wiśniowego stołu.

– Nie. Czekaj. Powiedziała, że zadzwoniła nie po to, żeby mi o tym powiedzieć, ale żeby poinformować nas, że absolutnie nie oczekuje, byś mnie opuścił. Ze ona – Angela położyła palec znów na blacie, co osłabiło siłę następnych słów – cię kocha, ale rozwód to sprawa między nią i Kenem, tak naprawdę nie jesteś jego przyczyną i do niczego nie jesteś zobowiązany. Powtórzyła to co najmniej dwa razy.

– I co ty na to?

– Co mogłam powiedzieć? „Tak, tak, nie, dziękuję” i odłożyłam słuchawkę. Spytałam, czy potrzebują, żeby ktoś się zajął domem, zamknął go albo zajrzał tam od czasu do czasu, ale Foxy uznała, że nie ma takiej potrzeby, bo Ken będzie wpadał na weekendy.

Piet oparł dłonie na stole, żeby podeprzeć się i wstać.

– Co za szczęście – westchnął. – To był jakiś koszmar.

– Nie czujesz się winny z powodu ich rozwodu?

– Trochę. Niespecjalnie. Od dawna byli nastawieni przeciw sobie i nawet o tym nie wiedzieli. To właściwie błogosławieństwo, że doprowadziłem sytuację do punktu krytycznego.

– Nie odchodź jeszcze, Piecie. Nie miałam nic do powiedzenia Foxy, ale tobie mam. Możemy napić się brandy?

– Nie starczy ci już? To był wspaniały obiad, nawiasem mówiąc. Nie wiem, dlaczego tak mi smakuje fasola limeńska. Uwielbiam mdłe jedzenie.

– Napijmy się brandy. Szybko, proszę. *Gunsmoke* zaraz się skończy. Chciałam poczekać, aż dziewczynki pójdą spać, ale jestem bardzo zdenerwowana i muszę się napić.

Piet przyniósł butelkę i Angela zaczęła mówić, nim jeszcze zdążył rozlać alkohol do szklanek.

– Foxy stawiała czoła sytuacji, w której się znalazła, i my również powinniśmy to zrobić. Uważam, że musisz się wynieść, Piecie. Jeszcze dzisiaj. Nie chcę już z tobą mieszkać.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– W takim razie rzeczywiście powinniśmy napić się brandy. Powiedz mi, dlaczego? Wiesz, że między mną i Foxy wszystko skończone.

– Nie jestem tego taka pewna, ale to nie ma znaczenia. Myślę, że nadal ją kochasz, ale nawet jeśli tak nie jest, to była mowa też o Bei, a jeśli nie ona, to znajdzie się ktoś inny. Nie sądzę, by było warto.

– A dziewczynki? Dla nich też nie jest warto?

– Przestań się chować za plecami dziewczynek. Tak właściwie to myślę, że dla nich też nie. Są wrażliwe, wiedzą, kiedy się kłócimy, a co prawdopodobnie jeszcze gorsze, kiedy się nie kłócimy. Biedna Nancy jest wyraźnie poruszona i nie mam pewności, czy Ruth, która tak jak ja potrafi zachować spokój, jest w o wiele lepszym stanie.

– Przemawia przez ciebie twój psychiatra.

– Raczej nie. On tego ani nie pochwała, ani nie potępia. Staram się powiedzieć mu, co myślę, a to nie takie łatwe, jako że zawsze mój ojciec wiedział, co powinnam myśleć. Jeśli odbija się to od milczenia tego człowieka – ledwo się orientuję jak wygląda, boję na niego patrzeć – i nadal brzmi prawdziwie, to staram się z tym żyć.

– Cholera jasna, wszystko przez tego osła Freddy’ego Thorne’a.

– Daj mi skończyć. Więc uważam, że prawdą jest to, że mnie nie kochasz, Piecie Hanema. Nie kochasz mnie. Nie kochasz.

– To nieprawda. Oczywiście, że cię Kocham.

– Przestań. Nie chciałeś nawet zdobyć dla mnie domu, który tak mi się podobał. Zamiast tego wyszykowałeś go dla niej.

– Zapłacono mi za to. A ciebie uwielbiam.

– No właśnie. Uwielbiasz mnie, żeby nie musieć mnie kochać. Podoba ci się mój biust i tyłek i uważasz, że to wystrzałowo, że jestem bratanicą profesora i nauczyłam cię, którego używać widelca, i że przyjmuję cię po każdym wyskoku; a ty cieszysz się, że popadam w oziębłość, żeby bez przeszkód...

– Uwielbiam cię. Potrzebuję cię.

– W takim razie potrzebujesz niewłaściwej osoby. Chcę zakończyć ten związek. Mam dosyć twojej tyranii.

Brandy zabolą go, jak gdyby powoli rozrastały mu się wnętrzności.

– Tyranizowałem cię? – spytał. – Możliwe, że w pewien sposób. Ale tylko ostatnio. Chciałem dostać się do ciebie, Kochanie, ale ty mi na to nie pozwalałaś.

– Nie umiałaś poprosić.

– Może już umiem.

– Za późno. Wiesz, co myślę? Ona jest po prostu w twoim typie.

– To nie ma sensu. Myślisz stereotypami.

Jednak mówiąc to, musiał sam się zapytać, co w takim razie naprawdę sądzi; a sądził, że za zasłoną małżeństw, domów i wpływających dni istnieje kalwiński Bóg, który nas podnosi, a potem rzuca swobodnie, nie słuchając modlitw i nie uzgadniając niczego z naszą wolą. Angela stała się posłańcem tego Boga. Walczył z nią, jak to robi gwałcona kobieta, żeby

zintensyfikować wymowę czynu.

– Jestem twoim mężem i zawsze nim pozostanę. Obiecuję, że to koniec moich romansów, nie żeby było ich aż tak wiele. Wyobrażasz sobie, że krążą plotki, i działasz pod wpływem zranionej dumy; dumy i egoizmu, który ci pieprzeni psychiatrzy zaszczepiają każdemu, z kim mają do czynienia. Co go obchodzą dzieci albo twoja samotność po moim odejściu? Im bardziej będziesz nieszczęśliwa, tym większą roztoczy nad tobą władzę. To oszustwo, Angelo, czary-mary. Za sto lat ludzie będą się dziwić, że mogliśmy brać to serio. Psychiatria skończy się, tak jak pijawki i puszczanie krwi.

– Nie popisuj się przede mną swoją ignorancją – odparła. – Chciałabym móc wspominać cię z odrobiną szacunku.

– Nie odejdę.

– W takim razie ja to zrobię. Jutro rano Ruth ma lekcję tańca i je lunch z Betsy Saltz. Trzeba wyprać i wyprasować niebieską sukienkę Nancy na przyjęcie urodzinowe Marthy Thorne. Możesz namówić Georgene, żeby przyszła i zrobiła to za ciebie.

– Gdzie byś poszła?

– Jest wiele miejsc. Mogłabym wrócić do domu i grać w szachy z tatusiem. Mogłabym pojechać do Nowego Jorku zobaczyć wystawę obrazów Matisse'a. Albo polecieć do Aspen, żeby pojeździć na nartach i przespać się z jakimś instruktorem. Jest wiele rzeczy, które mogę zrobić, Piecie, kiedy wreszcie się od ciebie uwolnię.

Pod wpływem emocji wstała, kołyszac swym dojrzałym ciałem. Głośna muzyka z salonu oznajmiła koniec filmu. Kaktusy. Zachód słońca. Dobro zwycięża.

– Jeśli naprawdę mówisz poważnie – powiedział – to oczywiście ja powinienem się wynieść. Ale w ramach eksperymentu. I jeśli grzecznie mnie o to poprosisz.

Ostatnie wspólne godziny spędzili w atmosferze uprzejmości. Razem położyli dziewczynki spać, spakowali walizkę Pieta i napili się brandy w kuchni. Kiedy powoli, żeby nie obudzić dzieci, wycofywał pikapa na chrzęszczącym podjeździe, Angela odezwała się cicho z ganku i Piet sądził, że woła go, by wrócił. Zatrzymał samochód, a Angela podbiegła ze srebrną pierścionką wypełnioną dżinem.

– Na wypadek bezsenności – wytłumaczyła, wtykając mu do ręki zroszoną butelkę i składając na policzku zimny pocałunek.

Dźwięczny ton jej głosu wskazywał na tłumione łzy. Piet chciał otworzyć drzwi, ale Angela przytrzymała klamkę z drugiej strony.

– Bądź dzielny, drogi Piecie – powiedziała i pobiegła do domu, stawiając jeden głośny krok na żwirze; potem złote światło w korytarzu zgasło.

Piet spędził pierwszy weekend w biurze firmy Gallagher&Hanema. Spał pod starym wojskowym kocem na sofie pokrytej sztuczną skórą, a lęk tłumił dżinem z wodą, którą nalewał z ciekącego kranu w toalecie wielkości budki telefonicznej. Kapanie wody i cykanie zegarka, który położył na niosącym dźwięk drewnianym biurku, ponury łomot serca, grzechotanie ram okiennych wprawianych w drżenie przez zmieniające biegi ciężarówki, które przejeżdżały o rozmaitych porach przez centrum Tarbox, i bezlitosna aura telefonu nie dawały mu spać. W niedzielę kulił się w bieliźnie, podczas gdy kroki idących do kościoła ludzi szurały na chodniku koło jego ucha. Ze skacowaną głową wyłożoną jak termos kruchym szkłem, cierpko podsłuchiwał z wnętrza swojego grobowca. Powitania, które do niego dochodziły, grzmiąły ze złowrogim majestatem, intymne i dumne jak nagie ciała. W poniedziałkowy ranek, mimo iż Piet po sobie posprzątał, Gallagher z oburzeniem wyczuł w biurze zapach mieszkańca. W tym samym tygodniu, kiedy Piet uzyskał już pewność, że Angela do niego nie zadzwoni, przeprowadził się do budynku z pomieszczeniami biurowymi, który przebudowywał własnoręcznie z rezydencji ostatniego Tarboksa. Trzecie piętro było prawie nieruszone; znajdował się tam strych i pomieszczenia dla służby. Nieoszlifowane deski w podłodze pokoju Pieta były całe w zaciekach w kształcie mokrych liści i przykryte

częściowo linoleum oraz jaśniejsze w miejscach, gdzie już go nie było. Ściany w kolorze owsianki, ścięte przez nachylenie dachu z mansardami, nadal ozdabiały pastele wykonane przed pierwszą wojną światową przez Gertrudę Tarbox, niezamężną damę „o wielu talentach”. Kiedy padał deszcz, jedna ze ścian, z której tapeta już dawno się odkleiła, przemakała, a o poranku pomieszczenie nagrzewało się powoli, dzięki pojedynczemu kaloryferowi ozdobnemu jak koronka i grubemu jak zbroja. Zęby dostać się do pokoju, Piet musiał przejść przez wyłożony śliwkowym dywanem korytarz, między drzwiami z matowego szkła, prowadzącymi do biura towarzystwa ubezpieczeniowego i gabinetu kręgarza, potem do góry po szerokich schodach, na których każdy stopień zakończony był aluminiowym paskiem, minąć drzwi okulisty i nowego adwokata w mieście; do swojej jaskini wdrapywał się po sekretnych schodach, do których można się było dostać przez zamykane na zasuwkę drzwi bez oznakowania. Po drugiej stronie schodów mieszkał człowiek, który pracował na nocną zmianę i jękał się tak straszliwie, że ledwie był w stanie wymówić „dzień dobry”, kiedy spotykał się z Pietem na schodach. Poza tymi dwoma pokojami na trzecim piętrze znajdował się duży strych. Gallagher chciał go wyremontować i wynajmować jako salę balową szkole tańca, która obecnie zadowalała się parafialną aulą kościoła episkopalnego, gdzie Ruth chodziła w sobotnie poranki na zajęcia.

Prace na Indian Hill znów się rozpoczęły; mieli nadzieję skończyć sześć domów wartych dwadzieścia tysięcy dolarów przed dniem Święta Pracy. Jazinski sam sobie radził z większością problemów.

– Wszystko w porządku – zapewniano Pieta bezustannie i kilka razy, kiedy zadzwonił do składu drewna czy podwykonawców zajmujących się wylewką fundamentów, dowiadywał się, że Gallagher lub Leon już z nimi rozmawiali.

Tak więc Piet spędzał mnóstwo czasu w centrum, nie mając wiele do roboty. W Wielki Piątek, kiedy giełda nie pracowała, Harold, mniejszy Smith, zatrzymał go na Charity Street, przez zakładem fryzjerskim.

– To okropne, Piecie. *C'est terrible*. Co ci Whitmanowie namieszcili?

– Whitmanowie? Niewiele. Angela sama chciała, żebym się wyprowadził.

– *La belle ange*? Nie wierzę. Zawsze stanowiliście idealną parę. Natomiast Whitmanowie na pierwszy rzut oka wyglądali na małżeństwo z kłopotami. Oboje sztywni jak kołki. Ale mnie i Marcie najbardziej wkurza to, że pociągnęli was za sobą. Czemu *tout le monde* nie może pilnować własnego nosa?

– Cóż, nie można powiedzieć, żebym zupełnie...

– No tak, tak, wiem, ale przecież naprawdę nie o to chodzi. Ludzie wykorzystują ten argument w dogodnym momencie, ze względu na nasze mormońskie, purytańskie prawa.

– Jak sądzisz, kto kogo w tej sytuacji wykorzystał?

– Ależ *clairement*, to Foxy wykorzystała ciebie. Jak inaczej mogła się pozbyć tego zombi? Nie pozwól się tak traktować. Wracaj do dzieci i zapomnij o tej suce.

– Nie mów tak o niej. Nie masz pojęcia, co się naprawdę wydarzyło.

– Posłuchaj, Piet, nie wygłaszam tu opinii płynącej wyłącznie z moich podejrzanych neofaszystowskich przekonań. Rozmawialiśmy wczoraj z Marcją i Applebymi do trzeciej w nocy i doszliśmy do jednego wniosku: nie podoba się nam, że para, którą kochamy, została skrzywdzona. Gdybym nie miał takiego kaca, to przekazałbym ci to w bardziej taktowny sposób. *Pas d'offense*, oczywiście.

– Janet również twierdzi, że Foxy zachowała się jak suka i że zostałem wrobiony?

– Przez jakiś czas była adwokatem diabła, ale ją przegadaliśmy. Tak czy inaczej, to, co myślimy, gównie znaczy. Problem w tym, co teraz zamierzasz zrobić? No, dalej, jestem twoim przyjacielem. *Ton frère*. Co masz zamiar zrobić?

– Nic. Angela nie zadzwoniła i wygląda na to, że nie chce mnie z powrotem.

– Czekasz, aż ona zadzwoni? Nie czekaj, jedź do niej. Przecież wiesz, że kobiety trzeba

brać. Sądziłem, że jesteś wspaniałym kochankiem.

– Kto ci powiedział? Marcia?

Podwójnie zakończony nos Harolda pochylił się, wężąc cień prawdopodobieństwa. Piet się roześmiał.

– A może Janet? – ciągnął. – Wspaniała kobieta. Pamiętam, kiedy była prostytutką w St. Louis; kolejka ciągnęła się przez cały hol aż do sali bilardowej. Zauważyłeś, że w kluczowym momencie jej wnętrzości zdają się zwęzać? Pamiętam, że pewnego razu...

– Cieszę się, że mimo wszystko humor ci dopisuje – przerwał mu Harold. – Żadnych świętości, co, Piet?

– Żadnych świętości. *Pas d'offense*.

– Chcieliśmy z Marcją zaprosić cię kiedyś na drinka i dla odmiany porozmawiać na poważnie. Marcia wpadła w zupełną panikę. Poszła do was do domu i Angela przyjęła ją niezwykle uprzejmie. Była zupełnie spokojna, ale i nieugięta.

– To właśnie lubi robić Marcia? Uginać ludzi?

– Słuchaj, czuję, że źle się wyraziłem. Martwimy się o was, Piet. Naprawdę się martwimy.

– *Je comprends. Merci. Bonjour*.

– W porządku, nie mówmy o tym więcej – powiedział obrażony Harold, krzywiąc się. – Muszę iść do fryzjera.

Zdaniem Pieta jego włosy były idealnie przystrzyżone.

Zaproszenie na drinka do mniejszych Smithów nigdy nie nadeszło. Niewielu z ich przyjaciół próbowało się z nim kontaktować. Saltzowie, prawdopodobnie na prośbę Angeli, zaprosili Pieta na obiad; meble mieli już przygotowywane do przeprowadzki i to spotkanie tylko go przygnębiło. Tuż przed wyjazdem Saltzowie nie byli w stanie przestać mówić o sobie jako o Żydach, jak gdyby w czasie pobytu w Tarbox musieli ukrywać swoje pochodzenie i dopiero teraz mogli się nim pochwalić. Batalia wydana przez Irene władzom szkolnym z powodu bożonarodzeniowego przedstawienia została przypomniana ze szczegółami; jej brwi drżały z emocji, kiedy o tym opowiadała. Piet został pospiesznie i w zaufaniu poinformowany o istnieniu lokalnego antysemityzmu. Największą winę ponosili Constantine'owie. Jak wiesz, Carol dorastała w atmosferze małego, prezbiteriańskiego miasteczka, a Eddie to zupełny ignorant. Noc w noc siadywali razem, sprzecząc się o najbardziej absurdalne rzeczy, na przykład o rolę żydowskich komunistów, psychoanalityków i skrzypków, jak gdyby wszyscy byli częścią jednego spisku. Saltzowie ze wstydem przyznali, że po kilku drinkach zaczęli opowiadać sobie dowcipy o Żydach, których oczywiście znali więcej niż Eddie i Carol. Constantine'owie wyciągali z tego wnioski, że Ben i Irene wstydzą się swojego pochodzenia, czemu ona, Irene, z pewnością by zaprzeczyła. Piet chciał wytłumaczyć, że w społeczności Tarbox on sam czuje się w głębi duszy Żydem, ale Irene go zagadała, jak gdyby ukradkiem ubiegał się o przynależność do narodu wybranego. Został zalany potokiem przypuszczeń, dlatego Frank Appleby, ten anglosaski, protestancki snob, zawsze z nią dyskutował, nie będąc w stanie oprzeć się pokusie wywołania sprzeczki, i polował na nią podczas przyjęć. Przyznała jednak, że w grupie ich „przyjaciół” dwie osoby nigdy nie zachowywały się wobec nich protekcyjnie czy wrogo. Jedną z nich była Angela, drugą Freddy Thorne.

– Ten żalosny sukinsyn – mruknął Piet odruchowo, żeby ich rozbawić; ludzie oczekiwali od niego nienawiści do Freddy'ego.

Saltzowie uznali więc, że tak jak wszyscy się domyślali, Freddy i Angela od dawna byli kochankami.

Piet wyszedł wcześniej. Brakowało mu ciszy jego nędznego pokoju, zwykłych czterech ścian. Ben położył mu dłoń na ramieniu i jego usta powoli rozszerzyły się w specyficznym uśmiechu.

– Teraz jesteś w dołku – powiedział Pietowi – i naprawdę szkoda, że nie jesteś Żydem,



ponieważ każdy Żyd spodziewa się, że w pewnym momencie swojego życia znajdzie się w dołku, i ma na to gotową filozofię. Bóg wystawia go na próbę. *Nisajon Elohim*.

– Przecież to oczywiste, że sam na siebie sprowadziłem nieszczęście.

– Kto wie? To nie ma znaczenia, jeśli wierzysz we wszechmoc. Ważne jest, by spróbować własnych prochów. Przeżuć je. Nieważne, czy jesteś w górze, czy w dole; *Ejn ben David ba ela be – dor szekulo zakaj o bulo chajaw*. Syn Dawida objawi się jedynie pokoleniu, które jest na wskroś dobre lub na wskroś złe.

Piet usiłował im powiedzieć, jak bardzo ich lubi, że Angela stwierdziła kiedyś, a on się z nią zgodził, iż Saltzowie to jedyna ze znajomych par, której udało się nie wpaść w – no cóż – gówno.

Ben nadal uśmiechał się szeroko, nalegając, by Piet posłuchał jego rady.

– Daj spokój. Wszystko będzie dobrze. Świetnie było cię znać.

Irene skoczyła do przodu i cmoknęła Pieta na pożegnanie w policzek; krótki parzący pocałunek ciemnoczerwonych ust na tle bladej twarzy, który odnowił jego pragnienie bycia z kobietą.

Później w tym samym tygodniu, minąwszy kilka razy w ciągu jednego dnia dom Bei, Piet postanowił do niej zadzwonić. Widział ją raz w centrum, pomachała mu z drugiej strony ulicy i zniknęła w drzwiach sklepu jubilerskiego, na którego wystawie, pomimo iż Wielkanoc już minęła, nadal stał kiwający głową królik. Głos Bei w telefonie był wystraszony i pełen poczucia winy.

– O, jak się masz Piecie? Kiedy wrócisz do Angeli?

– Czy w ogóle wrócę? Wygląda na to, że beze mnie jest bardziej sobą.

– Ale nocami musi czuć się okropnie.

– A jak ty się czujesz nocami?

– Jak zawsze. Nikt nie chodzi już na imprezy. Ludzie rozmawiają tylko o dzieciach.

– Czy... czy nie miałabyś ochoty się ze mną zobaczyć? Napić się herbaty któregoś popołudnia.

– Kochanie. Raczej nie. Naprawdę. Wydaje mi się, że głowę zaprzęta ci już wystarczająco dużo kobiet.

– Nie mam żadnych kobiet.

– To ci chyba dobrze robi?

– Nie jest tak źle, jakby się mogło wydawać. Ale co z nami? Kochałem się w tobie, wiesz, nim wszystko się tak zapętlilo.

– Byłeś uroczy, pełen życia. Ale wydaje mi się, że mnie idealizowałeś. Jestem dla ciebie stanowczo zbyt leniwa w łóżku. Poza tym, to dość wzruszające, Roger niespodziewanie mnie potrzebuje.

– To znaczy?

– Nikomu nie powiesz? Wszyscy są pewni, że uwiłeś sobie gniazdko miłosne.

– Wszyscy się myślą. Ja lubię tylko mężatki. Przypominają mi matkę.

– Nie wymądrzaj się. Usiłuję opowiedzieć ci o Rogerze. Stracił mnóstwo pieniędzy przez jednego ze swoich okropnych ciotowatych przyjaciół, inwestora z Bostonu, i przybiegł do mnie z płaczem. Jestem zachwycona.

– Więc nie mogę się z tobą przespać, bo Roger zbankrutował.

– Nie zbankrutował, ale ty wszystko idealizujesz. Ale jest przerażony, taki przerażony, och, muszę komuś o tym powiedzieć, bo pękne!, zgodził się, żebyśmy adoptowali dziecko. Byliśmy już w agencji, gdzie zadano nam mnóstwo obraźliwych pytań na temat naszego życia prywatnego. Najdziwniejsze jest, że białych niemowląt jest bardzo niewiele, mają znacznie więcej małych Murzynków.

– Tego właśnie chciałaś? Adoptować dziecko?

– Od lat. Od kiedy się dowiedziałam, że sama nie mogę mieć dzieci. To nie była wina

Rogera, wiesz?, tylko moja. Ludzie kpili z niego, ale to ja stanowiłam problem. Wybacz mi, Piecie, zamęczam cię tymi wyznaniemami.

– Nie zamęczasz.

Dryfując, przypomniał sobie, jak ona dryfowała ponad odgłosami rzucających śnieżkami dzieci, gdy wcześniej zapadał zmierzch, mieniący się odcieniami lawendy. Bea płakała, ledwie słyszalnie; jej głos stał się słaby i wilgotny, jak jej ciało:

– To jednak podłe, że teraz, kiedy mnie potrzebujesz, muszę ci odmówić, pomimo iż wcześniej to ja cię potrzebowałam, i w końcu do mnie przyszedłeś.

– W końcu. To wspaniale, Beo, z tą adopcją i Rogerem, który idzie na żebry.

Zaśmiała się przez łzy.

– Po prostu nie mogę – powiedziała. – Wreszcie spełniły się moje modlitwy. Najdziwniejsze jest to, że mi pomogłeś. Roger bardzo się przeraził, kiedy rozeszliście się z Angelą. Spowaźniał.

– Zawsze był poważny.

– Powiedz, najdroższy Piecie, tak naprawdę nigdy nie wydawałam ci się do końca rzeczywista? Chyba lepiej, jeśli nie będziemy tego ciągnąć dalej? Od dawna obawiałam się twojego telefonu, myślałam że zadzwonisz wcześniej.

– Powinienem być – powiedział Piet, a potem pospiesznie zapewnił: – Nie, nie wydawałaś mi się rzeczywista. – I dodał na koniec – Buzi.

– Buzi – powiedziała cicho Bea. – Buzi, buzi, buzi, buzi, buzi.

W niedzielę, odwiózszy córki do domu po wyprawie do bostońskiego Muzeum Nauki, Piet poczuł się przygnębiony widokiem pustego boiska do koszykówki. Zwykle o tej porze roku młodzi mężczyźni z Tarbox zaczynali swoje przepychanki. Whitmana nie było, Saltz wyjechał, Constantine latał odrzutowcami do Limy i Rio, Thorne i mniejszy Smith zawsze uważali, że koszykówka to plebejska gra. Przez pęknięcia w asfalcie wyrastały chwasty, a krzywa, pozbawiona siatki obręcz wymagała zabezpieczenia dłuższymi śrubami. Angela powitała ich na zewnątrz. Była zajęta zbieraniem gałązek, które spadły zimą na trawnik, i sianiem trawy w wyłysiałych miejscach.

– Powinieneś zdjąć tę obręcz – powiedziała, podążając za wzrokiem Pieta. – A może chciałbyś zaprosić znajomych na mecz? Jakoś bym to zniosła.

– Wygląda na to, że nie mam żadnych znajomych. Odeszli razem z tobą. Tak czy inaczej, to by było dość sztuczne i wszyscy czuliby się skrępowani, nie uważasz?

– Pewnie tak.

– Sądzisz, że Ruth obręcz się nie przyda?

– W tej chwili jest zainteresowana byciem kobietą. Może za jakiś czas, kiedy będą tworzyć drużyny w szkole. A teraz obręcz wygląda okropnie.

– Ale z ciebie wykwintnisia – stwierdził.

– Jak się udała wycieczka? Było sztucznie i wszyscy czuli się skrępowani?

– Nie, dobrze się bawiliśmy. Nancy, rozplakała się w planetarium, kiedy maszyna zaczęła poruszać gwiazdami, ale z jakiegoś powodu zachwyciła się manekinem anatomicznym, Przewroczyłą Panią.

– Bo przypominała jej mnie – powiedziała Angela.

Piet zastanowił się, czy żart z siebie samej nie był przypadkiem wstępem do przyjęcia go z powrotem do domu. Miał skrycie nadzieję, że nie. Najgorsze samotne noce minęły. Dzięki odosobnieniu odzyskał naturalne poczucie zdziwienia, które odeszło wraz z dzieciństwem. Nawet odwiedziny u Angeli odznaczały się przyjemną świeżością, ze względu na atmosferę skrępowania. Angela, ze swymi miękkimi, niezgrabnymi ruchami, co chwila niezwykle wyciszona, zdawała się nieśmiałym, masywnym stworzeniem, owocem jego lędzwi, które samodzielnie uczyło się dalej rozwijać.

– Jak się miewasz? – spytał.

– Mam mnóstwo pracy. Musiałam odświeżyć kontakty z rodzicami. Matka twierdzi, że przez dziesięć lat ich ignorowałam. Nigdy nie przyszło mi to do głowy, ale może ma rację.

– A dziewczynki? Już nie tęsknią za mną tak bardzo?

– Trochę mniej. Najgorzej jest, kiedy coś się psuje, a ja nie potrafię tego naprawić. Ruth ostatnio bardzo się na mnie zezłościła i powiedziała, że jestem głupia i straciłam tatusia, bo zbyt się rozpychałam w łóżku. Pewnie Jonathan albo Frankie powiedzieli jej w szkole, że byłam kiepska w łóżku, a ona uznała, że to dlatego, że zajmowałam w nim za dużo miejsca. Przeprowadziłyśmy potem fajną rozmowę. Jak kobieta z kobietą.

– Moja biedna święta. Dwie biedne święte.

– Lepiej wyglądasz.

– Zaczynam się przystosowywać. Wszyscy dali mi spokój, co jest błogosławieństwem; ostatecznie nie muszę udzielać się towarzysko dla kariery. Czasem jedynymi osobami, z którymi rozmawiam przez cały dzień, są Adams i Comeau; robimy razem szafki dla nowej pary, mieszkającej w pobliżu Lacetown.

– Sądziłam, że pracujesz w Indian Hill.

– Wygląda na to, że Jazinski i Gallagher dają sobie radę beze mnie. Pracują według gotowych planów, które nijak nie pasują do tego wzgórze.

– Zaprosili mnie ostatnio na obiad, razem z jakimiś okropnymi ludźmi z North Mather, bogatymi koniarzami.

– Matt dynamicznie działa.

– Terry wyglądała na śmiertelnie znudzoną.

– Teraz będzie tylko coraz bardziej znudzona. A ty? Znudzona? Szczęśliwa? Oganiająca się od propozycji znajomych panów?

– Kilku badało grunt – przyznała Angela. – Ale to nic poważnego. Kobieta w separacji to zupełnie inna para kaloszy. Boją się.

– Myślisz o nas jako o małżeństwie w separacji?

Zamiast mu odpowiedzieć, spojrzała nad jego ramieniem, w kierunku lasu, na którego skraju kwitła cikliwi – ca i gdzie Piet pochował chomika Ruth. Dziewczynki, zadowolone, że uwolniono je od żenująco rozklekotanego i brudnego pikapu ojca, ubrane elegancko na niedzielny spacer, usiłowały wejść na niską jabłoń, niedużą pośród klonów. Po chwili twarz Angeli ożywiła się pod wpływem przypomnienia dobrej wieści.

– Oj, Piecie, muszę ci o tym powiedzieć. To takie dziwne i miłe. Zaczęłam śnić. I pamiętam swoje sny. Pierwszy raz od wielu lat.

– Jakiego rodzaju sny?

– Na razie nic ekscytującego. Jestem w windzie, naciskam guzik i nic się nie dzieje. Więc zupełnie nieprzejęta, myślę sobie: „Pewnie już jestem na właściwym piętrze”. Albo, możliwe, że to część tego samego snu, jestem w domu towarowym i próbuję kupić dla Nancy futrzany kaptur do jazdy na nartach. Dokładnie wiem, jakiego powinien być rozmiaru, z jaką podszewką. Chodzę od stoiska do stoiska, gdzie oferują mi rękawiczki z jednym palcem, nauszniki, kalosze, wszystko, czego nie potrzebuję, ale ja zachowuję się spokojnie i uprzejmie, bo wiem, że gdzieś mają te kaptury, ponieważ kupiłam tam już wcześniej taki sam dla Ruth.

– Urocze sny.

– Tak, są nieśmiałe i zwyczajne. On ani nie potwierdza, ani nie zaprzecza, ale ja uważam, że moja podświadomość usiłowała umrzeć, a teraz ma odwagę powrócić i wyrazić to, czego pragnę. Jeszcze nie dla mnie samej, na razie tylko dla innych.

– On. Masz sny dla niego. Jak dziecko robiące siusiu dla tatusia.

Zgodnie z przewidywaniami Pieta, wycofała się znów do zaczarowanej ciszy, którą lubił odwiedzać na prostokątnym podwórzu, w tym czystym, pozbawionym męskiej obecności domu.

– Ależ z ciebie despota – powiedziała. – Zazdrosny despota. Zawsze śniłeś z taką łatwością i jestem pewna, że blokowało mnie leżenie obok ciebie.

– Nie mogliśmy się dzielić naszymi snami?

– Nie, wolałeś śnić sam. Odkrywam, że wszystko robisz sam. Wiesz, kiedy czułam się najbardziej samotna? Kiedy się kochaliśmy. – Cisza, jaka nastąpiła po jej wyznaniu, wymagała od Angeli złagodzenia wypowiedzi: – Miałaś wieści od Foxy?

– Nie. Nie przysłała nawet pocztówki z pomnikiem Waszyngtona. – Piet zauważył, że trawa obumarła miejscami, koło studni i stodoły, tam, gdzie długo utrzymywał się lód. Ciężka zima. Polarna pokrywa lodowa narasta. Wrócą włochate mamuty. – To dla mnie chyba ulga.

Dziewczynki wróciły z lasu w wiosennych, przybrudzonych korą płaszczykach.

– Idź już – powiedziała do Pieta Nancy.

Ruth klepnęła siostrę.

– Nancy! To niezbyt miłe.

– Ona chyba stara się pomóc – wytłumaczyła Angela. – Mówi tatusiowi, że już może sobie pojechać.

– Mamusiu – powiedziała Nancy, machając pulchną rączką i spoglądając do góry trochę nieprzytomnie wzrokiem. – Gwiazdy kręciły się i kręciły dookoła.

– A dziecko beczało – dodała Ruth.

Nancy spoglądała na nią przez chwilę, jak gdyby chcąc ustalić swoje położenie, a potem rzuciła się na siostrę, okładając ją pięściami.

– Kłamiesz! Kłamiesz!

Ruth przygryzła dolną wargę i sprawnym, gwałtownym uderzeniem pięści odepchnęła Nancy.

– Dziecko beczało – powtórzyła. – Tatusiowi zrobiło się przykro, i dlatego zabrał nas stamtąd wcześniej.

Nancy popłakiwała przy nogach Angeli. Trzymając twarz tam, gdzie twarz Pieta już nigdy się nie znajdzie. Ściśnięta szpara, włosy i powietrze, kielich ambrozji, gdzie zalega nasienie.

– Jestem pewna, że wycieczka była ekscytująca – powiedziała Angela. – I dlatego wszyscy są zmęczeni i marudni. Chodźmy na kolację.

Podniosła wzrok. W jej oczach było widać wysiłek, by nie zrobić tego, co proste i instynktowne – nie zaprosić Pieta, by zjadł z nimi.

Bernadettę Ong wpadła na niego na ulicy, wychodząc z księgarni, w której sprzedawano głównie czasopisma. Piet wchodził właśnie, żeby kupić „Life’a”, a ona opuszczała sklep z numerem „Scientific American”. Jej ciało, kiedy się o niego otarła, zdawało się płaskie, twarde, a jednak pozbawione mocy; miała ziemistą cerę, a orientalna fałda skóry na górnej powiece tak obwisła, że zupełnie przykryła rzęsy. Zatrzymali się razem pod markizą księgarni; otaczający ich kwietniowy dzień zapowiadał pełnię lata, początki upału, wreszcie plażową pogodę, kiedy uczniowie szkoły średniej odsuwają zeszytniałe dachy kabrioletów i dużymi grupami ruszają w kierunku wydm. Górująca nad centrum Tarbox grecka świątynia, stojąca na pagórku z czerwonych kamieni, rzucała wapienny blask, a złoty kurek płonął w błękitnym piekarniku. Bernadettę zrzuciła płaszcz. Cienki łańcuszek krzyżyka błyszczał w dekolcie nieświeżej jedwabnej bluzki. Zstępując w rejony śmierci, stała się brudna jak górnik.

Zawstydzony Piet spytał ją od razu, jak się czuje John.

– Tak jak można się spodziewać – odparła. Sądząc z tonu jej głosu, nie pozostało jej wiele nadziei. – Ciągłe podają mi leki. Nie mówi za wiele po angielsku. Kiedyś pytał mnie, dlaczego nikt go nie odwiedza, ale już tego nie robi.

– Tak mi przykro, myślałem, żeby do niego wpaść, ale miałem własne kłopoty. Pewnie słyszałaś, że jesteśmy z Angellą w separacji.

– Nie, nie słyszałam. To okropne – Wymówiła to „akrapne”; wszystkie samogłoski dążyły w jej płaskich, szerokich ustach do „a”. „Kiady w kańcu ze mną zatańczysz?” – Sądziłam, że

byliście ostatnią parą, której mogło to grozić. John, jak prawdopodobnie się domyślałeś, był na wpół zakochany w Angeli.

Piet niczego takiego nawet się nie domyślał.

– Może odwiedzę go teraz? – zaproponował pod wpływem impulsu. – Mam czas, a ty chyba wracasz właśnie do szpitala?

Szpital Veteran's Memoriał w Tarbox był oddalony od centrum dwie mile w głąb łądu. Zbudowany z ciemnych cegieł klinkierowych, z nowym różowym skrzydłem oddziału położniczego, które niezupełnie pasowało do reszty budynku, był usytuowany na pagórku wznoszącym się między starymi torami kolejowymi i szeregiem szklarni (Hendrick Vos i synowie – Kwiaty, Cebulki i Krzewy). Za szpitalem rozciągał się dobrze utrzymany, tradycyjny ogród, po którym nikt nigdy się nie przechadzał, ani pacjenci, ani pielęgniarki. Przez przeszklone drzwi w pokoju Johna Onga widać było przyszyty ligustr i różową dziką jabłoń oraz suche, zaśniedziałe miedziane poidelko dla ptaków w kształcie muszli. Wiatr osypywał płatki kwiatów z jabłoni, wydymał białe zasłony i sprawiał, że przezroczyste ścianki namiotu tlenowego przy łóżku gwałtownie wyginały się i trzeszczały. John był wychudzony, a jego skóra całkowicie straciła kolor, nie licząc nie większych niż półdolarówki rumieńców na policzkach. Tak zeschupłały, wydawał się wyższy, niż Piet go zapamiętał. Mówił z trudnością, jak gdyby korzystając z resztek powietrza zgromadzonego wysoko w piersi, tuż przy gardle. Nie zmienił się tylko jego szybki uśmiech, którym maskował niepełne zrozumienie.

– Ja się ma Pi? Zieplo na worze, zobrze biblio pognać w tanisa, co?

– Powiedział, jak się masz, Piet – przetłumaczyła ponurym głosem Bernadettę. – Mówi, że jest ciepło na dworze i dobrze by było pograć w tenisa.

– Już niedługo wrócisz na kort – zapewnił Piet, podrzucając i odbijając niewidzialną piłkę.

– Si miją wscy?

– Pyta, jak się mają wszyscy.

– W porządku. Nieźle. To była długa zima.

– Hanziela? Dżiczki? Wyciny Fledigo?

– Angela chciałaby cię odwiedzić – powiedział głośno Piet, jak gdyby wołał do oddalającego się samochodu. – Freddy Thorne ostatnio przystopował. Nie ma żadnych dużych imprez. Dzieci rosną jak na drożdżach.

To nie była najlepsza rzecz, jaką mógł powiedzieć; nie było o czym rozmawiać. Piet zaczął odczuwać skrepowanie, sztuczność sytuacji, a oczy Johna Onga stawały się coraz bardziej przyćmione. Jego dłonie jak u insekta, z kośćmi na wierzchu, bawiły się czasopismem, które przyniosła Bernadettę. W pewnym momencie zaczął kaszleć i przez dłuższą chwilę nie mógł przestać – niekończące się wyrwanie z korzeniami rośliny, która za głęboko wrosła. Piet odwrócił wzrok i ujrzał drozda, który przysiadł na skraju suchego poidelka. Stało się jasne, że John jest odurzony lekami; jego powitanie było forsownym pokonywaniem spokojnego otumanienia. Przez moment na jego wyniszczonej twarzy pojawiła się oznaka świadomości, jak żarłoczna, mięsożerna siła; potem zapadł w wewnętrzne szept i dwa razy odezwał się po koreańsku. Piet spojrział na Bernadettę, czekając na tłumaczenie, ale wzruszyła ramionami i mrugnęła w jego stronę.

– Znam tylko kilka zwrotów. Czasem wydaje mu się, że jestem jego siostrą.

Piet podniósł się z miejsca.

– Nie idź – poprosiła go gwałtownie.

Został jeszcze piętnaście minut, podczas gdy Bernadettę pstrykała czymś na kolanach, a John, zapominając, że ma gościa, przejrzał od końca „Scientific American”, niecierpliwie przebiegając wzrokiem po stronach, szukając czegoś, czego na nich nie było. Po korytarzu chodziły skrzypiąc gumowymi podszewkami pielęgniarki. Lekarze głośno i wesoło rozmawiali. Pompatyczne kosze i wazon z kwiatami zajmowały przestrzeń przy kaloryferze

i Piet zastanawiał się, kto mógł je przysłać. McNamara. Rusk. Pierwsza tego popołudnia chmura zacięła jabłoń, z której nagle posypało się mnóstwo płatków, jak gdyby do tej pory trzymało je w miejscu światło. W pokoju zrobiło się zimniej. Piet wstał po raz drugi, szykując się do wyjścia. Wziął do ręki bezwładne palce Johna i powiedział zbyt głośno, zbyt żartobliwie:

– Do zobaczenia na korcie.

Rozszerzone pod wpływem leków źrenice, oczy, które badały chaos cząsteczek na poziomie podstawowym, uniosły się i wciągnęły Pieta w głąb wszechwiedzy; zanurzając się, zobaczył, jak prawdopodobne jest umrzeć, jak śmierć, daleka od nawiedzania ziemi na kształt meteoru, zachodzi w tej samej przestrzeni co narodziny, ślub czy dostarczanie codziennej poczty.

Bernadettę odprowadziła go wywoskowanym korytarzem do wyjścia. Na dworze wiatr wdmuchnął jej kosmyk włosów prosto do oka; plama w kształcie serca na szklarniach poniżej świeciła jaskrawo. Krzyżyk Bernadettę połyskiwał. Piet czuł, że jej ciało o płaskich piersiach, szerokie ramiona i biodra emanują czymś erotycznym; zbyt długo nikt nie służył jej wsparciem. Przysunęła się bliżej, jak gdyby chcąc o coś zapytać. Podniosła rękę o obgryzionych paznokciach, żeby odsunąć opalizujący czarny kosmyk, którego spowodowany przez wiatr dotyk sprawił, że zaczęła mrugać. Wydawało się, że gestykuje, jakby przepraszała za wolę przeżycia. Jej uśmiech był wykrzywionym grymasem.

– Cuda się zdarzają – powiedział Piet.

– On je odrzuca – odparła, jak gdyby stwierdzenie Pieta, zdumiewające nawet dla niego samego, tylko potwierdziło istnienie pigułek, które co dzień podawała Johnowi. Różaniec wydał dźwięk.

Doświadczenie wizyty u umierającego Onga uprzytomniło Pietowi, ile mu jeszcze zostało czasu i z jaką swobodą mógł go wykorzystać. Chodził na długi spacer po plaży. Tego kolorowego kwietnia zatoka ani razu nie wyglądała tak samo. Niekiedy, w czasie przyływu, pod białym słońcem ciemniejsze niż wolfram muskularne fale rzucały piasek na gąbczaste klify i wnosiły kawałki drewna i wodorostów daleko między wydmy, gdzie w następstwie pływu formowały się niebieskie kałuże. Odpływ odkrywał gładkie powierzchnie, które odbijały jasny fiolet, róż i chwilową zieleń zachodu słońca. Czasami morze znieacka stawało się sine i pełne palm; innym razem pod ciepłym, niskim deszczowym niebem miało nijaką barwę brudnego prania. Wzburzone rzędy fal nadciągały od linii horyzontu, żeby ulec rozproszeniu, liżąc brzeg i dobijając do niego. Piet pochylał się, podnosząc muszeli, piaskowe dolary z rysunkiem gwiazdy i użytecznym wylotem powietrza dla zamieszkującego stworzenia, którego nie potrafił sobie wyobrazić. Kawałki drewna, wygładzone jak kamyczki w potoku, żelazne kolce, zmumifikowane w pomarańczowej pianie rdzy, głęboko wyciśnięte znaki końskich podków, małe zagłębienia z czterema zębami, zostawione przez pędzące psie łapy, płytkie, szybko znikające ślady ludzkich par (bosa kobieca stopa, z palcami i delikatnym przewężeniem, łączącym piętę z przednią częścią podbicia; męska, obuta, z wklęsłodrukiem z podeszwy tenisówek, a obok kreska ciągniętego po ziemi patyka), zawile, splukane przez przyływ smugi pozostawione przez mięczaki, niewyraźne jak kontury poruszonych zdjęć, idealne koło, które żdźbło nadmorskiej trawy z zadowoleniem rysuje wokół siebie. Wszystko zdawało się zwyczajne. Plaża wyglądała jak we śnie, zawsze szczęśliwa w inny sposób. Pewnego późnego, pochmurnego popołudnia, kiedy wysoko na zachodzie, nad przesuwanymi się szybko nimbusami, unosiły się poziome smugi srebra, Piet wysiadł z samochodu na środku pustego parkingu i usłyszał miarowy, melodyjny ryk. Gdy jednak ruszył w kierunku morza, zobaczył, że jest ono spokojne jak jezioro, leniwe i mętnie zielone. Trwał odpływ i przechadzając się po gładkich żebrach piasku, skąd niedawno wycofała się woda, Piet zrozumiał – zdiagnozował, jak gdyby miarowy ryk dochodził z jego własnego wnętrza – że fale rozbijają się gwałtowne o oddaloną o milę mierzeję i chociaż zatrzymują się

prawie w biegu, ich połączony dźwięk płynie do niego po powierzchni zahipnotyzowanej wody jak po napiętej, skórzanej membranie bębna. Piet był jedynym świadkiem tego zjawiska, rezultatu energii, która mogła zasilać miasta. Rozbrzmiewająca wokół niego zgłoska zdawała się nutą grającą nieprzerwanie od jego narodzin, teraz z niego wydobytą i powierzoną powietrzu. Dzień był dość ciepły, a wokoło unosił się zapach popiołu.

Jako samotnik wyczuwał przyjaźń w ruchu fal, zwłaszcza tych najodleglejszych, przywołującym gestem unoszących ramiona z pyłu wodnego przy mierzei. Świat okazał się bardziej platoński, niż Piet się tego spodziewał.

Odkrył, że mniej tęskni za przyjaciółmi niż za samą przyjaźnią; kiedy wspominał Foxy, czuł nostalgię za cudzołóstwem – związaną z nim przygodą, akrobacjami, jakich wymagało oszukiwanie, napięciem niewidzialnych linek, nowymi terenami, które trzeba było badać.

Czasami, kiedy wracał przez wydmy na parking, widział dom Whitmanów na porośniętym trawą wzgórzu, z glinianymi bliznami wykopów i jasnymi łatami nowego gontu. Dom go nie widział. Okna, przez które tak często wyglądał, w euforii i pełen niepokoju, błyszczały ślepo. Kiedyś przejeżdżając w pobliżu, pomyślał, że dobrze zrobili, że go z Angelą nie kupili, ponieważ okazał się pechowy. Zaraz potem zdał sobie sprawę, że i tak mieli udział w nieszczęściu, które przyniósł. Piet pogrążony w samotności coraz częściej stawał się nieobecny duchem. W mieście zauważył nową kobietę – sprężysty, dumny krok, świadczący o solidnym wykształceniu, duch uwolniony od chłopskiego szurania nogami, kołyszące się ramiona, szykowny tyłek, szczupłe kostki. Piet pospieszył drugą stroną Charity Street, żeby rzucić na nią okiem od przodu, i jego oczom ukazała się, na sekundę przed wejściem do kasy oszczędnościowej, Angela. Miała rozpuszczone włosy i nową, niebieską pelerynkę, którą podarowali jej na pocieszenie rodzice.

Jakie to dziwne, że zazdrościła mu snów, że oskarżała go, iż tak łatwo je miał! Być może dlatego, że każdego wieczoru przed snem aplikował sobie sporą dawkę dzinu, jego sny przestały być godne zapamiętania – niewyraźne, powtarzające się obrazy dezorientacji i niedopasowania, budowania czegoś, co nie chciało trzymać się kupy i stać prosto. Był małym chłopcem, a tak naprawdę własnym ojcem, idącym obok jego ojca, czyli dziadka, anonimowego człowieka, którego Piet nie znał, jednego z setek stolarzy, którzy przywędrowali z Holandii, żeby pracować w fabrykach mebli w Grand Rapids. Mężczyzna miał niezwykle twardą skórę na dłoniach; chłopiec czuł strach, trzymając go za rękę. Albo uczestniczył w pogrzebie Onga, trumna nagle się otwierała i John wybiegał truchtem, szary jak owad, skręcający się ze wstydu. Takie sny Piet splukiwał wraz ze smakiem kwaśnego siana w ustach, kiedy budził się przed świtem, siusiał, połykał szklankę wody i obiecywał sobie, że następnego dnia nie będzie już tyle pił. Dwa sny były bardziej wyraziste. W jednym z nich szedł przez burzę śnieżną wraz z synem, dzieckiem, które łączyło w sobie cechy Ruth i Nancy, ale było płci męskiej. Wracali z boiska baseballowego, znajdującego się w pobliżu pierwszego domu, w którym mieszkał Piet. Pomiędzy boiskiem a mniejszymi szklarniami jego ojca rósł rzadki zagajnik, złożony z kasztanów i wiśni, gdzie popołudniami dzieci gromadziły się i wspinały na gałęzie. Również stamtąd w któreś Halloween zaatakowano ich szklarnie kamieniami, co skończyło się zeznaniami na policji, a dla Pieta bójkami na pięści przez cały listopad. We śnie trwała zima. Spomiędzy rzadkich pni wiał przenikliwy wiatr, a ścieżka pod śniegiem była oblodzona. Piet musiał wziąć dziecko pod ramię i trzymać, żeby się nie poślizgnęło. On sam szedł w głębszym śniegu obok lodowej ścieżynki; jeśli upadliby w tym samym momencie, oznaczałoby to śmierć. Dotarli do alejki, przeszli przez nią i tam, przy końcu podwórza obok ciemnych szklarni, czekała na nich w pozbawionym śniegu sześcianie babcia Pieta, zgarbiona i niespokojna. Otaczały ją niewidoczne ściany. Miała na sobie jedynie bawełnianą sukienkę i wytarty czarny sweter, rozpięty. We śnie Piet zastanawiał się, jak długo już tak stoi, i podziękował Bogu, że byli bezpieczni, i niecierpliwie wyczekiwał przyłączenia się do niej w tej osobliwej, przezroczystej altanie, gdzie wyraźnie było widać

zieloną trawę, źdźbło obok źdźbła. Kiedy się obudził, zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdarzyło mu się śnić o babce – zmarła na zapalenie płuc, kiedy miał dziewięć lat, a on nie czuł żalu. Prawie nie znała angielskiego i jako nałogowo sprzątająca wszystko, zabraniała Pietowi i Joopowi wchodzić nie tylko do salonu, ale i do wszystkich pozostałych pokoi na parterze, poza kuchnią.

Drugi sen był statyczny. Piet stał pod usianym gwiazdami niebem, starając się zmienić ich układ siłą woli. Wyciągał się do góry w ramach wytężonego apelu do pomieszanych gwiazdozbiorów, metalicznej maski nocy, żeby się przenieśli w inne miejsce; ale one jaśniały nieustępliwe. Pomyślał: „Mogę nadwerężyć serce”, i obudził się, czując ostry ból w piersi.

Foxy wróciła do miasteczka. Niejasna informacja pochodziła od Marcii, mniejszej Smith, która widziała ją, prowadzącą mg Kena, na Nun's Bay Road. Plotka o Foxy doszła przez Harolda, Franka, Janet i Beę do Terry, spotkanej w supermarkecie A&P, dalej do Carol i Thorne'ów, by połączyć się z rewelacją Freddy'ego, który tego samego popołudnia zobaczył z okna gabinetu, jak Foxy wychodzi z drogerii Cogswella. Wieść zataczała coraz szersze koło, aż jedyną odpowiedzią na nią stało się: „Już wiem”. Terry, działając, jak jej się wydawało, w zakresie swoich obowiązków, zgodnie z rolą, którą Ken narzucił Gallagherom miesiąc wcześniej pewnego ranka, zadzwoniła do Angeli i powiadomiła ją o przybyciu Foxy. Angela uprzejmie wysłuchiwała wiadomości, jak gdyby jej nie dotyczyła. Być może tak było naprawdę. Hanemowie stali się dla pozostałych par nieprzezroczysti, sprzeniewierzyli się bowiem paktowi o wzajemnym informowaniu się o wszystkim. Tylko Piet pozostał poza zasięgiem krążących w towarzystwie plotek; jemu nikt nic nie powiedział. Nie było to jednak potrzebne. Został już wcześniej poinformowany. We wtorek otrzymał wysłany na adres biura Gallagher & Hanema list z Waszyngtonu:

*Drogi Piecie,*

*Muszę wrócić na kilka dni do Nowej Anglii i 24 kwietnia przyjadę do Tarbox, żeby wybrać meble. Chciałbyś się ze mną spotkać i porozmawiać? Nie obawiaj się, niczego od Ciebie nie oczekuję.*

*Ucałowania,  
F.*

Po „oczekuję” widniało wydrapane miejsce po słowie „ale”. Po raz pierwszy spotkali się zupełnie przypadkowo, było to na asfaltowym parkingu w centrum, nieregularnej pustej przestrzeni, pełnej kamyczków i zaparkowanego metalu, ograniczonej tylnymi wejściami sklepów na Charity Street – A&P, Centrum Alkoholi Poiriera, Książki i Poczty Beth, Metodyści – Artykuły Używane, oraz (po drugiej stronie błyszczącej kawałkami szkła uliczki) Biura Tarbox. Piet wiedział, że nie jest przygotowany na jej zobaczenie; rytm ruchów, wysokie ciało, pochylone, by włożyć torbę z zakupami do czarnego samochodu z niskim zawieszeniem, plama związanych blond włosów, napięte mięśnie na brzuchu, przyprowadzająca o zawrót głowy świadomość, że pośród miliardów ludzi na ziemi to była właśnie ona. Rozbolał go bok, drżała mu lewa dłoń. Zawołał Foxy; w odpowiedzi znieruchomiała. Podchodząc bliżej, zauważył, że wygląda młodziej, niż ją zapamiętał, bardziej gładko i wytwornie. Przez półprzezroczystą skórę prześwitywały naczynia, prosty nos był nieco bledszy na grzbiecie, brązowe tęczówki, ocieplone złotą barwą, przechylone, osadzone na delikatnych półkach powiek, szybkie soczewki, delikatne jak chmury, poruszające się nieznacznie, kiedy mówiła. Jej głos przepełniał znajome odcienie, niezliczone zaokrąglenia rozchyliły się; oddychające, mówiące, myślące usta: była żywa. Trwając wciąż wśród blaknących, zmrożonych drobin pamięci o niej, Piet nie był przygotowany, by widzieć ją tak żywą, ciągłą i dowcipną.

– Piecie, wyglądasz wzruszająco okropnie.



– W przeciwieństwie do ciebie.  
– Dlaczego przestałeś się czesać?  
– Jesteś nawet trochę opalona.  
– Mój ojczym ma basen. Tam jest teraz lato.  
– Tutaj pojawia i znika. Kapryśne, jak zwykle. Ostatnio dużo spaceruję po plaży.  
– Dlaczego nie mieszkasz z Angelą?  
– Kto tak mówi?  
– Ona. Powiedziała mi przez telefon. Nim napisałam list, zadzwoniłam do ciebie do domu; miałam zamiar pożegnać się z wami obojgiem.

– Nie mówiła mi, że dzwoniłaś.  
– Pewnie nie sądziła, że to ważne.  
– Moja żona to zagadkowa kobieta.  
– Powiedziała, żebym po ciebie przyjechała.

Roześmiała się.

– Jeśli tak powiedziała, to czemu pytasz, dlaczego już z nią nie mieszkam?

– A czemu?

– Bo ona tego nie chce.

– To zaledwie – powiedziała Foxy – pół powodu.

Po tej uwadze zmienił się ton ich rozmowy; stała się swobodniejsza, bardziej banalna, jak gdyby podjęli jakąś decyzję.

– Gdzie się wybierasz z zakupami? – spytał Piet.

– Są dla mnie. W ten weekend mieszkam w naszym domu. Ken obiecał zostać w Cambridge.

– Nie pogodzicie się?

– Ken jest szczęśliwy. Mówi, że teraz pracuje też wieczorami, i twierdzi, że jest bliski dokonania ważnego odkrycia. Wrócił do rozwiązań.

– A ty?

Wzruszyła ramionami, jasnowłosa uczennica szukająca odpowiedzi wystarczająco ogólnej, by skryła jej niewiedzę.

– Jakoś sobie radzę.

– Nie będzie ci smutno mieszkać tam samej? Czy przywiozłaś ze sobą dziecko?

– Zostawiłam Toby'ego z matką. Świetnie się rozumieją, oboje uwielbiają twaróg i uważają, że jestem niegodna zaufania.

– Co w takim razie robimy? – spytał ją bezpośrednio, dodając w ramach wyjaśnienia: – Taka para sierot.

Zaniósł jej zakupy do swojego pokoju i tam spędzili weekend. W sobotę pojechał z nią do pustego domu nad moczarami i pomógł oznaczyć stoły i krzesła, które chciała zatrzymać. Nikt im nie przeszkadzał. Stare miasteczko dawało im poczucie bezgrzeszności. Foxy wyznała Pietowi, że przewidując, że się z nim prześpi, przywiozła ze sobą krążek dopochwowy, a w drogerii Cogswella kupiła tubkę żelu plemnikobójczego. Podczas gdy Piet pod wpływem balsamu miłości stawał się młodzieńczy i swawolny, ona się starzała. Pierwsze wrażenie gładkości i półprzezroczystości zastąpiła szorstkość pokrytych gęsią skórą pośladków, nieprzyjemna szarość wygolonych pach, tylna część kolan, zgrubienie w pasie po urodzeniu dziecka. Płaskość stóp Foxy sprawiała, że chodząc po nagiej podłodze pokoju o ścianach w kolorze owsianki, poruszała się niedbale i niezgrabnie (zupełnie inaczej niż Angela, której małe palce nie dotykały podłogi i która przemieszczała się po wiejskim domu o jasnożółtych wnętrzach swobodnym, sprężystym krokiem). We śnie pociągała nosem, niespokojnie spychała Pieta na skraj łóżka i trapiły ją koszmary. Pierwszego ranka obudziła go, trzymając mu dłonie na penisie, delikatnie ciągnąc za napletek, z twarzą skurczoną i pobladałą z pożądania. Wykrzyknęła, że nie powinna z nim być, że to złe, bardzo złe, i

szamotała się, podczas gdy w nią wchodził; potem spytała przebiegle, czy podnieciło go, kiedy udawała, że stawia opór. Zadawała mu obcesowe pytania, takie jak: czy nadal uważa się za chrześcijanina. Odparł, że nie wie, ale to raczej wątpliwe. Foxy oznajmiła, że uważa się za chrześcijankę, ale żyjącą w grzechu, a potem wyzywająco, dość impertynencko i – takie Piet odniósł wrażenie – teatralnie odrzuciła i wygładziła włosy, wilgotne i splątane na poduszce. Poskarżyła się, że jest głodna. Czy miał zamiar trzymać ją tutaj i pieprzyć, aż umrze z głodu? Zaburczało jej w brzuchu.

Zjedli w bufecie Musquenomenee, siedząc w boksie z dala od okna, przez które obserwowali, jak Frank Appleby i mały Frankie ładują do starego brązowego mercury'ego worki z wapnem i torfem ze sklepu żelaznego. Widzieli wszystko, sami pozostając niezauważeni, jak za lustrem weneckim. Rozmawiali o Angeli i Kenie oraz o aborcji, nigdy nie zatrzymując się przy żadnym temacie wystarczająco długo, by go wyczerpać, a nawet zagłębić się w niego. Fakt, że byli razem, uniemożliwiał dyskusję, jak gdyby ostatecznie wszystko stało się zbyt doniosłe lub zbyt banalne. Nawet kiedy leżeli obok siebie bez ruchu, Piet czuł, że znajdują się w ślizgu, pędzą przez przestrzeń, lekko, choć niezupełnie ze sobą złączeni. Źle spał u jej boku. Miała trudności, żeby osiągnąć orgazm. Rozpaczliwie do niego dążąc, oddawała się Pietowi w najbardziej poddańczych pozach, jak gdyby czucie w ustach lub pomiędzy piersiami wyzwolenia, uderzenia jego wytrysku, sprawiało, że doświadczała go i ona. Nadal nosiła pierścionek zaręczynowy i obrączkę, a kiedy spoglądał w dół, na dłoń unoszącą go do jedwabistej twarzy i wklęsłe od otwartych ust policzki, widział lodowy ośmiobok brylantu i ze smutkiem uświadamiał sobie, że gdyby wzięli ślub, nie byłby w stanie kupić jej tak dużego kamienia.

Nie odnosił jednak wrażenia, by Foxy mu się sprzedawała; była raczej otwartą, nieskrępowaną towarzyszką. Po niezręcznym oznaczaniu mebli (nie miał ochoty dotykać jej w domu, którego spokój tak często zakłócali; kiedy przemykała z pokoju do pokoju, przypominała obojętne widmo; poza tym stracili już przywilej kochanków, pozwalający im traktować każde miejsce tak, jakby do nich należało) przeszli się w sobotę na spacer po odległym końcu plaży, gdzie istniało małe prawdopodobieństwo, że natkną się na znajomych. Foxy wskazała mu miejsce, gdzie kiedyś pisała do niego długi list, o którym już z pewnością zapomniał. Piet powiedział, że go pamięta, chociaż właściwie nie było to prawdą. Oznajmiła mu nagle, że jego bezdusność i rozwiązłość były dla niej w pewnym sensie korzystne; przy nim mogła zachowywać się jak dziwka, bo w przeciwieństwie do innych mężczyzn jej nie oceniał. Piet odparł, że to z powodu wiary kalwińskiej. Tylko Bóg ma prawo osądzać. Tak czy inaczej, uważał, że Foxy wygląda przepięknie. Wszystko jest w niej urodziwe: pieprzyki, pryszcze, płaskie stopy, pociąganie nosem i cała reszta. Roześmiała się, słysząc ten opis, a barwa jej śmiechu miała w sobie próżność. Pod płaszczem obojętności i lekceważenia skrywała jej wiarę, że jest bez skazy. Piet wierzył Foxy, wierzył zapewnieniu kryjącym się w jej rechotliwym śmiechu, okrzykowi porwanemu przez słony wiatr nad brzegiem wiosennego oceanu, jej pewności, że tak naprawdę jest idealna, i pragnął znów znaleźć się sam na sam z jej długim ciałem w odosobnieniu nędznego pokoju.

Leniwie robiła mu fellatio, podczas gdy on przeczesywał placami jej blond włosy. Jak piękna była też koralowobordowa cipka Foxy, z futerkiem w kształcie bratkowego M lub W: całowanie jej ją tam, podczas gdy wrota otwierały się na komnatę, a komnata na wszechświat, miało nieskończenie przyjemny smak, w momencie, w którym ją gryzł, a ona dochodziła, drapiąc go w plecy. Mogłaby skrócić mu kark. Całkowicie o nim zapomniała. Sama, w stanie surowym. Urządzenie wytwarzające sól na dnie morza.

Usta, doszedł do wniosku Piet, są niezwykle szlachetne. Poruszają się po dworze umysłu. Pozwalamy genitaliom w dole parzyć się jak wieśniakom, ale kiedy do czynu przystępują usta, ciało poślubia umysł. Seks oralny świętością. „Kocham cię, Elizabeth, uwielbiam zapach twych płatków, twą bezcenną pustą szkatułę, wyłożoną śliskimi pąkami”. Tak powitali

niedzielnym porankiem, a nad nimi rozbrzmiewał dźwięk dzwonów.

– Piecie – westchnęła Foxy. – Nigdy nie zostałam tak przeleciana. Nikt jeszcze nie poznał mnie tak dokładnie.

Niewyspany, wymizerowany po całym miesiącu walki ze strachem, uśmiechnął się, próbując pochwalić ją, tak jak ona chwaliła jego, ale zamiast tego zasnął, z rozgorączkowaną twarzą, jak gdyby nadal znajdował się między jej udami.

Niedzielne popołudnie miał spędzić z dziećmi; Foxy zaproponowała, by udali się razem na kręgle do North Mather. Ruth i Nancy z szeroko otwartymi oczami przyjęły obecność pani Whitman, ale Foxy skupiła się jak gdyby nigdy nic na grze, żeby osiągnąć dobry wynik. Pokazała dziewczynkom, jak chwycić nieporęczną kulę i rzucać nią z dala od rynien.

– *Merde* – powiedziała Ruth, kiedy nie udał jej się rzut.

– Gdzie się nauczyłaś tego słowa? – spytał Piet.

– Tak mówi Jonathan, mniejszy Smith, żeby nie przeklinać.

– Lubisz Jonathana?

– To dureń – odparła, podobnie jak kiedyś Angela podsumowała Freddy'ego Thorne'a: „To palant”.

Na drugim torze Piet osiągnął wynik 81, Foxy zdobyła 93 punkty. Była prawdziwym rywalem. Wycieczka została zakończona zjedzeniem lodów, kupionych w otwartej na nowo przydrożnej budce. Jej właściciel, o przymrużonych oczach rybaka i skórze łuszczącej się z czoła, wrócił właśnie z dorocznego, pięciomiesięcznego pobytu na Florydzie.

– Ta jest podobna do ciebie – powiedział do Pieta, kładąc opaloną dłoń na głowie Ruth. Potem położył drugą na jasnych włosach Nancy. – Ale to maleństwo to wykapana matka.

Foxy miała zamiar polecieć do Waszyngtonu w niedzielę późnym popołudniem, ale została z Pietem na jeszcze jedną noc.

– Ken nie domyśli się, gdzie spałaś w trakcie pobytu?

– Niech się domyśla. I tak nic go to nie obchodzi. Ma wystarczające podstawy do rozwodu, a poza tym już osiągnęliśmy porozumienie co do podziału majątku. Dzięki Bogu, Ken nie jest skąpcem. Muszę przyznać, że to najmniej neurotyczna osoba, jaką znam. Podjął decyzję i będzie się jej trzymał, bez względu na to, co się stanie.

– Słyszę podziw w twoim głosie.

– Zawsze go podziwiałam. Po prostu nigdy go nie pragnęłam.

– A mnie?

– Oczywiście, że cię pragnę. Myślisz, że dlaczego przyleciałam z tak daleka?

– Żeby wybrać meble.

– Pal licha meble! Nie wiem nawet, gdzie będę mieszkać.

– Cóż, ja chyba jestem do wzięcia.

– Nie byłabym tego taka pewna. Możliwe, że Angela dała ci tylko mały urlop.

– Ja.

– Nic nie mów. Jeśli będziesz czekał, to dobrze, jeśli nie, to trudno. Najpierw muszę odzyskać wolność. Wyjadę teraz na długi czas, Piecie, na sześć tygodni, dwa miesiące. Mam nie wracać?

– Dokąd jedziesz?

– Jeszcze nie wiem. Ojciec Kena uważa, że powinniśmy wybrać jeden z zachodnich stanów. Ale nasza znajoma z Cambridge polecała na Wyspy Dziewicze i to brzmi znacznie ciekawiej niż pobyt na jakimś ranczu na pustyni, pełnym przechodzących menopauzę pacjentek, których mężowie uciekli z sekretarkami.

– Naprawdę chcesz to zrobić?

– Oczywiście – powiedziała, dotykając w ciemnościach jego policzka, jak gdyby z ciekawością badała twarz dziecka, albo szklivo na wazonie, który właśnie kupiła. – Jestem zrujnowaną kobietą.

W trakcie tej dłużej się skutecznym zmęczenia, zawieszona w czasie nocy punkty zwrotne wytyczało powtarzające się narastanie czegoś w jego wnętrzu, czegoś jednak do niego nienależącego; napływająca od tyłu fala, która w ciemnościach rozбивała się pod nim na jej dziwnej, rozwidlonej bieli.

– Wspaniale jest mieć dość, nie sądzisz? – westchnęła Foxy. – Naprawdę dość.

– Z seksem jest jak z pieniędzmi – odparł. – Jedynie za dużo jest dość.

– To brzmi jak sentencja Freddy’ego Thorne’a.

– Mój mentor i zbawca.

Uciszyła go, kładąc mu na ustach palce pachnące odpływem.

– Nie, proszę. Nie mogę znieść innych ludzi, nawet ich imion. Udawajmy, że jesteśmy tylko my dwoje. Czy nie tworzymy całego świata?

– Oczywiście. Ja jestem delikatnym pytaniem, a ty najlepszą na nie odpowiedzią.

– Kochanie, jestem już cała obolała.

– Myślisz, że ja nie? Uuuuaaaj.

– Piecie.

– Uuuuaaooooaa.

– Przestań. To okropny dźwięk.

– Nie jestem w stanie się powstrzymać. Spadłem na samo dno. Jeszcze jeden numer i niech mnie zabiera śmierć. Wyssij mnie. Uouiiijaaa. Ajjjaaa.

Każdy jęk jak gdyby opróżniał jego pierś, tworząc wewnętrzną pustkę jak pustka pod gwiazdami.

– Pojadę sobie – zagroziła.

– Nie możesz. Sama spróbuj. Jęknij. Świetne uczucie.

– Nie. Dyscyplinujesz mnie. Nie masz obowiązku, by się ze mną żenić, nie jestem nawet pewna, czy chciałabym za ciebie wyjść.

– Ależ zrób to. Tak. Uuooooauuu. Litości. Jesteś boska, Fox.

– Mmmmooch. Masz rację. To bardzo odprężające.

– Litości – powtórzył, a kiedy dotarł do niego słabnący cud jej nagiego, spoconego, zerzniętego ciała, powiedział banalnie, z bezbarwnym przekonaniem: – Jesteś moja.

Przyłożyła niewyraźny policzek do jego twarzy. Czubek nosa miała zimny. Oznaka zdrowia. Wszyscy jesteśmy banitami, potrzebującymi nurzać się w podświadomości.

Kiedy w poniedziałkowy ranek przekradali się na dół, spotkali powracającego z pracy mieszkańca trzeciego piętra. Mały człowiek w okularach i roboczym ubraniu zamarł w wąskim przejściu, żeby zrobić im miejsce.

– Dź-dź-dzień d-d-dob-dob...

Stojąc na parkingu, obok błyszczącego mg, Foxy zachichotała.

– Ten biedak okropnie się przeraził, widząc cię z kobietą.

Piet odparł, że nie, że on zawsze tak mówi.

– Świat – ciągnął – wcale nie dba o kochanków tak bardzo, jak sobie wyobrażamy.

Patrzył na nią i żegnał się poprzez otumaniający i wywołujący ból głowy blask wszechobecnego, przytłaczającego słońca; jasna, piękna twarz Foxy ginęła z oczu, prześwietlona. Piet widział jak przez mgłę, że jej niebiesko podkrążone oczy zmiękły dzięki ich nocom; kwiaty wyrastające z błota. Okoliczności wymagały, by roześmiał się radośnie, szczerze zapłakał, podziękował jej po królewsku za te trzy dni poddaństwa albo zachował komiczną powagę. Jednak Piet nie zrobił żadnej z tych rzeczy, nie starał się być nawet uprzejmy. Podała mu rękę, żeby ją uściśnął na pożegnanie, a on podniósł ją do ust i polizał, chcąc, żeby już zniknęła. Oparł się o drzwi samochodu, dmuchnął przez otwarte okno w ucho Foxy i poradził, żeby przespała się w samolocie. Nic nie zostało postanowione i nie miało być wypowiedziane. Foxy machnęła ze zdziwieniem, rzuciła mu smutne, filmowe *ciao*. Potem jej samochód zakręcił koło automatycznej myjni i zniknął. Piet nie poczuł nic, a wysypana

żwirem arena tylnych wyjść, na której stał, wyglądała zupełnie sztucznie, jak plan filmowy w pełnym słońcu.

Poczucie straty stało się rzeczywiste i prawdziwie przygnębiające dopiero później, po południu. Idąc Divinity Street z pustą głową i bolącymi mięśniami, Piet spotkał Eddiego Constantine'a, który dopiero co wrócił z końca świata. Eddie ostatnimi czasy rzadko bywał w miasteczku i prawdopodobnie Carol właśnie opowiedziała mu plotki z całego miesiąca.

– Hej, Piecie! – zawołał radośnie na powitanie. – Słyszałem, że zostałeś złapany na gorącym uczynku!

Którejś niedzieli, w połowie maja, Piet zabrał córki na plażę. Zgromadzony tam tłum, wrażliwe cętkowane ciała, jeszcze bez śladów opalenizny, skupił się stadnie między gorącymi wydrami a zimną wodą, tworząc z okularami słonecznymi i aluminiowymi krzeselkami żywą wstęgę, wijącą się równolegle do niespokojnego brzegu. Nancy piszczała, chlapiąc się wodą z trójką synów Ongów, których przyprowadziła ponura opiekunka; rozpoczęło się ostatnie czuwanie Bei. Niezadowolona Ruth leżała obok Pieta, za stara już na zamki z piasku, ale jeszcze niegotowa, by jak nastolatka upiększać się przez opalanie na słońcu. Twarz jej wyszczupiała, a oczy stawały się coraz bardziej przyćmione; w przeciwieństwie do matki, miała wyrosnąć na chmurną piękność, z czymś mrocznym i pełnym żalu maskującym prawdziwą dobroć. Piet, zmieszany i zakochany w niej, nie był w stanie wymyślić lepszego pocieszenia niż upływ czasu. Mrużył oczy, patrząc spod rzęs na koronę kręcących się włosów, rysującą się na tle słońca. Odległa muzyka nabrała mocy i zaczęła się przybliżać. Piet zobaczył zapiaszczone kostki, turkusowe radio tranzystorowe, młode uda, pupę w bikini, przywodzącą na myśl ciała niebieskie. *How many miles must a man...* Folk. Rock się skończył. *...the answer, my friends...* Miłość i pokój są na topie. Gdy muzyka zaczęła się oddalać, zamknął oczy i po karmazynowej stronie powiek ujrzał ciała niebieskie, rozsuwające się, by przyjąć go między siebie. Zachciało mu się pić. Wiatr wiał z zachodu, od lądu, i smakował spalonymi słońcem wydrami.

Nagle dały o sobie znać siły nadprzyrodzone. Na północy niebo stało się złowrogo sine. Ściana zimnego powietrza przeleciała nad plażą na południe; zmiana kierunku wiatru była tak wyraźna, że tłum wydał zbiorowy pomruk. Pomimo iż nadal świeciło słońce, zaczęły spadać pojedyncze krople, ciężkie jak grad ogniste włócznie. Potem słońce zostało pochłonięte. Tłum zwinął jasne kolory i hedonistyczne parafernalia i zaczął powoli kierować się w stronę promenady. Gwałtowne grzmoty, serie błysków wieńczone wybuchami jak w kosmicznych kraterach, przyspieszały odwrót plażowiczów. Sine chmury zdążyły ich już otoczyć; zielona linia niskich pagórków na horyzoncie, za którym znajdowało się centrum Tarbox, wyglądała jaśniej niż napierające na nią ciężkie powietrze. Świetlista szczelina o wielu odnogach ukazała się na północy, nad East Mather, i rozległ się katastroficzny trzask. Na promenadzie zaczęła się przepychanka; jakaś kobieta krzyknęła, słysząc było śmiech dziecka. Skuleni ludzie zarzucali ręczniki na ramiona. W ciągu pięciu minut temperatura spadła o siedem stopni. Plaża za plecami Pieta i dziewczynek była pusta, zostało tylko kilku niedowiarków wyciągniętych na kocach. Powierzchnia morza rozpałała się jak włókno flesza.

Na moment przed tym, jak Piet i dziewczynki wsiedli do pikapu, zaczęła się ulewa, która zmoczyła ich kompletnie. Strugi deszczu smagały szyby; krople głośno bębniły o metalową karoserię. UMYJ MNIE. Po przedniej szybie spływał wodospad, którego wycieraczki nie były w stanie pokonać. Za szybą pomykały kolorowe plamy, a przez monotony, tryumfujący ryk burzy przebijały co jakiś czas krzyki. W bezpiecznym schronieniu w aucie mokre włosy dziewczynek wydzielają jakby psi zapach podniecenia. Nancy była zachwycona i przerażona zarazem, a opanowana Ruth rozbawiona. Kiedy tylko burza zaczęła się zmniejszać, Piet wrzucił wsteczny i wycofał się z zalanego parkingu. Jadąc, mijali leżące na podtopionej Blueberry Lane urwane konary, aż znaleźli się na chrzęszczącym podjeździe przed domem

Angeli. W obliczu niebezpieczeństwa głównym pragnieniem Pieta było dostarczenie córek matce, nim dopadnie go nieszczęście: musi się od nich oddalić, by zapewnić im bezpieczeństwo. Nie przyjął zaproszenia na herbatę i ruszył do centrum Tarbox, nie wiedząc, że wydarzenie roku już się zaczęło w miasteczku.

Oberwanie chmury zmieniło się w równomierny deszcz. Domy, garaże, wiązy i asfalt pochłonał ten sam szary szept. Ostatni grom zadudnił. Piet zaparkował za biurowcem i nagle usłyszał wycie. Alarm pożarowy Tarbox rozbrzmiał powolnym, dostojnym syrenę. Kod sygnału wskazywał, że pożar jest w centrum. Pietowi wydało się, że czuje zapach imbiru. Pobiegł szybko na górę, przebrał się ze stroju kąpielowego i zszedł do głównego wyjścia. Po Divinity Street biegli ludzie. Wóz ogniowy przemknął obok na sygnale, wioząc strażaków ubierających się w płaszcze i chwytających się mocno, gdy brali zakręt na rogu Cogswella. Syrena pożarowa, wyjąca apokaliptycznie gdzieś blisko, znów zabrzmiała. Część miasta po zawietrznej stronie wzgórza była spowita żółtym dymem. Piet pobiegł wraz z innymi.

Nieco wyżej gęstniał zarówno dym, jak i tłum. Na ulicach wokół parku ciągnęły się węże strażackie; niektóre z nich były luźne i splątane, inne napęczniałe i przeciekające, wysyłające w powietrze zabawne strumienie wody. Kościół kongregacyjny stał w płomieniach. Bóg sam uderzył w niego piorunem. Lodowaty deszcz padał coraz intensywniej, a tłum gapiów, zarówno starych, jak i młodych, z każdej dzielnicy, spoglądał pośród chłodnej ciszy.

Gryzący żółty dym przypominał wełnianą tkaninę, od razu się fałdującą. Wypływał nieprzerwanie spod gzymsu lewego frontonu i spod kopuły, na której znajdował się złożony kurek, przeszło sto stóp nad ziemią. Niżej, pomiędzy doryckimi kolumnami, strażacy odpędzali kościelnych, którzy wpadli do środka, żeby ratować hostię, ciężki orzechowy ołtarz i ambonę, mosiężny krzyż, portrety duchownych, sterty starych kazań, porywanych już przez podmuchy powietrza, oraz kilka przemokniętych i czerniejących na nieustannym deszczu poduszek z ławek kościelnych, zakupionych po ostatnim remoncie. Jako były członek kościoła, Piet sam ruszyłby im na pomoc, ale strażacy i policja zdążyli zablokować dostęp i tylko psy z miasteczka, towarzysko ujadające, mogły przedostać się bliżej. Okiem budowlańca Piet oszacował, że grom uderzył w wieżyczkę, odbił się od cienkiego kabla piorunochronu, trafiając w stalowe pręty wzmacniające kopułę, i podpalił suche drewno w miejscu, gdzie linia dachu łączyła się z podstawą wieży. Tam ogień mógł szaleć do woli: w pustej przestrzeni, stworzonej przez dawnych budowniczych w ramach izolacji, pomiędzy ścianami, pomiędzy dachem a podwieszanym gipsowym sufitem sanktuarium, w pozbawionych wentylacji miejscach za imitacją tympanonu, fryzem i architrawem starożytniej fasady, pośród bałaganu na zakurzonym strychu, gdzie można było wejść tylko po drewnianej drabinie, znajdującej się za nieużywanym chórem. Węże skierowane przeciw dymiącej powierzchni na zewnątrz niczego nie były w stanie zdziałać. Jedyne wyjście była natychmiastowa akcja z toporkami, przebicie dachu i bezlitosne porąbanie ręcznie rzeźbionych tryglifów i metop. Ale same kolumny miały wysokość czterdziestu stóp od bazy po kapitel, a żaden wóz nie mógł podjechać przez skały na tyle blisko, by sięgnąć drabiną dachu. Ponadto wiatr niósł od palącej się strony duszący, ciągle gęstniejący dym prosto w twarze strażaków.

Zgromadzony tłum zaczął jakby ironicznie wiwatować. Pojawiła się charakterystyczna sylwetka Buzza Kappiotisa w masce. Z toporkiem w dłoni zaczął wspinać się po najbardziej wysuniętej drabinie, dotykającej rozwidlenia olbrzymich rynien. Strażak poruszał się coraz wolniej, a w jego przykurzonej sylwetce widać było strach. Zamarł, kiedy ogarnęła go chmura dymu, zniknął i zaraz znów się pojawił, powoli się wycofując. Kilku stojących za Pietem nastolatków zaczęło buczeć na znak dezaprobaty, ale pozostali gapie milczeli, nie rozumiejąc nic lub wstydząc się. Inny strażak, błyszczący jak węgiel, w mokrym płaszczu przeciwdeszczowym, wspinał się na szczyt drabiny, wziął zamach toporkiem i uderzył, wyzwalając fioletowy strumień uwięzionego wewnątrz dymu. Jego profil w masce rozbłysnął

zielonkawoniebieskim światłem i żar zmusił go do wycofania się.

Pojawiły się płomienie, niewielkie pomarańczowe jęczyczki. Zaczęły lizać podstawę kopuły i wewnętrzne brzegi otworów z listewkami, przez które wydostawał się dźwięk dzwonów. Sam dzwon, ciężki, pogrążony w smutku kształt, wdowa w pelerynie, był oświetlony przez dochodzący z dołu blask. Wysokie wodne luki krzyżowały się, nie sięgając celu. Spirale bielszego dymu wirowały w kierunku malowanego, ciemnoniebieskiego sklepienia, nie zasłaniając jednak obracającego się na wietrze kurka.

Alarm rozległ się po raz trzeci i zaczęły nadciągać wozy strażackie z sąsiednich miasteczek, z Lacetown i Mather, a nawet z daleka, z Quincy i Plymouth. Ciśnienie z ich pomp uniosło strumień aż do migoczącej od płomieni wieżyczki. Tymczasem w wysokich, biegnących wzdłuż ścian oknach również pojawił się ogień, a gont z papy zaczął wydzielać tłustą woń. Płomienie rozprzestrzeniały się pod dachem i przenikały przez podwójne ściany; nawet kiedy strażacy rozbijali setki szybek w kształcie rombów, mieniły się złoto i rosły wewnątrz sanktuarium. Przez chwilę było widać gotycko zwieńczone tabliczki hymnowe, podające jeszcze numery pieśni, które śpiewano tego ranka. Doryckie kanelowanie balkonowej balustrady skąpane było w żółtym świetle. Kryjąca nogi chóru pluszowa zasłona zajęta się ogniem i wybuchła do góry w pustym prezbiterium jak feniks. Zniknął pulpit, za którym Pedrick wyginał się w swych zmaganiach ze słowem Bożym. Za plecami Pieta miejsce buczących nastolatków zajęła łkająca kobieta. Nad tłumem gapiów, którzy przybyli na miejsce i biernie przyglądali się katastrofie, wykwitły parasole; ludzie uzbroili się w płaszcze przeciwdeszczowe i brezentowe płachty. Atmosfera zrobiła się piknikowa. Dzieci, ubrane w żółte pelerynki i przeciwdeszczowe czapki z daszkiem, kręciły się przy nogach rodziców. Nastoletnie pary obserwowały pożar z przytulnych wnętrz samochodów, słuchając muzyki z radia. Ludzie tłoczyli się w metalowym pawilonie, czepiając się siatki otaczającej boisko baseballu. Tłum gapiów rozciągał się w dół ulic rozchodzących się promieniście, Divinity, Prudence i Temperance; blade twarze widać było nawet w pełnej neonów dzielnicy handlowej. Z powodu deszczu zmierzch nadszedł szybciej. Reflektory wozów strażackich oświetlały tłum, który zdawał się nie mieć końca i którego milczenie stawało się coraz cięższe, podczas gdy pożar ogarniał kolejne części kościoła. Płomienie, ugaszone w zwęglonej dzwonnicy, wspięły się wyżej i łopotwały jak proporce na wąskiej wieżyczce, na której sterczał kurek. Parabole strumieni wody usiłowały sięgnąć wyżej. Pośród chmury iskier zawałała się część dachu. Ostatnia kolumna z lewej zaczęła tlić się jak zdmuchnięta świeczka na torcie urodzinowym. W tłumie czuło się niewiarę, że ogień może utrzymywać się pomimo deszczu, że natura przeciwstawia się samej sobie: jak gdyby przed nimi rozgrywał się konflikt w sercu Boga. Piet zastanawiał się nad lekkością własnego serca, wdzięcznością, jaką czuł za pokazanie mu czegoś wykraczającego poza niego samego, poza potępienie.

Podniósł z ziemi przemokniętą broszurę, kazanie datowane na rok 1795. „Nieodzownym obowiązkiem wszystkich narodów ziemi jest wiedzieć, że PAN jest Bogiem, i zanosić do niego modły i nabożne dziękczynienia. Jeśli jednak istnieje naród pod niebiosami, który ma szczególniejsze i mocniejsze motywy niż inne narody, który jednym sercem i głosem ofiaruje Mu pełne wdzięczności poświęcenie, to Amerykanie są tym narodem”.

Wśród zgromadzonych ludzi zaczęły wynurzać się znajome twarze. Piet zauważył Applebych, mniejszych Smithów i Thorne'ów stojących pod osłoną rosnącej koło biblioteki surmii o rozłożystych liściach. Mężczyźni się śmiali; Freddy przyniósł piwo. W tłumie Piet odnalazł również Angelę. Przeprowadziła ze sobą dziewczynki. Kiedy zaczęli rozmawiać, to właśnie Ruth, a nie Nancy, płakała, zrozpaczona, że pan Jezus zniszczył swój kościół, gdzie ona zawsze wycierała nogi, bojaźliwa w obliczu świętości, i posłuszenie śpiewała Mu na chwałę, żeby zadowolić ojca, pośród dzieci, które wcale nie należały do jej przyjaciół. Piet przepaszającym gestem chciał przycisnąć szeroką twarz córki do piersi, ale kurtkę miał zimną i mokrą; Ruth cofnęła się, by jej nie dotknąć.

– To dla nich zbyt przygnębiające – uznała Angela. – Wracamy.

Nancy poprosiła, by zostały jeszcze chwilę.

– Ogień już prawie ugaszony, najlepsza część przedstawienia się skończyła – oznajmiła Angela.

Miała rację; widoczne jeszcze płomienie zostały rozgonione w kąty osmalonego szkieletu.

– Kurczak! – zawołała Nancy, wskazując do góry.

Kurek, jaśniejący, jak gdyby nie dosięgał go nie tylko dym, ale i deszcz, trzymał się nieruchomo na szczycie wąskiego stosu pogrzebowego. Płomienie, małe, gazowe punkciki, wspinały się po wieżycze aż do ozdobnej metalowej kuli, na której opierała się oś wiatrowskazu. Wtem pojedynczy, rozświetlony przez reflektory strumień wody trysnął wyżej i płomienie całkowicie zniknęły. Pomimo iż siła uderzenia zachwiała delikatną konstrukcją wieżyczki, nie doznała ona uszczerbku. Flesze przyniesionych przez gapiów aparatów fotograficznych błyskały jak małe pioruny. W ich chaotycznym oświetleniu Piet obserwował, jak jego żona oddała się pośród nerwowego ruchu promieni reflektorów. Obróciła się raz, cała biała, i ruszyła dalej, prowadząc ich nieskalane córeczki.

Pedrick, którego poczochrane, sztywne włosy ułożyły się w podświetlony czub, rozpoznał w tłumie Pieta, pomimo iż ten od dobrych kilku miesięcy nie uczestniczył w mszy.

– Jesteś światowym człowiekiem – zaczął go duchowny. – Ile dolarów i centów będzie twoim zdaniem kosztowała odbudowa tej tragicznej ruiny?

– Jeśli uda się uratować szkielet zewnętrzny – odparł Piet – to koszt naprawy zmieści się w granicach dwustu, trzystu tysięcy. Jeśli trzeba będzie zaczynać od podstaw, może i pół miliona. Co najmniej. Koszty budowy wzrastają o około osiem procent rocznie.

Te dane liczbowe przygięły wymizerowanego Pedricka do ziemi, jak gdyby złożono mu na plecach wielki ciężar.

– To rzeczywiście tragedia – dodał ze współczuciem Piet. – Cała stolarka jest nie do odtworzenia.

Pedrick się wyprostował, oczy mu błysnęły.

– Chrześcijaństwo to nie dolary i centy – pouczył Pieta. – Nasz kościół to nie te zgliszcza. Kościół to ludzie, przyjacielu, ludzie. Istoty ludzkie.

Pomachał sękatym palcem i Piet zrozumiał, że duchowny również wie o jego wyprawach z domu i poczuwa się w obowiązku przywołać go do porządku.

– Nawet jeśli uda się uratować szkielet, ściany są tak osłabione, że trzeba będzie je zburzyć – rzucił Piet w odpowiedzi.

Jak gdyby przyświadczać jego słowom, płomienie ponownie buchnęły po drugiej stronie ściany, sięgając wysoko. Podczas gdy przesuвано węże, młody klon, który stał zbyt blisko kościoła, również zajął się ogniem i zaczął upuszczać płonące gałązki na ramiona gapiów.

Tłum kłębił się, obserwując ostateczny powrót sił zniszczenia, i po chwili Piet znalazł się obok Carol Constantine. Miała ze sobą parasol i zaprosiła go, by schronił się pod nim razem z nią i dwójką jej dzieci, Laurą i Patrice'em. Pieta wzruszyło zmartwienie malujące się na twarzy Carol.

– Piecie – powiedziała – to okropne, nie uważasz? Uwielbiałam ten kościół.

– Nigdy cię w nim nie widziałem.

– Oczywiście, że nie, jestem prezbiterianką. Ale spoglądałam na niego dwadzieścia razy dziennie, za każdym razem wychodziłam po to do ogrodu. Byłabym bardzo religijna, gdyby Eddie nie był do wszystkiego tak negatywnie nastawiony.

– Gdzie jest Eddie? Lata?

– Na niebie. Wraca i opowiada, jakie wspaniałe są w łóżku Portorykanki. Cieszę się, kiedy wyjeżdża. Dlaczego ci to wszystko opowiadam?

– Bo przykro ci patrzeć, jak pali się kościół.

Zniszczone ściany nadal stały. Filary podtrzymywały fronton, a dźwigar kopułę, ale



świątynia stanowiła gruzowisko drewnianych belek, połamanego gipsu i spalonych ław. Strażacy z innych miast zwijali węże, Buzz Kappiotis układał w głowie raport, a gapie powoli rozchodzili się do domów. Carol zaprosiła Pietę na herbatę. Po herbacie został na kolację, spaghetti, które zjedli razem z dziećmi. Piet przebrał się z mokrego ubrania w za ciasny sweter i spodnie Eddiego. Kiedy dzieci poszły spać, okazało się, że zostanie na noc. Nigdy wcześniej nie był z równie szczupłą i giętką partnerką. Dobrze było, po intensywnych wysiłkach z Foxy, mieć kobietę, która szybko dochodziła, przystosowując się od razu i wydając okrzyki rozkoszy, która podkładała sobie pod biodra poduszkę i pozwalała, by głowa zwisała jej poza brzeg łóżka, z opadającymi włosami i wygiętą szyją. Owijała wokół niego nogi, jak gdyby tułów Pietę był solidnym cyrkowym trapezem, na którym Carol huśtała się ponad otchłanią świata. Sypialnia, podobnie jak wiele innych pomieszczeń tej nocy w Tarbox, pachniała mokrymi zgliszczami i kwaśnym dymem. Między jednym huśtaniem a drugim Carol mówiła: opowiadała Pietowi o życiu z Eddiem, o jego perwersjach i jej nieszczęściach, o nadziei na istnienie Boga i nieśmiertelność, o dobrych czasach z Eddiem dawno temu, nim przeprowadzili się do Tarbox. Piet spytał ją o sprawę z Saltzami i czy za nimi tęskni. Wyszło na to, że Carol nie bardzo wie, o czym mowa.

– To głównie plotki – powiedziała w końcu. – Szczerze mówiąc, ona była całkiem zabawna, ale Ben to nudziarz.

*Pensjonat U Larry'ego i Lindy  
Charlotte Amalie, St. Thomas,  
Wyspy Dziewicze  
15 maja*

*Najdroższy Piecie,*

*Sam fakt, że piszę Twoje imię, sprawia, że cała mięknę i zapadam się w środku. Co ja tu robię, tak daleko od męża, kochanka, ojca? Mam tylko Toby'ego, a on, biedactwo, nadmiernie się opalił z winy matki idiotki, która przyzwyczajona do wolno przychodzącego lata w Tarbox, upiekła jego i siebie na tropikalnym słońcu (czyli białej kropce dokładnie nad głową, nie większej niż ziarno grochu). Toby płakał całą noc, budząc się za każdym razem, kiedy chciał się obrócić. Ponadto miejsce, w którym mieszkamy, ogłaszające się jako „pensjonat w sennej tradycji wysp rumu i słońca” (prospekt leży na biurku, taki sam zresztą otrzymałam w biurze podróży w Waszyngtonie), w rzeczywistości jest o kilkanaście kroków od klubu nocnego, w którym zespoły grają na metalowych beczkach, i stromej uliczki, którą płynie niebieski ściek i skąd przez całą noc dobiegają ryki volkswagenów bez tłumików oraz gwizdy czarnych nastolatków. W związku z tym zamiast spać, dostaję napadów wściekłości, a potem przez cały dzień jestem zupełnie oklapnięta.*

*Przed chwilą weszła pokojówka w śliskich papierowych sandałach, mówiąca z niewyraźnym zaśpiewem, w czym z trudem rozpoznaję angielski. Gapiała się do Toby'ego, jak gdyby leżał przed nią dorosły, nagi mężczyzna. Nie sądzę, by wielu turystów przywoziło tu ze sobą dzieci. Może oni myślą, że niemowlęta przynoszone są nam w koszach na bieliznę, upudrowane, z niebieskimi oczami i gotowe, by wydawać rozkazy.*

*Znowu spokój. Zachęcona przeze mnie, dziewczyna wzięła na ręce Toby'ego, pościeliła łóżka, starła kurz tu i tam i wyszła, a mały zasnął na powrót. Kłopot w tym, że jego matka też jest senna. Ulica jest jak pustelnia, ale tutaj słońce pojawia się na zapiaszczonej podłodze jedynie w charakterze podłużnych kresek, przypominających żółte kredki. Wydaje mi się, Piecie, że kiedy tylko ból minie, zaczniesz mi się tu naprawdę podobać. W drodze z lotniska tak bardzo zapragnęłam dzielić się z Tobą tym, co widzę. Chociażby sposób, w jaki budują domy – falista blacha i zgniecione puszki po oliwie, jakby trzymane razem przez kwitnące pędy bugenwilli – albo miękkość powietrza. Kiedy wysiadałam z samolotu w San Juan, jak pocałunek po seksie. Wybacz, kochanku, jestem strasznie senna.*

Po ożywczej drzemce młoda, jasnowłosa przyszyła rozwódka wstała i ubrała się, uważając, by nie podrażnić spieczonej skóry na ramionach, udach i (wyjątkowo delikatne miejsce) brzuchu. Zmieniła swojemu młodemu zabrudzone śpiochy i ruszyła przez jazgotliwą tropikalną wioskę z heroicznym zamiarem znalezienia czegoś do jedzenia. Zdaje się, że nie istnieje tu odpowiednik A&P z Tarbox czy IGA z Lacetown, chociaż można kupić bez cła szwajcarskie zegarki i aparaty fotograficzne w wielkim wyborze. Poza restauracjami w okropnych hotelach na wzgórzach, w okolicy znajdują się jedynie bary z hamburgerami, gdzie stolki obsypane są chili, albo kluby nocne dla gejów, otwierane dopiero o szóstej wieczorem. O tej porze roku większość nie-Murzynów wygląda na cioty. Mają charakterystyczne głosy i słychać ich wszędzie. W końcu, idąc w górę ulicy, znalazłam w pobliżu rynku coś w rodzaju bufetu szybkiej obsługi, horrendalnie drogiego, ale spełniającego moje najwyraźniej wygórowane (wspaniałe, prawdziwa ze mnie kapryśna paniusia!) wymagania sanitarne. Ponadto podają mleko dla Toby'ego w budzącym zaufanie papierowym kartoniku. Larry i Linda nie są zbyt pomocni. To niedoszli aktorzy i uciekinierzy z Nowego Jorku, podejrzewam, że ona uratowała go od bycia gejem. Larry ciągle ustawia się do mnie profilem, a Linda uważa chyba, że najlepiej wygląda z przodu, ponieważ ciągle rusza na mnie czołowo, strasząc wielkimi brązowymi cyckami jak zbliżające się reflektory w pogodną noc. Byłam w szoku, kiedy dowiedziałam się, że jest ode mnie pięć lat młodsza, i już widziałam, że od razu chce przejść ze mną na ty. Oboje wyglądają mi raczej na bezdomne dzieci. Ciągle opowiadają, jak okropnie było w Nowym Jorku, itd., miłość pomieszana z nienawiścią, jak by powiedział Freddy Thorne. Ciągle zachwycają się też swoją senną, niedającą się zrozumieć pokojówką. Trzeba ją przyznać, że potrawy, które Linda przygotowuje wieczorami, są całkiem smaczne, lekkie i francuskie. Stosują tu amerykański system – podają ci śniadanie i kolację, a pomiędzy radz sobie sam. 18 dolarów za dzień.

Ale to wiosnie o Tobie rozmyślałam, o Ciebie się martwię i nad Tobą zastanawiam. Jacy byliśmy wspaniali, ja w roli dziewczyny na telefon, a Ty ukrywającego się gangstera. Czy moja wizyta Cię przygnębiła? Wydawałeś się niezwykle oszołomiony ostatniego poranka, zadowolony z tego, że wyjeżdżam. Płakałam całą drogę do Bostonu i pozwoliłam Kenowi zabrać się na lunch do klubu dla wykładowców, gdzie jeszcze trochę pochlipałam, sprawiając, że ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach spoważnieli. Ken pewnie myślał, że to z jego powodu, co było częściowo prawdą, i widziałam, jak walczy z dżentelmeńskim odruchem, by wszystko odwołać i przyjąć mnie z powrotem. Stał się taki dystyngowany i wytworny beze mnie – studentki muszą go uwielbiać. Kupił sobie nowy wiosenny garnitur z błyszczącego sztucznego jedwabiu i wydawał się zaniepokojony faktem, że to zauważyłam. Jak gdyby sądził, że go uwodzę, albo jakbym przyłapała go na flirtowaniu z kimś innym. Tymczasem ja przez cały czas czułam Cię jeszcze między nogami i na dodatek byłam neurotycznie niespokojna, ponieważ zostawiliśmy Toby'ego z technikami w laboratorium Kena i ciągle sobie wyobrażałam, że kiedy wjedziemy na górę windą, okaże się, że przeprowadzili na nim sekcję. Okropne! Nieprawda!! Ken zachowywał się wobec dziecka uroczo i zważył je w miligramach.

Mijają dni. Mój list do Ciebie zdawał się podążać w nieodpowiednim kierunku – radosna, błaha paplanina. Czytając go, śmiałam się z opisu ślicznego biustu Lindy. Ona i Larry to tak naprawdę przemiła, afektowana, delikatna para, usiłująca otoczyć mnie rodzicielską, siostrzaną i braterską opieką równocześnie. Dbają o siebie nawzajem, są troskliwi, prawie nienaturalnie zmysłowi i w zasadzie dość leniwi. Zastanawiam się, czy nasze pokolenie nie było ostatnim, które miało jeszcze jakiekolwiek ambicje. Tych dwoje zdaje się całkowicie przekonanych, że świat nie pozwoli im umrzeć z głodu, że życie jest po to, by z niego korzystać – co za prymitywna idea. Ale po długim czasie przebywania wyłącznie w towarzystwie naszych okropnych znajomych z Tarbox, którzy potrafią rozmawiać jedynie o sobie, miło jest pogadać z ludźmi interesującymi się sztuką i teatrem (Linda i Larry niezmiennie, z nieświadomym zadęciem, używają określenia „deski sceniczne”) oraz stosunkami międzynarodowymi, jeśli mogę się tak wyrazić. Zapomniałam już o innych znaczeniach słowa „stosunek”. Larry i Linda uważają, że LBJ to prostak, ale wolą go od Kennedy'ego, który był do nas zbyt podobny – na wpół wykształconych dzieci okresu

*zimnej wojny – i mógłby spać ze względu na nadmierną ufność we własne siły. Podobnie jak Lincoln, Kennedy uzyskał status męczennika, stał się legendą. Za co niby to męczeństwo? Za oziębłość seksualną Mariny Oswald w stosunku do męża. Wybacz, wykorzystuję list do Ciebie, żeby sprzeczać się z Larrym. Ale zasmuciło mnie, iż uważa, że ktoś taki jak my (jeśli K. rzeczywiście był do nas podobny) nie nadaje się, by nami rządzić, ponieważ oznacza to, że nie potrafimy sami o siebie zadbać; więc sprowadźcie cesarzy, półbogów, gigantyczne roboty, co tam macie. Nawiasem mówiąc, Larry dał mi do zrozumienia, kiedy tańczyliśmy merengue w „Zawodzącym Kocie” (klub, o którym Ci pisałam), że wychodzi już z okresu seksualnego niezdecydowania. Nie zgodziłam się jednak uczestniczyć w procesie zdrowienia, pomimo iż Larry rzeczywiście świetnie tańczy. Przyjął moją odmowę, jak gdyby od samego początku nie był przekonany, że to dobry pomysł.*

*Co sprowadza nas znów do Ciebie. Kim jesteś? Jesteś słaby? Motyw Twojej „słabości” często pojawiał się w rozmowach naszych wspólnych znajomych, kiedy żyliśmy razem w magicznym kręgu. Sądzę jednak, że chcieli przez to powiedzieć, że niedostatecznie wykorzystujesz Swój potencjał. Cnoty, które wyznajesz, są przestarzałe. Jestem w stanie wyobrazić sobie Ciebie jako czyjegós giermka, na przykład u boku sztywnego fanatyku Matta. Wspaniały rudy giermek, zaradny, lojalny, żyjący z ziemi, naprawiający broje szpilami do włosów, opowiadający bajdy, żeby dostać się do zamków i oberży, wprowadzający w życie niemożliwe ideały, ale równocześnie potrzebujący ich, by mieć jakiś punkt oparcia. Dawno temu, nim się poznaliśmy, Bea Guerin opisała mi Cię jako mężczyznę staroświeckiego. W pewnym sensie, gdybym miała przejść od Kena do Ciebie, byłby to krok wstecz. W porównaniu z nim jesteś prymitywny. Przyszłość należy do niego lub do chaosu. Ale w tej chwili moje życie należy do mnie i nie mogę tak bardzo wybiegać naprzód. Nie jestem pomimo moich ogólnikowych wynurzeń intelektualnych (na poziomie Freddy’ego Thorne’a, z czego on świetnie zdawał sobie sprawę) specjalnie umiejętną osobą, ale wiem, że mogłabym być Twoją kobietą. To skromna, ale jasna ambicja. Nawet jeśli nigdy się już nie spotkamy, cieszę się, że przez jakiś czas czułam się użyteczna i używana. Dziękuję.*

*Pytanie brzmi, czy powinnam (albo następna kobieta lub jeszcze następna) podporządkować sobie Ciebie poprzez małżeństwo? O ileż bardziej wspaniałomyślnie byłoby pozwolić Ci wędrować dalej i cierpieć – ostatecznie niewielu wędrowców zostało na świecie. Już prawie wszyscy jesteśmy kobietami, domatorami i ciułaczami. Ożeniłeś się z Angelą, ponieważ instynkt podpowiadał Ci, że ona Cię nie posiada. Ja bym to zrobiła. Niewolnica Twojego ciała, poskromiłabym Cię umysłem. Jednak tłąca się w mojej podświadomości iskra uwielbienia dla życia chce zamiast tego dać Ci wolność, prawo do gwałtu, ucieczki i zmarnowania się, teraz, kiedy budownictwo leży całkowicie w gestii księgowych. Od kiedy zaczęłaś przyjeżdżać do mnie wyboistą drogą w zakurzonej pikapie, by po godzinie szybko odjechać z turkotem, wyczułam i pokochałam w Tobie geniusza samotności. Fascynował mnie sposób, w jaki widziałeś się poza ramami rzeczywistości. Jakie mam prawo Cię pożądać, jeśli aspirujesz do bycia mężem świata?*

*Toby płacze i przyszła Linda. Wyruszamy na piknik do Magen’s Bay.*

*Noc. Rozbrzmiewająca na ulicy muzyka zespołu grającego na metalowych beczkach sprawia, że mam ochotę wyjść na dwór. Gdy będziesz czytał to, co napisałam tego popołudnia, pamiętaj, że chaos moich przemyśleń to droga do prawdy. Nie boję się szukać jej w naszym związku. W wypadku Kena zawsze się obwiałam, że dotrę w końcu do łączącej nas nieprzekraczalnej ściany zimna.*

*Bardzo by Ci się spodobało miejsce, w które się wybraliśmy. Koralowy piasek różni się znacznie od krzemionkowego; jest biały, porowaty i oddycha, a odciski stóp rysują się na nim głęboko i wyraźnie. Moje stopy wyglądają niestety na olbrzymie i płaskie. Wyrzucone na brzeg muszelki są małe i rozmaite – niemowlęce paznokcie dla Carol. Pamiętasz tamtą noc? Byłam okropnie zazdrosna o Angelę. W Magen’s Bay cień dają krzaki kokoloby. Jestem coraz bardziej opalona; Linda namówiła mnie na kupno bikini. Nakrywamy koszyk Toby’ego moskitierą i przez jej otwory mały brązowieje. Nauczyłam się prowadzić w ruchu lewostronnym i powoli przyzwyczajam się do codziennego porządku zajęć. Prawnicy są okropni. Byłbyś zdegustowany postępowaniem sądowym. Małżeństwo*

*zawiera się w blasku dnia, w południe, z szampanem wietrzejącym na słońcu, lecz rozwój przeprowadzany jest w ciemnościach przez ponurych prawników, w odległych miejscach, gdzie roją się insekty. Ale przy końcu głównej ulicy, gdzie nie kręcili się już sprzedawcy zegarków, stoi prostokątny laterański kościółek pachnący cedrem, z duńskimi tablicami pamiątkowymi. Poszłam tam w niedzielę. Wśród wiernych przeważały pulchne, kolorowe panie, które zawodziły nawet przy radosnych hymnach. Kazanie, wygłoszone przez spiętego białego młodzieńca, było bardzo intelektualne i niezrozumiałe. Podobało mi się. Tutejsi Murzyni są przeuroczy, łagodniejsi niż ci, których bałam się jako dziecko w Waszyngtonie, pozbawieni amerykańskiej surowości i wstydu. Polubiłam nawet gejów – przynajmniej są na coś zdecydowani i nie trzymają w niewoli żadnych nieszczęsnych kobiet. Łodzie w porcie są fascynujące. Linda wystraszyła skądś wózek dziecięcy i chodzę z Tobym na długie spacery wzdłuż nabrzeża. Ojciec opowiadał mi kiedyś o łodziach i okazuje się, że nadal potrafię odróżnić kecz od jolki. Zachwygam się ręcznie rzeźbionymi wielokrążkami starych łodzi rybackich z dzikszych wysp. Nie ma w nich nawet grama metalu, a trzymają się jak należy. Chmury poruszają się szybko, są półprzezroczyste, jak gdyby nieskończone przez naturę. Kiedy równocześnie pada deszcz i świeci słońce, mówią tutaj, że diabeł bije żonę.*

*Dobrze się czujesz? Jesteś tam? Jeśli wróciłeś do Angeli, możesz pokazać jej mój list. Myśl o mnie z czułością, bez strachu. Nie muszę być Twoim przeznaczeniem. Napiszę jeszcze, ale nie będę robić tego zbyt często. Nawet tutaj mam sprawy do załatwienia. Linda przerzuciła na mnie nadzorowanie porannej pomocnicy w zamian za obniżenie ceny wynajmu i zaczęła zwierzać mi się ze swojego życia intymnego.*

*Twoja  
Foxy*

*PS: Larry mówi, że człowiek to najseksowniejsze ze zwierząt i jedyne, które potrafi przewidzieć śmierć. Powinam ułożyć z tego zagadkę.*

*PPS: W „Zawodzącym Kocie” tańczyłam już z Murzynami, co jest wielką śmiałością ze strony dziewczyny z Południa – ostatnim, który mnie dotknął, była pielęgniarka w gabinecie dentysty. To ludzie o jedwabistej skórze, którzy naiwnie zakładają, że chcą się z nimi przespać. Jakie to smutne wierzyć, że twoje ciało jest coś warte. Po wielu tygodniach wstrzemięźliwości wspominam seks jako eksplorację smutku tak głębokiego, że należy łączyć się w pary, by nie zagłębiać się w nim w samotności.*

*PPPS: Wygląda na to, że nie jestem w stanie skończyć tego listu. To zły znak?*

John Ong zmarł tego samego dnia, kiedy Francja wysunęła propozycję kolejnej konferencji poświęconej przywróceniu pokoju w Laosie, a komunistyczne Chiny zgodziły się pożyczyć piętnaście milionów dolarów Kenii. Długość nekrologu w „Boston Globe” zdziwiła Pieta: urodzony w Phenianie, uchodźca polityczny, udzielono azylu w 1951, w 1957 współodkrywca, wraz z fińskim naukowcem, cząstki elementarnej, której życie mierzy się w milionowych sekundach, lista pozycji piastowanych na uczelni, towarzystw naukowych, zostawił żonę i trójkę dzieci, Tarbox, Massachusetts. Prywatne nabożeństwo. Prosimy nie przysyłać kwiatów. Nasz przyjaciel. Piet czuł dziwną lekkość, podniecony owym odejściem, nieznaną nikomu wielkością Johna, wyobrażając sobie bezustanne rozmowy na liniach telefonicznych między ich wspólnymi znajomymi. Ta sama grupka długowłosych chłopców zebrała się o trzeciej na rogu Cogswella, to samo niebieskie niebo przebijało przez szkielec spalonego kościoła, zwieńczonego nietkniętym złotym kurkiem.

Kilka dni później, załatwiając różne sprawy i próbując znaleźć Jazinskiego, który miał chyba wszystkie plany i zamiary Gallaghery w głowie, Piet udał się do jego domu, rozbudowanego, jednopiętrowego budynku na Elmcrest Drive. W garażu zauważył nową torbę golfową Leona. Nie dość, że stały w niej błyszczące kije marki Hogan, to na dodatek na uchwyt każdego z nich założona była biała plastikowa rurka, najnowsze udoskonalenie dla tego wymyślnego sprzętu: jasne działa skierowane prosto w niebo. Czarna, wyposażona w

wiele kieszeni torba, miała przywieszkę nowego 36-dółkowego klubu w South Mather, gdzie Piet nigdy nie grał. On sam posiadał zestaw złożony z przypadkowo kupowanych kijów, których różne wagi i uchwyty zdążył poznać jak przyjaciół. Zrozumiał, że musi ugiąć się przed siłą, którą wyrażała ta torba z pretensjami, ustawiona na wózku o kołach ze szprychami jak w sportowym aucie. Kiedy śliczna żona Leona, z czarnymi, krótko ostrzyżonymi i ufarbowanymi włosami, otworzyła boczne drzwi, Piet znów odczytał swoje przeznaczenie w jej luźno wiszącej bluzie z wzorem w stylu op-artu, obcisłych wiśniowych spodniach oraz śmiałym uśmiechu, którym przywitała pracodawcę męża. W jej oczach czaiło się coś stęzalego, tłumiona ciekawość wyrażona nieświadomym ruchem czubka języka, jak gdyby często słyszała o Piecie niepoehlebne opinie. Za jej plecami (nie zaprosiła go do środka; czyżby ze względu na jego złą reputację?) widać było kuchnię wyłożoną boazerią imitującą orzech i wiszące na ścianach miedziane foremki do pieczenia pasztetu. Całe pomieszczenie wyglądało jak przytulny kambuz statku pływającego na ciepłych wodach.

Przed końcem maja Gallagher zaprosił Pieta na poważną rozmowę. Spytał go, czy Leon jest już zdolny samodzielnie nadzorować prace budowlane. Piet przytaknął. Następnie Matt spytał, czy nie uważa, że w ostatnim roku ich zapatrywania na budowanie i sprzedaż zaczęły się różnić. Piet odparł, że jest dumny, iż trzy pierwsze domy na Indian Hill tak szybko się sprzedały. Matt przyznał, że to prawda, ale wyznał, że zamiast marnych, tylko częściowo wykonywanych na zamówienie domków chciałby zacząć budować na większych działkach. Stanął właśnie do przetargu o teren w pobliżu Lacetown, nisko położony, podmokły jedynie latem. Chciał zająć się prefabrykacją jednostek mieszkalnych, a w takiej pracy Piet marnowałby swój talent. Gallagher uważał, że mocną stroną partnera jest remontowanie starych budynków, a ponieważ w Tarbox roi się od ruder, Piet mógłby otworzyć własną firmę, kupować tanio, przeprowadzać remonty i sprzedawać za wysoką cenę. Piet podziękował mu za podrzucenie pomysłu, ale powiedział, że czuje się raczej giermkim niż rycerzem. Matt roześmiał się z zażenowaniem, słysząc, jak inny głos czy umysł, wyłania się z niepokojąco nieobecnego współnika. Kiedy partnerskie relacje się kończą, nie ma już porozumienia. W zamian za połowę ich aktywów materialnych – w skład których wchodziło kilka biurowych gratów, trochę lekkiego sprzętu i narzędzi stolarskich, furgonetka, parę utrzymywanych w dobrej wierze hipotek i nazwa firmy, przypominająca duet wodewilowy (Matt roześmiał się pogardliwie, jak gdyby ich spółka zawsze była żartem) – zaoferował Pietowi pięć tysięcy, co szczerze mówiąc, było cholernie szczodre z jego strony. Piet, jak zwykle buntujący się w obliczu sytuacji ostatecznych, zaproponował dwadzieścia i ostatecznie przystał na siedem. Nie sądził, że w ogóle coś dostanie, gdyż czuł, że po spędzeniu weekendu z Foxy utracił wszelkie prawa. Zęby uspokoić sumienie, pocieszył się, że Gallagher, który lepiej znał wartość ich parceli, nie zgodziłby się na siedem. Podali sobie ręce. Kąciki ust Gallaghera drgnęły. Powiedział z powagą i fałszywie, że chciałby, aby Piet zrozumiał, że nie ma to wszystko związku z jego osobistymi trudnościami i że zarówno on, jak i Terry uważają, że ma jeszcze szansę na pogodzenie się z Angelą. Piet był wzruszony tym nieszczerym zapewnieniem ponieważ choć Matt lubił ostro prowadzić interesy, trzymał się sztywno swoich zasad i zazwyczaj nie kłamał.

Tymczasem po drugiej stronie miasta, Bea Guerin zachwycała się zaadoptowanym dzidziusiem, jego fioletowymi paznokciami i nieustraszonym żabim wzrokiem. Dziecko było kolorowe.

– Z Rogerem zintegrowaliśmy Tarbox! – zawołała podniecona do słuchawki, rozmawiając z Carol. – Wiesz, że marni z nas bojownicy o cokolwiek, ale po prostu nie mogliśmy się doczekać!

Bernadettę Ong obudziła się jako wdowa, czując, jakby bok, na którym spała, został rozerwany na całej długości i stał się ziejącym otworem, gdzie balsam jej kościoła palił jak sól; uszanowała wolę Johna, który chciał zostać pochowany bez ceremonii religijnej i

zalewało ją powracające poczucie winy, którego klucie mieszało się z dotykiem łapiących ją, pytających rąk dzieci. „Tatuś odszedł. Do miejsca, którego nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić”. „Tak, mówią tam w jego języku”. „Tak, papież, wie, gdzie to jest”. „Zobaczycie tatusia na koniec życia”. „Tak, pozna was, bez względu na to, jak bardzo się zestarzejecie”.

Siedziała przy łóżku Johna, kiedy umarł. Przez chwilę oddychał lekko; jego twarz miała ludzki kształt. Potem stała się czarną dziurą – czarną i głęboką. Ta ogromna różnica nie dawała Bernadette spokoju, dodawała blaskowi mszy jasności ostatecznego końca. Marcia, mniejsza Smith, przeżyła szok. Zaprosiłszy dwa razy Reinhardtów na obiad i dwa razy spotkawszy się z odmową, poszła odwiedzić Deb Reinhardt, absolwentkę Vassar College, kobietę o wąskich ustach i prostowanych włosach. Od niej dowiedziała się, że chociaż oboje z Alem naprawdę polubili ją i Harolda, nie chcieli angażować się w znajomość z ich przyjaciółmi, tym całym – w tym miejscu użyła okropnie lekceważącego określenia – obskurnym towarzystwem. Tak więc Reinhardtowie, wraz z młodym socjologiem wybranym na przewodniczącego zgromadzenia mieszkańców, uroczym i ekscentrycznym ilustratorem książek dla dzieci, który przeprowadził się z Bleeker Street, oraz nowym, unitariańskim pastorem Tarbox i ich spokojnymi żonami stworzyli osobny krąg towarzyski. Sami szyli ubrania, spotykali się, by czytać sztuki, nie szaleli z seksem, eksperymentowali z LSD i walczyli o słuszne sprawy zacieklej niż Irene Saltz. Pełni oburzenia Applesmithowie ochrzcili ich mianem „szejkersów”.

Georgene Thorne doświadczyła małego objawienia. Zrozpaczona upadkiem Pieta i tym, że już całkowicie go utraciła, a także faktem, że sama zapoczątkowała tę serię nieszczęść, skupiła się całkowicie na dzieciach. Wraz z poprawą pogody zaczęła zabierać w weekendy Whitneya, Marthę i Judy na nudne wyprawy do bostońskich muzeów i położonych w głębi łądu rezerwatów przyrody, a także na dalekie, nieznanne plaże. Podczas jednej z wycieczek, prowadząc dzieci z parkingu na plażę, usłyszała na wpół znajomo brzmiący śmiech pary zanurzonej po kolana w lodowatej wodzie. Mężczyzna ubrany w skąpe kąpielówki był stary, z capią brodą, żółtymi, żyłastymi nogami i wydatnym, porośniętym gęstym włosom torsem; zanosząc się wulgarnym, lubieżnym śmiechem, ochlapał wodą piszczącą, szczupłą i wysoką kobietę ze falującymi, ciemnymi włosami. Była to Terry Gallagher, wyglądająca wyjątkowo dziewczęco w czarnym bikini. Towarzyszący jej mężczyzna musiał być znajomym garncarzem, mężem nauczycielki gry na lutni. Georgene poprowadziła dzieci w dół plaży, za stertę zasłaniających widok kamieni, i nigdy nie odezwała się słowem na temat tego, co zobaczyła. Nie zdała relacji nawet Freddy’emu ani Janet Appleby (która po serii poufnych, emocjonalnych rozmów, które przeprowadziły po tym, jak Georgene odkryła jej liścik do Freddy’ego, stała się jej najbliższą przyjaciółką).

Również Janet miała swoje tajemnice. Pewnego sobotniego popołudnia pod koniec maja, wracając do domu od mniejszych Smithów, zauważyła na podjeździe Whitmanów samochód Kena i zatrzymała się odruchowo. Obeszła dookoła skrzydło, w którym mieścił się pokój dziecięcy i gdzie pączkowały róże Foxy, i znalazła Kena przed domem, zajętego paleniem chrustu. W świetle odbijającym się od zalanych moczarów jego włosy zdawały się zupełnie białe. Początkowo wymienili jedynie żartobliwe uprzejmości, ale Ken wyczuł w niej, ponieważ zawsze ją lubił, bardzo nerwowe zachowanie, zupełnie niepasujące do pięknego dnia. Janet delikatnie skierowała rozmowę na stan jego umysłu, samotność, jakiej przypuszczalnie doświadczał, i na odczuwany wstyd, czego już głośno nie powiedziała; następnie zaoferowała, nie używając zbyt wielu słów, ale z wystarczającą dobitnością, że się z nim prześpi, teraz, w pustym domu. Po zastanowieniu i z równym taktem i szczerością Ken odrzucił jej propozycję. Było to najlepsze z możliwych wyjść. „Sparzyłam się, rozumiesz; nic nie jest mnie już w stanie zranić”, to stanowiło podstawę oferty Janet; on natomiast sformułował odmowę tak, by raczej podniosła, niż zmniejszyła poczucie własnej wartości: „Sądzę, że oboje potrzebujemy więcej czasu, by odbudować szacunek dla samych siebie”.

Pośród grzęzawisk widać było wysepkę, porośniętą olchami, jeżynami i głógami, zbyt małą, by w ogóle tam stanąć. Na ich oczach chmura wędrujących na północ szpaków przysiadła tam na chwilę; nim ostatnie ptaki zdążyły opaść na ziemię, ich przywódcy już poderwali się do lotu. Tak więc ich spotkanie, pośród łopotu skrzydeł, zapachu ogniska, bzyczenia owadów i chlupotania odpływu w prostych kanałach, było wystarczającym spełnieniem, ćwiczeniem z wolności dla obojga. Pierwszy oddech zdrady jest najswobodniejszy; potem pojawiają się ograniczenia, na wzór tych istniejących w małżeństwie. Janet i Ken poczuli się lepsi, utrzymując się na tym poziomie, ponad wspniałymi, zieleniącymi moczarami, przystosowani do życia pośród rozprzestrzeniającego się światła. Ich twarze wydawały im się wielkimi, planetarnymi powierzchniami skóry i napięcia, cudownie nieograniczonymi w okolicy ust i oczu. Janet spuściła wzrok; wiatr rozczochrał włosy Kena. Jej propozycja była dla niego pouczająca; jego odmowa była lekcją dla niej. Przez lata przechowywali pamięć o tych kilku minutach jak skarb, z sentymentem niepodobnym do zachowanej wówczas powściągliwości.

Pomimo iż pary z miejsca wyrzekły się towarzystwa Pieta, żeby nie zarazić się jego niepowodzeniem, były tak czy inaczej nękanie i karcenie, jak gdyby jego upadek stanowił ofiarę. Angela, będąca już wolną kobietą, stanowiła zagrożenie dla każdego małżeństwa. Niektóre z żon odwiedzały ją jeszcze przez jakiś czas dla zasady, ale spotykały się z jej strony z chłodnym przyjęciem i wracały do domu utwierdzone w przekonaniu, że niechęć, jaką do niej czują, jest uzasadniona. Nieczęsto zapraszano ją też na przyjęcia, które zresztą coraz rzadziej się odbywały. Dorastające dzieci miały coraz bardziej skomplikowane i absorbujące wymagania. Janet i Frank Appleby, Guerinowie, Thorne'owie i mniejsi Smithowie nadal się spotykali, ale już bez ekscesów; pewnego wieczoru (kiedy Freddy normalnie zorganizowałby jakąś przykrą psychologiczną grę w słowa, żeby ich „uczłowieczyć”) wyciągnęli dwa małe stoliki i zaczęli grać w brydża; po jakimś czasie weszło im to w nawyk. Gallagherowie bez łącznika, jaki stanowili Hanemowie, oddalili się od starych znajomych i nawiązali stosunki z pośrednikami handlu nieruchomościami oraz bogaczami z pobliskich miasteczek; zaczęli też jeździć konno. Saltzowie znów przysłali wszystkim kartki bożonarodzeniowe. Jazinczyk przeprowadził się do dużego domu przy parku i przeszedł na unitarianizm. Doktor Allen nauczył się nowej metody antykoncepcyjnej – zakładania spirali domacicznych. Wielebny Pedrick zachwycił się hojnością datków na rzecz odbudowy kościoła, zarówno od katolików, jak i kongregacjonalistów z Lacetown, Mather i Tarbox. Sprawa pożaru została szeroko nagłośniona. Jedną z krajowych fundacji, której prezes przeglądał akurat „Boston Herald” w poniedziałek przy śniadaniu w Ritzu, oświadczyła, że wyasygnuje na odbudowę tyle, ile podarują kościołowi osoby prywatne; rzekomo fundusze federalne mogą być przeznaczone na restauracje zabytkowych budynków, jeśli spełniają one określone historyczne i estetyczne kryteria. Po Tarbox krążyła jednak plotka, że stary kościół nie zostanie odbudowany, ale w jego miejsce powstanie nowoczesna budowla z betonu, paraboliczna, w kształcie namiotu, zwieńczonego morską falą.

Stary kościół był nie tylko poważnie zniszczony wewnątrz, cała jego struktura okazała się słaba: to cud, że nie zawalił się sam dziesięć lat wcześniej. Nim buldożery i koparki zaczęły wgryzać się w budynek, człowiek siedzący na stalowej kuli, dyndającej na ramieniu olbrzymiego dźwigu, uratował złotego kurka. Dzieci ze szkół podstawowych zostały zwolnione z lekcji, żeby obejrzeć to wydarzenie. Wysoko, wysoko, wzleciał młody śmiałek, aż zaczął błyszczeć w słońcu jak złoty ptak. Obserwujący go bezrobotny Piet Hanema, który zdawał sobie sprawę z pomyłek, jakie często popełniają operatorzy dźwigów, wstrzymał z przestraczeniem oddech. Kula została delikatnie uniesiona i przesunięta w odpowiednie miejsce; młody człowiek z niezwykłą łatwością wyjął złoconą sylwetkę z gniazda, w którym pozostał trzpień, i trzymając ją na kolanach, zjechał szybko na ziemię pośród radosnych okrzyków uczniów. Kogut mierzył pięć stóp od dzioba po pióra w ogonie; miedziany pens w miejscu oka był malutki. Gdy robotnik szedł przez błonie, żeby wręczyć wiatrowskaz Pedrickowi i

towarzyszącym mu dwóm urzędnikom kościelnym, tłoczące się dzieci uformowały szpaler, tańczącą, trzepoczącą kolorową masę. Przepychały się i skakały, by lepiej dojrzeć oko, o którym opowiadali im rodzice. Z odległości, w której stał Piet, ich okrzyki brzmiały jak tryumfalne szyderstwo. Bujna trawa porastająca pagórkowaty park zieleniła się wiosennie. Trójka sztywnych delegatów przyjęła wysłużony symbol i pozowała do absurdałnej fotografii, tuląc między sobą kawałek blachy; człowiek po prawej Pedricka miał włochate uszy, a mężczyzna stojący po lewej był jubilerem. Mrowie dzieci otoczyło ich, dotykając matowego metalu. Niebo było puste, nie licząc dwóch równoległych smug, pozostawionych przez odrzutowce.

Poruszony tą sceną radości, widząc, że w jakimś sensie jego życie się skończyło, Piet odwrócił się i zdał sobie sprawę, że stoi dokładnie w tym samym miejscu, w którym po raz pierwszy ujrzał Foxy, wsiadającą po mszy do samochodu, i gdzie później spotkali się w nieprzyjemnym kontekście przylotu jej matki, Foxy wysoka i pełna, z jasnym turbanem na głowie; cieszył się, że się z nią ożeni, i bał się, że tego nie zrobi.

*Zbyt surowo w nim wyglądam? Zdjęłabym go, ale jest przypięty.*

*Jest świetny. Podkreśla wypielęgnowany róż twojej skóry.*

*Ależ jesteś wrogo nastawiony.*

*Może i jestem, ale cię uwielbiam. Chodźmy do łóżka.*

*To by nam przyniosło ulgę, nieprawdaż? Wiesz, ile dni już minęło od czasu, kiedy kochaliśmy się po raz ostatni?*

*Wiele.*

Teraz, mimo że nie minęło wiele lat, miasteczko prawie nie pamięta Pieta, jeżdżącego klekoczącym pikapem, załadowanym przyciętymi deskami; z rudymi włosami, sztruksową czapką i przyciągającą wzrok morelową kurtką; który tak często i z zadowoleniem siedział w drogerii Cogswella, popijając kawę; z ogryzkiem ołówka wystającym spod czapki, z rozpiętą kurtką odsłaniającą drogi kaszmirowy sweter, zniszczony przez pył drzewny i wióry; o bystrych oczach, wyglądających, jak gdyby poprzedniej nocy za mocno je przecierał, skóra pod nimi workowata, mała podwinięta fałda, jak gdyby stwórca w ostatnim momencie ścisnął glinę. Angela, która uczy w szkole dla dziewcząt w Braintree, nadal jest widywana, rozmawiająca z Freddyem Thorne'em na rogu ulicy albo przechadzająca się po plaży z dobrze ubranym, mądrze uśmiechającym się niskim mężczyzną, swoim ojcem. Poleciała w lipcu do Juarez i w jeden dzień uzyskała rozwód. Piet i Foxy wzięli ślub we wrześniu. Jej ojciec, pociągający za sznurki aż z San Diego, znalazł dla nowego zięcia posadę rządową jako inspektora budowlanego federalnych inwestycji, głównie koszarów wojskowych, w rejonie Boston-Worcester. Pietowi podoba się urzędowy porządek i stałe godziny pracy. Hanemowie mieszkają w Lexington, gdzie środowisko podobnych do nich ludzi stopniowo ich zaakceptowało – jako kolejną parę.